

Augusta
Docher

*Anatomia
uległości*



Augusta Docher

ANATOMIA

ULEGŁOŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

Zacznijmy od podstaw. Proszę powiedzieć coś o sobie. - Miły pan redaktor delikatnie stuka końcówką długopisu w notatnik trzymany na kolanach.

Muszę ucłowieczyć tego kogoś. Nazwijmy go John Smith. Wiek? Po czterdziestce. Lekko siwiejące skronie i wyraźnie zarysowane bruzdy nosowo-wargowe. Niech będzie żonaty i dzieciaty (druga żona, z pierwszą dochował się dorosłej już córki, a z obecną... czy to ważne?). Kiedyś spontaniczny i intrygujący, dzisiaj pryncypialny nudziarz.

- Melania Valentine Duvall, lat tyle, na ile wyglądam, panna. Wystarczy? - Przechyliłam głowę wspartą o miękką poduszkę. Bynajmniej nie zamierzam podrywać Johna Smitha, to swoisty odruch bezwarunkowy.

- Piękne imię, a w zasadzie imiona. Mogę poznać ich genezę?

- Może pan. - Przyzwalam łaskawym skinięciem głowy. - Mam dwójkę rodzeństwa: trzydziestotrzyletniego brata Ashleya i siostrę Scarlett, która jest od niego rok młodsza.

- Jak oryginalnie... Aczkolwiek szanowni rodzice powinni postarać się jeszcze o Rhetta.

- Prawda? - Uprzejmie się uśmiecham.

- A Valentine?

- To niewielkie miasteczko w Nebrasce. Jest tam mały szpital, w którym przyszłam na świat. Prawie osiem tygodni przed terminem - dodaję, akcentując to bardzo wyraźnie.

- Wnioskuje, że to istotna informacja? - Redaktor Smith przygląda mi się z uwagą.

- Przez to, że byłam wcześniakiem, wyglądam tak, jak pan widzi. Moje rodzeństwo i rodzice są bardzo wysocy i postawni.

- Hm... Jest pani najmłodsza z całej trójki. Czy tak duża różnica wieku między panią a siostrą pozwoliła na to, żebyście znalazły wspólny język? Gdy pani się urodziła, ona z pewnością chodziła już do przedszkola, a może nawet do szkoły.

- Dziękuję, ale różnica nie jest aż tak duża. Zaledwie jedenaście miesięcy.

- Doprawdy? Gdy na panią patrzę, myślę, że to absolutnie niemożliwe. Jestem pewien, że jeszcze przez najbliższe dziesięć lat w klubach będą od pani żądać dokumentów...

- Czy pan mnie podrywa? Jeśli tak, proszę sobie darować.

Parskam śmiechem, choć wcale mnie nie dziwi takie zachowanie. Leżę przed Smithem w samej sukience i pończochach. Majtki gdzieś pofrunęły, a moje nogi, ugięte w kolanach i oparte stopami o materac, z pewnością co nieco odsłaniają, jak w *Nagim instynkcie*...

- Raczej nie mam szans. Słyszałem o pani dosyć specyficznych upodobaniach...

- Specyficznych?

- Rzadko spotyka się kobietę, która wiąże się wyłącznie z młodymi chłopcami. To dosyć ekscentryczne.

- A cóż w tym dziwnego? No, chyba że jest pan zdeklarowanym konserwatystą, który związki typu „dziadziuś i nastolatka” uważa za poprawne, ale te z odwróconą różnicą wieku za patologiczne. Oglądał pan *Absolwenta*?

- Ma pani ambicje zostać drugą panią Robinson*?

- Bynajmniej. Ona popełniła mnóstwo błędów, ale dwa z nich to już kompletna katastrofa: była mężatką i zaangażowała się uczuciowo. Zmodyfikowałam to, nie zamierzam na razie

* Bohaterka filmu *Absolwent* z 1967 roku, grana przez Annę Bancroft. wychodzić za mąż, a własne emocje trzymam na bardzo krótkiej smyczy. I na wszelki wypadek w kagańcu.

- Nie chce pani wyjść za mąż?

- Kiedyś może tak, ale nieprędko. Nie lubię mieć zobowiązań, nie zadłużam się i dopóki to możliwe, nie zamierzam tego robić.

- Małżeństwo to nie tylko zobowiązania, ale również wiele korzyści.

- Z pewnością mówi pan o należnościach. Panie Smith, jak na pewno panu wiadomo, z wykształcenia jestem doradcą podatkowym, ale także księgowość opanowałam w stopniu biegłym. Wie pan, co to bilans?

- Mniej więcej. Aktywa i pasywa.

- No właśnie. Aktywa, czyli to, co mamy, składają się z dwóch trzonów: pewniaka i pisanego na wodzie. Pewniaki to na przykład dom, samochód, pieniądze. Pisane na wodzie to pańskie należności, czyli potencjalne korzyści. A pasywa to źródła finansowania aktywów. I znów mamy pewniaki, kapitał własny plus pisane na wodzie, czyli zobowiązania, inaczej długi. Ja wybieram model bilansu z pewniakami. Po co mi coś, co w każdej chwili może gdzieś odpłynąć?

- Hm... Wreszcie zrozumiałem, o co chodzi! - Redaktorek jest zachwycony. - Miałem na studiach podstawy rachunkowości. Przez pół semestru próbowali nam wbić do głowy, co to bilans, a pani wyczerpała temat w kilkanaście sekund.

- Cieszę się, że pomogłam.

- Może wrócimy do wywiadu. - John Smith zagląda do swoich notatek.

- Miłość... Gdzie pani ją dostrzega?

- W reklamach mleka dla niemowląt.

- Z czym lub z kim kojarzy się pani słowo „mąż”?

- Al Bundy*? - chichoczę pod nosem.

- Gdy mówię „namiętność”, co pani widzi?

- Nic. Nie mam pojęcia, co dla pana znaczy to słowo. Pewnie niewiele.

- Jest pani okrutna. - Kręci głową.

- Doprawdy? Nie jestem okrutna, to pan źle sformułował pytanie. Gdy ja mówię „namiętność”, widzę osiemnastoletniego prawiczka. To samo zobaczę, gdy spyta mnie pan o słowa „pożądanie”, „seks”, „pasja”, „głód”, „zaskoczenie”. To wszystko znajduję w oczach tych chłopców, a czasami młodych mężczyzn.

- Ideał mężczyzny?

- Nie istnieje, więc nawet nie próbuję go określać. Ale za to mogę panu zdradzić, kogo byłabym skłonna uwieść i przyniosłoby mi to dużo radości.

- Słucham. - Redaktor nerwowo poprawia węzeł krawata.

W tym momencie zaczynam wątpić w inteligencję pana Smitha. Cóż za naiwniak...

- Co pan powie na siedemnastoletniego kleryka? - strzelam bez większego namysłu.

- Panno Melanio... - John Smith jest wyraźnie zdumiony i chyba zniesmaczony moją postawą.

- Jadł pan kiedyś żywe larwy? Takie duże, białe i grube, które strzelają w ustach, gdy sieje przegryza?

- Nie. - Dziennikarz błędnie. - A pani?

* Bohater bardzo popularnego serialu komediowego Świat według Bundych. Postać groteskowa, kojarząca się z zaniedbaniem, niechlujnością, zaprzeczenie gentlemana i amanta.

- Też nie, budzą we mnie wstręt. To wynika z wychowania, tradycji... Nasze mamy nie podawały nam larw na śniadanie. W naszej kulturze nie jest to normą, choć larwy są pożywne i smakuja wielu ludziom.

- Uważa pani, że uwiedzenie kogoś, kto zdecydował się na celibat, jest tym samym co zjedzenie larwy? Jakimś wyzwaniem, próbą?

- Nie. Zupełnie mnie pan nie zrozumiał. To sprawiłoby mi przyjemność.

- Ale co dokładnie?

- To, że bym wygrała.

- Z Bogiem?

- Nie da się ograć Boga, a duchowny, który łamie celibat, tak naprawdę nigdy nie powinien zostać księdzem.

- To co by pani wygrała?

- Wiele rzeczy: zainteresowanie, pragnienie, a czasami miłość. Oprócz tego satysfakcję i dawkę dopalacza dla ego.

- Skąd pewność, że właśnie pani jest pierwszą kobietą w życiu tych chłopców? A jeśli jeden z nich panią okłamał?

- Nie wszyscy byli prawiczkami. A ci, którzy to deklarowali, raczej mówili prawdę. To mało realne, ale jeśli któremuś się udało mnie przechytryć - świetnie. Imponują mi inteligentni mężczyźni.

- Ilu partnerów seksualnych pani miała?

- Ten jest siódmy.

Skupiam wzrok na leżącym tuż obok Damianie, pięknym chłopcu, dziedzicu sporej fortuny. Ojciec: branża hotelarska, z pierwszej setki liczących się graczy. Może nie miliarder, ale milioner jak najbardziej.

- To niezbyt imponujący wynik.

- Liczba nie ma dla mnie znaczenia. Nie funkcjonuję według zasady „zaliczyć i zapomnieć”. Lubię dostrzegać w oczach faceta miłość i zaangażowanie. Tym się żywię. Znów spytam o film, tym razem animowany: *Potwory i spółka*, widział pan?

- Widziałem, moja córka go uwielbiała.

- Świetny, prawda? Monstropolis to Manhattan, a ja jestem potworem czerpiącym energię z emocji chłopców, którzy stanęli na mojej drodze. - Uśmiecham się, bo całkiem nieźle wyszła mi ta metafora.

- Wykorzystuje ich pani. - Na twarzy Smitha maluje się dezaprobata.

- Jak każdy potwór, ale nie do końca. Oni też sporo zyskują.

- Seks?

- Nie tylko. Doświadczenie, umiejętności, moje zainteresowanie, mile spędzony czas...

Nagle redaktor lekko się uśmiecha.

- Panno Duvall...

- Tak?

- Zakładam, że naprawdę dobrze zna pani ten film. A co, jeśli któregoś dnia otworzy pani kolejne drzwi i spotka za nimi Boo*?

* Bohaterka filmu Potwory i spółka - ciekawska dziewczynka, która nie boi się potworów i odważnie wkracza w ich świat. Role się odwracają: teraz to dziecko zuchwałe budzi przerażenie potworów, a nie odwrotnie.

- Boo?

- Wie pani, kim była Boo dla Sulleya?

- Wiem. Boo... Boo... - powtarzam dziwaczne imię, patrząc na twarz dziennikarza, która powoli rozwiewa się w powietrzu jak kłęby pary buchające z szybów wentylacyjnych.

- Mel...

Odwracam wzrok. Nawet nie zauważyłam, kiedy Damian się obudził. Leży na boku, podpierając głowę, i spogląda na mnie z ciekawością.

- Tak?

- Kto to jest Boo? Jakiś twój znajomy?

- Nie wiem tego, Damianie. - Nachylam się i całuję go w czoło. - Wiem za to, że powinieneś iść. Już północ, jestem bardzo śpiąca.

- Spotkamy się jutro w klubie?

- Chętnie. A teraz zmykaj.

Co to za laska? Znasz? - Adam brodą wskazuje parkiet. - Która? - Ron podnosi mętny wzrok znad szklanki z resztką wild turkey.

- Blondynka, obściskuje się z jakimś małym chłopcem.

- A, ona... znam. Melania Valentine Duvall. Świeżo po trzydziestce, ciągle do wzięcia, ale nie polecam. Sucz straszna - dodaje po chwili głosem chłopca, któremu ktoś właśnie skradł ulubiony rower.

Adam wybucha śmiechem. Jego przyjaciel ze szkolnej ławy, dwudziestoosmioletni prawnik Ron Bugley, chyba ma już dosyć alkoholu: prawie leży na barze klubu nocnego The Story przy skrzyżowaniu Park Avenue i Osiemdziesiątej Ósmej.

Przez chwilę obaj spoglądają na kobietę, która wije się prowokująco wokół młodego chłopaka. Ci dwoje wyglądają razem dość niecodziennie: panna Duvall, czyli pięć stóp i dwadzieścia cali czystego seksapilu w lakierowanych szpilach od Manolo Blahnika, i dwudziestolatek - wysoki, szczupły, z ciemnymi włosami spiętymi w kitkę, w granatowym swetrze nałożonym na gołe ciało, opadających z bioder džinsach i wojskowych butach.

- Skąd się znacie? Też prawniczka? - Adam jest zaintrygowany.

- Tak, ale siedzi w podatkowym. Pracuje na Upper East Side, niedaleko stąd, u Kneppera. Robi za prawą rękę szefa. - Ron wysuwa język. - W zasadzie to ona rządzi całym tym bajzlem. To duża kancelaria, na pewno więcej niż czterdziestu doradców.

- Ten Knepper ją posuwa?

- Nie, to dziadek, ma ze setkę. Jedyne, co posuwa od dwudziestu lat, to swój balkonik.

Adam parska śmiechem, patrząc na ekscentrycznie dobraną parkę. Kobieta odwraca się, ociera ciałem o podbrzusze młodziana. Chwyta jego dłonie, obejmuje się nimi w talii i niepokojąco przesuwa je w górę. Chłopak próbuje obrócić partnerkę, ale ta nie pozwala i konsekwentnie prowokuje zawstydzonego leszcza. Na szczęście dla niego mało kto przygląda się tym karesom. Jest środek tygodnia, druga nad ranem, w klubie przebywa może piętnaście osób i wszyscy oprócz barmanki i Adama są, jak by to ujął jego świętej pamięci ojciec, pijani w trzy dupy.

Ron wlepia wzrok w kształtny biust panny Duvall. Zawsze podobały mu się takie drobne kobiety z dużymi piersiami i jędrnym tyłkiem. Jego żona też taka była jakieś pięćdziesiąt funtów temu. Bugley wzdycha ciężko, gdy to sobie uświadamia.

- Jest naprawdę dobra. Wiesz, co to CPA?

- Mniej więcej. Zack, mój księgowy, ma taki tytuł. Biedził się kilka lat, ale w końcu się udało. Po sześciu podejściach? Nie pamiętam dokładnie. Po trzecim miał myśli samobójcze, a gdy już zaliczył, pił przez dwa tygodnie. Gdybym go nie wezwał na dywanik, zachlałby się na śmierć z nadmiaru szczęścia. - Adam uśmiecha się na to wspomnienie.

- No właśnie, a ona zdała za pierwszym razem. Kurwa! Wiesz, jaki trzeba mieć łeb? Ta laska to demon.

- Demon? Przesadzasz. Po prostu jest inteligentna. Choć trudno w to uwierzyć, niektóre babki tak mają. Ale posuwa się je tak samo jak te bez CPA przy nazwisku. - Adam, zadowolony z seksistowskiego żartu, wybucha śmiechem.

- Żaden facet nie posuwa Melanii Duvall, to ona posuwa facetów - mamrocze Ron po chwili.

- Serio?

- Niestety.

- Najwyższy czas to zmienić. - Adam ze zrozumieniem kiwa głową,

patrząc, jak dwójka namiętnych tancerzy opuszcza salę i kieruje się w stronę korytarza prowadzącego do toalet.

- Marzysz, chłopie.

- Aż taka ostra?

- Nie ma bata na tę laskę. Jeszcze się taki nie urodził. Zawsze to ona kopie faceta w tyłek, i to w najmniej oczekiwanym momencie. Jeden z koleś, których odprawiała, skoczył z mostu Brooklińskiego.

- Przeżył?

- Tak, ale od trzech lat siedzi w psychiatryku. Nie wiem, czy to przez nią, bo ludzie różnie mówią. Ponoć miał jakieś problemy. Leki, narkotyki. Wiesz, jak to jest z plotkami. W każdej znajdziesz trochę prawdy. I co? Nadal ci się podoba ta panna?

- Niezła jest. Może spróbuję zmienić jej obyczaje - odpowiada po chwili Adam.

- Chcesz się założyć?

- OK, o stówę? - Przebijają zakład. - To co, zamówię ci jeszcze jednego?

- Nie, daj spokój. Ruth mnie zabije. Jadę do domu, mam dość.

- Dobra. Leć.

- Zdzwonimy się. Dzięki za spotkanie, Harding, fajnie, że wróciłeś na łono Manhattanu, przynajmniej będzie z kim wypić.

Bugley ledwie dźwiga tyłek z wysokiego krzesła. Nigdy nie miał głowy do alkoholu, a dzisiaj wyraźnie przeholował. Myśli o tym, że jutro będzie miał gigantycznego kaca, zarwie poranek i stary znów zrabie go za spóźnienie. Perspektywa nie nastraja optymistycznie i Ron czuje się fatalnie z tą świadomością.

- Dopiję i też będę się zbierał. - Adam podnosi swoją szklankę, pierwszą i jedyną tego wieczoru.

Zamawia taksówkę pięć minut po tym, jak jego przyjaciel opuścił klub. Płaci za drinki, idzie do toalety. W damskiej łazience najwyraźniej dzieje się coś niepokojącego. Zza niedomkniętych drzwi dobiegają odgłosy szamotaniny, więc Harding zaczyna się przysłuchiwać. Nigdy nie miał natury podglądacza, robi to wyłącznie z obawy o bezpieczeństwo kobiety.

Jękliwy kontratenor przeplata się ze strofującym mezzosopranem koloraturowym:

- Mel... jedźmy do ciebie, nie mogę tu... zaraz ktoś wejdzie...

- To po co mnie prowokowałaś?

- To ty mnie prowokowałaś, od godziny jeździsz tyłkiem po moim

kutasie..., przestań... zaraz się spuszczę...

- Zerznij mnie!
- Naprawdę nie mogę w tym miejscu...
- Damian, proszę, ostatni raz...

Adam parska śmiechem, opuszczając korytarz. Jest już prawie przy wyjściu z klubu, gdy mija go molestowany jeszcze przed minutą młodzieniec. Idzie dosyć szybko, po drodze poprawiając spodnie. Mężczyźni prawie jednocześnie wychodzą z lokalu. Damian musi być majętnym dzieciakiem, bo gdy Adam zapina pasy, kątem oka zauważa, że tamten wsiada do nowiutkiego modelu Ferrari. Harding stwierdza, że panna Duvall wysoko mierzy i nie zadaje się z byle kim. Ta myśl szalenie go bawi.

- Tysiąc trzysta dwadzieścia Madison Avenue - rzuca taksówkarzowi, ciągle się uśmiechając.

- Zack, czy ja mówię po chińsku? - cedzi do słuchawki Adam, luzując jedwabny krawat.

- Nie.

- Świetnie. Jeszcze raz. Dzisiaj spakujesz wszystkie dokumenty i wyślesz na adres, który podałem ci w mailu. Przypominam: kancelaria Kneppera. Żadnego listu wprowadzającego, wysyłasz same papiery, resztę biorę na siebie.

- Adam, to już przedawnione. Nic nie ugramy, wiesz... ty nic nie ugrasz. - Zack nie może zrozumieć, o co chodzi jego szefowi. - Myślę, że to...

- Myślenie zostaw mnie. Cześć!

Harding rzuca telefon na blat. Jest wściekły. Niemal od godziny siedzi w Starbucksie i przeczesuje sieć w poszukiwaniu informacji o Melanii Duvall. Zachowuje się jak paranoik, dawno go tak nie wzięło, i chyba nigdy nie wzięło go tak mocno. Żeby szukać plotek o jakiejś niewyżytej lasce... I jeszcze ta akcja z przegraną sprawą? Mężczyzna uśmiecha się pod nosem. Sięga po telefon, żeby zadzwonić do Zacka i odwołać misję. Już prawie wybiera numer swojego księgowego, ale palec zastyga w bezruchu, gdyż panna Duvall właśnie opuszcza budynek kancelarii. Adam widzi ją dokładnie, bo kawiarnia jest po przeciwnej stronie ulicy, jakieś trzydzieści stóp od chodnika, na którym przystanęła zjawiskowa blondynka.

Od rana mocno wieje, cały Manhattan pokrywają wirujące paski pociętych dokumentów. Wylatują z niezliczonych kubłów na śmieci.

Papierowa róża z Jerycha toczy się po trotuarze i wpada na Melanię, która śmieje się i strząsa ją z nóg, jednocześnie próbując okiełznać napięty jak żagiel cienki prochowiec.

Przyjeżdża taksówka, kobieta szybko do niej podchodzi, ale jeszcze nie wsiada, bo jej wzrok na moment zatrzymuje się na szybie Starbucksa.

Adam wstaje, wkłada komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zostawia na stoliku trzeci, prawie pełny kubek z popołudniową kawą.

- Czego się pan napije? - Uśmiecham się do Adama Hardinga.

Co za ciacho... Jestem pod wrażeniem. Wysoki: co najmniej sześć stóp, świetnie zbudowany. Aż się ślinię, widząc apetycznie zaokrąglone bicepsy, opięte rękawami marynarki szytej na miarę. Na pewno ciut młodszy ode mnie, ale to akurat zaleta, włosy dosyć długie, kolor bliżej nieokreślony, coś między miodem a karmelem.

Ciepły jasny brąz? Opadają swobodnie i kończą się nieco poniżej płatków uszu. Silnie zarysowana, męska szczęka i wydatne kości policzkowe, spory nos z niewielkim garbem, pełne usta, no i te oczy. Błękitne, lodowate, niebieskie tak bardzo, że aż wydają się nieprawdziwe. „Może nosi kontakty?” - zachodzę w głowę, czy ludzkie oczy mogą mieć tak nienaturalnie czysty kolor.

- Poproszę coś zimnego - odpowiada ich właściciel bardzo męskim głosem, niskim i gardłowym, aż przechodzi mnie dreszcz. Naprawdę jest niesamowicie pociągający.

Przez interkom proszę Lizę, moją nową asystentkę, o dwie szklanki i butelkę schłodzonej wody Perrier. Dziewczyna spisuje się coraz lepiej, tym razem udaje się jej całkiem szybko uwinąć z zamówieniem i nie narobić przy okazji żadnych strat.

Wnosi wszystko na tacy, układa na biurku i bezszelestnie opuszcza biuro. Zauważam, że mój klient nawet nie zerknął na asystentkę, co wprawia mnie w bardzo dobry humor. Mam dosyć zachwytów nad tą nieopierzoną niunią. Od kiedy się pojawiła, niektórzy koledzy z kancelarii ewidentnie sfiksowali, zwłaszcza ci zbliżający się do czterdziestki, z wydatnymi brzuskami i przerzedzonymi czuprynymi. Owszem, ładna z niej dziewczyna, zgrabna i bardzo sympatyczna, ale to jeszcze dzieciak, ma zaledwie osiemnaście lat.

- Ciekawe wnętrze. - Harding rozgląda się z zainteresowaniem.

- Dziękuję. - Nalewając wodę, znów się uśmiecham.

Rzeczywiście, moje biuro nieco różni się od pozostałych. Ma raczej chłodny wystrój, bez tej paskudnej boazerii, która szpeci całą kancelarię. Białe ściany, okno przysłonięte roletą w stalowym odcieniu, posadzka z granitowych płyt wypolerowanych do połysku, blat biurka wykonany z oszronionego szkła - całość tchnie profesjonalizmem.

- Córka? - Adam Harding podnosi zdjęcie, jedyny osobisty akcent, jaki można tu znaleźć. - Śliczna, podobna do mamy.

- Siostrzenica - parskam śmiechem.

Komplement jest tak płytki, że aż mnie bawi. Tak samo bawi mnie mina mężczyzny, gdy to mówię.

- Przepraszam.

Najwyraźniej jest zakłopotany, bo zbyt szybko odkłada ramkę.

- W porządku. Do rzeczy, panie Harding. Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości. To stara sprawa, przedawniona, a nawet gdyby była aktualna, i tak nic by to nie dało. Urząd federalny nie popełnił najmniejszego błędu. - Przesuwam w jego stronę teczkę z ekspertyzą.

- Wiem. - Nawet nie zerka na dokumenty.

- Słucham?

- Pójdziemy na kawę? - Nachyla się nad biurkiem.

Mam wrażenie, że jestem w ukrytej kamerze. Co za dupek! Wkręca mnie? A może to jakiś żart chłopaków? Zemścili się, bo cisnęłam po nich, gdy ślinili się do Lizy? Niemożliwe. Myślę gorączkowo, co jest grane. Ekspertyza zajęła mi dwa popołudnia, kosztowała prawie osiem tysięcy i była zaliczkowana, widziałam ksero czeku załączone do dokumentów.

- Chyba się przesłyszałam - stwierdzam po chwili, starając się zachować olimpijski spokój.

- Nie przesłyszałaś się. - Od tej chwili mój gość cedzi słowa, - Chciałbym. Zaprosić. Cię. Na kawę.

- Nie wierzę. - Kręcę głową ze zdumienia.

- Zakładam, że z nikim się nie spotykasz, a nawet gdyby tak było, rzuć tego faceta.

- Dlaczego?

Prawie natychmiast uświadamiam sobie, że palnęłam głupstwo i w dodatku nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. To chyba niebywały tupet Hardinga sprawił, że mój mózg chwilowo się zawiesił.

- Bo mam ochotę wypić z tobą kawę.

„A potem cię przelecieć...” - dopowiada męski głos w mojej głowie.

Parskam śmiechem, a potem tak samo jak mój klient nachylam się nad blatem. Nasze nosy dzieli odległość może czterech cali. Zdecydowanie przekroczyliśmy już strefę komfortu.

- Panie Harding, proszę mnie teraz uważnie posłuchać. Po pierwsze, nie przypominam sobie, kiedy przeszliśmy na ty, po drugie, nie umawiam się na kawę z dupkami, którzy marnują tyle kasy na tak żaloszny i nieskuteczny podryw, a po trzecie, pana ojciec na pewno się wkurzy, gdy zobaczy, jak jego syna- lek trwoni ciężko zarobione rodzinne pieniądze, i zakręci kurek, a ja nie zamierzam panu stawiać.

- Już mi postawiłaś. Przed chwilą. - Uśmiecha się i po sekundzie jeszcze bardziej zbliża twarz. Na wargach czuję jego oddech.

- Proszę wyjść, bo wezwę ochronę. - Podnoszę się z krzesła, próbuję zrobić to w miarę wolno i spokojnie.

- Jasne. - Harding też wstaje i kładzie coś na biurku. - To moja wizytówka, na wypadek gdybyś... zmieniła zdanie.

Nie widzę, czy to faktycznie wizytówka, bo mój wzrok spoczywa w zupełnie innym miejscu. Przełykam ślinę. Zważywszy na okoliczności, widok jest dosyć osobliwy: środek dnia, biuro kancelarii podatkowej i bardzo przystojny, choć nieco nachalny klient z potężną erekcją, którą rzekomo spowodowałaś.

- Proszę wyjść.

- Chyba jednak do czegoś się przyda ta ekspertyza. - Adam Harding zabiera plastikową teczkę i przykłada ją do brzucha, zasłaniając rozporek.

Wychodzi z biura bez pożegnania, zostawia otwarte drzwi.

- Chryste! Co za dupek! - mamroczę, gdy cichnie odgłos jego irytująco samczych kroków. - Co! Za! Cham! - Moje słowa brzmią jak krótkie strzały.

Wypijam duszkiem wodę ze szklanki, a później resztę, która została w butelce. Przypominam sobie całą scenę i nagle zaczyna mnie to bawić. Śmieję się do siebie jak wariatka. W taki sposób jeszcze nikt mnie nie podrywał. Szkoda, że to kolejny gówniarz, któremu tatuś ułatwił start w życie. Nie wierzę, żeby tak młody koleś sam doszedł do wszystkiego. Muszę to sprawdzić, mimo wszystko facet zaimponował mi pomysłowością.

„Adam Harding” - wklepuję w wyszukiwarkę.

- Jest - mamroczę do siebie. - Dwadzieścia osiem lat, biznesmen, branża spożywcza... Tyle to wiem i bez wujaszka Google... Ziemniaki, kukurydza, pszenica? Trochę banalnie, ale w sumie ludzie zawsze będą jeść... W dwa tysiące dwunastym firma HAC podpisała umowę z jedną z

największych sieci fast foodów... o kurczę, duża rzecz, naprawdę duża rzecz... Współudziałowiec w... o... w tej też? Niesamowity koleś. - Wydymam usta z podziwem. - Absolwent Uniwersytetu Columbia, ukończył studia z rewelacyjnymi notami, był członkiem CBS? No, no, CBS, grubo... Stracił rodziców, gdy miał osiemnaście lat, przejął wówczas opiekę nad czteroletnią siostrą Ruby... - Przetykam ślinę. - Ups...

Z trzaskiem zamykam laptopa.

- Tak. To nie było miłe, panno Duvall, ale wybaczam.

Podnoszę wzrok. „Kurwa! Dopadła mnie wybiórcza głuchota czy cały czas byłeś na korytarzu? Zdjąłeś buty czy co?” - zachodzę w głowę, jak to możliwe, że nie zauważyłam jego powrotu.

Adam Harding stoi w progu mojego biura i lekko się uśmiecha. Czuję, jak na policzki wypelza mi rumieniec gigant. Zastanawiam się, czy jest widoczny - wprawdzie mam na sobie warstwę podkładu i pudru, ale to zwykłe kosmetyki, a nie makijaż sceniczny, czyli... na pewno wszystko widać! „Ja pierdolę, co za niezręczna sytuacja, panno Duvall!” - zlorzeczę w duchu.

- Cieszy mnie pani zainteresowanie moją skromną osobą. Przepraszam, że znów panią nachodzę, zapomniałem zabrać papiery. - Harding wskazuje brodą segregator z dokumentami źródłowymi sprawy 1274/FB/A32, stojący obok mojego biurka. - Mogę?

- Ależ tak, proszę. - Wzruszam ramionami.

Mężczyzna wchodzi do biura i podnosi ciemnozielony segregator.

- Bardzo przepraszam, panie Harding. - Wstaję z fotela i uśmiecham się blado. - Nie wiedziałam, że pana rodzice... Przykro mi.

- Jeszcze wielu rzeczy pani o mnie nie wie. - Jego głos znów brzmi niewiarygodnie podniecająco.

Jest mi głupio, więc ponawiam przeprosiny. Zachowałam się beznadziejnie, gdy pozwoliłam temu facetowi aż tak się sprowokować, i teraz próbuję za wszelką cenę wybrnąć z sytuacji.

- A może zmieniła pani zdanie? - Lekko przekrzywia głowę.

- Panie Harding, gdybym teraz zgodziła się pójść z panem na tę nieszczęsną kawę, wyszłabym na ciężką idiotkę, a bardzo tego nie lubię. Obraziłam pana, choć na swoje wytłumaczenie mam to, że pan też zachował się nie do końca właściwie. Myślę, że najlepiej będzie, gdy po prostu powiemy sobie „Do widzenia”. A co do opłaty za ekspertyzę, to ja przygotowałam opracowanie i bez problemu zwrócę panu na konto część,

która jest moim honorarium. To jakieś sześćdziesiąt pięć procent całej sumy, nie będzie pan aż tak stratny. Niestety, reszty pan nie odzyska, to stałe koszty kancelarii. - Oddycham z ulgą. Jakoś udało mi się opanować i wygłosić to wszystko w miarę spokojnym tonem.

- Tylko to panią powstrzymuje, panno Duvall? Nie chce pani wyjść na idiotkę? - Harding patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Myślę, że ta rozmowa naprawdę nie ma sensu. Proszę zabrać dokumenty, zwrócę pieniądze i zapomnimy o sprawie. - Marsową miną staram się zatrzeć znów towarzyszące mi zakłopotanie.

- Spotyka się pani z kimś?

„Powiedzieć prawdę? Skłamać? Zaraz oszaleję!” - Moje życie prywatne nie powinno pana zajmować. - Wybieram wariant dyplomatyczny.

- Panno Duvall, nie istnieje na tym świecie nic, co w tym momencie interesowałoby mnie bardziej.

Parskam śmiechem. „Co to za sformułowanie? Skąd ten koleś się urwał? Zachowuje się, jakby przeczytał poradnik o podrywaniu. Ma pecha, ja też przeczytałam, i to wszystkie...” Kiwam głową z politowaniem, a potem podejmuję błyskawiczną decyzję:

- Wobec tego zaspokoję pana ciekawość. Nie spotykam się obecnie z żadnym mężczyzną, ale odzyskaną wolnością cieszę się zbyt krótko, aby z niej dla pana rezygnować. Panie Harding, bardzo proszę o opuszczenie mojego biura.

- Panno Duvall, nawet pani nie wie, jak ucieszyła mnie ta wiadomość.

Mój klient kładzie segregator na biurku, podchodzi do drzwi i zamyka je od środka, po czym wraca i staje przede mną. To wszystko trwa może dziesięć sekund, nawet nie jestem w stanie zaprotestować, gdy nagle obejmuje mnie w pasie, nachyla się i przysuwa twarz tak blisko, że znów czuję jego oddech na ustach.

- Boisz się mnie?

- Nie... - odpowiadam, starając się nie szczekać zębami.

- Dlaczego?

- Nie boję się facetów - oświadczam. Choć mówię prawdę, w tym momencie nie jestem tego taka pewna, chyba właśnie trafiłam na wyjątek od reguły. - Proszę mnie puścić. - Zwieszam głowę, ciężko oddycham, widzę, jak bluzka na moich piersiach podnosi się i opada coraz szybciej. Czarny koronkowy biustonosz prześwituje przez otwór między guziczkami jedwabnej koszuli. Od razu wyobrażam sobie Hardinga rozpinającego per-

łowe guziki i zdzierającego ze mnie wszystko. Jeszcze sekunda i rzuć się na klienta, to będzie absolutna katastrofa. Ostrożnie opieram dłonie o jego klatkę piersiową i próbuję lekko go odepchnąć, ale jedyne, co rejestruje moje ciało, to twarde mięśnie, wyczuwalne nawet przez marynarkę. - Proszę...

- Pocałuj mnie - słyszę stanowczy głos.

„Cholera! Niech to szlag!!! Niech cię szlag, Adamie Hardingu, ciebie i twój twardego kutasa”. Mięknę jak wosk do depilacji, co za idiotyczna sytuacja. „Trzydzieści pięć procent podatku federalnego od dochodu w wysokości...” Próbuję się ratować, przypominając sobie tabelę ze stawkami, ale mój uparty gość nie odpuszcza.

- Pocałuj mnie! - mówi jeszcze głośniej.

Czuję, jak bardzo gorące są jego ręce, cienki materiał nie stanowi żadnej bariery. Mam wrażenie, że jestem kompletnie naga. Nie wytrzymuję. Zamykam oczy, unoszę twarz i delikatnie kieruję usta w miejsce, skąd dociera do mnie ciepły oddech. Po sekundzie wargi Hardinga stykają się z moimi. Są miękkie i zaskakująco suche, ale nie szorstkie i spękane, raczej miłe w dotyku, gładkie. Wodzę po nich czubkiem języka, powoli smakując.

Adam Harding otwiera usta i zaczyna mnie całować, zachłannie i mocno. Gryzie moją dolną wargę, a potem niechcący uderzamy się zębami. Wreszcie czuję smak jego śliny. Jest słodka. Gdy już ledwo stoję, męczyzna nagle przerywa pocałunek.

- Czy pójdzie pani ze mną na kawę, panno Duvall? - Ciężko oddycha, co jeszcze bardziej mnie nakręca.

W odpowiedzi kiwam głową.

Melania przygotowuje się do wyjścia. Trwa to już prawie dwie godziny: najpierw kąpiel i peeling całego ciała, później trzy kwadransy na wysuszenie długich włosów i ułożenie fryzury, czyli pozornie niedbałego koka upiętego nad karkiem, kolejne dwa na makijaż (obowiązkowo czerwona satynowa pomadka do ust), ostatnie dwadzieścia minut na założenie uprzednio wybranego stroju. Dzisiaj wygrywają mała czarna od Diora, cieliste pończochy z szerokim pasem i wysokie szpilki w kolorze *creme fraiche*.

Panna Duvall podziwia się w wielkich lustrach, zamocowanych pod odpowiednim kątem na przeciwległych ścianach holu. Są dobrze oświetlone gęstym szpalerem halogenowych żarówek, dzięki czemu może

dokładnie zobaczyć, czy wszystko jest bez zarzutu. Podoba się sobie, jest niewysoka, ale ma zgrabną, kobiecą sylwetkę typu „90- 60- 90”. Od kiedy pamięta, faceci zachwycają się jej atutami: mocno wciętą talią, jędrnym tyłkiem, sterczącym wysoko i stanowiącym kontrę dla dosyć sporego biustu, uniesionego przez genialnie dobrany stanik. Już od kilku lat korzysta z usług prywatnej braffitterki, która odwiedza ją raz w tygodniu i przywozi kilkanaście lub kilkadziesiąt kompletów ekskluzywnej francuskiej bielizny.

Paradoksalnie to właśnie niski wzrost i niewielka waga (niecałe sto piętnaście funtów) przyciągają mężczyzn do Melanii. Niestety dla nich, choć wydaje się słaba i bezbronna, dosyć szybko pokazuje pazury i większość panów ucieka z podkulonym ogonem.

Kobieta wchodzi do sypialni, w której całą noc spędziła może dziesięć razy. Ogarnia wzrokiem wnętrze, sprawdza, czy wszystko w porządku. Wprawdzie nie zamierza dzisiaj korzystać z tego pomieszczenia, ale jak często mawiał jej germanista, *der kluge Mann baitt vor** Otwiera szufladę szafki stojącej tuż obok wezglowia łóżka. Żadnych niespodzianek: kilkanaście prezerwatyw, pojemnik z lubrykantem (nieużywany) i paczka chusteczek higienicznych. Kontrola wypada pozytywnie. Melania opuszcza sypialnię i wychodzi z mieszkania, gdy tylko portier daje jej znać, że taksówka już przyjechała.

Zgoda obejmowała wyłącznie wypad na kawę, ale Mel i tak odmawiała Adamowi przez kolejne cztery dni od pamiętnej wizyty w biurze. W tygodniu kończy pracę o dwudziestej i nie może wyrwać się na dłużej niż godzinę. Harding nie ustępuje i czeka cierpliwie do piątku.

Panna Duvall lojalnie informuje natręta, że zwyczajowo nie chadza na randki w dni robocze, bo oprócz pracy w kancelarii i wtorkowych spotkań z szefem ma jeszcze inne obowiązki, związane z (jak to mówi Jess) bieżącą konserwacją: pływanie i ćwiczenia w JOY, niewielkim klubie fitness tuż za rogiem Siedemdziesiątej Czwartej. Dopiero dzisiaj ma pierwszy wolny wieczór i w ramach rekompensaty za zwłokę zgadza się, żeby mężczyzna postawił jej kolację.

- Jean - Georges - podaje kierowcy nazwę restauracji w Central Parku.

Melania lubi to miejsce, bywa tam często ze względu na świetną kuchnię i wyjątkowy klimat.

Po dwóch kwadransach wysiada i przez chwilę stoi przed wejściem do hotelu Trump. Nie wie dlaczego, ale przypomina sobie jedną z wcześniejszych randek. Wtedy też umówiła się w Jean- Georges, to było

jakieś cztery lata temu. Mężczyzna, z którym miała się spotkać, trzydziestoletni biznesmen poznany na jakimś raucie, wystawił ją. Później sprawa się wyjaśniła, wypadło mu coś ważnego, przeprosił, ale nic z tego. Miły John Starhawk nie otrzymał drugiej szansy od panny Duvall, jednak ona do dziś pamięta, jak skończył się tamten wieczór. Wylądowała w pokoju hotelowym z jednym z kelnerów. Dlaczego? Uwiodło ją to, w jaki sposób trzymał butelkę z winem. Pięć mocnych i długich palców obejmujących wyłącznie denko, na tyle stabilnie, żeby nie uronić ani kropelki w trakcie napełniania kieliszka. Przystojny chłopak, Algierczyk, pieprzył się z nią całą noc. „Był nie do zajechania” - wspomina Melania z przyjemnością. Spotkali się jeszcze kilkanaście razy, lecz gdy smagłolicy Ali wyraził chęć ożenku, natychmiast wymiksowała się z tego krótkiego, acz bardzo intensywnego układu. Przestała odwiedzać restaurację, żeby nie prowokować zawiedzionego kochanka. Na szczęście kilka miesięcy później ciemnoskóry macho opuścił Nowy Jork.

Panna Duvall uśmiecha się lekko na to wspomnienie i wchodzi do środka.

- Czy państwo wybrali już wino? - Kelner nachyla się nad parą gości.

Adam zarezerwował ustronne miejsce, niewielką lożę we wnęce, dyskretny zakątek z

* (niem.) Przezorny zawsze ubezpieczony.

kwadratowym stolikiem, przykrytym białym obrusem sięgającym podłogi, i tapicerowaną sofą dla dwóch osób. Jej kolor do złudzenia przypomina odcień szpilek, które Melania ma na sobie.

Harding uśmiecha się do niej, dając znak, żeby wybrała. Panna Duvall prosi o jedną lampkę, wymienia nazwę wina i rocznik.

- Niestety, nie mamy takiego wina, bardzo mi przykro. Proszę wybrać coś z karty, może zaproponuję... - Młody człowiek, który obsługuje ich stolik, stara się zadowolić klientów.

- Przepraszam cię na moment. - Adam zerka na towarzyszkę, wstaje i odchodzi na bok, prowadząc za ramię zdziwionego kelnera. Coś mu tłumaczy, ten po chwili kiwa głową i znika w drzwiach sali restauracyjnej.

Gdy Harding wraca, Melania bawi się niewielką białą serwetką. Jest ciekawa, co takiego usłyszał kelner, ale postanawia poczekać na niespodziankę.

- Na pewno nie chcesz nic zamówić? - Adam ponawia pytanie.

- Dziękuję, nie jestem głodna. Zjadłam przystawkę, to i tak za dużo. Mam zasadę: nigdy nie jem po dwudziestej.

- Myślałem, że ta zasada brzmi raczej: „Nigdy nie jem icks godzin przed snem, gdzie icks wynosi minimum cztery”.

- Twoja wersja jest bardzo zbieżna z moją. Mam jeszcze jedną zasadę: nie kładę się spać później niż o północy. - Mel parska śmiechem.

- W weekendy też?

- Zwłaszcza w weekendy. Tylko wtedy mogę odpocząć. Sen jest niezbędny dla urody.

- Gdy na ciebie patrzę, dochodzę do wniosku, że przedawkowałaś.

- Zabawne. - Kobieta lekko przechyliła głowę.

- Czy mężczyźni często prawią ci komplementy?

- Chcesz mnie obrazić? - Melania zanosi się śmiechem. Podoba się jej ta impertynencja.

- Lubisz to?

- Komplementy? Nie.

- Dlaczego?

- Są zbyt nudne.

- Hm... Czyli „masz piękne oczy” nie zadziała?

- Nie...

- A może „czy bolało, jak spadałaś z nieba?” albo „chcę zobaczyć miejsce po skrzydłach”?

- Nie... - chichocze panna Duvall.

- Wiem, straszne suchary. To może „od momentu, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem...”?

- Dyskwalifikacja, zbyt banalnie się...

- Nie przerywaj. - Adam nachyla się nad stolikiem i ścisza głos. - Od momentu, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, cały czas mi stoi. Byłem u urologa, na szczęście wykluczył priapizm.

Mel zagryza wargi z zażenowania, ale w końcu wybucha śmiechem.

- Może być, choć wulgarne i niskich lotów - ocenia po chwili namysłu.

- Może chcesz mi pomóc? Wiesz, to trochę kłopotliwe. - Mężczyzna łapie za delikatną dłoń i próbuje położyć ją na swoim rozporku, ale panna Duvall wysuwa rękę, zanim zdąży sprawdzić, czy komplement ma pokrycie w rzeczywistości.

- Mam poważne obawy, że bardzo się rozczarujesz, jeśli oczekujesz współczucia - odpowiada z uśmiechem.

- Nie lubisz okazywać litości? - Nie lubię jej odczuwać.
- Jesteś twarda.
- Ty ponoć też - chichocze. - Mam pytanie.
- Tak?
- Dlaczego tak bardzo uparłeś się na to spotkanie?
 - Nie wiem, czy powinienem odpowiadać... - Adam droczy się z nią jak z dzieckiem. Chce kontynuować, ale kelner właśnie podchodzi do stolika. W dłoniach dzierży tacę z butelką wina.
 - Przepraszam, że tak długo to trwało. - Skłania głowę i ustawia przed Melanią kieliszek, który napełnia rubinowym płynem.
 - Też poproszę pół lampki. - Harding jest ciekawy, jak smakuje ulubione wino jego towarzyszki.
 - Doskonale jak zwykle. Dziękuję - wyraża wdzięczność Melania, gdy tylko zostają sami.
 - Cieszę się, że mogłem sprawić ci przyjemność.
 - Gdzie go wysłałeś?
 - Do Toskanii.
 - Szybko się uwinął.
 - Prawda? - Harding nie zamierza zdradzać swoich tajemnic.
 - Nie odpowiedziałeś mi na pytanie...
 - Na pytanie? - Adam znów się uśmiecha. - Na pytanie... - powtarza kolejny raz, jakby chciał podnieść napięcie. - Dobrze. Mam powiedzieć prawdę czy wolisz coś wymyślonego?
 - Hm.... kuszące. Mogę wysłuchać obu wariantów? Nie potrafię się zdecydować.
 - W porządku, ale gdy już je przedstawię, ty wskażesz, który jest prawdziwy.
 - OK. - Melania w geście przysięgi podnosi dwa palce.
 - Kolejność dowolna, uprzedzam. - Adam bierze głęboki wdech. - Pierwszy wariant: założyłem się z naszym wspólnym znajomym o to, że przelecę cię kilka razy i gdy już się zaangażujesz, zostawię cię jako pierwszy. Mówił, że jesteś straszną suką... - Nachyla się nad stolikiem.
 - To cytat? - Kobieta wydaje się niewzruszona.
 - Tak. Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Ponoć lubisz gnoić i emocjonalnie wykorzystywać facetów, a gdy któryś z tych nieszczęśników wyzna ci miłość, dla urozmaicenia obdarzasz go kopniakiem.
 - A jeśli ten znajomy mówił prawdę? Nie boisz się?

- Boję. Romantyk ze mnie, ale mimo wszystko chcę spróbować, jestem nastawiony wyłącznie na wygraną. - Adam uśmiecha się od ucha do ucha. - Wariant drugi: widziałem cię w lokalu, tańczyłaś z jakimś leszczem, spodobałaś mi się, postanowiłem, że cię poderwę, a gdy się uda, zostaniemy parą i będziemy żyć razem długo i szczęśliwie.

- O! - Panna Duvall unosi brwi, jest wyraźnie zaskoczona takim obrotem sprawy, ale stara się nie tracić rezonu. - Nie wiem, który wariant jest prawdziwy. Potrzebuję paru podpowiedzi. Mogę?

- Możesz, ale nie więcej niż trzy pytania.

- OK, jednak musisz odpowiadać błyskawicznie.

- Dobrze, postaram się.

- Nazwisko kumpla?

- Ron Bugley.

- O jaką kwotę się założyliście?

- O stówkę.

- W jakim lokalu mnie widziałeś?

- The Story.

- Rozumiem. - Melania sięga po kieliszek napełniony toskańską sassicaia, rocznik 1985. Chce dać sobie trochę czasu. - Mogę głośno myśleć? - Postanawia nieco zbić Adama z tropu.

- Jasne. Z przyjemnością poznam, co kłębi się w tak pięknej główce.

- W twojej z pewnością preejakulat, choć nie wiem, czy jest piękna... - Melania odbija piłeczkę.

- Punkt dla ciebie. - W głosie Adama pobrzmiwa zachwyt.

- Dziękuję. Do meritum. Założyłeś się o sto dolarów. Żeby je wygrać, zainwestowałeś już ponad osiem tysięcy. To mało rozsądne, ale... Wy, mężczyźni, potraficie robić dużo głupsze rzeczy, jeśli chodzi o rywalizację, więc gdy zachowałeś się jak idiota, nie byłeś żadnym wyjątkiem. Przy okazji: Ron to miękka faja, jestem ciekawa, kto zrobił Ruth dzieciaka. Na pewno nie on. Od kiedy go znam, cierpi na chroniczne bezjajectwo.

Adam wybucha śmiechem. Coraz bardziej podoba mu się ta niepokorna istota, której obrażanie facetów przychodzi łatwiej niż oddychanie.

- A co myślisz o drugim wariacie?

- Hm... jest dosyć nudny i szczerze mówiąc, gdyby okazał się prawdziwy, byłabym bardzo rozczarowana. Wybieram opcję numer jeden, też lubię gry i zabawy, wyraźnie wyczuwam w tobie pokrewną duszę. - Melania uśmiecha

się słodko. - Trafiłam?

- Nie powiem ci. - Adam potrząsa głową.

- Jak to? - Mel sznuruje usta.

- Umowa była jasna. Ja przedstawiam obie wersje, ty wybierasz, która jest prawdziwa. Tyle.

- No tak. To mi nie wyszło- chichocze panna Duvall. - Możemy aneksować?

- Nie.

- Szkoda. - Robi minkę obrażonej pięciolatki. Wygląda tak słodko, że Adamowi podnoszą się włosy na rękach. I nie tylko one. - Pojedziemy do mnie? - Nagle Melania zmienia wyraz twarzy. Znowu sprawia wrażenie zimnej, wyrachowanej suki. Jej spojrzenie jest prawie identyczne jak w chwili, gdy Harding po raz pierwszy próbował zaprosić ją na kawę.

- Po co?

- Wchodzę w to. Gram w drużynie Rona, podbijam stawkę o kolejną setkę.

- OK. Niech będzie, ale gramy na moich zasadach.

- Dlaczego?

- Was jest dwójka, ja sam.

- Ron jest słaby - próbuje negocjować Melania.

- Mogłaś nie podbijać.

- OK. Mogłam.

- Wycofujesz się?

- Nie.

Panna Duvall podnosi się z sofy. Na stojąco dopija resztkę z kieliszka i zabiera prawie pełną butelkę. Adam z rozbawieniem unosi brwi, patrząc, jak Melania wychodzi z restauracji, niosąc otwarte wino. Zostawia na stoliku kilka banknotów i podąża za swoją ekscentryczną towarzyszką.

Adam prowadzi pewnie i szybko, choć z tego, co mówił, opuścił Nowy Jork zaraz po ukończeniu studiów, a na Manhattanie mieszka dopiero od dwóch miesięcy. O tej godzinie ruch na chwilę słabnie. Jest dwudziesta druga, większość nowojorczyków dawno wróciła do domu, a ci, którzy właśnie rozpoczęli rozrywkowy weekend, przeważnie siedzą już w lokalach. Jedziemy wielkim czarnym rangę roverem. Jak zawsze mówi Jess, moja najlepsza przyjaciółka z lat szczenięcych, młodzieńczych i całkiem dorosłych, takie auto to przedłużenie fiuta albo - w łagodniejszej wersji - wózek dla farmera. Adama można bez wątpienia uznać za farmera,

przecież handluje ziemniakami i paszą dla zwierząt. Gdy to sobie uświadamiam, parskam śmiechem.

Właściciel szalonego rydwanu na chwilę odwraca głowę i przygląda mi się z uwagą. Nie wie, co tak mnie rozbawiło, i chyba nie zamierza pytać, bo zanim poważnieję, znów patrzy wyłącznie przed siebie.

Gdy docieramy do mojego mieszkania, czuję się troszkę wstawiona. Po drodze wypita prawie całą butelkę, wino jest mocne i szumi w głowie.

- Dobry wieczór, panno Duvall! - portier wita się ze mną, a później na sekundę schyla głowę przed Adamem, który odpowiada tym samym.

- Dobry wieczór, Robercie - mówię wesóło, wrzucając pustą flaszkę do metalowego kubła obok kontuaru.

Lubię tego sympatycznego sześćdziesięciolatka. Wiele widział, bo mieszkam tu już kilka lat i nieraz wracałam do domu w towarzystwie, ale jeszcze nigdy nie pozwolił sobie na nic, co wskazywałoby na to, że mnie ocenia czy potępia. Doceniam to i często zostawiam na ladzie pięciodolarówkę.

Pierwsza wchodzi do apartamentu. Światła w holu zapalają się samoczynnie.

- Rozgość się. - Wprowadzam Adama do pokoju dziennego.

Widzę, że rozgląda się z zainteresowaniem. Chyba coś go dziwi, bo znów unosi brwi. No tak, jeśli spodziewał się wewnątrz podobnych do mojego biura, na pewno się rozczarował. Mieszkanie jest zupełnie inne: ciepłe i bardzo kobiece. Salon wypełniają meble z drewna w naturalnych kolorach, sofa i fotele tapicerowane miłym w dotyku welurem, poduszczyki i bibeloty. Wszystkie okna przysłonięte są firankami, najczęściej muślinowymi. Lubię pluszowe, ciężkie kotary w kolorze butelkowej zieleni lub miodu, ozdobione złotymi sznurkami albo frędzlami z aksamitnej nici. Takie właśnie wiszą w salonie, w całości utrzymanym w tej tonacji kolorystycznej.

Zrzucam płaszcz na ziemię i cicho podchodzę do Adama, stąpając po grubym kremowym dywanie.

- Usiądziesz i napijesz się czegoś czy od razu idziemy się pieprzyć? - pytam, stając za nim. Obejmuję go, dłoń dotyka rozporka spodni, czuję, że męskość mojego gościa natychmiast zaczyna się podnosić.

- Kusząca propozycja. - Przyciska moje palce i przesuwając nimi wzdłuż penisa, ukrytego pod warstwą ubrań. - Tutaj? - Wskazuje na miękką kanapę z poduszkami.

Parę razy robiłam to na niej, ale nie bardzo mi odpowiada: jest niezbyt

szeroka, na dodatek leży na niej laptop i kilka gazet.

- Nie. Idziemy do sypialni. - Nadaję ton przebiegowi spotkania. - Zapraszam.

- Mieliśmy przed grą ustalić zasady - przypomina Harding. Jego głos brzmi tak męsko, że od razu robię się mokra.

- To rozgrzewka.

- OK. Raz mogę na to pozwolić. - Adam parska śmiechem i daje się zaprowadzić do pokoju.

Tak jak przed chwilą, przelatuje wzrokiem po wszystkim. Na środku pomieszczenia panoszy się wielkie łóżce, przykryte narzutą pikowaną w romby. Wokół dywaniki, ściany oklejone satynową tapetą w tłoczone wzory, szafa - wszystko idealnie białe, niewinne. Chyba mu się tu podoba, bo lekko się uśmiecha.

Popycham Adama, on posłusznie kładzie się na łóżku.

- Nie ruszaj się. - Zaczynam prowadzić grę. - I nie dotykaj mnie, póki ci nie pozwolę.

- A zamierzasz?

- Nie – odpowiadam ze śmiechem.

Unoszę sukienkę i siadam okrakiem na jego udach. Przez chwilę znów karmię zmysły wyłącznie wyglądem mojego przystojniaka. Jest naprawdę zniewalający. Jedwabiste włosy rozsypały się wokół głowy, spoczywającej na poduszce. Dwudniowy zarost lekko odcina się od skóry. W ciepłym świetle sączącym się z lampek nocnych dotychczas chłodne, błękitne oczy przybrały zielonkawy odcień.

Luzuję węzeł krawatu i go zdejmuję. Ciekawskie paluszki rozpinają kilka guzików i rozchylają kołnierzyk. Czarna koszula kontrastuje z jasnym ciałem tak wyraźnie, że zapiera mi dech w piersiach. Już dawno nie miałam przed sobą, a raczej pod sobą, nikogo tak seksownego i pociągającego.

Nabieram powietrza, głęboko, aż do koniuszków płuc, i zaczynam zabawę. Powoli rozpinam pasek spodni, guziki: dwa duże i cztery małe. Adam zdecydowanie wygląda mi na konserwatystę. „Kto dzisiaj nosi spodnie z rozporciem na guziki?” - myślę z rozbawieniem.

Gdy już wszystko jest zdemontowane, delikatnie uderzam go z obu stron w pośladki. Od razu domyśla się, czego oczekuję, bo unosi jędrny tyłek, a ja mogę bez problemów lekko zsunąć spodnie i czarne bokserki.

Widok jest imponujący. Znów przypomina mi się Jessica i jej tekst, że taką pałę widziała ostatnio na wycieczce do Aten, gdy zwiedzała Partenon.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale staram się opanować i zagryzam wargi.

- Zamknij oczy - rzucam przez zaciśnięte z wrażenia gardło.

Nawet nie sprawdzam, czy Adam posłuchał. Dotykam powoli tego cudu. Jest tak samo powalający jak jego właściciel. „Penis wzorcowy z Sevres pod Paryżem, duży, gruby i twardy?” - wymyślam naprędce. Moja dłoń błądzi delikatnie po jedwabistej skórze. Przejeżdżam palcem po każdej z żyłek fantazyjnie oplatających fallusa i docieram do napletka. Opuszką palca krążę po niewielkim otworku, z którego wycieka krystalicznie czysta kropelka. Rozcieram ją tak subtelnie, że prawie nie czuję kontaktu z ciałem Adama. Wzdycham, naprawdę jestem pod wrażeniem.

Zerkam na twarz partnera - wydaje się bardzo zrelaksowany, leży z zamkniętymi oczami i spokojnie oddycha. Uśmiecham się, mając nadzieję, że za chwilę podniosę mu ciśnienie. Zastanawiam się przez moment, czy pozycja na jeźdźca to najlepszy pomysł w takiej sytuacji. Jestem drobna, cipkę mam wąską, a w układzie „ja na górze, on na dole” moje mięśnie pracują znacznie intensywniej i są bardzo napięte. Postanawiam zaryzykować. Otwieram szufladkę, wyciągam prezerwatywę. Błyskawicznie rozrywam opakowanie i wprawnym ruchem nakładam gumkę.

Jestem bardzo rozpalona, mokra, rozgrzana samym widokiem. Unoszę biodra, odsuwam tylko cieniutki pasek stringów i powoli opadam na wielkiego fallusa.

Opieram dłonie o pierś Adama i zaczynam rytmicznie poruszać biodrami, choć gdy się zniżam, członek uderza mnie tak głęboko, że aż czuję ból. Mimo to nie przerywam. Przyspieszam, gdy zauważam krople potu na czole kochanka, ściskam mięśnie Kegla (wyćwiczone do perfekcji codziennym treningiem) i gdy już prawie opadam z sił, Adam otwiera oczy, patrzy na mnie, a później dochodzi. Czuję, jak penis drga we mnie, ja też na przemian rozluźniam się i zaciskam. Opadam na męską pierś, unoszoną głębokim oddechem. Słyszę, jak mocno bije serce Hardinga. Jestem szczęśliwa i pełna euforii jak po wygranej sprawie z federalnym...

- Byłaś naprawdę dobra. - Adam głaszcze mnie po głowie.

Jestem spocona, czuję, że cała się lepnię. Lakier, którym spryskałam włosy, posklejał je pod wpływem wilgoci z naszych ciał. Odrywam twarz od torsu mojego pięknego kochanka. Siadam obok, fachowo zdejmuję kondom i zawijam go w chusteczkę wyciągniętą z szufladki.

- Mogę prosić? - Adam wyciąga rękę.

Podaję mu foliową paczuszkę, wyciera się dokładnie, naciąga bokserki, wstaje, zapina spodnie i koszulę, sięga po krawat i go zakłada, mocno zaciągając węzeł.

- Naprawdę jesteś świetna. - Kiwa głową. W błękitnych oczach widzę podziw.

- Cieszę się - kwituję. - Napijesz się czegoś?

- Teraz chętnie - odpowiada i parska śmiechem. – Czegoś zimnego.

Wracamy do salonu. Podaję wodę mineralną z lodem. Chyba zaczynam mieć kaca, więc na chwilę przepraszam mojego gościa, wychodzę do kuchni, wyciągam pudełko z lekami i zażywam dwie pigułki tylenolu.

- Przekazuję ci pałeczkę - rzucam, zasiadając na fotelu naprzeciwko Hardinga. Zakładam nogę na nogę. Ciągle jestem w szpilkach. Lubię je, są wygodne, choć mają prawie czterocalowe obcasy.

- Mogę prosić o kawałek papieru?

- Znajdziesz pod blatem. - Wskazuję brodą ławę.

Adam sięga i wyjmuję czystą kartkę. Składa ją na pół i rozrywa. Wyciąga pióro z kieszeni marynarki, którą rzucił na oparcie fotela zaraz po naszym przybyciu. Pisze kilka słów, widzę, że chyba wszystko ma przemyślane, bo nie zastanawia się nawet przez moment. Chowa pióro i przesiada się na sofę.

- Zapraszam. - Klepie miejsce obok siebie, zupełnie jakby przywoływał szczeniaczka.

Bawi mnie to, więc posłusznie siadam tuż obok. Na blacie ławy leży karteczka.

1. *Bezpieczeństwo*

2. *Dyscyplina*

3. *Rozkosz*

4. *Zaufanie*

5. *Szacunek*

6. *Oddanie*

7. *Posłuszeństwo*

Siedem punktów spisanych atramentem w kolorze oczu mojego nowego, intrygującego kochanka. Adam nawet charakter pisma ma piękny. Lekko pochylone litery są idealnie równe i kształtne. Wyglądają jak wzór ze starego podręcznika do kaligrafii.

- Przeczytałaś? - pyta po chwili.

- Tak.

- Zasady... - przeciąga - ...trzy pierwsze to moje obowiązki wobec ciebie, czwarta, piąta i szósta wspólne, ostatnia to twoja powinność względem mnie. Rozumiesz?

- Nie - zaczynam chichotać.

Chyba zbyt mocno zadziałał na mnie koktajl „Wieczór z Hardingiem”. Ktoś sobie życzy przepis? Pani w różowej sukni, siedząca w trzecim rzędzie? Proszę bardzo: prawie cała butelka sassicaï plus seks i wiadro adrenaliny. Zamieszać, podawać w temperaturze pokojowej...

- Nie? - Adam lekko unosi brwi.

- Mam uwagi co do dwójki i siódemki - werbalizuję swoje obawy.

Słowo „dyscyplina” dziwnie mi się kojarzy i nie potrafię dojść, co może oznaczać w tym kontekście. Punkt siódmy też nie wzbudza zachwytu, jest chyba jeszcze gorszy.

- Wytlumaczę ci, ale tylko raz. I proszę, nie przerywaj. Popatrz na mnie.

- Adam obraca się w moją stronę. - Od momentu, gdy zgodzisz się na związek ze mną, zapewnię ci bezwzględne poczucie bezpieczeństwa. Dołożę wszelkich starań, żebyś zawsze czuła się bezpieczna, nie tylko w chwilach, gdy będę obok, ale również kiedy będziesz sama: w pracy, na wakacjach, u kosmetyczki i na zakupach. Będę się o ciebie troszczył i otaczał cię opieką w każdym możliwym aspekcie twojego życia. Rozumiesz?

- Tak. - Zagryzam wargi. Powiedział to wszystko tak stanowczym głosem, że aż dostaję gęsiej skórki. Czuję, jak moje brodawki twardnieją, cieniutkie włoski na karku i rękach podnoszą się i łaskoczą. Pocieram dłońmi przedramiona. - Trochę mi zimno - uzasadniam swoje zachowanie.

Idiotyczne wytłumaczenie, w pokoju są co najmniej dwadzieścia trzy stopnie. Mimo to Adam sięga po marynarkę i narzuca ją na moje plecy. W nos uderza mieszanka zapachów: lekka nuta kosmetyków (mydła?), mocniejsza jakiejś wody toaletowej i główna, czyli woń ciała mojego kochanka. Kołnierz marynarki ociera się o szyję przy każdym ruchu. Oblewa mnie fala gorąca, płynie od piersi aż do samej cipki. Jeśli Adam liczył na to, że zrobi mi się cieplej, może czuć się zadowolony.

- Lepiej? - upewnia się.

Za wszelką cenę próbuję powstrzymać drżenie. Wsuwam dłonie w rękawy, a później mocno się obejmuję.

- Tak. Dziękuję - odpowiadam po chwili.

- Świetnie. Punkt drugi: dyscyplina. Od chwili, gdy zawrzemy umowę, konsekwentnie będę wymagał od ciebie przestrzegania zasad. W przeciwnym

wypadku cię ukarzę. Masz prawo do jednokrotnego złamania każdej z nich. Kolejne takie sytuacje będą rozliczane, a ty zostaniesz przykładowo ukarana. Rozumiesz?

- Nie do końca.

- Co jest niejasne?

- Chwileczkę. - Podnoszę się. - Może napijemy się wina? - Wpadam na pomysł genialny w swojej prostocie.

- Usiądź. - Pociąga mnie za rękaw. Robi to delikatnie, ale stanowczo. - Prosiłem, żebyś mi nie przerywała. Ustalimy wszystko i wtedy będziesz mogła się napić.

- Przepraszam. - Siadam z powrotem. - Jaka to będzie kara? Finansowa? Dostanę mandat? Kuratora do domu? A może prace społeczne na twojej farmie? Postaram się zdobyć prawko na kombajn do zbioru ziemniaków, jakoś odpracuję. - Próbuję dowcipkami zatrzeć strach. Ta rozmowa coraz bardziej mnie przeraża, a dotarliśmy dopiero do drugiego punktu.

- Cielesna.

Zabrzmiało to tak poważnie, że mam ochotę parsknąć śmiechem. Adam chyba nie żartuje, ze spokojem przygląda się mojej minie.

- Daj mi rękę.

Nieśmiało wysuwam dłoń z rękawa. Od razu ściska mój nadgarstek. Mam wrażenie, że jego palce parzą mnie w skórę.

- Ty... na serio? - wykrztuszam z siebie po chwili.

- Prosiłem, żebyś nie przerywała - mówi tak lodowatym tonem, że przez moje ciało przelatuje kolejny dreszcz. - Punkt trzeci: rozkosz. Zawsze będę ci ją dawał. Pokażę ci, co to znaczy odczuwać prawdziwą przyjemność. Czy coś jest niezrozumiałe?

- Nie. - Przetykam ślinę.

„Ja pierdołę, on mówi poważnie!” - piszczy cieniutki głosik w mojej głowie, prawie niesłyszalny, zagłuszony skutecznie przez męski tembr dźwięczący w salonie.

- Zaufanie, szacunek i oddanie. Wierzmy sobie, nie kłamiemy, nie oszukujemy się, nie ukrywamy prawdy, jesteśmy szczerzy i sobie oddani. Nie obrażamy się wzajemnie. Punkt siódmy, ostatni i dotyczący wyłącznie ciebie: posłuszeństwo. Wymagam bezwzględnego posłuszeństwa, zasada jest prosta: ja rządzę, ty słuchasz. Teraz kolej na ciebie. Czy masz jakieś pytania? - Adam kończy wypowiedź, sięga lewą ręką po szklankę z wodą i wypija całą zawartość duszkiem.

- Dobrze sobie... - Gdy tylko odkłada puste naczynie na stół, parskam śmiechem. Wrywam dłoń i wstaję z sofy. - To jest chore! Nigdy nie pójdę na taki układ. Zapomnij. - Zdejmuję marynarkę i rzuca na oparcie fotela.

Krażę po pokoju, obcasy wbijają się w dywan jak w grząskie błoto. Irytuje mnie to, więc zrzucam szpilki i kopię je pod ścianę, żeby mi nie przeszkadzały.

- Markiz de Sade?! - Patrzę na Adama i śmieję się prosto w jego twarz. - Pieprzony markiz de Sade ci się marzy? Jesteś chory, Harding! Masz coś z głową! - Zatrzymuję się i z bezsilności zaciskam pięści. - Kurwa! Kurwa!! Kurwa!!! - każde następne przekleństwo wykrzykuję głośniejsze. - A wydawałeś się całkiem normalny! Jesteś jakimś psycholem?

„Czy nie powinnaś ważyć słów, idiotko? A jak zrobi ci krzywdę?” - myśl jak błyskawica przelatuje przez głowę, ale od razu sobie przypominam, że latami opiekował się siostrą. Chyba ktoś to nadzorował, więc gdyby Harding wywinął jakiś numer...

- Melanio - głos Adama przerywa tę nieco spóźnioną refleksję. Ciągłe brzmi tak samo jak na początku rozmowy. Pełne opanowanie. Zero emocji, jak u jakiejś cholerycznej maszyny. - Nie jestem sadystą. Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy. Złamałbym wtedy pierwszą zasadę.

- Tak?! - Błyskawicznie znajduję się przy kanapie i siadam tuż obok niego. - A jaką mam gwarancję? - Przymrużam oczy i lekko przechylam głowę.

- Obie strony obowiązuje pełne zaufanie i oddanie. Czy to naprawdę takie trudne? Nie potrafisz tego zrozumieć?

- Nie - odpowiadam spontanicznie.

Nie mieści mi się to wszystko w głowie. Co on sobie wyobraża? Mam się zgodzić na układ, w którym nie będę mieć nic do powiedzenia, a jak coś wywinę, kochanek spierze mnie jak dzieciaka? Co ja mówię - przecież dziecka też nie wolno uderzyć...

- Chcesz próby?

- Co to znaczy? - Jestem nastroszona jak kogut przed walką.

- Zanim przystaniesz na moje warunki, porozmawiamy o czymś. Spytam cię o różne rzeczy, a ty odpowiesz szczerze.

Każę ci coś zrobić, a ty mnie posłuchasz. To będzie ćwiczenie. Jeśli stwierdzisz, że to ci nie odpowiada, wyjdę stąd i już nigdy nie stanę ci na drodze. Zgadzasz się?

- Oddasz grę walkowerem?

- Tak.

- OK - po chwili namysłu przystaję na propozycję jednostronnej zabawy w „Pytanie albo zadanie”.

Jestem przerażona, ale chyba jeszcze bardziej ciekawa, jak to się potoczy. Zupełnie jak ćma lecąca do ognia. I jeszcze coś: cholernie chcę wygrać ten zakład. Zawsze miałam skłonności do hazardu, a gra, którą proponuje Adam, pociąga mnie jak żadna przedtem.

- Chodź ze mną. - Mój gość wstaje i znów idziemy do sypialni.

Zatrzymujemy się tuż przed łóżkiem. „Hm... czyżby znów bzykanko? Tym razem w wersji sdomaso? - rozważam w głowie możliwe warianty. - Pan markiz zwiąże mnie krawatem?” - kolejna idiotyczna wizualizacja. Nie wiem, co się ze mną dzieje, nastrój zmienia się jak w kalejdoskopie. Na przemian boję się, śmieję, wściekam, znów boję i tak w kółko. Jestem stabilna emocjonalnie jak nastolatka z PMS- em, od dwóch godzin sikam czystym kortyzolem, a w moich żyłach płynie wyłącznie adrenalina.

- Rzadko tu sypiasz, prawda?

Bęc! Jestem absolutnie i niezaprzeczalnie zaskoczona. Jeszcze żaden mężczyzna, który tu gościł, o to nie spytał. Chyba dlatego od razu bezwiednie kiwam głową. Adam otwiera szufladę szafki nocnej, przez chwilę ogląda zawartość i z powrotem zasuwa. Nie mam pojęcia, co sobie myśli po tej krótkiej inspekcji. Spoglądam prosto w jego oczy, próbując przebić się przez skorupę obojętności, ale nie dostrzegam niczego.

- Pokaż mi miejsce, gdzie śpisz - rzuca zwięźle.

Nabieram powietrza. Takiego polecenia też się nie spodziewałam. Nikogo nie wpuszczam do tego zakątka, nawet sprzątaniami zajmuję się sama. Szybko rozważam za i przeciw, ale w końcu się poddaję.

- OK. Chodź.

Prowadzę Adama na drugi koniec apartamentu, po drodze zatrzymuję się przy wielkiej komodzie w holu. Otwieram szufladę i zabieram klucz. Wchodzimy razem do małego pokoju. To niewielkie pomieszczenie, przerobione z garderoby. Utrzymane w różowej tonacji, wygląda jak pokój dziewczynki - i takie miało być. Przygotowałam tę sypialnię dla Wiktorii, mojej bratanicy, która czasami tu nocuje. Bardzo rzadko jednak, zaledwie raz w roku.

- Dlaczego tu śpisz? - Adam rozgląda się po pokoju.

- Nie wiem. - Wzruszam ramionami. - Lubię ten pokoik. Jest miły.

- Mieścisz się na tym? - Wskazuje na łóżko w stylu *shabby chic*.

Zarzucone jasną, różową pościelą w pistacjowe groszki i z metalową

ramą polakierowaną na biało, prezentuje się bardzo słodko i niewinnie.

- Bez problemów - śmieję się. - Lubię spać zwinięta w kłębek. - Staram się być jak najbardziej szczerą.

- W sumie... - Adam ocenia mnie wzrokiem. - Po co ci laptop? - Zerka na komputer wystający spod krawędzi łóżka. Musiał go zauważyć, gdy wchodziliśmy do środka.

- Czasami korzystam z niego przed snem - wyjaśniam zgodnie z prawdą, chociaż wiem dobrze, że ta ogólnikowa odpowiedź nie spełnia kryteriów tak zwanego pełnego zaufania.

- Co najczęściej przeglądasz? Jakie strony?

- Różne. - Opieram się o ścianę, spuszcza wzrok na podłogę, jedynie tak mogę na chwilę się wyalienować. - Tylko wieczorem mam czas. Czytam nowe przepisy, aktualizacje prawne, orzeczenia. Czasami zajrzę na jakieś plotkarskie portale albo zrobię zakupy na Amazonie. - Wlepia oczy w jasny, niemal kremowy dywan, tu i ówdzie upstrzony blad różowymi groszkami.

- Porno?

- Też. - Zerkam na Adama. Stoi i patrzy prosto w moje oczy, jego spojrzenie ma barwę nieba, jest zimne i czyste. - Jestem dużą dziewczynką, mogę oglądać takie filmy! Nie widziałeś nigdy porno? - podnoszę głos.

- Widziałem. Masturbujesz się, gdy to oglądasz?

- Przestań. - Znow opuszczam głowę.

Mam dosyć. Nawet nie wiem, kiedy nasza rozmowa (a raczej przesłuchanie) zabrnęła o jeden most za daleko. Jeszcze nikt nie spytał mnie o to, czy się sama zadowolam.

- Codziennie to robisz? - przepytuje jak lekarz pierwszego kontaktu.

Mam wielką ochotę odburknąć, że codziennie rano chodzę do toalety, ale w końcu nie odpowiadam.

- Używasz zabawek? Czy ręką? Pokaż mi te filmy - mówi do mnie łagodnie, jak do dziecka.

- Wal się - wyrzucam z siebie. - To nie twój zasrany interes. Wyjdź stąd!

Słyszę, jak otwiera szufladkę, a potem szybko ją zasuwa. Nic tam nie ma, wszystko trzymam w innym miejscu. Pokój jest mały, oprócz łóżka, jednodrzwiowej szafy, biurka i krzesła nic więcej się tu nie mieści. Adam podnosi koldrę, rzucają na poręcz łóżka. Potem słychać szelest poszewki i już wiem, że znalazł moje gadżety. Zaczynam powoli umierać ze wstydu i

upokorzenia.

- Przeżyłaś kiedykolwiek orgazm, kochając się z facetem?
- Wyjdź stąd... - Zagryzam wargi. Coś zaczyna mnie dławić w gardle.
- Nie.
- Wyjdź. Proszę. - To ostatnie słowo dodaję po chwili i znacznie ciszej niż

wszystko, co powiedziałam wcześniej.

Osuwam się na ziemię. Siedzę z podkulonymi nogami, głowę opieram o kolana. Nie zamierzam wymówić już ani słowa.

- Dlaczego jesteś taka grzeczna? - Adam siada na dywaniku tuż przede mną. Widzę go przez wąską szczelinę między udami. - Często używasz słów „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”.

- Tak zostałam wychowana - odpowiadam bezwiednie, zapominając o tym, że postanowiłam milczeć.

- Miałaś surowych rodziców?

Natychmiast unoszę głowę.

- Moi rodzice nigdy mnie nie uderzyli.

Adam chyba mi wierzy. Wyciąga rękę i zaczyna głaskać moje stopy. Jak zaklęta patrzę na jego dłoń: odwrócił ją i wierzchem palców gładzi cienki połyskujący nylon pończoch. To bardzo intymna pieśczoła, subtelna, ale jednocześnie poruszająca do głębi.

- Odpowiedz na wcześniejsze pytania - przerywa ciszę.

- Zapomniałam - rzucam, zapatrzona w blad różowe wnętrze jego dłoni.

Nagle biorę głęboki wdech. Masaż mnie zahipnotyzował, chyba przestałam oddychać. Zawsze byłam podatna na ASMR*, teraz znów dałam się uwieść łagodnej przyjemności.

* ASMR (inaczej: orgazm głowy) - przyjemne mrowienie, które zaczyna się w okolicach głowy i biegnie wzdłuż kręgosłupa. To uczucie mogą wywołać: delikatny dotyk, słuchanie cichej i powolnej wypowiedzi lub powta-rzających się dźwięków, a także oglądanie filmików, w których jakaś osoba robi coś (czesze się, wyszywa, recytuje) bez pośpiechu i dokładnie.

- Czy masturbujesz się codziennie?

- Nie.

- Ile razy w tygodniu?

- Różnie. Pięć do dziesięciu?

- Czy przeżyłaś orgazm...

- Nie - przerywam Adamowi. Tak jest mi łatwiej odpowiedzieć, nie chcę znów usłyszeć zakończenia pytania.

- Chcę zobaczyć filmy, które ostatnio oglądałaś. – Przystaje mnie masować, sięga do tyłu i podaje laptopa.

Podnoszę klapę, wchodzę w historię i zapobiegawczo ściszam głośniki do zera.

- Proszę. - Odwracam komputer w stronę Adama, po czym znów opuszczam głowę na kolana.

Klik, klik, klik - palec Hardinga naciska na touchpad. Oglądanie filmików trwa jakieś dziesięć minut, może krócej. Nie wiem, bo straciłam poczucie czasu, wsłuchując się w oddech Adama, czasami lekko przyspieszający. Jestem ciekawa, który z filmów jest tego powodem, próbuję zgadywać, ale bez głosu i obrazu nigdy się nie domyśle. Podnieca mnie ta sytuacja, znów robię się mokra. Nie wiem, który to już raz dzisiejszego wieczoru. W końcu mój gość zamyka laptopa i wsuwa go z powrotem pod łóżko.

- Wstań. - Staje przede mną z wyciągniętą ręką.

Posłusznie się podnoszę i razem wychodzimy z sypialni. Znów siedzimy w salonie. Pluszowa sofa delikatnie ugina się pod ciężarem naszych ciał. Przytulam do siebie poduszkę obszytą miodowym welurem, to moja miękka wersja antysamczej tarczy.

- Jaka decyzja? - Adam rozparł się wygodnie i spogląda na mnie bez cienia jakiegokolwiek napięcia. Sprawia wrażenie człowieka, któremu na niczym nie zależy, ale gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadam, dostrzegam drgający mięsień na dole policzka. Ten drobny niekontrolowany odruch dodaje mi otuchy. „Mam cię, twardzielu!” - uśmiecham się w duchu.

- Czy mogę cokolwiek przenegocjować? - Próbuję coś ugrać, choć nie nastawiam się na sukces.

- Nie, zasady są sztywne, ale gdy będziesz czegoś chciała, zawsze możesz poprosić. Jeśli uznam, że dana prośba ma sens, przychylę się.

Pieprzony łaskawca. Wkurza mnie ten koleś, ale i pociąga jak żaden inny. Czas się schylić i podnieść rękawicę.

- OK - odpowiadam, hardo patrząc w niebieskie oczy.

- OK? Czyli zgadzasz się na nasz układ? - Adam lekko się uśmiecha.

- No tak. Przecież powiedziałam; OK. - Melania wzrusza ramionami.

- Często odpowiadasz: OK, OK, OK... Nie podoba mi się to. Nie pasuje do ciebie ten zwrot. Proszę, żebyś przestała tak mówić w mojej obecności. Dobrze?

- O... oczywiście. - Panna Duvall zagryza wargę z miną łobuziaka, któremu

właśnie udało się splatać figla.

- Cieszę się. - Harding też jest zadowolony. - Tak samo nie życzę sobie, żebyś używała wulgaryzmów. Dotyczy to nie tylko naszych spotkań, ale i czasu poza nimi.

- Jak rozumiem, nasz układ już funkcjonuje?

Melania wyraźnie się rozluźnia. Wyciąga kilka wsuwek spinających kok i lekko trzepie głową. Włosy rozsypują się na gołe ramiona.

- Tak. - Adam uśmiecha się, widząc tę delikatną prowokację.

- Mogę zadać ci kilka pytań? - Mel bawi się kosmykiem włosów, nawija go na palec, a później zakłada za ucho.

- Tak, ale nie obiecuję, że na każde odpowiem - Adam stanowczym głosem przedstawia swoje stanowisko.

- Z iloma kobietami byłeś w związku? - Ty jesteś trzecia.

- Jak długo trwały te związki?

- Pierwszy prawie cztery lata, następny kilka miesięcy. Cztery?

- Chyba nie mówisz całej prawdy. Nie wierzę, że taki samiec jak ty... - Melania zawiesza głos, omiatając wzrokiem podbrzusze kochanka.

- Pytałaś o związki. - Adam nie pozwala jej dokończyć.

- No tak. Czy moje poprzedniczki obowiązywał ten sam zestaw zasad, który przygotowałeś dla mnie?

- Nie odpowiem na to pytanie.

- Rozumiem. - Kobieta uśmiecha się znacząco. - Czy któraś z tej dwójki była starsza od ciebie?

- Nie.

- Nie przeszkadza ci to, że jesteś ode mnie młodszy?

- Nie.

- Hm... To troszkę dziwne. Jesteś świetnym facetem i tak marny wynik? Mam sto procent szans na miejsce medalowe. - Panna Duvall opiera plecy o miękki podłokietnik kanapy i prostuje nogi. - Mogę prosić o masaż? - Kładzie stopy na udzie mężczyzny.

- Możesz - rzuca Adam od niechcienia.

- Proszę więc o masaż. Zawsze będziesz taki grzeczny w stosunku do mnie?

- Dlaczego pytasz? - Wprawne palce Hardinga delikatnie przesuwają się po skórze przykrytej jedynie cienką jak mgielka warstwą nylonu.

- Boję się, że czar pryśnie i usłyszę coś przykrego albo każesz mi zrobić coś wbrew mojej woli, a ja nawet nie będę mogła się przeciwstawić, bo

muszę być posłuszna. - Melania próbuje wyczuć nowego kochanka.

- Sądzisz, że jestem do tego zdolny?

- Nie wiem, nie znam cię. - Mel zsuwa się niżej i opiera przechyloną głowę o miękki welur. - Mogę włączyć muzykę?

- Tak.

Panna Duvall sięga po pilota i puszcza płytę, którą niedawno kupiła, Muzyka z filmu *Niewierna* cicho rozplywa się po salonie.

- Może być?

- Nie musisz pytać o każdą rzecz. Nie jestem ortodoksem, nie każę ci odejść z pracy, nie zamierzam żądać od ciebie, abyś zerwała kontakt ze znajomymi i zmieniła miejsce zamieszkania. Nie planuję również narzucać sposobu ubierania się czy stylu życia, chyba że uznam, iż coś jest dla ciebie niebezpieczne.

- Czyli oprócz wulgaryzmów i „OK” wszystko ci odpowiada?

- Nie do końca.

- Co jeszcze mam wyrzucić z programu dnia?

- Masturbację.

- Mogę ci zaufać? - pyta Melania po dłuższym namyśle.

- Tak. Nigdy nie skrzywdziłem żadnej dziewczyny. - Adam spogląda na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

Kobieta odwraca wzrok. Teraz widzi tylko wiszący nad nimi piękny, ośmioramienny, kryształowy żyrandol. W lipcu ubiegłego roku kupiła go w londyńskim sklepie z antykami i przywiozła ze sobą. Pamięta, jak pakowała to чудо. Każdy kryształek osobno. Zawinięte w gazetę i pieczołowicie ułożone w dwóch pudełkach z falistej tektury, przetrwały bez szwanku lot przez ocean. Melania nagle uświadamia sobie, że jest jak te kryształowe sopelki, mieniające się tęczowo: twarda, ale jednocześnie krucha. Znów skupia spojrzenie na Adamie.

- Może będę pierwsza, wystarczy, że wygrasz...

Zajebicie wyglądasz! - Jessica tarmosi mnie bez opamiętania. Już ze trzy razy uderzyłam czołem o jej wystający obojczyk. - Kto cię podlewa i czym nawozi, że tak kwitniesz?

- Mam nowego faceta. A co do wyglądu, Jess, czy ty jeszcze rośniesz? Wydajesz mi się wyższa.

Odsuwam ją na odległość wyciągniętych ramion. Moja przyjaciółka wygląda chyba ciut szczuplej niż ostatnio, gdy się spotkałyśmy. Kiedy to było? Jakiś miesiąc temu, może półtora?

Jessica jest naprawdę piękna. Wysoka półalbinoska z szarymi oczami i androgyniczną budową ciała, była modelka i ciągle aktualna muza swojego męża - artysty, projektanta mody Erica Swifta (vel Bragi, bo pod tym pseudonimem występuje).

- Schudłam. - Głaszcz się po prawie płaskiej klatce piersiowej. - Żadnych oporów na kadłubie, a jak fryzurka? - Potrząsa głową. Niemal białe włosy przycięte w asymetrycznego pazia lśnią w słońcu jak perła.

- Ślicznie ci. - Uśmiecham się. - Naprawdę małżeństwo ci służy.

- Zdecydowanie. Zwłaszcza że mamy nową zabawkę...- Jess chichocze. - Zapraszam...

- O! Widzę, że nie tylko zabawkę masz nową. Jaka rewolucja... - Rozglądam się z zachwytem, wchodząc do domu mojej przyjaciółki. Wejściowy hol to wielka biel... Marmury i setki mikroskopijnych diod świecących zimnym blaskiem, w nieskończoność odbijających się w kilku wielgaśnych lustrach.

- Poczekaj, jak zobaczysz salon. Jebiesz! Jest odpałowy! - Wlecze mnie za rękę.

Pokój dzienny rzeczywiście zwala z nóg. Psychedeliczne wzorki na kanapie przyprawiają o palpitacje, normalny stolik zastąpiła srebrna rzeźba przedstawiająca półleżącą nagą kobietę, i to w skali jeden do jednego, trzymającą na kolanach i głowie owalny blat wykonany z czerwonego szkła (że litościwie pominę to, co stanowi podświetlenie bajecznego stoliczka, czyli dildo wystające z metalicznie połyskującej cipki). Do tego dochodzą trzy gigantyczne okrągłe fotele (pufy, wory?) ze śnieżnobiałej skóry, obłąkańczo różowe ściany i dywan z pomarańczowym włosiem, długim jak u charta afgańskiego.

- Łał... A gdzie twój mąż? - pytam, bo zawsze wita mnie równie serdecznie jak Jess.

- Został w Mediolanie.

- Aha! Rzeczywiście, mówiłaś. Święty Demencjusz moim patronem - wzdygam, klepiąc się w czoło.

- Jesteśmy wolne i niczym nieskrępowane, jak za dawnych, dobrych czasów... - Jessica prowadzi mnie na piętro, do gościnnej sypialni.

Na szczęście tu jest normalnie, czyli spokojne kolory i tradycyjne wyrko z najzwyczajniejszą w świecie, białą pościelą. Ledwie kładę walizkę obok łóżka, komórka zaczyna wibrować. No tak, dwunasta, mój nowy men miał zadzwonić!

- Przepraszam, telefon. - Unoszę znacząco brwi.
- Będziemy na dole. - Jess puszcza mi oczko i wychodzi z pokoju. „Będziemy?”

- Halo...
- Witaj, Mel. Jesteś już na miejscu?

Odruchowo unoszą mi się kąciki ust. Jakież on ma fantastyczny głos, ten mój nowy ogrodnik. Zamykam oczy i od razu go widzę: tajemniczy i mroczny pan Harding w swoich szytych na miarę koszulach z bawełnianej popeliny, ciemnych garniturach i błyszczących czarnych butach.

- Tak. Przed chwilą dotarłam.
- Jak podróż?
- Podróż? W porządku, to przecież niedaleko. Mimo to dziękuję ci za troskę. - Staram się być bardzo uprzejma.
- A jak się miewają twoi przyjaciele?

Znów się uśmiecham. Adam jest chyba trochę zazdrosny o mój czas, zawiedziony, że spędzam weekend poza miastem, i poirytowany, bo nie pozwoliłam, żeby mnie tu przywiózł, choć bardzo nalegał.

- Świetnie.
- Pozdrów Jessicę i Erica w moim imieniu. Jestem zaskoczona, że wszystko zapamiętał.
- Oczywiście. Przekażę Jess... - Już mam wyjaśnić, że mąż mojej przyjaciółki jest nieobecny, ale uznaję, że to nieistotne. - A co u ciebie?
- Nic ciekawego. Mam trochę papierów do przejrzenia i godzin do odespania.
- Adam parska śmiechem, który nie brzmi wesoło.
- Hm... nie wiem, co powiedzieć. - Wyczuwam, że jego weekend nie zapowiada się zbyt ekscytująco.
- Nic nie musisz mówić, baw się dobrze i odpoczywaj. Już nie przeszkadzam, zadzwonię jutro. Miłego wieczoru, Melanio.
- Dziękuję i wzajemnie.
- Do usłyszenia.
- Pa.

Odkładam komórkę na stolik tuż obok łóżka. Przez moment rozglądam się bezradnie, zamierzałam szybko się rozpakować, ale telefon od Adama kompletnie wybił mnie z rytmu. Macham ręką na walizeczkę i po prostu schodzę na dół.

- Opowiadaj! - Jess obraca się przodem.

Siedzimy razem na kanapie (na moją prośbę przykrytej gładką narzutą), sącząc z długich szklanek koktajl o wdzięcznej nazwie „JESSaBELL”. „JESSaBELL” to również nazwa sporego klubu fitness i SPA w New Haven, którego właścicielką jest Jessica, a receptura drinków firmowych (rosyjska wódka, francuski szampan, mus z cytrusów, kropla oliwy i jeszcze coś pływającego na dnie szklanki) została przygotowana przez francuskiego barmana, wynajętego specjalnie do tego celu. Łatwo zauważyć, że moja najlepsza kumpela i jej małżonek mają niezłą śrubę na punkcie Francji. Od kiedy zwiedziłam z nimi Lazurowe Wybrzeże, podzielam tę miłość, choć bardziej umiarkowanie.

- No ale co ci mam opowiadać? - Nie bardzo rozumiem, z czego mogłabym się zwierzyć, skoro z moim nowym facetem spędziłam raptem jeden wieczór (trzeba przyznać: dosyć interesujący). - Lepiej ty opowiedz, jak było w słonecznej Italii.

- Tak jak zwykle: kremy z filtrem, pyszna pizza, bałagan na ulicach, mafia i nic poza tym - chichocze Jess. - Może jednak wróćmy do nieco ciekawszego tematu. Kto jest nową zdobyczą najatrakcyjniejszej singielki na Manhattanie? Od kiedy jesteście razem, czy był seks...

- Jess! - Konspiracyjnie wskazuję brodą naszego towarzysza: wielkiego ciemnoskórego faceta o posturze Hulka Hogana, który zasiadł przed nami w fotelu równie pokaźnych rozmiarów.

- Tytus jest nieszkodliwy, poza tym kiepsko zna angielski. - Jessica wybucha śmiechem.

Dwudziestopięcioletni Francuz (rzekomo architekt) odrywa wzrok od ekranu laptopa, który na jego kolanach wygląda jak dziecięca zabawka, i błyska do nas śnieżnobiałymi zębami.

- Chyba nie powiesz, że nie wie, co oznacza słowo „seks”

- chichoczę jak wariatka. Alkohol zaczął już działać, choć wypłam zaledwie dwa drinki.

- Seks jest dobry - uświadamia nas Tytus łamaną angielszczyzną.

- O tak! - potakuje Jess.

- On naprawdę ma tak na imię? Nie wierzę - kręcę głową, coraz bardziej się chichrając.

- Naprawdę. A wiesz, jak ma na nazwisko? - Moja zbzikowana przyjaciółka prawie płacze ze śmiechu. - W to rzeczywiście ciężko uwierzyć...

- Andronikus?

- Nie, ale też zabawnie: Bardot. - Bardot? Jak ta aktorka?

- Tak, moje nazywam się Tytus Bardot - rzuca dumnie Francuz i podnosi swoją szklankę z „JESSaBELL”. - Tytus Bardot jest dobry seks, jak aktor. Tytus posuwa jak aktor. Porno dobry... - Wystawia długi język i liże się po czubku gigantycznego nosa. - Tytus jest bi, homo, hetero. Tytus jest wszystko seks. Lubić wszystko seks. Pieprzenie lubić.

- Jess, zaraz się posikam. Powiedz mu, żeby się zamknął...

- błagam po minucie kwiczenia ze śmiechu.

- OK. Żartowałem. Znam angielski - rzuca nagle, jakby od niechcienia, nasz gwiazdor porno, tym razem podręcznikowo poprawną angielszczyzną z wyraźnie słyszalnym brytyjskim akcentem. - Pięć lat w Londynie - wyjaśnia.

- Jess! Zamorduję cię! - Rzucam się nią. - Zrobiliście ze mnie niezłą idiotkę...

- Tytus, broń mnie... - Moja przyjaciółka nie znosi łaskotek.

- Przynieść wiaderko kisielu? - proponuje nasz towarzysz rozbawionym głosem.

- Nie! - odpowiadamy chórem.

- OK, Dziewczyny, idę popływać. - Podnosi się z fotela. Uspokajamy się, dopiero gdy olbrzym opuszcza salon.

- Fajny?

- Fajny. - Kiwam głową. - Przynajmniej wizualnie.

- Wyobraź sobie, co ma w spodniach. - Jess wyraźnie się rozmarza. - Kutas jak gaśnica.

- Wiesz, jakoś mi nie wypada. - Wzruszam ramionami, myśląc o tym, co ustaliłam ze swoim nowym facetem. - Sypiasz z nim?

- Uhm...

- Erie też?

- Uhm...

- Super. - Nie mogę się nadziwić, jak bardzo luźne podejście do związków mają moi przyjaciele. - Po co ci ktoś taki? On naprawdę jest architektem?

- Tak. To architekt ciała - wyjaśnia Jessica z miną znawcy.

- Czyli?

- Masażysta i trener.

- Aha! Teraz rozumiem. Pracuje u was? Od kiedy? - Domyślam się, że to nowa maskotka, choć nieco wybujała, państwa Swiftów (którzy raczej

powinni mianować się Swingersami*).

- Od trzech tygodni. Na razie mieszka z nami, ale gdy trochę rozładujemy mu baterie, wyprowadzi się do hoteliku przy SPA. Naprawdę jest świetny. Masuje obłądnie, zobaczysz wieczorem - kusi Jess słodkim głosem.

- Przepraszam, ale chyba nie skorzystam. - Nietrudno przewidzieć, jaki jest finał takiego zabiegu.

- Musisz! Spokojnie. Tytus jest zdrowiuteńki jak ryba, ma wszystkie papiery. Przecież cię nie zgwałci.

- Na pewno? - Nie chce mi się wierzyć w te zapewnienia.

- Na stówę. Ja pierdolę, co się z tobą stało? Cnotka niewydymka? - Jessica wywraca oczami. - Ten nowy facet tak cię ustawił? Jesteśmy same, teraz możesz się nie krępować. Od kiedy z nim jesteś i co to za koleś? - Siada wygodnie w oczekiwaniu na moje zwierzenia.

- Adam Harding, dwadzieścia osiem lat, wykształcony, inteligentny, biznesmen, własna firma, dosyć duża, HAC, może słyszałaś, i udziały w wielu innych... - zacznym referować. - Od dwóch miesięcy mieszkam w Nowego Jorku, wynajmuje apartament na Manhattanie, niedaleko mojej kancelarii.

- Skąd taka przeprowadzka?

- Przeniósł główny oddział z Omahy.

- Przystojny?

- Bardzo. Możesz zobaczyć w necie.

Jessica sięga po laptopa, znajduje dokładnie tę samą notatkę, którą ja znalazłam, i tak samo jak ja jest nieco poruszona statusem majątkowym Adama i jego sytuacją rodzinną.

- O, w dupę! Ciacho nieziemskie, choć jak na ciebie dosyć stary... - mruczy ze zdziwieniem.

- Wiem - chichoczę jak nastolatka. Do tej pory znakomita większość moich chłopaków była młodsza od Tytusa.

- Prawiczek?

- Mówmy o rzeczach realnych, - Wzruszam ramionami.

- No... ale i tak koleś na poziomie. I z tą siostrzyczką... niezła akcja. Odpowiedzialny, to rzadkość. Chyba łatwiej spotkać albinosa niż osiemnastolatka, który opiekuje się czteroletnią siostrą. Gdzie ona teraz jest? Z nim? - Jess wpatruje się w kilka zdjęć Adama.

- Nie. Dwa lata temu wyjechała do Londynu. Mieszka z ciotką, siostrą

jego matki, i tam chodzi do szkoły. Tęskni, więc Adam przynajmniej raz w miesiącu leci do niej na kilka dni.

- Długo jesteście razem? - Jessica zamyka laptopa.

- Znamy się od poniedziałku, a jestem z nim od wczoraj.

- Co? Jaja sobie robisz? Jesteś z nim jeden dzień?

* Swingersi - ludzie, którzy za zgodą stałego partnera uprawiają seks z innymi osobami. Ich zdaniem taki model związku pozwala na uniknięcie zażdrości i kłamstw oraz nie kłóci się z zaufaniem ani szacunkiem.

- Uhm - kiwam głową.

- Kurwa! Nie wierzę!

- No to uwierz. Każda znajomość tak się zaczyna. Jednym dniem. - Próbuję jakoś się wytłumaczyć. - Tak naprawdę bardzo wiele znajomości tyle trwa.

- Nie no, jasne! Też miałam sporo takich związków - chichocze Jess. - Niektóre trwały nawet godzinę, a inne może pięć minut i całe upłynęły w samochodzie albo toalecie! Chodzi mi o to, że zachowujesz się, jakbyś była z tym kolesiem rok. Nie! Inaczej! Jakbyś wygrała los na loterii! Rozumiesz?

- Nie bardzo.

- Och, Meluniu, mój słodki mikrusie, wyglądasz inaczej! - Jessica używa jednego z moich ukochanych zdrobnień, które sama wymyśliła. - Oczy ci błyszczą, jesteś podekscytowana, kiedy o nim mówisz, a jednocześnie jakoś tak złagodniałaś? Nie wiem...

- Naprawdę tak uważasz? - Jestem zaskoczona jej reakcją.

- Uhm.

- Może masz rację. - Spuszczam wzrok na pustą szklanę. Jess jest dobrym psychologiem. Rzeczywiście czuję się rozemocjonowana i spokojna jednocześnie. Bardzo interesujący paradoks.

- Seks był?

- Tak.

- I?

- Pozwolisz, że zachowam detale dla siebie. - Z zażenowania zagryzam wargi.

- Oj! Coś się kroi... Miłość od pierwszego wejrzenia? - Moja przyjaciółka wzdycha tęsknie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy ironizuje, czy faktycznie wierzy w taką sytuację.

- Chyba nie - mamroczę, przypominając sobie, jaki układ (a raczej

zakład) łączy mnie z Adamem.

- Wiesz co, Mel? Jedziemy coś zjeść, a potem zrobimy jakiś program. Co powiesz na Hawajską Dziewicę? Enzymatyczne oczyszczanie skóry, lekka mezoterapia rollerem z witaminową ampułką, nawilżanie i tak dalej... Cztery godzinki. To nowość.- Jessica chyba zauważyła, że zmarkotniałam. Zbyt dobrze mnie zna, żeby to zignorować.

- O... - odruchowo zawieszam głos - Chętnie.

- Ej... laska, ale wszystko z tobą w porządku?

- W najlepszym - uspokajam.

Nie mam zamiaru tłumaczyć, że staram się bardzo pilnować i nie używać „OK”, że o wulgaryzmach nie wspomnę. Muszę ćwiczyć, żeby się nie wysypać przy Adamie, a trening w obecności przyjaciółki posługującej się nieparlamentarnym językiem często i z wrodzoną swobodą ma nieocenioną wartość.

- No to idziemy. - Jess podnosi się na chwiejących nogach. Wypiła dwa razy więcej niż ja i trocheja siekło.

- Idziemy. - Uśmiecham się wesoło.

- Mówiłam, że urywa dupę?! Mówiłam! - Jessica rozplywa się w zachwytach nad swoim nowym pracownikiem. - Lomi lomi* to bajer, a Tytus jest mistrzem!

- Fakt. Było przyjemnie. Zrelaksowałam się - potwierdzam. - Zwłaszcza po Hawajskiej

* Inaczej masaż hawajski - rodzaj masażu o działaniu relaksującym i terapeutycznym.

Dziewicy, która niekoniecznie mnie zachwyciła, szczerze mówiąc. Ta lekka mezo wcale taka lekka nie była.

- Oj, nie narzekaj - chichocze Jess, sącząc kolejnego drinka. - Dziewice ogólnie mają przechlapane, to powszechnie wiadomy fakt. Tak się bałaś Tytusa, a zrobił ci coś?

- Jess, wiesz dobrze, że nie trzeba go było zachęcać... - Wywracam oczami.

Od pierwszych minut masażu „architekt ciała” wykazywał wszelkie oznaki niezdrowego podniecenia, objawiającego się głównie permanentnym wzwodem. Nawet złożył mi kilka propozycji z gatunku: „Zastanów się dobrze, mała, bo takiej wielkiej fujary jeszcze w cipce nie gościłaś...”. Niestety (dla Tytusa) nie dałam się namówić, choć był nieprawdopodobnie zdeterminowany.

- Spodobałaś mu się, zwłaszcza tu... - Moja przyjaciółka chwyta się za swoje mikrocycuszki, widoczne pod cienką koszulką jako dwie różowe kulki.

- Mówił ci? - Nie mogę uwierzyć, jak otwarte relacje łączą Jess, Erica i Tytusa. - Kiedy?

- Uhm... - przeciąga. - Poszłam pod prysznic, a ten biedak, wzdarty przez ciebie, przyplątał się, żeby umyć mi plecy, i tak jakoś wyszło, że spadło mi mydło, on je podniósł... - Uśmiecha się znacząco. - Ja mu pięknie za to podziękowałam, a w międzyczasie zwierzył mi się ze swoich obserwacji.

- Jessica, jesteś okropna. - Kręcę głową.

- Ty jesteś okropna, zламаłaś mu serce, a wiesz, jaki on jest wrażliwy? Jak wszyscy bi...

- Pocieszyłaś go, z pewnością już o mnie zapomniał, a tak w ogóle to gdzie on się podział? - Zerkam półprzytomnym wzrokiem na zegarek. Nie da się ukryć, że jest czwarta nad ranem, a ja i Jessica od południa wypiliśmy po siedem drinków i jesteśmy potężnie ululane.

- Czeka na mnie w łóżku...

- Nie wierzę, że po takim maratonie - mówię, wskazując szklankę - coś ci się jeszcze chce.

- Och, nawet mocniej niż przed, jestem zdecydowanie bardziej rozluźniona i moja druga dziurka też, a zaręczam ci, że przy takim sprzęcie, jaki ma Tytus, luz w dupie to podstawa.

- Nie chcę tego słuchać... - Podnoszę się z sofy. - Idę spać, ledwie żyję. Boże, jaka jestem nawalona... Czego wy dodajecie do tych drinków?

- Widzisz to? - Jessica wyciąga ze szklanki paseczek czegoś, co wygląda jak kawałek owocu.

- Uhm...

- To grzyby z psylocybiną... wiesz, halucynki – wygłasza szeptem, nerwowo się rozglądając.

- Pierdolisz! - wrywa mi się spontanicznie. Jestem przerażona, nigdy w życiu się nie narkotyzowałam. - Zjadłam to! Kurwa! Jess, ja to zjadłam! Dałabym sobie uciąć rękę, że to jakiś owoc!

Jessica przez moment wpatruje się we mnie z przerażeniem w oczach i nagle wybucha śmiechem, aż się zanosi.

- Wkręciłaś mnie! Drugi raz!!! - Nie mogę uwierzyć, że dałam się nabrać. - Jess, kiedyś cię naprawdę zamorduję! - Próbuję chwycić ją za koszulkę, ale wywracam się na sofę. Po chwili obie zarykujemy się do łez.

- To była kandyzowana skórka banana... - wykrztusza z siebie Jess, gdy już leżymy pod sofą, spocone i splakane ze śmiechu.

- Zaraz znajdę tego banana i wsadzę ci w dupę - odgryzam się. - Tytus będzie rozczarowany. Może niech sobie kandyzuje fiuta, będzie słodszy...

- Mel, ja cię kocham, ale przestań! Zaraz się posikam!

- Sikaj! - Cmokam ją w czoło i ponownie się podnoszę, - Idę spać i... też cię kocham, ty wariatko.

- Poczekaj, idę z tobą...

Nie mogę zasnąć. Nadmiar alkoholu plus nowe miejsce równa się bezsenność. Obracam się z boku na bok jak stek na ruszcie, odkrywam i zakrywam cienką, letnią kołdrą, poprawiam poduszkę, ale to daremne. Nie znoszę spać u kogoś, leżę godzinami i wsłuchuję się w nowe, dziwne odgłosy, wyczuwam obce zapachy. Bardzo mnie rozpraszają, nie pozwalają na odpoczynek. Tym razem nie jest inaczej. Postanawiam wstać i poszukać czegoś do picia. Na paluszkach przechodzę przez długi korytarz. Gdy zbliżam się do sypialni Jess, nagle słyszę coś przez uchylone drzwi. Bez wątplenia moja przyjaciółka pieści się ze swoim francuskim przyjacielem. To akurat nic dziwnego, choć od momentu, kiedy się położyłam, upłynęło z pewnością pół godziny.

Mijam sypialnię i docieram do schodów, starając się zachowywać jak najciszej. Po chwili jestem już w kuchni. Znajduję w lodówce butelkę mineralnej, niestety gazowanej. Lepsze to niż nic. Z przyjemnością wypijam schłodzoną wodę Perrier i wracam na górę. Znów przechodzę obok półotwartych drzwi, ale tym razem się zatrzymuję, wiedziona jakąś idiotyczną ciekawością. „Jesteś podglądaczem, droga Meluniu?” - zadaję sobie pytanie. Czuję się dziwnie, z jednej strony wiem, że to bardzo nieeleganckie, ale z drugiej się rozgrzeszam, bo drzwi są niedomknięte. Żeby było śmieszniej, odnoszę dziwne wrażenie, że szpara między futryną a skrzydłem się powiększyła. Przeciąg? A może to sprawka Jess? Czyżby moja przyjaciółka chciała, żebym ich zobaczyła?

Gdy mieszkaliśmy razem w niewielkim łofcie w południowym Soho, zaliczyliśmy kilka takich incydentów. Kiedyś ona weszła w trakcie moich zabaw z kolegą z roku, a i mnie się zdarzyło pooglądać przyjaciółkę w akcji, w tym dwukrotnie z Erikiem.

Zerkam przez kilkucalową szparę. Zostawili zapalone lampki na szafkach nocnych. Światło nie jest mocne, ale wystarczające, żeby wszystko zobaczyć. Jessica klęczy na łóżku z wypiętą pupą i głową opartą

o poduszki. Jest kompletnie naga, śnieżnobiałe ciało ostro odcina się od ciemnej satynowej pościeli. Zaraz za Jess przykleknął Tytus. Widzę, że sięga po coś do szufladki, przez moment myślę, że to prezerwatywa, ale dosyć szybko zauważam, że już ją założył. „O, w mordę! Będą się bawić w grecką miłość? Jess nie kłamała...” - gdy sobie to uświadamiam, biorę głęboki wdech. Jeszcze nigdy nie widziałam takiej sytuacji na własne oczy, nawet porno z seksem analnym to nie moja bajka.

Gigantyczny facet z równie imponującym sprzętem wylewa właśnie żel intymny między pośladki mojej przyjaciółki. Ciemnoskóra, prawie czarna dłoń zaczyna rozmasowywać bezbarwną substancję. Słyszę, jak Jessica głośno dyszy. „Noż kurwa, też bym dyszała, ale z wysiłku, bo przed tak wielkim kutasem spieprzałabym szybciej niż Usain Bolt*...” - dochodzę do bardzo konstruktywnych wniosków.

- Tytus... co się tak pierdolisz z tym żelem? To nie masło orzechowe, pomyliłeś moją dupę z kajzerką? - mamrocze Jess pod nosem.

Gdy dociera do mnie sens tej wypowiedzi, ledwie się powstrzymuję przed parsknięciem śmiechem. „Co za zdzira z tej Jess! Tak go gnoi. Biedny *monsieur* Bardot,..” - pochylam się nad ciężką dolą młodego Europejczyka, który przyjechał tu za chlebem.

- Jeśli już, to z brioszką, chociaż trochę za blada. - Tytus nie traci rezonu. - A teraz pokażę ci, jak wsuwa się bagietkę do zbyt ciasnej kieszeni.

* Lekkoatleta, sprinter z Jamajki, wielokrotny złoty medalista olimpijski i mistrz świata.

- Kieszeni? - Jessica mruczy jak kot.

- Tak. Bagietkę wynaleziono po to, aby mogła z łatwością zmieścić się w kieszeni żołnierskiego munduru. Było to w czasach napoleońskich. Wiesz, jak sprawdzić, czy bagietka jest dobra? - Francuz wodzi czubkiem gigantycznego przyrodzenia po rowku między pośladkami Jess.

- Nie, i szczerze mówiąc, w dupie mam tę wiedzę...

- Zaraz będziesz miała w dupie coś jeszcze, *ma chouchou**... A dobra bagietka to taka, która po ściśnięciu wraca do pierwotnego kształtu. Szykuj się na ostrą szarżę... - Tytus chwyta Jess za pośladki.

„O nie! Nie będę na to patrzeć!” Zamykam oczy, ale co z tego... Uszy w zupełności wystarczają, żeby wczuć się w to, co przeżywa teraz Jessica. Nie dbając o to, że mogą mnie usłyszeć (ona i właściciel megabagietki), domykam drzwi i zwiewam do sypialni, ścigana jękami przyjaciółki, które

ciągle wybrzmiewają mi w uszach. Gdy ląduję w łóżku, mam rozpalone do czerwoności policzki, a serce wali jak młot z utworu Petera Gabriela.

- O ja pierdołę! Ale akcja... - chichoczę pod kołdrą.

Nie wiem jak, ale w końcu udaje mi się uspokoić. Układam się wygodnie, wyrzucam zbyt puchatą poduszkę i podwijam brzeg kołdry pod głowę. Już prawie zasypiam, gdy nagle pojawia się ostatnia tej nocy refleksja: do końca życia podczas jedzenia bagietki przed oczami będę miała biały tyłek Jess i wcelowanego weń ogromnego, murzyńskiego fallusa...

Bzzz... Bzzz...

- Co, do diabła? Jest niedziela! - sarkam, próbując dosięgnąć telefon. - Kto mi zawraca dupę... Halo... - mamroczę.

Jestem ledwo żywa. Język przykleił mi się do podniebienia.

- Halo! No, wreszcie - męski głos brzmi dosyć ostro.

„Kurwa, to on!” Od razu przytomnieję i siadam na łóżku.

„Włącz tryb »dziewczyna Adama Hardinga« i przestań rzucać mięsem, idiotko, bo się zapomnisz w najmniej oczekiwanym momencie!” - strofuję się w myślach.

- Co się z tobą działo? Już trzy razy dzwoniłem.

- Eee... - Zerkam na leżący na szafce zegarek. - Spałam. Wyciszyłam telefon, dlatego nie słyszałam sygnału. Przepraszam. - Przypominam sobie, że miał zadzwonić w południe.

- W porządku. Piłś?

- Troszkę.

- Uhm. O której się położyłaś, skoro o piętnastej jesteś nieprzytomna? - Głos nieco złagodniał, ale tylko odrobinę.

- Hm... Nie bardzo kojarzę, piąta? Może wpół do szóstej? - nerwowo chichoczę.

- Gdzie zasady, panno Duvall? Ponoć w weekendy kładzie się pani o północy?

„Zapamiętał. Co za łotr... Wszystko musi pamiętać? Każde słowo ma zarejestrowane?” Z niedowierzaniem kręcę głową.

- Czasami zdarza mi się troszkę zbczyć z kursu. Bywa. W końcu jestem zaledwie małą, słabą i głupiutką kobietką... - mówię to, starając się brzmieć jak najbardziej dziewczęco. - Czuję się tu taka samotna i główka mnie boli...

- Me! A niech cię! - Po drugiej stronie ktoś wyraźnie się podjarał.

- Tak? - miauczę słodziutko, próbując głosem oddać stan „jestem taka

mała".

- Przyjadę po ciebie.

* (fr.) Moje kochanie, moja ulubienico.

- Nie śmiałałabym pana fatygować.

- To bezdyskusyjne.

- E... weź przestań. Żartowałam - zmieniam ton na standardowy. -
Wrócę wieczorkiem. Jess mnie odwiezie.

- Zbieraj się. Będę najpóźniej za godzinę.

Już mam zaoponować, ale słyszę klik rozłączonej rozmowy. Podnoszę się z wielkiego wyra i kieruję do łazienki. Nagle dociera do mnie, że przecież Adam nigdy tu nie był. Szybko wracam po telefon. Odbiera dopiero po szóstym sygnale.

- Harding! - parskam do słuchawki. - Nie podałam ci adresu...

- Nie trzeba - słyszę wyraźnie, że gdzieś idzie. Obcasy butów stukają o chodnik.

- Wy wróżyłeś z fusów? — droczę się z nim.

- Piję tylko kawę z ekspresu.

- Masz szklaną kulę?

- Nie. Za to miałem trzy godziny, aby cię zlokalizować, a dokładnie twoich znajomych. Coś jeszcze? - Tym razem dociera do mnie charakterystyczne piknięcie centralnego zamka.

- Nie. Naprawdę nie musisz się tak o mnie troszczyć.

- Wiem.

- To po co tak robisz? Bo możesz?

- Bo chcę.

- Uhm. No to do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Melanio.

„Bo chcę? Pierwszy kontrolujący samiec wkleił się do albumu ze znaczkami...” - stwierdzam z przekąsem.

Postanawiam najpierw się spakować. Ciężko mi idzie, w głowie się mąci, ale na szczęście mam ze sobą tylko parę rzeczy. Zostawiam walizkę na łóżku i wlokę skacowane ciało w stronę łazienki.

Gdy zapalam światło i dostrzegam, jak się prezentuję, ogarnia mnie lekka panika. „Nie jest dobrze, panno Duvall”. Z przerażeniem spoglądam na odbicie w lustrze. Co my tu mamy? Najbardziej rzucają się w oczy moje artystycznie rozczochrane włosy, ale to akurat najłatwiejsze do opanowania. Dużo gorsze są ślady po perwersyjnej Hawajskiej Dziewicy, czyli

mikroskopijne strupki po nakłuciach, które spowodowały lekki obrzęk policzków. Ale to i tak nie jest *clou* programu pod tytułem *Co można zrobić, żeby wyglądać jak trzydziestolatka bezpośrednio po tygodniowym pobycie w kanałach burzowych?*

- Jess, niech ci się wszystko zmarszczy, nawet gałki oczne, ty pipo! - jęczę, dotykając twarzy.

Pod oczami mam wory. Inaczej tego nazwać nie można. Wielgaśne i opuchnięte - efekt moich poczynań z hurtową ilością kandyzowanej skórki banana zanurzonej w mieszaninie etanoli.

- Aleś mnie, pindo, upiła...

Miotam się po łazience. Biorę turboszybki prysznic i myję włosy, zawijam je w ręcznik i zostawiam do wyschnięcia. Napełniam umywalkę lodowatą wodą, zanurzam twarz, jak najdłużej powstrzymuję oddech. I tak ze trzy razy, łudząc się, że obrzęk nieco ustąpi...

- Fatalna sytuacja... - jęczę, próbując jakoś zamaskować obraz nędzy i rozpacz, ale tu pomogłaby jedynie podróż w czasie. - Idiotko, dlaczego zgodziłaś się na to spotkanie?

Żałuję nieroztropnie podjętej decyzji. Przez chwilę myślę, jak Adam by zareagował, gdybym zadzwoniła i go zawróciła, ale dosyć szybko odrzucam tę opcję. Zdążyłam już trochę poznać tego faceta, kolejna odmowa mogłaby...

- Melson! - Jessica stuka do drzwi. - Jesteś tam?

- Chyba tak - warczę, kończąc się ubierać.

Szybko wciągam dzinsy i wkładam do nich poły białej jak śnieg koszuli.

- Nie wiesz, czy jesteś w łazience? Tytus, chodź tu! Musisz mi pomóc. Melson zwariował, nie wie, czy jest w łazience – moja przyjaciółka piszczy jak obłąkana. - Trzeba ją obezwładnić...

Wiem, że jestem w środku. Moją wątpliwość budzi jedynie to, czy opuchnięta istota z podkrążonymi oczami to ja.

- Ta dam! - Otwieram z impetem drzwi. - I jak?

- O kurwa! - Jess chwyta się za usta. - Klasyczny przypadek obrzęku Quinckego. Banany na Hawajach...

- Dzięki. Nie każdy wydziela hurtowe ilości dehydrogenazy alkoholowej.

(Jestem z siebie dumna. Zawsze byłam kiepska z chemii, ale to pamiętam).

- Wyluzuj.

- Wyluzuj?! Mam takie wory, że pomieściłyby całą pierdoloną rezerwę

federalną, i to w jednodolarówkach!

- Melson, nie przeżywaj! Do jutra ci przejdzie... - zaczyna się śmiać.

- Nie uspokoiłaś mnie. Zaraz tu będzie mój nowy facet. Masz jakiś kwef na zbyciu?

- Co?! - Jessica klaszcze z uciechy. - Nie wierzę! Naprawdę tu przyjedzie? Po co?

- Po Melanię Duvall! Choć nie wiem, czy jak mnie zobaczy, nie wybierze ciebie albo Tytusa. Ja pierdolę, ale się załatwiłam... - Jestem załamana.

- Zluzuj majty, nie jest źle. Podniesiemy kołnierzyk i rozpuścimy włoski...

- Rozwala mój koński ogon. - Jeszcze tylko okulary przeciwsłoneczne i będzie git.

Jessica wywleka mnie z łazienki, prowadzi na dół, znajduje ogromne i dosyć paskudne bryle przywleczone prosto z Mediolanu, ale według niej to hit, bo są modne, markowe i kosztowały niewielką fortunę. Otrzymuję je w prezencie za poniesione straty moralne.

- Jess, one są dla mnie za duże... - jęczę, oglądając się w wielkim lustrze wiszącym w holu. - Wyglądam jak Yoko Ono.

- Pitolisz. Ale czekaj! To jest myśl! - Moja designerka z bożej łaski (ubrana w wyzywająco kuse, wściekle różowe wdzianko) odwraca się na pięcie. - Zaraz wracam... - krzyczy, biegnąc na górę.

Czekam na nią, nerwowo poprawiając kołnierzyk. Postawiony rzeczywiście wygląda nieco lepiej i przy okazji lekko zasłania dół twarzy.

- Jestem!

Dzierży w dłoniach kilka kapeluszy. Wszystkie są spore, z falującymi rondami, a dwa mają nawet wstążki ozdabiające główkę.

- Ten. - Wskazuję palcem na dosyć ładny egzemplarz w delikatnym, waniliowym kolorze i o prostym fasonie.

- Chanel. Dobry wybór...

- No niby tak, ale też za wielki... - Ponownie się przeglądam. Nie jest tragicznie, nawet zaczynają mi się podobać muchy tkwiące na nosie.

- Hej, dziewczyny... - Tytus staje za nami, obejmuje Jessicę, chwytając ją pod piersiami, i uśmiecha się do mojego odbicia. - Co się tak zamaskowałaś?

Zerkam na niego. Jest prawie nagi. Ma na sobie wyłącznie bokserki, ale są czarne i zlewają się z równie ciemnym ciałem. Mimo ekstremalnych różnic jest równie atrakcyjny jak mój nowy kochanek: umięśniony, wysoki, z

lekko połyskującą skórą.

- Trochę spuchła po wczorajszym, a zaraz przyjeżdża jej koleś. Musiałyśmy coś wymyślić! - Jess szybko wyjaśnia, skąd wzięła się kupka kapeluszy leżąca tuż obok.

- Uhm... I co za akcja? Świetnie wyglądasz, brałbym cię bez mydła, jak twoją białą...

- A w łeb chcesz? - warczę ostrzegawczo. Nie wyobrażam sobie, żeby wyjechał z takim tekstem przy Adamie.

- To nie tak leciało... „A żądłem chcesz?” - Tytus cytuje fragment dialogu z popularnej kreskówki, symulując ruchy frykcyjne.

- No i powiedz, czy on nie jest cudowny? - Jess wypina tyłek w kierunku podbrzusza swojego masażysty.

- Zajebisty. Banda zboków - syczę, widząc w lustrze ich odbicie.

Niewiele brakuje, żeby Tytus przeleciał Jessicę za moimi plecami.

- Tytus lubić być zbok... - Znów dotyka nosa czubkiem długiego języka.

- Przestańcie - chichoczę nerwowo, bo właśnie słyszę samochód wtaczający się na podjazd. - Adam już przyjechał! Błagam, nie klnijcie przy nim, on tego nie znosi.

- O matko! Prezes Harding na horyzoncie! Przystawiamy się na tryb politycznej poprawności. Tytus, wypierdalaj na górę! - Jess próbuje wyrwać się z oplatających ją czarnych ramion.

- Nie... też chcę poznać tego tajemniczego Adama Hardinga! Może mi się spodoba, lubię takich grzecznych chłopców i ich białe tyłeczki.

- Idź po moją walizkę, proszę... - Składam dłonie jak do modlitwy.

- OK. Jak sobie szanowna pani życzy.

Oddycham z ulgą, gdy znika mi z oczu. Rzucam okiem na przyjaciółkę. Generalnie, jak to ona mówi, „chujnia z lutnią”: rozczochrane włosy sterczą na wszystkie strony, wypisz wymaluj jak u laski, która grała główną rolę w *Piątym elemencie* (scena z upadkiem wprost do taksówki Korbena Dallasa), różowe wdzianko z deka się rozbebeszyło pod naporem czarnych pytonów (dwóch dorodnych i jednego małego, ale najbardziej niebezpiecznego), które próbowały się pod nie dostać, no i jeszcze te rumieńce? To już kompletna masakra!

- Jess, ogarnij się!

- Co ci się nie podoba? Wyglądam bardzo ponętnie... - stwierdza, wyginając się przed lustrem. - Jesteś zazdrosna?

- Tak. Zajebricie - wzdycham cicho pod nosem. - Nie klnij!

- Ups! - Zakrywam usta.

- Oj, co się tak spinasz. Wprawdzie jestem u siebie w domu... - Jessica parska śmiechem, ale na szczęście szybko poprawia włosy i podomkę. - Lepiej?

- Powiedzmy... - Macham ręką, widząc, jak nikłe przyniosło to efekty. Dzwonek wybrzmiewa jak fanfary, aż podskakuję z nerwów.

- Już otwieram, panie Harding... - krzyczy Jessica modulowanym głosem.

- Kiedyś cię zabiję! - spomiędzy moich zaciśniętych zębów wydostaje się stłumiony warkot. Żałuję, że Jess nie zdążyła go usłyszeć.

Nerwowo rzucam okiem na odbicie w lustrze, poprawiam kapelusz i kołnierzyk koszuli i idę za moją, obłąkaną w nieuleczalnym stopniu, przyjaciółką.

To, co dzieje się w ciągu kolejnych paru minut, można by zekranizować w formie miniseriale pod tytułem *Jak bez udziału urzędników skarbowych sprowadzić mózg doradcy podatkowego do stanu bulgoczącej papki?*

- Adam Harding. Bardzo mi miło.
(Buch w mankiet).

- Jessica Swift, dla przyjaciół Jess. Melson nie przesadzał, jesteś naprawdę słodki...

(Jess ukradkiem liże miejsce po pocałunku). Zaczynam żałować, że przed chwilą nie spełniłam mojej groźby.

- Zapraszam...
(Jess wskazuje Adamowi wejście do salonu).

- Bardzo chętnie, ale innym razem.
(Adam uprzejmie się uśmiecha, Jess oblizuje wargi).

Nie da się ukryć, mój facet wygląda obłądnie. Czarne spodnie w kant, rozpięta pod szyją klasyczna, biała koszula, wytaliowana i opinająca prężące się mięśnie, do tego błyszczące czarne buty... Mniem!

- Nalegam...

- Naprawdę dziękuję. Melanio, jesteś gotowa? (Spogląda na mnie nieodgadzionym wzrokiem). Nie wiem, czy jest zły, czy też wręcz przeciwnie.

- Tak, prawie,.. Zaraz Tytus przyniesie moją walizkę.

- Przepraszam, ale czy twój mąż nie ma na imię Erie? (Zwrot w kierunku Jess plus delikatne uniesienie brwi).

- O tak, ale niestety nie ma go w domu i Tytus pomaga mi wypełnić tę pustkę.,.

(Przechylona głowa, uśmiezek słodkiej idiotki).

Wrr.... Gdzie jest jakieś ostre narzędzie? Zaraz utnę jej język...

- O, już idzie.

(Z korytarza dobiegają odgłosy kroków).

Bezgłośnie błagam wszystkie bóstwa, jakie tylko istnieją, żeby miał na sobie ubranie. Modły zostają wysłuchane: biała koszulka i także spodnie od dresu.

Dobrze?

NIE! KURWA!

Bardzo niedobrze!

Bardzo, kurwa, niedobrze!

Tytus w lewej ręce dzierży walizkę (to akurat w porządku), a z czubka wskazującego palca prawej dłoni zwisają moje majteczki!!! Czy to jest najgorsze? O, bynajmniej!

Kto jest ciekawy? Pani?

Pani w okularach też?

Wszystkie panie???

Już mówię: najgorszy jest ten wielki biały namiot, który ktoś rozbił w okolicach krocza pana Bardot.

Gdzie jest nóż? Będę mordować! Już widzę te artykuły:

Jessica Swift (311.) i jej przyjaciel Tytus Bardot (251), obywatel UE, zostali zasztyletowani w willi państwa Swiftów przez Melanię Valentine Duvall (311). Odbyło się to w obecności biznesmena Adama Hardinga (28 L), jedyne go świadka zajścia...

- E... to twoje?

(Wysunięty w górę palec z majteczkami, a do tego spojrzenie troglodyty i lubieżny uśmiech). - Tak. Niewiele brakuje, żebym odgryzła sobie dolną wargę.

- Tak przypuszczałem. Zapach mi się nie zgadzał. - (Lekkie wzruszenie ramionami). - Zostawiłaś w łazience.

- Przepraszam.

Czuję, że zaraz roztopię marmurową posadzkę holu i dotrę do jądra Ziemi.

- Oj, Tytus, dajże jej te majtki i przywitaj się z naszym gościem!

(Jess okrasza swoją wypowiedź kolejnym słodkim uśmiechem).

- Ależ ze mnie gbur! Już się przedstawiam. Adam Harding.

(Wyciąga prawą dłoń).

- Proszę.

(Tytus wręcza mi koronkowe stringi).

Umieram, patrząc na wymianę uścisków między mężczyznami. Stoję jak idiotka, w końcu odruchowo wsuwam do kieszeni dolny element bielizny. Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać.

- Dziękuję, że zajęliście się moją dziewczyną. Miło było poznać.

(Kolejny filmowy uśmiech pana Hardinga).

- Przyjemność po naszej stronie... (Tytus błyska śnieżnobiałymi zębami).

- To co? Zbieramy się? Zostawiłem zapalony silnik. (Szybki rzut oka na najbardziej zażenowaną kobietę świata). - Uhm.

(Potakuję, Adam bez słowa podnosi mój bagaż).

- Pa, Melson!

(Jess rzuca się na mnie i ściska w ramionach).

- Pa, Jess.

- Zdzwonimy się?

- Jasne.

- Jessico, Tytusie, do zobaczenia.

(Brzmi jak wypowiedź człowieka z Krainy Lodu).

- Cześć, Tytus...

- Siemka, mała. Wzięłaś majtki? (Troskliwe spojrzenie). - Tak...

KURTYNA.

I proszę sobie darować brawa, bo mnie zaraz rozpiardoli ze złości!

KURWA!!!!

(Trzy głośne tupnięcia za kotarą).

Ślicznie wyglądasz - słyszę mruknięcie znad kierownicy. To pierwsze słowa, jakie Adam wypowiedział w trakcie jazdy, czyli od mniej więcej kwadransa. - Serio? - Zerkam na mojego towarzysza.

- Tak. Nie wiem tylko, po co ci okulary przeciwsłoneczne. - Lekko się uśmiecha.

Fakt, pogoda niezbyt dopisuje. Od rana (a zasadniczo: od popołudnia) pada delikatny kapuśniaczek.

- Światło mnie razi.

- Migrena? - Uhm.

- Chcesz coś zjeść? Za chwilę będzie zjazd na Subwaya i Maca.

- Nie. Bardzo dziękuję.

„O matko. Co za pomysł” - jęczę w duchu. I bez jedzenia czuję żołądek w gardle. Range rover zachowuje się, jakby miał drewniane koła, lekko drga i wibruje. „To faktycznie farmerski wóz” - stwierdzam, gdy mijamy Bridgeport.

- Czy to musi tak telepać? - zgłaszam zastrzeżenie, bo już nie mogę wytrzymać.

- Cierpisz na chorobę lokomocyjną?

- Nie.

Widzę, że Adam manipuluje przy desce rozdzielczej. Samochód od razu zaczyna zachowywać się inaczej. Płyniemy, wstrząsy ustąpiły. Niestety, to chyba niezbyt dobry pomysł, czuję się jeszcze gorzej. Szaloną bryczkę zastąpiło łóżko wodne.

- Możesz się zatrzymać? - Przytykam dłonie do ust.

- Zaraz.

„Zaraz? Kurwa, jeśli natychmiast się nie zatrzymamy, zarzygam ci furę...”

- próbuję telepatycznie przekazać wiadomość.

Na szczęście Adam chyba zauważył, że zzieleniałam, bo błyskawicznie zjeżdża na pobocze.

- Pomóc?

Nawet nie próbuję otworzyć ust. Ręką daję mu znać, że sama sobie poradzę. Łapię torebkę i wyskakuję z samochodu. Mam zamiar podbiec przynajmniej do najbliższych zarośli, ale nie wytrzymuję i malowniczo puszczam pawia pięć kroków od auta.

„Ja pierdołę! Jess, zabiję cię, małpo...” - snuję refleksje między kolejnymi szarpnięciami żołądka. Muszę uważać na okulary (mówiłam, że są za duże?!), włosy (dlaczego pozwoliłam je rozpuścić?!), idiotyczny kapelusz (bez komentarza), kołnierzyk koszuli, buty i jeszcze milion innych rzeczy, które nie powinny uciepnieć w trakcie zabiegu oczyszczania organizmu z nadmiaru alkoholowych toksyn. Wymiotuję pewnie ze dwie minuty, dziesiątki samochodów przejeżdżają za plecami, ktoś głośno trąbi, gdy nas mija. „Co, bucu, nigdy nie widziałeś rzygającej laski?”

Słabo mi od długiego schylania. Kucam i próbuję wyciągnąć chusteczkę z torebki, ale nie mam siły. Kapelusz zsuwa się z głowy i spada na trawę. Dobrze, że nie do bajorka z kandyzowaną skórą banana w roli głównej. W głowie wiruje coraz szybciej, w końcu tracę równowagę i upadam na tyłek.

- Co za pierdolona kompromitacja... - cicho daję upust swojej frustracji.

- Wszystko w porządku? - słyszę za plecami.

Nawet nie zauważyłam, kiedy Adam wysiadł z samochodu.

- Uhm - kiwam głową. „W super- kosmicznie- zajebistym porządku, panie Harding. Właśnie wyrzygałam z siebie serce i cały układ pokarmowy, no, może oprócz jelita grubego...”

- Podam ci wodę.

- Nie trzeba.

Staram się samodzielnie opanować plac boju. Z trudem wyjmuję chusteczkę. Ocieram starannie twarz.

- Wiesz co... chyba jednak poproszę. Rzuć mi...

- Nie będę ci rzucał. Nie jesteś psem. - Słyszę, że podchodzi.

- Dziękuję. - Zabieram butelkę z wyciągniętej dłoni.

Adam dyskretnie się oddala. Szybko płuczę usta i wypluwam resztki jedzenia na trawę. Końcówkę wody wypijam. Jakoś się ogarniam. Kapelusz trafia na swoje miejsce, poprawiam kołnierzyk i okulary, sprawdzam, czy włosy nie ucierpiały, i próbuję wstać, ale akurat to nie wychodzi. Zbyt mocno kręci mi się w głowie.

„Nie no, co za horror...” Podejmuję kolejną próbę, ale drżące z wysiłku nogi odmawiają posłuszeństwa.

- Melanio, mogę podejść? - Adam chyba dostrzegł, że zamieniłam się w meduzę, która usilnie próbuje zrobić karierę w balecie.

- Proszę - wzdycham bezradnie.

Silne ramiona bez problemów pomagają mi przyjąć pionową pozycję.

- Chodź. Zaprowadzę cię. - Obraca mnie przodem do jezdni i powoli holuje, trzymając pod pachami.

- Dziękuję - sapię cicho, patrząc, jak sprawnie idzie mu posadzenie moich zwłok na fotelu i zapięcie ich pasami. - Przepraszam cię.

- Nie ma sprawy. Każdemu może się zdarzyć. - Przez sekundę jego dłoń dotyka policzka, zwilżonego kroplami potu. - Dlaczego tak spuchłaś? I masz dziwne wybroczyny na skórze. - Widzę, że jest zaniepokojony. Chyba dopiero teraz to zauważył. - Mel, wszystko w porządku? - Łapie mnie za nadgarstek.

- Tak. Zawsze tak mam po wypiciu. - Nie zamierzam dzielić się mrocznymi sekretami dotyczącymi zabiegów odmładzających.

- Cicho.

Zerka na zegarek. Domyślam się, że mierzy tętno. No cóż, ledwie żyję, bradykardia jak nic.

- Zdejmę ci okulary. Muszę zobaczyć, czy masz prawidłowe odruchy.

- Jakie znów odruchy? - Od razu zapobiegawczo chwytam za szylkretowe oprawki. Jeszcze tego brakuje, żeby zapoznał się z pełnym obrazem zniszczeń.

- Żreniczne. Nie podoba mi się ten obrzęk.

- Jesteś lekarzem? - piszczę ze zdumienia.

- Nie. Farmerem. Przez dwa lata studiowałem weterynarię. Wszystkie ssaki tak samo reagują przy wstrząsie anafilaktycznym, nie jesteś wyjątkiem.

- E... Adam, ja spuchłam, bo Jess wczoraj zrobiła mi zabieg. - Poddaję się.

- Zabieg? Jaki?

- No... marokańską, nie... - Za cholerę nie mogę sobie przypomnieć, jakaż to była nazwa. - Wiem! Hawajska Dziewica. - Oddycham z ulgą.

- Hawajska Dziewica? - Adam kręci głową z niedowierzaniem.

- Taki tam... zabieg,, - Wzruszam ramionami. - Na twarz.

- Odmładzający?

„Co za siara, zaraz wypalę dziurę w siedzeniu”.

- Nie... raczej nawilżający...

- Rozumiem. - Ciągle trzymam moją rękę.

„Boże! Dlaczego ten facet jest taki śmiertelnie poważny?” Zerkam przez ciemne szkła. „Hej! Gdy tak na mnie patrzysz, czuję się jak biologiczny preparat na szybce...” Nie mogę wytrzymać i zaczynam chichotać. To chyba jakaś reakcja obronna, głupawka potraumatyczna.

- Beee... beee...

- Co robisz? - Adam wreszcie puszcza rękę i nawet trochę się odsuwa.

- Jestem małym barankiem i mam wstrząs, bo przedawkowałam ze ssaniem alkoholu...

- Słucham?

„O matko, ktoś wykastrował cię z poczucia humoru, panie ładny...?” - myślę i wydymam usta.

Gdy Adam widzi moją minę, w końcu też parska śmiechem.

- Wiesz, Melanio... - Tak?

- Chyba nie będę się z tobą nudził... - mruczy cicho.

Na Dziewięćdziesiątej Pierwszej w Carnegie Hill nie ma ani pół wolnego miejsca do zaparkowania. Adam trzykrotnie przejeżdża obok drzwi wejściowych do budynku, w którym znajduje się apartament Melanii. W

końcu zatrzymuje się nieco dalej, zabiera walizkę i swoją ledwie żywą pasażerkę i na piechotę pokonują kilkadziesiąt stóp.

- Ładne - rzuca, mijając dwa egzotyczne drzewka przycięte na kształt kuli, które stoją przy wejściu na schody. - Nie widziałem ich w piątek.

- Wczoraj je przynieśli. - Melanii też się podobają, ale w tym momencie nawet dwie sekwoje w wannach nie zrobiłyby na niej wrażenia. - Jezu, ale się sponiewierałam...

- Nie da się ukryć.

- Do windy nie wsiądę - ostrzega Hardinga, gdy wchodzi do budynku. - A po schodach nie wejdę, nie mam siły... Musisz mnie tu porzucić - śmieje się.

- Zaniosę cię, kurczaku. - Adam bierze Melanię na ręce i podchodzi do portiera. - Dzień dobry, mógłby pan dostarczyć walizkę panny Duvall pod jej drzwi?

- Dzień dobry. Panno Melanio, wszystko w porządku? - Portier wychodzi zza kontuaru i z rozbawieniem przygląda się lokatorce, zdecydowanie najbardziej rozrywkowej i najweselszej z mieszkających w tym luksusowym budynku.

- Prawie, panie Robercie - mamrocze Melania spod kapelusza.

Obaj mężczyźni dosyć szybko pokonują schody. Portier jest pełen podziwu dla Adama, który nawet się nie zasapał, niosąc swoją podopieczną. Zostawia walizkę i zjeżdża windą na parter.

- Proszę do salonu... - wzdycha panna Duvall, gdy tylko przekraczają próg apartamentu.

Adam układa ją ostrożnie na sofie i wsuwa pod głowę dwie miękkie poduszki.

- Kapelusz i okulary zostają? - żartuje i przysiada na skraju kanapy, tuż obok Melanii.

- Wstydzę się... wyglądam jak potwór bagienny – chichocze nerwowo skacowana bohaterka dramatu. - Chyba lepiej będzie, jak oszczędzę ci tego widoku.

- Aż tak źle? - Adam unosi delikatną dłoń i całuje jej wnętrze. - Dziwnie pachnie... - Kręci nosem.

- Dzięki.

- Zawsze tak chorujesz? - Nie. Tylko jak przegnę.

- Po co tak się sprawiłaś, skoro nie masz zdrowia do alkoholu? - To wszystko przez Jessicę - próbuje się usprawiedliwić Melania.

- Rozumiem. Przez Jessicę... - W głosie mężczyzny wybrzmiewają dziwne nuty.

- Nie przypadła ci do gustu?

- Mam być szczerzy?

- A bywasz kiedykolwiek nieszczerzy?

- Rzadko. - Harding uśmiecha się z przekąsem.

- Chodzi ci o alkohol?

- Nie. Do gardła ci nie wlewała. - Tytus?

- A tobie się podoba taka sytuacja? - odpowiada pytaniem Adam.

- Zwisa mi to. Nie potępiam i nie oceniam Jess i Erica. Ich życie, ich sprawa. Nie odpowiedziałeś mi...

- Skoro tak dociekasz, proszę bardzo: nie. Nie podoba mi się to. Nie poważam takich układów, uważam je za chore. Absolutnie nie widzę siebie w podobnym związku, jeśli w ogóle można nazwać związkiem sposób, w jaki funkcjonują twoi przyjaciele. To trąci patologią i wysoce prawdopodobne, że źle się skończy dla kogoś z nich, o ile nie dla obojga.

- Oj, panie Harding... Zabrzmiało jak kiepski wykład w szkółce niedzielnej. Jess i Erie są bardzo dobrym małżeństwem, kochają się i dbają o siebie. Nigdy nie słyszałam, żeby się kłócili, więc o co biega? O ewentualne zagrożenia związane z chorobami? - Melania jest oburzona druzgocącą krytyką wycelowaną w jej najlepszą i jedyną przyjaciółkę. Unosi się i siada, opierając plecy o poduszki.

- To akurat najmniejszy problem. Jeśli zachowują się rozsądnie i mają choć odrobinę instynktu samozachowawczego, choroba im nie grozi. Chodzi mi raczej o strefę emocjonalną.

- Czyli?

- Uważasz, że Jessica jest szczęśliwa? - Adam z uwagą przygląda się swojej dziewczynie, choć praktycznie nie widzi jej twarzy, przysłoniętej rondem kapelusza i ciemnymi okularami.

- Tak. Sądzę, że jest szczęśliwa.

- Świetnie, ale pozwolisz, że ja pozostanę przy swoim zdaniu. - No dobrze, ale o co ci chodzi? Wnioskuje, że uważasz inaczej.

- Tak. Myślę, że i ona, i jej mąż są cholernie samotni w tym dziwacznym układzie.

- Zadeklarowany monogamista? Przecież to takie nudne...- Melania ostentacyjnie ziewa.

- Owszem, może i monogamia jest nudna, ale im więcej i ciężiej pracuję,

tym bardziej tęsknię za nudą.

Panna Duvall zagryza wargi. Próbuje zrozumieć to, co usłyszała przed sekundą od swojego chłopaka. Ciągłe się złości, że ani jednym słowem nie wyraził aprobaty dla jej przyjaciółki.

- Mam rozumieć, że nie życzysz sobie, abym się z nimi spotykała? - wali bez większego namysłu. - Sądzisz, że to nieodpowiednie towarzystwo dla twojej dziewczyny?

- Przestań, nic takiego nie powiedziałem.

- Nie dosłownie, aleja potrafię czytać między wierszami.

- Spomiędzy wierszy mojej wypowiedzi nic nie wyczytasz. Przypominam: nie uzurpuję sobie prawa do ingerencji w twoje życie towarzyskie, a już szczególnie w długoletnią przyjaźń. Fakt, że od dwóch dni jestem twoim facetem, nie uprawnia mnie do tego.

- Nie boisz się, że przy Jess przytrafi mi się coś złego? Przecież deklarowałeś, że zadbasz o moje bezpieczeństwo... - Melania próbuje zawrzeć w głosie jak najwięcej ironii.

Adam wybuchą śmiechem, choć nazwanie go gromkim byłoby zdecydowanie na wyrost. Przez chwilę kręci głową, w lekko przymrużonych oczach wyraźnie maluje się niedowierzenie.

- No i co cię tak rozbawiło, Harding?

- Wiesz, Mel... Myślę, że nie doceniasz mojej wiary w ludzi, a zwłaszcza w siebie.

- Czyli?

- Zapewnienie ci bezpieczeństwa nie polega na tym, że wynajmę jakiegoś miśka, żeby chodził z tobą do toalety. Nie licz na to. Na pas cnoty i urządzenie namierzające wszczepione pod skórę też nie.

- Bo? Szkoda ci kasy? - Melania chichocze tak bardzo, że kapelusz zjechał na czoło.

- Też. Jestem racjonalnie myślącym człowiekiem, nie mam w zwyczaju robić krzywdy ciężko zarobionym pieniądзом i wydawać ich na głupoty, choć czasami się zdarzy. - Mężczyzna puszcza jej oczko.

- O! Jeszcze nigdy nie miałam skąpego faceta... - Panna Duvall wydyma usta. - Nie wiem, czy mam na to ochotę.

- To nie skąpstwo, bardziej rozsądek. I jeszcze jedno: jak by się miała taka kontrola do zaufania, którym cię obdarzyłem?

- Dobra, dobra... Żal ci hajsu...

- Niech będzie, nie zamierzam się z tobą spierać, bo widzę, że ledwo

żyjesz. Melanio, powinnaś się położyć. Uciekam. - Adam podnosi się z kanapy.

Melania przez chwilę zastanawia się, czy nie poprosić go, żeby został, ale czuje, że fizjologia znów przypomina o sobie efektownym bulgotaniem w brzuchu.

- E... chyba się nie obraziłeś? - Martwi ją nagła ewakuacja Hardinga.

- Nie. Myślę, że gdy zostaniesz sama, z przyjemnością zdejmiesz swój maskujący zestaw. Tylko to mną kieruje. - Adam znów się uśmiecha. - Chciałbym się z tobą jutro spotkać. Zadzwońię w południe i dogadamy się co do godziny, a teraz się pożegnam...

Końcówka niedzieli minęła pod znakiem problemów gastryczno-jelitowych. Na szczęście mój prywatny kierowca (vel weterynarz pierwszego kontaktu, vel strażnik moralności i cnót wszelakich, vel psychoanalityk) przywiózł mnie do domu i pozwolił na powrót do formy w samotności. Dziś jest znacznie lepiej: obudziłam się po dwunastogodzinnym śnie pełna energii i entuzjazmu.

Widok w lustrze też poprawił mi humor. Opuchlizna zniknęła, a skóra na twarzy promienieje blaskiem (dziewiczym!).

Próbuję sama przed sobą ukrywać prawdę, ale to zapowiedziana wczoraj wizyta tak mnie uskrzydliła. Rzekomo to coś bardzo ważnego, więc nie śmiałam odmówić. Zresztą dobę temu niczego bym Hardingowi nie odmówiła, no, może oprócz seksu w pozycji na cheerleaderkę. Zdecydowanie łagodnieję, gdy jestem skacowana.

Piąta po południu. Mam godzinną przerwę, którą zawsze wykorzystuję na późny lunch, ale nie dzisiaj. Dzisiaj odwiedził mnie Adam, przystojny jak sam diabeł i oczywiście jak zwykle świetnie ubrany. Jak dobrze, że nie nosi kamizelek - są obrzydliwe i świadczą wyłącznie o tym, że mężczyzna zamiast zachęcającego sześciopaku skrywa pod rzędem guziczków galon albo beczułkę.

Mój samiec alfa, beta i gamma (zajmuje co najmniej trzy pierwsze miejsca w stadzie) rozparł się na fotelu po drugiej stronie biurka i zionie pewnością siebie.

- Co to jest? - Podnoszę białą kopertę, którą położył na blacie zaraz po przybyciu.

- Zobacz.

Rozrywam wąski pasek papieru. Ze środka wysypują się kartki.

- To jakieś wyniki? - Przeglądam ze zdumieniem wydruki. Morfologia krwi, przeciwciała IgG, HBS... - Co to znaczy? To twoje? - dopytuję po chwili, bo na żadnym ze świstków nie widzę danych pacjenta.

- Tak. Tu jest numer mojej karty klienta.

- Ale... po co mi to pokazujesz? - pytam tuż po tym, jak na wyraźną prośbę Adama porównałam dane z plastikowego blankietu z informacjami z wydruków.

- Żebyś wiedziała, że jestem zdrowy.

- Kompletnie się na tym nie znam - śmieję się, rzucając plik kartek na biurko.

Nie zamierzam mu mówić, że raz na pół roku badam się ginekologicznie i robię anonimowy test na obecność HIV, więc co nieco ogarniam.

- Możesz łatwo sprawdzić w necie, co oznaczają te symbole. Zachęcam. - Adam metodycznie wkłada wszystkie świstki do koperty, a potem przesuwają w moją stronę. - Tym bardziej że oczekuję od ciebie prawie identycznego kompletu.

- Żartujesz? - Czuję się bardzo pewnie, siedząc we własnym biurze, i chyba dlatego pozwalam sobie na podobne zagrywki.

- Nie. Tu masz adres laboratorium. - Podaje mi bladozieloną wizytówkę. Odruchowo biorę ją do ręki.

- Na odwrocie jest data i godzina. Jeśli nie odpowiada ci termin, możesz go zmienić telefonicznie, musisz tylko posłużyć się numerem klienta. A to jest kupon z tym numerem. - Kolejna karteczka ląduje na blacie. - Wizyta została opłacona.

- Chwileczkę. - Kręcę głową. - Nie powiedziałam, że się zgadzam.

- Punkt siódmy.

- Sama zapłacę za swoje badania, nie potrzebuję twoich pieniędzy - rzucam, poirytowana.

Nie zamierzam zostać jego utrzymanką. Swoje honorarium za niepotrzebną ekspertyzę, czyli pięć tysięcy dwieście dolarów, też już oddałam.

Adam parska pod nosem, a potem robi coś kompletnie zaskakującego...

*La donna e mobile,
Qual piuma al vento,
Muta d'accento - e di pensiero.
Sempre un amabile,
Leggiadro viso,*

In pianto o in riso - e menzognero...

La donna e mobile,

Qual piuma al vento...

Głośny śpiew wybrzmiewa w moim biurze. Nagle mój facet kończy i jakby nigdy nic rzuca:

- Jeśli poczujesz się lepiej, nie ma problemu. Trzy stówy, bez paru centów. Zwróć mi na konto.

- Łał! Co to było? Potrafisz śpiewać?! - Jestem tak zaskoczona, że gdyby nie cycki, moja dolna szczęka opadłaby na blat biurka.

- Potrafię. Wiele rzeczy potrafię, ale teraz nie czas na autoprezentację. Możemy skupić się na badaniach?

- E... tak. - Kiwam głową, ciągle jeszcze wstrząśnięta króciutkim recitalem.

- Świetnie.

Sięgam po butelkę z wodą (trzecią w ciągu ostatnich dwóch godzin) i wypijam całość duszkiem. Dopiero gdy wrzucam puste opakowanie do kosza, dociera do mnie, że nie zaproponowałam nic Adamowi.

- Czegoś się napijesz? - pytam, lekko zażenowana własną niegościnnością.

- Dziękuję. Naprawdę chciałbym wrócić do meritum.

- O... - gryzę się w język (pieprzone „OK“!). - O... oczywiście. Po co to wszystko? Te badania?

- Punkt pierwszy, a ja nie lubię prezerwatyw. Gdy jestem w stałym związku, nigdy ich nie używam.

- Dlaczego?

- Uznaję to za nieco naiwne pytanie, ale odpowiem. Znoszą odczucia i mordują spontan.

„Znoszą odczucia? Chyba twoje, panie Harding...” Wydymam usta. Co do spontanu - racja. Też nie lubię przerw na zakładanie gumki. To takie prozaiczne i mało erotyczne, choć niektórym podoba się rytuał związany z rozrywaniem foliowej paczuszki.

- Dobrze, ale jaką masz gwarancję, że mimo prawidłowych wyników nie zarażę się gdzieś jakąś chorobą? Przecież mogę ją przenieść nieświadomie.

- Postanawiam trochę się z nim podroczyć. - No i wiesz, jest jeszcze okres inkubacji wirusa i tak dalej...

- Jestem zdrowy, nie zamierzam utrzymywać kontaktów intymnych z innymi osobami i tego samego oczekuję od ciebie. Wystarczy. Mamy sobie

zaufać, nie pamiętasz? - Zerka spod oka, jakby kpił.

Kręcę głową, sytuacja jest absurdalna. Markiz Adam de Harding, tyran i despota, właśnie zdobywa kolejną bazę.

- A co z antykoncepcją? Mam to wziąć na siebie? - Wkurza mnie jego egoizm, choć i tak już od dobrych ośmiu lat łykam tabletki.

- Nie. I żeby ci nie przyszło do głowy zabezpieczać się hormonalnie. Wkładki, zastrzyki, implanty również nie wchodzi w grę.

- Bo? Antykoncepcja to złooo....? Pójdę do piekła? - Przykładam wygięte palce do czoła.

- I tak pójdziesz, razem ze mną - śmieje się Adam.

- Coś ci nie pasuje w tabletkach?

- Wiele rzeczy, ale głównie to, że pozbawiają kobietę naturalnego cyklu. Lubię te wszystkie wasze humorki trzy dni przed miesiączką, nabrzmiałe piersi w czasie owulacji, nawet pryszczki, które nagle wyskakują wam na podbródku.

Nie mogę słuchać tych idiotyzmów. Tabletki ułatwiają życie. Od kiedy je biorę, moje cykle się unormowały, mam ładną cerę, włosy zgęstniały i pięknie się błyszczą. Mogę dowolnie przesuwac termin okresu, który na dodatek stał się bezbolesny i krótki. Mam z tego zrezygnować? W imię czego? Bo hrabia Adam lubi wodzić się z kobietami dumnie prezentującymi trądzik młodzieńczy? Paradne...

- Nie przestanę ich brać. - Stawiam sprawę na ostrzu noża.

- Melanio, posłuchaj. Mamy umowę. - Nachyla się. Błękitne oczy, które czasami wyglądają tak łagodnie, teraz sprawiają wrażenie szklanych, jak u lalki. - Jeśli na każdym kroku będziesz kwestionować to, co mówię, nasz układ nie ma sensu. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak. Bardzo jasno, tak jasno, że zaraz założę przeciwsłoneczne okulary! - warczę. - Wobec tego co proponujesz? Szklanka wody zamiast? A może rosyjska ruletka, czyli naturalne metody. Kalendarzyk? Obserwacja śluzu? Bez jaj, aż tak ufna nie jestem. Wybacz.

- Nie zajdziesz w ciążę. Przeszedłem wazektomię. Co do tabletek, skończysz opakowanie i tyle. Nie życzę sobie, żebyś łykała to świństwo i jechała na jałowym biegu jak gumowa lalka. - Znow wygodnie rozsiada się w fotelu i zakłada stopę na kolano.

„Gumowa lalka? Chłopie, skąd bierzesz te teksty...” Wlepiam wzrok w podeszwę męskiego buta.

- Mogłeś od razu powiedzieć, że jesteś po wazektomii. - Mogłaś to

przeczytać. W kopercie z wynikami znajdziesz zaświadczenie z kliniki.

- Boli mnie... głowa - wzdycham. To wszystko jest zbyt przytłaczające.

Adam się podnosi, podchodzi do mnie i staje za oparciem fotela.

- Odpocznij, zamknij oczy. - Przykłada dłonie do mojego czoła. Opieram się o twardą pierś. Dotyk dłoni jest bardzo delikatny, ale i mocny jednocześnie.

- Zrobisz badania?

- Tak - mamroczę, powoli odpływając z rozkoszy. Wystarczy krótki masaż, a ja już pragnę Adama. Coraz bardziej i bardziej. Gdyby jeszcze nie miał takiego wrednego charakteru... Choć jego despotyczne zagrywki też mają swój urok. No i ten głos, którym wygłasza swoje żądania...

- Świetnie. Grzeczna dziewczynka.

- Przyjdiesz dzisiaj do mnie? - pytam po dłuższej chwili. Coś ewidentnie jest nie tak. Jeszcze żadnego mężczyzny nie prosiłam o to, żeby mnie odwiedził. „Sztuczki pana markiza chyba działają” - myślę i uśmiecham się pod nosem.

- Nie. Wyjeżdżam na cztery dni. Zaproszono mnie na sympozjum w Topece. Mam wygłosić krótki odczyt.

„Nie”?! Jestem rozczarowana i wściekła. „Cholera! Kretynko, po co pytałaś?” - pluję sobie w brodę. Zastanawiam się, czy to nie próba utarcia mi nosa za weekendowy wypad do Jess.

- O czym ten odczyt?

- O urządzeniach nawadniających. Jeśli cię to interesuje, wyślę ci skrypt mailem.

- Hm, chyba niekoniecznie... - mruczę jak kotka.

Palce z wprawą ugniatają mięśnie przy karku. Adam jest naprawdę dobry, chyba musiał brać jakieś lekcje, wyczuwam profesjonalistę. Dłonie powoli przesuwają się po obojczykach, zjeżdżają niżej i wsuwają pod miseczki biustonosza. Zerkam kontrolnie w stronę zamkniętych drzwi. W każdej chwili ktoś może wejść do biura. Wprawdzie poprosiłam Lizę, żeby nikt mi nie przeszkadzał, ale już nieraz wywinęła numer przez swoje gapiostwo.

Opuszki środkowych palców docierają do moich brodawek. Biorę głęboki wdech, pieszczota jest tak intensywna, że odpływam. Zamykam oczy i poddaję się jej. Adam puszcza i ściska, coraz mocniej i mocniej, aż do granicy bólu.

Jego oddech przyspiesza, a ja robię się coraz bardziej mokra...

Dryń!!!

Podskakuje nerwowo.

Telefon rozbrzmiewa tuż koło mojego ucha. „Niech to szlag!” - pomstuję na nieznośne urządzenie.

- Przepraszam. - Po piątym sygnale Adam sięga po komórkę, ale nadal pięści mnie jedną dłonią. - Harding, słucham... Dzień dobry, panie senatorze... Tak... jutro... oczywiście...

Mój masażysta rozmawia spokojnie, jakby nic się nie działo, w pewnym momencie nawet wybucha głośnym śmiechem. Palce ciągle drażnią brodawkę, pod piersią zebrał się pot. Adam przejeżdża po tym miejscu, zbiera wilgoć opuszkami i przenosi na koniec sutka. Mam coraz większą ochotę podwinąć spódnicę i wsadzić coś do cipki. „Królestwo za małą różową Siri albo czarną Neo...” - myślę tęsknie o swoich ulubienicach. Niestety Zły Pan zakazał używania zabawek, ale zostawił je w moim mieszkaniu. Mam ćwiczyć silną wolę.

Zastanawiam się, jak będzie wyglądać moja kiecka na tyłku, gdy podniosę się z krzesła. Szacuję wielkość mokrej plamy; jakieś dwa cale średnicy? Majtki już przesiąkły naturalną wilgocią, do tego pot skraplający się między zaciśniętymi udami i jakaż piękna katastrofa...

- Do zobaczenia jutro, panie senatorze - Adam kończy rozmowę. Czuję, jak wkłada telefon do kieszeni, a później delikatnie wysuwa dłoń z mojego stanika. Poprawia bluzkę, która nieco się pomięła podczas całej operacji. - Przeszło? - Kładzie dłonie na moich ramionach, nachyla się i muska ustami skórę na karku.

- Co?

- Ból głowy. Zapomniałaś?

- Tak - stwierdzam z przekąsem. - Zupełnie.

„W zasadzie zapomniałam, że mam cokolwiek poza mokrą cipką i sterczącymi sutkami...” - znów prowadzę wewnętrzny monolog.

- Świetnie. Nie chciałbym opuszczać cię cierpiącej. - Całuje mnie we włosy.

„Wzrusza mnie twoja troska. Naprawdę bardzo śmieszne, zaraz się posikam, takie to zabawne...” - warczę w duchu.

Adam odrywa ręce, powoli przechodzi na drugą stronę biurka.

- Będę się zbierał, za trzy godziny mam samolot. - Spogląda na mnie, lekko unosząc kąciuki ust. - Spotkamy się w piątek o tej samej porze. Pamiętaj o wizycie w laboratorium, chciałbym jak najszybciej zobaczyć wyniki.

Przesuwa po blacie kupon. Jak zahipnotyzowana przyglądam się ręce, która jeszcze przed minutą pieściła moją pierś. Dłonie Hardinga też są piękne. Duże i zgrabne, przy nadgarstkach pokryte delikatnymi włoskami. Długie i nieco zbyt kościste palce kończą się bladoporóżowymi kwadratowymi paznokciami.

- Będę pamiętać - odpowiadam, ale jestem trochę nieobecna. Ciągle nie mogę dojść do siebie po niekonwencjonalnej terapii przeciwbólowej.

W końcu podnoszę wzrok. Ależ ten facet mi się podoba. Jest idealny. Wszystko mnie w nim pociąga: ciało, zapach, głos (!!!), ubiór, ruchy i nawet to prowokujące zachowanie. To ostatnie chyba najbardziej? Nie ma ani jednego detalu, do którego mogłabym się przyczepić. „Mister Doskonałości... Mój osobisty na dodatek”. Uśmiecham się promiennie.

- Nie odprowadzaj mnie. Do zobaczenia. - Adam odwzajemnia uśmiech, nie mając pojęcia, co go wywołało.

- Do piątku - żegnam się, ciągle rozbawiona.

On wychodzi z biura, nagle zatrzymuje się na sekundę w drzwiach i obraca w moją stronę.

- Byłbym zapomniał, to była aria z trzeciego aktu *Rigoletta*. Kobieta zmienną jest...

- Aha... - Dam głowę i resztę do niej przyczepioną, że minę mam kretyńską.

- Trzymaj się. - Puszcza mi oczko i znika.

Jestem nienormalna, to pewne. Harding dzwonił przed dwiema godzinami, oczywiście punktualny jak japoński pociąg osobowy. 1 czego się dowiedziałam? Mój nowy kawaler już wczorajszej nocy wrócił na łono Manhattanu. Sympozjum skończyło się dzień wcześniej, bo grupka ekologicznie nawiedzonych misjonarzy kościoła Zielona Planeta zablokowała wejścia do budynku, rozlewając wszędzie wiadra farby (bynajmniej nie ekologicznej).

A co ja zrobiłam z tą wiedzą o wcześniejszym powrocie? Zignorowałam ją? O, bynajmniej. Wymyśliłam kompletnie idiotyczny plan, który właśnie wcielam w życie. Na czym polega? Na zabranii części wyników badań (bo na niektóre, rzecz jasna, muszę poczekać do jutra), błyskawicznym odświeżeniu się w firmowej łazience i wycieczce na drugi koniec Manhattanu, żeby sprawić niespodziankę panu Hardingowi.

Lokalizacja celu: budynek na skrzyżowaniu ulic Lafayette i Houston, ostatnie piętro. Wsiadam z taksówki i od razu dopada mnie atak

wątpliwości numer jeden.

- Kretynko, co ty robisz? Narzucasz się facetowi? Idiotko jedna, miej choć odrobinę honoru... - mamroczę pod nosem, stojąc pod wysokim ciemnoceglastym budynkiem.

Zadzieram głowę: gdzieś tam wysoko, za zielonymi futrynami okien, skrywa się mój obiekt. Przenoszę wzrok na wielkie oszklone drzwi, a potem rozglądam się bezradnie. Może ktoś lub coś pomoże mi podjąć decyzję? Niestety wszyscy przechodzą obok, patrząc na mnie obojętnie. Uśmiechnięty dzieciak przejeżdża ulicą na deskorolce żółtej jak nowojorskie taksówki. Przez moment rozważam, czy to bezpieczna zabawa. Dwie tęgie ciemnoskóre kobiety idą, rozmawiając żywiołowo. Gdy mnie mijają, jedna z nich ociera się lekko o moje ramię.

- Przepraszam - rzuca od niechcenia.

Odruchowo pocieram miejsce kontaktu, nie lubię takich sytuacji, dlatego nigdy nie jeżdżę metrem. „Wrócić, nie wrócić?” - rozmyślam. W końcu ruszam z miejsca.

Znajduję wejście od tyłu budynku. Niewielka tabliczka obok drzwi informuje, że mieszczą się tu biura nowojorskiego oddziału HAC. Skromne miejsce jak na siedzibę tak dużej firmy, ale zdążyłam się już zorientować, że jedyne, czym epatuje Adam Harding, to zwierzęca seksualność i wyjątkowa pewność siebie.

Szpanowanie majątkiem? To nie w jego stylu. Nie ma jachtu (chyba), śmigłowca (na sto procent, mówił), limuzyny (tego akurat nie jestem pewna), domów na Karaibach i Seszelach ani innych „niezbędnych” gadżetów. Nawet mieszkanie wynajął, zamiast kupić willę gdzieś na obrzeżach miasta lub apartament przy Central Parku. Ciekawe, skąd u tak młodego człowieka bierze się rozważne, o ile nie skąpe, gospodarowanie pieniędzmi. Może to jedna z jego wad? Przecież jakieś musi mieć, nikt nie jest doskonały...

Wchodzę do niewielkiego korytarza, znajduję wejście do windy (na szczęście nie ma w niej lustra) i w trakcie podróży do nieba mierzę się z atakiem wątpliwości numer dwa, czyli z pytaniem: a jeśli nie będzie go w biurze? Spoko! Po prostu wyjdę i udam, że nigdy mnie tu nie było.

Gdy stalowe drzwi rozsuwają się z cichym szelestem, następuje atak numer trzy: hol jest pusty... Za kontuarem recepcji nikogo nie ma, a z biur nie docierają żadne odgłosy. Może dzisiaj pracownicy firmy HAC mają wolne? Hm... dziwna sprawa. Rozglądam się nerwowo, przy okazji rejestrując elementy wystroju: stalowe obramowanie blatu, szybę z dyskretnym logo,

kilka krzeseł stojących pod ścianką obitą arkuszem ryflowanej blachy. Styl industrialny to niezbyt dobry pomysł na design biur firmy z branży spożywczej, ale one również są wynajmowane. Widocznie prawie wszystko w życiu pana Hardinga jest tymczasowe. Jak znam życie - mnie też to może dotyczyć... Trudno, zaryzykuję.

Już mam zjechać z powrotem, lecz nagle gdzieś po prawej stronie korytarza słyszę dźwięk otwieranych drzwi i donośny głos Adama. Chyba z kimś rozmawia przez telefon.

- Tak... Witam serdecznie... Wiem, to było bardzo niefortunne... - Kurtuazyjny śmiech. - Oczywiście, zaraz to przedyskutujemy...

Odruchowo kucam za automatem z napojami.

- Nie przeszkadzaj i nie łącz mnie z nikim przez najbliższe pół godziny...

Domyślam się, że to polecenie jest skierowane do kogoś innego. Nagle drzwi do biura prezesa firmy HAC zamykają się z cichym trzaskiem, na moment zapada cisza, a później następuje mała katastrofa, ukoronowanie żenującej ekspedycji...

Zgrabne nogi w cielistych pończochach i czarnych szpileczkach zatrzymują się wprost przed moim nosem. Podnoszę głowę.

- Coś się pani stało? - Młodziutka brunetka, na oko w wieku mojej Lizy, spogląda z góry, a na jej twarzy maluje się zdziwienie. Nie zauważyłam, kiedy podeszła, bo cały korytarz wyłożony jest grubą wykładziną w ciemnografitowym kolorze.

Błyskawicznie się prostuję. Dziewuszka to jakaś stażystka, na klapie jasnopopielatej marynarki wisi niewielki identyfikator. Za cholerę nie mogę doczytać imienia, czcionka wielkości prionów - do odczytu wyłącznie pod mikroskopem.

„Co teraz, panno Duvall?" Mam ochotę walnąć głową w ścianę.

- Nic, wszystko w porządku.

- Na pewno? - Dziewczkę jest czujne i bystre, chyba zauważyło moją próbę bicia rekordu w ukrywaniu konsternacji.

- E... pomyliłam piętra, zrobiło mi się słabo w windzie - mamroczę pod nosem.

Co jak co, ale w zgrywaniu idiotki jestem dobra, może dlatego, że czasami tak właśnie się czuję.

- Przynieść pani trochę wody?

- Chętnie.

Modłę się, żeby to potrwało jak najdłużej. Mogę salwować się ucieczką albo wymyślić coś innego.

Ślicznotka znika, a ja błyskawicznie podejmuję decyzję. Zdaję się na instynkt: dopadam drzwi windy, na szczęście ciągle są otwarte, przyciskam zero i... zamiast zjechać na parter, wyskakuję z niej jak obłąkana. Pędem przelatuję przez korytarz, dostrzegam drzwi z tabliczką informującą, że za nimi znajduje się biuro prezesa, po czym najdelikatniej, jak potrafię, naciskam klamkę i wchodzę do środka.

- Prosiłem, żebyś mi nie przeszkadzała... - Adam Harding zakrywa dłonią mikrofon słuchawki.

Siedzi tyłem do wejścia, obute stopy wyłożył na kamienny parapet. Lubi tak rozmawiać, choć widok roztaczający się za oknem nie jest zbyt ciekawy.

Melania stoi oparta plecami o drzwi i trzęsie się z wrażenia. Głos mężczyzny zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie, surowo... Panna Duvall uznaje całą tę wycieczkę za dość idiotyczny pomysł, niezbyt miłe przyjęcie i sytuacja z sekretarką sprawiają jednak, że w żyłach szaleje adrenalina. „Emocjonujące jak skok na bungee” - myśli po kilku sekundach.

Szybko rzuca okiem za siebie, żeby sprawdzić, czy jej plan wypali. Na szczęście prezes firmy HAC potrzebuje czasami odrobiny prywatności, bo w solidnych drzwiach zamontowano blokadę.

Adam, zaniepokojony ciszą, w końcu obraca się na skórzanym fotelu. Jest niesamowicie opanowany, bo na widok Melanii reaguje jedynie lekkim uniesieniem kącików ust.

- Tak jak rozmawialiśmy wczoraj... Oczywiście, że dołożymy wszelkich starań, żeby to wypaliło... Osiem tysięcy... Raczej nie... Panie gubernatorze, to naprawdę świetny pomysł...

„Taki z ciebie twardziel?” Panna Duvall uśmiecha się pod nosem. Dobrze pamięta ostatnią rozmowę telefoniczną, którą Harding prowadził w jej obecności. Czuje, że brodawki piersi delikatnie się podniosły, a w dole brzucha zaczyna się coś dziać.

Nie spuszczać wzroku z Adama, sięga za siebie i przekręca zamek, by nikt nie zdołał wejść do biura. Następnie ściąga z ramienia torebkę, wyjmuje plik dokumentów z laboratorium, zrzuca wysokie szpilki i wszystko oprócz papierków kładzie na podłodze, na wykładzinie takiej samej jak w holu. Bezszelestnie podchodzi do masywnego biurka o nowoczesnej formie i podaje mężczyźnie kilka wydruków.

Harding przykłada palec do ust. „Gubernator Wood” - mówi bezgłośnie. Melania kiwa głową. „Zajmę ci tylko kwadrans” - odpowiada w podobny sposób. Obchodzi pokazny mebel i klęka przed siedzącym mężczyzną.

- Jaka jest pana propozycja? Rozumiem, czterysta? Nie wiem, czy będziemy mieć aż tak duże zapotrzebowanie, nie mam tylu maszyn... - Adam prowadzi rozmowę i czasami coś zapisuje w notesie rozłożonym na biurku.

Mel lekko się uśmiecha, obraca fotel na wprost siebie, po czym sięga do rozporka spodni i najciszej, jak potrafi, rozpina metalową klamerkę paska. Harding nie oponuje, rozmawia, jakby nic się nie działo, ale widać już, że jego penis lekko się podniósł.

Panna Duvall to zauważa i od razu nabiera animuszu. Następne w kolejności są guziki, z nimi idzie zdecydowanie łatwiej. Melania rozchyła brzegi czarnej tkaniny, starając się ciągle zachowywać kontakt wzrokowy z Adamem.

Przez cienką bieliznę bez trudu wyczuwa penisa (teraz już bardzo okazałych rozmiarów), gładzi go, dotyka.

- Tak, tego jeszcze nie omówiliśmy... Pszenicę, dobrze zrozumiałem? Nie, żadnych pestycydów z Indii, proszę się nie obawiać, mój prawnik nadzoruje te kwestie... Tak, nazywa się Morris... - Harding odpowiada płynnie, ale jego oddech nieco przyspiesza.

Kobieta postanawia iść na całość. Chwyta za krawędź bokserów i je zsuwa, odsłaniając imponujący zestaw klejnotów rodowych prezesa HAC. Przez chwilę z niekłamanym zachwytem je kontempluje. „Masz fantastycznego fiuta, a ja zaraz ci go wyliżę...” Znowu uśmiecha się promiennie. Na moment podnosi wzrok. Adam kręci głową, ale ona nie ma zamiaru odstąpić od swojego planu. „Zrobić laskę facetowi, który właśnie rozmawia z gubernatorem stanu Kansas? Bardzo kuszące, zwłaszcza gdy inspiracją są były prezydent i jego stażystka. Niechże mój nowy kochanek też się tak poczuje...” - chichocze w duchu panna Duvall.

- Tak, to też załatwiliśmy... Rozmawiałem z senatorem Hopkinsem kilka dni temu...

Melania znowu przypomina sobie, jak bardzo była ostatnio podniecona i jak się wkurzyła, gdy Adam zostawił ją z cipką rozgrzaną do czerwoności. Ona nie będzie aż tak okrutna i załatwi temat do końca, włącznie z pracami porządkowymi.

Wyjmuje ze stanika przygotowaną wcześniej chusteczkę i dokładnie

wyciera usta, nie chce ubarwić wszystkiego krwistoczerwoną pomadką. Zgniała brudną chustkę w zgrabną kulkę i wrzucają do ażurowego kosza na papiery, stojącego tuż obok. Następnie oblizuje wargi, nachyla się i obejmuje nimi końcówkę penisa. Przejeżdża językiem po wędzidełku, a potem lekko liże powierzchnię żołądki.

- Panie gubernatorze... Tak... Rozumiem... - Głos Adama zaczyna się lekko załamywać.

Melania coraz niżej pochyła głowę. Żeby jak najlepiej ssać i pieścić wielką pałą, wspiera się dłońmi o silne uda mężczyzny. Jej usta przesuwają się szybciej i szybciej, język tańczy wokół napletka jak tancerka flamenco. Panna Duvall ukradkiem zerka na zegarek: od rozpięcia klamerki paska upłynęło już prawie dziesięć minut. Musi się streszczać, w przeciwnym razie przekroczy zapowiadany kwadrans.

- Astmę? Nie... nie mam astmy... - Mężczyzna oddycha coraz ciężiej, kilka razy zdarzyło mu się lekko zakasłać. - To chyba... przeziębienie... - tłumaczy się słabnącym głosem. - Dobrze... Naprawdę nie ma problemu... - Kolejne chrząknięcie. - Dziękuję wobec tego... Tak... Do usłyszenia.

Telefon łąduje gdzieś na biurku.

- Co za pierdolony gaduła!

Adam chwytą kochankę za włosy i przez chwilę dociska jej głowę tak mocno, że fallus uderza o podniebienie miękkie.

- Ssij go... jeszcze... - Gładzi jej skórę za uszami. - Podciągnij spódnicę, chcę widzieć twój tyłek!

Melania odrywa dłonie i natychmiast spełnia życzenie. Założyła mocno wycięte czarne stringi, pas i pończochy, całość prezentuje się bardzo seksownie.

- Och, niezła z ciebie... - słowa grzęzną Adamowi w gardle, gdy tylko dostrzega przed sobą delikatnie poruszające się pośladki. - Jeszcze, tak... Ssij mocno... Aaa! - wykrzykuje, a jego ciałem wstrząsa zbyt długo powstrzymywany i przez to potężny orgazm.

Kobieta nie odrywa ust, łyka wszystko, co wylatuje z ciągle pulsującego penisa. Trwa to dosyć długo, widocznie prezes Harding miał kiedy naładować baterie.

- To naprawdę było mocne... - wzdycha po dobrej minucie. - W rankingu dystraktorów zdobywasz pierwszą lokatę. Pokonałaś wszystko, nawet pożar.

Melania sprawnie naciąga kochankowi białe bokserki, zapina mu guziki

i pasek, poprawia swoją spódnicę i siada na krześle po drugiej stronie biurka.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się za to najście. Chciałam jak najszybciej przedstawić ci wyniki badań. - Przesuwa plik dokumentów. - Jutro reszta, ale najważniejsze już są.

- Panno Duvall... - Adam wspiera się na łokciach i nachyla nad blatem. - Nie powiem, było bardzo miło, ale... czy ja na to pozwoliłam? Z tego, co pamiętam, taki gest - kręci głową - oznacza „nie wolno”. Chyba że się mylę?

- Nie wiem, jestem kiepska w odczytywaniu komunikatów niewerbalnych. - Melania wzrusza ramionami.

- Hm... niektóre interpretujesz całkiem poprawnie.

- Moja percepcja w tej materii jest bardzo wybiórcza.

- Zauważyłem. Sądzę, że powinnaś trochę popracować nad tematem. Może kurs interpretowania mowy ciała?

- Zapiszę się, ale nie dzisiaj. Przepraszam, że zajęłam panu tyle czasu. - Panna Duvall zerka na zegarek i podnosi się z krzesła. - Za godzinę mam spotkanie z ważnym klientem.

- Odprowadzę cię do windy.

Adam podnosi się z fotela i spokojnie czeka, aż jego gość pozbiera swoje rzeczy. Wychodzą z biura i mijają recepcję. Mel nie podnosi głowy, nie ma ochoty na konfrontację z sekretarką.

- Do zobaczenia. - Harding schyla się i delikatnie całuje kobiecą dłoń.

- Do zobaczenia...

Melania Duvall siedzi przy swoim biurku i wpatruje się w filiżankę z resztką oryginalnej hawajskiej kawy Arabica Kona. W końcu zdobywa się na odwagę.

- Chcę mieć hasło. Proszę cię o zgodę.

- Dlaczego chcesz mieć hasło? - pyta Adam.

- Będę czuć się bezpieczniej.

- Nie ufasz mi? - Ufam... - Ale?

- Dlaczego to taki problem? Nie rozumiem. - W oczach Mel widać lekkie poirytowanie.

- Czas i miejsce trochę niefortunne, ale zadam ci pytanie i chciałbym, żebyś była szczerą. Czy ktokolwiek zrobił ci krzywdę?

- W jakim sensie? - dopytuje panna Duvall, żeby dać sobie trochę czasu

do namysłu. Wie przecież, o co chodzi Adamowi.

- Fizyczną. Zgwałcił, przymusił do czegoś? Wykorzystał sytuację, gdy byłaś pijana i tak dalej... Jeśli tak, wystarczy mi tylko potwierdzenie, nie zamierzam wnikać w szczegóły do momentu, kiedy ty sama zechcesz się zwierzyć.

- Nie. - Kobieta stara się zabrzmieć jak najpewniej. Żeby wypaść jeszcze wiarygodniej, wbija wzrok w sam środek błękitnych tęczywek rozmówcy. - Nikt mnie nie zgwałcił ani nie przymusił do niczego. Nie byłam molestowana jako dziecko.

- Rozumiem. Boisz się mnie?

- Tak, czasami - odpowiada po namyśle. - Staram się być szczerą. Docerń to - dodaje po chwili.

- Doceniam, ale jak to sobie wyobrażasz? Że któregoś dnia każę ci położyć się na łóżku, wezmę pasek i dostaniesz lanie na gołą pupę? - Adam odchyła się na krześle.

- Chociażby - Melania z trudem przełyka ślinę. - Sam mówiłeś, że gdy zajdzie taka potrzeba, ukarzesz mnie cielesnie. Nie wiem, czy zniosę przemoc fizyczną.

- Wiesz, co to przemoc?

- Wiem. To sytuacja, gdy ktoś wykorzystuje swoją przewagę nad inną osobą.

- Uważasz, że mam nad tobą przewagę?

- Fizyczną? - Kobieta parska śmiechem. - Oczywiście, że tak. Chyba nie wątpisz w to, że jesteś silniejszy.

Przez chwilę znów ocenia go wzrokiem. Widzi dobrze zbudowanego, wysportowanego samca: mięśnie, ścięgna, kości. Tłuszczu jak na lekarstwo - może tyle, żeby zapewnić rezerwuar dla hormonów. Jakież dwanaście procent?

- Jeszcze jakąś? Psychiczną? Może materialną?

- Psychiczną chyba nie, materialną na pewno.

- Jak wyobrażasz sobie wykorzystywanie przewagi materialnej? Mam was kupić: ciebie i przy okazji twojego szefa? - Harding śmieje się na całe gardło, ale dosyć szybko się uspokaja.

- Dlaczego nie porozmawiasz ze mną o fizycznej przewadze? Przecież o to mi chodzi. - Melania patrzy na niego skupiona jak w trakcie rozmów z najtrudniejszymi klientami, oczekującymi nierealnych rozwiązań, lub kolesiami z federalnego.

- Rozmawialiśmy o przemocy, przypominam. - Adam nagle poważnie. – A z przemocą mielibyśmy do czynienia, jeśli nie uzyskałbym twojej zgody, twojego przyzwolenia na to, co zamierzam.

- A co zamierzasz? - Panna Duvall spuszcza głowę. Znow się boi. Zaczynają jej drżeć dłonie, wilgotne od potu opuszki palców lekko wibrują. Ukradkiem wyciera ręce o sukienkę, zostawiając ciemne plamy na malinowym jedwabiu.

- Nie zrobię ci krzywdy. Dlaczego tak mi nie ufasz? - mówi mężczyzna spokojnym głosem, jak do dziecka.

- Ufam ci.

- To po co hasło?

- Nie wiem...

Zapada cisza, nagle przzerwana ostrym dźwiękiem telefonu. Melania podskakuje na obrotowym fotelu, ale dosyć szybko sięga po komórkę.

- Przepraszam. - Zerka na Adama, on przyzwalająco kiwa głową.

- Melania Duvall, słucham? A, to ty... Zmieniłeś numer... Aha, rozumiem... Tak, zapoznałam się z tym i od razu uprzedzam: nie ma żadnych szans na takie rozwiązanie. Żadnych.... - Kobieta huśta się na fotelu. - Nie! Nie ma możliwości... Mówiłam, jak macie to zrobić! - podnosi głos. - To bezdyskusyjne, nie mam zamiaru jeszcze raz ci tłumaczyć, co należy do twoich obowiązków. Jestem zajęta... Tak, bardzo! Cześć.

Aparat ląduje na blacie biurka.

- Idiota! - wyjaśnia przyczynę swojego zachowania.

- Pracownik? - Harding unosi brwi.

- Tak. Wkurzył mnie.

- Łatwo się denerwujesz...

- Nie. - Głos kobiety natychmiast łagodnieje. - Przepraszam.

- Wróćmy do rozmowy. Jakie to słowo?

- Słowo? - Melania na chwilę traci orientację. - A... masz na myśli hasło?

- Tak.

- Nie wiem, nie zastanawiałam się - odpowiada szybko. Jest nieprzygotowana i czuje się z tym fatalnie. Żeby przykryć swoją ignorancję, bierze egzemplarz „USA Today” i przelatuje wzrokiem artykuł o kolejnych zamieszkach w Strefie Gazy. Nic nie przychodzi jej do głowy, wszystko wydaje się kompletnie głupie. Po niecałej minucie gazeta znow trafia na blat biurka. – Mogę podać ci jutro?

- Nie. Załatwmy to teraz. - Adam wygląda jak człowiek, który nie

zamierza negocjować.

- No dobrze - wzdycha Mel i ponownie sięga po gazetę. Wie, że hasło powinno być całkiem oderwane od sytuacji, w jakiej mogłaby je wykorzystać. Przewraca strony, czuje, że znów zaczyna się denerwować, w końcu dociera do krótkiej notatki na temat rynku pojazdów wykorzystywanych w komunikacji miejskiej. - Tramwaj. - Podnosi głowę i patrzy na Adama.

- Tramwaj?

- Tak. Tramwaj. - potwierdza Melania, już spokojniejsza.

- Z czym ci się kojarzy to słowo?

- Hm... *Tramwaj zwany pożądaniem?* - chichocze.

- I z czym jeszcze?

- Marlon Brando jako Stanley Kowalsky? - Panna Duvall chyba chce zaimponować Hardingowi świetną znajomością starych filmów. A może to fizyczne podobieństwo między Adamem a Brando przywodzi jej na myśl taką odpowiedź?

- Ojciec mojej matki się tak nazywał.

- Naprawdę? Niesamowity zbieg okoliczności. - Melania uśmiecha się i z niedowierzaniem kręci głową.

- Nie. W Polsce Kowalsky to jak u nas Smith. - Adam nie podziela jej entuzjazmu.

- Rozumiem. - Znów czuje się głupio, wyszła na idiotkę, która nie ma żadnej, nawet podstawowej wiedzy o kraju, z którego pochodzą nieżyjący już dziadkowie jej partnera.

- Zgadzam się.

Mel znów nie rozumie, dopiero po kilku sekundach dociera do niej, że Harding właśnie przychylił się do jej prośby o hasło.

- Dziękuję.

- Wyjaśnię ci coś. Użyjesz tego słowa tylko raz.

Melania już ma spytać, dlaczego tylko raz, ale szybko się domyśla: gdy powie „tramwaj”, będzie to oznaczało koniec ich dziwnego związku.

- Punkt czwarty? - upewnia się.

- Tak.

- To warunek bezwzględny?

Adam nie odpowiada, patrzy spod przymrużonych powiek, jakby nie dowierzał, że Melania może być aż tak naiwna.

- Rozumiem. - Kobieta znów się denerwuje. Poprawia nerwowo brzeg

sukienki, zostawiając na nim kolejne odbicia wilgotnych palców. Cieszy się, że Harding tego nie widzi. Jest taki perfekcyjny...

- Powinnaś być zadowolona.

- Dlaczego?

- Zachowałaś kontrolę. Teraz możesz wszystko zakończyć. Od ciebie zależy, jak długo będziemy się spotykać.

Mel nagle sobie uświadamia, że ugrzęzła w ślepym zaułku. Adam wstaje i poprawia marynarkę, zapina guzik, następnie podnosi aktówkę.

- Odprowadzisz mnie? - pyta po chwili.

Panna Duvall zerka na kolana: plamy jeszcze są widoczne, jak sok z czarnych jagód wyciśnięty do malinowego kisielu. Mimo to wstaje i podchodzi do swojego gościa. On spuszcza wzrok, zauważa brzeg sukienki i od razu się domyśla, skąd ciemne ślady. Odstawia walizkę, kładzie dłonie Melanii na swoich ramionach, a później ostrożnie ją obejmuje. Jego ręce powoli otaczają wąską talię. Palce kojąco gładzą skórę, oddzieloną jedynie cieniutką warstwą śliskiej tkaniny.

- Coś ci dzisiaj pokażę.

- Co? - Kobieta delikatnie się chwieje, choć Adam trzyma ją bardzo mocno.

Ich usta prawie się stykają, Mel czuje zapach męskiego ciała, własny pot i jeszcze perfumy Opium, które od zawsze bardzo lubi, choć już dawno są niemodne.

- Zabiorę cię w piękne miejsce. Jeszcze nigdy tam nie byłaś.

- Mam się jakoś przygotować?

- Tak. To naprawdę wyjątkowe miejsce, sama zobaczysz. Załóż najładniejszą sukienkę. Może niebieską, masz taką?

- Mam. - Panna Duvall przełyka ślinę. Czuje, że cała płonie, ma nieprawdopodobną ochotę go pocałować, ale wie, że z makijażem nie może tego zrobić.

- Będę o ósmej.

- OK.

- Słucham? - Adam przez chwilę czujnie na nią patrzy.

- Przepraszam. Zapomniałam się. Będę na ciebie czekać - poprawia się natychmiast Mel.

- Świetnie. To do zobaczenia. - Harding się nachyla i na sekundę delikatnie dotyka ustami zarumienionego policzka.

- Do zobaczenia.

Dzwonek domofonu. Melania rzuca wzrokiem na zegar łazienkowy - dziewiętnasta. Przez moment usiłuje sobie przypomnieć przebieg rozmowy z Adamem. Jest pewna, że miał być o dwudziestej, waha się, ale w końcu szybko narzuca na siebie jedwabny szlafrok i biegnie do drzwi.

- Słucham?

- Witam, panno Duvall. Pan Harding do pani.

- Kto? Proszę powtórzyć. - Dobrze usłyszała, ale chce sobie dać jeszcze trochę czasu na odnalezienie się w zaskakującej sytuacji.

- Adam Harding. - Głos portiera brzmi znajomo, ale i tak jej nie uspokaja.

- Proszę go wpuścić.

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Mel rozgląda się nerwowo, jakby gdzieś na ścianie pokrytej seledynową tapetą mogła znaleźć odpowiedź na nurtujące ją pytanie. „Chyba się nie pomyliłam?” - zachodzi w głowę.

- Hej. - Adam wchodzi do mieszkania i cmokają delikatnie w policzek.

- Przepraszam, jestem godzinę przed czasem.

Kobieta oddycha z ulgą. Nawet nie myśli, żeby spytać, skąd ten pośpiech.

- Możesz gdzieś to schować? - Gość podaje jej grafitową marynarkę.

- Tak, oczywiście. - Zabiera ubranie przesycone zapachem mężczyzny i wiesz je w szafie wnękowej. - Zapraszam. - Wskazuje drogę do salonu. - Czegoś się napijesz?

- Nie. Dziękuję. - Adam staje przy regale z kolekcją filiżanek i przygląda się im z ciekawością.

Melania taksuje go wzrokiem. Harding jak zwykle wygląda oszałamiająco: włosy, najwyraźniej lekko wilgotne (bo wydają się nieco ciemniejsze niż zwykle), zostały ułożone niedbale na bok. Elementy stroju są doskonale dobrane: czarna koszula napięta na mięśniach ramion i pleców, spodnie przylegające do wąskich bioder i pośladków rysujących się pod tkaniną, błyszczące buty. Adam jest piękny i niewiarygodnie seksowny, aż zapiera jej dech w piersiach.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę do łazienki... - Melania czuje się dziwnie skrępowana, gdy to mówi. - Chciałabym...

- Będziesz się malować? - Adam odwraca się niespodziewanie.

- Tak.

- Pójdę z tobą - stwierdza po sekundzie. - Uwielbiam patrzeć na kobietę, gdy robi makijaż.

Panna Duvall zagryza wargi, myśląc, że to dosyć dziwne upodobanie, ale nie protestuje. Razem wchodzi do łazienki. Adam znów rozgląda się z zainteresowaniem. Nie był jeszcze w tym zakątku jej apartamentu. Łazienka jest duża i piękna, tak jak jego oczy. Błękitna (a tu i ówdzie - szmaragdowa) glazura pokryta specjalną warstwą opalizującego tęczowo szkliva, beżowe dodatki: ręczniki, dywaniki przed dwuosobową kabiną i wanną z jacuzzi, złote wykończenia armatury i także kinkiety - całość sprawia wrażenie plaży w Saint Tropez. Morze, piasek i słońce... Melania była tam raz na wakacjach, dwa lata temu, i do dziś nie może zapomnieć, jak bardzo się jej podobało.

- To trochę potrwa. Chcesz usiąść? - Patrzy na Adama, opierającego się o brzeg kamiennego blatu szafki.

- Nie.

Mel wzrusza ramionami, znów nerwowo przygryza wargi. Stara się nie dać po sobie poznać, jak bardzo krępuje ją ta sytuacja, dlatego dość zamasyście otwiera szufladę skrytą pod umywalką. Wyciąga okazały koszyk z kosmetykami i kładzie go zaraz obok zagłębienia wyciętego w kremowym marmurze.

- Co to? - Harding zadaje pierwsze pytanie.

- Baza pod podkład. - Melania nie ma pojęcia, dlaczego tak go interesują jej kosmetyki.

- Jaka?

- Bezbarwna, silikonowa - odpowiada po chwili.

Adam nic nie mówi, więc ona znów odwraca wzrok w stronę lustra.

- Jesteś uczulona na jakieś kosmetyki? - pada następne dziwne pytanie.

- Nie. - Tym razem Melania nie przerywa. Rozsmarowuje bazę na policzkach i lekko wklepuje w skórę. Znajome, codziennie powtarzane czynności od razu ją uspokajają.

- A na leki?

- Też nie.

- To rzadkie zjawisko.

- Uhm... teraz wszyscy mają na coś alergię.

- Taka moda. - Harding parska śmiechem.

- Och, zapomniałabym... Mój organizm reaguje bardzo nieprzychylnie

na owoce morza. - Melania lekko unosi kąciki ust. - Znacznie gorzej sobie z nimi radzi niż z nadmiarem alkoholu.

- Zapamiętam. Żadnych ostryg i małży. Ryby?

- Mogą być.

Zapada cisza, co jakiś czas przerywana jedynie dyskretnym uderzeniem kolejnego przedmiotu wrzucanego do koszyczka: buteleczki z podkładem, płynnego korektora, pudełka z meteorytami Guerlaina, metalowej puszki z różem, ulubionej paletki cieni do powiek, tuszu do rzęs...

Mija dwadzieścia pięć minut. Makijaż jest prawie gotowy. Brakuje jedynie krwistoczerwonej pomadki do ust i pudru fiksującego.

Melania wygląda podobnie do gejszy: ma jasną, prawie białą twarz, mocno podkreśloną oprawę oczu, kości policzkowe pokryte opalizującym różem i usta zamaskowane podkładem. Nawet kok upięty na czubku głowy przypomina japońską fryzurę, tylko kolor włosów się nie zgadza. Panna Duvall odwraca twarz w stronę mężczyzny. Bardzo chciałaby go pocałować, ale nie ma śmiałości wyjść z inicjatywą.

- Zdejmij szlafrok - Adam nagle wydaje polecenie.

Melania spuszcza oczy, czuje, że zaczynają jej drżeć dłonie, ale rozwiązuje pasek. Bordowe wdzianko zsuwa się z ramion i bezszelestnie upada na dywanik. Kobieta stoi w samej bieliźnie: komplecie z cielistej, kremowej koronki.

- Jesteś piękna - stwierdza Harding po chwili zachrypniętym głosem. - Dokończ makijaż.

- Dobrze. - Panna Duvall posłusznie się odwraca, ale zanim ujrzy w lustrze swoją twarz, jej wzrok na moment zatrzymuje się na rozporoku mężczyzny. Melania nie ma wątpliwości: Adam jest podniecony tak samo jak ona. Pomadka w dłoni lekko drży.

- Dlaczego się nie malujesz?

- Już.

Przykłada pomadkę do ust i próbuje idealnie równo zarysować ich kształt. Powoli przesuwając szminkę.

- Co teraz?

- Jeszcze tylko utrwalenie. - Mel nie wie, dlaczego od razu pokazuje pojemnik ze specjalnym, transparentnym pudrem z mąki ryżowej.

To bardzo drogi specyfik, kupiony w jednym z najlepszych butików z azjatyckimi kosmetykami. Opakowanie - okrągły słoik z czarnej laki ozdobiony ręcznie malowanymi kwiatami wiśni - wygląda jak dzieło sztuki.

Na szczęście ten etap nie wymaga żadnej precyzji. Kobieta wyciąga z koszyka pędzel kabuki i obficie obsypuje całą twarz grubą warstwą pudru. Czeką chwilę, żeby się wchłonął, i strzepuje nadmiar do umywalki. Znow nabiera nieco pudru na pędzel, ale wtedy Harding odrywa się od szafki, powoli podchodzi i staje z tyłu.

- Podaj mi to, czego używałaś na początku.

Melania odkłada pędzel i wyjmuję tubkę z koszyczka.

- Powiedz mi, co jest w składzie. - Harding wysuwa rękę po kosmetyk.

- Chyba tylko silikon kosmetyczny i woda. Nie wiem dokładnie.

- Rozumiem.

Panna Duvall tkwi w bezruchu, nie bardzo wie, co ma robić i dlaczego Adam stoi za nią.

- Dokończ. Chyba miałaś coś jeszcze zrobić?

Ona posłusznie sięga po pędzel, zaczyna nakładać drugą warstwę pudru na dekollet i szyję, a on przysuwa się całkiem blisko. Jego oddech porusza maleńkie włoski na karku Melanii, a ręka zsuwa jej koronkowe bokserki. Kobieta znow zastyga.

- Maluj się.

Pędzel trafia do słoiczka. Mel stara się nie zwracać uwagi na swojego towarzysza.

Ten zaś odkręca tubkę, wrzuca nakrętkę do umywalki, wyciska połowę zawartości na palce. Przesuwa się na bok i lekko schyla. Przed oczami ma ramię partnerki, twardy fallus ociera się o jej biodro. Prawa dłoń powoli trafia między pośladki Melanii, dociera opuszką środkowego palca do pierwszej napotkanej dziurki.

- Maluj się - ponawia polecenie Harding, bo panna Duvall znow zamiera.

- Nie mogę się malować, gdy ty...

- Punkt siódmy. Maluj się.

Kobieta próbuje za wszelką cenę zachować spokój, gdy palec wsuwa się coraz głębiej w jej ciało, ale drżące dłonie w końcu upuszczają pędzel i słoiczek. Kosztowne pudro wpada do umywalki i rozbija się z trzaskiem. Puder stopniowo opada, pokrywa całe wnętrze marmurowej niecki. Melania opiera dłonie o jej brzeg i zaczyna płakać. Łzy skapują z policzków, spadają na powierzchnię pokrytą proszkiem i turlają się w dół w postaci białych kulek, ale Harding chyba tego nie zauważa. Ciągle wsuwa i wysuwa palec, coraz głębiej i łatwiej. Po chwili dołącza do niego drugi, mężczyzna poczyną sobie coraz śmielej.

- Proszę, przestań.
- Dlaczego płaczesz? - szepcze Adam.
- Nie chcę, żebyś... tam mnie dotykał.
- Dlaczego nie chcesz? Boli cię?
- Nie - odpowiada po chwili Mel.

Harding wyciąga palce, obraca partnerkę tak, żeby widzieć twarz. Trzyma Mel za ramiona.

- Czy to cię bolało?
- Nie. - Melania nie może wydusić z siebie prawdziwego powodu.
- Wstydzisz się? Brzydzisz własnego ciała? - Adam próbuje wydobyć z niej prawdę, ale ona w milczeniu połyka łzy. Tylko tak jest w stanie odpowiedzieć.
- Chodź.

Męska ręka chwyta Melanię za ramię, a druga zabiera dwa grube, kąpielowe ręczniki i tubkę z bazą. W sypialni Harding kątem oka zauważa wiszącą na drzwiach szafy niebieską suknię na ramiączkach, dosyć ładną, w mocnym, kobaltowym odcieniu, rzucającym się w oczy nawet w tak marnie oświetlonym pokoju. Nie wie, że to bardzo stara sukienka z kolekcji Versace, trzymana przez sentyment i wykopana gdzieś z dna szafy. Melania kupiła ją przed laty w jakimś butiku z używanymi ciuchami, wtedy jeszcze nie było jej stać na te z aktualnych kolekcji.

- Połóż się na brzuchu i wsuń to pod siebie.

Zwinięte ręczniki lądują na łóżku. Kobieta posłusznie się kładzie, pieczołowicie wciska pod uda i płaski brzuch rolkę z lekko chropowatego frotte. Słyszy, jak Adam zdejmuje buty i koszulę. Spinki od mankietów i zegarek trafiają na małą szafkę tuż obok łóżka. Mężczyzna rozpiną klamerkę paska i wyciąga go z cichym świstem ze spodni,

- Chcesz mnie... zbić? - szepcze Melania przez ciągle napływające łzy.

Harding przestaje się rozbierać, kobieta nie słyszy już żadnego odgłosu oprócz ciężkiego oddechu.

- Nie.
- Przepraszam. Chcesz mnie ukarać? - poprawia się szybko.
- Uważasz, że zasłużyłaś?
- Nie. Nie wiem... - Panna Duvall wtula twarz w poduszkę. Tak bardzo się denerwuje, że jest jej wszystko jedno. Znów boi się Adama, ale jednocześnie pragnie go jak jeszcze nigdy żadnego mężczyzny. Umiera z pożądania, chce jak najszybciej poczuć jego dotyk. Nawet nie myśli o tym,

że się rozmazała. Makijaż wtarł się w poduszkę i twarz wygląda teraz jak maska klauna.

- Nie ukarzę cię, bo nie ma powodu. - Harding klęka obok, Melania czuje, jak materac ugina się pod jego ciężarem. - Rozsuń nogi.

Palce pokryte nową porcją chłodnej mazi znów trafiają w to samo miejsce.

- Proszę, nie - cicho jęczy Mel. - Nie chcę, żebyś mnie tam dotykał. Proszę, przestań.

- Dlaczego tak się opierasz?

- To będzie bolało.

- Kochałaś się tak z kimś? - Nie.

- Skąd wiesz, że to boli?

- Nie wiem. Nie chcę tak... Proszę cię, Adam. Proszę... - skamle coraz ciszej w mokrą od łez satynową poszewkę.

- Mel, wiem, że tego chcesz. Chcesz, żebym cię zerznął w tyłek, mocno. I nie palcami, tylko kutasem. Zrobię to. Będę cię pieprzył jak sukę, a ty będziesz krzyczeć z rozkoszy i prosić o jeszcze - szepcze Harding do jej ucha, nie przestając masować coraz szerzej otwierającej się dziurki.

W końcu wyciąga palec. Rozpina spodnie i kładzie się na kobiecie.

Jest silny i ciężki. Choć wspiera się na ramionach, przygniata mnie tak mocno, że nie mogę oddychać. Czuję, jak jego członek próbuje się wsunąć, rozpycha mnie do granic możliwości. Każdy ruch sprawia ból. Mam wrażenie, że za sekundę rozerwie to miejsce, do którego tak usilnie chce wejść. Ze wszystkich sił zaciskam pośladki, nie chcę, to naprawdę boli... Już mam powiedzieć: „tramwaj”, ale nie mówię. Nie wiem dlaczego, chyba jestem zbyt napalona, żeby to przerwać.

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy - szepcze Adam. Kolejna fala drżenia przelatuje przez ciało, podnoszą mi się wszystkie włosy: na głowie, na rękach, wszędzie. - Nie zrobię ci krzywdy, zaufaj mi. Rozluźnij się, chcę, żebyś była szczęśliwa, jestem przy tobie, jesteś taka piękna, pragnę cię...

- Powiedz to jeszcze raz, proszę... - Nagle przestają się go bać.

- Mel... Moja słodka Mel, pragnę cię, pożądam cię, jesteś piękna... Chcę cię pieprzyć w tyłek... - Adam sączy słowa, a ja coraz bardziej się poddaję. Nie wiem, kiedy wsuwa się we mnie zaczyna poruszać. Coraz mocniej i szybciej. Mam wrażenie, że jego penis przebija mnie na wylot i dotrze do ręcznika szorującego po cipce. Znajome ciepło rozlewa się po brzuchu, zaczyna nieznośnie łaskotać... chcę więcej... i wtedy, gdy już prawie

dochodzę, Adam zwalnia, a ruchy stają się delikatniejsze.

- Jeszcze... chcę mocniej - mówię z trudem.

- Chcesz mocniej?

- Tak. I szybciej... proszę.

- Powtórz - szepcze prosto do ucha, nadal posuwając mnie w tym samym, jednostajnym rytmie.

- Proszę, tak jak przedtem... Szybciej. Mocniej...

- Co? Co mam robić szybciej? - dopytuje, ale chyba nieco przyspiesza.

- Pieprz mnie, rznij! - błagam, bo czuję, że jeszcze tylko trochę i odpłynę.

- Gdzie cię mam rznąć? Czego chcesz? Powiedz! - zaczyna krzyczeć.

- Rznij mnie w tyłek, chcę tego! Proszę!

- Jak mam to robić?! - Adam się rozpędza, słyszę, jak jego uda z coraz głośniejszym mlaśnięciem uderzają o moje pośladki.

- Rznij mnie! Jak sukę! - skowyczę.

Bum, bum, bum - wali we mnie jak w bęben. Coraz mocniej i szybciej. Przystaję oddychać.

I nagle jest.

Fala krwi przepływa przez ciało, pulsuje wszędzie: w cipce, w głowie, w sercu, w koniuszkach palców, może nawet we włosach. Mam orgazm. Wszechogarniający orgazm... Płaczę. Głośno szlocham, a później chyba na moment tracę przytomność. Mam wrażenie, że jestem sama. Tylko ja i moja rozkosz. Nie wiem, ile to trwa.

Gdy fala odpływa, otwieram oczy. Zauważam dłoń Adama, która przesuwana się wzdłuż jednej z moich wyciągniętych rąk. Krzyżujemy palce, a chwilę później on tak mocno zaciska swoje, że miażdży mi kostki. Długie paznokcie wbijają się w miękkie wnętrze dłoni. Adam dochodzi z głośnym jęknięciem. Stacza się z mojego ciała, leży na boku i ciężko oddycha, ale jego ramię ciągle mnie obejmuje. Widzę, jak pod skórą bije mu serce, a krótkie włoski na klatce piersiowej złoto połyskują. Czuję... Nie wiem, co czuję. Wdzięczność? Za to, że właśnie pierwszy raz przeżyłam orgazm, kochając się z facetem? Nie. Może za to, że nie ustąpił i słusznie uznał, że spodoba mi się taka forma seksu? Też nie.

Nagle uświadamiam sobie, że go kocham. Kocham Adama, człowieka, którego prawie nie znam. Chcę mu to powiedzieć, ale mi nie wolno, bo przegram. Nie wolno mi się w nim zakochać, ale to już się stało... przed chwilą.

Boli mnie serce. Wiem, że muszę to wyznać, bo umrę z bólu. Nie

zależy mi na wzajemności. On nie musi mnie kochać,
nie dbam o to.

„Kocham cię” - chcę powiedzieć, gdy tylko Adam otwiera oczy. Zagryzam wargi. „Kocham cię, kocham cię, kocham cię...” Jakoś wytrzymuję, dławię się niewypowiedzianymi słowami.

Gorąca kropla stacza się z prawego oka, przepływa przez wypukłość nasady nosa, wpada do lewego oka, pokonuje je i, zasilona jego łzą, dociera do poduszki. Zaraz za nią następna i następna.

- Mel... - Adam mówi tylko tyle.

Przez moment zastanawiam się, czy potrafi czytać w myślach, i ogarnia mnie niepokój, ale wtedy mój kochane podnosi się z łóżka.

Adam wyciąga rękę w kierunku Melanii, ta wstaje i posłusznie idzie za nim do łazienki. Gdy dochodzą do drzwi, on nagle się zatrzymuje.

- Zamknij oczy - prosi spokojnie.

Wprowadza ją jak ślepcę. Nie chce, żeby zobaczyła się w lustrze.

Melania wygląda dosyć dramatycznie: czerwona pomadka roztała się po twarzy, razem z czarnym tuszem i cieniami do powiek tworzy malowniczą, sinofioletową kompozycję, sięgającą od oczu do brody - co wraz z kompletnie rozwalonym kokiem prezentuje się śmiesznie i głupio. Harding wie, że panna Duvall poczułaby się bardzo niezręcznie. Jeszcze zbyt wcześnie na taką poufałość między nimi.

Pomaga Melanii zdjąć stanik i wejść do kabiny prysznicowej, puszcza wodę z ogromnej deszczownicy wiszącej nad brodzikiem i sam szybko się rozbiera. Wchodzi do środka i zasuwa drzwi. Niewielkie pomieszczenie błyskawicznie zachodzi parą.

- Mogę otworzyć oczy? - pyta Melania głosem jeszcze drżącym z wysiłku. Stoi przy jednej z pokrytych złocistą mozaiką ścian kabiny.

- Jeśli chcesz... - Harding odpowiada nieco enigmatycznie.

Kobieta rozchyła powieki i widzi Adama trzymającego w dłoni mlecznobiałą buteleczkę.

- To żel do mycia twarzy? - upewnia się mężczyzna.

- Tak.

- Daj rękę.

Harding nalewa na delikatną dłoń nieco bezbarwnego płynu, lecąca z góry woda natychmiast wypłukuje połowę. Melania nagle się domyśla, jak koszmarnie musi wyglądać z rozmazanym makijażem.

- Wiem, nie możesz na mnie patrzeć - chichocze nerwowo. - Przepraszam. - Odwraca się i błyskawicznie zaczyna myć twarz. Mocno trze skórę, jakby chciała ją zedrzeć. - Mogę prosić jeszcze troszkę żelu? - Wyciąga dłoń, Adam nalewa kolejną porcję. - Może być? - Staje przodem. Jej oczy są zaczerwienione, nie wiadomo, czy od płaczu, czy też od kosmetyku. Twarz jest prawie czysta, ale resztki tuszu ciągle tkwią na policzkach. - Może. Pozwól, - Harding delikatnie przyciąga Melanię do siebie i zaczyna ją całować po ciemnych smugach. Wodzi czubkiem języka, jakby chciał nim usunąć resztki makijażu. Po chwili odrywa się, wyciąga kobietę spod strumienia wody, oblewa jej ciało żelem i myje. Ostrożnie przesuwa dłonie, zaczyna od twarzy, dociera do szyi, piersi, brzucha. Działa spokojnie i metodycznie. Odwraca Mel i nakłada żel na plecy, w końcu klęka i namydla resztę: cipkę, tyłek i nogi. Gdy już wszystko pokryte jest mleczną, prawie niewidoczną pianką, Adam wstaje i delikatnie popycha Melanię pod deszczownicę.

- Mogę cię umyć? - zagaduje ona po chwili.

- Nie.

- Dlaczego? - Unosi pięknie wymodelowane brwi. Tylko one nie ucierpiały, bo to makijaż permanentny. Melania zafundowała sobie tę przyjemność na dwudzieste siódme urodziny, razem z depilacją laserową nóg, pach i tak zwanego miejsca strategicznego, czyli głębokiego bikini.

- Mam straszne łaskotki. - Adam uśmiecha się bez troski, zabierając z niewielkiej półki kostkę mydła. - Nie zapomniałaś

o czymś?

Panna Duvall myśli intensywnie, ale nie ma pojęcia, o co może mu chodzić. O czym zapomniała? „Chyba już dość niespodzianek na dzisiaj...” - myśli. Nagle uświadamia sobie, że mieli gdzieś wyjść, a ona ma mokre włosy i znów jest bez makijażu. Zanim osiągnie stan kwalifikujący się jako „do ludzi”, miną dwie godziny. Wpada w popłoch, wie, że nie zdąży się wyszykować, tym bardziej że zegar widoczny przez jedną ze szklanych ścianek wskazuje pięć po ósmej. Gdyby bardzo się postarała i trochę zluzowała protokół, czyli wybrała rozpuszczone włosy plus naturalny makijaż, może starczyłoby pół godziny.

- Miałaś mnie zabrać w piękne miejsce, ale ja... no cóż, nie prezentuję się zbyt pięknie - mówi ze śmiechem.

Harding zakręca kurek z wodą. W milczeniu wyprowadza Melanię z kabiny i otula zabranym z półki płaszczem kąpielowym z błękitnego frotte.

Biodra owija ręcznikiem, którym uprzednio się wytarł, zabiera swoje rzeczy, razem wychodzą z łazienki.

Znów są w sypialni.

Kobieta siada na brzegu łóżka, Nie wie, co zrobić, patrzy na kochanka, który metodycznie się ubiera. Czarne bokserki, spodnie, skarpety, koszula... - każdy element trafia na swoje miejsce. Melania już wie, że Adam nigdzie jej nie zabierze. Jej wzrok pada na niebieską sukienkę. Wieczorowy łaszek wisi na drzwiach szafy, tak samo niepotrzebny jak jego właścicielka.

- Jesteś gnojem. Przeleciałeś mnie jak dziwkę, a teraz wychodzisz - rzuca panna Duvall przez zaciśnięte gardło i opuszcza głowę.

Adam zastyga. Prawa ręka, manipulująca przy mankiecie koszuli, zawisa nieruchomo nad metalową spinką, ale po może dwóch sekundach wraca do rozpoczętej czynności. Gdy już wszystko jest w idealnym porządku, Harding podchodzi do zgarbionej kobiety i kuca przed nią.

- Naprawdę tak o mnie myślisz? - Jego głos jest zachrypnięty.

- Tak. - Melania drży. Kolejny raz tego wieczoru boi się reakcji Adama, ale jest tak bardzo zła i rozczarowana, że nie dba o to. Pod powiekami znów czuje nieznośne pieczenie, które odbiera jako kolejną klęskę. Harding znieważył ją swoim obojętnym zachowaniem, a ona, zamiast stawić mu czoła, płacze jak mała dziewczynka.

- Uważasz, że przeleciałem cię jak dziwkę? - Adam patrzy na nią, jakby niczego nie rozumiał.

- Tak. Zrobiłeś, co chciałeś, a teraz po prostu wychodzisz? Wiesz, jak to wygląda?! Zanim sobie pójdziesz, powinieneś jeszcze rzucić mi parę dolców... - Melania krztusi się napływającymi łzami. - Miałeś gdzieś mnie zabrać... w piękne miejsce. Boże, jaka ze mnie idiotka! - Kręci głową z niedowierzaniem.

- Ile?

- Co ile?

- Ile mam zapłacić? - Harding opiera dłonie o materac po bokach jej drżących ud.

Panna Duvall wymierza mu policzek. Uderzenie jest mocne, mężczyzna przez chwilę masuje to miejsce.

- Wynoś się - słyszy po chwili.

- Chcesz być dziwką? Rajcuje cię to? Sprawowanie kontroli: ty decydujesz, komu dasz, jak i za ile? - cedzi pytania.

Melania znów próbuje go uderzyć, ale tym razem Adam chwyta ją za

rękę, zanim dłoń dotknie jego twarzy.

- Dosyć.

- Wynoś się! - Kobieta podnosi głos. Tkwiąc w żelaznym uścisku, teraz trzymana już za obie ręce, nie może zrobić żadnego ruchu, nawet nogi ma zakleszczone, bo Adam przysunął się i przygniótł je do boku łóżka. Jedyne, co jej pozostaje, to krzyczeć. Może jeszcze go opluć albo uderzyć głową, ale to pierwsze nie jest w jej stylu, a na drugie nie ma siły.

- Mel... - Harding opiera dłonie o materac. - Nigdzie nie wychodzę, tylko się ubrałem. Nie rozumiesz?

- Nie.

- Mam zdjąć ciuchy? Poczujesz się lepiej? Bezpieczniej?

- Nie. - Kobieta ciągle nie może pojąć, co zrobiła źle i dlaczego wszystko tak nagle się skomplikowało.

- Mel... Zabrałem cię ze sobą. Byłaś ze mną w tym wyjątkowym miejscu. Byliśmy tam razem, przed chwilą. - Adam nachyla się i całuje ją w mokry policzek. - Najpierw ty, a później ja.

Panna Duvall bierze głęboki wdech. Zamyka oczy i mocno zagryza wargi, aż do granicy bólu. W głowie tłuką się tylko dwa słowa: „punkt czwarty”.

Zaufanie.

Zaufanie.

Zaufanie.

Nie zamierza przeproszać Adama, wie, że już za późno.

Jej czoło powoli opada na silne męskie ramię.

- Połóż się.

Podnoszę oczy i ocieram je rękawem szlafroka, żeby lepiej widzieć. Nie pomaga. Nie wiem, czy Adam jest na mnie zły. Nie znam go, nie mam pojęcia, jak zareaguje, i znów się boję. Który to już raz?

- Mam się rozebrać? - Sięgam do grubego węzła.

- Nie.

- Na brzuchu? - Zerkam za siebie. Zwinięte ręczniki nadal leżą na środku materaca.

Adam lekko uśmiecha się pod nosem, chwytą mnie za ramiona i układa na skraju łóżka, a sam przysiada tuż obok.

- Dlaczego chciałaś się położyć na brzuchu? – Delikatnie głaszcze mnie po czole.

Zamykam oczy. Wstydzę się odpowiedzieć, gdy mam przed sobą jego twarz.

- Złamałam czwartą zasadę.

- I?

- Piątą. Uderzyłam cię. Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chyba wyzwalasz moje najgorsze instynkty.

- Sugerujesz, że to moja zasługa? - słyszę niski głos.

Nie brzmi to dobrze, więc od razu unoszę powieki.

- Nie. To nie twoja wina... - Spoglądam na Adama z przerażeniem. Marna próba wytłumaczenia się tylko pogorszyła sprawę. Czuję się całkowicie bezbronna, gdy tak leżę, a on siedzi i patrzy na mnie z góry.

- Mogę usiąść? - pytam po chwili.

- Tak jest dobrze - odmawia. - Boisz się, że cię ukarzę?

- Tak.

- Mówiłem, że masz prawo do jednokrotnego złamania każdej z zasad. Zapomniałaś?

- Tak... nie. - Biorę głęboki wdech. - Po prostu się gubię. Nie wiem, kiedy...

- Nie wiesz, kiedy to nastąpi? Kiedy i za co cię ukarzę? Tak?

- Tak. I ciągle się boję.

Nie mam pojęcia, dlaczego jestem tak szczerą wobec niego, to dla mnie spora nowość. Może moje zachowanie bierze się stąd, że Adam uważnie mnie słucha? Każde słowo, które mówię, trafia do jego uszu i wywołuje reakcję.

- Nie chcę, żebyś się mnie bała. Rozumiesz? Masz mi zaufać. - Adam chwyta moją rękę i ściska ją mocno dłońmi. - Nie skrzywdzę cię. Gdy będę miał zamiar cię ukarać, powiem ci o tym, a ty sama wybierzesz formę kary, którą wymierzę ci w swoim mieszkaniu. Czy takie rozwiązanie ci odpowiada?

- O... - W ostatnim momencie udaje mi się przerwać. - Tak, odpowiada.

- Oddycham z ulgą. Przynajmniej wiem, na czym stoję, że to nie dzisiaj i że u siebie zawsze mogę czuć się bezpieczna. - Sama mam wybrać formę? - powtarzam po nim. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam. - To znaczy? Przedstawisz mi jakiś wachlarz możliwości? Menu? Czy inwencja należy do mnie? Mam ci powiedzieć, czy decyduję się na przypiekanie gorącym żelazem, klęczenie na grochu, czy też na chłostę pokrzywami? - Próbuję żartować, ale marnie mi to wychodzi, gdy operuję głosem

pisikliwym jak u chłopca przechodzącego mutację.

Na szczęście Adam chyba rozumie, że nie jest mi lekko mówić o takich rzeczach, bo parska śmiechem.

- Posłuchaj - proszę spokojnie. - Każdy z nas się czegoś boi. Nie jesteś wyjątkowa.

- Ty się czegoś boisz? - Nie mogę uwierzyć, sprawia wrażenie tak pewnego siebie.

- Tylko głupiec nie odczuwa strachu. Jest kilka rzeczy, które wywołują mój niepokój. Na przykład igły.

- Igły? Takie do szycia?

- Nie - zaprzecza, rozbawiony. - Do strzykawek, akupunktury i tak dalej. Na szczęście to dosyć powszechne u mężczyzn, inaczej bym się nie przyznał. - Lekko się uśmiecha. - Niektórzy woleliby dostać kulę w udo niż serię zastrzyków, chyba też zaliczam się do tego grona. Nie uciekam przed pielęgniarką, ale do przyjemności to nie należy. Dlatego daję ci wolną rękę. Na pewno jest coś, czego byś nigdy nie zaakceptowała jako formy kary cielesnej.

- A co, jeśli zaproponowana przeze mnie kara będzie twoim zdaniem zbyt słaba? Nieadekwatna do przewinienia? - Nie potrafię zrozumieć, o co mu chodzi, zbyt mocno rozjeżdża się logika tej sytuacji.

- Ufam ci. Jesteś inteligentna i wychodzę z założenia, że podejmiesz właściwą decyzję.

- No dobrze, a gdy uznasz, że kara jest zbyt surowa? - Nie wiem, dlaczego przychodzi mi do głowy tak dziwaczny wariant. Byłabym idiotką, gdybym sama skazywała się na cierpienie.

- Zastrzegam sobie prawo do złagodzenia kary, jeśli uznam, że naraziłaby cię na jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu. Mówi o tym punkt pierwszy - tłumaczy cierpliwie Adam.

- Uhm...

Na moment milknę. Rozmyślam nad wszystkim, co powiedział, i choć to dziwne, uspokajam się.

- Która godzina? - zagaduję po dłuższej chwili.

- Prawie dziesiąta. Jesteś zmęczona?

- Chyba tak. - Od razu zauważam, że Adam już nie trzyma tak mocno mojej dłoni. - Chcesz iść? - pytam z niepokojem.

- Mam zostać?

- A możesz? - Ściszam głos prawie do szeptu. - Nie chcę być sama.

- Zostanę i poczekam, aż zaśniesz, ale pod warunkiem że dzisiejszą noc spędzisz tutaj. Nie zmieszczę się w twojej mikroskopijnej sypialni. Czy to ci odpowiada?

- Tak.

- W czym sypiasz?

- W koszuli.

- Idź się przebierz. - Wstaje i wyciąga rękę.

Podnoszę się i idę do łazienki. Chłapię twarz zimną wodą, wycieram się dokładnie, a później myję zęby i wklepuję krem w rozpalone policzki. Przez cały ten czas zastanawiam się, co założyć. Odwieszam szlafrok i gdy stoję przed lustrem kompletnie naga, nagle sobie uświadamiam, że nie muszę dzisiaj nikogo odgrywać. Wyciągam ulubioną bawełnianą koszulkę w zabawne owieczki. Wiem, że Adam mnie nie wyśmiej. Gaszę światło, wychodzę.

- Jestem. - Staję w progu. Po chwili zauważam różową pościel w grochy leżącą na oddalonej połowie łóżka.

- Porządziłem się trochę. - Mój gość zrzucił buty i leży teraz z rękami założonymi za głowę.

- Dziękuję. - Ledwie jestem w stanie coś z siebie wykrztusić. Klucha w gardle i znów to nieznośne pieczenie pod powiekami... Nic więcej nie czuję w tym momencie.

- Chodź tu. - Adam siada i wyciąga dłoń.

Układa mnie do snu, pieczołowicie okrywa kołdrą i gdy już leżę zawinięta jak w kokonie, gasi światło i przytula się do moich pleców. Przerzuca przez talię swoją ciężką rękę, w zakamarkach pościeli odszukuje moją dłoń i delikatnie ją chwyta. Przez chwilę bawi się palcami, po czym zamyka je w mocnym uścisku.

- Powiedz: czego jeszcze się boisz? - pyta.

- Igieł, tak jak ty, noży i wszystkiego, co ostre.

- Hm... nie będę mógł się przy tobie golić.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że używasz... - Biorę głęboki wdech.

- Tak, ale od dobrych kilku lat się nie zaciąłem.

- Pfe... - pryham. - Mam fobię na tym tle, wszystko, co kupuję, jest już pokrojone w plastry, a gdy oglądam film i na ekranie pojawia się nóż albo brzytwa, zasłaniam oczy. Okropieństwo...

- Zapamiętam. Żadnych noży. Wyrzucę wszystkie i kupię komplet rzeźbiarskich szpachelek. - Adam przyciska mnie mocno. - Coś jeszcze?

Pająki? Żaby? Owady?

- Klaustrofobia, ale częściowo ujarzmiona terapią.
- W porządku. Seks w szafie odpada.
- Jesteś taki kochany - mruczę jak kotka.
- Wiem...

Gdy budzę się rano i spoglądam na lewą stronę łóżka, zauważam na prześcieradle karteczki z numerami jeden i dwa.

Powoli rozwijam pierwszą. Drżą mi ręce, ale kiedy poznaję treść, natychmiast parskam śmiechem.

Wiesz, że chrapiasz?

Po drugą sięgam znacznie śmieiej.

Żartowałem.

Zadzwoń o dwunastej.

A.

Przyciskam karteczkę do ust.

Zjeżdżamy z mostu na rzece Susquehanna. Za nami połowa trasy do Braddock. Drzemię, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz podróżowałam do rodzinnego domu pociągiem. Chyba z sześć lat temu, gdy zaczynałam pracę u Gideona Kneppera, najlepszego szefa w całej Galaktyce.

Adam uparł się, że pojedziemy samochodem, Na moją uwagę, że lot do Pittsburgha z dojazdem na miejsce zajmie nam jakieś dwie godziny, a podróż łądem - grubo ponad sześć, stwierdził, że lubi prowadzić i że zbyt rzadko ma okazję. No cóż, ta argumentacja do mnie przemówiła, w ostatnim miesiącu przynajmniej pięć razy odwiedził lotnisko, a na miejscu korzystał wyłącznie z taksówek. Zresztą, będę szczerą: co ja mam do gadania, jeśli on od razu wyskakuje z zasadą numer siedem? Choć, trzeba przyznać, ostatnio zdarza się to coraz rzadziej.

Mistrz kierownicy zauważył, że przysypiam, więc już kilkanaście minut temu ściszył radio i zmniejszył chłodzenie w kabinie. Jest mi dobrze, ciepło... Tak jakoś fajnie? Nie żałuję, że się zgodziłam. Z wielu powodów: mogłam zabrać dowolną ilość bagażu, choć na trzy dni nie potrzebuję zbyt wielu rzeczy, w aucie mamy więcej prywatności niż w samolocie, no i najważniejsze - będziemy nocować w hotelu. Adam zabukował już miejsce. Oczywiście nie

wiem gdzie, bo pan Harding rzadko się zwierza ze swoich posunięć.

Mama z pewnością kazałaby nam przenocować w domu, ja prażyłabym się w swojej dziupli (o szóstej rano było już ponad dwadzieścia pięć stopni), a mój chłopak (pierwszy, którego zaprosiłam do Braddock) wylądowałby w koszmarnej sypialni gościnnej. Jak znam matkę, biedny Adam, o ile by przeżył, przez miesiąc cuchnąłby kulkami na mole i suszoną lawendą.

Już się cieszę na dwie noce spędzone razem w cywilizowanych warunkach, ciekawe, czy on...

Nagle pas wpija mi się w pierś, a głowa odbija od zagłówka.

- Mel, wszystko w porządku? - Błękitne oczy wpatrują się we mnie z uwagą. - Przepraszam, jakiś idiota przegapił zjazd, ledwie wyrobiłem...

- W porządku... - Poprawiam pasy. - Gdzie jesteśmy?

- Jeszcze jakieś dwie i pół godziny. - Adam zerka na nawigację i z powrotem zakłada okulary przeciwsłoneczne. - Toaleta?

- Niepotrzebuję. Rzadko korzystam - chichoczę. - Jess twierdzi, że to przez kiepską przemianę materii, ale ty się nie krępuj.

- A może jesteś głodna?

- Trochę, a ty? Mam dwa bajgle z szynką i czymś tam... - Obracam się, żeby zabrać torebkę z tylnej kanapy.

- Sama robiłaś? - Szczyrzy zęby, gdy wiszę między siedzeniami.

- Ej! Harding! Wstałam o piątej, żeby kupić świeże...- Opadam na fotel.

- Doceń to, mówiłam ci, że nie jestem rannym ptaszkiem.

- Zawsze zabierasz prowiant na drogę? - Rechocze radośnie, widząc wypchane do granic możliwości pudełko na kanapki.

- Nie. Tylko gdy podróżuję łądem, zwłaszcza w takim upale.

- Jesteś zła, że jedziemy moim samochodem?

- A czym mielibyśmy jechać, jak nie twoim... - burczę, wyciągając lekko zmięty precel.

- Zapomniałem! Przecież ty nie masz samochodu! – Adam uderza dłonią o kierownicę. - To tak nieprawdopodobne, że ciągle wylatuje mi z głowy.

- Jestem oryginalna. Co z tym bajgłem? Chcesz czy nie?

- Dziękuję, raczej nie skorzystam. Nawet jak pieczywo w porządku, to szynka plastikowa, a pomidor zawiera więcej chemii niż paliwo, na którym jedziemy.

- Wypchaj się... Pewnie nie takim syfem pryskają twoje uprawy - odgryzam się natychmiast.

- W samo sedno, panno Duvall, w samo sedno... - Słyszę dumę w jego

głosie. - No dobrze, daj tego nieszczęsnego bajgla, który zmusił cię do ekstremalnie wczesnej pobudki.

Przez kilka minut przeżuвам „plastikowe” śniadanie. Zamierzałam zjeść rano, ale mój żołądek zwyczajowo budzi się około południa, więc nie wyraził zainteresowania.

- W sumie niezły ten bajgiel, a tak na marginesie: dlaczego nie masz samochodu? - pyta Adam po chwili.

- A po co mi? Po mieście poruszam się taksówkami, a do Jess jeżdżę tak rzadko, że to nie ma sensu. Zresztą zawsze mogę wypożyczyć jakieś auto.

- Wzruszam ramionami.

- Może i masz rację. Jesteś dobrym kierowcą? - rzuca od niechcienia.

- Tak. Chyba nie myślisz, że ze mnie jakaś lebiega? - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ma wątpliwości

- Nie, jakżebym śmiał... - parska pod nosem.

- Masz szczęście... Ups! - Plasterek pomidora, okraszony sosem tysiąca wysp, spada na moje jasne dżinsy. - Że też zawsze się muszę upaprać! - Próbuję śmiechem zakryć zażenowanie. - Powiedz mi, jak to jest: prawą rękę masz zajęta, patrzysz na jezdnię i nic ci nie wyleciało...

- Lata pracy na kombajnie...

- No tak. Zapomniałam.

- Zapominalska dziewczynka o nieskoordynowanych ruchach, a przy tym dobry kierowca i doskonały doradca podatkowy... - Adam zgniata opakowanie po bajglu i wrzuca je do schowka w drzwiach. - Ależ trafiła mi się perełka.

- Dzięki za komplement - burczę. - Naprawdę jestem wyjątkowa.

Próbuję chusteczką usunąć ślady po małym wypadku, lecz to daremne. Na dodatek upaśćkałam się w fatalnie usytuowanym miejscu, nikt nie lubi mieć pomarańczowych plam między nogami i w okolicy cipki. - Nie no, co za pech...

- Gdybym był pomidorem, też bym tam celował... - Mój kierowca wygłasza swoją kwestię bez cienia wstydu. - Musisz go zrozumieć. To był zmodyfikowany genetycznie pomidor samiec.

- Przestań. - Próbuję być surowa, ale mi nie wychodzi.

W końcu zakrywam plamę torebką i kończę jeść nieszczęsnego bajgla.

- A tak na serio: nie jesteś zła o ten samochód? - Adam dopiero po dłuższej chwili przerywa milczenie.

- Nie. Bardzo się cieszę, że mnie namówiłeś. - Zerkam na niego.

- A o to, że się wprosiłem?
- No, tu już troszkę mniej... - drocę się. - Bo?
- Żartuję.
- Jakiś inny mężczyzna był już w podobnej sytuacji?
- Nie - odpowiadam bez namysłu.
- Nie? - Adam chyba się zdziwił, bo jego palce przez moment podskakują na kierownicy jak na klawiszach fortepianu.
- Nie. Nikt nie chciał czy nikogo nie zaprosiłaś?
- 1 to, i to. Od lat sama odwiedzam rodziców we wszystkie święta, zresztą poza nimi również. Wiesz, Dzień Niepodległości ludzie raczej spędzają w rodzinnym gronie... - Wzruszam ramionami. - Nawet nie przyszłoby mi do głowy zapraszać któregoś z tych facetów.

Nagle uświadamiam sobie, że moje słowa mogły urazić Adama. Znów zapomniałam, że mój chłopak nie ma w Stanach bliskiej rodziny, a jego jedyna siostra mieszka na innym kontynencie.

- Przepraszam cię. - Próbuję się zrehabilitować. - Jestem głupia... - Delikatnie dotykam jego ramienia i je głaszczę. - Nie gniewasz się?
- Nie.
- Czasami coś chlapnę, zamiast ugryźć się w język...
- Chcę, żebyś była szczerą.
- To nie była szczerłość, raczej empatia jak u tego pomidora- wzdycham.
- Jeszcze raz przepraszam.

Moja mina chyba nie wygląda zbyt przekonująco, bo Adam nagle zjeżdża w niewielką zatoczkę parkingową i zatrzymuje samochód. Silnik gaśnie, kłamra pasów cicho klika przy rozpięciu.

- Mel... nie gniewam się. - Nachyla się w moją stronę. - Chciałem spędzić z tobą te kilka dni, jestem wdzięczny i szczęśliwy, że się zgodziłaś.

- Ja też się cieszę, naprawdę. Ciągle zapominam o twoich... - Zagryzam wargi. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Nic złego nie zrobiłaś. - Uśmiecha się.

Wyswobadzam się z rozpiętych pasów. Obejmuję mojego chłopaka i przytulam twarz do ciepłego policzka.

- Cieszę się, że nie jestem sama.
- Ja też - szepcze Adam wprost do ucha. - Pocałuj mnie, Mel...

Nasze wargi nieśmiało się odnajdują, zamykam oczy, żeby lepiej czuć smak. „Uwielbiam cię całować...” - mówię w myślach i coraz mocniej

przywieram do Adama.

- Mel... a gdybyśmy... - Jego dłoń wsuwa się pod moją bluzkę.

- Nie tutaj, wszyscy nas tu... - Próbuję dokończyć, ale przerwy między pocałunkami są takie krótkie.

- A gdybyśmy najpierw pojechali do hotelu?

- Mówiłam rodzicom, że będziemy...

- Były korki, zapomniałaś? - dyszy prosto w moją szyję.

- Jeszcze nigdy nie było korków na międzystanowej siedemdziesiątce, zresztą chyba na żadnej autostradzie...

- Widzisz, a dzisiaj były. Asfalt się stopił, samochody ugrzęzły... Co za niefart...

Nie wytrzymuję, parskam śmiechem. Lekko odsuwam Adama.

- Chcesz najpierw jechać do hotelu? - Zagryzam wargi.

- A ty nie? - Oddycha głęboko.

- Chcę... - Przelykam ślinę, gdy zauważam, jak jest rozpalony.

- Zadzwonisz, że dotrzemy jutro?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - Kręcę głową, starając się przybrać poważną minę.

- Mel... Przepraszam. - Adam nagle klepie się w czoło. - Nie chciałem stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Wbiłem się bez zaproszenia, a teraz chcę modyfikować program wycieczki.

Widzę, że jest mu głupio, ale nie przerywam zabawy.

- To niezbyt dobry pomysł, bo...

- Nie było rozmowy! Jakoś to rozchodzę. - Chwyta mnie za rękę, a drugą lekko uderza w swój rozporek.

- Bo... - próbuję dokończyć - już im mówiłam, że przyjedziemy jutro. Dzwoniłam wczoraj wieczem...

- Mel... - Adam odwraca się i kładzie dłonie na kierownicy.- Mel...

„Ups, pan Harding się trochę wkurzył, chyba nie przepada za niespodziankami...” Czuję się jak samotna surykotka przed karakalem.

- Jesteś zły? - Zagryzam zęby w oczekiwaniu na detonację.

- Jak myślisz... - Leniwie odwraca głowę.

- Czyli jes... - Nie przerywaj!

„O cholera, chyba jednak jest zły...” Odsuwam się odruchowo.

- Jak myślisz... czy w dwie godziny dojedziemy do Pittsburgha?

- E... - Słyszę, jak mój mózg ma myśli w poszukiwaniu odpowiedzi. - Adam! - Uderzam go lekko w ramię. - Ależ mnie wystraszyłeś!

- Naprawdę? - śmieje się jak szalony. - Zapnij pasy, mała, to będzie ostra jazda!

- South Place, fiu, fiu! - Melania siedzi na hotelowym łóżku i rozgląda się z ciekawością.

Apartament prezentuje się bardzo przyjemnie. Mały salonik i nieco większa sypialnia utrzymane są w nowoczesnym, ale ciepłym stylu. Mieszanka kolorystyczna ogranicza się do trzech barw: czekoladowego brązu, kremowego złota i bieli.

- Podoba ci się? - Adam siada z impetem, aż jęcząc sprężyny.

- Uhm...

- Wiesz, że jesteś jedyną znaną mi dorosłą kobietą, która powinna używać drabinki, żeby wejść na takie łóżko? - Spuszcza wzrok na stopy Melanii, wiszące jakieś dziesięć cali nad podłogą.

- Ha, ha, ha.

- Dobrze, że coś zjadłaś. Gdy się zgubisz w tym wyrku, przetrwasz co najmniej dobie. - Mężczyzna pije do apetytu swojej towarzyszki. W hotelowej restauracji pochłonęła ciepłą przystawkę, zupę krem z brokułów i spory stek z grilla.

- Panie Harding, mógł pan zarezerwować apartament z dostawką dla dziecka. - Melania szturcha go ramieniem.

- Rozmiar king dla King Konga. - Adamowi, który właśnie klepie w materac, podoba się gigantyczne łóżko.

- Mam latarkę w telefonie, puszcze sygnał świetlny. A tak na marginesie, ile mam ci zwrócić?

- Za co?

- Za hotel. - Panna Duvall zgrabnie zeskakuje na dywanową wykładzinę w kolorze kawy z mlekiem, pokrytą drobnym geometrycznym wzorkiem. - Zapłacę połowę, no i jeszcze paliwo. Tu już będę się upierać przy całości.

- Przestań...

- Nie przestanę... - Spaceruje po sypialni, podziwiając każdy detal. - Mówiłam ci, że nie lubię sponsoringu.

- Mel, nocujemy w hotelu z mojego powodu. Gdybyś sama odwiedziła rodziców, nie byłoby tego wydatku. Nie będę cię naciągać na koszty, a co do paliwa...

- Tak? - Kobieta zatrzymuje się przy wyjściu na spory balkon i wygląda na zewnątrz, choć niewiele widzi przez delikatną firankę w poziome pasy.

- Nie kupiłem ani galonu więcej, niż gdybym jechał sam. Ważysz mniej niż mój zestaw do golfa. Poza tym uwielbiam prowadzić, no i zachciało mi się zrobić parę setek po między- stanowej. Wiesz, silnik dotrzeć i tak dalej... Mam ten wózek dopiero od dwóch miesięcy.

- Aha... ciekawe wytłumaczenie.

- W zasadzie to ja jestem ci coś winny. Poczekaj, już wypiszę czek.

Adam wstaje z łóżka, przechodzi do saloniku i siada przy niewielkim biurku.

- No i co wyprawiasz, wariacie? - Melania staje nad nim. - Marnujesz blankiet...

- Nieprawda. Oto czek na sześć dolarów amerykańskich. Wiesz za co? - Harding wręcza jej pięknie wypełniony dokument.

- Wiem... pomidor samiec i plastikowa szyneczka. Ale one kosztowały tylko cztery dolce.

- Domyślam się. Nie wzięłaś pod uwagę napiwku.

- Ach, no tak... - Melania zabiera czek i wkłada go do tylnej kieszeni spodni. - Następną wycieczkę sponsoruję ja. Zgoda?

- Zgoda, a ja kupię bajgle.

- Może być.

- Mel... - Adam nagle obejmuje ją w talii.

- Muszę iść do łazienki, odświeżyć się nieco... - Panna Duvall ma zamiar troszkę sprowokować swojego kochanka.

- Dla mnie jesteś wystarczająco świeża...

- A dla mnie nie.

- Mel... ile jeszcze? Już prawie cztery godziny minęły od naszego popasu... Zaraz wybuchnę i wtedy rzeczywiście będziesz musiała się dołożyć do rachunku... - Męski głos brzmi coraz bardziej gardłowo. - Takie będą zniszczenia...

- No dobrze, po prostu chce mi się siusiu. - Melania wywraca oczami.

- A, to przepraszam... - Dłonie Hardinga natychmiast się unoszą.

Kobieta po cichu zmierza w kierunku łazienki, po drodze zabiera walizkę. Adam zauważa ten manewr dopiero wtedy, gdy małe kółeczka przejeżdżają przez próg pomieszczenia. Natychmiast zrywa się z fotela.

- O, ty! Siusiasz do walizki?

- Nie! - piszczy Mel, ale udaje się jej skryć i zamknąć drzwi na zamek.

- Zobaczysz, co się stanie, jak już stamtąd wyjdiesz...

- Co?

- Aż mi ciebie żal...
- Włącz telewizję i zamów szampana albo wino. Nie będziesz się nudził.
- O nie, moja droga, będziesz musiała to znieść na trzeźwo!
- Ale ja tak ładnie proszę...
- Jesteś nieznośna! Dlaczego tak ci ulegam?! - Adam wybuchł śmiechem.

Boję się. Sama nie wiem czego. A może wiem? Wiem...

Zaledwie sześć dni temu Adam odwiedził mnie w domu. Pierwszy raz kochałam się w ten sposób (na razie nie umiem mówić inaczej niż „w ten sposób"...), pierwszy raz mężczyzna sprawił, że przeżyłam orgazm bez swoich zabawek, pierwszy raz wyznałam komuś miłość (choć zdarzyło się to jedynie w głębi mojego serca), pierwszy raz to nie ja wiodłam prym w sypialni i zostałam w pewnym sensie przymuszona do... Pierwszy raz zasnęłam w męskich objęciach, otulona różową pościelą.

Chyba ciut za dużo tych pierwszych razów, chociaż gdybym miała odpowiedzieć na pytanie, czy czuję się przy Adamie bezpiecznie - odpowiedziałabym „tak". To kolejny pierwszy raz...

Ale i tak się boję.

Boję się samej siebie - że zawiodę.

Panicznie się boję, że...

Tak trudno mi to powiedzieć (zwłaszcza samej sobie), ale muszę...

A może nie powinnam się martwić? Może lepiej o tym nie myśleć?

Przecież obiecał, że zawsze będzie dawać mi rozkosz.

Nie będę zapeszać...

Wyciągam z walizki śliczną koszulkę nocną. Nie czarną, mam dość tego koloru. Najwyższy czas na zmiany. Dostyc panowania czerni i czerwieni. Teraz jest inaczej, zupełnie. Choć może nie do końca, ale będę się starać, żeby było...

Delikatny, pudrowy róż, przywodzący na myśl świeżą brzoskwinię, idealnie stapia się z moją skórą. Dwie fikuśne kokardki przy ramiączkach, falbanka na dole, cieniutka jak mgiełka podszywka pod koronkową tkaniną... Przytulałam miękką szmatkę do twarzy. Pięknie pachnie. Wyprałam ją ręcznie zaraz po zakupie (zawsze tak robię z bielizną). Użyłam najłagodniejszego płynu, przeznaczonego do niemowlęcych ciuszków. Nie wiem dlaczego. Może przejadło mi się już bycie wampem? Po trzydziestce

to niebezpieczne, lepiej zmienić kierunek.

Tak, to był dobry strzał. Koszulka prezentuje się uroczo.

Przez sekundę przytrzymuję rozpuszczone włosy. Nie... idiotycznie wyglądałabym w kucykach. Kilka razy trzepię głowę. Pofalowane pasma, rozsypując się, roztańczają wciąż wyczuwalny zapach szamponu. Lubię ten trik: umyć włosy, lekko podsuszyć, wilgotne skręcić w ścisły węzełek na karku.

A może warkoczyki? Niedbale rozdzielam włosy i luźno splatam. Na szczęście mam w torebce kilka recepturek. Nieźle. Jak te młodziutki Japonki w pornosach...

Zmywam makijaż i od razu maluję się jeszcze raz, ale jedynie podkład (wodoodporny) plus tusz do rzęs i ujarzmienie brwi. Kropelka perfum w olejku wtarta w skórę na karku i zgięcia łokci. Jeszcze tylko niskie bokserki z kompletu, hotelowy szlafrok (w nieco szalonej wersji z naszą flagą w roli głównej) i jestem gotowa.

Po cichu otwieram drzwi. Wysuwam głowę z łazienki.

- Adam... - Nieśmiało wychodzę. - Adam? Gdzie jesteś? - Rozglądam się po apartamencie. W saloniku z pewnością nikogo nie ma, wracam do sypialni. Panuje półmrok, palą się tylko dwie lampki przy łóżku. - O! - Dopiero teraz zauważam na szafce nocnej napełniony kieliszek i jakąś karteczkę. Wdrapuję się na materace.

Wypij mnie...

A gdy skończysz, zajrzyj do górnej szufladki szafki po lewej stronie...

- Melania z Krainy Czarów? - śmieję się pod nosem, pijąc bajkowo różowego szampana. To z pewnością coś z wysokiej półki. Delikatnie musuje, w cierpkim smaku wyczuwam nutkę pikantnej goryczki. To chyba imbir, a może pieprz? - Dobrze, czas na drugi akt... - gadam do siebie, przemierzając wyrko. W szufladzie nie znajduję nic oprócz kolejnej karteczki.

Zdejmij szlafrok...

Później zajrzyj pod poduszkę po prawej stronie łóżka...

- Hej! Skąd wiedziałeś, że go założę, panie wróżbito? - Wydymam usta, ale posłusznie zrzucam gruby płaszcz kąpielowy i znów pełnę na przeciwną stronę.

Zdejmij dolną część bielizny, uklęknij na brzegu łóżka (przodem do okna) i zamknij oczy. Pod żadnym pozorem ich nie otwieraj.

Już wiem, że to koniec zabawy z karteczkami. Zsuwam majtki i klękam, choć to dosyć dziwne. Jestem ciekawa, ile czasu przyjdzie mi czekać. Minutę, może dwie (straciłam rachubę czasu) wpatruję się w swoje odbicie, ledwie widoczne w zasłoniętej muślinem szybie. Kręgosłup zaczyna boleć, bo kolana zbyt mocno zapadają się w miękki materac. Opuszczam lekko drżące pośladki. Tak jest znacznie wygodniej. Kładę dłonie na udach i wypinam pierś. Nagle uświadamiam sobie, że miałam zamknąć oczy! Od razu zaciskam powieki i unoszę tyłek z cierpiących stóp. Przez chwilę nic się nie dzieje, a potem słyszę jakiś szelest przed sobą. Czuję podmuch ciepłego powietrza, ale nie otwieram oczu.

- Dlaczego kazałaś mi tak długo czekać?

„Skrywałeś się na balkonie, podglądaczu?” – chichoczę w duchu.

- Przepraszam, zapomniałam. - Zagryzam wargi.

- Mel, moja tak nieprawdopodobnie słodka ukochana, gdyby ktoś mi ciebie zabrał... Nie! Nie zniósłbym tego. - Słyszę, jak ciężko Adam oddycha. - Nie zniósłbym tej straty... Chcę cię smakować, ssać i lizać, kąsać twoje ciało, największą słodycz i obietnicę, jaką przyszło mi poznawać... - zarzuca mnie gradem nagłych wyznań.

Nie mogę się doczekać dotyku jego dłoni, ale on ciągle stoi i mówi.

- Jesteś piękna... Pokaż mi cipkę... - Głos brzmi tak namiętnie, że przez całe moje ciało od razu przechodzi dreszcz. Lekko unoszę krawędź koszulki i nasłuchuję. Jakie będą następne polecenia?

- Podnieś wyżej. Chcę zobaczyć twoje piersi.

- Mam ją zdjąć? - pytam, chwytając tkaninę drżącymi z podniecenia palcami.

- Tak, choć wyglądasz w niej uroczo...

Klęczę naga, nic nie widząc i łaknąc kontaktu z ciepłem męskiej skóry, lecz Adam nadal rewanżuje się za zbyt długie czekanie. Słyszę, że się rozbiera, i gdy przypominam sobie, jak cudowne jest jego ciało, chcę, żeby jak najszybciej stało się częścią mnie.

- Mogę otworzyć oczy?

- Nie... Będę cię pieścił wzrokiem, a ty masz mnie czuć... Rozumiesz?

Kiwam głową i poprawiam się na łóżku. Lekko rozchyłam nogi, żeby stabilniej klęczeć.

- Dotykam twojej szyi... - padają pierwsze słowa, wymawiane bardzo

powoli. - Całuję cię po niej, a mój oddech porusza maleńkimi włoskami. Liżę ją i delikatnie pieszczę płatki uszu, najpierw lewy, a później prawy... Czy to czujesz? – chrypi Adam cicho.

- Tak. - Z podniecenia zaschło mi w gardle.

- Przemykam językiem po twoich ustach, a ty zlizujesz z warg moją ślinę...

Wdech...

Przejeżdżasz swoim giętkim języczkiem po moich zębach, są ostre, zaciskam je i przez chwilę więżę cię w ustach...

Wdech...

Dotykam tych ślicznych brodawek, różowych jak pączki kwiatów. Masuję twoje piersi, unoszące się coraz szybciej, moje dłonie krążą...

Wdech...

Palce znów chwytają za skurczone końce sutków, ugniatam je coraz mocniej, aż do pierwszego bólu...

Wdech...

Wyginasz się, żebym mógł jeszcze łatwiej i mocniej cię pieścić...

Wdech...

Zostawiam jedną pierś i wiodę kciukiem po twoim ciele. Zaczynam w miejscu, gdzie masz ten piękny dołek między obojczykami, zjeżdżam coraz niżej, pokonując aksamitną ścieżkę skóry...

Wdech...

Mój palec na sekundę zatrzymuje się w maleńkim pępku, a potem przesuwam w dół po łagodnym wzniesieniu brzucha, dociera do najbardziej wyczulonej na dotyk, lekko pomarszczonej grudki u szczytu płatków... - Adam zniża głos, mówi coraz ciszej, ale moje zmysły są tak wyostrzone, że usłyszałabym nawet jego myśli.

Zaczynam lekko dygotać. Nie wiem, czy to moje naprężone mięśnie, czy podniecenie. Nie mogę tego opanować.

- Dotknij mnie, proszę...

- Przecież to robię. Dotykam cię. Nie czujesz, Mel?

- Błagam, kochaj się ze mną... - Już prawie płaczę.

- Jeszcze nie jesteś gotowa. - Głos się zbliża. Na zroszonej potem skórze czuję ciepły oddech mojego mężczyzny.

- Jestem, sprawdź. - Nabieram powietrza w oczekiwaniu.

- Mel, ciągle cię dotykam... Teraz przeciągam palcem wzdłuż gorącej szparki, czuję ciepło i wilgoć twojego pragnienia... Twoje soki zaczynają

płynąć coraz obficie, swoim widokiem i zapachem wabią mnie aż do szaleństwa... - Adam oddycha już bardzo głośno. - Jesteś taka piękna...

Nie wiem, jak on to robi, ale czuję, że pierwsze kropelki nieśmiało staczają się po wewnętrznej stronie uda, jeszcze kilka sekund i zaczną krzyczeć. Zaciskam i rozluźniam mięśnie waginy, mrowienie się nasila.

- Kochaj się ze mną... - szepczę ostatkiem sił.

- Powiedz, jak bardzo mnie pragniesz.

- Jak powietrza, chcę tobą oddychać. Jak wody, chcę cię pić. Jak życia... - Wyciągam przed siebie drżące dłonie.

Opuszki palców stykają się z gorącym ciałem. Serce mojego kochanka bije bardzo mocno, mam wrażenie, że słyszę je w sobie. Nagle Adam mnie obejmuje i padamy na łóżko, silna dłoń chwyta za mój kark. Wszystko dzieje się naraz: usta wypełnia mi jego język, moje ramiona oplatają jego szyję, żeby całował jeszcze mocniej. Któreś z nas zaliczyło ukąszenie, metaliczny posmak wyczuwalny w ślinie uderza do głowy. Zachłannie wtapiam się w męskie ciało. Gdy twardy fallus wreszcie wypełnia moją spragnioną szparkę, tracę oddech. Nie wiedzieć czemu zastygamy w bezruchu...

- Obawiam się, że to będzie szybsze niż V150... - Adam odrywa usta od moich warg.

Gryzie mnie lekko w skórę szyi, tuż za uchem, jeszcze mocniej przyciska do siebie. Pierwszy raz wysuwa się i wraca, potem drugi, trzeci i... Nie mam pojęcia, o czym mówił przed chwilą, ale jeśli chodzi o mnie - faktycznie jestem szybka... Fala skurczów przetacza się przez ciało. Mam orgazm!!! Udało się. W mojej głowie wybuchają fajerwerki, a potem nadpływa

coś tak słodkiego i ciepłego... Słyszę muzykę, to chyba anioły? Kto potrafi tak pięknie śpiewać? Nagle ogarnia mnie spokój, jakbym unosiła się w cichej jak gwieździsta noc toni jeziora, otoczona płatkami róż i ciemnym granatem nocnych obłoków,...

- Jesteś szczęśliwa? - pyta Adam chwilę po tym, jak moja dusza wróciła na swoje miejsce.

Nie odpowiadam. Teraz ja pieszczę, dotykam go wzrokiem. Kosmyki włosów, posklejanych naszą miłością, lekko opadają na czoło, na dolnych powiekach też zebrało się nieco potu... Błyszczą w świetle lampki jak diamenciki. Nawet górna warga jest nim pokryta. Zbliżam się i delikatnie zlizuję słoność mojego kochanka. Jego pot jest nim, a ja chcę go mieć jak najwięcej.

„Co robisz?” - pytam w myślach, bo Adam chyba próbuje mi odebrać zdobycz. Jego język wsuwa się między zęby i smakuje ślinę. Odsuwam usta i wtulam się w ukochane miękkie miejsce pod obojczykiem.

- Nie zabierzesz mi tego... - mruczę.

- Czego?

- Samego siebie. Chcę cię całego, pragnę twojego ciała, potu, twojej śliny, krwi i każdego płynu ustrojowego, no, może poza jednym... - wyznaję i parskam śmiechem.

- Wiesz, ponoć wielu celebrytów w tym gustuje.

- Na szczęście nie jestem celebrytką. - Cmokam go w tors.

- A chciałaś być? Prawie każda dziewczynka marzy, żeby być aktorką albo piosenkarką, modelką... - Wodzi palcem po moim policzku. - Jesteś taka śliczna...

- Ale niska, na modelkę się nie nadaję. Na aktorkę też.

- Dlaczego?

- Nie potrafię udawać, zwłaszcza przy tobie. - Zagryzam wargi, ciekawa, czy się domyśli, o czym mówię.

- Nie chcę, żebyś przy mnie cokolwiek udawała.

- Nie udaję. - Chwytam jego palce i delikatnie całuję opuszki.

- Obiecujesz, że zawsze tak będzie?

- Adam... ja... to dla mnie coś całkiem nowego. Staram się być szczerą, ale czasami... Musisz mi wybaczyć potknięcia.

- Wiem. Czy coś dzisiaj ukryłaś przede mną?

- Tak. Jestem początkująca... żółtodziób ze mnie. Jest taka piosenka Davida Bowie, starość, nie wiem, czy kojarzysz. - Chrząkam lekko, zamierzając zanucić kilka nut, ale Adam kładzie palec na moich ustach.

- *Nothing much could happen...** - zaczyna jedwabście i miętko.

- Pytałaś, czy jestem szczęśliwa... - odpowiadam, gdy kończy śpiewać, choć gula w gardle dusi nie do zniesienia. - Otóż jestem. Niewyobrażalnie. Pytałaś też, czy coś ukryłam przed tobą. Tak, ukryłam. Bałam się, że nasz drugi raz, a mój pierwszy, wtedy u mnie... Że nigdy już nie trafię do tego miejsca ponownie, że to był przypadek albo udało się, bo zrobiłaś to w ten sposób... - Na chwilę zamykam oczy. - Ale teraz wiem, że z tobą mogę tam być zawsze.

- Mel, obiecałem ci - szepcze Adam.

- Wiem, ale bałam się, że to ja zawiodę i cię rozczaruję.

- A nawet gdybyś zawiodła, jak to dziwnie ujęłaś, to co? Jesteś tylko

człowiekiem, dlaczego nie pozwolisz sobie czasem zaliczyć klapy? To nie takie straszne... - Parska śmiechem i pociąga mnie lekko za warkocz.

- Tobie chyba się to nie zdarza.

- Oj, mylisz się. Wiesz, co to VI50? - przypomina mi termin, który usłyszałam przed kilkunastoma minutami.

- Nie. Miałam cię spytać, ale wyleciało mi z głowy.

- To pociąg.

- Pociąg?

- Tak. Francuski pociąg szybkiej jazdy, zwany TGV. Trzeciego kwietnia dwa tysiące siódmego pobił rekord: pięćset siedemdziesiąt cztery koma osiem kilometra na godzinę...

- I co w związku z tym? - Marszczę brwi, bo nie bardzo rozumiem, dlaczego ten demon prędkości zawitał do sypialni w hotelu South Place.

- To, że przed chwilą pobiłem ten rekord... - Adam wybuchł śmiechem.

- Bo? - Zaczynam się domyślać, ale chcę trochę się podroczyć.

- Bo gdy już mogłem ruszyć w drogę, dojechałem do celu tak szybko, że zapomniałem o pasażerce, a to bardzo ważna pasażerka! Jedyna na pokładzie. Na szczęście chyba zdążyła wskoczyć w ostatnim momencie. - Cmoka mnie w czoło. - Sprytna dziewczynka, dobrze, że nie przytrzasnęły cię drzwi.

- Dziękuję. A jeszcze kilka godzin temu twierdziłeś, że mam nieskoordynowane ruchy... - Trzepoczę rzęsami.

- Oj, Mel... jesteś dzisiaj taka słodka.

- Dzisiaj?

- Często jesteś słodka, ale dzisiaj wyjątkowo. I ta fryzura... Zawsze powinnaś się tak czesać.

Znów się uśmiecham. Siadam i zakrywam piersi śnieżnobiałym prześcieradłem, dziękując w duchu obsłudze hotelu. Dobrze, że nie wpadli na pomysł, żeby pościel również przypominała nam o jutrzejszym święcie.

- Masz jeszcze tego szampana? - pytam, lekko przechylając głowę. - Wypiłam jeden kieliszek i w ogóle nie urosłam, a pewnie o to chodziło?

- Bynajmniej. Miałaś zmaleć, a ja chciałem nosić cię w brustaszy.

- W czym?

- W brustaszy.

* Fragment piosenki Davida Bowie *Absolute Beginners*, wydanej w 1984 roku.

- Uhm... a co to takiego?

- Kieszonka na poszetkę. - Adam wstaje i owija się wolnym prześcieradłem.

- Czyli?

- Zaraz przyjdę.

Po niecałej minucie przynosi oszronioną butelkę i drugi kieliszek. Napełnia oba do połowy.

- Co to za szampan? - Nie mogę dostrzec napisu.

- Krug Rosę. W zasadzie, gdyby trzymać się ściśle terminologii, to wino musujące.

- Uhm...

Stukamy się kieliszkami.

- A co to jest ta... to coś, w czym chciałeś mnie nosić? - mówię jak pensjonarka. Dla wzmocnienia efektu skubię końcówkę jednego z warkoczyków.

- Brustasza? Mówiłem. Kieszonka na poszetkę. - Widzę, że moja ignorancja bardzo go cieszy, aż podskakuje, tak trzęsą mu się ramiona.

- Świetnie się bawisz. Może porozmawiamy o mezoterapii rollerem albo eksfoliacji enzymatycznej za pomocą trzydziesto- procentowego roztworu kwasu glikolowego? - fukam pod nosem.

- Chętnie. Uwielbiam poznawać różne rzeczy.

- Przestań - chichoczę. - A tak w ogóle, gdzie nauczyłeś się śpiewać? Masz obłądny głos.

- Naprawdę mnie zaskakujesz! - Dopija ostatni łyżeczek, sięga po butelkę i znów napełnia kieliszki.

- Bo?

- Dopiero teraz pytasz?

- Ups... miałam spytać wcześniej? Popęłniłam jakiś nietakt? Przecież wyraziłam swój zachwyt za pierwszym razem.

- Pamiętam, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet spytałoby, gdzie się tego nauczyłem, zaraz po usłyszeniu pierwszej próbki moich skromnych umiejętności.

- Na szczęście jest dla mnie nadzieja. Ten jeden procent... - Parskam śmiechem. - To gdzie?

- Śpiewałem w chórze.

- Serio?!

- A jakże. Zacząłem śpiewać po jedenastych urodzinach. Najpierw dyszkantem, to taki wysoki głos niektórych chłopców przed mutacją.

Chwała Bogu, że czasy kastratów już przeminęły, bo nie wiem, jak by się to skończyło... - Przykłada dłoń do lewej piersi i przez moment spogląda na sufit. - Na pewno nie miałabyś ze mnie żadnego pożytku - wzdycha z udawanym smutkiem. - Potem, wraz z dojrzwaniem, przeszedłem przez alt, aż skończyłem na tenorze. Żeby było jeszcze bardziej egzotycznie i perwersyjnie, śpiewałem w męskim chórze przy kościelnym, skonstruowanym jak sławny chór występujący w Kaplicy Sykstyńskiej, kolebce trzebieńców. Było nas trzydziestu dwóch, zgrupowanych po ośmiu, czyli basy, tenory, alty i dyszkanty. Plotka głosiła, że nasz dyrygent był gejem, co nie przeszkadzało mu mieć żony i piątki dzieci. Oczywiście samych chłopców...

- Wkręcasz mnie! - Szturcham go lekko w ramię i wybucham śmiechem.
- Nie! - zaprzecza, ale też chichocze jak szalony.
- Adam! Nie rób sobie jaj!
- Ale to prawda... - Odsuwa się, bo próbuję walnąć go poduszką.
- Jak nazywała się ta miejscowość?
- Marietta, zresztą tam się urodziłem. - Udowodnij...
- Że tam przyszedłem na świat?
- Przestań! Chodzi mi o chór! - Znów chwytam poduszkę.
- O chór? - Marszczy czoło, jakbym mówiła do niego po chińsku.

Nagle wstaje, zakłada flagowy szlafrok i wychodzi do saloniku. Przynosi stamtąd komórkę, coś pieczołowicie wklepuje w wyszukiwarkę i podaje mi telefon z miną Jerzego Waszyngtona po bitwie pod Trenton.

- Łał... - Wpatruję się w ekranik.

Ze strony wynika, że w niewielkim miasteczku w stanie Georgia przy jednym z kościołów faktycznie działa chór o nazwie „Sykstyna”.

- Poczekaj, pokażę ci jeszcze coś. - Mój chłopak zabiera aparat, znów zaczyna klikać i po chwili mam przed sobą listę wszystkich mężczyzn, którzy śpiewali w tym chórze.

- Adam Harding, drugi tenor... - Kiwam głową.
- I co, panno nieufna?

Spoglądam na niego. W kącikach oczu utworzyły się kurze łapki, a usta są wygięte jak u Nicholsona w *Batmanie*.

- Ale z tym dyrygentem gejem to przeskoczyłeś rekina.
- Bynajmniej. Wiesz, jak jest z plotkami...
- Przepraszam. Od tej pory każde twoje słowo będę traktować jako prawdę objawioną.

- I o to mi właśnie chodziło.

- Długo tam śpiewałaś?

- Do wypadku rodziców.

- No tak, nie pomyślałam. - Zagryzam wargi, bo znów zapomniałam, jak wyglądało jego życie po tej tragedii: wydzierżawił rodzinną farmę, zabrał siostrę i wyjechał na studia. - Przepraszam.

- Melanio... Jeszcze raz przeprosisz mnie za to, że jestem sierotą, i Bóg mi świadkiem, że będziesz potrzebować tego swojego hasła! To nie twoja wina. Czas uleczył rany, blizny zbladły i coraz rzadziej o nich myślę. Życie pędzi naprzód, to chyba nic złego, że nie zamierzam ciągle oglądać się za siebie?

Znów mam ochotę go przeprosić, ale wiem, że bym się naraziła. Uśmiecham się głupkowato i próbuję naprędce coś wymyślić.

- A co wtedy śpiewaliście i jakie jeszcze masz hobby? - rzucam, starając się zachować spokój.

- Śpiewaliśmy głównie kościelne pieśni, czasami coś z klasyki. A hobby? Hm... od kilku lat moim hobby jest prowadzenie firmy. Uwielbiam pracować i mnożyć majątek, zajmuję się również zbieractwem; kolekcjonuję pola i maszyny rolnicze. - Parska śmiechem. - Moja ostatnia zdobycz to dwadzieścia ciągników New Holland T9. Jak będziesz grzeczna, zabiorę cię kiedyś na wycieczkę i pojeździmy sobie takim potworkiem. Pozwolę ci prowadzić...

- Uhm, wezmę bajgle - stwierdzam z przekąsem.

- Lubisz swoją pracę?

- Hm... I tak, i nie. Lubię, bo jestem w tym dobra, niektórzy twierdzą, że bardzo. - Wzruszam ramionami. - Finansowo też nie narzekam, ale... - zawieszam głos - czasami mam dość. To chyba jedno z najnudniejszych zajęć dla kobiety. Odtwórcze i mało kreatywne.

- Rozumiem. A hobby? Masz jakieś?

- Jaaa...? - pytam, jakby co najmniej pięć innych osób siedziało razem z nami w tym ogromnym wyrku. Chcę zyskać trochę czasu na zastanowienie - Lubię wszystko to, co przeciętna amerykańska singielka z dużego miasta: seks, imprezki, ciuchy, kosmetyki...

- Bardzo wyrafinowane zainteresowania. Jest coś więcej? Zauważyłem w twoim apartamencie gablotkę z bardzo ciekawą zawartością.

- Mówisz o filizankach... - Kiwam głową. - Tak, to moje hobby, ale w porównaniu z tobą mam skromne zapędy. Gdy jestem w Londynie, czasem

kupuję jedną sztukę w jakimś sklepie z antykami. Mam kilka ciekawych egzemplarzy, jeśli będziesz miał ochotę, pokażę ci.

- Chętnie. A jakieś marzenia? Coś, co jeszcze nieosiągalne, ale upragnione?

- Hm... Dwa lata temu byłam z Jess i Erikiem w Mediolanie, na targach mody. Na jednym z rautów poznałam Rosjankę. Absurdalnie bogata, równie pretensjonalna i kiczowata - chichoczę, przypominając sobie Nataszę, która mieszka w czymś, co nieodparcie przypominało mi zminiaturyzowaną krzyżówkę Luwru i pałacu *Schonbrunn*. - I ta właśnie Rosjanka zaprosiła nas do swojego domu, jeśli tak to można nazwać, i pokazała coś, co mnie rozwaliło.

- Cóż tak zachwyciło moją pannę Duvall? - Adam rozlewa resztkę szampana do kieliszków.

- Otóż Natasza, bo tak miała na imię, pokazała mi serwis kawowy wykonany z rosyjskiej kostnej porcelany. Jedyne taki egzemplarz na świecie, bo wzór dedykowany był właśnie jej. Nosił jej imię i nazwisko: Natasza Andriejewna Kowalowa... Wiesz, jakie to było piękne? - Kręcę głową na to wspomnienie.

- Coś jeszcze cię interesuje?

Zastanawiam się, czy cokolwiek powiedzieć, bo Adam nawet nie skomentował moich wynurzeń, ale w końcu się decyduję.

- Sztuka Japonii. Chciałabym kiedyś zwiedzić ten kraj, lubię jego malarstwo, te wszystkie karpie i chryzantemy... Kwiaty wiśni, pagody i gejsze. Mam parę... no, może parędziesiąt książek o tej tematyce.

- Też ciekawie. - Mój facet wreszcie okazuje minimalny entuzjazm. - Polecimy tam kiedyś?

- Chętnie, ale pod warunkiem, że ja funduję wycieczkę, a ty...

- Bajgle! - Wybuchu donośnym śmiechem.

- Dlaczego nie ma cię nigdzie w sieci? - pytam, gdy już się uspokaja.

- Chodzi ci o te wszystkie portale społecznościowe?

- Uhm.

- Sprawdziałaś? - Znów się śmieje. - Muszę przyznać, że ja też cię szukałem i mogę zadać to samo pytanie.

- No cóż, nie mam czasu. - Wzruszam ramionami. - Poza tym cenię sobie prywatność.

- 1 tutaj całkowicie się z tobą zgadzam. Nie mam natury

ekshibicjonisty.

- A co robisz, jak już wygospodarujesz trochę wolnego czasu?
- Spotykam się z tobą. To chyba oczywiste? - Lekko unosi brwi.
- No dobrze, a zanim mnie poznałeś?
- Próbujesz wyciągnąć jakieś tajne informacje o mojej przeszłości?

Nieładnie... - Kiwa palcem.

- Nie miałam takich intencji. Po prostu chcę cię lepiej poznać. - Kwituję swoją wypowiedź delikatnym pocałunkiem w policzek.

- A to co innego, wyczuwam szczerość, więc odpowiem: uczę się języków. W samolotach, w trakcie ćwiczeń i tak dalej. Uprzedzam pytanie; biegle francuski, niezłe włoski i niderlandzki. Trochę słowiańskich, ale raczej w mowie.

- Zazdroszczę. Ja nie mam talentu do języków. Angielski znam biegle - mówię i puszczam oczko - niemiecki fatalnie. I tyle. Kiedyś byłam niezła w łacinie podwórkowej, ale ostatnio nie ćwiczę.

- Wiesz, że ponoć najmniej poliglotów jest wśród osób o ścisłych umysłach? Mam nadzieję, że cię nieco pocieszyłem? - Adam delikatnie muska mój policzek wierzchem dłoni.

- Jesteś bardzo szarmancki.

- Tak? I jaki jeszcze?

- Rzekłabym, że staromodny, nieco konserwatywny i skostniały... Te garniaki szyte na miarę, całowanie w dłoń, upieranie się przy płaceniu za wszystko, wożenie mi tyłka, noszenie na rękach, otwieranie drzwi... Tradycjonalista w każdym calu. Jest taki niemiecki slogan o powinności kobiet, tylko to zapamiętałam z lekcji: *Kinder, Kuche, Kirche*, czyli dzieci, kuchnia, kościół. Założę się, że jesteś fanem patriarchy i podobałby ci się taki układ sił.

- To źle?

- Nie wiem. Myślę, że zestaw „patriarcha plus feministka” dosyć słabo rokuje.

- Uważasz się za feministkę? - pyta, lekko mrużąc oczy.

Przewraca mnie na poduszkę, dociska nadgarstki i zaczyna delikatnie całować szyję. Jego usta błędzą coraz śmieiej, a silne udo wpycha się między moje nogi.

- Mel, zaraz cię potraktuję bardzo nierówno i zerżnę. Co ty na to? - rzezi mój kochanek, napierając wielkim fallusem na mokrą do szaleństwa cipkę. - Myślę, że jakoś pogodzimy twoje feministyczne zapędy z moim samczym

instynktem, jestem tego pewien...

- Szczerze mówiąc, gdy tak się zachowujesz, nie wiem, czy uważam się za feministkę... Jakoś ciężko mi zignorować różnice między nami, a idea równości płci czy też... - mówiąc to, jęczę, bo właśnie dotarł językiem do brodawek piersi - idea równego traktowania coraz słabiej do mnie przemawia. Zaczynam myśleć, że to kobieta się oddaje, a mężczyzna bierze. Och, Adam... - Wyginam się, gdy we mnie wchodzi.

Śpię, wtulona twarzą w poduszkę, i nagle czuję,.. Ciepła męska dłoń dotyka mojej szyi. Palce wsuwają się we włosy i lekko je pociągają. Paznokcie starają się drapać skórę głowy, ale są zbyt krótko obcięte. Mój mężczyzna przysuwa się bliżej, jego ramię obejmuje mnie i wślizguje się pod prawą pachę. Pieszczota nie należy do najdelikatniejszych, Adam dosyć brutalnie traktuje moją pierś, ugniatają bardzo stanowczo. Nie wiem, jak mu się to udało, ale już zaczynam wilgotnieć.

Kochanek rozpycha nogą moje uda, a potem przygniata moje ciało całym ciężarem. Jakiż on jest wielki... Ogromny facet z gigantycznym przyrodzeniem włącza mnie w materac. Lekko pociera fallusem wzdłuż pośladków... „Gra wstępna? To bardzo przereklamowane” - odkrywam właśnie kolejną prawdę.

Podkładam dłonie pod czoło, muszę mieć choć trochę przestrzeni, żeby złapać oddech. Drugą pierś spotyka ten sam los co pierwszą, teraz już obie, zmiażdżone, tkwią w silnych dłoniach.

Adam próbuje we mnie wejść, ale odruchowo zaciskam mięśnie. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to zrobiłam. Nie wiem dlaczego, przecież tak bardzo go pragnę. Wystarczy, że na plecach czuję jego gorący tors... Dźwięk z trudem wydychanego powietrza brzmi jak najpiękniejsze wyznania miłości i pragnienia. Może chcę, żeby był ostry, brutalny... żeby wykorzystał mnie wyłącznie dla swojej przyjemności? Czy miałabym coś przeciwko? Nie. Ja przecież tyle otrzymałam, chyba nigdy tego nie zbilansuję...

- Księżniczko, jesteś tam taka maleńka i wąska... - słyszę niski szept, który sączy się wprost do mojego ucha.

- To szampan zadziałał... - odpowiadam równie cicho.

- Jak cudownie, że tylko w tym miejscu. Uwielbiam twoją jędrną pupę i pełne cycuszki, które tak idealnie pasują do moich dłoni... - mruczy coraz namiętniej.

- Ty też go piłeś, panie. - Na sekundę zagryzam wargi, żeby nie parsknąć

śmiechem. - Książę, czy twój oręż nie ucierpiał?

- Nie, ten szlachetny i bardzo kosztowny trunek roztacza swoją pomniejszającą moc tylko na najśłodsze cipki ślicznych księżniczek, a co do mojego miecza... Nie martw się, pani, obyś nie poczuła sztychu w gardle, tak mocno cię nim przeszyję...

Nie wytrzymuję, zaczynam chichotać w poduszkę. Nagle dłoń Adama odrywa się od „cycuszka”, czuję ją między nogami, blisko najgorętszego miejsca w moim ciele.

- I tak to zrobię... wiesz o tym? - Głos brzmi niewiarygodnie nisko. Cóż za niespodziewana zmiana nastroju.

- Tak. - Biorę głęboki wdech, czując coraz silniejszy nacisk.

- Lubię, gdy tak się opierasz. To bardzo podniecające...- Jego palec bez pardonu wpycha się do środka coraz słabiej broniącej się szparki. - Wiem, że się boisz, ale chcesz tego...

Wyciąga palec, przytrzymuje penisa i wchodzi we mnie jednym, ekstremalnie mocnym pchnięciem. Chyba miał rację z tym gardłem, poczułam go tam niewątpliwie.

- Och, moja słodka Mel, i co ci dał ten opór...

- Co robisz? - śmieję się jak wariatka.

- Wsiadaj. - Adam wpycha mnie do samochodu. - Wczoraj deklarowałaś, że jesteś dobrym kierowcą, muszę to zweryfikować.

- Harding, żebyś nie płakał, jak uszkodzę to pudło - ostrzegam go, gdy zajmuje miejsce dla pasażera. - Ze dwa lata nie siedziałam za kółkiem.

Przez minutę ustawiamy moje siedzenie i układ lusterek. Nie powiem, bardzo mi miło, gdy Adam wklepuje dane do pamięci komputera. Widnieję w nim jako numer dwa. Powoli ruszamy spod hotelu, na szczęście ruch jest niewielki, a rangę rover całkiem nieźle się spisuje. Co więcej, świetnie znam Pittsburgh, w końcu to tutaj ukończyłam kurs jazdy.

- I jak? - pytam trzy kwadransy później, parkując pod rodzinnym domem. - Zdałam?

- Nieźle ci poszło, panno Duvall, ale zdecydowanie wolę cię mieć po prawej stronie. - Nachyla się i lekko muska ustami policzek.

- Idziemy? - Nerwowo zagryzam wargę.

- Mel... co jest? - Adam od razu to zauważa.

Stanowczo muszę popracować nad samokontrolą. Ten człowiek to istny radar, wszystkie niewerbalne sygnały wykrywa lepiej niż jakikolwiek wariograf.

- Nic, w porządku. Myślałam, że nie wzięliśmy prezentów. - Szybko

rzucam okiem na tylną kanapę, gdzie ułożyłam kilka papierowych toreb. To jakieś drobiazgi: głównie zabawki dla Wiktorii i jej braciszka, perfumy dla mamy i zestaw kosmetyków dla Scarlett. Tacie kupiłam butelkę wybornego porto, może szanowna małżonka pozwoli mu je wypić.

- Na pewno?

Mój facet nie daje się wywieść w pole. Co mam mu powiedzieć? Że każdy kolejny przyjazd do Braddock kosztuje mnie więcej nerwów? Że mój terapeuta już kilka lat temu (zanim jeszcze na horyzoncie pojawiła się Anita) zaproponował, żebym ograniczyła częstotliwość odwiedzin albo spotykała się w węższym gronie, na przykład z samymi rodzicami bądź wyłącznie z siostrą lub bratem? Że wytłumaczyłam mu, że odmowa udziału w rodzinnych spędach jednoznacznie skazałaby mnie na alienację, swoistą familijną ekskomunikę? Dla moich bliskich takie imprezy to sens życia, więc muszę grać swoją rolę w piekielnym teatryku. Poza tym chcę zobaczyć ojca i Ashleya, tęsknię za nimi, za chwilowym zaspokojeniem potrzeby akceptacji i przynależności, które mi czasami zapewniają.

Cóż za paradoks: ja - oceniana przez wszystkich znajomych i współpracowników jako inteligentna, stanowcza i ostra - gdy stoję przed domem z elewacją z pobielonych deseczek, zamieniam się w małą, głupiutką Melanię ze zwiniętym w supeł żołądkiem i oczami pełnymi łez.

- Tak. Wszystko w porządku. - Wysiadam i zamasyżuję otwieram tylne drzwi rangę rovera, żeby wyjąć prezenty.

- Poczekaj. - Adam obchodzi auto i staje tuż obok. - To przeze mnie? Jeśli chcesz, wróć do hotelu. Naprawdę nie chciałbym, żebyś źle się czuła z mojego powodu. Odbiorę cię, gdy tylko zadzwonisz.

- Nie chodzi o ciebie.

- To o co? - pyta, a ja wiem, że przed chwilą sama się wsypałam.

- Adam... nie chcę ci tego teraz tłumaczyć. To takie głupie. - Wbijam wzrok w drobny żwirek na podjeździe.

- Mam z tobą zostać?

- Tak. Proszę. - Chwytam go za rękę i na chwilę opieram czoło o jego pierś.

- Hej, księżniczko. Będzie dobrze. Pamiętaj, jestem z tobą. - Cmoka mnie we włosy.

Wzruszam ramionami. Chyba w to nie wierzę, choć bardzo bym chciała. Zabieramy pakunki i kierujemy się w stronę domu. Mama już stoi w drzwiach.

- Melanio, jak dobrze cię widzieć... - Całuje powietrze tuż obok mojej twarzy. - Witam pana... - Podaje dłoń Adamowi,

- Adam Harding, bardzo mi miło.

- Patricia Duvall.

Wchodzimy do domu. Po raz pierwszy oddycham zapachem dzieciństwa, mając u boku faceta. Jestem ciekawa, czy on też czuje dziwną kompozycję woni, ciągle tak bliską mojemu sercu, a jednocześnie z roku na rok coraz bardziej obcą.

- Mel... - Tato wychodzi z salonu i dopada mnie zaraz przy schodach. - Córdia...

Ściskamy się mocno, wtulam nos w bawełniany podkoszulek i od razu czuję pod powiekami to delikatne łaskotanie.

- Cześć, tatusiu... - Objęci, chwiejemy się na boki dobre pół minuty.

- Edward, może dość już tych czułości. - Mama przerywa nam powitanie.

Mój ojciec i Adam przedstawiają się sobie, a potem przechodzimy przez salon do ogrodu. Jakieś dziesięć minut trwa wzajemna prezentacja i wymiana powierzchownych oznak sympatii.

Siedzimy przy wielkim owalnym stole, od zawsze stojącym na zadaszonym tarasie. Dzisiaj ten leciwy mebel został nakryty nieplamiącym się obrusem i zastawiony wszystkim, co możliwe. Są sałatki (między innymi popisowa sałatka z ziemniaków według oryginalnej receptury mamy), dwa rodzaje ciast (w tym jabłkowe, które Scary finezyjnie przybrała truskawkami i czarnymi jagodami na wzór flagi - niestety dzieciaki już częściowo rozszabrowały owoce), bułeczki, gotowana kukurydza, pieczeń na zimno, żeberka jagnięce w karmelowym sosie i tak dalej. Gigantyczny grill, choć oddalony, kopci niemiłosiernie.

Totalny rozgardiasz: wszyscy gadają, przekrzykując się nawzajem. Brakuje jedynie szarańczy. Moja chrześnica Wiktoria i jej pięcioletni braciszek Jason biegają po ogrodzie, ich matka co sekundę odwraca się i wrzeszczy, że mają się uspokoić i nie podchodzić do rusztów, jej szanowny mążzonek Matthew (prawie czterdziestoletni bezbarwny koleś, tracący z czasem nie tylko włosy, ale i wszystkie pozytywne cechy charakteru) przygląda się temu z filozoficznym spokojem. Ashley też przybył w pełnym składzie; żona Anita i ich maleństwo, czyli półroczny Philip, który za punkt honoru przyjął sobie zagłuszenie wszystkich płaczem. Do tego moja elokwentna mamusia, tato burczący coś pod nosem (robi za tło) i nasza dwójka: milczący z nieznanых powodów „pracoholik- patriarcha" i

„japiszonka - feministka”.

- Dlaczego nic nie mówisz? - pytam Adama szeptem, choć i tak nikt by mnie nie usłyszał w ogólnym harmidrze.

- A ty? - odpowiada równie cicho i całuje mnie w ucho.

- Jestem zmęczona, nie wyspałam się - wzdycham.

- Naprawdę? Ja nie narzekam. - Na jego ustach tańczy delikatny uśmiech.

- To skąd milczenie?

- Uważasz, że jestem gadułą?

- Wczoraj nie byłeś taki powściągliwy...

- Widocznie akurat nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

- Co sobie tak słodzicie? - Mama nakrywa nas na tej interesującej pogawędce.

- Daj im spokój, nie widzisz, że zakochani? - Ashley wybucha śmiechem.

- Po pierwszym dziecku wam przejdzie, a przynajmniej jemu... - rzuca Anita znad talerza wypełnionego po brzegi wszystkim, co do tej pory usmażyło się na grillu. Jako jedyna nie miała okazji zjeść, bo synuś od godziny tkwi na jej kolanach.

- Śmiała teza. - Mój facet unosi brwi. - Jesteś socjologiem?

Zagryzam wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Łapię Adama za rękę i lekko ją ściskam, mając nadzieję, że nikt tego nie widzi. Cudownie, że jej dowalił. Nie znoszę swojej bratowej. Ma dwadzieścia trzy lata (dziesięć mniej niż Ash!) i jest nieprawdopodobnie zarozumiałą gówniarą, obśmiewającą prawie wszystkich wokół, ze szczególnym naciskiem na starsze od niej i niezależne finansowo singielki. Podczas trzech ostatnich rodzinnych uroczystości trochę się nasłuchiwałam o niewyżytych starych pannach, sfrustrowanych karierowiczkach i żalonych, samotnych kobietach żyjących tylko dla siebie i ewentualnie dla swoich kotów. Owszem, piękna z niej dziewczyna (pewnie dlatego mój braciszek tak się władował), ale poza oryginalną urodą, urodzeniem dziecka i ukończoną szkołą pomaturalną nic sobą nie reprezentuje.

Na moje nieszczęście (a może szczęście?) Anita nie ma szansy zareagować, bo małeństwo właśnie zaczyna ryczeć. „O matko, mógłby robić dubbing do *Parku Jurajskiego*, pterodaktyl jak nic...” - krótka refleksja wywołuje u mnie jeszcze większe rozbawienie.

- Ashleyu, ależ słodki ten wasz synuś... - Uśmiecham się promiennie, patrząc, jak dzieciak szarpie obślinionymi paluszkami złocistorude pukle żonki mojego brata.

- Melanio, czyżby odezwały się w tobie macierzyńskie instynkty?

Mamusia serwuje kolejną piłkę na naszą (a raczej: moją) połowę boiska.

- Najwyższy czas - dzielnie wtóruje jej Scary. - Wiesz, że w tym roku pod choinką znów przybędzie prezentów...

„Wiem, wiem... jesteś w ciąży...” Kiwam głową, bo w zasadzie nic innego mi do niej nie przychodzi. Widzę, że tato nachyla się do mamy i próbuje coś powiedzieć, ale ona nawet tego nie zauważa, jak zwykle zresztą. Mam nieodpartą ochotę zwinąć żagle i wrócić do hotelu, ale wtedy wszyscy by się śmiertelnie obrazili.

- Mel... naprawdę? - Nagle Adam uśmiecha się i całuje mnie w policzek. - Jeśli tylko masz życzenie zostać mamusią, a widzę, że jest czego zazdrościć,.. - zawiesza głos i wpatruje

się przez sekundę w Jasona, który właśnie wylewa na Scarlett caluteńki kubek ponczu - chętnie spełnię to marzenie, zresztą jak każde inne, które tylko wyrazisz...

„Kocham cię, Harding! Jesteś wielki!” - w myślach biję mu brawo, patrząc, jak moja siostra najpierw tarmosi Jasona za koszulkę, a potem nieudolnie próbuje osuszyć swoje przyciasne szorty.

- Hola, hola... - Matt niespodziewanie się ożywia. – Nie sztuka zrobić, sztuka utrzymać i wychować, choć jeśli idzie o kasę, Mel radzi sobie przyzwoicie. No, ale wiadomo, w Nowym Jorku każdy może zrobić karierę, nawet baba.

„Boże, co za idiota...” - nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Mój szwagier nigdy nie pomagał Scary przy dzieciach, a i finansowo szалу nie ma. Od ponad dziesięciu lat jest szeregowym pracownikiem niewielkiej kancelarii adwokackiej na przedmieściach Pittsburgha.

- Masz własną firmę? - Mama wlepia oczy w Adama, na którym nagle skupia się uwaga całej rodziny Duvallów. - Melania coś wspominała.

- Tak.

Mój chłopak chyba nie ma szczególnej ochoty rozwijać tematu, bo sięga po kubeczek i nalewa sobie trochę bezalkoholowego ponczu.

Ani on, ani ja nie pijemy, Adam prowadzi, a ja postanawiam przetrwać dzisiejszą imprezę na trzeźwo. Pierwszy raz mam wsparcie i tego się trzymam.

- A jaka to branża, jeśli można spytać, młody człowieku? - Matthew próbuje zdyskredytować nowego mężczyznę, który zawitał na łono mojej piekielnej rodziny.

Uśmiecham się w duchu. „Matt, lepiej, żebyś nie poruszał tego tematu...”

- Spożywcza.

- Moglibyście nie mówić o pracy w takim dniu!? – Anita jest wyraźnie poirytowana.

Przez ostatnie trzy lata to ona była niekwestionowaną królową naszych rodzinnych spotkań. Śliczna, młoda i obdarzona wyjątkowym tupetem, skupiała na sobie uwagę prawie wszystkich, jedynie tato ją konsekwentnie olewał, od kiedy Ash wyjechał na niego, że nie życzy sobie protekcyjnego traktowania jego ówczesnej narzeczonej. Nagła detronizacja wyraźnie ją zaskoczyła.

- Ależ, wiewióreczko, pozwól nam troszkę porozmawiać. - Ashley całuje ją w dłoń. - Wydaje mi się, że mały jest zmęczony, może pójdziesz go położyć?

- A może ty to zrób? - Mama staje w obronie „ukochanej Anitki”.

Zabiera dzieciaka i układa w wózku. Już wiem, jak to się skończy. Ojciec nawet nie czeka na polecenie, od razu wstaje, odjeżdża wózkiem od stołu i zaczyna huśtać. Dobrze i to, przynajmniej może nas słyszeć, a przecież mamy teraz spore szanse na doskonałą zabawę... „Chociaż raz!” - myślę i w duchu zacieram rękę.

- Spożywcza, a dokładnie? - Matthew ku mojej uciechu i na własne nieszczęście draży temat.

- Produkty zbożowe, trochę ziemniaków, pasze dla zwierząt... Ale może rzeczywiście dzisiaj odpuśćmy, panie się nudzą. - Adam skłania głowę w stronę Anity, która natychmiast odpląca mu uśmiechem, a nas wszystkich obdarza tryumfalnym spojrzeniem.

- Ja się nie nudzę. - Scarlett chyba pozazdrościła Anicie uwagi mojego faceta. - Masz farmę?

Zaciskam kciuki (a konkretnie: kciuk prawej dłoni, bo lewą cały czas trzymam na udzie „młodego człowieka”).

- Można tak to nazwać - potwierdza Adam.

- O! - Ashley wyraźnie się zainteresował. - Gdzie? Bo wiesz, facet jest nic niewart, póki nie posiada kawałka Teksasu. Ja niestety wylądowałem za biurkiem, dobrze, że chociaż w branży związanej z rolnictwem, też siedzę w paszach. Mam niewielką hurtownię. - Głos mojego brata brzmi bardzo przyjaźnie i szczerze.

Zawsze dogadywałam się z nim lepiej niż ze Scary. Gdyby tylko nie dał się omamić „wiewióreczce”...

- Gdzie? W wielu miejscach. Największe w Kansas, kilka mniejszych w Georgii, w Teksasie też by się coś znalazło...

- Czekaj! - Ashley nagle zastyga. - A jaka marka tej paszy, może coś pohandlujemy?

- FFAH.

- FFAH? Nie kojarzę. - Mój brat marszczy czoło.

- O matko, zaraz się porzygam z nudów! - Anita podnosi z krzesła swój piękny tyłeczek (mimo macierzyństwa rewelacyjny, jak i cała reszta), leniwie podchodzi do grilla, staje przy nim i zaczyna odwracać hamburgery. Natychmiast dociera do nas zapach smażonego mięsa. Moja bratowa nakłada coś na papierową tackę i wraca do stołu z nadętą miną. Jest obrażona na męża, który wyjątkowo ją dzisiaj olewa.

- Rzeczywiście, Ashley, dałbyś spokój Adamowi. - Mama próbuje załagodzić sytuację.

Ojciec przysiadł się z powrotem, widocznie nieznośny potomek „wiewióreczki” już zasnął. Nawet dzieciaki mojej siostry odpuściły i polazły do salonu oglądać telewizję. Na chwilę zapada cisza. Jestem trochę rozczarowana, nie tak się to miało skończyć.

- Ależ, mamusiu, daj się chłopakowi wykazać! - Matthew niespodziewanie podejmuje temat. Przeciera czoło papierową serwetką. Jest już konkretnie wstawiony i tak okropnie spocony, że fragment naszej flagi przykleja mu się do skóry. Wygląda to jak rana postrzałowa przygotowana przez filmowego wizażystę. - Jak to się nazywało? Ta karma?

- FFAH. Jak to możliwe, że nie słyszałem? Chyba bardzo krótko jesteś na rynku? - Ashley sięga po butelkę z piwem i ją opróżnia.

- Pasza nie idzie na detal. Puszczamy ją tylko na hurtowy eksport, głównie do Holandii, a w kraju trafia wyłącznie do kilku wybranych odbiorców i nie ma nawet nazwy, jedynie numery. Wiesz, przy ogromnych kontraktach nikt się nie bawi w promowanie marki. - Głos Adama brzmi tak spokojnie, jakby tłumaczył coś średnio rozgarniętemu dzieciakowi.

- Gdzieś czytałem ostatnio o takiej firmie... Czekaj... HAC? Oni właśnie tak to rozwiązali, ogólnie firma wymiata, taki młody kot ją założył kilka lat temu, sam nią zarządza, żadnej rady nadzorczej... - Mój brat myśli intensywnie i nagle widzę błysk w oczach... (Bingo!!!) - Masz na nazwisko Harding?

- Ash, cierpisz na demencję? - Matt wybucha gromkim śmiechem. - Same znajome twarze i tylko jedno nazwisko: Alzheimer?

- Nasz braciszek ewidentnie ma problemy z koncentracją. - Scarlett

chichocze tak, że słycać ją chyba u sąsiadów. - To przez ciebie! - Szturcha Anitę pulchnym ramieniem.

- Ja pierdolę, zamknijcie się na chwilę!

- Ashley! Co to za słownictwo!? - Nasza mamusia nie wytrzyma.

Mój brat nagle wstaje, przechyla się przez stół i podaje Adamowi rękę.

- Gratuluję! I cieszę się niezmiernie, że mogłem cię poznać. Mój chłopak też się podnosi i ściska mu dłoń.

- Dziękuję, stary.

- Ej.,. ale o co wam chodzi? - Anita ze zdziwieniem patrzy na tę wymianę uprzejmości.

- Ja pierdolę... - Ashley siada i kręci głową. - Muszę się napić! - Sięga po kolejne piwo.

- No dobrze, powiesz nam, o co chodzi? - Mama wpatruje się w mojego brata, który wygląda, jakby właśnie zobaczył Baracka Obamę, który przyjechał do nas z własnymi kiełbaskami.

- Już... Chyba że ty to zrobisz? - Na chwilę zawiesza wzrok na Hardingu.

- Może zmieńmy temat. - Adam parska śmiechem.

„Ash, zrób to dla mnie! Powiedz im! Błagam!!!!” Jeszcze mocniej zaciskam i kciuk, i rękę na udzie swojego towarzysza.

- Nie! Oni muszą to usłyszeć! - Ashley z impetem stawia pustą butelkę i staje nad stołem, lekko się chwiejąc. - Otóż, noi drodzy... Moja kochana małżonko, mam, tato, droga i ostro - zwraca się do Scary - i ty, szwagrze - mówi do półprzytomnego Matthew - stawiam dolary przeciwko orzechom, że każdy z nas, jak tu siedzimy, zjadł dzisiaj coś, co powstało pośrednio lub bezpośrednio dzięki roślinom uprawianym na jednej z kilkunastu farm tego oto młodzieńca. Może kukurydza? Albo hamburgery, sałatka ziemniaczana, pyszne ciasto...

- Spokojnie... - Adam parska śmiechem. - Chyba trochę przeceniasz mój zasięg terytorialny.

- Ależ, drogi szwagrze, bo chyba mogę cię tak nazywać, zdecydowanie jesteś zbyt skromny.

- Jesteś bogaty? - Anita wytrzeszcza na Adama swoje śliczne wodnistozielone oczy.

- Zajebicie bogaty! Mógłby kupić całe Braddock i jeszcze by mu zostało na kilka takich miasteczek! - Mój braciszek wygłasza pochwały z emfazą godną Michaela Buffera*. - Mam w domu gazetę z artykułem o jego firmie! Chryste, ale jazda! Moja siostra i Adam Harding!

- Uspokój się, Ash. - Mama znów stara się zaprowadzić nieco porządku.

Ledwo siedzę. Mój tyłek samoczynnie się unosi. Och, jak przyjemnie jest zobaczyć ich reakcję: Matt wytrzeźwiał w tempie ekspresowym i siedzi z miną człowieka, który przegrał życie, Anita prawie płacze (pewnie żałuje, że nie poszukała „czegoś” lepszego - biedny mój braciszek...), mama jest zaskoczona (a to prawie nigdy jej się nie zdarza), tatuś uśmiecha się pod nosem (to bardzo miły uśmiech) i co jakiś czas kiwa głową z podziwem, nawet Scary wygląda na skopaną (choć trzeba przyznać, że żadna z niej materialistka). No i bohater dnia: Ash- ley, który tak pięknie pomógł mi przetrwać to święto!

„Niniejszym ogłaszam; dotychczasowy porządek uniwersum został zniszczony... Victoria!" Gdybym mogła, uniosłabym dłoń w geście zwycięstwa. Przez minutę ładuję akumulatory glorią i chwałą, a potem sięgam po pierwszą dziś butelkę piwa. Zostało jedynie pszenne belgijskie Leffe, ale co mi tam! Wypiję to obrzydlistwo...

- No, powiem ci, siostra, ciągnie swój do swego. Tak się ustawić? Spryciara z ciebie...

„Ups... chyba jednak przeceniłam Scary. Musiała wsadzić szpileczkę" - wzdycham z żalem.

- Raczej ze mnie. - Adam poprawia się na krześle, podnosi moją dłoń i całuje jej wnętrze. - Mam darmową pomoc prawno- - podatkową, choć Mel cztery razy mnie odprawiła, zanim dała się

* Znany amerykański konferansjer bokszerski, słynący z charyzmy i powiedzenia powtarzanego przed rozpoczęciem walki: „Przygotujcie się na grzmoty!".

porwać na kolację. Jeszcze żadna kobieta nie była tak odporna na mój wdzięk.

- Hm... na razie nie korzystasz z mojej wiedzy i doświadczenia. - Parskam śmiechem, bo moje słowa zabrzmiały bardzo dwuznacznie, choć nie miałam takiego zamiaru.

- Ale mam taką możliwość.

- Co by nie mówić, Melania jest bardzo niezależną kobietą. - Mama chyba zbyt poważnie potraktowała tę żartobliwą wymianę zdań. - Zawsze jej powtarzałam, zresztą Scarlett słyszała to samo: kobieta powinna być całkowicie niezależna od mężczyzny, i to nie tylko jeśli chodzi o finanse. Pod każdym względem. To gwarantuje nam pełną autonomię, życie według własnych przekonań i bez ciągłych kompromisów. Mówiłam dziewczynkom,

że mają zdobyć wykształcenie, i obie pięknie sobie poradziły. Scarlett spełnia się jako matka i to jest w życiu najważniejsze: rodzina, dzieci. A jeśli chodzi o Melanię, jestem dumna z jej stanowiska i pracy, choć mogłabyś, moja droga, zacząć myśleć o ustatkowaniu się.

- Zegar tyka... - rzuca Matt zapijaczonym głosem i wybucha śmiechem, jego brzuch trzęsie się jak galareta.

- Weź się zamknij. - Scary nie wytrzymuje i uderza go lekko w otłuszczony kark.

Podziwiam swoją siostrę. Z biegiem lat jej małżonek z przystojnego i sympatycznego człowieka zmienił się w prawdziwego prostaka. A dziesięć piw, które dzisiaj pochłonał, z pewnością przyspieszyło ten proces i przesunęło wskaźnik zburzenia o kolejne kilka kresek.

- No co?! Melania to prawdziwa feminazistka... - rzuca bełkotliwie. - Samodzielna, niezależna, samofinansująca, samopieprz... - Zakrywa usta i robi minę debila (akurat to wychodzi mu świetnie). - Przepraszam, Melanio, a ty, Harding, uważaj, jeszcze dostaniesz od niej po uszach.

- Zaryzykuję. - Adam nie traci rezonu, ale słyszę, że jego oddech nieco przyspieszył.

Obejmuje mnie ramieniem, a drugą ręką chwyta za dłoń leżącą na udzie. Od razu mocno ją zaciskam. Mam serdecznie dość tego przyjęcia. To, co najlepsze, i tak już za nami. Zaczyna się ściemniać, a z wózka dobiega kwilenie.

Anita i mój brat przez chwilę mierzą się wzrokiem, w końcu Ashley przekrzywia głowę i z głupią miną kwituje:

- Jestem pijany... Dzisiaj twoja kolej.

- Może przejdziemy do salonu? - proponuje mama.

- Będziemy się zbierać. - Scary wstaje i potrząsa swoim mężem. - Mamo, mogę zostawić tu dzieci?

- Jasne. Edward, idź zobaczyć, co z nimi.

- Posprzątam. - Podnoszę się z krzesła.

Stół to istne pobożowisko. Dobrze, że znakomitą większość stanowią jednorazowe naczynia i puste butelki po napojach. Idę do kuchni po plastikowe worki. Przez chwilę się rozglądam, ale od mojej ostatniej, wielkanocnej wizyty nic się nie zmieniło. Nie wiem, dlaczego z mojej piersi wydobywa się ciche westchnienie, gdy zauważam na półce garnuszek, z którego zawsze piłam kakao. Wyciągam z szuflady rolkę i wracam na patio.

Kiedy słyszę szwagra wykrzykującego ostrzeżenia o szkodliwym wpływie

herbicydów na potencję, opadają mi ręce. Na szczęście Adam od razu odbija piłeczkę - mówi, że jeśli Ashley dał radę, to i on jakoś uciągnie.

W końcu zostajemy sami. Bez słowa sprzątamy śmieci. Wynoszę do kuchni półmiski z pozostałością uczyty (oczywiście mama skrzętnie owija wszystko folią i chowa do lodówki, instruując mnie przy każdym daniu, jak należy je przechowywać, żeby się nie zepsuło), w międzyczasie Adam gasi grilla i zbiera z trawnika porozrzucone kubeczki z nadrukiem flagi.

- Możemy jechać? - pyta, gdy wracam z kuchni po ostatniej przechadzce.

- Chyba tak. - Rozglądam się po ogrodzie. Jest jeszcze dosyć wcześnie, z obu stron domu dobiegają śpiewy i przekrzykiwania sąsiadów.

- Zmęczona? - Przytula mnie delikatnie, jakbym była laleczką z chińskiej porcelany.

- Nawet nie pytaj. Dziękuję, że ze mną byłeś.

- To co? Przyjeżdżamy tu jutro czy mam coś wymyślić? - szepcze mi do ucha.

- Tato... Nie zamieniłam z nim nawet słowa - skarżę się cicho.

- Rozumiem.

Adam jest naprawdę kochany. Wsiada do rangę rovera i nie zmieniając położenia fotela, rusza z miejsca. Płaczę ze śmiechu, gdy ociera kolanami o kierownicę i schyla głowę, żeby zobaczyć coś we wstecznym lusterku. Pokonuje w ten sposób jakieś sześć mil i dopiero w trosce o mój brzuch (rozbolał mnie po trzech minutach chichotania) przywraca własne ustawienia.

- Dziękuję. - Opieram głowę bokiem i spoglądam na mojego faceta. - Byłeś świetny.

- Teraz?

- Nie tylko, cały dzień byłeś niesamowity.

- Nie, żeby uważał się za kogoś wyjątkowego, ale twoje rodzeństwo mogłoby się sporo od ciebie nauczyć, jeśli chodzi o dobór partnerów - stwierdza i parska śmiechem. - Zwłaszcza Scarlett. Zresztą Ashley też nieźle wtopił. - Macha ręką. - Jak długo jest z Anitą?

- Trzy lata.

- Pozwolę sobie na szczerość. Mogę?

- Wal, twoje słowa są jak miód na moje udręczone serce. - Kiwam głową.

- Anita nadaje się wyłącznie do odstrzału sanitarnego.

- Boże, jaki jesteś kochany, mów jeszcze...
- Dlaczego twoja siostra jest z tym idiotą? Wiem, trójka dzieci...
- Uhm, ale nie tylko.
- Skończyła studia?

- Tak, prawo. Z najlepszymi wynikami na roku. Poznała Matta w tej kancelarii, w której on do dzisiaj pracuje. Trafiła tam jako stażystka. Rok później była już w ciąży. Żal mi jej, on naprawdę jest straszny...

- Chodzi o kasę?
- Też. Poza tym Scary nigdy by się nie rozwiodła. Matka by ją zjadła.
- Dzieci? Religia? Majątek?
- Wszystko.
- Rozumiem.

Nie wiadomo skąd pojawia się noc, a wraz z nią - milczenie. Dziwnie się czuję, zamknięta w powietrzu gęstym od naszych myśli. Już mam poprosić o włączenie radia, ale gdy sobie uświadamiam, że zostaniemy zaatakowani kolejną porcją patriotycznych kawałków, odpuszczam. Może tak jest lepiej? Cichy szum opon, delikatny, niski i głuchy warkot silnika, nasze oddechy.

- Co ten palant ma do ciebie? - Adam nagle przerywa ciszę. - Szczerze mówiąc, w pewnym momencie ledwie się powstrzymałem. Miał farta, że tyle wychłał... - Zerka na mnie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie sądziłam, że jest aż tak spostrzegawczy.

- Co do mnie ma? Nic poza tym, że jakieś dziesięć lat temu do mnie zarywał i dostał kosza. - Stawiam na prawdę.

- Był wtedy z twoją siostrą?
- Tak, same początki. Może jakieś pół roku?
- Ona o tym wie?
- Nie.
- Dlaczego jej nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Może dlatego, że była w nim tak mocno zakochana? Zresztą i tak by mi nie uwierzyła, była wtedy prawdziwą pięknoscią, a ja wyglądałam jak nieopierzone kurczę, i jeszcze ten aparat na zębach... - Przypominam sobie, jakie miałam wtedy kompleksy, i głośno wzdycham. - Wiesz, Matt kiedyś był naprawdę inny, przystojny i bardzo miły. Jeśli chodzi o pracę, dobrze rokował, no i tyle nie pił. Teraz chyba przeżywa kryzys wieku średniego, poza tym kolejne dziecko w drodze...

- Nieciekawie.

- Uhm...

- Jutro też przyjadą?

- Nie. Scary pewnie wpadnie wieczorem po dzieciaki, a on będzie cały dzień rzygał.

- Może go odwiedzę?

- Chcesz go nawrócić i powiedzieć, co myślisz o takich jak on?

- Mniej więcej, choć skupiłbym się raczej na komunikacji niewerbalnej.

- Dzięki, ale nie trzeba. Wystarczy mu dzisiejsza lekcja. Ręcę. - Uśmiecham się na wspomnienie miny mojego szwagra po oświadczeniu Ashleya.

- No to ugrzęźliśmy...

Przed nami stoi sznur samochodów. Zerkam na kokpit. Niecała godzina dzieli nas od pokazu sztucznych ogni w centrum Pittsburgha.

- Pokażę ci objazd, chcesz? Albo się przesiądźmy, będzie szybciej. - Wypinam się z pasów.

Po niecałym kwadransie dojeżdżamy pod hotel. Adam jest zachwycony, a ja - dumna jak samiec rajskiego ptaka w trakcie tańca godowego. Próbujemy jak najszybciej dotrzeć do pokoju, ale to trudne zadanie. Na parterze budynku odbywa się właśnie wielka feta, cały hol pełen jest pijanych ludzi. Jakaś dziewczyna, wykazująca wszelkie objawy stanu nieważkości, zakłada Adamowi czapeczkę, a ja zostaję obdarowana równie gustownym balonikiem. Gdy winda zatrzymuje się na naszym piętrze, oddycham z ulgą. Jeszcze tylko szybki marsz i jesteśmy na miejscu.

- Zaraz się zacznie. - Adam rzuca okiem na zegarek.

- Nie, jeszcze co najmniej dwadzieścia minut. Zdążę wziąć prysznic! - Wpadam do łazienki.

Nie mogę znieść okropnego zapachu, którym przeszły moje włosy. Lubię jedzenie z grilla, ale wystarczy asystować przy powstawaniu pysznych steków i żeberk, żeby samemu pachnieć jak one. Biorę szybką kąpiel i znów zakładam patriotyczny szlafroczek. Gdy wychodzę z łazienki, Adam czeka już na mnie na balkonie. Z dwunastego piętra roztacza się nieprawdopodobnie piękny widok. Miasto płonie tysiącem świateł odbijających się w wodach Monongaheli, w tle słychać muzykę, a z boku dociera gwar głosów: to nieliczni goście na sąsiednich balkonach, też czekający na dzisiejszy spektakl.

- Za nasze pierwsze wspólne święto niepodległości... - Adam podaje mi oszroniony kieliszek z szampanem.

- Za moje pierwsze od niepamiętnych czasów tak cudowne święto niepodległości.

Lekko stukamy się lampkami. Wypijamy do dna, Adam natychmiast nalewa nam ponownie.

- Jesteś szczęśliwa? - pyta, gdy odkładam naczynie po drugiej porcji szampana, równie smacznego jak wczorajszy Krug Rose.

Podobnie jak poprzednio, nie odpowiadam od razu. Oplątam Adama ramionami i przytulam się z całych sił. „Dlaczego tak mi z tobą dobrze? Przecież cię nie znam... Kim jesteś? Tak krótko obecny w moim życiu i tak niespodziewanie do niego pasujący...” Unoszę głowę i wpatruję się w twarz mojego faceta. „Wiesz, o czym marzę? Żeby ci to powiedzieć. Wtedy moje szczęście byłoby pełne. Kocham cię, Adamie Harding...” Zagryzam kącik ust, żeby się nie rozplakać.

- Mel... - Czuję, jak wierzch męskiej dłoni delikatnie muska mój policzek. - Powiedz, jesteś szczęśliwa?

Palce Adama są chłodne, lecz delikatny dotyk parzy bardziej niż najgorętszy płomień. „Kocham cię...” - mówią moje oczy, moje ręce błędzące po muskularnych plecach, moje ciało chcące znów stopić się z jego ciałem. W głowie słyszę tę samą muzykę, która wczoraj otuliła mnie ciepłą aurą.

Już mam odpowiedzieć, ale nad naszymi głowami rozlega się właśnie przenikliwy świst. Pierwsza raca wybucha, uderzając głośnym dźwiękiem w nieprzygotowane płuca i odbierając dech. Adam zadziera głowę w stronę płonącego nieba.

- Tak, jestem... - szepczę, gdy kolejna petarda eksploduje przy akompaniamencie drżących szyb, a potem też podnoszę wysoko oczy.

Wiedziałam, że ta chwila musi kiedyś nastąpić, nie przypuszczałam jednak, że aż tak trudno będzie mi ją znieść. Boję się odmówić, jakoś wytrzymuję, ale gdy obracam głowę i widzę w oknie nasze rozmyte odbicie... Kiedy patrzę, jak on klęczy... Nie chcę, żeby to on klęczał przede mną. Wszyscy, tylko nie on...

Ciepłe dłonie wsuwają się pod moje pośladki, muśnięcia warg coraz bardziej zbliżają się do... Gdy już tam docierają, zagryzam zęby. W splocie słonecznym coś gniecie, gardło wypełnia kula waty.

- Adam... proszę, nie... - Dźwigam głowę. - Proszę.

Podnosi na mnie spojrzenie.

- Mel? - Jego oczy przepelnia pożądanie, twarz napłynęła krwią.

Dolatuje do mnie ciężki oddech, a wraz z nim ten zapach, prawie niewyczuwalny, ale jednak... Oto ja. To zapach mojej...

Fala mdłości nadciąga nieubłaganie. Coś wgniata gałki oczne i ściska skronie... - Mel?

- Nie chcę tak...

- Dlaczego?

Przykro mi odmawiać, ale nie wytrzymam. „Adam, tak bardzo chciałabym to dla ciebie zrobić...” Topię wzrok w ukochanym błękitnie tęczy. -

- Nie powiedziałam ci, mam uczulenie... ja... ty... nie możesz mnie tam pieścić.

Zwierzęce spojrzenie od razu gaśnie, a oddech przesycony pasją zwalnia. Tak mi źle...

- Naprawdę? - Mój kochanek natychmiast się podnosi. - Tak.

- Jesteś uczulona na ślinę? - Nie. Chyba na zarost. - Kiwam głową, żeby zabrzmiało bardziej przekonująco. - Dlatego zrobiłam sobie depilację laserową.

- Będę uważał... - Adam nie odpuszcza. - Chcę cię tak pieścić, chcę ci sprawić rozkosz...

- Proszę, nie. - Siadam. - Nie lubię tak. - Opuszczam wzrok na swoje uda, natychmiast przywodzę je do siebie. Zaczynam dygotać. Boję się, że Adam mi nie uwierzył, że zmusi mnie do tego. - Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Nie zawsze tak się dzieje... - zaznaczam, by zostawić sobie furtkę - ale czasami się zdarza, więc wolę tego nie robić.

Przez chwilę siedzimy bez słowa. Jestem niewiarygodnie zawstydzona, skrępowana.

Adam chyba daje za wygraną, bo wstaje i zakłada bokserki. Wychodzi do saloniku, po chwili dobiega mnie odgłos napełniania szklanki.

- Chcesz drinka?

- Tak - odkrzykuję. - Gin z tonikiem.

- Dobrze...

Owijam się prześcieradłem, ciut mi lepiej, niebezpieczeństwo zażegnane (chyba).

- Nie gniewasz się? - pytam, gdy podaje mi drinka. - Nie będziesz mógł się wykazać - dodaję żartem, by poprawić atmosferę.

- Mel... - Adam lekko przechyla głowę. - Wszystko w porządku?

- Tak. Dlaczego pytasz? - Spoglądam prosto w jego oczy.

- No dobrze - odpowiada po dłuższej chwili. - Nie chcesz, nie mów.

Czekam, aż zaśnie. Podnoszę się najostrożniej, jak mogę, ale i tak się budzi.

- Zaraz wracam, muszę do toalety... - wyjaśniam szeptem, odrywając się od gorącego ciała ukochanego.

Zamykam za sobą drzwi. Wyciągam z kosmetyczki pudełeczko z płatkami nasączonymi bezzapachowym zmywaczem. Sięgam po foliowy czepek i owijam nim dłoń, żeby nie uszkodzić lakieru, który mam na paznokciach. Ciepłe strużki łez ciekną, zanim jeszcze przyłożę pierwszy płatek do mojej kobiecości. Potem sięgam po drugi i kolejny. Pięć białych krążków dryfuje w muszli, a ja wyjmuję ostatni. Umieram z bólu, upokorzenia i żalu, że musiałam okłamać Adama, choć tak bardzo nie chciałam.

Zwijam czepek w kulkę i chowam go w pudełku z płatkami. Dokładnie myję ręce, zakładam bieliznę.

Adam... - Lekko uchylam drzwi. - Możesz tu podejść? - Coś się stało? - Staje w progu łazienki, leniwie się przeciągając.

- Obawiam się, że nie pojeżdżę dzisiaj z wami. - Parskam śmiechem i lekko rozchylam poły szlafroka.

Gdy widzę wzrok ukochanego wlepiony w moje podbrzusze, uświadamiam sobie, że trochę przegięłam.

- O, cholera. - Adam drapie się po głowie. - I co teraz? Może zawiozę cię do jakiegoś lekarza? Fatalnie to wygląda. - Przetyka ślinę.

- Spoko! - Macham ręką. - Mam maść na podrażnienia, do jutra nie będzie śladu.

- Mel... - Podchodzi blisko i ostrożnie bierze mnie w ramiona. - Przepraszam.

- To naprawdę nic, gorzej wygląda, niż faktycznie dokucza. Nie boli, tylko ciut swędzi. Nie przepraszaj, skąd miałeś wiedzieć. Poza tym nie zawsze tak mam, czasami nie ma śladu. Dlaczego? Nie wiadomo. Moja kosmetyczka stwierdziła, że to jakaś reakcja immunologiczna - paplam, udając beztroskę.

- Uhm...

- No cóż, jeśli miałeś ochotę na szybki poranny numererek... - chichoczę - musisz wybaczyć, nic z tego.

- Przestań. Melanio, stwierdzam, że jesteś bardzo delikatna. - Całuje mnie we włosy. - Prawdziwa księżniczka na ziarnku grochu.

- Oj, tam, zaraz księżniczka. To jak? Ubieramy się, pakujemy i...

- Kierunek Braddock. - Adam odsuwa mnie i przez chwilę przygląda mi

się badawczo spod lekko przymrużonych powiek. - Na pewno przejdzie ci tak szybko?

- Oczywiście. Jeśli sobie życzysz, zapraszam jutro na wizytę kontrolną w moim mieszkaniu... - Puszczam mu oczko.

Harding zamyka drzwi do łazienki. Wraca do sypialni, siada na brzegu łóżka i zakrywa twarz. Przez chwilę rozważa, jak powinien się zachować w tej niecodziennej sytuacji. Gdzieś w głębi duszy czuje, że coś jest nie tak, ale nie chce naciskać na Melanię. W końcu podnosi się i rozgląda po pokoju: trzeba spakować walizki i ruszać.

Dość szybko dojeżdżają na miejsce. Adam parkuje tuż obok terenowego nissana należącego do Ashleya.

- Wszystko w porządku? - Zerka z niepokojem na Melanię. Po drodze zamienili ze sobą może pięć zdań.

- Tak. - Panna Duvall zagryza wargi. - Wiesz, trochę się denerwuję. Wczoraj się udało, ale dzisiaj... - Macha ręką.

- Chodź. Będzie dobrze. - Mężczyzna oddycha z ulgą.

Matka Melanii podaje wspaniały obiad, a później wszyscy zasiadają w salonie. Anita jest w wyjątkowo złym humorze, pokłóciła się rano z Ashleyem i nie odzywają się do siebie. Młoda piękność siedzi w fotelu z nadętą miną, zerkając spod oka na Mel i Adama, którzy oglądają rodzinne zdjęcia. Ona też już przeszła ten etap i też słuchała opowieści o tym, jak część albumów zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Kłótnia między członkami rodziny Duvallów również jej nie ominęła. Teściowa znów wygłasza (jak zwykle spokojnym tonem) oskarżenia pod adresem swojego męża, który rzekomo sprzedał albumy razem z jakimiś meblami na wyprzedaży garażowej. Oskarżony o ten straszny czyn nawet nie zabiera głosu, jedynie macha ręką i uśmiecha się pod nosem, popijając porto. Ashley broni ojca, stwierdza, że albumy muszą gdzieś być, i zwała winę na nieobecną Scarlett - jego zdaniem siostra zabrała rodzinne pamiątki, więc leżą teraz na strychu albo w piwnicy wielkiego domu szwagra. Tylko Melania nie uczestniczy w sporze. Po cichu opowiada Adamowi o tym, co widzą na kolejnych fotografiach. W końcu wszystkie zdjęcia zostają komisyjnie przejrzane i kandydat na nowego członka rodziny jest wolny.

- Jedź z nami, proszę. - Uśmiecham się do Ashleya.

- Anita mnie zabije. - Odwraca się nerwowo.
- Oj tam. Ja nie dam rady dzisiaj, wiesz... - Wywracam oczami.- Babskie sprawy.
- No dobra! Poczekaj, tylko założę inne spodnie. - Zerka na siebie.
- Super! - Podskakuję jak mała dziewczynka i zaciskam kciuki. - Czekamy na ciebie w samochodzie.

Wyjeżdżamy za miasto. Cieszę się jak głupia. Siedzę na tylnej kanapie i trzymam brata za rękę. Ojciec usiadł obok Adama i o czymś cicho rozprawiają. Docierają do nas strzępki ich pogawędki, ale radio gra zbyt głośno, abyśmy cokolwiek zrozumieli. Ash żali się na coraz gorsze zachowanie Anity. Przykro mi i trochę niezręcznie słuchać jego zwierzeń (ze względu na obecność Adama i moją szczerą niechęć do „wiewióreczki”), ale on nie zwraca na to uwagi. Wiem dlaczego - jestem jedyną osobą, od której nie usłyszy: „A nie mówiłam?”. Na szczęście, zanim padnie pytanie: „Czy wnosić o rozwód?”, dojeżdżamy do maleńkiej posiadłości.

Jesteśmy jakieś dziesięć mil za Braddock. To nie nasz majątek, moja rodzina wynajmuje tylko kilka boksów w stajni znajomych. Trzymamy tam dwie kłaczki i ogiera. Ojciec przyjeżdża w to miejsce co drugi dzień, czasami towarzyszy mu Scarlett. Zabiera wtedy Wiktorię, która świetnie jeździ konno (chyba odziedziczyła zdolności po matce chrzestnej - czyli po mnie).

- Witam! - Nasz sąsiad Ethan wychodzi z domu.

Dokonuję szybkiej prezentacji, później spacerowym krokiem docieramy do stajni. Przy boksach wdajemy się w krótką polemikę: namawiam tatę, żeby pojechał razem z Adamem i Ashleyem, ale nie chce się zgodzić. W końcu ustępuję. Chłopaki wyprowadzają Oriona i Lunę, moją ukochaną kłaczkę. Daję jej marchewkę i głaszczę ganasze. Luna jest wspaniała, choć wygląda zwyczajnie: kasztanowata, średnio zgrabna... Znamy się od dwunastu lat. Gdy Ashley zakłada siodło, ona odwraca głowę. Już wie, że nie ja będę na niej siedzieć, więc spogląda na mnie ze smutkiem.

- Luna, moja dziewczynko... - Przytulam twarz do wilgotnych chrapów. - Też cię kocham.

- Mel... - Adam podchodzi do nas, prowadząc osiodłanego Oriona.

- Tak?

Nachyla się i delikatnie całuje mnie we włosy.

- Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi głupio.

- To moja wina, zapomniałam cię uprzedzić. Naprawdę nic się nie stało. Jeszcze nie raz będzie okazja. - Macham ręką. - Posiedzę z tatą,

pogadamy.

Przełykam ślinę, patrząc na mojego faceta, który właśnie dosiada Oriona. Stopa wsuwająca się w strzemień, napięte mięśnie ud... Może lepiej, że z nimi nie pojedę. Przez całą przejażdżkę myślałabym tylko o jednym.

- Świetny koń. - Adam poklepuje sierść, błyszczącą jak czarna satyna.

Panowie przez minutę krążą po placu. Dobrze, że w końcu wyruszają, bo nie wiem, jak by się to skończyło. Biorę tatę za rękę i wracamy pod stajnię. Siadamy na huśtawce, przytulam policzek do rękawa kraciastej koszuli.

- Tak mi dobrze... - mruczę, głaszcząc pomarszczoną dłoń.

- To dobrze, że ci dobrze...

- Uhm...

- Zaradny z niego człowiek. - Tato z uznaniem kiwa głową.

- Uhm...

- Od zera do milionera?

- Nie do końca, jego rodzice byli dosyć majątni. Jeszcze jakaś polisa do tego doszła. Spora sumka.

- Ale przecież mógł to zmarnować. Pamiętasz przypowieść o talentach?

- Pamiętam... pamiętam...

- To dobrze.

- Tato? - Odrywam głowę i zaglądam w przymrużone oczy. - Czy ty go lubisz?

- A co? Nie wolno? - Unosi krzaczaste brwi.

- Wolno - odpowiadam i parskam śmiechem. - Ja to nie Ash.

- Czyli krytykować też można?

- Można.

- I nabijać się?

- A jakże - chichoczę.

- Będę pamiętał.

- Uhm...

- A co z tą jego siostrą? Poznałaś ją?

- Nie. Ruth mieszka w Londynie, u siostry bliźniaczki ich matki. Po pięćdziesiątce, wdowa, dwóch dorosłych synów... Mała spadła jej jak z nieba, jest ponoć strasznie rozpieszczana.

- Nie tęskni za Adamem?

- Trochę. On bardzo często ją odwiedza, przynajmniej raz w miesiącu.

- Rozumiem.

Wsuwam rękę pod pachę taty i znów się przytulam. Zamykam oczy. Słońce delikatnie prześwituje przez ażurowy daszek nad tarasem.

- Brakuje mi ciebie - rzucam po chwili.

Chrząkam cicho, czuję drapanie w gardle. Z wielkim trudem zdobyłam się na tych kilka szczerych słów. Tato chyba też jest wzruszony, bo nie odpowiada. Klepie mnie lekko po ręce swoją szorstką dłońią, cicho pogwizdując jakąś bliżej nieokreśloną melodyjkę.

- To jak, córcia, napijemy się piwa? - pyta po kilku minutach.

- Pewnie.

Dzień dobry. I jak się pan dzisiaj czuje? - Siostra Goodman, pchając wózek z kolacją, wkracza do pokoju Gideona Kneppera w całym majestacie swojego dwustusześćdziesięciofuntowego ciała.

- Dzień dobry. Świetnie, siostro Marie, świetnie. - Staruszek natychmiast poprawia kołnierzyk koszuli.

- Jaki piękny krawat! - Pielęgniarka odkłada tacę na stolik i nachyla się nad podopiecznym. - Prawdziwy jedwab. - Cmoka z zachwytu. - Od wnuczki? - rzuca zdawkowo. - Minęłam się z nią w drzwiach jakieś dziesięć minut temu. Już drugi raz, odkąd tu pracuję, ją widziałam. Śliczna dziewczyna.

- Panna Duvall to moja przyjaciółka. - Na prawie białych ustach mężczyzny błąka się równie blady uśmiech. - Odwiedza mnie w każdy wtorek.

- Przyjaciółka? Ho, ho! Niezły z pana kogut! - Ciemnoskóra grubaska wybucha głośnym śmiechem. - A co na to szanowna małżonka?

- Jestem kawalerem, siostro Marie, ciągle i nieustająco do wzięcia.

- Naprawdę?! Niemożliwe, żeby taki elegancki mężczyzna nigdy nie dał się zaobrączkować.

- Lubię wolność! - Staruszek szczerzy białe zęby. - Wolność i swobodę. Cóż to dzisiaj poleca szef kuchni?

- Potrawka z kurczaka, trzy mięciutkie jak pierzynka tosty z pomarańczowym dżemem, deser ananasowy i zbożowa kawusia. - Pielęgniarka podjeżdża wózkiem do stołu. - Same pyszności, świetnie was żywią - stwierdza, przysiadając na niewielkim krześle tuż obok swojego pacjenta.

- Co racja, to racja. Już trzy lata mijają, jak tu mieszkam, i jeszcze nigdy się nie zatrąłem!

Siostra przez chwilę przygląda się jedzącemu, myśląc o tym, jak on

znakomicie sobie radzi. Większość mieszkańców ekskluzywnego ośrodka opieki Wonderful Life, usytuowanego niedaleko Central Parku, niestety nie jest równie sprawna fizycznie i umysłowo, wymaga pomocy przy prawie każdej czynności.

- Trzy lata? Kawalek czasu - rzuca pielęgniarka, zerkając z podziwem na poczynania Gideona, który właśnie kończy deser.

- Tak. Miałem wylew. Lekarze zdecydowali, że to będzie lepsze - wzdycha mężczyzna. - Tak trafiłem do tego raju.

- Złośliwiec z pana - chichocze Marie, widząc jego minę.

- Tak siostra myśli? Same anioły tu pracują, to i raj.

- A, chyba że tak! - Kobieta uderza dłońmi w pulchne uda.

Przez kolejne piętnaście minut pomaga mężczyźnie przy myciu i przebieraniu. Gdy wybija dziewiąta, Gideon Knepper śpi już smacznie, wyczerpany bardzo pracowitym popołudniem.

- Ciekawy człowiek ten spod trójki. - Siostra Marie zaczyna swój pierwszy nocny dyżur, zasiadając w małej dyżurce przy kubku kawy. - Elegancik, zawsze koszula i krawat, zero demencji, a jaki dowcipny!

- Gideon? Jest kapitalny, wszyscy go lubią. - Jej koleżanka, również ciemnoskóra, ale znacznie szczuplejsza siostra Joan Rossum, potwierdza, kiwając głową nad rozpiską z listą leków. - Wiesz, że to jedyny człowiek, który sam się tu zgłosił? - Podnosi wzrok na nową współpracownicę. - Wszystkich pozostałych oddała rodzina. Boże! 1 miej tu, człowieku, dzieci... - Drapie się po posiwiałej głowie. - Na stare lata cię oddadzą, jak Armii Zbawienia zużyte buty. I żeby chociaż jeszcze ich odwiedzali. Raz na pół roku się któryś pojawi, albo i rzadziej. Ta dziewczyna, która go odwiedza, przyjeżdża tu raz w tygodniu, a czasami nawet dwa. Nieraz siedzą tak długo, że razem zjadają kolację. A jak się śmieją! Nie wiem, co tam robią, bo nie wolno przeszkadzać, ale nieraz słyszałam muzykę. Często w coś grają, wiesz, w scrabble, szachy i tak dalej. Myślę, że tylko dzięki niej on jest taki żywotny i sprawny.

- Kim ona jest? Jego utrzymanką? - Murzynka z niedowierzaniem przymruża oczy.

- A gdzie tam! Knepper jest właścicielem biura podatkowego, a ta Melania jest jego pracownicą, choć on traktuje ją raczej jak córkę. I wcale mu się nie dziwię. Gdy do nas trafił, zaraz po wylewie, ta mała była tu prawie codziennie, godzinami z nim ćwiczyła, łeb w łeb z rehabilitantami, zawzięta się jak sam diabeł, żeby go z tego wyciągnąć. No i się udało.

- Ona nie ma rodziców? - Siostra Marie próbuje odkryć motywy panny

Duvall. - Może ma w tym jakiś interes i dlatego tak się stara?

- Ma rodzinę gdzieś w Pensylwanii. Nie sądzę, żeby chodziło o pobudki materialne. Wiesz, takie rzeczy łatwo zauważyć, a ona naprawdę go lubi, to widać. Gdybyś ją poznała, kiedy był naprawdę w kiepskim stanie, i zobaczyła, jak mu pomagała... To było szczerze. Marzyłabym, żeby moje dzieci tak się mną opiekowały na stare lata - wzdycha Joan. - Pozazdrościć.

- He ona ma lat?

- Koło trzydziestki, panna.

- Może... lesba? - Marie unosi prawie niewidoczne brwi.

- Oj, nie lesba. Jeden z naszych sanitariuszy, niejaki Martinez, który już tu nie pracuje, kiedyś ostro do niej startował, nawet umówiła się z nim na kawę, ale do niczego nie doszło, bo odkryła, że żonaty. Oj, działo się! Ponoć nawet po pysku dostał!

- Serio? - Grubaska zaczyna chichotać, trzęsąc się jak owocowa galaretka.

- No. - Druga pielęgniarka jej wtóruje.

- Wychodzi na to, że Gideon ma szczęście - rzuca siostra Marie po minucie zdrowego śmiechu. - Jednak Bóg istnieje.

- Istnieje!

- Alleluja! - Głosy obu kobiet wybrzmiewają jednocześnie i odbijają się od ścian dyżurki.

Zerkam na zegarek. Piętnasta osiem. Jeszcze trzy godziny i... Weekend.

Nie mogę się doczekać, choć tych pięć dni przeleciało jak jeden. Jak jeden ultradługi, pracowity dzień, spędzony na rozpląszczonym tyłku, z nosem nad klawiaturą i oczami wlepionymi w monitor. Jestem zmęczona. Żeby nie zasnąć nad papierami - śpiewam, choć w miejscach publicznych to bardzo ryzykowne. W każdej chwili ktoś może mnie usłyszeć i wezwać lekarza albo, co bardziej prawdopodobne, egzorcystę.

Niełatwo przyznać, ale chyba się przyzwyczaiłam. Te trzy dni i dwie noce z Adamem... Chciałam, żeby został u mnie w niedzielę, ale odmówił. Wkurzyłam się, na szczęście szybko mi przeszło, zresztą i tak w poniedziałek rano znów gdzieś poleciał. Wrócił wczoraj, wpadł na chwilę do biura, a potem pojechał do siebie. „Weekendowy związek, psia kostka...” - sarkam na naszą ciężką dolę.

Wyciągam z szuflady tubkę kremu z masła shea. Wyciskam sporą ilość i szybko wcieram specyfik w spierzchniętą skórę na łokciach. Włożyłam

dzisiaj kremowy golf z cieniutkiej dzianiny, niestety ma bardzo krótkie rękawki i odsłania prawie całe ręce. „Cholerne papierzyska! Nic tak nie wysusza jak one” - wzdycham, masując wystające kości. Żałuję, że już nigdzie nie można kupić tych specjalnych, czarnych ochraniaczy na przedramiona. W dobie papieru wybielanego chlorem taki produkt zrobiłby furorę. Owszem, istnieje coś takiego jak zarękawki, ale wyglądają obciachowo. Najczęściej szyje się je z kolorowego ortalionu, a nie zamierzam siedzieć w biurze z jakimś neonowym dziadostwem na rękach. Chciałabym mieć coś eleganckiego i funkcjonalnego, czy żądam zbyt wiele?

Podnoszę wzrok na drzwi. „Czy wszyscy, z którymi się dzisiaj umówiłam, należą do Kościoła Świętych Spóźnialskich?” - w myślach ciskam gromy na pana Collinsa i jego szanowną małżonkę Kate Stewart-Collins.

To bardzo interesująco pod względem matematycznym dobrana para. Razem mają osiemdziesiąt lat, przy czym „droga Katie” - jak nazywa ją mąż - niedawno ukończyła dwuletnią szkołę pomaturalną, a jej mąż jest trzy razy starszy. Ktoś już wie, dlaczego panna Stewart zainteresowała się tym mężczyzną? Tak... to smutne, ale dosyć łatwe do odgadnięcia.

Trzy ciche stuknięcia, pięć sekund przerwy i klamka się porusza. Jak miło. Moja asystentka uczy się powoli, ale jak już coś sobie zakoduje w ślicznej główce, ta wiedza zostaje na wieki.

- Państwo Collins przyszli. - Liza wsuwa głowę w wąską szparę między drzwiami.

- Dziękuję. Wprowadź ich. - Uśmiecham się promiennie. Zaslżyła na to.

Wstaję z fotela i wychodzę z za biurka. Collins to jeden z najlepszych klientów, od dwunastu lat zostawia fortunę w naszej kancelarii. Obsługujemy wszystkie jego firmy. To prawdziwy konglomerat osobliwości: zwykłe spółki, spółki matki, spółki córki, małe firemki, których jest jedynym właścicielem, i Bóg wie co jeszcze. Jak w cyrku, brakuje jedynie kobiety z brodą i psa z dwiema głowami. Przekrój działalności oczywiście równie interesujący: od produkcji jachtów, przez budowlankę i handel, po gastronomię, sieć hoteli i branżę turystyczną.

- Witam, panno Duvall! - Ron Collins podbiega w lansadach, unosi moją dłoń i składa na niej obrzydliwie wilgotny pocałunek.

„Co za oblech...” Nie mogę się nadziwić, jak można z kimś takim iść do łóżka. Za nic bym się nie zdecydowała, no, chyba że z pistoletem

przystawionym do głowy (choć i tego nie jestem pewna). Ron to niski, otyły, wiecznie spocony facet, obdarzony bardzo lichym owłosieniem, które zaczesuje, by przysłonić czubek okrągłej jak piłka głowy. „Tragiczny bardziej niż los eunucha w haremie” - powiedziałaaby Jess. Collins zawsze nosi ciuchy wprost z najlepszych butików, jednak nawet one nie poprawiają sytuacji. Żeby chociaż był sympatyczny, ale nie - ciągle mi się wydaje, że wszystkie kobiety (oczywiście te atrakcyjne) traktuje jak chodzące waginy, które marzą, żeby je przeleciał swoim maleńkim ptaszkiem, bo pewnie takiego ma, zważywszy na tuszę.

Odkąd wziął ślub z Kate, wyłącznie ja zajmuję się jego sprawami. Przedtem było to absolutnie niemożliwe, bo stary satyr wiecznie obsypywał mnie propozycjami z gatunku: „Panno Duvall, naprawdę powinna pani wybrać się ze mną do Maroka, mam tam piękny hotelik, miło spędzilibyśmy czas...”. Aż mnie mdli na samo wspomnienie. Ale jedno trzeba mu przyznać: to bardzo inteligentny człowiek, jeden z najsprytniejszych, jakich znam.

- Dzień dobry, panie Collins - odpowiadam, wykrzywając usta w grymasie udającym uśmiech. - Pani Collins... - Witam jego żonę krótkim skinieniem głowy.

- Witam. - Śliczna dziewczyna, szczuplutka jak trzcinka, unosi kąciki ust.

Żal mi jej, ale przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek, więc wyjście za bogacza to niejedyny sposób na dostatnie, wygodne życie. Widocznie jednak panna Stewart uznała, że szybciej i łatwiej niż pracować będzie rozłożyć piękne, długie nogi przed Ronem. No cóż, życie...

- Proszę usiąść. - Wskazuję dwa wygodne krzesła przed moim biurkiem. - Czego się państwo napiją?

- Dla mnie kawa. Macie tu świetne cappuccino. - Mężczyzna zaciera rękę, jakby właśnie wygrał milion dolarów, choć w jego sytuacji majątkowej to kwota zupełnie nieznacząca.

- Poproszę wodę. - Tleniona blondyneczka z pewnością jest na permanentnej diecie głodowej, bo talię ma szczuplejszą ode mnie, choć przewyższa swojego męża o głowę.

- Lizo, dla mnie też woda.

Przez chwilę rozmawiamy o głupotach: pogodzie, smogu nad Manhattanem i ostatnich wydarzeniach na giełdzie. Collins jest na bieżąco, Wall Street to jego konik. Słodka Katie nie zabiera głosu, skupia wzrok na swoich wypielęgnowanych paznokciach, a potem bawi się złotą

bransoletką z logo Chanel. Bezmyślnie obraca szeroki łańcuszek z zawieszka wysadzaną drobnymi diamentami. „Kurestwo to nie zawód, lecz charakter” - myślę, zerkając na dziewczę, które w życiu nie skalało się ani jedną godziną uczciwej pracy. Jestem tego pewna. „Kochana, gdybym trafiła na bezludną wyspę z twoim mężem, założyłabym jednoosobowy zakon o ścisłej regule. Tak mnie pociąga...” Uśmiecham się lekko.

Liza ustawia na biurku zamówione napoje.

- Co ma pani dla mnie? - Mój klient zakłada okulary i nachyla się nad biurkiem.

- Proszę. - Przesuwam w jego stronę teczkę. Przed sobą mam identyczną. Otwieram ją i wyciągam kilkanaście dokumentów, zszytych w niewielkie pliki. - Pierwsze trzy strony to ekspertyza, kolejne sześć to lista sześćdziesięciu ośmiu orzeczeń, które zapadły w podobnych sprawach. Następnie mamy szczegółowe wyroki w trzech bardzo podobnych do pańskiej, wszystkie oczywiście na korzyść podatnika. - Rozkładam dokumenty na blacie.

- W innych stanach? - Collins podnosi wzrok znad papierów.

- Owszem, ale akurat w kwestii, którą właśnie omawiamy, urzędnicy zajmują podobne stanowisko. Proszę spojrzeć. - Wskazuję na podkreślony ustęp. - To praktycznie identyczna wykładnia, jaką posłużył się federalny, bazując na wyroku z...

- Przepraszam bardzo, ale pan Harding tu jest, mówi, że to coś bardzo pilnego. - W lekko uchylonych drzwiach stoi moja zarumieniona asystentka z idiotycznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Słucham? - W pierwszym momencie nie mogę załapać, o co jej chodzi. Jestem wściekła. Nie dość, że cały dzień mam zabity trudnymi rozmowami, to jeszcze ta słodka niunia chyba zapomniała, że przed wejściem się puka.

Liza nieśmiało wkracza do biura, pewnie myśli, że jej nie zrozumiałam.

- Mówiłam, że jest tu pan Harding. - Zagryza wargi i aż po szyję oblewa się jeszcze mocniejszym rumieńcem.

- No i co z tego, widzisz, że jestem zajęta. - Mam ochotę ją zamordować. - Przepraszam bardzo - rzucam do zaskoczonego Collinsa - moja asystentka jeszcze nie opanowała do końca zasad panujących w naszej kancelarii.

- Jeśli to takie pilne, proszę się nie krępować... - Grubasek unosi brwi.

- Lizo, przekaż panu Hardingowi, że przez najbliższą godzinę nie mogę

mu pomóc. Musi poczekać, ewentualnie możesz go skierować do Rose, ona z pewnością godnie mnie zastąpi.

Zachodzę w głowę, co mogło się wydarzyć. Mieliśmy się spotkać o dwudziestej, rozmawiałam z Adamem trzy godziny temu. Wiedział, że do osiemnastej jestem bardzo zajęta, sam zamierzał posiedzieć w biurze, a potem wybrać się na trening. Trudno, teraz i tak nie mogę z nim porozmawiać. „Kocha, to poczeka” - jak mawiała moja babcia.

- Dobrze. Przekażę. Bardzo przepraszam. - Moja asystentka nerwowo dyga i wychodzi z biura.

- Przepraszam. - Wzruszam ramionami. - Młode to i...

- Głupie... - Collins kończy za mnie i chwyta za rękę swoją małżonkę.

Patrzy na Kate jak na słodkiego szczeniaczka, a w jego oczach maluje się pobleżanie zmieszane z lubieżnością.

Ja też zerkam na dziewczynę, która wreszcie zdradza pierwsze oznaki zainteresowania otoczeniem. „Ha! Paradne! Na twoim miejscu strzeliłabym go w pysk, ale jesteś na to za cienka w cyckach... Ciekawe, po co on cię zawsze ze sobą wlecze, jak jakieś pierdolone trofeum”.

Szybko spuszczam wzrok na papiery. Cała ta sytuacja bardzo mnie zdekoncentrowała, zamiast o pracy myślę o dupie Maryni.

- Dobrze. Może skupmy się na wykładni. - Pochylam nos nad dokumentem. - Jak mówiłam, w sprawie amortyzacji budynków nabytych przed osiemdziesiątym szóstym i znajdujących się poza terytorium stanu, w którym zarejestrowana jest spółka, sąd federalny w...

- Dzień dobry. Bardzo przepraszam za najście, ale to nie może czekać! Musi mi pani pomóc!

KURWA!

KURWA!!

KURWA!!!

Czy ja dzisiaj nie zdążę przedstawić tego pierdolonego wyroku?

Tym razem w drzwiach stoi mój nieznośny facet. W zasadzie nie stoi, bo ledwie podniosłam wzrok, a on już jest przy biurku i... wita się z Collinsem!

- Harding?! Młody Adam Harding?

- Pan Collins! Cóż za miła niespodzianka!

- Kopę lat, chłopcze!

Mężczyźni dziarsko wymieniają uściski dłoni i wizytówki, a grubasek pozwala sobie nawet na ostentacyjne poklepanie Adama po ramieniu.

- Przepraszam, panno Duvall, ale to naprawdę sprawa niecierpiąca

zwłoki, zajmę pani zaledwie kwadrans. - „Młody Adam Harding” uśmiecha się do mnie, a w jego błękitnych oczach błyskają szatańskie ogniki.

„Zabiję cię...” - przekazuję mu telepatycznie, bo jestem pewna, że to jakiś żart.

- Katie, przedstawię cię. - Collins nachyla się i klepie żonę w nagie udo, przysłonięte symbolicznie nogawką ultrakrótkich szortów.

Ślicznotka od razu podrywa się z fotela.

„Nieźle wytresowana, reaguje wzorcowo i szybciej niż pies Pawłowa...” Uśmiecham się pod nosem, obserwując wymianę uprzejmości. „Musimy koniecznie się spotkać... od kiedy jesteś w Nowym Jorku... i pitu, pitu... i gadka szmatka...” - a mój czas leci!

- Co się stało? - Właściciel blondyneczki jest ciekawy, jakież to problem sprowadza Adama do mnie.

- Nie będę wchodził w szczegóły, ale jest taka jedna i daje mi popalić...

- Ha! Znam to. Baby urzędniczki są najgorsze! Stare, brzydkie i sfrustrowane, bo oprócz Wuja Sama nikt ich nie kocha. Panno Melanio, myślę, że nic się nie stanie, jeśli poczekamy sobie z Kate w waszej pięknej sali konferencyjnej. Proszę pomóc mojemu drogiemu przyjacielowi, - Collins chwyta żonę pod ramię. - Nalegam.

Zgadzam się i odprowadzam ich do drzwi. Przekazuję Lizie, gdzie ma zaprowadzić moich klientów, i proszę, żeby podała im coś z bufetu.

Gdy cichną odgłosy kroków na korytarzu, zamykam drzwi i opieram się o nie. Delikatnie mówiąc, jestem poirytowana, nie mam pojęcia, o co chodzi Adamowi i po co odstawił cały ten cyrk.

- Mel, podejź do mnie... - Stoi oparty o biurko i uśmiecha się bardziej uwodzicielsko niż sam diabeł.

- Nie.

- Proszę grzecznie...

- Ja też grzecznie prosiłam. W niedzielę. - Wydymam usta.

- Jeszcze się dąsasz? - Przechyliła głowę.

- Żartowałam. Czegóż pan sobie życzy, panie Harding? - drocę się z nim.

- Chciałbym pani coś pokazać, panno Duvall. Proszę się nie obawiać. - Otwiera teczkę, wyciąga jakąś gazetę i lekko nią macha.

- Co to?

- Proszę podejść, będzie pani mogła sama się przekonać.

Kołysząc biodrami, powoli zbliżam się do biurka. Mój niespodziewany gość

rozkłada na brzegu blatu dzisiejszy numer „NYT”.

- Naprawdę ciekawy artykuł. - Wskazuje palcem na felieton pod interesującym tytułem: *Seks w biurze - nowy imperatyw kategoriowy*?

- To ta pilna sprawa? - Podnoszę wzrok znad gazety.

- Tak.

- A tajemnicza kobieta, która daje panu popalić, to...? Ty.

Już mam się oburzyć, oczywiście w żartach, ale Adam nie pozwala mi odpowiedzieć. Chwyta mnie w ramiona i obraca przodem do biurka.

- Oprzyj się na łokciach - rzuca zza moich pleców.

- Co robisz? - Próbuję się opierać, ale mój kochanek nie raczy odpowiedzieć. Dociska mnie do blatu tak stanowczo, że moja głowa natychmiast zawisa wprost nad artykułem. Wlepiam wzrok w niezbyt śmieszny rysunek, który przedstawia parkę uprawiającą seks na środku stołu konferencyjnego.

- Czytaj, to bardzo interesujące. - Wprawne dłonie błyskawicznie podciągają do góry ołówkową spódnicę. Słyszę, jak Adam głęboko nabiera powietrza. - Miałem tylko zerknąć, ale to grzech cię nie wykorzystać. Zbyt pięknie się prezentujesz... - komplementuje. - Zabraniam ci tak przychodzić do pracy... Zrozumiałaś?

- Mam przychodzić bez bielizny? - Chcę go trochę sprowokować.

- W zwykłych figach i rajstopach, a nie w tym... - Lekko klepie mnie w odsłonięty pośladek.

Wiem, o czym mówi. Na swoje nieszczęście znów założyłam bardzo elegancki komplet bielizny: czarne, wysoko wykrojone, satynowe stringi, szeroki pas z tradycyjnymi klamerkami i cieniutkie pończochy w cielistym kolorze. Ten zmysłowy zestaw dotarł do mnie wczoraj prosto z Francji i nie mogłam oprzeć się pokusie założenia go już dziś.

- Nogi szeroko - pada kolejne polecenie.

- Nie! Przestań! - Staram się mówić cicho, ale jak najbardziej stanowczym tonem.

- Mówiłem coś!

- Przestań. Proszę.

- Chyba nie boisz się, że ktoś wejdzie? - Adam nachyla się i mruży mi wprost do ucha. - Mel, nie lubisz mieć audytorium? To takie podniecające. Na Lizę nie licz. Poprosiłem, żeby nam nie przeszkadzała, ale może któryś z twoich kolegów będzie miał ochotę tu zajrzeć...

- Adam, proszę... - Zagryzam wargi, gdy czuję, że jego noga wpycha się

bez pardonu między moje uda.

- Nogi szeroko! - ponawia komendę, a ja tym razem wykonuję ją bez szemrania.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowuję, w każdej chwili ktoś może wejść. W drzwiach nie ma klucza. Stoję z wypiętym tyłkiem i czekam na to, co nieuniknione. Czuję znajomy uścisk w dole brzucha, serce wali mi jak obłąkane, a cipka w ekspresowym tempie zaczyna wilgotnieć.

Słyszę za sobą szcęk rozpinanej klamerki paska i szelest spodni.

Gdy opuszka palca nagle wślizguje się pod cieniutki paseczek majtek i dociera do łechtaczki, z moich ust wyrwa się cichutkie jęknięcie.

- Jesteś taka mokra, spragniona jeszcze bardziej niż ja... Zaskakujesz mnie, ale zaraz temu zaradzimy - dyszy Adam nad moją głową, ciągle masując wrażliwe miejsce.

Niezdolne uczucie: kochanek zaledwie mnie muska, a ja chcę, żeby ostro mnie przeleciał. Umieram z pożądania i strachu jednocześnie.

- Pieprz mnie... - proszę cicho.

- Cóż za błyskawiczna zmiana nastroju! Już, już, niegrzeczna panno Duvall. Ależ z ciebie krasnoludek...

Adam chwyta mnie w pachwinach. Pupa się unosi, nogi zawisają w powietrzu. Dosyć ciekawa pozycja, ale nie mam czasu sobie wyobrazić, jak to wygląda. Napierający członek przez moment błądzi, szukając odpowiedniego miejsca. W końcu znajduje wejście i taranuje spragnioną szparkę.

- Aaa... - Przystaję się kontrolować. - Tak., zrób to. Zerznij mnie, błagam... - Zamykam oczy i oddaję się przyjemności.

Niespodziewany gość pieprzy mnie tak ostro, że aż trzęsie biurkiem. Wszystko dygocze. Zastanawiam się, czy szklany blat i cztery stalowe nóżki wytrzymają taką szarżę. Słyszę brzęk filiżanki, która chyba się przewróciła. „Czy ten człowiek nigdy się nie męczy?” - zachwycam się jego kondycją. Trzyma mój tyłek i nabija go na siebie, aż słychać głośnie plaśnięcia.

- Jeszcze... - stękam coraz słabiej, bo wokół łechtaczki czuję już mrowienie zwiastujące orgazm.

- Wedle życzenia, panno Melanio... - Adam przyspiesza. Niezdolne mrówki drepczą coraz szybciej, zaraz oszaleją.

- Mocniej... o tak... - sapię. Jest.

Fala skurczów zaczyna rozlewać się w cipce, zasilana nieustannie

mocnymi pchnięciami wielkiego fallusa. Biorę głęboki wdech, bo na chwilę ustała. Dopływ tlenu do mózgu wyzwala kolejną serię. Gorąco robi mi się nawet w środku uszu, w których szumi tętniąca krew.

- Moja słodka Mel, doszłaś tak cudownie...

Adam nie przestaje mnie posuwać. Jeszcze mocniej przyciska mój tyłek do swojego podbrzusza i coraz szybciej oddycha. Zwiększa tempo pchnięć i kilka sekund później też dociera na szczyt. Fallus tłoczy ciepłą spermę, orgazm jest tak silny, że Adam opada na moje plecy i przydusza mnie do blatu.

Tkwimy tak przez dłuższą chwilę. Mam wrażenie, że oprócz ciężkiego oddechu kochanka słyszę coś jeszcze. Z trudem odwracam głowę w stronę drzwi. Widzę, że ktoś przechodzi obok: cień sylwetki przemyka przez mleczną szybę.

- Zaraz ktoś tu wejdzie... - szepczę jak najciszej.

- I co z tego? Przeczytałaś artykuł?

- Adam! - piszczę, zerkając na zegarek. Od wyjścia Collinsów minęło już dziesięć minut, - Zaraz ktoś nas nakryje, a ty pytasz, czy przeczytałam jakiś pieprzony artykuł?

- Pieprzona to ty byłaś, a felieton jest naprawdę ciekawy, - Harding wybucha śmiechem, ale na szczęście uwalnia mnie z objęć. - Poczekaj, jeszcze nie wstawaj.

- Co? - Obracam głowę, żeby sprawdzić, o co mu chodzi.

Widzę, jak wyciera ciągle lekko stojącego penisa chusteczką, którą po chwili wrzuca do kosza na papiery. Zapina rozporek i pasek, poprawia rozchełstaną koszulę i krawat.

- Nie ruszaj się. Głowa prosto. Punkt siódmy, pamiętasz?

Odwracam się posłusznie i wlepiam wzrok w gazetę. Czuję, jak po nogach ciekną cieniutkie strużki spermy, zmieszane z moimi sokami. Mocno zaciskam szparkę, żeby to powstrzymać. „W dupie mam punkt siódmy! Zaraz ktoś tu wlezie i wtedy po prostu cię zabiję, ale najpierw odgryzę ci to wielkie naturalne di Ido!” - wściekam się w duchu.

- Masz nożyczki?

- Nożyczki? - powtarzam, wybałuszając oczy. „Ja pierdolę, po co mu nożyczki w takim momencie?” - Nie. Tylko nóż do papieru. W górnej szufladzie... - Wskazuję ręką lewą stronę biurka.

- Może być - rzuca Adam zwięźle, zamykając szufladę. - Spokojnie. Nie ruszaj się, bo cię skaleczę. - Chwyta za moje stringi i lekko je

naciąga.

- To francuska bielizna, wiesz, ile kosztowała?! – Jestem oburzona. Słyszę, jak cięty materiał cicho chrzęści pod ostrzem, a potem wysuwa się spod koronkowych podwiązek.

- Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

- A powinno! - syczę.

- Możemy się sądzić o te majtki, jeśli chcesz. A na razie możesz wstać. - Mój niczym niezrażony kochanek lekko klepie mnie w tyłek.

Natychmiast się podnoszę i odwracam.

- Co robisz? - Z niedowierzaniem patrzę, jak Adam chowa rozcięte stringi do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Pamiątka. Wyślę je gubernatorowi Woodowi wraz z petycją.

- Co?! - Od razu sobie przypominam, w jakich okolicznościach słyszałam to nazwisko. - O, ty draniu! - Popycham go lekko. Już wiem, że dzisiejsza wizyta jest rewanżem za moją akcję sprzed kilku tygodni. - Z jaką petycją?

- Przeczytaj artykuł, to się dowiesz. Popraw to. - Wskazuje brodą moją ciągle podniesioną spódnicę.

Szybko naciągam czarną tkaninę i pobieżnie układam włosy. Sięgam po torebkę i nerwowo w niej szperam.

- Niech to szlag! Pożycz mi chusteczkę! - Chcę się trochę powycierać, bo między nogami aż kleją się od wilgoci.

- Panna Duvall nie nosi ze sobą chusteczek? - Adam lekko unosi brwi. - Taka elegancka kobieta?

- Nosi, ale dzisiaj zapomniała! - Mam nieodpartą ochotę zamordować go leżącym na blacie nożykiem do papieru.

- Miałem ostatnią. - Pokazuje z uśmiechem puste opakowanie.

- Harding!

- No co?

- A niech to szlag! - Rozglądam się bezradnie. Przecież nie wytrę się kartką z drukarki.

- Żartowałem. Proszę. - Mój chłopak wyciąga z kieszeni spodni chustkę z białego płócienka. W rogu dostrzegam monogram, wyhaftowany błękitną nicią. „Co za pieprzony elegancik! Kto w dzisiejszych czasach tego używa?” Jestem zdumiona, że Adam ma coś tak niepraktycznego jak bawełniana chustka. Zabieram ją i pieczołowicie wycieram wewnętrzną stronę ud.

- Możesz zachować na pamiątkę - słyszę, gdy chcę oddać kompletnie przemoczoną szmatkę.

- Zbytek łaski - pry cham. - Ma twoje inicjały. - Chcę zobaczyć, jak wkłada ją z powrotem do kieszeni. Przesiąknie jak nic, plama na tyle spodni gwarantowana.

- Na pewno nie chcesz jej zachować? To prawdziwa gratka...

- Nie jestem fetyszystką.

- Hm... No dobrze, choć jest ciut upačkana... - Ogląda badawczo skrawek tkaniny, a potem na moment przykładają ją do nosa. - Wcześniej była czysta i wyprasowana, ale nie pachniała tak interesująco. Wyczuwam aromat świeżo zerżniętej cipki... - mówi rozmarzonym głosem.

- Adam! - Kręcę głową. - Jesteś okropnym impertynentem. Dawaj z powrotem! - Chcę wyrwać mu chustkę, ale podnosi ją w dłoni wyciągniętej do góry. Oczywiście nie mam najmniejszych szans w tym starciu. - Wypiorę ją.

- O nie, panno Duvall. Będę ją nosił... o, tutaj! - Wsadza chaotycznie złożoną chustkę do małej kieszonki na piersi. - To będzie moja zapachowa wersja poszetki.

- Proszę cię, wyjmij to. - Błagalnie składam ręce. - Z daleka widać, że jest mokra...

- Nieważne, jak wygląda. Ważne, jak pachnie. - Mój mężczyzna odsuwa się z diabolicznym wręcz uśmiechem i zerka na zegarek. - Proponuję trochę tu ogarnąć. Zaraz wrócą twoi klienci.

Szybko zabieram z blatu kompletnie pomiętą gazetę i razem z nożykiem wrzucam do szuflady. Stawiam filiżankę na spodku (na szczęście była pusta), poprawiam rozłożone dokumenty i podnoszę z podłogi jedną z teczek.

- Prawie jak przedtem - Adam kwituje moją błyskawiczną akcję porządkową.

- Prawie? O co ci chodzi? - Rozglądam się w panice, bo właśnie słyszę w korytarzu tubalny śmiech Rona Collinsa. - Zostawiłam jakieś ślady?

- Ty nie.

- Adam! - Zaciskam zęby.

- Nic nie mówiłem, wszystko jest OK- odpowiada, wyraźnie akcentując ostatni zwrot.

- Idź sobie... - Popycham go w stronę wyjścia, a sama szybko sadowię

się w fotelu.

- Do zobaczenia wieczorem - cicho przypomina mi o randce i posyła buziaka.

- Pa.

- Panno Duvall, jeszcze raz wyrażę wdzięczność. Bardzo mi pani pomogła, jestem zobowiązany! Do widzenia. – Adam staje w otwartych drzwiach i tubalnym głosem wygłasza podziękowania. Z pewnością słyszą go wszyscy, nawet pracownicy z dolnego piętra.

Parskam śmiechem...

- Idź już - mówię bezgłośnie i lekko macham dłonią.

- Kurwa! - wykrzykuję do własnego odbicia w łazienkowym lustrze. - Co za wstyd!

Jeszcze raz kontrolnie sprawdzam, czy mam czyste łokcie. Zeszło dopiero po zastosowaniu zmywacza do lakieru. Znów przypominam sobie dziwny uśmiezek Collinsa, którym mnie powitał po krótkiej przerwie. Ten wzrok wlepiony w moje cycki, lubieżnie rozdęte nozdrza...

- Co za żenada. - Kręcę głową.

Nawet głupiutka Kate załapała, o co biega, a ja? Skąd mogłam wiedzieć, że farba drukarska rozpuści się pod wpływem tłuszczu? I tak sobie siedziałam, niczego nieświadoma, przez godzinę...

Dzwonek.

- Nie żyjesz! - syczę, podchodząc do domofonu. - Słucham, Robercie?

- Pan Harding tu jest.

- Powiedz, że nie ma mnie w domu.

- E... dobrze.

Słyszę, jak parska śmiechem, a potem coś referuje Adamowi. Wiem, że ten ostatni nie odpuści, odkładam słuchawkę i zostawiam lekko uchylone drzwi. Szybko kryję się w różowej sypialni, przekręcam klucz i włożę pod kołdrę.

- Mel... - Głos z korytarza dobiega już po niecałej minucie. Adam musiał wbiec po schodach, jest wyraźnie zdyszany. - Mel... i tak cię znajdę...

Kulę się jeszcze bardziej.

- I co z tego, że mnie znajdziesz? - mruczę cichutko. - Nie wejdiesz tu, ty przebrzydła istoto...

Dobre pięć minut Adam płacze się po apartamencie, nawołując coraz

głośniej i coraz bardziej stanowczo. Nie zamierzam się ujawniać, chichoczę, tuląc usta do mięciutkiej flaneli, z której uszy ta jest pościel.

W końcu dociera do drzwi. Lekko szarpie za klamkę, później słyszę dźwięk otwieranej szuflady w holu i powrót.

- Wiem, że tam jesteś. Proszę, otwórz drzwi, maleńka...- Mój gość próbuje być miły.

Nie odzywam się. Jeszcze mocniej otulam ciało kołdrą.

- Mel... i tak wejdę do środka. Jeśli mnie nie wpuścisz, skończy się to tragicznie. Może jednak będziesz grzeczna?

„O, w mordę, ależ to brzmi... - Zagryzam wargi. - Potrafisz być groźny". Odruchowo zaciskam wszystkie mięśnie.

- Posłuchaj, zaraz otworzę te śmieszne drzwi. Wiesz jak? Wsunę pod szparę kartkę, nożem albo czymś podobnym wypcham klucz, wysunę papier i już. To jak? Otwierasz?

Nadal nie odpowiadam. Szybko rozważam, czy da się tak zrobić. Zerkam na szczelinę pod drzwiami: rzeczywiście jest dosyć szeroka.

- Niech to szlag! - szepczę do siebie.

Mam kilka sekund. Zanim Adam znajdzie kartkę i jakiś przedmiot nadający się na wytrych, zdążę się ukryć w innym miejscu. Planuję ucieczkę do sypialni i schronienie się pod łóżkiem. Ale zabawa! Błyskawicznie wyskakuję z łóżka, gdy tylko słyszę odgłos oddalających się kroków. Przekręcam klucz i wypadam na korytarz.

- Mam cię! - Adam łapie mnie za krawędź sukienki.

Nie spodziewałam się go w tym miejscu. Nagły zwrot akcji dodaje mi prędkości, wyrwam się i uciekam do salonu.

- Mel... - Harding staje w progu. - Jesteś nieznośna.

- To ty jesteś nieznośny - chichoczę.

Mój ukochany chyba się podekscytował zabawą. Widzę to w jego rozbieganych oczach i zarumienionych policzkach. Choć ubrany jak zwykle elegancko: czarna koszula i piaskowe spodnie, prezentuje się wyjątkowo drapieżnie z lekko rozwichrzonymi włosami.

- Złap mnie, jeśli potrafisz - podpuszczam go, stojąc za oparciem sofy.

- O, nie... Nie zamierzam cię gonić. Sama przyjdiesz. Leniwym krokiem zbliża się do fotela, siada na nim, zakłada nogę na nogę.

- Nic z tego... Zresztą nie ma mnie w domu.

Powoli wysuwam się z za oparcia i nie spuszczaając oka z Adama, zmierzam do wyjścia. On siedzi spokojnie, odwraca się tylko i śledzi mnie

wzrokiem.

- Jesteś na mnie zła? - rzuca niby od niechcenia. Zatrzymuję się przy drzwiach.

- A jak myślisz? - Przymrużam oczy.

- Mam wyjść?

Zagryzam wargi, a po chwili kręcę głową.

- Zostanę, ale musisz tu podejść - słyszę.

Opieram się o futrynę i wdzięcznie wyginam. Wiem, że mu się podobam, widzę to i czuję. Ciekawe, co najbardziej działa na mojego mężczyznę. Co go tak rozpałiło i spowodowało, że jego źrenice się rozszerzyły, a głos brzmi chrapliwie i namiętnie? Może mój strój: śliczna sukienka, niewinna i słodka, z miękkiej białej bawełny zadrukowanej wzorem maciupieńkich kwiatuśków? Albo fryzura: luźno spleciony warkocz?

- Nie - odpowiadam po chwili, by znów sprowokować Adama.

- Nie? - Poprawia się na fotelu.

- Nie.

- Dlaczego nie chcesz tu podejść? Chcę cię dotknąć.

- Nie wiem - wzdycham, przełykając ślinę. - Podoba mi się tak, jak jest.

- Co ci się podoba?

- Jak na mnie patrzysz, jak do mnie mówisz...

- Bo?

- Bo nie wiem, co zamierzasz.

- A jeśli nie będziesz musiała pochodzić, ale każę ci zrobić coś innego, posłuchasz mnie?

- Tak. Nie. Nie wiem. Zależy, co to będzie. - Pocieram dłońmi ramiona pokryte gęsią skórą. Napięcie rośnie z sekundy na sekundę, to jakiś obłęd, jak na mnie działa ten facet.

- Nie dotknę cię, bez obaw.

- Nie boję się twojego dotyku.

- Więc? Jaka decyzja? Spełnisz moje życzenie? - Adam bierze głęboki wdech. - W przeciwnym razie wyjdę.

Zagryzam kącik ust.

- Szantaż?

- Nie jestem szantażystą - prychna pod nosem. - To ty jesteś dzisiaj wyjątkowo niegościnna.

- Hm... - Przez moment zastanawiam się, czy nie przesadziłam. - Zgoda. Spełnię twoje życzenie.

- Świetnie. - Adam od razu obdarza mnie lekkim uśmiechem. Przechyla głowę, marszczy czoło, wygląda, jakby nad czymś się zastanawiał. - Chcę zobaczyć, jak sama się zaspokajasz.

- Co? - wyrzucam z siebie z trudem. - Mam się przy tobie masturbować?

- Tak. Chcę to zobaczyć.

- Ale... po co?

- Czy to ważne? Zgodziłaś się.

- To bardzo intymne... - Opuszczam głowę. - Chyba jednak poproszę o poprzedni zestaw pytań.

- Przepadło.

Pocieram rozpalone policzki. „Ale jazda! Kolejna porcja adrenaliny? Ileż można? Najpierw biurowy seks, później akcja z Collinsami, zabawa w chowanego, a teraz to?”.

- Mogę przystać na twoją prośbę, ale na moich warunkach - wzdycham po chwili namysłu.

- Czyli?

- Zrobię to, ale sama wymyślę jak.

- Dobrze, choć zastrzegam sobie prawo do jednego sprzeciwu.

- OK - rzucam odruchowo i natychmiast zakrywam dłonią usta. - Przepraszam, to z nerwów.

- Denerwujesz się? - Kręci głową. - Nie wierzę.

„Tak, bardzo się denerwuję! Ja pierdolę... Co za pomysł!” - jęczę w duchu.

- Dasz mi chwilę? Muszę się przygotować.

- Jasne, ale chcę widzieć, co robisz.

Przystaję na to. Wychodzimy do kuchni. Wyciągam butelkę z ulubionym ginem London Dry. Adam tradycyjnie odmawia, przecież prowadzi. Nalewa sobie samego toniku i z rozbawieniem obserwuje, jak robię drinka. Wypijam go duszkiem, dzwoniąc zębami o krawędź szklanki. Już po chwili krew zaczyna jeszcze szybciej krążyć. Rozważam drugą turę, ale stwierdzam, że chyba wystarczy, tym bardziej że przed przybyciem Adama już zaliczyłam podobną porcję.

Przechodzimy do mojej sypialni. Zabieram stamtąd vibrator. Znów jesteśmy w salonie. Wskazuję Adamowi miejsce na fotelu, a sama siadam na drugim. Sięgam po pilota i ściemním wszystkie lampy do minimalnego poziomu. Otacza nas miły półmrok, robi się klimatycznie. Zerkam na mojego gościa, który rozparł się wygodnie w oczekiwaniu na pokaz...

Ciągle myślę, co mu się nie spodoba. Jestem pewna, że skorzysta ze swojego prawa i na coś mi nie pozwoli, coś każe zrobić inaczej. Zsuwam bieliznę i podnoszę krawędź sukienki. Z premedytacją nie rozbieram się cała, licząc, że właśnie to będzie mu przeszkadzać. Zerkam na Adama z nadzieją na sprzeciw, ale mój ukochany nic nie mówi. Wzruszam ramionami i sięgam po laptopa.

- Nie.
- Co „nie”? - Moja dłoń zawisa w powietrzu.
- Nie zgadzam się, żebyś z niego korzystała.
- Aleja nie potrafię bez filmów... - Z trudem zdobywam się na szczerość.
- Albo filmy, albo zabawka.
- Przymykam oczy. „A niech cię!” - złorzeczę w duchu.
- Mogę jeszcze jednego drinka?
- Możesz.

Wracam z kuchni po dobrych dwóch minutach. Na szczęście Adam nie widział, jak trzęsły mi się ręce przy nalewaniu ginu. Siadam na fotelu, znów lekko odchyłam sukienkę, ale tym razem nie odsłaniam cipki i próbuję się rozluźnić. Sięgam po Neę, moją ulubienicę, dyskretny gadżet zrobiony na zamówienie: czarny, z połyskiem, ozdobiony delikatnym nadrukiem w chryzantemy. Włączam wibrator i zamykam oczy...

Harding wpatruje się jak zahipnotyzowany. Jego oczy, wlepione w kobiecą dłoń, śledzą każde jej drgnięcie, każdy najdelikatniejszy ruch. Wibrator cicho brzęczy, ale ten dźwięk jeszcze bardziej podkreśla jedyne widza erotycznego spektaklu.

Oddech Melanii przyspiesza, mięśnie napinają się jak struny. Choć słabo widoczna w wypełniającym pokój mroku, działa na mężczyznę tak bardzo, że ten raz po raz przełyka ślinę i tak jak ona coraz szybciej nabiera powietrza.

Panna Duvall unosi pięty, tylko śródstopiem wspiera się o dywan. Rozchyła nogi i zaczyna lekko ruszać biodrami. W górę i w dół, w górę i w dół - miednica przemieszcza się w równym tempie. Mijają minuty, nic się nie zmienia. Harding zaciska palce na poręczach fotela.

- Adam... - Melania nagle zastyga w bezruchu. - Ja... nie dam rady...

Wyłączam wibrator. Biorę głęboki wdech i otwieram oczy. Widzę mojego mężczyznę, jest... rozczarowany? A może zły?

Nie wiem, bo jest zbyt ciemno, abym mogła to ocenić po wyrazie jego twarzy.

- Przepraszam, aleja tak nie mogę. Wybacz mi. - Odkładam czarny gadżet na stolik i poprawiam się na fotelu. Przywodzę nogi do siebie, naciągam sukienkę.

Czuję nadpływające łzy. Tak bardzo się starałam! Wsłuchiwałam się w oddech Adama, wspominałam najbardziej emocjonujące chwile: moment, kiedy pieścił mnie w łazience, pierwszy orgazm. Podnieciło mnie to, ale nie potrafię dojść na sucho, bez dotyku, bez słów szeptanych do ucha... Opuszczam głowę i przymykam powieki. Wszystko wiruje, a w piersiach coś nieznośnie gniecie.

„Chyba nie zostawisz mnie samej?” - przerażająca myśl pojawia się natychmiast, gdy słyszę, że Adam podnosi się z fotela. Na szczęście nie mam możliwości tego powiedzieć, bo mój luby podchodzi blisko i kuca przed moimi kolanami. Wyczuwam jego zapach. Wyciągam ramiona i mocno się przytulam.

- Kochaj się ze mną - szepczę.

- Nie chciałaś, żebym cię dotykał - cicho mnie strofuje, ale jego dłonie zaczynają błdzić po moich plecach.

- Potrzebuję tego.

- Wstydziałaś się?

- Tak, na początku. Później już nie. Chciałam to dla ciebie zrobić. Wierzysz mi?

- Wierzę. - Muska wargami szyję, policzki. - Mimo wszystko to było niesamowicie podniecające.

- Naprawdę?

- Tak - rzuca Adam, a później bierze mnie na ręce i zanosz do sypialni.

Jak to mówi mój tato: wybieramy się na tańce. Oczywiście nie mam pojęcia dokąd. Dlaczego mnie to nie dziwi? Koło południa zwlekłam się z łóżka. Sama. To następna tajemnicza sprawa: z jakich powodów Adam jeszcze nigdy u mnie nie nocował? Zawsze elegancko i grzecznie odmawia. Wczoraj, a raczej już dzisiaj, został do drugiej w nocy, po czym tradycyjnie zwinął żagle...

Może przeraża go widok kobiety porannej, rozczochranej i bez makijażu? Raczej nie, bo widział mnie już w tej wersji, i to kilka razy. Przecież spaliśmy razem w hotelu! Gubię się w domysłach, ale nawet nie próbuję pytać o prawdziwe motywy. I tak czuję się wystarczająco

upokorzona, gdy on wstaje, ubiera się i wychodzi.

Zadzwoiłam po Lucy, moją fryzjerkę specjalizującą się w czesaniu (nie mylić z fryzjerem od podcinania końcówek i farbowania). Lucy to fajna dziewczyna, która przyjeżdża do klientek. Wkracza o czwartej po południu, obładowana jak dromader i zawsze uśmiechnięta. Namawia na coś innego niż zwykle. Dwie godziny później moje włosy wyglądają wprost genialnie: błyszczące, skręcone lokówką w idealnie równe spiralki.

Wyciągam z szafy kreację na wyjątkowe okazje. Czarna sukienka zaprojektowana przez dwóch Włochów, piękna jak anioł i seksowna jak diabeł. Nie przepadam za długimi kieckami, jestem zbyt niska, ale to cudo z rozcięciem do samej cipki wybitnie mi pasuje. Co więcej, to kiecka bez pleców (nie licząc trzech złotych łańcuszków łączących boki) i z gigantycznym dekoltem, który w zasadzie odsłania wszystko od pępka do gardła. Kupiłam nawet specjalny biustonosz, czyli dwie silikonowe podkładki, które utrzymują piersi wysoko.

Za trzy dziewiąta stoję między lustrami.

- Jest szal... - mruczę do swojego odbicia.

- Ciekawy fason. - Adam unosi brwi.

- To miał być komplement? - pytam i parskam śmiechem, widząc w lustrze jego minę.

- Tak.

Czuję palec przejeżdżający wzdłuż kręgosłupa. Zatrzymuje się przy każdym łańcuszku i lekko go pociąga.

- Nie podoba ci się? - Odwracam się przodem.

- Podoba - rzuca zdławionym głosem. Wydatna grdyka kilka razy przesuwana się pod skórą. - Nawet bardzo.

- Ale...

Wzrok Adama prześlizguje się po moich piersiach. Jego spojrzenie jest tak namiętne, że odczuwam je niemal jak dotyk.

- Ale... - powtarzam po kilku sekundach.

- Wyglądasz pięknie, ale i...

- No, powiedz! - Uderzam go lekko w klapę marynarki,

- Zdzirowato? - Chrząka znacząco.

- Co? - Wybałuszam oczy. - Zdzirowato? W najśmielszych fantazjach nie przypuszczałam, że zna pan takie słowo, panie Harding.

- Znam.

- Ciekawe... Gdzie je pan usłyszał i od kogo? Pytam, bo to bardzo

podejrzane. Takie określenie pasuje raczej do słownika kobiety.

- Zgadza się.

- Uhm... - Kiwam głową. - Mam się przebrać?

- Jeśli chcesz. Ja nie nalegam. Mówiłem ci, że nie zamierzam ingerować w twój sposób ubierania się, Czy ja mam halucynacje? Wczoraj ktoś wpadł do mojego biura, pociął nożem, a następnie ukradł drogie francuskie majtki, stanowiące część kompletu, i udzielił mi reprimendy dotyczącej bielizny, którą miałam na sobie. Ten sam ktoś pouczył mnie, że jedyne, co mogę zakładać do pracy, to zwykłe majtasy i rajstopy. To nie jest ingerencja w mój wizerunek? - Oskarżycielko trącam palcem wypiętą pierś Adama. - Dałabym głowę, że właśnie ty byłeś tym kimś! A może to jakiś łądząco podobny facet?

- Owszem, przyznaję się do tego niecnego czynu. - Bierze mój palec i wkłada sobie do ust. Przez chwilę ssie go lekko, a później wyjmuje i wsuwa razem ze swoją dłonią pod jedną z szerokich szelek czarnej kiecki.

- Ale... - znów dopowiadam.

- Ale moja uwaga odnosiła się wyłącznie do wizerunku twojej słodkiej pupy, a nie do całości jako takiej... – mruczy wprost do mojego ucha, masując sterczącą brodawkę lewej piersi. - Co to? Masz implanty? Wyczuwam silikon. - Dłoń Adama poczyną sobie coraz śmieiej.

- Sam masz implanty! - pryham. - To silikonowy biustonosz.

- Uhm... Dziwne. Jak u lalki, tylko takiej lepszej gatunkowo, nie dmuchanej...

- Nieprawda! - Odpycham go lekko.

- Prawda! - Szczyrzy zęby.

- Jeszcze jedno słowo i sam pójdziesz do tego klubu. - Odwracam się tyłem i krzyżuję ręce na piersiach.

- Przepraszam, ale za mocno na mnie działasz w tej kiecce. - Przybliżyła się i dotyka podbrzuszem miejsca nad moimi pośladkami. - Żeby coś mogło się podnieść, coś innego musi opaść... i niestety trafiło na poziom kultury moich wypowiedzi. To jak? Może szybki numer od tyłu, panno Duvall? Stęskniłem się za tobą i twoim tyłeczkiem. - Gryzie mnie w kark.

- Doprawdy? Trzeba było zostać na noc, panie Harding! - fukam. - A teraz zapomnij!

- Oj! Pokazujesz pazurki? Lubię cię taką...

No i jesteśmy. Adam wybrał niewielki, ekskluzywny klub Background na zachodnim końcu Pięćdziesiątej Drugiej. Niedaleko stąd do Central Parku, ale jakoś nigdy mnie tu nie przywiało, więc z ciekawością się rozglądam. Przyjemne miejsce, bardzo kameralne: dwie sale z lożami i tyleż samo do tańca. Ukryci za wysokimi oparciami, dyskretnie się obściskujemy, skórzana tapicerka przyjemnie skrzypi przy każdym ruchu. Adam nie zaprzestaje szeptać czułych słówek, choć bliżej im do świńskich kawałów niż eleganckiego flirtu. Muzyka nam nie przeszkadza, słysząc ją, owszem, ale nie nachalnie. W ciągu dwóch godzin zdążyliśmy potańczyć (jestem zadowolona, w skali od jednego do dziesięciu daję Adamowi mocną siódemkę), zjeść naprawdę niezłą kolację (kucharz świetny, trzeba mu przyznać - filety z dorsza faszerowane szpinakiem i żurawiną podbiły moje serce) i wypić białe wino, choć to głównie ja piję.

Tradycyjnie - w tej materii mój facet jest sztywny, co najmniej jak Newland Archer w *Wieku niewinności**, czyli jak zwykle poprzestał na jednej, symbolicznej lampce...

Na moje wyrzuty, ocenione jako „kręcenie nosem”, usłyszałam kilka zgrabnych zdanków w stylu „Naprawdę świetnie się bawię bez alkoholu”, „Ktoś musi być trzeźwy” oraz argument koronny i nieustający jak nowenna: „Prowadzę”... Zaczynam rozważać zlecenie komuś kradzieży rangę rovera, ewentualnie mogłabym sama to zrobić. A może kiedyś schowam mu to pieprzone prawo jazdy?

- Adam?! - piszczy ktoś nad naszymi głowami.

- Nadia? - odpowiada mój chłopak i natychmiast się podnosi.

„Ła! Ależ laska! Tyle wygrać?” - wzdycham w duszy.

Adam błyskawicznie dokonuje prezentacji. Jego znajoma Nadia i jej mąż Robert (ponoć świeżo poślubiony) przysiadają się do naszego stolika. Na szczęście przez dobry kwadrans rozmowa toczy się głównie między Adamem a śliczną blondynką. Przynajmniej mam okazję spokojnie ją pooglądać. Dlaczego to takie interesujące? Otóż Nadia okazuje się pierwszą poważną (nawet się zaręczyli!) dziewczyną mojego obecnego faceta. Cóż za gratka... Przeszłość prezesa Hardinga właśnie przestała być aż tak bardzo tajemnicza. Wiem, że byli ze sobą cztery lata i mieszkali jakiś czas razem.

Z figury podobna do mnie, też drobna i niska. Nieodparcie kojarzy mi się ze Scarlett Johansson: ma pełne usta (typowa truskaweczka), trójkątną twarz, duże oczy. Krótko obcięte włosy, posklejane w szpiczaste kosmyki,

drapieżnie sterczą na wszystkie strony. Do tego pozornie grzeczny strój: białe džinsy i takiż golf z długimi rękawami. Pozornie, bo golf jest półprzezroczysty, a suwak spodni ma może półtora cala długości. Biustonosza nie stwierdzono, za to nasze skromne audytorium może bez problemu podziwiać zawadiacko sterczące sutki plus kolczyk w pępku. I co w tym wszystkim najlepsze: Nadia chce być aktorką, mieszka z mężem w Los Angeles i ponoć ma już za sobą kilka małych sukcesów.

- Co pijecie? - W jej głosie pobrzmiwają rozrywkowe nuty.

- Ja wino, Adam soczek - stwierdzam z przekąsem.

Mój facet próbuje się tłumaczyć, ale jego była kwituje to gromkim śmiechem i okrasza kilkoma epitetami („drętws” jest zdecydowanie najłagodniejszym z nich). Nie powiem, jestem w lekkim szoku, bo Adama wyraźnie bawi zachowanie Nadii. Może to jakiś klucz? Może powinnam śmielej sobie poczynać? Gubię się w domysłach. Jakby tego było mało, nasza gwiazdka wyciąga paczkę papierosów (siedzimy w części dla palących) i mnie częstuje. Oczywiście

*Wiek niewinności - kostiumowy melodramat z 1993 roku w reżyserii Martina Scorsese.

odmawiam, mimo że czasem lubię zapalić przy alkoholu. Nie chcę wyjść na sztywniarę, więc na wszelki wypadek szczerzę zęby, choć czuję się jak idiotka, siedząc i słuchając Nadii, która co kilka minut dogryza mojemu facetowi.

- Partyjkę bilardu? - Robert chyba ma dosyć naszej bzdurnej pogawędki.

- Chętnie. Mel, lubisz bilard? - pyta Adam.

No tak, nawet nie zdążyłam mu zdradzić, że nie przepadam.

- E... niekoniecznie, poza tym wiesz... nie bardzo mogę się schylać. - Robię dwuznaczną minę i zerkam na przedziałek między piersiami.

- Idźcie sami! - Nadia włącza się do rozmowy. - Mamy tu różne babskie sprawy do omówienia.

- Mam nadzieję, że ja również zostanę obgadany. - Robert uśmiecha się sympatycznie.

Sprawia wrażenie bardzo miłego faceta. Wysoki, przystojny, choć w zupełnie innym typie niż Adam. Wygląda jak mieszkaniec Skandynawii: naturalny blondyn z jasnym trzydniowym zarostem i równie jasną oprawą błękitnych oczu. Jest architektem, ma własne biuro projektowe i zatrudnia kilkudziesięciu pracowników. Specjalizuje się w wypasionych willach dla

nowobogackich z Europy Wschodniej, którzy stadnie zalewają okolice Miasta Aniołów.

- Dobrze, że wreszcie poszli. - Nadia wzdycha z ulgą i od razu szuka wzrokiem kelnera.

Zamawiamy drinki. Dwie minuty później stoją przed nami puste kieliszki z zawiniętą skórką cytryny w środku, mijają kolejne dwie - i kieliszki znów pełne, i jeszcze kilka, i znów puste.

- Zajebista kiecka! - Moja nowa „koleżanka” cmoka z uznaniem. - Zdzira jak malowana! I uwierz, to komplement.

- Dzięki. - Odruchowo zagryzam wargi, bo już wiem, skąd Adam znał to określenie, i robi mi się dziwnie przykro.

- Zazdroszczę ci...

- Czego?

- Gdy byłam z Adamem, nigdy nie pozwalał mi takich nosić.

- Rozumiem. - Próbuję zachować lekki ton, ale z każdym słowem Nadii czuję się coraz gorzej. - Jesteśmy razem niecały miesiąc. Może dlatego mi pozwala? - siłę się na żart.

- Może? - Nadia szturcha mnie w ramię. - Ja nie miałam tak różowo. Był okropnie zazdrosny, w życiu nie pozwoliłby mi w czymś takim wyjść, zresztą w tym też! - Naciąga brzeg bluzeczki. - Widocznie zmądrzał. Szkoda, że tak późno.

Gawędzimy, a w zasadzie ona trajkocze, co jakiś czas wplatając w swój monolog mniej lub bardziej wulgarne odzywki. Opowiada o tym, jak Adam od początku chciał u niej nocować i jak czekali, aż Ruth zaśnie, a potem figlowali całe noce. O tym, że bardzo szybko się oświadczył, że chciał z nią spędzać jak najwięcej czasu...

Im dłużej tego słucham, tym dziwniej się czuję. Próbuję zmienić temat, dopytuję o jej męża. Udaje się: Nadia płynnie przechodzi na Roberta i choć na początku cieszę się ze zmiany, później jest chyba jeszcze gorzej. Zamawiamy kolejne drinki...

- Co się stało? - Podnoszę wzrok na Adama.

- Wracamy.

- Bo?

- Ktoś włamał się do mojego biura. Dzwonili do mnie z ochrony.

- O ja pierdołę! - Nadia zakrywa usta. - Niezła kicha!

- Nowy Jork... - Robert siada przed nami i kiwa głową.

- Jadę z tobą. - Natychmiast się podnoszę.

- Nie. Odwiozę cię do domu i sam pojedę zobaczyć, co się dzieje. - Adam chwyta mnie za ramię.

- Poczekaj, chcę tam pojechać. - Odsuwam jego rękę.

- Nie ma mowy.

„Nie ma mowy?” - słowa wybrzmiewają mi w głowie. Jestem nieprawdopodobnie wściekła. Jak on mnie traktuje? Jak dziecko? Odwiezie do domu i ułoży spać? Pewnie uważa, że nieodpowiednio wyglądam albo jestem zbyt pijana...

- OK! - rzucam z uśmiechem na twarzy. - Zmieniłam zdanie: jedź sam, a ja tu zostanę. Naprawdę świetnie się bawię. – Wracam na sofę i zapobiegawczo przytulam się do Nadii.

Z rozbawieniem obserwuję twarz Adama. Chyba jest zaskoczony. Przymrużył oczy i przygląda mi się z niedowierzaniem. No tak: nie dość, że pozwoliłam sobie na użycie jakże strasznego zwrotu „OK”, to jeszcze wyraźnie się sprzeciwiłam.

- Mel... uważam, że powinnaś ze mną wrócić.

- A ja uważam, Harding, że powinieneś wreszcie wyjąć kij z dupy, a Melanii dać spokój. - Nadia wybucha śmiechem. - Zaopiekujemy się twoją dziewczyną. Bez obaw! - Przyciska moje ramię.

Czuję, że lekko przeholowałam z drinkami, więc idziemy się zabawić. Chwilowo nie mam partnera, dlatego tańczymy w kółeczku. Wracamy do łóża po niecałej godzinie. Zerkam na telefon: Adam napisał. Ponoć nic poważnego się nie stało, zginęły tylko jakieś drobiazgi i jego służbowy laptop pozostawiony w biurze. Rob zauważa, że czytam SMS- a, i dopytuje o jego treść. Stwierdzam, że to nic tajnego, i zdradzam nowym znajomym, czego się dowiedziałam.

Mijają kolejne kwadransy. Robert znów gdzieś polazł, a Nadia raczy mnie historyjkami o tym, jaki on wierny, troskliwy i czuły. Głupia nie jestem, wiem, z kim porównuje swojego męża, i coraz bardziej mnie to drażni. Na szczęście Rob wraca i prosi mnie do tańca. Mam opory, bo nie chcę zostawiać Nadii samej, i nagle, cudownym zrzędzeniem losu, przy stoliku zjawia się Adam. Nadia stwierdza, że to przeznaczenie, i porywa go na parkiet...

- Ależ piękna z ciebie suczka... - Czuję, jak męska dłoń zakrada się pod szelkę mojej sukienki, odchyła ją, a potem całuje, liże i kąsa brodawkę.

Prąd przelatuje wzdłuż kręgosłupa, dociskam głowę mężczyzny i zamykam oczy. Wszystko wiruje coraz szybciej, w uszach szumi krew. Wsuwam palce w jego włosy, ale ich nie poznaję. Są szorstkie i ostre, nie gładkie, jak zawsze.

- Przestań. - Odpycham go lekko. - Przestań!
- Nie, ździro, wiem, że tego chcesz... - szepcze cicho.
- Nie chcę! - Ciągłe próbuję go oderwać od piersi.
- Chcesz. Na kolana, suko!

Nagle łapie mnie za włosy i dociąga do podłogi, odruchowo klękam, bo tak bardzo boli.

- Aaa! - Chwytam jego silne palce i próbuję je wyprostować. - Boli! Puść! Proszę...

Tarmosi mnie jak szmacianą lalkę, choć robi to tylko jedną ręką, bo druga właśnie rozpina spodnie. Mam przed oczami jego krocze. Żołądek podjeżdża do gardła, zaraz zwymiotuję.

- Zrobisz mi laskę i będziesz wolna - mówi zdyszany napastnik. - Tylko pamiętaj, lubię z połykiem.

- Nie, proszę, puść mnie... - chlapię przez nos.
- Od ciebie zależy, jak szybko to zrobię. - Wprawnie odsuwa brzeg białych slipek.

Już wiem, że nie ucieknę.

- Proszę, Rob... Proszę, zostaw mnie. - Odchylam głowę, ale on trzyma mnie bardzo mocno.

- Nie słyszysz, co ona mówi!?

Harding w ułamku sekundy dopada do szarpiącej się pary. Melania wywraca się na posadzkę, bo Robert, puszczał włosy, odruchowo ją popchnął.

- Sama chciała! - Podnosi rękę w obronnym geście. - Sorry, stary, ale sama mnie tu przyprowadziła! - tłumaczy, szybko zapinając spodnie.

Adam wyciąga wizytówkę, wkładając ją do kieszonki koszuli Roberta i solidnie uderza go pięścią.

- Zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz. Chętnie z tobą pogadam, a teraz spierdalaj do Nadii! - warczy przez zaciśnięte zęby.

Rob pospiesznie opuszcza klubową toaletę.

- Nic ci nie jest? - Zdenerwowany Harding podnosi Melanię z podłogi. - Mel, co jest grane? Popatrz na mnie!

Ona nie odpowiada. Słania się na nogach, nie może ustać, a jej głowa

opada bezwładnie na bok.

- Mel!!! - Adam mocno nią potrząsa. - Co wypiałś?!

- Nie wiem, on dał mi jakąś tabletkę... - szepcze panna Duvall, śliniąc się jak niemowlę.

- Ja pierdolę! Zajebię go!!! Kiedy ci to dał?

- Przed chwilą...

Harding przerzuca Melanię przez ramię i wypada z łazienki. Przebiega przez salę, po drodze zgarnia szklankę i solniczkę z jakiegoś stolika. Po kilku sekundach jest już na zewnątrz. Pokonuje parking i dociera do niewielkiego skweru. Układa półprzytomną kobietę tuż obok fontanny, zdejmuje marynarkę, szybko zwija ją w kłębek i umieszcza pod głową Melanii, potem płucze szklankę, nalewa wodę i wsypuje jedną trzecią soli z pojemniczka.

- Pij! - Sadza swoją dziewczynę i przykłada jej naczynie do ust.

- Fuj! Słone... - Mel odwraca głowę.

- Pij!!!

Gdy panna Duvall posłusznie opróżnia szklankę, Adam przygotowuje drugą porcję i równie stanowczo wymusza jej wypicie.

- Niedobrze mi...

Podtrzymuje kobietę, która zaczyna gwałtownie wymiotować. Torsje szarpia jej ciałem przez kilka minut. Wśród rozbryzgujących się wymiocin Adam zauważa niewielki biały punkt i od razu oddycha z ulgą. Tabletkę nie zdążyła się całkowicie rozpuścić.

Harding sadza Melanię na brzegu kamiennego murku otaczającego fontannę. Wyciąga chusteczkę, moczy ją i pieczołowicie obmywa twarz swojej dziewczyny.

- Lepiej? - pyta spokojnie.

- Tak... ale mi słabo. Schyla jej głowę między nogi.

- Zaraz przejdzie. Oddychaj...

Przytomnieję. Mózg zaczyna funkcjonować w normalnym trybie. Wzrok się wyostrza, wraca czucie. Gdzieś z oddali dobiega głuchy dźwięk klubowej muzyki. Zimno mi, a w ustach czuję sól przemieszana z kwaśnym smakiem wymiocin.

- Daj mi pić - szepczę, wpatrując się we własne stopy.

- Zaraz ci coś przyniosę.

Jego dłoń kojąco gładzi mnie po plecach. Adam chyba zauważa, że się

trzęsę, bo zostaję okryta marynarką.

- Zostań tu. Rozumiesz? - mówi.

- Uhm... - Kiwam głową, którą wciąż trzymam między kolanami.

Słyszę, jak mój chłopak odchodzi. Szybkim, energicznym krokiem pokonuje parking. Wraca po kilku minutach i kuca.

- Mel, popatrz na mnie.

Podnoszę wzrok. Adam odkręca butelkę z wodą i mi ją podaje. Wypijam wszystko duszkiem.

- Dziękuję.

Gdy widzę, jak Pan Porządnicki rzuca pustą flaszkę na trawnik, parskam śmiechem.

- Jak się czujesz? Kręci ci się w głowie? - Łapie mnie za nadgarstek.

- Nie.

- Mdli cię?

- Też nie, ale nadal mi słabo - wzdycham.

- Wracamy.

- Nie chcę tam iść. - Zerkam przez jego ramię i zagryzam wargi.

- Miałem na myśli twoje mieszkanie - rzuca po kilku sekundach.

- Aha.

- Zaniosę cię do samochodu.

Przytulam się mocno i zamykam oczy. Mogłabym tak trwać godzinami, bardzo to miłe. Niestety bardzo szybko docieramy do auta. Adam ostrożnie mnie sadza i zapina pasami. Nagle przypominam sobie, że zostawiłam w klubie torebkę, i mówię mu o tym.

- Już. - Mój chłopak otwiera tylne drzwi, sięga po coś. - Proszę. - Wręcza mi kopertówkę.

Ruszamy. W samochodzie jest chłodno, pewnie dlatego trzeźwieję w ekspresowym tempie.

- Niezły trick z tą solą - zagaduję po kilku minutach.

- Niezły - burczy pod nosem.

Ukradkiem zerkam na swojego wybawiciela. Palce zaciśnięte na kierownicy, wzrok wlepiony w szosę. „Chryste... Ależ jesteś wściekły...” Zatrzymujemy się na skrzyżowaniu. Czerwone światła stopu samochodu stojącego przed nami odbijają się w oczach Adama. Wygląda teraz jak demon, zaczynam się bać. Nagle sobie uświadamiam, że zapomniałam o czymś ważnym. Kolejna dziura w pamięci!

- A co z włamaniem? - pytam nieśmiało.

- Nic.

- Nic?

- Nic nowego. Nie pozwolili mi wejść. Z tego, co wywnioskowałem, z cennych rzeczy zginął tylko laptop. I jeszcze kasetka z pieniędzmi.

- Dużo?

- Nie. Recepcjonistka miała trochę kasy na drobne wydatki.

- Uhm... Kiedy będziesz coś wiedział?

- W poniedziałek o dwunastej mam się stawić na posterunku - wyjaśnia.

Boję się odezwać. Rozmawia ze mną tak, jakby nic się nie stało, ale dobrze wiem, że aż się w nim gotuje. Widzę to w jego ruchach, słyszę w dziwnie stłumionym głosie. Poprawiam się na fotelu i odwracam głowę w stronę okna. Wjeżdżamy do tunelu Lincolna. Reflektory samochodów, migające lampki oświetlające wnętrze i zamknięta przestrzeń - to wszystko powoduje, że znów mi niedobrze. Nie wytrzymuję, opuszczam głowę i biorę kilka głębokich wdechów.

- Co jest? Mel? - Głos brzmi ciepło i troskliwie.

- Mam klaustrofobię.

- Pamiętam, ale mówiłaś, że tunele to nie problem.

- Na trzeźwo - jęczę.

Adam od razu przyspiesza. Wyprzedzamy sznur wlekących się przepisowo aut i z cichym piskiem opon wypadamy na zewnątrz. Szyba po mojej stronie bezszelestnie zjeżdża, czuję na twarzy chłodne powietrze.

- Dzięki. Możesz zamknąć - sapię po kilku minutach wentylowania się przez otwarte okno.

Znów zapada cisza.

- Jeśli milczysz, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy, możesz sobie darować - zagajam.

- Porozmawiamy na miejscu.

- Rozumiem. - Przełykam ślinę.

Wtulam się w miękkie siedzenie i zerkam na rękę Adama, leżącą na podłokietniku. Marzę o tym, żeby skryć dłoń w jego silnej dłoni, ale boję się, że mnie odtrąci. Wzdycham ciężko, a wtedy on na mnie zerka. Ze wstydu opuszczam głowę...

Bez słowa wchodzimy do apartamentu. Zrzucam buty, torebka ląduje na komodzie. Opieram się o jedno z luster i wbijam wzrok w to przeciwległe. Moje śliczne loki się rozsypały i teraz otulają rozpaloną twarz puszystą złotą chmurką. Wyglądam tak... pociągająco? Jak rozpustnica, którą jestem.

„Zdzirowato... - przypominam sobie. - Wyglądam jak zdzira”.

- Dlaczego się nie odzywasz? - Wlepiam spojrzenie w posadzkę.

Czarne męskie buty stają przed drobnymi stopami wystającymi spod krawędzi sukienki. Śmiesznie to wygląda: małe paluszki z paznokciami pokrytymi czerwonym lakierem i wielkie błyszczące noski Oksfordów.

- Powiedz coś. Proszę. Tak bardzo mi przykro. Przepraszam... - Zagryzam wargi. - Daj mi w twarz! - Chwytam jego dłoń i próbuję się uderzyć, lecz Adam kontruje, lekko mnie odpychając.

- Popatrz na mnie - odzywa się wreszcie.

- Tak? - Posłusznie unoszę wzrok.

- Pocałował cię w usta?

- Nie.

- Gdzie cię dotykał?

Milczę. Boję się reakcji. Wiem, że będzie straszna. Widzę to w jego oczach.

- Gdzie cię dotykał?!

Czuję dwie ciepłe strużki spływające po policzkach. Dlaczego tak łaskoczą, gdy docierają do krawędzi twarzy i spadają na...

Znów wbijam wzrok w to miejsce.

- Dotykał mnie po piersiach.

- Patrz na mnie! Co jeszcze robił?!

- Dotykał ich i liz...

Adam obraca mnie jak kukłę, szarpie za suwak sukienki, a potem ją zrywa, tarmosząc bez litości. Odklejam i kurczowo ściskam silikonowe podkładki, ale on i tak mi je zabiera.

- Przynieś worek na śmieci.

Pólnaga biegnę do kuchni. Błyskawicznie wracam i daję Adamowi worek. Bezradna, patrzę, jak mój chłopak wpycha do środka kłębek czarnego materiału. Potem rzuca bezkształtny pakunek pod drzwi, prowadzi mnie do łazienki i wpycha do kabiny.

- Umyj się! - Zdejmuje słuchawkę i puszcza wodę. - Cała! Włosy też!

Drżącymi rękami zdejmuję majtki i szybko się namydlam, najdokładniej w miejscu, gdzie jeszcze niedawno błędziły usta Roberta. Kątem oka widzę Adama, który nachyla się nad umywalką i energicznie myje ręce.

- Wystarczy - rzuca po kilku minutach.

Wychodzę, trzęsąc się jak galareta. Zakładam kąpielowy płaszcz, który mi podał. Szybko wykonuję kolejne polecenie: myję zęby.

- Chodź. - Adam prowadzi mnie pod rękę, a w zasadzie: wlecze do salonu i

popycha na kanapę. Sam siada na fotelu tuż obok, wyciąga książeczkę czekową i wypisuje czek na pięć tysięcy.

- Wystarczy? - pyta, wręczając mi go. - Czy za mało?

- Nie rozumiem,.. - Wpatruję się w blankiet.

Umieram z bólu, gdy widzę jego podpis. Adam Harding - mój facet, który właśnie mnie rzuca... A te pięć kawałków to zapłata za co? Za dotychczasowe usługi towarzyskie?

Nadia mówiła, że z nią był cztery lata, z tajemniczą Kate - cztery miesiące. A ze mną? Cztery tygodnie? Pasowałoby... Łzy szczypią pod powiekami, w końcu jedna spada prosto na czek, ląduje gdzieś w okolicy trzech zer i lekko rozmazuje ich ostre krawędzie.

- Nie rozumiesz?

- Nie - szepczę żałośnie w nadziei, że wzruszy go moja skrucha.

- To za kieckę. Kup sobie inną. Fala ulgi prawie mnie topi.

- Kosztowała tylko dwa - wyrzucam z siebie z trudem.

- Nieważne! Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem. Przepraszam. - Nie uchronię cię przed samą sobą. Rozumiesz?! Nie mam takiej mocy! Gdybym się nie zjawił w tej pieprzonej toalecie, wiesz, co byś teraz miała w żołądku, oczywiście oprócz spermy tego gnoja?! Co to za tabletki?!

- Nie mam pojęcia.

- Co ci strzeliło do głowy?! Przecież to mogło być jakieś totalne gówno!

- On też łyknął, i to dwie naraz. Widziałam – próbuję jakoś uzasadnić swoje zachowanie. - Powiedział, że się wyluzuję jak po alkoholu, ale bez kaca.

- Ja pierdolę! - Adam uderza pięścią w poręcz fotela. - Ten koleś to ćpun, może zjeść dziesięć takich prochów i spłynie to po nim! Dlaczego tak się zachowałaś?! Miałaś na niego chęć?! Spodobał ci się?!

Jedyne, co mogę zrobić, to bezgłośnie zaprzeczyć, kręcąc opuszczoną głową.

- Do cholery! Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię!

- Ukarz mnie, ale nie zmuszaj do tłumaczenia, co mną kierowało. - Staram się jakoś wytrzymać i nie odwracać wzroku od jego twarzy. - Nie chciałam cię zdradzić. Wiem, że mogłeś tak pomyśleć, ale ja naprawdę nie chciałam... Wierzysz mi?

- Co ona ci nagadała?!

Milczę, przełykając łzy, w końcu zdobywam się na odwagę.

- Dlaczego się rozstaliście?

- Odszedłem, bo mnie zdradziła. Nie powiedziała ci? - Unosi brwi. -

Cała Nadia.

- Z nim?

- Myślisz, że podałbym mu rękę?

„Boże... narobiłam syfu, i to przez kogo? Ależ jestem głupia...”
Wzdycham ciężko. Ciągle mam przed oczami Nadię sącząca mi do ucha te wszystkie bzdury, którymi pokornie dałam się nakarmić. Z drugiej strony wiele z nich z pewnością było prawdą... Właśnie to boli najbardziej.

„Dlaczego nie jesteś o mnie zazdrosny? Po prostu nie zależy ci na mnie”
- pytam i sama sobie odpowiadam.

- Nie przeszkadzało ci, że pali? - rzucam po krótkiej chwili refleksji.

- Przeszkadzało, tak samo jak te jej wulgarne odzywki.

- Więc dlaczego tyle lat to wytrzymałaś?

- Kochałem ją.

- Rozumiem. Mnie nie kochasz, dlatego nie wolno mi nawet powiedzieć „OK”. - Wzruszam ramionami.

- Nic nie rozumiesz - warczy. - Gdy odszedłem, postanowiłem sobie, że już nigdy nie będę tkwił w związku z kobietą, która nie spełnia moich oczekiwań, łudząc się nadzieją, że albo ona się zmieni, albo ja przywyknę. Jak widać, straciłem tylko czas. I jeśli mam go stracić również z tobą, wolę nie odczuwać przy tym dyskomfortu.

- Ja spełniam twoje oczekiwania? - pytam i parskam śmiechem.

- Nie wszystkie i nie zawsze, ale widzę, że się starasz. Na początek wystarczy. O to ci chodzi? Że traktuję cię inaczej niż ją? Powiedziałaś jej o zasadach?

- Nie.

- Na szczęście nie jesteś jak Nadia. Ona nigdy nie zasłużyła na takie traktowanie.

- Słucham? - Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Aż mnie skręca gdzieś w środku z tłumionej wściekłości. - Nie zasłużyła? Jest lepsza? Może jak zacznę rzucać mięsem, to się we mnie zakochasz?

- Mel... nie słuchasz uważnie. Uważasz, że źle cię traktuję? Powiedz: kiedy przeze mnie cierpiałaś?

Złość znika równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiła. Znowu czuję się paskudnie. Poczucie winy wróciło ze zdwojoną siłą.

- Nigdy - stwierdzam po kilku bezskutecznych próbach przypomnienia sobie, czy choć raz źle się zachował.

- Chciałaś zagrać jej na nosie? - Lekko unosi kąciki ust.

- Uhm - potakuję.

- Wymyśliłaś najgłupszy z możliwych sposobów.

- Wiem. To miał być tylko taki żart... Flirtowałam z nim, ale nie chciałam cię zdradzić. Uwierz mi, proszę. - Ocieram kolejną łzę. - Nie wiem, dlaczego tak mi odbiło...

- Widocznie alkohol szkodzi ci nie tylko na żołądek.

- Dlaczego ona z nim jest? - Zerkam na Adama. - Jestem pewna, że to nie pierwszy taki przypadek. Nie potrafię zrozumieć, jaki sens ma małżeństwo z kimś, kto... - Nagle milknę, bo uświadamiam sobie, że gdyby nie reakcja Adama, z pewnością dołączyłabym do grona panienek zaliczonych przez Roberta, a zatem nie bardzo wypada mi rzucać kamieniem.

- Może dlatego, że on sponsoruje jej karierę. - W ostatnim słowie wyraźnie słyszę nutę ironii. - Nadia gra w grupie teatralnej, która sama się finansuje. Na razie nie przynosi żadnych dochodów, więc w tym małżeństwie jedynie Rob zarabia.

- Nadia jest jego utrzymanką? - Kiwam głową ze zrozumieniem.

- Nadia zawsze była czyjąś utrzymanką. Gdy byliśmy razem, wyłącznie ja miałem na głowie nasze finanse, ale odpowiadało mi to. Było nieźle, niestety po kilku latach coraz bardziej zaczęła jej przeszkadzać obecność Ruth. Nie akceptowała też tego, że chciałem jak najwięcej inwestować w firmę, zamiast używać życia. Poznała jakiegoś bogatego kolesia i się z nim puściła, myślała, że on się nią lepiej zajmie. Okazało się, że facet ma żonę, zdrada wyszła na jaw, pożegnaliśmy się... Ot, cała historia. - Adam kończy spokojnym tonem i podnosi się z fotela. - Powinnaś się położyć.

- Nie zostaniesz? - Zrywam się, ale gdy widzę, z jaką rezerwą na mnie patrzy, zastygam kawałek przed nim.

- Nie.

- Na co ja liczyłam? - parskam. - Przecież nigdy nie zostajesz. A jutro? Zobaczymy się?

- Czwarta - odpowiada, patrząc na zegarek. - Pytasz o dzisiaj czy o poniedziałek?

- O dzisiaj. - Nie.

- Adam... - Schylam głowę. - Wybacz mi. Proszę.

- Znasz zasady.
 - Znam.
 - Nie boisz się? - Kciukiem podnosi mój podbródek.
 - Boję, ale... Zrobię wszystko, żebyś mi wybaczył. - Łamie mi się głos. -
Powiedz tylko kiedy.
 - Jutro o północy.
 - Nie wiem, gdzie mieszkasz.
 - Proszę. - Wręcza mi wizytówkę z zapisanym na odwrocie adresem i tłumaczy, jak trafić.
 - Dziękuję. - Chowam kartonik do kieszeni. - Odprowadzę cię.
- Drepczę za nim, zastanawiając się, czy powinnam go pocałować na pożegnanie. Gdy docieramy do korytarza i widzę, z jaką odrazą podnosi foliowy worek wypchany lekko szeleszczącą zawartością, rezygnuję z tego pomysłu.
- Dobranoc, Melanio.
Lekkie skinienie głową i już go nie ma.
 - Dobranoc, Adamie - szepczę do zamkniętych drzwi.

Zerkam na zegarek: osiemnasta. Już od dwóch godzin spaceruję po Piątej Alei. Czuję się dziwnie, z jednej strony podniecona tym, co ma mnie spotkać o północy, a z drugiej - kompletnie wyluzowana. Wiem, że dzisiejszy wieczór będzie przełomowy, i cieszę się, że wreszcie to nastąpi.

Zatrzymuję się przed budynkiem domu towarowego Saks, zadzieram wysoko głowę. Do tej pory nie spadła nawet kropla deszczu, choć od rana cały Manhattan zasnuty jest gęstymi, prawie granatowymi chmurami. Wiszą nad miastem, ale nic poza tym się nie dzieje. Można odnieść wrażenie, że to jakaś scenografia. Nie grzmi, ani jeden podmuch wiatru nie ożywia powietrza i tylko parna atmosfera świadczy o tym, że coś się kroi.

Wchodzę do budynku i kieruję się w stronę butik z ekskluzywną męską galanterią. Byłam tu kiedyś z Jessicą, gdy kupowała Ericowi krawat. Ponad godzinę przebierałyśmy w stosie jedwabnych próbek, niektóre były naprawdę zachwycające.

Jestem w środku. Czuję zapach skóry i męskich perfum, podoba mi się ta kompozycja. Oddycham głęboko duszną, samczą atmosferą.

- Jestem Thomas, mogę w czymś pomóc?

Młody sprzedawca jest przystojny, ma bladą cerę i bardzo ciemne włosy. W sztucznym świetle imitującym dzienne wydają się prawie czarne. Zarost widoczny pod skórą odcina się ostrą linią od górnej części policzków.

Ciekawe połączenie... Przez chwilę oceniam chłopaka wzrokiem. Gdybym była wolna, pewnie dla zabawy spróbowałabym go poderwać, ale nie tym razem. Dzisiaj jestem skupiona wyłącznie na jednym mężczyźnie.

- Chciałabym kupić pasek do garnituru - odpowiadam wreszcie.

- Zapraszam. - Brunet schyla głowę. Podchodzę razem z nim do wąskiego kontuaru.

- Jaki kolor?

- Czarny.

- Rozumiem. Czy ma pani jeszcze jakieś wymagania?

- Tak. Ma to być najlepszy pasek, jaki można u was kupić, cena nie gra roli.

- Oczywiście. - Sprzedawca rozkwita w uśmiechu.

Wyklada na blat kilka egzemplarzy i tłumaczy mi, z czego są zrobione. Od razu odrzucam te ze skóry węża i krokodyla, wyglądają idiotycznie i pretensjonalnie. Struś też odpada w przedbiegach. Nie wyobrażam sobie Adama w czymś tak mało męskim.

- A może skóra cordovan? - Przystojniak wręcza mi jeden z pozostałych pasków.

- Proszę powiedzieć, co to za skóra? - Jestem zainteresowana, bo akurat ten model podoba mi się najbardziej. Prosty i gładki, bez żadnych udziwnień i kolorowych nici, ze zwykłą metalową klamerką w srebrnym kolorze. - Wygląda dość tanio, boję się, że będzie kiepskiej jakości.

- Ten paseczek jest jednym z najlepszych, jakie mamy w ofercie, a cordovan to końska skóra. Pasek jest wykonany z trzech płatów, bo każdy z nich pochodzi z... - Thomas na chwilę zawiesza głos i nerwowo przełyka ślinę - końskiego zadu.

- Z końskiego zadu? - Lekko unoszę kąciki ust.

- Tak. - Chłopak próbuje zachować spokój, ale widzę, że też jest rozbawiony. - Ten rodzaj skór jest garbowany w Horeen, to jedna z najlepszych garbarni na świecie, z siedzibą w Chicago. Skóra cordovan jest trwała, nieprzemakalna, pięknie się błyszczy i dosyć intensywnie pachnie.

- To bardzo interesujące.

Kiwam głową, patrząc na dłonie sprzedawcy, który podsuwa mi pod nos coś, co kiedyś było fragmentem tyłka jakiejś klaczy. Posłusznie wącham. Ostra woń drażni nozdrza, przed oczami staje mi pamiętny widok Adama zsiadającego z Oriona, najlepszego ogiera w naszym skromnym stadzie, i

od razu robię się mokra. Niech to szlag! Próbuję się opanować, ale nie mam szans, bo Thomas odwraca pasek i referuje niewzruszonym głosem:

- Strona wewnętrzna to naturalna skóra *French calf*, garbowana roślinnie i dlatego bardzo przyjazna. Gdyby pasek miał kontakt z ciałem, takie garbniki nie spowodują uczulenia.

- Z ciałem? - powtarzam.

- Tak. - Thomas podnosi na mnie wzrok.

Jestem na sto procent pewna, że się zarumieniłam. Policzki pieką jak posmarowane kremem z wysoko stężonym kwasem glikolowym. Jakby było tego mało, chyba nawet moje uszy się zaczerwieniły, bo mam wrażenie, że zaraz zapłoną.

- Rozumiem. Proszę kontynuować.

- Oczywiście. - Brunet znów patrzy wyłącznie na omawiany produkt, ale łatwo dostrzegam, że też się zmieszał: jego dłonie zaczynają lekko drżeć. - Obie warstwy połączone są zwartym ścięciem maszynowym, a brzegi zaoblone, aby uniknąć niebezpieczeństwa przecięcia lub otarcia skóry na brzuchu. - Wolno przesuwam palcem po rancie paska. - Klamerka wykonana ze stali chirurgicznej, bez niklu...

- Odpowiada mi ten pasek! - przerywam dość gwałtownie.

- Świetnie. - Sprzedawca znów wlepią spojrzenie w moją twarz. - Jaki rozmiar?

- Nie wiem. - Zastygam. Nie pomyślałam o tym. Mierzę Thomasa wzrokiem, sylwetkę ma podobną do Adama. - Myślę, że taki sam jak pana. - Wskazuję brodą podbrzusze chłopaka i dopiero po chwili do mnie dociera, że zabrzmiało to bardzo dwuznacznie. Skrępowana, nawet nie podnoszę oczu.

- Oczywiście. Już dobiore właściwy. - Przystojniak rozpina klamerkę swojego paska, wyjmując go ze szlufek i zakłada ten, który przed chwilą tak dokładnie opisał. - Obawiam się, że jest za długi. Zaraz przyniosę o rozmiar mniejszy. Proszę chwilę poczekać.

- Dobrze. - Kiwam głową.

Gdy Thomas odchodzi, oddycham z ulgą. Żeby szybciej ochłonać, wachluję się folderem zabranym z zewnętrznej półki kontuaru.

- Już jestem. - Młodzieniec staje za ladą. - Ten powinien być dobry. - Otwiera czarne pudełko, opatrzone jedynie subtelnym logo producenta oraz informacją, że pasek został ręcznie wykonany. - Zaraz przymierzę... - Wyciąga woreczek z lnianego płótna skrywający cenną zawartość.

Zerkam na palce bruneta, które z wprawą przesuwają końcówkę paska przez szlufki.

- Moim zdaniem idealnie leży. - Sprzedawca obraca się wokół własnej osi.

- Moim też - potwierdzam i parskam śmiechem, bo właśnie sobie uświadomiłam, że bardziej niż ja Thomasa pociągałby mój partner.

- Gdyby coś było nie tak, zawsze można posłużyć się regulacją. Wszystko jest opisane w dołączonej broszurce. – Chłopak delikatnie zdejmuje pasek, pieczołowicie go zwija i wkłada do woreczka. - Oprócz tego oczywiście udzielamy gwarancji...

Trajkuje jak nakręcony, informując mnie o prawie do zwrotu i wymiany oraz innych opcjach, włącznie z grawerowaniem w skórze napisu o dowolnej treści. Pyta, czy zapakować na prezent, ale odmawiam. W końcu prowadzi mnie do kasy.

Wychodzę ze sklepu lżejsza o prawie sześćset dolców i pewnie tyle samo gramów wagi. Przez pół godziny, bo tak długo trwały zakupy, wypociłam co najmniej dwie szklanki.

Wracam do mieszkania taksówką.

Gdy już siedzę w salonie z filiżanką zaparzonej przed chwilą kawy, stojącą tuż obok czarnego pudełeczka, ogarnia mnie panika. Zrywam się z sofy i krążę w kółko. „Kurwa, kurwa, kurwa... - przebiega mi przez głowę i zaczynam jeszcze mocniej się niepokoić. - Co jest? Tylko jedno wulgarne słowo, i to wypowiedziane w głowie, a ty już w stresie? Idiotko, tak się boisz Adama, że nawet kiedy jesteś sama, nie rzucasz mięsem?!”

W co ja się władowałam?!

Zatrzymuję się. Dosyć! Idę do różowej sypialni i przynoszę z niej prywatnego laptopa. Już wiem, jak nazywa się taka forma zabawy, jakiej się dziś spodziewam. Tyle że ja nie szukam wrażeń pod tytułem „Co zrobić, żeby bolało jak najmocniej?”, chodzi mi raczej o odwrotny efekt. Znajduję blog jakiejś dziewczyny, przeglądam, w końcu trafiam na post z dołączonym filmikiem.

Śliczna blondyneczka o słodkiej buzi i w blad różowych stringach (to jedyne element jej garderoby), o wiele mówiącym pseudonimie SUB-BUNNY, zaprezentuje właściwą pozycję, satysfakcjonującą tak zwanego Pana.

Kamera ustawiona jest dokładnie na wprost szerokiego, masywnego biurka. Dziewczyna opiera przedramiona o blat, wygina się w dół

(brodawki silikonowych cycków dotykają połyskującej powierzchni drewna), podnosi tyłek i lekko rozchyła nogi, całkiem pewnie stojące na ziemi mimo ultrawysokich obcasów. Obraca głowę w stronę kamery i szczebiocze:

- Taka pozycja jest wygodna zarówno dla ciebie, jak i dla twojego Pana...
- Najazd na twarz uległego Króliczka. - Bla, bla, bla... Pamiętaj o tym, aby rozluźnić pośladki, w przeciwnym razie pasek będzie się odbijał od twojej pupci, a ty nie poczujesz nic oprócz pieczenia. - Najazd na „pupcię”, przeciętą na pół wąskim paseczkiem majtek, i krótka prezentacja spiętych mięśni, czyli jak pod żadnym pozorem nie wolno robić, bo Pan strzeli focha, że zbyt słabo boli... - Przed laniem możesz wykonać delikatny peeling i natrzeć to miejsce oliwką. To zachwyci twojego mężczyznę, a tobie dostarczy dodatkowych doznań... - Zbliżenie skóry. - Bla, bla, bla...

Matko! Ile można o tym gadać, i to jeszcze z głową obróconą o prawie sto osiemdziesiąt stopni? Kobieta guma? Niech wystąpi w „Mam Talent”. Jestem poirytowana, co za kretyństwo! Zatrzymuję film, idę do kuchni, wyciągam z szafki butelkę stolicznej. Wprawdzie już za niecałe trzy godziny mam być w mieszkaniu Adama, ale do tego czasu na pewno zdążę wytrzeźwieć. Nalewam pół szklanki, wysypuję kilka kostek lodu i gdy całkiem się rozpuszczają, wypijam wszystko duszkiem.

Jeszcze zanim przekroczę próg salonu, czuję, jak alkohol zaczyna krążyć w żyłach.

Zasiadam wygodnie, wykładam nogi na blat ławy, biorę laptopa na kolana i włączam film. Ślicznotka skończyła pokazówkę na sucho, w następnym odcinku lekcja praktyczna. Posłusznie klikam na strzałkę z nowszym postem.

- Nim przejdziemy do zajęć praktycznych, kilka ważnych uwag... - Wywracam oczami, widząc znów wypięty tyłeczek Króliczka. - Nie wiem, jakiego masz Pana, ale większość z nich uwielbia, gdy stawiamy opór, wierzgamy nogami i nawet po lekkim, słabym laniu szybko uderzamy w płacz. Przynosi im to ogromną satysfakcję... Bla, bla, bla... Mój Pan jest dość specyficzny, woli, gdy jestem grzeczna, nie wiercę się i nie płaczę w trakcie lania... Bla, bla, bla...

Przewijam kilkanaście sekund. No, wreszcie coś się dzieje. W kadrze pojawia się właściciel słodkiego futrzaka. Nawet niezły: wysoki i przyzwoicie ubrany. Na pewno nie jest to garnitur szyty na miarę, ale taki z najniższej półki też nie. Mężczyzna zdejmuje marynarkę i odwieszają na krzesło, powoli

podwija rękawy białej koszuli (cholera, będzie ostro!), rozpina klamerkę paska, jednym pociągnięciem wyciąga go ze szlufek, po czym składa na pół i chwytając obiema dłońmi za końce. Trzask! Pasek głośno strzela.

Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że zaczynają mnie mrowić pośladki. Poprawiam się nerwowo na kanapie. Dlaczego jestem dzisiaj taka nadwrażliwa? No cóż, za niecałe trzy godziny będę stała przed Adamem w pozycji Króliczka.

- Weź się w garść! Narobiłaś syfu, to teraz nie jęcz - mamroczyć do siebie, przeklinając w duchu własną empatię.

Facet podchodzi do dziewczyny i przez chwilę gładzi ją po tyłku.

- Przyjmij postawę - rzuca stanowczym tonem, a ona od razu się poprawia i prostuje głowę. - Otrzymasz pięćdziesiąt pasów.

Przełykam ślinę i zatrzymuję film. „Pięćdziesiąt pasów - wybrzmiewa mi w głowie jak refren... - Pięćdziesiąt. Noż kurwa! Niezły wyrok!”.

„Iść po jeszcze jedną setkę?” - rozważam przez moment, ale szybko rezygnuję. Nie pójdę do Adama nawalona jak messerschmitt, zwłaszcza po wczorajszych manewrach. Klikam, filmik leci dalej. Serce wali mi jak oszalałe.

Mężczyzna oddala się, bierze zamach i uderza...

Na moment przestaję oddychać.

Pan bije dziewczynę, pasek raz za razem łąduje na pośladkach, zauważam, że robią się coraz bardziej czerwone. Króliczek nawet nie pisnie, tkwi nieruchomo, choć otrzymał już więcej niż połowę zaplanowanych uderzeń. Skupiam wzrok na twarzy mężczyzny. Jest bardzo spokojny, nie widać po nim żadnych emocji. Ani agresji, ani zaciśniętych z wściekłości zębów, nic... Metodycznie, jednostajnie trzaska pasem po tyłku panny.

- Pięćdziesiąt! - oznajmia dziewczyna dosyć głośno. Słyszę wyraźnie, że głos jej się załamuje, ale na pewno nie przez płacz. Facet opuszcza rękę. - Dziękuję za to, że mnie ukarałeś. - Znowu podniesiony ton. Uległa ciągle leży na biurku, purpurowy tyłek pozostaje wypięty.

- Możesz wstać.

Mężczyzna podchodzi, a blondynka prostuje się na drżących ramionach i obraca twarz w jego stronę. Ani jedna kropla łez nie błyszczy na mocno zaróżowionych policzkach. Film się kończy.

Wypuszczam powietrze i nagle uświadamiam sobie dwa zaskakujące fakty. Pierwszy to taki, że już wiem, jaką dokładnie karę chcę otrzymać. A

drugi? Moja cipka jest mokra jak jeszcze nigdy dotąd.

- Madison Avenue... - czytam z wizytówki.

Ciemnoskóry taksówkarz w zabawnej pasiastej czapeczce przyjmuje zlecenie. Wyruszamy. Jest dwudziesta trzecia piętnaście. Na szczęście kierowca milczy, nawet nie spojrzy we wsteczne lustro. Pewnie jest nowy, bo w skupieniu prowadzi samochód przez zatłoczone ulice. Deszcz z głośnym szumem spada na miasto. Nareszcie.

- Puścić jakąś muzykę? - słyszę burknięcie znad kierownicy.

- Nie. Dziękuję. Tak jest dobrze.

Opieram głowę o miękką poduszeczkę na oparciu tylnej kanapy. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda mieszkanie Adama. Mówił, że wynajął je na dwa lata. Wiem, że jest spore (dwa razy większe od mojego) i na ostatnim piętrze. Ciekawa jestem, jak bardzo styl wewnątrz będzie zbliżony do stylu ubierania się mojego mężczyzny. Za wszelką cenę staram się nie myśleć o tym, co skrywa przyciśnięta do brzucha torebka od LV, największa, jaką mam.

Przelatuję w myślach wszystko, co robiłam od chwili, w której wyłączyłam laptopa: przygotowanie karteczki z informacją o wyborze kary, później długa, relaksująca kąpiel, peeling całego ciała ze szczególnym uwzględnieniem pośladków (a niech cię, Króliczku!), oliwka (a niech cię po raz drugi!), układanie włosów, wybór ciuchów (dobre pół godziny?), wybór bielizny (też niełatwa sprawa), makijaż i... tampon z krótko obciętym sznureczkiem. Akurat przed godziną musiałam dostać miesięczkę! Co za niefart.

Gdy kończę tę uspokajającą analizę, dojeżdżamy na miejsce.

- Czy mógłby pan tu na mnie poczekać? - Nachylam się w stronę kierowcy.

- Ile czasu? - Odwraca głowę.

- Godzinę. - Podaję mu kilka banknotów.

- OK.

Wchodzę przez lekko uchylone drzwi. Stara winda wlecze się, nieznośnie skrzypiąc, ale jedzie.

Staję przed dwuskrzydłowymi drzwiami, polakierowanymi na czarno. Metalowy numerek przytwierdzony na środku lewego kasetonu i tyle. Adam uprzedzał, że nie ma tabliczki z nazwiskiem.

Zerkam na zegarek; za dwie północ. Zastanawiam się przez moment, czy odczekać te sto dwadzieścia sekund, ale stwierdzam, że to głupi pomysł.

Nie będę kwitła na wycieraczcze jak jakaś idiotka. To nie pieprzona Szwajcaria. Naciskam dzwonek. Przez chwilę nic się nie dzieje, potem zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otwierają.

- Witaj. - Adam lekko się uśmiecha. - Zapraszam.

- Hej. - Przetykam ślinę z nerwów.

Ledwie wchodzę do ciemnego holu, potykam się o próg. Adam odruchowo łapie mnie pod ramię.

- Dziękuję - odpowiadam natychmiast po odzyskaniu równowagi.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Chodź. - Puszczą moją rękę i się odwraca. Posłusznie drepczę za nim. Mam na sobie tylko wysokie szpilki ze spiczastymi noskami, sukienkę na ramiączkach uszytą z elastycznej kremowej tkaniny i bieliznę. W apartamencie jest dosyć chłodno, czuję, że moje idealnie wypielęgnowane ciało opanowała gęsia skórka.

Gospodarz przepuszcza mnie przodem, a sam dokądś idzie. Słyszę tylko oddalający się stukot butów.

Rozglądam się ukradkiem, mimo że nikogo obok nie ma. Piękne miejsce. Ogromny pokój pełniący funkcję salonu chyba był kiedyś biblioteką, bo na dwóch ścianach są wyłącznie oszklone półki z niezliczoną ilością książek. Na środku stylizowana ciemnobordowa kanapa, dwa fotele i spora ława, a przed nią kominek. Pod oknem wielkie drewniane biurko i krzesło z podłokietnikami. Biurko do złudzenia przypomina to z filmu. Nie mogę się oprzeć, podchodzę i dotykam połyskującej powierzchni. Od razu miękną mi nogi. Odrywam dłoń i kurczowo przyciskam torebkę.

- Podoba ci się? - słyszę za plecami spokojny głos.

- Biurko? Tak - odpowiadam natychmiast.

Adam zbliża się do mebla i lekko przysiada na blacie. Jest tak wysoki, że jego skrzyżowane stopy wspierają się o podłogę.

- Usiądź. - Wskazuje mi miejsce.

Tapicerowany fotel z miękkimi podparciami jest bardzo wygodny, ale i tak siedzę jak na szpilkach.

- Napijesz się czegoś?

- Nie. Dziękuję.

- Jaką formę kary wybrałaś? - Adam spogląda na mnie ze stoickim spokojem.

Gdy otwieram torebkę, ręce drżą mi tak bardzo, że prawie upuszczam ją

na podłogę. Zagryzam wargi i wyjmuję czarne pudełko. Każde dotknięcie moich palców jest widoczne na satynowej powierzchni wieczka.

- Proszę. Wszystko znajdziesz w środku. - Podaję swojemu chłopakowi przygotowany zestaw, dziękując Bogu, że wpadłam na pomysł z liścikiem. Nie wydusiłabym tego z siebie, jestem pewna.

Adam wstaje, kładzie kartonik na blacie i zdejmuje pokrywkę. Staram się zachować spokój, kiedy wyciąga woreczek i na moment przytyka go do nosa. Chwilę później znajduje karteczkę i ją rozkłada. Mam wrażenie, że jego twarz na krótko zmienia wyraz. Cień zaskoczenia? Chyba tak.

„Kara jest zbyt łagodna? A może nie odpowiada mu forma?” - gubię się w domysłach.

Karteczka ląduje z powrotem w pudełku, pokrywka też wraca na swoje miejsce. Na blacie zostaje wyłącznie pasek, ciągle ukryty pod warstwą białej tkaniny.

- Melanio... - Adam wzdycha i opiera na mnie wzrok.

- Tak? - odpowiadam, też mu się przyglądając. Jest piękny i jest mój, tylko to się liczy. Ma na sobie spodnie, w których tak bardzo mi się podoba, czarne z lekkim połyskiem, do tego rozpiętą pod szyją białą koszulę (wyglądającą bardzo znajomo) i lekko poluzowany grafitowy krawat.

- Czy masz mi coś do powiedzenia, zanim...

- Nie - przerywam. - Chcę to już mieć za sobą.

Ze strachu boli mnie brzuch. Czuję się sto razy gorzej niż przed egzaminami na CPA.

Adam sięga po prezent. Wyjmuje pasek, rozwija go i przez chwilę dokładnie ogląda.

- Piękny. Dziękuję.

- Cieszę się, że przypadł ci do gustu - mówię, zaciskając palce na brzegu torebki.

- Kara, którą wybrałaś, jest zbyt surowa. - Pasek trafia na biurko. - Ze względu na twoje bezpieczeństwo zmniejszam ją o trzydzieści uderzeń.

- Ale... - Lekko ponoszę się z fotela.

- Siadaj. Nie ty decydujesz w tej kwestii. Przypominam.

- Proszę cię jedynie, żebyś nie traktował mnie ulgowo. - Spuszczam głowę, bo po tym wszystkim, co zrobiłam, nie spodziewałam się takiej reakcji. Znów mam przed oczami twarz Adama, gdy wszedł do klubowej toalety i zobaczył mnie klęczącą przed Robertem.

- Moja decyzja jest ostateczna.

W odpowiedzi kiwam głową. Wiem, że nie ustąpi, a dalsza dyskusja jedynie odwlecze wykonanie egzekucji. „O, losie! Dlaczego to tak długo trwa?” - jęczę w duchu.

- Czy chcesz się jakoś przygotować? Skorzystać z toalety?

- Nie - odpowiadam, podnosząc wzrok.

Mój przyszły oprawca właśnie zapina guzik pod szyją i poprawia węzeł krawata. Dlaczego mój żołądek jeszcze mocniej ściska się ze strachu? Kręci mi się w głowie, w uszach zaczyna lekko szumieć, policzki pokrywają się rumieńcem. Jeśli liczyłam, że wszystko potoczy się lekko i na luzie, a moim jedynym problemem będzie przetrwanie bólu - to się przeliczyłam. Nie będzie na luzie, panno Duvall, proszę o tym zapomnieć...

- Gdzie chcesz być ukarana?

Zaciskam mięśnie tak mocno, że przez moment nie mogę wykrztusić nawet słowa. Chyba chce mi się płakać. Na pewno chce mi się płakać! Po głowie tłucze się tylko jedno: „tramwaj”. Dlaczego Adam każe mi podejmować te wszystkie decyzje? To jest najgorsze, nie mogę tego znieść. Paradoksalnie, każde kolejne pytanie o wybór okazuje się ciosem w moją autonomię.

- Tutaj. - Wskazuję biurko.

Adam nie mówi ani słowa, a ja wstaję z fotela i odkładam torebkę na siedzenie.

Podchodzę do biurka, unoszę sukienkę tak, że zawija się na brzuchu,

- Czy mam zdjąć majtki? - pytam drżącym głosem, wbijając wzrok w ciemnobrunatne słoje drewna. Założyłam cieliste stringi z delikatnego jedwabiu, tak mocno wykrojone, że praktycznie niczego nie osłaniają.

- Nie, chyba że masz taką potrzebę. Gdy będziesz gotowa, daj mi znać. - Adam zabiera pasek i staje za mną.

Biorę głęboki wdech i powoli układam się na blacie, próbuję ułożyć ciało jak blondyneczka z filmu. Opieram nagie przedramiona o zimną i gładką powierzchnię, wyginam plecy, żeby dotknąć piersiami biurka, ale mi się nie udaje. Widocznie jestem mniej wygimnastykowana albo mam mniejsze cycki. Schylam głowę i wypinam pośladki, na koniec robię mały rozkrok. Lekko przesuwając stopą, sprawdzam, czy szpilki stoją stabilnie. Wszystko jest w porządku.

Czy jestem gotowa?

Nie.

Nie jestem gotowa.

Umieram ze strachu, wstydu i upokorzenia.

Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak mnie nie poniżył... Nie, raczej ja sama jeszcze nigdy na to nie pozwoliłam. „Może powiem Adamowi, że mam miesiączkę? Wtedy na pewno mnie nie zbije! Ale kiedyś przecież to zrobi. Nie zniosłabym kolejnych dni oczekiwania na karę” - dwie frakcje toczą spór o to, co począć. Kolejne pomysły przychodzą mi o głowy. Może to żart? Może zamierza mnie tylko upokorzyć? Chciałabym cofnąć czas i nie pójść do klubu, lecz tak się nie da. Chcę, żeby Adam mi wybaczył, tak po prostu, bez kary. „Proszę, nie rób tego, nie bij mnie, odwołaj to...” - błagam w myślach, jednak on nie odpowiada. „Powiedz hasło! Idiotko, powiedz to! Powstrzymaj go!” - przekonuję samą siebie, ale nic nie robię.

Paradoks: nieodwołalnie stracę mężczyznę, próbując go zatrzymać...

W końcu nabieram powietrza.

- Już.

Strużka lodowatego potu spływa po wewnętrznej stronie ramienia.

Zamykam oczy w oczekiwaniu na pierwsze uderzenie.

NIC.

NIC.

NIC.

„Wkręcił mnie?” - myślę, gdy nagle słyszę świst paska. Przypominam sobie słowa Króliczka. Chcę rozluźnić mięśnie, lecz na to już za późno. Uderzenie jest tak silne, że na moment zapiera mi dech. W ułamku sekundy impuls z pośladków i z jeszcze jakiegoś miejsca dociera do mózgu. Boli... Bardzo boli. Odruchowo podnoszę prawą rękę, jakbym chciała zgłosić się do odpowiedzi.

- Co się stało? - Adam błyskawicznie staje obok i podnosi mnie z blatu.

- Nie wiem. - Jestem zdezorientowana. Spoglądam w dół i odkrywam przyczynę. - Uderzyłam o kant. - Pokazuję mu zaczerwienienie na kości biodrowej.

- Skaleczyłaś się?

- Nie. - Dotykam bolącego miejsca. - To tylko otarcie.

- Chcesz przerwać? - Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, jakby spodziewał się odpowiedzi twierdzącej. Jego twarz wygląda inaczej niż zwykle, jest bardzo spięta: zachmurzone czoło pokryte kilkoma kroplami potu, drgający mięsień na policzku, zaciśnięte do białości wargi... Jest zdenerwowany, i to znacznie mocniej niż ja. Widzę to i nagle coś klika w

mojej głowie. Chyba to on bardziej cierpi w tym momencie, a ja, zamiast poddać się karze, na którą naprawdę solidnie zapracowałam, odstawiam cyrk.

- Nie. - Kręcę głową. - Proszę tylko o koc.

Adam nabiera powietrza, w jego myślach ewidentnie rozgrywa się jakaś walka. W końcu mój mężczyzna podejmuje decyzję i wychodzi z biblioteki. Wraca po niecałej minucie z kremowym pledem z miękkiego szenilu.

Układam na blacie złożony koc i znów przyjmuję pozycję. Tym razem staram się maksymalnie rozluźnić pośladki. Krzyżuję palce i opieram czoło o grubą, puszystą tkaninę. Jestem chyba delikatniejsza od Króliczka, skoro tak niewielka zmiana sprawia, że od razu czuję się lepiej.

- Już.

NIC.

NIC.

NIC...

Nagle słyszę znajomy świst, ale tym razem jest zupełnie inaczej. Już się nie wstydzę, a paraliżujący strach znika, gdy tylko pasek dotyka skóry. Poddaję się temu. Adam chłostuje mnie tak samo, jak człowiek widziany na filmie chłostał swoją blondyneczkę. Zachowuje równe odstępki między kolejnymi, dosyć mocnymi uderzeniami. Jest tak, jak mówiła dziewczyna - nie tylko piecze, ale i zaczyna boleć.

Ból, tępy i dojmujący, wzmacnia się z każdym smagnięciem spadającym na ciało. Rozchodzi się z pośladków i promieniuje do głębi. Jeszcze nigdy nie przeżyłam czegoś podobnego. Tracę rachubę, nie wiem, ile razy już przyjęłam, czuję rozlewające się ciepło i pragnę, żeby to trwało jak najdłużej. W cipce zaczynają się pierwsze, delikatne skurcze, wyczuwam lekko przesuwający się tampon, ale nie dbam o to.

To jest jak mantra, powtarzalna sekwencja, rytmiczna melodia zmysłowych doznań, która wprowadza w trans: świst, uderzenie, ból, pieczenie, świst, uderzenie, ból... Coraz mocniej się zatracam, pragnę, żeby to trwało jak najdłużej.

Nagle zapada cisza. Jest ciemno. Dopiero teraz sobie uświadamiam, że leżę plackiem na blacie, mam zamknięte oczy i obróconą głowę. Powoli unoszę powieki i wspieram się na drżących przedramionach. Nawet nie wiem, kiedy się rozplakałam. Na policzkach czuję chłód klimatyzowanego powietrza. Ukradkiem ocieram twarz, dziękując Bogu, że pomalowałam się

wodoodpornym tuszem. Nie jestem do końca zadowolona : siebie, Króliczek wytrzymał pięćdziesiąt uderzeń i nie uronił ani łezki, a ja? Rozmazałam się jak mięczak. „Ona ma wprawę, a ty nie...” - próbuję szybko się rozgrzeszyć.

- Mel... - słyszę.

Niespodziewanie Adam kładzie głowę na moich plecach, widzę, jak jego dłonie zaciskają się delikatnie na moich palcach. Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć, co powiedziała dziewczyna z filmu, ale ten dotyk całkowicie mnie zdekoncentrował.

- Przepraszam za moje zachowanie. Już nigdy tak nie postąpię, przysięgam. Wybacz mi - szepczę.

- Wybaczam ci. - Jego głos jest taki łagodny.

I znów zaskoczenie.

Coś się dzieje.

Fala endorfin dociera do mózgu. Czuję się niewiarygodnie lekko.

Przyptyw euforii dławii gardło. Jestem szczęśliwa, tak bardzo, niewyobrażalnie. Już wiem, przypominam sobie.

- Dziękuję za to, że mnie ukarałeś. - Schylam się i całuję prawą dłoń Adama.

Harding podnosi głowę. Chwyta pannę Duvall za ramiona i razem stają przy biurku. Kobieta ciągle jest odwrócona plecami. Wzrok mężczyzny dociera do jej pośladków: na środku każdego z nich rozpościera się purpurowobordowy placek. Adam zaciska zęby i bierze głęboki wdech. Chwyta brzeg sukienki i próbuje jak najdelikatniej naciągnąć ją na posiniaczone ciało Melanii. Pierwszy raz w swoim dorosłym życiu nie wie, jak się zachować przy kobiecie, i oddycha z ulgą, gdy sukienka wraca na swoje miejsce.

- Czy mogę już iść? - Jego partnerka pochyla głowę.

Adam znów nabiera powietrza. Nie spodziewał się takiego pytania.

- Chcesz jechać do siebie? - Próbuje grać na zwłokę, bo nie przemyślał, jak ma się zachować po wykonaniu kary.

- Tak. Proszę, pozwól mi wrócić do mieszkania. - Głos Melanii brzmi zaskakująco spokojnie i cicho, ale słychać w nim stanowczość.

- Odwiozę cię.

- Dziękuję, to nie jest konieczne. Pod domem czeka na mnie taksówka, którą tu przyjechałam. - Panna Duvall zerka na zegarek. Ma jeszcze pięć

minut i wie, że musi w miarę szybko wyjść, żeby zdążyć na czas. Jej cel: jak najszybciej wrócić do apartamentu i wziąć prysznic.

- Na pewno nie chcesz... - zaczyna mężczyzna i zawiesza głos.

- Dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę chciałabym już znaleźć się w domu.

- Mel... - Adam kładzie rękę na miękkim, nagim ramieniu swojej kochanki. - Czy ty się na mnie...

- Nie. - Kobieta zagryza wargi. Czuje słabość, tylko sekundy dzieli ją od rzucenia się w silne ramiona, ale nie potrafi zrobić tego pierwsza. - Po prostu chcę wrócić do siebie. - Mówi jedno, ale czuje drugie. Coraz bardziej nie chce opuszczać mieszkania. Marzy o tym, żeby Adam ją przytulił, zatrzymał siłą, zerznął w tyłek, cokolwiek, byleby nie pozwolił jej wyjść. Tak bardzo go teraz pragnie i potrzebuje.

- Dobrze. - Jak na złość Harding nagle ustępuje. Odsuwa się i patrzy bezradnie na Melanię, która ze schyloną głową, ciągle unikając kontaktu wzrokowego, zabiera torebkę z fotela i wychodzi z salonu.

Mężczyzna odprowadza swojego gościa do drzwi.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz na miejscu.

- Z domowego? - Tak.

- Dobrze. Dobranoc, Adamie. - Panna Duvall podnosi głowę i lekko całuje policzek Hardinga.

Wychodzę z windy, starając się stąpać jak najostrożniej. Najchętniej zdjęłabym buty, ale odkąd pamiętam, niesamowicie brzydzę się nowojorskich chodników, pokrytych niezliczoną ilością białoszarawych plamek po gumach do żucia. Na szczęście zdążyłam: żółty ford stoi przy krawężniku, ze środka dobiega głośna muzyka, jakiś rap. Stukam w szybę tuż obok głowy kierowcy. Chłopak chyba mnie nie słyszy, nadal potrząsa ciałem w rytm ogłuszającej muzyki, więc szarpnięciem otwieram drzwi i przez moment na mnie spogląda.

- A, to pani... - burczy pod nosem. - Proszę wsiadać. - Sięga ręką, żeby wyłączyć odtwarzacz.

- Proszę zostawić, też lubię Eminema.

- E... - Robi wielkie oczy. - Ściszę trochę.

- Nie.

- OK. Jak chcesz. - Wzrusza ramionami.

Sadowię się zaraz za uprzejmiaczkiem, tak by nie mógł mnie zobaczyć we

wstecznym lusterku. Powoli opuszczam pośladki na kanapę. Boli jak diabli. Zapinam pasy i opieram się o podłokietnik, żeby choć trochę odciążyć lewe biodro. Nic to nie daje. Gdy taksówka rusza, pęd wgniata mnie w siedzenie, a z moich ust wydostaje się pierwszy niekontrolowany jęk. „Kurwa! Dlaczego nikt nie wymyślił taksówek ze stojącymi miejscówkami!” Jęczę i stękam na każdym wyboju, zanim docieramy na miejsce, jestem złana potem, a moja cipka wciąż lekko pulsuje. Mam nadzieję, że muzyka skutecznie zagłuszyła wszystko, co wrywało mi się w trakcie jazdy. Rzucam na przednie siedzenie dwukrotność kwoty widniejącej na taksometrze i opuszczam samochód na trzęsących się nogach. Dobrze, że deszcz już ustał, bo dojście do bramy zajmuje mi prawie pół minuty.

Staram się jak najszybciej przemknąć przez korytarz, na szczęście portier mnie nie zauważa, chyba się zdrzemnął za kontuarem. Docieram do windy, tym razem nie wchodzę po schodach. Nie dałabym rady, choć to zaledwie drugie piętro.

Oddycham z ulgą dopiero wtedy, gdy zamykają się za mną drzwi apartamentu. Zrzucam buty i opieram się plecami o ścianę.

- Udało się! Kurwa! Udało się! I wiesz, co ci powiem, panno Duvall? - Szczerzę zęby. - Było fantastycznie!!!

Chcę się natychmiast zobaczyć. Zamykam oczy (musi być niespodzianka!), zdejmuję sukienkę i rzucam ją na podłogę. Biustonosz i majtki też lądują w bliżej nieokreślonej lokalizacji. Powoli przechodzę do miejsca między lustrami i unoszę powieki.

Wyglądam pięknie. Chyba pierwszy raz w życiu jestem podniecona widokiem własnego ciała. Zarumieniona twarz, błyszczące oczy, nawet włosy w nieładzie podobają mi się jak nigdy dotąd. Sterczące brodawki unoszą się rytmicznie. Na biodrze mam otarcie, które zdążyło już malowniczo ściemnieć. Ale to zaledwie dodatki do tego, co najpiękniejsze.

Do mojej pupy.

Podziwiam ją z zachwytem. Krwawoczerwone podbiegnięcia na udach, później wąski pasek białej skóry, który zapewne przez przypadek ocalał w bitwie, znów głęboki kolor wina i efektowny środek każdego z pośladków: spore sino- fioletowe plamy, ciemne jak sok z czarnych jagód. Wyciągam rękę i delikatnie dotykam miejsca po prawej stronie. Gdy tylko opuszka palca styka się ze zmasakrowaną skórą, przeszywa mnie prąd.

Biorę głęboki wdech, chwytam dłońmi obie półkule swojego tyłka i zaczynam je lekko ugniatać. Ból jest niewiarygodnie mocny, a jego

odczuwanie sprawia mi niewyobrażalną przyjemność.

Znów zamykam oczy, uciskam się coraz mocniej, oddech coraz bardziej przyspiesza. Opieram czoło o lodowatą taflę lustra, robię lekki rozkrok, taki jak przed biurkiem Adama, i masuję pośladki. Cipka pulsuje, jest mi gorąco, powoli odpływam...

Jest.

Skurcze szarpią ciałem. Odrywam ręce i dotykam szkła, próbując chwycić się czegoś bliżej nieokreślonego. Paznokcie zgrzytają o śliską powierzchnię.

Kiedy chwilę później łapię pierwszy łyk powietrza, nagle zdaję sobie sprawę, że coś słyszę.

Kap.

Kap.

Kap.

Dziwny dźwięk. Woda?

Otwieram oczy i odruchowo spoglądam w górę. Coś się przelało przez sufit? Nie. Halogenowe żaróweczki oślepiają, więc szybko spuszczam wzrok na posadzkę.

- O! - śmieję się do tego, co widzę przed sobą, a konkretniej: pod sobą.

Niewielkie kleksy odcinają się od połyskującego marmuru. Wyglądają tak pięknie jak plejada czerwonych gwiazd na białym niebie. Kucam, żeby z bliska pooglądać swoje dzieło. Przez minutę kontempluję krwistą konstelację, w końcu wstaję i zbieram ciuchy z podłogi.

Nagle coś sobie uświadamiam. Kontrolnie zerkam na tył kremowej kiecki i znów parskam pod nosem.

- Biedny miłośnik Eminema - wzdycham.

Już mam iść do łazienki, gdy nagle przypominam sobie o telefonie. Natychmiast kładę ubrania na komodzie, podnoszę słuchawkę i wybieram numer.

- Halo?

Przełykam ślinę, gdy słyszę głos Adma. Ciągłe kręci mi się w głowie od nadmiaru przeżyć, a teraz tętno znów lekko przyspiesza.

- Zgłaszam, że jestem na miejscu.

- Niepokoiłem się. Dlaczego to tak długo trwało? Miałaś jakieś problemy po drodze? Wszystko w porządku? - Mój facet chyba jest zdenerwowany, jego głos brzmi dziwnie.

Zerkam na zegarek. No tak, moje pieścoty zajęły dobry kwadrans.

- W porządku. Przepraszam, zapomniałam, że mam do ciebie zadzwonić. Wróciłam piętnaście minut temu.

- Rozumiem.

Po drugiej stronie zapada cisza. - Adam...

- Tak?

Chcę mu jeszcze raz podziękować, ale nie mam śmiałości. Mimo że go nie widzę, ciągle mam przed oczami moment, gdy zapina guzik koszuli i zaciska krawat. Traktuję ten drobny gest jako oznakę szacunku.

- Chciałam ci życzyć dobrej nocy.

- Ty też śpij spokojnie. Zadzwoń w południe.

- Dziękuję. Dobranoc...

- Dobranoc. Odkładam słuchawkę.

Podnoszę stosik ciuchów i wlokę się do łazienki. Jestem pijana ze szczęścia.

Telefon z impetem ląduje na biurku, przejeżdża po lakierowanym blacie i zatrzymuje się na końcu przeciwległej krawędzi.

- Kurwa!

Adam zakrywa twarz i przez chwilę tkwi nieruchomo. Czuje się jak najgorszy zbrodniarz. Przed jego oczami od niecałej godziny wiruje ciągle ten sam obraz: posiniaczone ciało Melanii. Krótka rozmowa, zamiast uspokoić i zmniejszyć wyrzuty sumienia, tylko pogorszyła sprawę.

W końcu Harding podejmuje decyzję. Obchodzi biurko, siada na fotelu i otwiera laptopa. Łączy się z siecią i wyszukuje numer. Sięga po słuchawkę, wklepuje cyferki. Palec zastyga w bezruchu, dopiero po kilku sekundach naciska dotykowy ekran.

- Witamy w nowojorskim centrum dla ofiar przemocy domowej, w trosce o dobro naszych... - Automatyczna sekretarka informuje o klauzulach prawnych, numerach ratunkowych i innych mniej lub bardziej ważnych rzeczach.

Harding cierpliwie czeka na zgłoszenie jakiegoś człowieka, wreszcie się rozłącza i drugi raz tego wieczoru rzuca komórką. Opiera czoło o wyciągnięte lewe ramię. W pokoju jest tak cicho, że słyszy cyknięcia ręcznego zegarka. Kojący dźwięk sprawia, że mężczyzna niemal popada w letarg.

Pięć minut później telefon zaczyna lekko wibrować, kręci się na blacie jak chrząszcz odwrócony do góry nóżkami. Adam unosi głowę i sięga po aparat.

Numer wygląda dziwnie znajomo.

- Słucham, Harding.

- Halo? - odzywa się miły kobiecy głos.

- Słucham panią. - Mężczyzna jest zaskoczony. Nie ma pojęcia, kto to może być. Jest druga w nocy, to nie czas na biznesowe rozmowy.

- Tu Catherine Appel z nowojorskiego centrum pomocy, ktoś przed chwilą dzwonił do nas z tego numeru.

Adam zastyga w bezruchu. Przez moment ma ochotę powiedzieć, że to pomyłka, ale szybko odpięra pokusę.

- Tak. To ja dzwoniłem.

- Jak masz na imię?

Zastanawia się, czy powiedzieć prawdę, ale dosyć szybko sobie uświadamia, że kobieta po drugiej stronie zna nie tylko jego numer telefonu, ale też nazwisko.

- Adam.

- Miło mi, jestem Catherine. Informuję cię, że wszystko jest nagrywane, a każda informacja, którą mi przekażesz, jest poufna. Rozumiesz?

- Tak.

- Skąd dzwonisz?

- Wynajmuję apartament na Madison Avenue.

- W czym mogę pomóc? - W przeciwieństwie do swojego rozmówcy kobieta jest bardzo opanowana.

- Ja... - zaczyna Harding i bierze głęboki wdech. - Pobiłem moją dziewczynę.

- Czy wszystko z nią w porządku? - Pytanie pada natychmiast po słowach Adama. - Żyje?

- Tak! Żyje, przed dziesięcioma minutami z nią rozmawiałem! - Mężczyzna jest zdruzgotany podejrzeniem, które powstało w głowie pracownicy centrum. - Nie jestem jakimś psycholem, nie zakatowałem jej!

- Spokojnie. Nic takiego nie powiedziałam. Czy jest ranna?

- Nie. Chyba nie. Zbiłem ją zwykłym, skórzanym paskiem. - Harding przełyka ślinę. - Wyłącznie po poślądkach.

- Zadam ci kilka krótkich pytań.

- Dobrze. - Adam chrząka, coś gryzie go w gardle.

- Czy jesteście pełnoletni?

- Tak.

- Czy twoja dziewczyna jest niepełnosprawna lub upośledzona

umysłowo?

- Nie.
- Czy miałeś kiedykolwiek problemy z prawem? - Nie.
- Czy ona miała kiedykolwiek problemy z prawem?
- Nie sądzę.
- Jak długo jesteście w związku?
- Miesiąc.

Mężczyzna się uspokaja. Za sprawą pytań, które słyszy, i odpowiedzi, których udziela, znów wpada w specyficzny trans.

- Czy ty lub ona byliście pod wpływem jakichkolwiek środków odurzających w czasie tego zdarzenia? Mam na myśli narkotyki, alkohol, leki.

- Nie.
- Czy na co dzień używacie któregoś z wymienionych?
- Tylko alkoholu, sporadycznie.
- Gdzie teraz jest twoja dziewczyna?
- U siebie w mieszkaniu.
- Opowiedz mi, co się stało. - Głos Catherine jest łagodny, Adam całkowicie się rozluźnia. - Dlaczego ją zbiłeś?
- Przyjechała do mnie, żebym wymierzył jej karę.
- Czyli zrobiła to dobrowolnie?
- Tak.
- Czy skrupowałeś ją lub w jakikolwiek inny sposób ograniczyłeś jej możliwość poruszania?
- Nie.
- Czy twoja dziewczyna jest w jakikolwiek sposób od ciebie zależna? Chodzi mi zwłaszcza o kwestie materialne.
- Nie. Pracuje i ma własne mieszkanie.
- Rozumiem. Czy ma rodzinę? Męża, dzieci?
- Nie. Jest stanu wolnego, tak jak ja. Na chwilę zapada cisza.
- Halo? - rzuca Adam. - Catherine, słyszysz mnie?!
- Tak. Jakiej pomocy oczekujesz?
- Nie wiem. - Mężczyzna nagle uświadamia sobie bezsens sytuacji.
- Czy mogę zadać ci pytania spoza listy?
- Listy?
- Tak. To pytania, na które nie musisz odpowiadać.
- Proszę.

- Czy ona może skorzystać z tak zwanego hasła bezpieczeństwa?

- Tak.

- Czy powiedziała to słowo?

- Nie.

Znów na kilka sekund zapada cisza.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Dodzwoniłeś się do centrum kryzysowego. Pomagamy ofiarom przemocy domowej, a w twoim przypadku nie ma mowy o żadnej przemocy. Twoja przyjaciółka jest pełnoletnia, nie jest od ciebie zależna materialnie, była w pełni władz umysłowych i świadomie zgodziła się na taką formę kontaktu fizycznego. Nie mam żadnych podstaw, aby przyjąć zgłoszenie. Rozumiesz?

- Tak. - Adam kiwa głową.

- Domyślam się, jaki masz problem, i jeśli mogę coś poradzić, proponuję rozmowę z terapeutą lub seksuologiem. A jeżeli nie masz zaufania do lekarzy, to porozmawiaj z kimś, kto jest... kto w ramach swojej pracy ma do czynienia z takimi formami kontaktu.

- Rozumiem.

- Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?

- Nie. Przepraszam, że zająłem ci czas. Dziękuję.

- Nie przepraszaj, od tego jesteśmy. Ja też dziękuję, to moja pierwsza dziś tak spokojna rozmowa - wzdycha kobieta.

- Czy mam gwarancję, że nasza rozmowa nie...

- Wszystko, co mówiliśmy, ma charakter poufny. Nie przyjmę zgłoszenia, więc nagranie zostanie usunięte po trzydziestu dniach.

- Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc.

- Powodzenia i dobranoc.

Adam odkłada telefon i wychodzi do małego gabinetu. Przez kilkanaście minut sączy whisky z lodem, potem nalewa drugą szklankę.

Okolo trzeciej nad ranem bierze prysznic, przebiera się w wygodny strój i kładzie do łóżka. Sen nie nadchodzi. Zaczyna świtać. Harding zerka na zegarek: jest piąta. Właśnie minęła druga doba bez snu (nie licząc dwugodzinnej popołudniowej drzemki), a on ciągle nie odczuwa zmęczenia.

- Dosyć! - Siada na brzegu łóżka.

Wraca do salonu, odpala komputer i łączy się z siecią. Poszukiwania trwają kilka minut, na szczęście ktoś, kto może mu pomóc, urzęduje niedaleko. Jakieś cztery kwartały do przejścia lub pokonania taksówką.

Kolejny raz tej nocy mężczyzna sięga po telefon. Godzina jest nieco dziwna, ale Adam nie znosi bezczynności. Woli podejmować działania, nawet te, które mają nikłą szansę powodzenia.

- Halo?! - Znów kobiecy głos. Tym razem dosyć ostry, stanowczy.

- Tu Adam.

- Czego chcesz, Adamie? Mężczyzna uśmiecha się pod nosem.

- Chcę się spotkać. Jak najszybciej, najlepiej teraz.

- Teraz? Czyja się nie przesłyszałam?

- Nie. Zapłacę podwójnie.

- Odpoczywam. Przerwałeś mi sen. To bardzo niegrzeczne z twojej strony.

- Odeśpisz po południu! - Harding jest poirytowany. Ze strony, którą znalazł, wynika jednoznacznie, że usługi Angeliki są dostępne przez całą dobę.

- Jesteś bardzo hardy... - Kobiecy głos zawisa w słuchawce jak smuga dymu z papierosa.

- Jestem - ucina krótko. - To jak?

- O szóstej widzę cię na wycieraczce. Klik odłożonej słuchawki.

- Co ja odpierdałam? - mruczy Adam, łapiąc się za głowę. Znów myśli, by spasować, i ponownie rezygnuje z tego pomysłu. Idzie do garderoby, wybiera ciemnostalowy garnitur, czarną koszulę i taki sam krawat. Ubiera się, stojąc przed wielkim łazienkowym lustrem. Zanim założy koszulę, przeciąga dłonią po podbródku. Jest piąta trzydzieści, gdy ścina brzytwą ostatnie włoski z szyi.

Obcasy błyszczących Oksfordów stukają głośno o parkiet. Harding sięga po pasek, który do tej pory leżał na jego biurku, przykładając go na chwilę do nosa, a później wsuwa w szlufki. Choć to nieco głupie, idealnie dobrany rozmiar paska wprawia go w ogromne zadowolenie.

Kiedy mężczyzna zbiega ze schodów, do szóstej brakuje zaledwie kwadransa, ale nadobna Angelika przyjmuje klientów w apartamencie oddalonym o zaledwie dziesięć minut jazdy. Adam zatrzymuje taksówkę i podaje adres budynku znajdującego się ulicę bliżej. Końcówkę trasy pokonuje pieszo.

Zegarek wskazuje punkt szóstą, Harding staje na wycieraczce. Zamierza zadzwonić, ale drzwi się otwierają i gospodyni przybytku wprowadza go do środka. Klient ocenia wzrokiem „dominę Angelikę”. Akurat pod tym względem wszystko się zgadza ze stroną. Kobieta jest

piękna, szczupła i odziana w zakrywający całe ciało, dziwaczny strój z czar- lego lateksu, chyba typowy dla osób parających się takimi zabawami.

- Powieś tu marynarkę. - Dłoń z długimi krwistoczerwonymi paznokciami wskazuje haczyk na ścianie garderoby.

Wchodzą razem do pokoju. Adam rozgląda się z zainteresowaniem. Nigdy nie korzystał z usług zwykłych prostytutek, a co dopiero mówić o kobietach świadczących tak specyficzne usługi jak Angelika. Omiata wzrokiem bordowe ściany, czarne zasłony z weluru obszyte złotymi frędzlami, skórzany szezlong stojący na środku i szafę - z pewnością skrywającą narzędzia, którymi posługuje się domina. Wnętrze jest bardzo eleganckie, widać, że często sprzątane, bo parkiet aż lśni.

- Kasa tu. - Czarnowłosa ślicznotka wskazuje miejsce trzymaną w ręku szpicrutą.

Harding wyciąga portfel z tylnej kieszeni spodni. Odlicza sumę i kładzie banknoty na szklanej tacy, która leży na okrągłym stoliku.

- Przygotuj się, psie.

- Słucham? - Mężczyzna parska śmiechem. W ostatnim momencie udaje mu się złapać szpicrutę zbliżającą się do ramienia. - Poczekaj. Chcę tylko pogadać. - Trzyma giętki pręt w żelaznym uchwycie.

- Boisz się, piesku? - Angelika puszcza rączkę pejcza, wie, że klient jest silniejszy fizycznie, i nie zamierza się z nim szarpać.

- Nie. Chcę porozmawiać.

- Jesteś glina? - Dziewczyna nie traci rezonu. - Albo reporterem? Tak czy owak, bierz kasę i spierdalaj. Działam legalnie, a wywiadów nie udzielam.

- Kurwa! - Adam podnosi głos. - Możesz mnie posłuchać?!

- Co?! - Domina przechyla głowę.

- Przepraszam. Muszę coś wiedzieć, a TY mi to wyjaśnisz.

- Ja? - Angelika prychna pod nosem. - JA wydaję polecenia, a TY słuchasz.

- Mam problem. Pogadasz ze mną czy nie?!

- Jeśli masz problem, idź do psychoanalityka.

- Ty zrobisz to lepiej. Zapłaciłem jak za dwie sesje, ale możesz to uznać za zaliczkę. Jeśli będę zadowolony, dorzucę drugie tyle.

Mierzą się wzrokiem, w końcu dziewczyna ustępuje.

- OK. Chodź za mną.

Prowadzi Adama do sąsiedniego pomieszczenia. Siadają na fotelach przy niskiej czarnej ławie. Angelika założyła nogę na nogę, jest całkowicie wyluzowana, chyba trochę ją bawi ten elegancki przystojniak w koszuli szytej na miarę.

- Wody? - Wskazuje brodą małą butelkę.

- Chętnie. - Harding sięga po napój i wypija go duszkiem.

- O co chodzi?

- Wiesz, dlaczego cię wybrałem?

- Bo jestem najlepsza w Wielkim Jabłku. – Dziewczyna znów się uśmiecha.

- Właśnie. Dlaczego jesteś najlepsza?

- Jesteś alfonsem? Chcesz otworzyć niedaleko konkurencyjny gabinet ze swoimi dziewczynkami? Zapomnij, mnie nie wygryziesz. A może chcesz, żebym dla ciebie pracowała?

- Nie bawią mnie takie metody zarabiania. Mam firmę, ale to zupełnie inna branża.

- Jaka?

- Nieważne.

- Jesteś na giełdzie? Może kupię akcje? - Angelika uśmiecha się ironicznie.

Adam wyciąga wizytówkę i kładzie ją na stole. Dziewczyna nawet nie patrzy na kartonik.

- OK. - Unosi brwi. - Schowaj. Żartowałam z tymi akcjami.

- Do rzeczy: chcę wiedzieć, dlaczego jesteś taka dobra w te klocki.

- Bo jestem prawdziwa. Jara mnie sprawianie bólu, a moi klienci to wyczuwają.

- A gdybyś to mnie miała sprawić ból, też by cię to kręciło?

- Nie.

- Bo?

- Bo jesteś taki jak ja.

- Skąd to wiesz?

- Widzę, jak się zachowujesz, wyglądasz, mówisz, a przede wszystkim... że się nie boisz.

- Jesteś lesbijką? - Harding zadaje kolejne pytanie.

- Tak. No dobrze, ale o co ci chodzi? Chcesz gadać o mojej dupie czy rozwiązać swój problem? - Angelika spogląda na zegar. - O ósmej mam następnego klienta. Jak dalej będziesz tak się z tym pierdolił, masz duże

szanse minąć się z nim na schodach.

- Nie klnij! Nie znoszę, gdy kobieta klnie w mojej obecności.

- Hej! Nie jestem twoją sunią. - Domina lekko trąca nogę swojego gościa szpicem buta. - Dobra. Mów, bo powoli tracę cierpliwość.

- Mam dziewczynę... Dzisiaj w nocy spuściłem jej ostre lanie. Jeszcze nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety, a ona dostała pasem, który ofiarowała mi w prezencie. To była kara. Moja dziewczyna sama wybrała formę i przyszła do mnie, żebym ją wymierzył.

- Stał ci, gdy ją biłeś? To ten problem?

- Tak - odpowiada Adam po dłuższej chwili.

- Prawidłowa reakcja. - Angelika wzrusza ramionami.

- Możliwe, ale czuję się beznadziejnie z tą świadomością.

- Dlaczego?

- Wiesz, jak ona wygląda?! A raczej jej tyłek?

- Ćwiczysz?

- Tak. Trzy razy w tygodniu. Dwie godziny, czasem krócej.

- To ten pasek? - Dziewczyna wskazuje brzuch Hardinga.

- Tak.

- Końska skóra. Poczułam, ledwie wszedłeś. Faktycznie, dostać takim sprzętem... Ile razy?

- Nie wiem. Miało być dwadzieścia, ale straciłem rachubę i na pewno dostała więcej.

- Nakręciłeś się? - Domina ze zrozumieniem kiwa głową.

- Tak. To było straszne... - Adam z głośnym westchnieniem wypuszcza powietrze.

- Jak się opanowałeś?

- Zobaczyłem swoje odbicie w oknie. Gdyby nie to, pewnie wlałbym jej tyle, ile chciała na początku.

- Czyli?

- Pięćdziesiąt.

- Jakiej jest postury?

- Drobna. Niska i szczupła. Takie kurczątko, ciut większe od Kylie Minogue. Nawet trochę podobna, blondynka z jasną skórą.

- Musi być słodka. Lubię takie kruszynki. - Angelika układa usta w ryjek i znacząco cmoka, ale szybko się uspokaja, gdy widzi dezaprobatę na twarzy rozmówcy. - Pięćdziesiąt na pierwszy raz? Nie ma szans. Zemdlałaby z bólu. Musisz uważać, na przyszłość każ jej głośno liczyć, unikniesz takich

sytuacji.

- Ja pierdolę... - Adam znów zapomina, że rozmawia z kobietą, a może to zachowanie dziewczyny tak na niego wpływa. - O czym ty mówisz? Jaka przyszłość? Co się ze mną dzieje? Ona mi zaufała! - Mężczyzna na moment zakrywa twarz.

- Wiem, a ty straciłeś kontrolę, to bardzo nieprofesjonalne. Pracuj nad tym. I jeszcze jedna ważna rzecz: nie obwiniaj się, to niczego nie ułatwia. Opowiedz mi o niej. Dlaczego ją ukarałeś? Macie jakiś układ? - Angelika jest zaintrygowana, wyczuwa pokrewną duszę.

- Mamy. To taka prosta umowa, kilka zasad. Gdy moja dziewczyna złamie jedną z nich, mogę ją ukarać. Ona wybiera, jak to ma się odbyć. Dwa dni temu byliśmy w klubie, tu niedaleko. Mąż znajomej prawie ją przeleciał w toalecie. Ona go sprowokowała, a gdy koleś się nakręcił, próbowała go powstrzymać.

- Gdzie wtedy byłeś?

- Tańczyłem z jego żoną, ale coś mnie tknęło, bo nie widziałem ich na parkiecie. Nie wiem, co by się stało, gdybym w ostatnim momencie nie wkroczył do akcji.

- Upiła się?

- Tak.

- Chciałeś wyjść wcześniej, a ona wolała zostać?

- Tak, chciałem, tym bardziej że miałem jeszcze inny powód. Skąd wiesz? - Adam nagle wlepia wzrok w dziewczynę.

- Nieważne. Ile ma lat?

- Trzydzieści jeden.

- Moja rówieśnica. - Angelika wydyma wargi. - Pracuje na odpowiedzialnym stanowisku? Ma pod sobą ludzi?

- Tak.

- W stosunku do nich jest twarda i ostra?

- Tak. Byłem świadkiem paru takich sytuacji.

- Ilu miała kolesi przed tobą?

- Nie wiem dokładnie. Kilku, kilkunastu? Nie rozmawialiśmy o tym.

- Wszyscy młodszy od niej i to ona ich zostawiała?

- Raczej tak.

- Chętnie robi ci laskę? - Tak.

- Ale sama nie lubi, jak ją tam pieścisz ustami?

- Nie wiem, bo tego nie robimy. Twierdzi, że ma uczulenie na męski

zarost. Tylko raz spróbowałem, ale gdy pokazała mi na drugi dzień skórę na cipce... - Adam macha ręką. – Fatalnie to wyglądało.

Domina kiwa głową ze zrozumieniem.

- Była bita w dzieciństwie?

- Nie.

- Znasz jej rodziców?

- Trochę. Tylko raz u nich byliśmy, czwartego lipca.

- Wycofany ojciec i zimna matka?

- Nie wiem, czy zimna. Z pewnością sztuczna, bardzo pretensjonalna.

Wizyta była zbyt krótka, żeby to ocenić. Poza tym ja straciłem rodziców, kiedy miałem osiemnaście lat, więc nie mam porównania.

- Czy matka pochwaliła ją chociaż raz w czasie waszych odwiedzin?

- Tak.

- Za osiągnięcia w pracy?

- Jesteś jasnowidzem? - Mężczyzna kręci głową ze zdumienia.

- Nie, tylko znam ludzi. - Angelika uśmiecha się blado. - Wiem, jak to wygląda. Gdy twoja dziewczyna zrobiła coś złego, stara z pewnością karała ją cichymi dniami. To często jest gorsze od kary cielesnej. Po co wprowadziłeś do umowy punkt o karze?

- Nie wiem. Chyba chciałem jakoś ją utemperować... Może wystraszyć? Nie mam pojęcia. To był impuls. Miałem napisać zasady, wymyśliłem sześć, ale gdy już napisałem pierwszą, ta o dyscyplinie sama wskoczyła na drugie miejsce. Kiedy moja kobieta zgodziła się na te warunki, od razu sobie coś postanowiłem. To wszystko miało inaczej wyglądać! Miałem się zatrzymać przed samym wykonaniem kary, tylko ją wystraszyć... Ale gdy stanąłem przed nią, wyglądała tak, że... - Harding kręci głową.

- Opowiedz, jak mniej więcej wyglądały wasze początki. Pierwsze spotkania, seks...

- OK. Postaram się jakoś streszczać. - Adam zerka na zegarek. Już ponad pół godziny siedzi z tą dziwną dziewczyną, która wie o życiu więcej niż niejeden psychoanalityk albo seksuolog. - Mogę liczyć na filiżankę kawy czy to nie jest objęte usługą?

- Jaką lubisz? - pyta czarnowłosa piękność.

- O tej porze? Czarną, bez cukru...

Tylko dwudziestu minut brakuje do ósmej, gdy mężczyzna kończy opowieść.

- Poczekaj chwilę. - Angelika podnosi się z fotela i gdzieś wychodzi. Na

szczęście wraca dość szybko. Siada i kładzie skrzyżowane stopy na blacie stolika. - Przełożyłam następnego klienta - wyjaśnia.

- Wkurzy się. - Adam parska śmiechem, przyglądając się czarnym lakierowanym kozakom na niebotycznych szpilach. Przy każdym najmniejszym ruchu skóra skrzypi, wywołując u niego przyjemne dreszcze.

- Tylko o kwadrans. Żeby mu się nie nudziło, ma ogolić worek, trochę mu z tym zejdzie - chichocze dziewczyna, odsłaniając rząd idealnie równych śnieżnobiałych zębów.

- Jesteś okrutna.

- Nie. To życie jest dla nich okrutne. Ja jestem jedyną ostoją moich klientów. Tylko przy mnie czują się bezpieczni. Rozumiesz?

- Staram się. Powiedz, skąd to się wzięło? - Harding ciężko wzdycha. - Przecież nic takiego nie wydarzyło się w moim życiu, nie przeżyłem żadnych traum, oprócz tego, że rodzic zginął w wypadku. Nigdy nie byłem bity, nie widziałem takiej sytuacji, nikt mnie nie zgwałcił, nie wiem, co jeszcze może być powodem... Dlaczego jestem taki pokręcony?

- A dlaczego ja jestem? Też nie wiem. Tak po prostu jest i musisz to zaakceptować. Lubisz sprawiać ból swojej kobiecie i sprawować nad nią kontrolę. Pogódź się z tą myślą, im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla ciebie i dla niej.

- Ciągle mam wyrzuty sumienia. Nie mogę zapomnieć o strachu, który widziałem w jej oczach. Nie chcę być potworem.

- Kochasz ją? - Angelika mówi to takim tonem, jakby znała odpowiedź.

- Nie wiem - odpowiada Adam po dłuższej chwili.

- Jak już się dowiesz, nie spiesz się z wyznaniami.

- Dobrze.

- Mam jeszcze kilka pytań. Mam nadzieję, że nie będą zbyt intymne. Jak się zabezpieczacie?

- Jestem po wazektomii.

- Uhm. Dlaczego tak?

- Hm... - Mężczyzna wzrusza ramionami. - Nie lubię prezerwatyw.

- Miałeś jakieś jednorazowe przygody?

- Tak.

- Wtedy chyba używałaś gumek? - Angelika unosi brwi.

- Nie zawsze.

- Nie? To niezbyt mądre, a ty nie wyglądasz na nierozsądnego faceta.

Zaliczałeś cnotki? Skoro tyle mi już powiedziałaś, to też możesz zdradzić...

- Ja pierdołę! - Adam parska śmiechem. - Dobra jesteś.

- Płaciłeś im za to?

- Tak. Najpierw musiały się zbadać. Dopiero gdy dostałem wyniki, przedstawiałem swoje, oczywiście anonimowe, i finalizowałem transakcję. Znajdowałem dziewczyny z ogłoszeń, najczęściej były z daleka, z małych miasteczek. Na kilka dni, góra tydzień wynajmowałem pokój w dobrym hotelu, czasami spotykaliśmy się parę razy, zanim... Chryste! Dlaczego ci to mówię? Jeszcze nikomu nie opowiadałem tej historii! - Mężczyzna łapie się za czoło i kręci głową.

- Nie bałeś się, że któraś się zaangażuje?

- Mówiłem, że jestem żonaty. To z reguły załatwiało sprawę.

- Ile to trwało?

- Jakieś trzy lata.

- Mam nadzieję, że były pełnoletnie? - Angelika lekko przechyla głowę.

- Daj spokój! Mam młodszą siostrę!

- OK, OK, tylko pytałam. Nie unosz się tak - chichocze domina, widząc, jak bardzo zdenerwował się jej gość. - Jak wyglądały takie randki?

- Pytasz o to, czy byłem brutalny? Wręcz odwrotnie! Nigdy nie zachowywałem się równie delikatnie, ale i tak się bały.

- Kręciło cię to?

- Chyba tak, ale nie do końca... Ostatnia z nich, szesnasta... - Adam na sekundę zawiesza głos, jego dłonie mimowolnie zaciskają się w pięści. - Nie potrafiłem pokonać jej strachu, sprawić, żeby zmienił się w pożądanie. Starłem się, ale nie wyszło.

- I?

- Spasowałem. Przeprosiłem ją, bo dotarło do mnie, że to, co robię, jest kretyńskie. Zamierzałem jej zapłacić, ale nie chciała wziąć kasy. Odwiozłem ją do domu, już nigdy się nie spotkaliśmy. Przez rok patrzyłem na siebie z obrzydzeniem. Nie potrafiłem zbliżyć się do żadnej kobiety, a potem poznałem swoją obecną dziewczynę.

- No cóż, może ta szesnasta chętniej pobaraszkowałaby ze mną? - Angelika uśmiecha się lekko. - Jak dla mnie sytuacja jest prosta: macie szczęście, ty trafiłeś na odpowiednią partnerkę, a ona na właściwego partnera. To ona swoją uległością wyzwoliła w tobie skłonności, które zawsze miałeś. Zadziałaliście na siebie jak katalizatory. Jesteście idealnie dobrani. Gratuluję.

- Czy coś mi radzisz? - Harding ze skupieniem wsłuchuje się w każde słowo dziewczyny.

- Tak. Bądź prawdziwy, kieruj się tym, co podpowiada ci instynkt. Jeśli masz na coś ochotę, po prostu to zrób. Jeśli po sesji miałaś ochotę na seks, powinienes ją przelecieć, na pewno by się ucieszyła. Pamiętasz, jak pięknie ci podziękowała po laniu? To naprawdę było wzruszające.

- Spieprzyłem sprawę. Spanikowałem.

- Wiem. Każdy czasami coś spieprzy. Nie przyznawaj się nigdy do tego, że popełniłeś błąd. Ona ci tego nie wybaczy. Zachwiejesz jej poczuciem bezpieczeństwa. Jedź i porządnie ją zerznij. Naprawdę na to zasługuje, była bardzo dzielna.

Pochwal ją.

- Już jest w pracy. Zadzwoń w południe i umówię się na wieczór.

- W pracy? Chyba żartujesz? - Dziewczyna wybuchła perlistym śmiechem.

- Nie rozumiem...

- Gdyby poszła dzisiaj do pracy, oznaczałoby to, że wymyśliłaś całą historię. Sądzę, że leży w łóżku i czeka na ciebie. Założysz się?

- Czemu nie? - Adam podejmuje zakład, jest prawie pewien, że Melania pojechała do biura. Zna ją już dość dobrze i wie, że nie opuściła bez powodu ani jednego dnia pracy. - Jeśli wygrasz, podwoję ci stawkę, a jeśli przegrasz, zabieram wszystko.

- OK. - Angelika podaje mu rękę.

- Poczekaj. Już dzwonię. Mężczyzna wybiera numer.

- Halo, Liza? Tu Adam, mogę rozmawiać z twoją szefową? - Chwila ciszy. - Rozumiem - Harding nagle zagryza wargi. - Jasne. Dziękuję. Do zobaczenia.

- I co, panie mądry? - Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha. - Mam dzisiaj dobry dzień, tyle hajsu za dwie godziny nicnierobienia!

- Ona jest chora! - Mężczyzna jest przerażony. - O siódmej rano zadzwoniła do swojej asystentki.

- Spokojnie. Co jej dolega?

- Ponoć ma gorączkę. Zadzwoń... - Adam wybiera prywatny numer Melanii. - Nie odbiera!

- Nie panikuj. Jedź tam i zobacz, co się dzieje. Może śpi. A wysoka temperatura to częste zjawisko po ostrym laniu.

- Jasne. Dziękuję ci za wszystko. - Harding zrywa się z fotela.

Gdy jest już przy drzwiach, przypomina sobie o zakładzie. - Poczekaj, pieniądze... - Wyciąga portfel.

- Nieważne, kiedyś, przy okazji. - Angelika popycha go lekko przez próg.
- Daj cynka, co z nią.

- Jasne. - Adam odwraca się i jeszcze raz ściska jej dłoń, po czym zbiega ze schodów jak szalony.

Dziewczyna wraca do środka, zabiera plik studolarówek i spogląda przez okno. Jej nietypowy klient właśnie podbiega do taksówki, przy której stoi jakiś inny mężczyzna. Adam wciska mu coś do spodni, sekundę później wsiada obok kierowcy. Samochód odjeżdża, zanim zdumiony facet zdąży wyjąć rękę z kieszeni.

- I ty nie wiesz, czyją kochasz? - Angelika parska śmiechem.

- Jedź! - Harding z impetem zatrzaskuje drzwi forda.

- Ale... co jest? - Taksówkarz rusza z piskiem opon, dopiero na najbliższych światłach odwraca się w stronę pasażera. - Jaki adres?

- Poprowadzę cię, będzie szybciej. Niedaleko stąd. Jak się uwiniesz, zapłacę podwójnie.

- OK. - Chłopak wyłącza muzykę. Jeździ na tej trasie dopiero od dwóch dni i na razie trafia na samych świrów. Zwłaszcza ostatniej nocy.

- Na następnym skrzyżowaniu w lewo... Deptaj! Przejedź na czerwonym, tu nie ma kamer... Teraz prosto... Wyprzedź go! - Adam siedzi jak na szpilkach. Najchętniej zamieniłby się miejscami z ciemnoskórym kolesiem w pasiastej czapce. - Uważaj! Hamuj! - krzyczy ostrzegawczo, niestety dopiero sekundę później czuje mocne szarpnięcie.

Jeszcze kilka cali i wbiliby się w tył najnowszego modelu Porsche. Wszystko, co nie jest upchane w schowkach – dwa plastikowe kubki, notatnik, płyty, telefon i dziesiątka innych przedmiotów - zlatuje na podłogę.

Gdy wreszcie docierają na miejsce, chłopak jest spocony jak po półgodzinnym treningu kardio.

- Ja pierdolę. - Kręci głową. - Chyba zmienię rejon. Adam szybko wyjmuje portfel i odlicza kilka banknotów. Kierowca nagle zauważa charakterystyczne gazony z tropikalnymi drzewkami, stojące przy wejściu na schody.

- Kurwa! Byłem tu dzisiaj w nocy! Z jakąś babką. Zabrałem ją na Madison Avenue, a po godzinie przywiozłem tu z powrotem. Chryste, co za

świruska. - Czapeczka w kolorowe paski lekko dotyka kierownicy.

- Co powiedziałaś?! - Dłoń Adama, trzymająca plik zielonych, zawisa w powietrzu. - Co powiedziałaś?!

- Ale co jest? Kolo... - Taksówkarz odwraca się w stronę kolejnego niezrównoważonego klienta. Zdecydowanie ma dosyć tej dzielnicy. - Laska całą drogę jęczała, jakby miała orgazm. Nimfomanka jakaś? - Wzrusza bezradnie ramionami. - Patrz, co zostawiła na pamiątkę. Godzinę szorowałem, ale nie puściło.

Harding dostrzega na tylnej kanapie niewielką rozmazaną plamę, która kolorem przypomina zaschniętą krew. Czuje, jak żołądek podejżdża mu do gardła. Rzuca pieniądze kierowcy i wypada z samochodu, jak wicher przelatuje obok zdumionego portiera i wbiega na schody. Dziesięć sekund później otwiera drzwi, na szczęście w portfelu ma klucze do mieszkania Melanii. Halogenowe reflektorki zapalają się, gdy tylko wchodzi do holu, gdzie od razu czuje kolejny skurcz serca: kilkanaście ciemnobordowych plamek odcina się od połyskującego marmuru ostrym kontrastem.

Mężczyzna wpada do różowego pokoiku, w ułamku sekundy rejestruje widok: rozbebeszone łóżko, leżącą pod nim przewróconą szklankę i dwie buteleczki z jakimiś lekami. Kiedy wybiega z sypialni, jego tętno na pewno przekracza dwieście pięćdziesiąt uderzeń na minutę.

Nie wolno brać kąpieli w czasie tych dni! Tylko natrysk!" - słowa mamy brzmią mi w głowie, mimo że usłyszałam je prawie dwadzieścia lat temu, gdy pierwszy raz dostałam miesiączkę. I co? I gówna. Mam to w dupie, proszę państwa. Unoszę się w różowej wodzie, pokrytej przeredzającą się już lekko pianką. Jest mi tak dobrze...

Zanim się położyłam, wzięłam paracetamol i coś, co kiedyś przepisał mi ginekolog na skurcze brzucha. Leki okazały się do bani, jedyny efekt to mokra od potu poduszka. Kąpiel okazała się znacznie skuteczniejsza. Brzuch przestał boleć, a dreszcze ustąpiły natychmiast, gdy zanurzyłam się w ciepłej toni. Zastąpiło je mocne szczypanie skóry na tyłku.

Parskam śmiechem na wspomnienie rozmowy z Lizą. Tak ją zatkało, że pewnie do tej pory nie może mówić. No cóż, nie zdarzyło mi się jeszcze opuścić ani jednego dnia pracy, a do tego miałam na dzisiaj zaplanowane aż sześć spotkań. Trudno. Przeżyją. Nie ma ludzi niezastąpionych.

Obracam głowę. Widzę, jak tuż obok ramienia dryfuje na poduszce z piany mikroskopijne czerwone włókienko, pochodzące z wnętrza mojej macicy. Gdy lekko dmucham - oddala się leniwie.

Podnoszę dłonie i przez chwilę patrzę na pomarszczone opuszki palców, woda robi się coraz chłodniejsza. Z trudem wychodzę z wanny, mięśnie ud znów lekko dygoczą - jak przy każdym, nawet najmniejszym wysiłku. Sięgam po ręcznik. Obracam się tyłem do lustra i próbuję zobaczyć, jak wyglądają pośladki. Są chyba jeszcze piękniejsze niż wczoraj: intensywniejsze kolory i bogatsza paleta, wszystkie odcienie czerwieni i fioletu. Kiedy przykładam ręcznik do tyłka, czuję miłe mrowienie. Mój oddech znów lekko przyspiesza. Osuszam ciało i delikatnie wsuwam tampon, sznureczek upycham między wargami. Nacieram wciąż wilgotną skórę orientalnym olejkim. Jestem naprawdę piękna... Rozgrzana i pachnąca.

Zamierzam sięgnąć po szlafrok, gdy nagle słyszę jakiś odgłos... Zamieram ze strachu.

Ktoś chodzi po apartamencie.

Serce wali jak oszalałe i pcha się do gardła.

„Spokojnie, nie panikuj...” Na moment zamykam oczy.

Szybki rzut oka na blat umywalki i od razu oddycham z ulgą. JEST! Na szczęście wzięłam ze sobą służbową komórkę. Oceniam odległość do drzwi. Są solidne i na pewno sporo wytrzymają, niestety nie zamknęłam ich na klucz.

Gdy ruszam w kierunku drzwi, ten ktoś, kto panoszy się w moim mieszkaniu, dobiega i otwiera je gwałtownym szarpnięciem.

Na ułamek sekundy cały świat staje w miejscu...

Rzucam się na mężczyznę. Kiedy jego opiekuńcze ramiona mnie obejmują, wybucham histerycznym płaczem. Uderzam pięściami w muskularną pierś i szarpnięciem za koszulę.

- Tak mnie wystraszyłeś!!! Boże!!! Tak mnie wystraszyłeś!!! - W końcu opieram czoło o tors i dopiero gdy słyszę bicie serca i czuję znajomy zapach, trochę się uspokajam.

- Mel... - Adam tuli mnie w ramionach. - Spokojnie... To tylko ja.

- Wystraszyłeś mnie!! - Płaczę, wtulona w jego ciepłe ciało. - Myślałam, że to jakiś włamywacz!

- Przecież wiesz, że mam klucz. - Przyciska mnie mocno. - Sama mi go dałaś.

- Zapomniałam! - Wkurza mnie jego spokój. - Nie rozumiesz? Zapomniałam! Dlaczego nie zadzwoniłeś?! Mogłeś mnie uprzedzić! A poza tym co ty tu robisz?! - Ciągle jestem zła i nie mogę się opanować.

- Dzwoniłem do Lizy, powiedziała, że jesteś chora, więc przyjechałem.

Twoja komórka nie odpowiada.

Biorę głęboki wdech. No tak, wczoraj wyciszyłam telefon i zostawiłam go w torebce. Pozamiatane. Jestem idiotką.

- Co ci jest? - Adam odsuwa mnie na odległość ramion. Widzę, że jego zaniepokojone spojrzenie wędruje w kierunku wanny, ciągle jeszcze wypełnionej różową wodą, a później spoczywa na pudełku z tamponami. Wyraz oczu natychmiast się zmienia, przestają być lodowato błękitne i czujne. - Masz miesiączkę? - Teraz skupia wzrok na mojej twarzy.

- Tak - wykrztuszam.

- Od kiedy?

- Od wczoraj. - Przetykam ślinę. Chyba popełniłam błąd, nie informując o tym, bo widzę, że źrenice mojego faceta znów się zwężają.

- Dlaczego nie powiedziałaś?!

Opuszczam głowę. „Nie chyba, a na pewno popełniłaś błąd, panno Duvall...” Kręcę głową na myśl o własnej głupocie.

- Czy to stąd te plamy w korytarzu?

- Uhm...

- I w taksówce też? - Adam przez moment wydaje się nieco rozbawiony, kąćki jego ust lekko się unoszą, a głos łagodnieje.

„W taksówce? Śledził mnie?...” - zachodzę w głowę, ale nawet nie próbuję pytać, skąd wie.

- Coś ci jeszcze dolega? - Widzę, że sięga po szlafrok, wiszący tuż obok drzwi.

- Nie. W nocy miałam lekką gorączkę, ale przeszło po kąpiel. - Poddaję się bezwolnie jak lalka, gdy mnie ubiera.

- Co to za leki przy łóżku?

- Przeciwbólne.

- Co cię boli? - Adam zawiązuje pasek szlafroka.

- Teraz już nic, a wczoraj brzuch, zawsze tak mam na początku miesiączki.

- Rozumiem. Chodź. - Chwyta mnie za ramię i prowadzi do sypialni.

Docieram na miejsce na trzęsących się ze strachu i wysiłku nogach. Mój chłopak sięga po poduszkę, składają na pół i kładzie na środku materaca.

- Połóż się na brzuchu.

Posłusznie wykonuję polecenie. Wtulam twarz w pościel, wyciągnięte ręce krzyżuję przed głową. Nie mam pojęcia, co Harding planuje, i to mnie podnieca. Znów czuję przyływ adrenaliny, choć ciągle buzuje w moich

żyłach ta, która pojawiła się w łazience. W cipce pojawia się nieznośne mrowienie.

- Poczekaj. Muszę zadzwonić.

Słyszę dźwięk jakiejś muzyki w telefonie. Nie mogę rozpoznać, co to za utwór, bo Adam odszedł od łóżka.

- Halo... To ja... Tak... Wszystko OK.... Miałaś rację, dzięki... Wyślę czek. - Krótkie parsknięcie. - Trzymaj się.

Umieram z ciekawości, kim była tajemnicza kobieta po drugiej stronie słuchawki, ale gdy mam zamiar odwrócić głowę, mój kochanek podchodzi do łóżka. Buty z głuchym stukiem uderzają o podłogę.

Czekam.

Adam klęka okrakiem nad moimi udami. Jest tak ciężki, że materac ugina się pod naciskiem kolan i wypycha mój tyłek jeszcze wyżej. Przez chwilę nic się nie dzieje. Ta nieznośnie ciągnąca się przerwa sprawia, że zaczynam delikatnie drżeć. Pragnę dotyku, chcę poczuć w sobie mężczyznę.

Fala ciepła przyływa, gdy tylko opuszki palców stykają się ze spragnioną skórą. Adam podnosi brzeg szlafroka i odsłania mój tyłek. Mam tak wyostrzone zmysły, że nie tylko słyszę ciężki oddech kochanka, ale i czuję ciepło powietrza muskającego ciało. Chłodne dłonie kładą się na rozpalonych szczytach pośladków. Kiedy palce mocno się zaciskają, z moich ust wydobywa się głośny jęk. Jest jak wczoraj, ale teraz to nie ja wykonuję masaż.

Jestem coraz bardziej rozpalona, odruchowo dźwigam wyżej miednicę. Sekundę później czuję jeszcze mocniejszy uścisk. Nabieram powietrza, doznanie jest tak silne, że aż dławi w piersiach.

- Czy to cię boli? - słyszę zachrypnięty głos.

- Tak. Bardzo.

- A teraz? - Palce wbijają się w obolałe mięśnie.

- Tak. Bardzo mnie boli... - Oddycham szybko. Zaczynam lekko unosić i opuszczać biodra. Wahnięcia są minimalne, najwyżej cal. - Proszę...

- Powiedz, czego chcesz? - Mój kochanek napiera coraz mocniej. Pod spodniami, które ocierają się o cipkę, czuję twardego fallusa.

- Błagam. Zerznij mnie... - jęczę coraz słabiej. Nie mam na nic siły. Jestem jednym wielkim pieprzonym pragnieniem.

Adam lekko się przechyla, słyszę dźwięk otwieranej szuflady. Odruchowo zaciskam mięśnie, gdy zimny żel trafia w okolice drugiej

dziurki. Wsłuchuję się w ciche odgłosy dobiegające z za pleców: metaliczny szcęk klamerki paska, szelest koszuli wyciąganej ze spodni, ciche pstryknięcia guzików. Coś lekko dotyka zwieracza, nie wiem, czy to penis. A może palec? Próbuję sama nasunąć się biodrami, ale Adam nie pozwala. Chwyta mnie mocno za pośladki i trzyma w żelaznym uchwycie swoich wielkich dłoni. Już wiem, co drażni spragnioną dziurkę.

- Zerznij mnie... - ponawiam prośbę.

- Dlaczego wczoraj ukryłaś prawdę?

- Bałam się, że mnie nie ukarzesz - odpowiadam natychmiast. Nie mogę wytrzymać, płonę z pożądania.

- Co robiłaś w nocy, zanim do mnie zadzwoniłaś?

- Pieściłam się.

Czuję, jak palce mojego kochanka zaciskają się i miażdżą obolałą skórę.

- Miałaś orgazm? - Tak.

- Jak to robiłaś?

- Jak ty teraz.

- Tak?

Uścisk jest tak mocny, że aż odbiera mi mowę. Niemrawo potakuję głową. I gdy już prawie tracę rozum i nadzieję na spełnienie, fallus Adama wchodzi gwałtownie w moją dziurkę i wypełnia mnie całą. Z ust wydobywa się jęknięcie. Ból przelewa się od pośladków do szczytu głowy. Kolejne pchnięcie jest chyba jeszcze mocniejsze, zagryzam zęby na poduszce i wtedy Adam serwuje ostatnie, które zdołam przetrwać, zanim...

Krzyczę, a potem znikam gdzieś w czasoprzestrzeni, gdzie jestem tylko ja i moja rozkosz, targająca całym ciałem.

Nie wiem, kiedy odzyskuję świadomość. Gdy otwieram oczy, widzę przed sobą twarz ukochanego mężczyzny. Spogląda na mnie, a jedyne, co dostrzegam w głębi czarnych źrenic, to miłość. Czuję suchość w ustach. Przelykam ślinę.

Adam nachyla się i całuje mnie w głowę, a później podnosi się z łóżka i podciąga spodnie.

- Możesz już to wyjąć. - Wskazuje brodą prowizoryczną podporę mojego brzucha.

Posłusznie wyciągam poduszkę spod bioder. Rzucam kontrolnie okiem, czy jest czysta. Na białej bawełnie widać tylko parę mokrych plamek. To chyba sperma. Przytulam twarz do tego miejsca.

- Zaraz wracam. - Adam wychodzi z sypialni. Jest w łazience. Woda lekko szumi w rurach. Zapada cisza, a potem słyszę zbliżające się kroki bosych stóp.

Po chwili mój facet znów jest w pokoju, staje przy brzegu łóżka. Obracam głowę, żeby go widzieć. Rozpina pasek i wyjmuję go ze spodni jednym, mocnym pociągnięciem. Wiem, że jestem we własnej sypialni i że raczej (no właśnie: raczej...) nie dostanę drugiego lania w ciągu doby, ale i tak odruchowo zagryzam wargi.

Mój prezent łąduje na dywanie, tak samo jedwabny krawat. Telefon i portfel trafiają na szafkę nocną. Adam kładzie się obok mnie.

- Jestem śpiący - stwierdza i po prostu zamyka oczy.

- Zdejmij ubranie. - Martwię się, że będzie mu niewygodnie.

- Nie.

Minutę później ten piękny mężczyzna śpi jak zabity.

Śpi u mnie! Wreszcie...

Upajam się widokiem brązowych rzęs, które rzucają delikatny cień na policzki, blado- malinowych ust, lekko poruszających się skrzydełek nosa i coraz słabiej pulsującej żyłki na czole.

Czuję, że niestety muszę zakończyć tę ucztę i w trybie pilnym powędrować do łazienki. Podnoszę się jak najostrożniej, nie chcę zbudzić mojego gościa. To niełatwe, bo nie jestem dziś w najlepszej kondycji, ale jakoś udaje mi się zwlec z łóżka. Zanim opuszczę pokój, przykrywam nogi Adama cieniutką kołdrą i zasuwam rolety. Mój wzrok pada na komórkę. Waham się przez moment, ale w końcu zabieram ją ze sobą, kładę na szafce w salonie i ponownie idę się wykąpać.

Melanię intryguje to już od jakichś dwóch tygodni. Od kiedy jest z Adamem, on zawsze dzwoni w południe. Punktualnie co do minuty. Kobieta podejrzewa, że jej partner ustawił sobie albo przypominać, albo stałe połączenie o tej godzinie. W grę wchodzi również najbardziej satysfakcjonująca opcja, czyli pamięć o swojej dziewczynie. Panna Duvall chce to sprawdzić. Zasiada w salonie i jak zahipnotyzowana wpatruje się w ekran komórki leżącej na ławie. Do dwunastej brakuje zaledwie pięciu minut.

Nadal jest ubrana wyłącznie we frotowy szlafrok i skąpe majteczki. Od opuszczenia sypialni upłynęły niecałe trzy godziny. W tym czasie Mel wzięła prysznic, zjadła obfite śniadanie, przejrzała pobieżnie internetowe wydanie „NYT”, wypita małą kawę oraz pomalowała paznokcie u rąk i stóp pięknym

pastelowym lakierem w różowym odcieniu. Jeszcze nigdy jej manicure nie miał takiego koloru, zawsze używała wyłącznie czerwieni - i ta odmiana ją zachwyca.

W międzyczasie oczywiście zajrzała do sypialni. Od momentu, kiedy zasnął, Adam nawet nie zmienił położenia. Ciągle śpi na brzuchu i trzyma poduszkę, która spoczywa pod obróconą na bok głową.

Jest za trzy dwunasta, gdy telefon zaczyna lekko wibrować, trwa to może dwie sekundy.

SMS!

- Mam cię - cicho mamrocze Melania.

Jest trochę rozczarowana, sądziła, że Harding nie musi mieć ustawionego przypomnienia, aby do niej zadzwonić. Już ma odnieść komórkę na szafkę w holu, ale z bliżej nieokreślonych powodów przeciąga palcem po dotykowym ekranie. Może to zwykła ciekawość, a może intuicja.

Zostawiłeś u mnie marynarkę. A.

Panna Duvall bierze gwałtowny wdech i dopiero pod dłuższej chwili wypuszcza powietrze ustami.

„Spokojnie. To o niczym nie świadczy. Spokojnie...” Jak zahipnotyzowana wpatruje się w te kilka słów. Wiadomość nadano z numeru xxxxxxx3333.

Opuszka palca znów dotyka szybki. Melania zamyka wiadomość. Wie, że będzie miała kłopoty. Adam na pewno się zorientuje, że zaglądała do jego komórki, więc nie ma nic do stracenia. Otwiera listę wybieranych połączeń. Ostatni numer to ten, z którego wysłano SMS- a. Zapamiętała charakterystyczną końcówkę. Adam dzwonił do tajemniczej dziewczyny również około piątej rano.

„Wyślę czek...” - co to może oznaczać? Dla panny Duvall odpowiedź jest prosta, ale żeby się upewnić, przepisuje numer do wyszukiwarki. Gdy otwiera stronę, czuje, że wszystko w niej umiera. Żal tak mocno ściska gardło, że Mel przez chwilę nie może zaczerpnąć powietrza. Opuszcza klawisz komputera, nie potrafi znieść tego, co przed sekundą widziała na monitorze.

- Nie będę płakać, nie będę płakać... - powtarza, przetykając ślinę i napływające łzy.

Podnosi się i staje z zamkniętymi oczami, palce odruchowo zaciskają się w pięści. Minutę później kobietę rozsadza jedynie czysta wściekłość, wyprodukowana przez ocean żalu, który prawie ją pochłoniął przed chwilą.

Panna Duvall powoli idzie do sypialni, zatrzymuje się przy łóżku i patrzy na śpiącego spokojnie kochanka.

Wszystko się poukładało.

Brak marynarki.

Tajemnicza rozmowa przez telefon.

Czek.

Ubranie pozostawione po to, aby zakryć ślady po zabawie z domina Angeliką.

Zmęczenie.

Melania sięga po pasek i bierze mocny zamach.

Świst, a ułamek sekundy później głośny trzask.

Brzeg paska dociera do skóry pokrywającej umięśnione plecy Hardinga.

Mężczyzna podrywa się gwałtownie. Jest kompletnie zdezorientowany, jego serce wali jak oszalałe. Wyrwany z głębokiego snu, nie może pojąć, co się stało. Czuje na plecach przeraźliwe pieczenie. Dopiero po kilku sekundach zaczyna normalnie widzieć.

- Mel? - Harding nie może uwierzyć w to, co zobaczył.

Jego kochanka stoi przed łóżkiem, w ręce trzyma pasek. Jest trupioblada, trzęsie się jak w febrze i ciężko oddycha.

- Co ty robisz?! - krzyczy Adam, próbując zrozumieć. - Wystraszyłaś mnie!!! To jakiś pieprzony odwet za rano?! - Tylko takie wytłumaczenie przychodzi mu do głowy. - Jesteś nienormalna?!

- Przecież... ty to lubisz. - Melania z trudem wykrztusza z siebie te kilka słów. - Płacisz za to.., - Nagle rzuca pasek i wybiega z sypialni. Wpada do łazienki, zatrząskuje za sobą drzwi i przekręca klucz.

Umieram.

Upadam na lodowatą posadzkę. Czuję, jak żołądek pochodzi mi do gardła. Wymiotuję, torsje są tak gwałtowne, że przez chwilę duszę się własnymi rzygami. Są wszędzie, lecą z nosa i ust. Wszystko jest nimi pokryte: podłoga, szlafrok, moje ręce i włosy.

- Otwórz drzwi! - Słyszę, jak Adam szarpie za klamkę.

Znów mam przed oczami dziewczynę w czarnym kostiumie. Wyobrażam sobie nagiego Adama i dominę smagającą go pejcem aż do krwi. Kolejne szarpnięcie opróżnia mój prawie pusty żołądek. Biorę kilka głębokich wdechów, jest mi słabo i kręci się w głowie. Kładę się i ostatkiem sił dźwigam nogi. Opieram je o brzeg wanny.

- Melanio! Natychmiast otwórz drzwi!

Nie mam nawet uncji energii. Nie mogę nic zrobić. Jedyne, co w tej chwili zajmuje moją głowę, to pytanie, jak długo wytrzymają drzwi łazienki. Liczę, że zanim Adam je sforsuje, umrę, leżąc na posadzce w kolorze oczu niewiernego kochanka. „Jesteśmy kwita. Wprawdzie cię nie zdradziłam, le niewiele brakowało, za to ty dzisiaj wyrównałeś rachunki nawiązką - kolejna myśl leniwie przepływa między jednym a drugim oddechem. - Czy wszyscy tacy jesteście? Zakłamani? Ty, Rob? Co za hipokryzja... Odszedłeś od Nadii, bo cię zdradziła, a teraz co zrobiłeś i z kim?!".

- Otwórz drzwi!

„Nie boję się ciebie...” Kąciki ust lekko się unoszą.

Adam chyba dał za wygraną. Nic nie słyszę. Może bierze rozbieg i wykopie drzwi z futryn, jak ci wszyscy komandos w filmach sensacyjnych? Jeśli tak zrobi, z pewnością rozwali mi czaszkę. Leżę jakieś sześć stóp od progu. Waga drzwi? Sześćdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt funtów. To plus Adam? Grubo ponad dwie setki. Głowa pęknie jak orzeszek.

- Mel?!

„Oho! Wrócił mój uległy Adonis. Ciekawe, czy miał orgazm, gdy go lała”.

- Dlaczego grzebałaś w mojej komórce?!

„Ja pierdolę. Ma tupet, trzeba mu przyznać. Puścił się z jakąś dziwką, a teraz burzy się o to, że przeczytałam jednego króciutkiego SMS - a?”

- Bo mi się, kurwa, chciało... - odpowiadam po chwili. Chyba trochę mi przeszło, znów mogę mówić. Wprawdzie dość cicho i nieco jękliwie, ale dobre i to.

- Słucham?

- Pierdol się - chichoczę. - Jak chcesz, w drodze rewanżu pogrzeb w moim laptopie. Polecam.

Po drugiej stronie drzwi znów zapada cisza.

- Mel. Proszę, otwórz - słyszę po minucie. Tym razem głos jest wyjątkowo spokojny.

- Bingo - mamroczę do siebie. - Jak było?!

- Rozmawialiśmy. Nie dotknąłem jej.

- Możliwe. Za to ona dotykała ciebie. - Staram się mówić na tyle głośno, żeby dobrze mnie zrozumiał. - Czym dostałeś? Pejczem? Musiało być zajebiście, skoro z wrażenia zapomniałeś marynarki. Spuściłeś się na twarz

tej dziwki czy ci nie pozwala? Wnioskuje, że często się spotykacie, bo udzieliła ci kredytu kupieckiego.

- Proszę ostatni raz, żebyś otworzyła drzwi. Masz minutę.

- I co teraz? - pytam, gdy upływa wyznaczony czas. Po drugiej stronie nastaje cisza.

Adam chyba poszedł, bo zza drzwi nie dobiega nawet szmer.

- *Dont acte**... - Jestem w stanie wydusić z siebie tylko dwa słowa.

A potem czuję dwie łzy spływające po skroniach. I to już koniec. Opuszczam powieki.

Zasnęłam?

Otwieram oczy i zerkam na zegar: druga po południu. Unoszę się powoli na przedramionach. Chyba wszystko mi przeszło. Ostrożnie siadam. Jest dobrze.

Ścieram podłogę papierowymi ręcznikami. Sprzątanie mnie uspokaja. Pieczołowicie, z aptekarską dokładnością usuwam każdy ślad z lśniącej posadzki. Wypuszczam wodę z wanny i polewam ją środkiem do czyszczenia, znalezionym w narożnej szafce. Gdy spłukuję zielonkawy płyn, w powietrzu unosi się zapach sterylnej czystości. Jak w grze komputerowej: od razu zdobywam kolejne punkty zadowolenia.

Staję przed lustrem. Wyglądam koszmarnie. Włosy, szlafrok - wszystko upačkane zaschniętymi wymiocinami. Zwijam brudny ciuch w kłębek i wrzucam go do pojemnika. Szybko wchodzę do kabiny i spłukuję z siebie pozostałości śniadania. Mam czyste ciało i pustą głowę. Zupełnie jakbym wymyła mózg środkiem do czyszczenia i dezynfekcji toalet. Nie ma nic, myśli, emocje zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zakładam nowy tampon i bieliznę. Wyciągam z półki jedwabny szlafrok. Wychodzę, zostawiając za sobą zapach czystości i pustki.

Co tu robisz? - Na twarzy Melanii, która właśnie stanęła w progu sypialni, maluje się sztuczna obojętność.

- Czekałem na ciebie. - Adam podnosi głowę z poduszki i siada.

- Chyba miałeś być na spotkaniu z tym oficerem, jak mu było? Verdi? - Kobieta nagle przypomina sobie o umówionej wizycie Hardinga na posterunku policji.

- Vetri. Przełożyłem na inny termin - odpowiada mężczyzna stanowczo, ale i bardzo grzecznie.

Panna Duvall przechodzi przez pokój i staje oparta plecami o wąską

betonową kolumnę między drzwiami szafy.

- Nie rozumiesz, że to koniec? - Z niedowierzaniem kręci głową. - Gdyby to była jakaś inna kobieta, może... ale nie prostytutka. Brzydzę się tobą.... - Na chwilę zakrywa twarz rękami.

- Jeszcze raz powtórzę: nic między nami nie zaszło. Pojechałem do niej, żeby porozmawiać. I tylko tyle.

* Formuła zamykająca akt notarialny lub inny dokument, definitywnie kończąca jego treść.

- Porozmawiać? - Melania parska śmiechem. - 1 o czym tak rozmawialiście?

- Nieważne.

- Uhm. To jakiś twój doradca od wizerunku? Lubisz ciuszki ze skaju? Taksówkarza też opłaciłeś, żeby mnie śledził? Prywatny detektyw, prawda? - Kobieta nie może uwierzyć w swoją naiwność. –

Naprawdę doskonale się kamufluje. Szczerze mówiąc, myślałam, że nie jesteś zazdrosny, a tu taka niespodzianka. Osobisty anioł stróż! Komu jeszcze płacisz, przyznaj się!

- Podejź tu.

- Nie. Proszę, wyjdź stąd i zapomnij o mnie.

- Podejź tu! - Nie.

- Melanio, podejź do mnie. Proszę.

- Nie. Czy nie możesz dać mi spokoju?

Adam wstaje i zbliża się do Melanii. Przez chwilę mierzą się wzrokiem.

- Posłuchaj. Nie zdradziłem cię i nie zamierzam, jestem monogamistą. Przyjechałem tu starym fordem prowadzonym przez kolesia w śmiesznej, pasiastej czapce. Opowiedział mi o tobie i pokazał plamę na tapicerce. To był zwykły zbieg okoliczności, że na niego trafiłem. Zapomniałem zabrać marynarkę, bo spieszyłem się, aby jak najszybciej tu dotrzeć. Nie pozwoliłbym żadnej kobiecie się uderzyć, mężczyźnie zresztą też. Tobie się udało, bo spałem. To był pierwszy i ostatni raz.

- Nie wierzę ci. - Panna Duvall opuszcza wzrok. Widzi lekko unoszącą się klatkę piersiową mężczyzny. Bije od niego znajomy zapach, który zawsze tak na nią działał i chyba ciągle działa, mimo to kobieta stara się nie stracić opanowania. - Zdejmij to. - Dotyka palcem brzegu czarnego materiału. - Chcę mieć dowód, że ona cię nie dotknęła.

- Zgoda. - Harding łapie ją za nadgarstek. - Ale za chwilę, bo teraz coś ci

powiem. Będiesz mogła sama ją zdjąć, lecz będzie to oznaczać, że zgadzasz się na kontynuację naszego związku na nowych warunkach co do punktu drugiego.

- Jakich?

- Za każde kolejne złamanie zasad będę cię karał, kiedy chcę, gdzie chcę i jak chcę. Ukarzę cię również za wszystko, co wydarzyło się od momentu ostatniego lania do tej chwili: za zatajenie prawdy, masturbowanie się, przekleństwa, szperanie w moim telefonie, kilkukrotną odmowę wykonania polecenia i na koniec za to, że mnie uderzyłaś - wymienia, dobitnie akcentując każde słowo. - Byłaś nieposłuszna, nieufna i podejrzliwa. Obraziłaś mnie zbyt dużo razy, abym mógł puścić to płazem. Czy taki układ ci odpowiada?

Kobieta spogląda w lodowato błękitne oczy kochanka. Domyśla się, że mówił prawdę.

- Co się stanie, jeżeli nie zgodzę się na takie warunki? Nie zdejmiesz koszuli? - próbuje negocjować.

- Zdejmę, ale to będzie ostatni raz, gdy zobaczysz mnie bez niej. - Harding puszcza delikatną rękę Melanii i robi krok do tyłu.

Panna Duvall zagryza wargi. Wie już, że odmowa jest równoznaczna z rozstaniem. Mija minuta: sześćdziesiąt sekund rozważania, czy jest w stanie zrezygnować ze znajomości z tym fascynującym człowiekiem.

- Dobrze. Zgadzam się na twoje warunki. - Spuszcza głowę.

- Możesz zdjąć koszulę.

- Nie chcę.

- Ufasz mi? - Adam zbliża się i palcem delikatnie unosi podbródek swojej dziewczyny.

- Tak.

- Pocałuj mnie.

Melania obejmuje go drżącymi z przejęcia rękami.

- Przytul mnie mocno - prosi załamującym się głosem chwilę po tym, jak jej usta odrywają się od ciepłych warg kochanka.

- Czy ja też mogę cię o coś prosić? - szepczę, gdy już tkwię w silnym uścisku jego ramion.

- Tak.

Czuję, jak Adam przykładła policzek do moich włosów. Ten drobny gest jeszcze bardziej mnie ośmiela. Muszę zaryzykować, to bardzo ważne. Nie

wytrzymałabym powtórki z dzieciństwa: cichych dni ciągnących się tygodniami, bycia kimś niewidzialnym i niesłyszalnym, pomijanym jak trędowaty.

- Zniosę wszystko, tylko nie karz mnie obojętnością, milczeniem i pogardą. Możesz ze mną uczynić, co tylko chcesz, ale błagam: nigdy mnie nie odrzucaj.

- Nigdy tego nie zrobiłem i nie zrobię. Przysięgam.

- Dziękuję.

Przez chwilę tkwimy spleceni w mocnym uścisku. Moje serce zalewa wdzięczność. Czuję się tak bardzo bezpieczna i tak nieprawdopodobnie szczęśliwa.

- Chciałabym sprawić ci rozkosz. Pozwól mi na to. Mogę?

- Tak. W salonie.

Delikatnie wydostaję się z jego objęć. Razem wchodzimy do pokoju. On siada na fotelu, a ja klękam. Gdyby mi teraz kazał wylizałabym wszystko, nawet jego buty. Rozpinam klamerkę paska i guziki spodni, delikatnie odsuwam brzeg bokserek.

- Poczekaj.

Podnoszę wzrok na mojego mężczyznę.

- Zdejmij szlafrok. Chcę cię widzieć.

Posłusznie wykonuję polecenie. Jedwabna tkanina opada wokół kolan.

- Jesteś piękna. - Adam przeciąga kciukiem po mojej piersi. Czuję dreszcz. Pragnę tego faceta, jestem mokra i marzę, żeby znów mnie wziął, ale chyba nie zasłużyłam.

- Dziękuję. - Z pokorą schylam głowę.

Jego dłonie błądzą po moich uszach i szyi. Palce wsuwają się we włosy i zaciskają w mocnym uchwycie.

- Weź go całego, moja słodka Mel... - Adam przyciąga moją twarz.

Zamykam oczy, żeby lepiej czuć i smakować. Rozchylam wargi i otulam nimi gorącą skórę. Fallus dociera do końca gardła, uderza rytmicznie o miękkie podniebienie. Oddycham między kolejnymi pchnięciami, chcę zrobić to najlepiej, jak potrafię. Ślina wylewa się kącikami przy każdym wysunięciu, język drga z wysiłku, gdy przejeżdżam nim po żołądździ.

Pierwszy raz w życiu to nie ja robię laskę facetowi, tylko jestem pieprzona w usta. To tak podniecające, że gdyby ktoś dotknął teraz mojej łechtaczki, doszłabym szybciej niż Adam. Oddycham coraz mocniej, boję się, że odpłynę. Żeby tak się nie stało, otwieram oczy i próbuję podnieść

wzrok na twarz kochanka - i właśnie w tym momencie on dociera na szczyt. Penis drga, wyrzucając z siebie kolejne porcje nasienia, które chciwie łykam. Zlizuję kropelki spermy z każdego zakamarka skóry, z każdej najdrobniejszej fałdki. Dopiero gdy już wszystko znika w moich ustach, pozwalam sobie położyć głowę na męskim udzie.

- Dziękuję ci. Naprawdę sprawiłaś mi przyjemność, było niesamowicie - Adam głaszcze mnie po policzku (chciałabym, żeby ta pieszczota trwała w nieskończoność). - Chodź tu, - Sadza mnie bokiem na swoich kolanach i obejmuje. - Jesteś tylko moja. Należysz wyłącznie do mnie.

- A ty jesteś moim Panem - szepczę mu do ucha.

- Morris dzwonił przed chwilą. Najpóźniej w środę musimy się pojawić w Fargo, w północnej Dakocie. Parę dni nam zejdzie. - Adam wsuwa nos w lekko wilgotne włosy Melanii, która przed chwilą wróciła z łazienki.

- Mogę spytać po co? - Panna Duvall poprawia pasek szlafroka.

- Podpisuję trzyletni kontrakt na zakup nasion pszenicy, lecz jeśli chcesz, przełożę wyjazd.

- Nie, ale dziękuję, że spytałeś.

- Na pewno? Niepokoję się o ciebie. - Harding delikatnie chwyta i obejmuje kobietę.

- Naprawdę nic mi nie jest. Chyba nigdy w życiu tak dobrze się nie czułam. - Mel opiera twarz o męską pierś, dźwięk miarowo bijącego serca uspokaja ją jak najłagodniejsza muzyka. - Jedź. Będę tęsknić, ale wytrzymam.

- Weź wolne do końca tygodnia.

- Wolę iść do pracy. Szybciej zleci mi czas, poza tym muszę nadrobić dzisiejszą nieobecność.

- Dobrze. - Kciuk Adama dotyka kącika jej oka i strzepuje maleńką rzęsę.

- Obiecuj, że nie będziesz się forsować: żadnych wizyt w klubie fitness, na basenie i w saunie. Nie chcę, żeby coś ci się przytrafiło.

- Obiecuję.

- Za chwilę będę musiał wyjść, za pięć godzin mamy samolot, zadzwonię z pokładu. Codziennie będę ci wysyłał maila.

- Dziękuję. Kiedy wrócisz?

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w sobotę rano będę na miejscu.

- Adam... - Melania zagryza wargi ze wstydu i skrępowania. Chce wiedzieć, kiedy otrzyma następną karę, którą jej Pan zapowiedział dwie

godziny temu, lecz boi się spytać.

- Tak?
- Kiedy to się odbędzie...? - Spuszcza wzrok.
- W sobotę?
- Obawiam się, że będę zmęczony.
- No tak. Nie pomyślałam.
- Popatrz na mnie. - Mężczyzna lekko unosi delikatny podbródek panny Duvall. - Obiecałem ci coś i słowa dotrzymam, a teraz przytul się, maleńka. - Melania pierwszy raz słyszy to słowo z ust Hardinga i robi się jej ciepło na sercu. To takie miłe, słodkie. - Do zobaczenia.
- Do zobaczenia, Adamie...

Piątek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem. Maile przychodzą codziennie. Adam prosi, żebym pisała o wszystkim, co robię, więc piszę: o pracy (głównie), o tym, że mój szef już nie przebywa w ośrodku opieki, bo zachorował i trafił do szpitala, o wyjściu z koleżanką (zakupy i kino), o tym, co jadłam na kolację, i o wielu mniej lub bardziej ważnych sprawach. Gadamy, jakby nic się nie stało. On jest miły i serdeczny, mówi do mnie ciepłym głosem, ale i tak pierwsze kilka słów za każdym razem wywołuje dreszcz.

Z dnia na dzień napięcie rośnie.

Nie zapominam o tym, co się wydarzyło (pośladki ciągle bolą przy mocniejszym dotyku) i co ma się wydarzyć. Siniaki powoli zmieniają kolor, tu i ówdzie pojawiają się żółto - fioletowe podbiegnięcia. Codziennie podziwiam się w lustrach.

Wysypiam się regularnie i dbam o siebie. Choć mój ukochany jest daleko, czuję się bezpieczna.

Telefon zaczyna lekko wibrować.

- Halo, witaj, Adamie. - Cicho przełykam ślinę.
- Witaj, Mel. Niestety nie mogę długo rozmawiać. Bardzo mi przykro.

Słyszę jego głos jak przez filtr. Chyba dzwoni z miejsca, gdzie jest sporo ludzi. Może z jakiejś sali konferencyjnej?

- Rozumiem.
- W ciągu dwóch godzin powinien odwiedzić cię kurier. Przyniesie paczkę, w środku znajdziesz kilka rzeczy i kartkę z informacją, co masz z nimi zrobić. Zastosuj się do tego.
- Dobrze.
- Zobacysz mnie jutro, a teraz się pożegnaj. Całuję.

- Ja też cię całuję. Pa.

Siedzę jak na szpilkach. Jest trzynasta dwadzieścia osiem, gdy chłopak ubrany w firmową koszulę ze znaczkiem Fedex wkracza do biura. Kwituję odbiór niewielkiej przesyłki, a gdy zostaję sama, proszę Lizę, aby przez następny kwadrans nikt mi nie przeszkadzał.

Rozcinam folię i ostrożnie otwieram karton.

Witaj, Maleńka.

W paczce znajdziesz sukienkę, płaszcz, bieliznę i torebkę.

Proszę, abys pod żadnym pozorem nie otwierała torebki. Telefon, klucze i portfel możesz włożyć do bocznej kieszeni.

Założ na siebie wszystkie rzeczy.

O dwudziestej pierwszej mój kierowca (Marcus Copley) zabierze Cię z domu i odwiezie pod wskazany przeze mnie adres. Spędzisz tam dwie godziny, a później razem z nim wrócisz do mieszkania.

Proszę, abys w trakcie wizyty bezwzględnie stosowała się 1 do poleceń gospodarza.

To wszystko. Życzę Ci miłego wieczoru.

Adam

Dwukrotnie czytam list, wydrukowany na kremowym papierze. Odkładam kartkę i rozwijam szeleszczącą bibułę...

W białej sukience z naturalnego jedwabiu wyglądam naprawdę pięknie. Kiecka ma prosty fason, jest zebrana w pasie atłasowym sznureczkiem wiązonym z tyłu i tak cieniutka, że można przeciągnąć ją przez obrączkę, podobnie jak oryginalny kapelusz Panama. Komplet z bordowej satyny (mocno wykrojony stanik z usztywnianymi miseczkami i stringi) prześwituje przez delikatną tkaninę, jakbym nie miała na sobie nic oprócz niego. Pewnie dlatego przed wyjściem muszę założyć krótki czarny płaszcz z matowego płócienka.

Jest jeszcze torebka: prostokątny kuferek od Armaniego, uszty z lakierowanej skóry, z niewielką kieszenią z boku. Wkładam do niej telefon, portfel i paczkę chusteczek higienicznych.

Nie wiem, jakie buty założyć. W końcu decyduję się na ulubione szpilki w cielistym kolorze. Znow podziwiam się w lustrze i nagle coś się dzieje. „Diabeł zakręcił ogonem” - tak to mówiła moja babcia? Szybko rozpinam stanik, wprawnym ruchem przeciągam rękę pod ramiączkiem, potem drugą i sekundę później „górny element bielizny” (że pojedę moją braffitterką) opada

na posadzkę.

- Dzisiaj macie wychodne. - Delikatnie dotykam brodawek, które natychmiast stają na baczność.

Gdy wychodzę z domu, przy krawężniku stoi czarna limuzyna. Szofer czeka oparty o tylne drzwi. Gdy mnie dostrzega, natychmiast się prostuje.

- Dobry wieczór, panno Duvall. Nazywam się Marcus Copley i pracuję dla pana Hardinga.

- Dobry wieczór, Marcusie.

- Zapraszam. - Usłużnie otwiera mi drzwi.

Siedzę na wygodnej, szerokiej kanapie mercedesa, otulona cichą muzyką. To chyba jakiś utwór Bacha, na tle szumu silnika słyszę jedynie wiolonczelę. Zerkam przez okno, mam wrażenie, że jedziemy do mieszkania Adama. Gdy omijamy okolice Madison Avenue, zaczynam się troszkę denerwować. Na szczęście kilka minut później samochód się zatrzymuje i Marcus wysiada, żeby otworzyć mi drzwi.

- Proszę za mną, panno Duvall.

Docieramy do budynku, do złudzenia przypominającego ten, w którym znajduje się apartament Adama. Dom jest wysoki, z elewacją z ciemnej cegły i wąskimi schodami prowadzącymi do wejścia.

Wchodzimy po skrzypiących schodach na pierwsze piętro. Marcus naciska dzwonek. Drzwi, obite czarną skórą, otwierają się prawie natychmiast.

Kobieta, która stoi przed nami, ma na sobie kończącą się nad kolanami sukienkę w orientalnym stylu, ze stójką zapiętą pod samą szyją. Tunika z czarnego atłasu haftowanego w delikatne kwiatuszki jest tak piękna, że zapiera mi dech. Przenoszę wzrok na twarz dziewczyny. Kolejny zastrzyk estetycznych wrażeń: idealnie symetryczne rysy, pełne malinowe wargi, ciemne oczy, porcelanowa, gładka skóra. I jeszcze błyszczące włosy upięte wysoko w zgrabny koczek i przekłute długą szpilką z drewna. W pierwszej chwili nie poznaję tej tajemniczej brunetki, chyba przez strój i fryzurę, ale po kilku sekundach łączę fakty.

„Angelika.., Domina Angelika... - imię dziewczyny wyświetla się w głowie. - Przyjechałam do dziwki, aby mogła mi wymierzyć karę w imieniu mojego Pana... Boże! To nie dzieje się naprawdę”.

Czuję, jak uginają mi się nogi, na szczęście Marcus podpiera moje ramię. Bezwolna jak lalka, trafiam do środka.

- Będę czekał w samochodzie - rzuca kierowca lakonicznie do nie

wiadomo której z nas i wychodzi.

Zostajemy same. Jestem sparaliżowana ze strachu. Mimo że w wąskim korytarzyku jest dosyć ciepło, oblewa mnie zimny pot.

- Witaj. - Angelika nachyla się i bardzo delikatnie, prawie niewyczuwalnie muska wargami mój policzek. Od razu otula mnie zapach jej perfum. Wyczuwam oud, różę i kastoreum. To muszą być arabskie perfumy, ciężkie, trwałe, z wyraźną zwierzęcą nutą. Ogarnia mnie wstręt, a ona chyba to zauważa, bo natychmiast się odsuwa.

- Witaj - odpowiadam, zagryzając wargi. „To prostytutka! Zaraz się porzygam!”

- Daj torebkę i zdejmij płaszcz. - Angelika wyciąga rękę w oczekiwaniu.

„Mam gołe cycki? Czy tylko tak mi się wydaje? Spytam, może pożycz mi biustonosz. Pewnie wszystkie są z czarnego lateksu i obite ćwiekami. Niech to szlag! Ależ ze mnie kretynka!”- stadko idiotyzmów i płytkich refleksji galopuje przez pustostan, który zwę czasami moją głową. Już mam powiedzieć „nie”, ale natychmiast przypominam sobie polecenie z karteczki: „Bezwzględnie stosuj się do poleceń gospodarza”.

Staram się jakoś opanować, drżącymi rękami rozpinam trzy guziczki z macicy perłowej i po chwili podaję dziewczynie czarne wdzianko.

- Śliczna sukienka. - Szybki rzut oka na okolicę sutków i tyle.

„OK, odpowiada mi ta strategia, pani dominatorko. Obie udajemy, że mam biustonosz, to całkiem dobry kierunek...” Siedzę wzrokiem jej rękę, która wiesza płaszcz na metalowym haczyku tuż obok wielkiego lustra. Od razu zauważam, że na sąsiednim wisi marynarka, i moje ciało natychmiast przeszywa prąd. „On tu jest!” Biorę głęboki wdech, ale sekundę później następuje otrzeźwienie. „Przecież zostawił ją kilka dni temu...” Chcę poczuć zapach mojego Pana, teraz, natychmiast. Wiem, że doda mi odwagi, tak potrzebnej do przetrwania kary.

- Mogę dotknąć? - Wpatruję się w ciemnostalową tkaninę.

- Tak. - Angelika przyzwalająco kiwa głową.

Przeciągam palcami po gładkim materiale, zamykam oczy i przykładam nos do jednej z klap. Jestem odurzona znajomym aromatem. Umysł płata mi figla: tkanina wydaje się ciepła. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że marynarka przed chwilą była na ciele mojego mężczyzny. Marzę o tym, żeby rozchylić poły i wtulić się w satynowe wnętrze ubrania, ale nie mam śmiałości.

- Chodź - słyszę zza pleców.

- Poczekaj. - Opuszczam rękę i powoli się odwracam.
- Tak? - Kobieta spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.
- Ty masz to zrobić? - upewniam się. - On ci kazał?
- Co? - Jest wyraźnie zaskoczona.
- Ukarać mnie - rzucam po chwili.

Jestem zawstydzona do bólu, kiedy stoję przed nią prawie naga.

- Sądziś, że twój Pan pozwoliłby komukolwiek cię tknąć? - Uśmiecha się łagodnie.

- Nie wiem - odpowiadam szczerze. Nie mam pojęcia, co Adam zaplanował, ale pytanie Angeliki wlewa w moje serce kroplę nadziei.

- Zapamiętaj: żaden z nas, Panów, nie pozwala na to, żeby ktoś dotykał jego własności. Rozumiesz?

- Tak. Chyba tak... - Bez przekonania kiwam głową, w której tłucze się wyłącznie zlepek słów „Pan” i „własność”.

- Twój Pan nie jest wyjątkiem.

- Uhm... - Próbuję przybrać minę znawcy obyczajów wszystkich Panów na świecie. Do tej chwili czułam jedynie paniczną chęć ucieczki z tego straszego miejsca. Stwierdzam, że mogę być „własnością mojego Pana”, jeśli tylko uchroni mnie to przed łomotem z rąk Angeliki.

- Chodź. Liu już czeka.

Posłusznie idę za dziewczyną, oczywiście zachodząc w głowę, kto to Liu i po jakie лихо tu przyjechałam. Zatrzymujemy się przed uchylonymi drzwiami, które prowadzą do sporej łazienki.

- Wejdz.

- Nie potrzebuję...

Mam tak ściśnięte zwieracze, że nie wycisnęłabym nawet kropelki.

- Musisz umyć ręce. - Angelika lekko popycha mnie do środka.

Dwukrotnie namydlam i splukuję dłonie, równie dokładnie jak chirurdzy przed operacją. Nawet nie podnoszę wzroku, by zerknąć w lustro. Dobrze wiem, co bym zobaczyła: zarumienioną z wrażeń twarz i rozbiegane oczy.

Dziewczyna asystuje mi przy tej czynności i gdy zakręcę kurek z gorącą wodą, podaje czysty biały ręcznik.

- Zapraszam, chodź za mną. - Znów łagodnie się uśmiecha.

Przechodzimy przez dość długi i dobrze oświetlony korytarz. Angelika popycha drzwi. Nieśmiało wsuwam się za nią do ciemnego pomieszczenia. Najpierw uderza mnie zapach: woń skóry i arabskich olejków do masażu...

Podniecająca mieszanka unosi się w rozgrzanym, ciężkim powietrzu. Zaraz potem pojawia się dźwięk: orientalna muzyka śący się do uszu jednostajnym rytmem. Dopiero po chwili oczy przywykają do półmroku. Zaczynam widzieć wyraźnie i to, co dostrzegam, natychmiast przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Na środku prawie pustego pokoju spoczywa naga kobieta, ułożona pośladkami do góry. Jej tułów leży na wąskim stoliku, wspartym na czterech masywnych metalowych nóżkach. Nie widzę twarzy, bo głowa jest odwrócona w stronę okna, przysłoniętego ciemnymi aksamitnymi kotarami.

- To mój prywatny pokój. Jesteś jedną z nielicznych osób, które mogły tu wejść. Nasze spotkanie ma charakter osobisty i żaden z moich klientów nigdy nie uczestniczył w czymś takim. Tylko ze względu na prośbę twojego Pana jesteś tu dzisiaj z nami. Doceń to i pięknie mu podziękuj. A teraz poznaj Liu, moją dziewczynę. - Angelika lekko przeciąga dłonią po plecach kobiety. - Podejdź tu, Melanio.

Zbliżam się powoli.

- Chcesz jej dotknąć?

- Tak - odpowiadam odruchowo, nie mając pojęcia, skąd taka potrzeba. Nigdy nie interesowały mnie kobiety.

- Zrób to.

Nieśmiało wyciągam dłoń w stronę karku dziewczyny i odsuwam grube pasmo długich czarnych włosów, odsłaniając szyję. Czuję pod palcami aksamitną skórę, pokrytą prawie niewidocznym meszkiem. Kochanka Angeliki ma piękne ciało - jędrne i młode. Jest szczupła i niewysoka, z figury nieco podobna do mnie. Od karku do szczeliny między pośladkami biegnie delikatny tatuaż. To chyba gałązka drzewa wiśniowego? Filigranowy motyw odcina się od kremowego tła ostrą, ciemną linią. Przesuwam palcem wzdłuż głównej łodygi, a gdy opuszka dojeżdża do ostatniego kręgu, ciałem dziewczyny wstrząsa lekki dreszcz. Od razu zamieram w bezruchu.

- Nie bój się. - Angelika staje tuż za mną, chwyta moją prawą dłoń i zwija palce, zostawia jedynie wskazujący. Wodzi nim po skórze Liu, jakby uczyła mnie alfabetu Braille'a.

- Czujesz? - pyta, gdy docieramy do niewielkiego zgrubienia na lewym pośladku. Ma może półtora cala długości, jest prawie niewidoczne.

- Tak.

- To od pejcza. Jeszcze nie znałyśmy się tak dobrze i przecięłam jej skórę.

Natychmiast się wzdrygam.

- Bardzo bolało? - pytam po chwili.

- Na pewno, ale ona kocha ból zadawany przez swoją Panią.

Angelika puszcza moją dłoń, przechodzi przez pokój i staje tuż obok głowy dziewczyny. Sięga do mikroskopijnej szufladki ukrytej tuż pod blatem stolika i wyciąga jakiś przedmiot. To pierścionek. Wsuwa go na palec i zbliża do twarzy kochanki, a ta całuje miejsce, w którym lśni oczko.

- Co robisz? - Jestem zaintrygowana.

- Daję sygnał, że zaczynamy sesję.

- Rozumiem. - Przelykam ślinę. - To zawsze musi być pierścionek?

- Nie. Symbolem może być cokolwiek: element stroju, jakieś słowo, imię...

- Po co taki sygnał i dlaczego dopiero teraz go dałaś?

- Z reguły robię to znacznie wcześniej lub wcale, ale dzisiaj, ze względu na twoją obecność, nasza sesja wygląda nieco inaczej. Chciałam, żebyś zapoznała się z tym rytuałem. W świeżych związkach to na pewno przydatne rozwiązanie.

- Chodzi o ograniczenie układu „uległość i dominacja” wyłącznie do sfery seksu? - dopytuję.

- Mniej więcej, choć znam pary, w których taki układ funkcjonuje stale, również w tak zwanym normalnym życiu. Wymaga to jednak ogromnego zaangażowania emocjonalnego i zaufania, zwłaszcza w stosunku do dominującego partnera. Niektóre kobiety na co dzień nie tolerują pewnych zachowań. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Polecenia rzucone w trakcie seksu mają inny ciężar gatunkowy niż te w czasie niedzielnego śniadania?

- Dokładnie tak. Czasami w związkach są dzieci, wtedy też może powstać pewien problem. Musisz mieć to na uwadze - tłumaczy mi Angelika, spokojnie i z ogromną cierpliwością.

Czuję się jak na indywidualnym kursie z prywatnym trenerem.

- Dlaczego Liu się nie odzywa? Nie wolno jej? - zadaję kolejne pytanie.

- Może powiedzieć jedynie, że mnie kocha, ale stara się powstrzymać.

Angelika odwraca się i podchodzi do wąskiej szafy w rogu pomieszczenia. Otwiera dwuskrzydłowe drzwiczki, obwieszone od środka najróżniejszymi pejcami, paskami i rzemieniami.

- Poczekaj. - Zaciskam spocone z wrażenia dłonie.

- Tak?

- Szczerze mówiąc, chyba wystarczy mi teoria. Czy ja... muszę na to patrzeć?

- Nie chcesz? - Domina odwraca się i spogląda na mnie, przechylając głowę.

- Nie wiem - odpowiadam zgodnie z prawdą.

W moim umyśle walczą dwie frakcje: ciekawość i obawa. Do tego dochodzi narastające z każdą minutą podniecenie. Gdy tylko tu weszłam, poczułam, jak moja cipka robi się mokra, skóra na pośladkach mrowi, a lekko ocierający się o nią jedwab tylko potęguje wrażenia.

- Czego się boisz?

- Że zrobisz jej krzywdę.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem. - Znow się zagubiłam w swoich emocjach.

- Podejdź tu.

Staję przed rozchylonymi drzwiczkami. Szafa jest pełna rozmaitych erotycznych gadżetów, ale też przedmiotów, których przeznaczenia nie umiem się domyślić.

- Co to? - Wskazuję palcem dziwną uprząż ozdobioną na środku czerwoną piłeczką.

- Knebel. - Kiedy pada to słowo, od razu przytykam dłoń do ust. - Boisz się tego?

W milczeniu kiwam głową. Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie nawet słowa.

- Spokojnie. Nie użyję go, ale musisz odpowiedzieć, dlaczego tak się wystraszyłaś.

Z ulgą wypuszczam powietrze, biorę kilka głębokich wdechów i dopiero po chwili mogę wytłumaczyć, w czym rzecz.

- Od dziecka nie znoszę mieć niczego na szyi, nie lubię szalików ani golfów, sukienek wiązanych na karku... Jak mam zatkany nos, umieram, od razu się duszę i jest mi niedobrze. Tak samo fatalnie czuję się u dentysty, gdy zabieg trwa zbyt długo.

- Rozumiem. - Angelika kiwa głową. - Masz klaustrofobię?

- Uhm - przytakuję.

- Czy jeszcze czegoś się boisz?

- Chyba nie. - Wzruszam ramionami.

- Pokażę ci różne akcesoria, a ty powiesz, z których mam zrezygnować w

trakcie dzisiejszej sesji. Zgoda?

- Dobrze... Dziękuję za taką możliwość... - dodaje po sekundzie namysłu.

Zapada cisza. Obracam się i przez moment zerkam na leżącą za nami dziewczynę. Dłonie ułożyła po obu stronach obróconej bokiem głowy. Z tego miejsca wygląda, jakby spokojnie spała.

- Melanio... - Angelika przywołuje mnie do porządku.

- Tak? - Skupiam wzrok na zawartości mebla. - Wszystko, co tu widzisz, służy wyłącznie do karania

Liu. Twój Pan z pewnością przygotował już dla ciebie podobny zestaw. Chodzi o względy bezpieczeństwa. Czasami może się zdarzyć naruszenie ciągłości tkanek, dlatego każda uległa osoba powinna mieć własny komplet akcesoriów. Domyślasz się, do czego służą te rzeczy? - Wskazuje drzwiczki szafy. - Tak.

- A to? - Otwiera drewnianą kasetę.

W środku, na czarnej tkaninie, spoczywa kilka przedmiotów. Kojarzą mi się tylko z jednym.

- To wibratory?

- Nie. To zatyczki i koreczki analne, a te duże to tak zwane pługi. Nie używam zwykłych wibratorów, Liu jest dziewicą.

- Słucham? - pytam, chrząkając z niedowierzaniem.

- Liu jest dziewicą. Dlaczego to cię tak zaskoczyło? - Angelika wyjmuje jedną z dziwacznych rzeczy i przez chwilę obraca ją w dłoni.

- Nie wiem. - Kolejny raz nie potrafię uzasadnić swojej reakcji.

- Wiesz, że rozkosz kobiety zaczyna się i kończy w głowie. Wnętrze waginy nie jest ci potrzebne, aby przeżyć orgazm. Zgadza się?

- Tak. - Dobrze pamiętam, ile razy przeżywałam ekstazę dzięki zaspokojeniu w inny sposób.

- Czy wiesz, co to *Kinbaku*?

- Nie.

- To jedna z bardziej zaawansowanych technik krępowania ciała. Czy to budzi w tobie lęk? - Dziewczyna odkłada pudełko i wyciąga pęk kremowych sznurów.

- Nie.

- A gdybym oplotła nimi szyję Liu?

Od razu biorę głęboki wdech.

- Rozumiem. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- Dobrze. Usiądź tam. - Angelika wskazuje mi miejsce na fotelu stojącym pod ścianą, a sama opuszcza pomieszczenie.

Przechodzę na swoje stanowisko. Zanim usiądę na miętko obitej poduszce, podnoszę z niej czarny kuferek. Stawiam go na kolanach i od razu czuję się spokojniejsza. Próbuję odgadnąć, jaką niespodziankę skrywa wewnątrz luksusowej walizeczki, a przy okazji rozglądam się po pokoju. W zasadzie wszystko już widziałam, nie zauważyłam jedynie wielkiego lustra, które wisi naprzeciwko. Odbijam się w nim i podoba mi się ten widok. Poprawiam ułożenie nóg, a później przenoszę wzrok na Liu. Zaledwie trzy stopy dzielą mnie od narożnika stołu, na którym spoczywa. Jest kompletnie naga, nie licząc butów - wysokich czarnych szpilek, identycznych jak te, które nosi jej Pani. Już rozumiem, dlaczego tak piekielnie tu ciepło: żeby Liu nie zmarzła, leżąc bez ruchu przez tak długi czas.

Nagle Angelika wraca, w milczeniu podchodzi do swojej dziewczyny, kuca i za pomocą skórzanych pasków przypina jej kostki do metalowych nóżek stolika. Następnie wyjmuję z szafy coś przypominającego drewnianą różgę. Kładzie przedmiot na plecach dziewczyny i odwraca się w moją stronę.

- Otwórz torebkę i wyjmij zawartość - pada polecenie.

Posłusznie rozpinam masywny suwak i rozchylam boki kuferka. Wkładam dłoń do środka, pod palcami czuję coś owiniętego w folię. Wyjmuję i ze zdumieniem stwierdzam, że to mój wibrator. Podnoszę oczy na Angelikę.

- Co mam z tym zrobić?

- Co chcesz. Pozwalam ci na wszystko.

Nie widzę się dobrze w oddalonym lustrze, ale przypuszczam, że minę mam idiotyczną. W końcu stawiam kuferek z tyłu fotela, a różowe cudo z cyberskóry kładę na maleńkim stoliczku tuż obok lewego oparcia.

- Zachowuj się cicho - instruuje mnie Angelika spokojnym tonem.

Zagryzam wargi, wiem, że zaczyna się zabawa. Opieram się wygodnie, ale nic to nie daje. Między ściśniętymi udami przepływa strużka potu.

- Liu, popatrz na mnie. - Domina staje przed dziewczyną, która unosi twarz. - Wiesz, za co zostaniesz ukarana?

Kiwnięcie głową.

- Musisz zachowywać się grzecznie. Nie wolno ci wystraszyć naszego miłego gościa. - Angelika przez chwilę głaszcze Liu po policzku, a później wolnym krokiem przechodzi na tył. Sięga po różgę i lekko ją zgina. - Przygotuj

się. - Komenda dotyczy wyłącznie dziewczyny, aleja też odruchowo napinam mięśnie.

Czuję, jak mój żołądek skręca się w mikroskopijny węzełek, pośladki mrowią, a w cipce robi się gorąco. „Królestwo za tyk wody...”

Liu podnosi się na przedramionach, schyla głowę i wygina plecy tak, żeby pośladki uniosły się jak najwyżej. Znajomy widok: najpierw Króliczek, a teraz ona. Ja też tak stałam pięć dni temu... Od razu czuję kolejną falę gorąca,

Nerwowo zerkam na wibrator. „Zakazany owoc?” - przelatuje mi przez głowę. Pamiętam o bezwzględny poleceniu Pana.

- Otrzymasz dwa razy po dziesięć uderzeń.

„Dwadzieścia uderzeń patyczkiem? Oj, coś słaba ta kara...”

Unoszę brwi. Chyba jestem trochę zawiedziona.

- Zaczynamy. Jeden. - Angelika bierze zamach, ułamek sekundy później następuje uderzenie. Słyszę zduszony jęk uległej.

Zastygam.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że mój mózg nie zdołał zarejestrować świstu powietrza. A może wcale go nie było?

Liu cicho łka. Nie wiem dlaczego. Przecież to smagnięcie wyglądało bardzo lekko i niewinnie. Skupiam wzrok na pośladkach dziewczyny. Przez ich środek przebiega wąska ciemnobordowa kreska. Krew? Biorę głęboki wdech, ale nie odwracam wzroku.

Angelika znów podnosi rękę.

- Dwa.

Kolejne uderzenia spadają na coraz wyżej wypiętą pupę, pozostawiając pręgi. Wypuszczam powietrze dopiero wtedy, gdy różga ostatni raz uderza o skórę. Plecami Liu wstrząsa szloch. Kątem oka zauważam, że zagryzła pięść, aby go stłumić. Domina kładzie różgę na plecach dziewczyny i zbliża się do drzwi. Słyszę pstryknięcie, nad naszymi głowami zapala się niewielki żyrandol.

- Chodź. - Wyciąga rękę w moją stronę.

Wstaję z fotela na trzęsących się nogach. Dopiero z bliska widzę, jakich spustoszeń dokonał ten niewinnie wyglądający przedmiot.

- Dotknij.

Przesuwam palcem po wypukłych krechach. Wydaje mi się, że coraz bardziej fioletowieją i puchną, tak szybko, że widać to gołym okiem. Na szczęście chyba nie ma krwi, ale i tak jestem wstrząśnięta. „O kurwa... o kurwa...” - jęczę w duchu razem z biedną Liu.

- Podoba ci się to?

- Nie wiem, czy mi się podoba... - Wpatruję się jak zahipnotyzowana w gęstą siatkę krzyżujących się pręg. Nie da się ukryć: widok jest fascynujący.

- Jej tak. - Angelika przesuwając palcem po sromie Liu i pokazuje błyszczącą od śluzu opuszkę. Znow biorę głęboki wdech. Chyba jestem równie mokra.

- Mam przestać?

- Nie wiem! Ona chyba zbyt mocno cierpi... - Patrzę na zmasakrowane ciało, ciągle wstrząsane łkaniem, i czuję pod powiekami napływające łzy.

- Zaraz wracam.

Domina znika na kilkanaście sekund. Zanim zdążę się zastanowić, po co mogła pójść, wchodzi do pokoju, trzymając marynarkę Adama. Mój żołądek znow ściska się w kulkę. Domyślam się, co Angelika teraz robi.

- Zamknij oczy. Czujesz zapach swojego Pana?

Kiwam głową. Nie mogę się opanować, wrywam gospodyni marynarkę i wtulam twarz. Zapach mnie odurza.

- Nie wiesz, czy mam przestać? A gdybyś to ty leżała teraz na miejscu Liu, a twój Pan trzymał różgę, chciałabyś, żeby przestał? - słyszę pytanie.

- Nie - odpowiadam natychmiast.

- Oddaj. - Zabiera marynarkę i wieszają na drzwiach szafy. - Zgaś światło i wracaj na miejsce.

Posłusznie siadam w fotelu. Po ostatnim pytaniu Angeliki moja wyobraźnia szaleje. Jestem podniecona do bólu. Kolejna fala pragnienia przelatuje przez ciało, gdy tylko widzę kobietę sięgającą po różgę. Ukradkiem zabieram wibrator ze stolika i delikatnie odwijam folię. Na szczęście to zwykły woreczek, więc nie szeleści zbyt głośno.

Domina stoi tyłem i chyba mnie nie widzi, zresztą nie dbam o to. Jestem na tyle rozpalona, że nie myślę o zakazie masturbacji. Gdy jedenaste uderzenie spada na ciało Liu, uruchamiam niewielką zabawkę. Podnoszę sukienkę i rozchylam nogi. Żeby było mi wygodniej, jedną z nich kładę na miękkiej poręczu fotela. Widzę się w lustrze, patrzę na swoją różową cipkę i rękę gumowym gadżetem. Nie wiem, co obserwować: pośladki Liu czy własne odbicie. Oba widoki są równie podniecające. W końcu zamykam oczy i zapadam się w symfonię dźwięków: muzykę, ciche jęki Liu, uderzenia różgi i swój oddech...

Wibrator styka się z obrzmią z pragnienia łechtaczką, fala gorąca napływa tak gwałtownie, że nie mogę wytrzymać...

Poddaję się temu.

Orgazm przetacza się przez ciało kilkoma silnymi skurczami. Są tak intensywne, że cała dygoczę, a potem opadam w ciemność.

Melanio...

Leniwie unoszę powieki. Angelika stoi nade mną i delikatnie się uśmiecha.

- Tak?

- Jesteś naprawdę piękna.

- Słucham?

Nie mogę zrozumieć, co się stało. Prostuję głowę i nagle spostrzegam, że siedzę z rozchylonymi udami przed kobietą, która niewątpliwie jest lesbijką, ma na sobie wyłącznie cienki szlafroczek i wpatruje się z zachwytem w moją waginę. Od razu przytomnieję i ściągam nogę z poręczy.

„Wibrator? - Zerkam na przedmiot, który ciągle trzymam w dłoni. - To sobie nagrabiłam". Wraz z niewesołą refleksją wraca trzeźwość umysłu. Natychmiast odkładam gumową zabawkę na stolik.

- Gdzie Liu? - Ze zdumieniem odkrywam, że jesteśmy same.

- W mojej sypialni.

- Zasnęłam?

- Chyba tak.

- Która godzina?

- Pięć po jedenastej. Szofer czeka na ciebie w samochodzie, był tu przed chwilą.

- Jasne. - Zrywam się z fotela.

- Nie zapomnij o swojej przytulance. - Śmieje się Angelika, patrząc, jak nerwowo poprawiam sukienkę.

Szybko wkładam wibrator do torebki. Już mam wyjść z pokoju, gdy mój wzrok pada na marynarkę Adama, wiszącą na drzwiach szafy.

- Mogę ją zabrać?

- Tak. - Kolejny uśmiech.

- Dziękuję.

Porywam marynarkę oraz kuferek i razem z Angeliką opuszczam gabinet.

- Poczekaj, twój płaszcz. - Gospodyni tego perwersyjnego przybytku pomaga mi się ubrać.

- Angeliko... - Staję przed drzwiami. Nie wiem, co powiedzieć. Domyślam

się, że nasze spotkanie miało jakiś cel, nie bardzo wiem jaki, ale z pewnością mogę czuć się wyróżniona, skoro pozwolono mi uczestniczyć w tak intymnej sesji.

- Mam na imię Nina - odpowiada miękko.

- Chciałam ci podziękować i... przeprosić za niezbyt przychylną reakcję przy powitaniu.

- Nic się nie stało. - Dziewczyna uśmiecha się ze zrozumieniem.

- Pójdę już. - Przybliżam się i całuję Ninę w policzek. Tym razem pachnie zupełnie inaczej, wyraźnie wyczuwam mydło i szampon do włosów.

- Cieszę się, że cię poznałam.

- Ja też, Nino. Pożegnaj ode mnie Liu. - Kładę dłoń na klamce.

- Dziękuję.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Melanio.

- Gdzie ty jedziesz? - Wyglądam przez okno. - Musisz zawrócić. Pomyliłeś trasę.

- Mam zawieźć panią do mieszkania pana Hardinga.

- Słucham? - Jestem zszokowana. - Przepraszam, czy dobrze zrozumiałam? Jedziemy do Adama? - Nachylam się w stronę kierowcy.

- Tak. - Marcus na moment odwraca głowę. - Dostałem wyraźne polecenie.

Szybko wyciągam portfel, do którego schowałam list. Muszę sprawdzić, czy to ja się pomyliłam, czy szofer Adama czegoś nie załapał.

Spędzisz tam dwie godziny, a później razem z nim wrócisz do mieszkania...

„Hm... Wrócisz do mieszkania? Brzmi raczej jednoznacznie. Choć w sumie nie doprecyzował, o czyje mieszkanie mu chodzi...” - próbuję rozgryźć to nieco enigmatyczne sformułowanie, ale nie mam zbyt wiele czasu, bo przejazd między apartamentami zajmuje niecałe dziesięć minut.

Znów towarzyszy nam ta sama muzyka: suita na wiolonczelę. Rozbrzmiewa mi w głowie nawet wtedy, gdy wysiadam z limuzyny i wjeżdżam windą wraz z Marcusem. Stajemy pod drzwiami i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że nie mam kluczy do mieszkania Adama.

- Jak wejdziemy? - Zerkam na mojego towarzysza.

- Klucz jest w kieszeni. - Podaje mi marynarkę. - Dobranoc, panno Duvall.

Patrzę ze zdumieniem, jak wchodzi do windy i naciska guziczek. Kilka sekund później zostaję sama przed wielkimi czarnymi drzwiami.

- W której? - gadam do siebie, przetrzepując marynarkę. - 1 o co tu chodzi? Boże... wieczór niespodzianek. - Kręcę głową. W końcu znajduję klucz w maleńkiej kieszonce zapiętej na guziczek. Z trudem otwieram drzwi (klucz bardzo ciężko się obraca) i powoli wchodzę do środka. Ktoś zostawił zapalone światło w holu, dobre i to, pamiętam, jak ostatnio niewiele brakowało, bym wywaliła się w prog. - Ciekawe, co by było, gdybym nie wzięła tej marynarki - mamroczę pod nosem, rozpinając płaszcz. - Noc na wycieraczce?

- Ja bym ci otworzył... - słyszę za plecami ukochany głos.

Zastygam w bezruchu, półżywa ze szczęścia.

Adam podchodzi i po chwili czuję jego dłonie na ramionach.

- Pozwól. - Delikatnie zsuwa mój płaszcz i całuje mnie we włosy.

Odwracam się i obejmuję go z całych sił.

- Kiedy wróciłeś do domu? - Podnoszę wzrok.

- Przed chwilą, dlatego Marcus cię tu przywiózł. Chciałem jak najszybciej...

Nie kończy, przyciska usta do moich warg. Pocałunek jest długi i gorący. Adam bierze mnie na ręce i niesie przez cały apartament, szepcząc do ucha dwa słowa: „Pragnę cię”. To zaledwie kilkanaście sekund, ale wystarczy, żebym zwilgotniała - głos brzmi tak namiętnie... Mój mężczyzna popycha butem lekko uchylone drzwi.

Jesteśmy w sypialni. Kątem oka obserwuję nieznane mi wnętrze: młeczne światło wylewające się delikatnie z kinkietów, gładkie białe ściany, wysokie okno przysłonięte na wpół domkniętą żaluzją i zbyt długimi przezroczystymi firankami, które miękko spływają na podłogę.

Adam kładzie mnie na wielkim, szerokim łóżku. Czuję się jak rozbitek na samotnej wysepce, otoczonej oceanem ciemnobrązowych klepek parkietu. Leżę w białej pościeli i patrzę na mojego mężczyznę. Nigdy nie widziałam go w takim stroju, ale nie mam szans na dłuższą kontemplację, bo Adam ściąga błękitny sweter i rzuca go na podłogę.

- Uważaj na rekiny. - Uśmiecham się.

- Rekiny?

- Jak byłem mała, często bawiłam się tak ze Scarlett. Umawialiśmy się, że jej łóżko to nasza łódź, która dryfuje po oceanie. Kiedy coś spadało z łóżka, krzyczałyśmy, że rekiny to pożrą... - Nie mam pojęcia, dlaczego

akurat teraz mi się to przypomniało.

- I co dalej? - Adam zaczyna rozpinąć pasek.

Przełykam ślinę, wpatrując się w ruchy jego dłoni. Tak bardzo jestem spragniona dotyku, że wprost pożeram je wzrokiem.

- Kiedyś w czasie takiej zabawy do naszego pokoju wszedł tato... - kontynuuję, nie spuszczając wzroku z mojego chłopaka, który właśnie pozbywa się obcisłych dżinsów.

- I?

- I wtedy Scary zaczęła strasznie krzyczeć, że pożre go rekin. Nie wiem dlaczego, ale okropnie się wystraszyłam i od razu uderzyłam w płacz. Może dlatego, że miałam zaledwie sześć lat i byłam bardzo wrażliwym dzieckiem? Tato podbiegł i wziął mnie na ręce. Pamiętam do dzisiaj, jak bezpiecznie się wtedy czułam, a potem... - Zagryzam wargi. Dociera do ranie, że za bardzo się zagalopowałam z opowiadaniem tej historyjki.

- Co było potem? - Adam w samej bieliźnie kładzie się tuż obok.

- Nie chcę o tym mówić, będziesz się śmiał. - Wtulam się w jego ramiona i zamykam oczy.

- Powiedz, Mel. Proszę. - Głaszcze mnie uspokajająco po głowie. - Nigdy cię nie wyśmiałem i nie zamierzam.

- Dobrze. Potem było okropnie... - Przełykam ślinę, coś zaczyna mnie drapać w gardle. - Scarlett zaczęła wrzeszczeć, że tatusia pożre rekin, bo przecież on i ja ciągle staliśmy na podłodze. - Przypominam sobie tę chwilę i słyszę w głowie dziecięcy głosik: „Uciekaj, tatusiu! Proszę, wejdź na łóżko, tatusiu, proszę! Musisz się uratować!”. Jestem myślami w rodzinnym domu... - Znów zaczęłam panicznie płakać, prosiłam, żeby tato uciekał, ale on nie mógł mnie zrozumieć!

- Spokojnie, Mel... Nie denerwuj się. - Ciepła dłoń mierzwi mi włosy.

- W końcu tata mnie zrozumiał i wszedł na łóżko, ciągle trzymając mnie na rękach. Coś głośno chrupnęło, tata się zachwiał i wywrócił razem ze mną. Scary zaczęła się histerycznie śmiać, po chwili weszła mama. Usłyszała hałas i postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Okropnie nakrzyczała na tatę, bo okazało się, że złamał łóżko. A ja... A mama... kazała mi...

- Dość, kochanie, nie musisz mówić, jeśli nie chcesz. Nie płacz...

- Chcę! - krzyczę w pierś Adama. - Chcę ci to powiedzieć! Mama kazała mi iść do pokoju gościnnego. Tam nic nie było! Musiałam siedzieć sama do końca dnia, a tatuś nawet mnie nie odwiedził, nie stanął w mojej obronie. A przecież ja się o niego martwiłam, bałam się, że coś mu się

stanie. Tylko tatuś zawsze trzymał moją stronę, a wtedy zostawił mnie samą, a ja nie chciałam być sama, nie mogłam tego wytrzymać...

Zalewam się łzami na wspomnienie tej niesprawiedliwości i gorczy pierwszego w życiu zawodu.

- Mel... kochanie. Jestem tu, zawsze stanę w twojej obronie. Mel...

Czuję ramiona Adama. Obejmuje mnie mocno i zaczyna lekko kołysać, ciągle szepcząc, że jest blisko i że się mną zaopiekuje. Nie wiem, ile trwa to moje małe katharsis*, ale gdy ostatnia łza wysycha na rozpalonych policzkach - czuję się lepiej. Cudownie, lekko, jak nowo narodzona. Jednak od razu pojawia się jeszcze coś: wstyd i zażenowanie.

- Przepraszam - mamroczę pod nosem. - Zrobiłam z siebie idiotkę.

- Mel, popatrz na mnie. - Adam spogląda z czułością na moją twarz. - Nie zrobiłaś z siebie żadnej idiotki. Rozumiesz? Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię, że mi zaufałaś. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy... - Znów mocno mnie przytula. - Jesteś wspaniała. Jesteś najmiłszą i najśladszą kobietą Jaką miałem przyjemność trzymać w ramionach.

- Przypominam, że konkurencję mam nieliczną - odpowiadam przez nos ciągle zatkany od płaczu.

- Melanio... - Głos chyba miał zabrzmieć groźnie.

-- Tak?

- Co ja mam z tobą począć?

- Zbić mnie?

- O, moja droga... Wszystko w swoim czasie.

- Masz jakieś inne plany? - droczę się, ale wyobraźnia już zaczyna szaleć.

- Mam. Te sprzed piętnastu minut. - Dłoń ześlizguje się z moich pleców, dociera do pośladków i zaczyna je intensywnie masować przez cieniutką, jedwabną sukienkę.

Adam obraca mnie na wznak i na moment zawisa nade mną, wspierając się wyprostowanymi rękami. Wygląda tak, jakby podziwiał coś niezwykle pięknego, w jego oczach zauważam jedynie zachwyt, który nagle, nie wiadomo kiedy, zamienia się w czyste pożądanie.

- Pragnę cię. - Nachyla się i mnie całuje. - Nawet nie wiesz, jak bardzo... - Z ust delikatnie muskających moją twarz sączą się namiętne słowa. Myślę o tym, że ciągle mam na sobie sukienkę, ale jemu chyba to nie przeszkadza. Zresztą materiał jest cienki i pod wpływem potu robi się prawie niewyczuwalny.

- Dlaczego nie założyłaś stanika? - Pytanie zadane szeptem, ale tak pożądanym i groźnym, że cała dygoczę.

*Odreagowanie, pozbycie się tłumionych emocji, oczyszczenie.

- Był niewygodny - odpowiadam i od razu zagryzam wargi, bo Adam właśnie próbuje przegryźć powłóczkę materiału otulającą brodawki. - Zniszczysz mi sukienkę... - buntuję się nieśmiało.

- Jaja kupiłem i ja mogę ją zniszczyć...

- Proszę, zostaw. Jest taka ładna - mruczę, próbując odepchnąć jego głowę, ale robię to bez większego przekonania. - Odkupię ją od ciebie, ty paskudny materialisto...

- Podoba ci się? Więc dam jej spokój. - Mój kochanek chowa zęby, wysuwa język i delikatnie wodzi nim po szczytach sutków. - To nawet ciekawe... - stwierdza, na sekundę przerywając tę teoretycznie niewinną pieśczętę.

Mokry jedwab drażni brodawki, to nowe i niezwykle przyjemne doznanie. Zanurzam palce w gęstych i jedwabistych włosach ukochanego. Uwielbiam czuć ich gładkość i to, jak prześlizgują się po skórze dłoni. Coraz bardziej się rozgrzewam, zamykam oczy, żeby mocniej odczuwać.

- Mel, pragnę cię... - Adam oddycha coraz ciężiej. Jedną rękę podkłada pod mój kark, a drugą pod pośladki.

Wiem, co za chwilę nastąpi... Ja też go pragnę, więc odsuwam paseczek stringów i unoszę biodra, żeby mógł wejść we mnie jak najszybciej. Gdy ten moment wreszcie nadchodzi, mój kochanek traci resztki opanowania. Przygniata mnie całym ciężarem i jakby tego było mało, dociska mój tyłek, trzymając go jedną, ale bardzo silną dłonią.

Teraz już nie padają żadne słowa. Nie mam siły mówić, po prostu oddaję się swojemu mężczyźnie, a on mnie pieprzy. Robi to tak, jakby od tego zależało jego życie. Nie mogę swobodnie oddychać, więc obracam głowę i słyszę bicie serca Adama. Ten dźwięk jeszcze bardziej mnie podnieca, coraz głośniejszy i szybszy. Mam wrażenie, że jesteśmy jednym organizmem, jednym ciałem powstałym z dwóch skrajnie odmiennych części: miękkiej, drobnej, delikatnej oraz twardej, potężnej, silnej.

- Nie myśl, że to się szybko skończy... - Nagle Adam się prostuje, wychodzi ze mnie, klęka, chwyta za moje biodra i nasadza (choć może

odpowiedniejszym słowem byłoby „nadziewa”) mnie na ogromnego fallusa.
- Chcę cię widzieć, jesteś piękna... - Rozkłada moje kolana jak skrzydełka motyla.

Podnoszę powieki i dostrzegam, że wpatruje się w miejsce, które nieco wcześniej podziwiała Nina. Ruchy spowalniają, ale za to są znacznie silniejsze i głębsze. Gdy penis dojeżdża do samego końca, mam wrażenie, że rozrywa mnie na kawałeczki. Jest taki wielki...

- Och - pojękuję przy każdym pchnięciu. Znow zamykam oczy, a ból, który odczuwam, coraz bardziej przybliżył mnie do finału. - Jeszcze, mocniej...

- Mel, co ty ze mną robisz? Twoja cipka doprowadza mnie do szaleństwa - słyszę kolejny komplement wypowiedziany gardłowym głosem. - Taka ciasna i śliczna...

Wyobraźnia znów płata mi figla. W ułamku sekundy wracam do dusznego pokoju przesyconego orientálną muzyką i jękami uległej Liu. Zaczynam fantazjować: widzę mojego Pana, który siedzi naprzeciwko i patrzy, jak się masturbuję. Wizja jest ekstremalnie podniecająca.

- Och, pieprz mnie, byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką. - Wyginam się w łuk, żeby jeszcze lepiej go poczuć.

- Wiem...

Uderza coraz mocniej i nagle czuję, że już przed tym nie ucieknę... Fala gorącej krwi przetacza się przez moje ciało, na moment wstrzymuję oddech, żeby nic nie zakłócało tej cudownej chwili, i wtedy Adam też dociera na szczyt.

- Mel, jesteś tylko moja...

Nie wiem, która może być godzina, gdy niespodziewanie otwieram oczy. Coś mi się przyśniło? A może to jakiś hałas?

Obracam głowę w stronę leżącego obok mężczyzny. Księżycowe światło, delikatne jak mgiełka, przenika przez opuszczone żaluzje i opiera się na szerokich plecach mojego kochanka. Od razu ją zauważam - szeroka na dwa palce bladofioletowa pręga przebiega od lewej łopatki do kręgosłupa między łędźwiami. Chciałabym dotknąć tego miejsca, ale obawiam się, że Adam to poczuje. Wiem tylko jedno: gdyby on choć raz tak mocno mnie uderzył, z pewnością rozciąłby mi skórę jak nożem. Zagryzam wargi, dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo może przerażać czyjaś bezbronność i jak wielkim opanowaniem trzeba się wykazać, żeby nie zrobić krzywdy osobie uległej. Jeśli Adam kazałby mi to powtórzyć, nie byłabym w stanie, choćby nie wiem jak nalegał i błagał.

Przytulam się do mojego Pana, opieram policzek o jego plecy i zasypiam spokojnie, ukołyszana miarowym oddechem.

Jest ósma rano. Telefon zaczyna lekko wibrować. Adam błyskawicznie się budzi i sięga po komórkę. Wychodzi z sypialni i dopiero w korytarzu przykłada słuchawkę do ucha. - Halo. - Witam, panie Harding, tu sierżant Vetri.

- Witam.

- Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. Czy nasze spotkanie jest aktualne? Chciałbym potwierdzić.

- Aktualne, choć szczerze mówiąc, bardziej pasowałaby mi wcześniejsza godzina. - Adam powoli idzie w stronę kuchni. - Czy to możliwe?

- Myślę, że tak. Proszę coś zaproponować.

- Dziewiąta?

- Może być, Wobec tego oczekuję pana w moim biurze za godzinę.

- Ile czasu nam to zajmie?

- Nie więcej niż kwadrans.

- Świetnie.

- Wobec tego do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Harding odkłada telefon na kuchenny blat. Szybko przygotowuje kawę i zabiera filiżankę ze sobą. Wchodzi do łazienki. Poranna toaleta, włącznie z pobieżnym goleniem, zajmuje mu niewiele ponad dwadzieścia minut. Przed wyjściem zostawia na kuchennym stole kartkę z informacją dla Melanii.

Gdy Adam przekracza próg biura detektywa Vetriego, z niewielkiego radioodbiornika stojącego na biurku sierżanta słychać właśnie zaczynające się poranne informacje.

- Dzień dobry, panie Harding.

- Dzień dobry. - Gość siada na lekko zdezelowanym krześle i konstatuje, że od jego ostatniej wizyty nic się w tym miejscu nie zmieniło. Mimo wczesnej pory jest duszno, widocznie władze stanowe nie zechciały wyposażyć posterunku na Sześćdziesiątej Siódmej w klimatyzację.

- Może coś do picia? - Sierżant Vetri wskazuje niewielką metalową tackę z dwiema niezbyt czystymi szklankami i butelką najtańszej wody mineralnej.

- Dziękuję, nie trzeba. Przejdźmy jak najszybciej do rzeczy, mam plany na dzisiaj.

- Panie Harding, chcieliśmy tylko przedstawić panu kilka zdjęć. Czy zna pan tego człowieka?

Adam przez dłuższą chwilę przygląda się fotografiom, są fatalnej jakości, bo pochodzą z kamer przemysłowych. Niewiele widać, w zasadzie tylko sylwetkę mężczyzny w kapturze, niosącego coś pod pachą. Nawet trudno rozpoznać, że tajemniczy przedmiot to laptop.

- Niestety nie kojarzę. Szczerze mówiąc, na tak kiepskich zdjęciach nie rozpoznałbym nawet samego siebie.

- Jeśli chodzi o zdjęcia, na tę chwilę nie dysponujemy niczym lepszym.

- Złodziej nie zostawił żadnych śladów?

- Zostawił, ale nie daktyloskopijne. Proszę jeszcze się przyjrzeć, może coś pan zauważy. - Sierżant Vetri ponownie podsuwa plik fotografii.

- Obawiam się, że nie pomogę. - Adam kręci głową. – To wszystko?

- Czy przygotował pan dla mnie spis oprogramowania i skrótowy wykaz zawartości dysków?

- Tak. Wysłałem to panu mailem. Nie dotarło?

- Nic nie dostałem.

- Wyślę jeszcze raz, chociaż tam naprawdę niewiele było. Komputer był nowy, używałem go góra dwa miesiące, a większość danych, zwłaszcza istotnych, mam zarchiwizowaną na dyskach przenośnych.

- Będę zobowiązany. Wobec tego jest pan wolny, panie Harding. - Vetri podnosi się ze służbowego fotela.

- Dziękuję. - Adam też wstaje. Próbuje szczerze uśmiechnąć się do policjanta, ale ma wrażenie, że w oczach tego faceta skrywa się coś dziwnego.

- Piękna pogoda, wybiera się pan za miasto?

- Nie wiem jeszcze.

- Przepraszam, że pytam. Zawodowa ciekawość. - Vetri macha ręką, jakby chciał się wytłumaczyć ze swojego wścibstwa.

- Nic się nie stało. - Harding przymruża oczy, widać, że coś mu się nie podoba w zachowaniu policjanta.

- A zatem miłego weekendu. Będziemy w kontakcie.

- Dziękuję. Do widzenia.

Adam opuszcza posterunek, opiera się o niewysoką barierkę przed drzwiami wejściowymi i oddycha z ulgą. Przez chwilę przygląda się dwóm policjantom, którzy właśnie wysiedli z radiowozu i prowadzą skutego kajdankami chłopaka. Ten nie stawia oporu, chyba płacze, bo próbuje

otrzeć nos o ramię. Nie wygląda jak przeciętny młodociany przestępca z Nowego Jorku, jest biały i ma niezłe ciuchy.

Harding dałby sobie uciąć rękę, że gdzieś już widział tego młodzieńca. Gdy cała trójka go mija, Adam ogląda się i jeszcze raz próbuje sobie przypomnieć. Niestety bez skutku. W końcu wsiada do samochodu, ale i tak przez całą drogę powrotną zastanawia się, gdzie spotkał tajemniczego chłopaka. Myśli o tym, kupując pieczywo w małej piekarni na rogu swojej ulicy, przestaje dopiero wtedy, gdy przekracza próg mieszkania.

Zostawia pachnące rogaliki w kuchni i idzie do sypialni, starając się być jak najciszej. Melania śpi zwinięta w kłębek i otulona kołdrą. Harding przygląda się jej z wyraźną przyjemnością. W końcu siada nieopodal łóżka i opiera głowę o ścianę. Tkwi tak, wędrując wzrokiem i próbując nie pominąć żadnego detalu: włosów rozsypanych na poduszce, smug tuszu na zaróżowionych policzkach ukochanej, poszewki umazanej pomadką do ust i podkładem. Nie potrafi oderwać oczu od śpiącej kobiety, która wygląda tak słodko i niewinnie, że aż ściska go w dołku ze wzruszenia. Adam przypomina sobie historię o rekinie i odruchowo przykładą dłoń do ust. Ta opowiastka, choć pozornie nie taka straszna, dotknęła go do żywego.

- Mel, nigdy cię nie zawiodę, przysięgam - szepcze obietnicę i właśnie wtedy Melania się budzi...

Lubię ten stan między snem a jawą, zwłaszcza gdy nie muszę wstać wcześniej rano. Budzę się i zasypiam ponownie, aby jak najdłużej w nim trwać. Teraz również tak jest. Nie otwieram jeszcze oczu, tak mi dobrze... Oprzytomniałam na tyle, by wiedzieć, że pierwszy raz spędziłam noc w mieszkaniu Adama i że z pewnością nie ma go obok mnie. Moje ciało, jak najwrażliwszy sejsmograf, nie czuje żadnego ruchu, najlżejszego nawet ugięcia się materaca pod ciężarem mężczyzny. Nie martwi mnie to, mój ukochany na pewno jest gdzieś blisko.

Zdaje mi się, że słyszę jego oddech, a chwilę później - jakieś słowa, wymówione bardzo cichym szeptem. Chyba powiedział moje imię? Lekko unoszę powieki, przez wąskie szczeliny widzę zamglony porankiem obrazek, wykadrowany jak w tajemniczym urządzeniu używanym przez artystów malarzy. „Camera obscura*? Chyba tak...” - przypominam sobie kiedyś usłyszaną nazwę.

- Hej - mamroczę pod nosem. - Co robisz?

- Czekałem, aż się obudzisz. - Adam lekko się uśmiecha.

- Kiedy wstałeś? - Zauważam, że jest ubrany tak samo jak w nocy, w klasyczne dżinsy i błękitny sweter z wycięciem w szpic.

- Dawno. Zdażyłem odwiedzić sierżanta Vetriego i zrobić małe zakupy.

- Naprawdę? - Nie mogę uwierzyć, że taki z niego ranny ptaszek.

- Śniadanie?

- Hm... - Przeciągam się leniwie jak kot i dopiero w tym momencie dociera do mnie, że ciągle mam na sobie jedwabną sukienkę i wczorajszą bieliznę, a poduszka, która miała pecha służyć mi w nocy, jest ubrudzona kosmetykami. - Ups... chyba ktoś tu potrzebuje odświeżenia - chichoczę.

- Pożyczyć ci szlafrok?

- A masz taki z dziecięcych lat?

- Coś się zorganizuje. Zapraszam.

Owijam się cienką narzutą i podnoszę z łóżka. Wychodzimy z sypialni, Adam uchyla mi drzwi do łazienki.

- Na środkowej półce powinnaś znaleźć wszystko, co potrzebne. - Wskazuje szafkę w rogu i zostawia mnie samą.

Oddycham z ulgą. Obawiałam się, że moja poranna prezencja nie zachwyca, i rzeczywiście: krótki rzut oka pozbawia mnie resztek złudzeń. Jestem rozczochrana i umazana, a kiecka wygląda jak uszyta z trzykrotnie wykorzystanego papieru śniadaniowego.

Otwieram szafkę i wyjmuję spory koszyk z syntetycznej wikliny.

* Skrzynka z otworem w przedniej ścianie, pierwowzór aparatu fotograficznego. Na ścianie tylnej można było zobaczyć - odwrócony - obraz przedmiotu stojącego przed otworem. Ten przyrząd optyczny służył malarzom do wykreślania perspektywy.

- Co my tu mamy? - mamroczę, wyciągając kolejne rzeczy.

Po chwili na blacie obok umywalki leżą: komplet dosyć prostej w kroju bielizny, top na ramiączkach i szorty z bawełnianego dżerseju, szczoteczka do zębów, szczotka do włosów, gumeczki i niewielka torebka z miniaturowymi kosmetykami. „Miło z jego strony...” - myślę i z uznaniem kiwam głową.

Z rozkoszą biorę prysznic. Trochę mnie dziwi zimny, wręcz ascetyczny wystrój łazienki, bo sypialnia i pokój dzienny prezentują się zgoła inaczej, są bardzo eleganckie i w dosyć konserwatywnym stylu. Widocznie właściciel apartamentu uznał, że takie eklektyczne połączenie będzie ciekawym rozwiązaniem.

Po dwudziestu minutach opuszczam futurystyczny salon kąpielowy. Jestem czysta i pachnąca, lekko wilgotne włosy spięłam w koński ogon, a z kosmetyków użyłam wyłącznie dezodorantu i tuszu do rzęs.

Ostrożnie przechodzę przez wąski hol, kierując się odgłosami dobiegającymi z kuchni i zapachem świeżo zaparzonej kawy.

- Ślicznie wyglądasz. - Adam zastyga w bezruchu, gdy tylko mnie zauważa. - Głodna?

- Bardzo. Ostatni posiłek jadłam przed... - Nagle milknę, bo uświadamiam sobie, że żadne z nas nie wspomniało do tej pory ani jednym słowem o wczorajszej sesji u Angeliki.

- Zapraszam. - Gospodarz przychodzi mi z pomocą, odsuwając krzesło.

- To oryginalna czternastka*? - Zerkam na wyblyszczoną ze starości ratanową plecionkę,

- Obawiam się, że tak, zresztą jak większość mebli w tym mieszkaniu.

- Dlaczego budzi to twoje obawy? - Siadam przy zastawionym stole.

- Boję się, że za bardzo mi się podobają, żeby w przyszłości mógł bez żalu się z nimi rozstać. Kawy?

- Poproszę.

Adam nachyla się nad blatem i powoli napełnia delikatną, porcelanową filiżankę. Jest tak miły i uprzejmy, że czuję się jak na popołudniowym przyjęciu u Elizabeth R*. Posilamy się w ciszy, co jakiś czas przerywanej jedynie zdawkowymi uprzejmościami.

- Uwielbiam patrzeć, jak jesz - słyszę dość oryginalny komplement.

- Tak? Dlaczego? - Odchylam się na krześle.

- Nie znam nikogo, kto robiłby to bardziej elegancko. Ramiona przywiedzione do tułowia, nadgarstki delikatnie oparte o blat, sposób trzymania sztućców i filiżanki. Nawet to, jak wycierasz usta serwetką, bardzo mi się podoba. Pewnie myślisz, że to dziwne, ale tak jest. - Adam lekko się uśmiecha. - Mel, czy mówiłem ci kiedykolwiek, że jesteś jedyną znaną mi prawdziwą damą?

- Nie przypominam sobie. - Odwzajemniam uśmiech. - Od wczoraj wiem, że jestem najśłodsza i najmilsza, ale czy można mnie uznać za damę? Panie Harding, miło mi, ale to chyba spora przesada. Nie zwykłam jadać kolacji w Hiltonie, moja poranna fryzura przypominała płonący rodanek rtęci, a na dodatek nie wzięłam prysznic przed zaśnięciem. Obecnie pana poduszka wygląda jak wielki wacik, którym ktoś nieudolnie próbował usunąć makijaż.

- Mel... - Mój chłopak z niedowierzaniem kręci głową. - Płonący rodanek rtęci...

* Krzesło numer 14 - rodzaj giętego krzesła, znany od lat 50. XIX wieku. Pierwsze czternastki wyprodukowano w Austrii, później ich sława rozprzestrzeniła się na cały świat. Do miłośników tych krzeseł należeli między innymi Einstein, Brahms czy Picasso.

* Elżbieta I Tudor (1533- 1603) - królowa Anglii i Irlandii.

Cieszę się, że go rozbawiłam. Gdy się uśmiecha, wygląda tak wspaniale. Zresztą zawsze wygląda zniewalająco. Podoba mi się zarówno w garniturach, jak i w mniej formalnym stroju, nago i w bieliźnie - każdy wariant ma w sobie coś nieprawdopodobnie męskiego.

Wypijam ostatnie kropelki kawy i odstawiam filiżankę na spodek. Zapada cisza, jakbyśmy oboje na coś czekali. Czasami czuję się dziwnie skrępowana w obecności tego wciąż tajemniczego dla mnie człowieka.

- Co będziemy...

- Masz jakieś...

Zaczęliśmy rozmowę w dokładnie tym samym momencie.

- Proszę, ty pierwsza. - Adam parska śmiechem.

- Nie. Ty pierwszy - odpowiadam szybko.

- Dobrze. Masz jakieś plany na dzisiaj?

- Wiesz, że nie.

- Chciałem się tylko upewnić.

- A ty? - Liczę na to, że coś wymyślił. Prawdę mówiąc, jestem tego pewna.

- Zabieram cię na wycieczkę.

Nawet nie próbuję zgadywać, dokąd się wybieramy. Od kiedy jestem z Adamem, lubię niespodzianki.

- Czy nie powinnam jakoś się przygotować? - Zerkam na siebie.

- Tak jest dobrze.

- Kiedy wyruszamy?

- Już. - Podnosi się z krzesła.

- Coś mam zabrać? - Nie.

- Co z tym? - Wskazuję na stół.

- Ktoś posprząta. - Adam chwyta mnie za rękę i prowadzi do wyjścia.

- Oj, chyba niezbyt pasują. - Wskazuję leżące pod lustrem kremowe szpilki.

- Ale te tak. - Mój ukochany kładzie na podłodze parę nowiuteńkich kłapek.

- Pomyślałaś o wszystkim. - Zakładam japonki, które oczywiście pasują idealnie, podobnie jak poranny strój, płaszcz i sukienka, które otrzymałam wcześniej.

- Staram się. - Zabiera dużą sportową torbę i wychodzimy z apartamentu.

Podróż przez Manhattan zajmuje nam niecałe pół godziny. Spędzamy ją w kompletnym milczeniu, nie licząc pomruków Adama o kamiennym kanionie i sarkania na korki. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy, zaczynam się domyślać dopiero wtedy, gdy mijamy memoriał WTC. Adam parkuje niedaleko parku Pumphouse. Wsiadamy i w pół minuty docieramy do przystani North Cove.

- Płyniemy na Liberty Island? - żartuję.

- A chcesz?

- Nie bardzo.

- Mam nadzieję, że nie cierpisz na chorobę morską?

- Nie.

Próbuję zgadnąć, czym będziemy żeglować. Stawiam na jeden z największych turystycznych jachtów, zacumowany przy najbardziej wysuniętym na północny zachód betonowym pomoście. Na szczęście intuicja mnie zawodzi, bo nasza jednostka pływająca to stosunkowo niewielki katamaran motorowo-żaglowy. Uśmiecham się do siebie.

- Kim jest Monica? - Frapuje mnie napis widniejący na burcie. Z tego, co pamiętam, matka Adama miała na imię Jane.

- Miałem kiedyś myszkę o tym imieniu. - Mój facet wprowadza mnie po wąskim trapie.

- Wyczarterowałaś go? - pytam, gdy tylko staję na pokładzie wyłożonym eleganckimi deseczkami z tekowego drewna.

- Tak. Zawiedziona?

Widzę, że Adama bawią moje pytania. Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie jestem zawiedziona tym, że jacht został wynajęty. Po prostu inaczej wyobrażałam sobie dzisiejszy dzień.

- Nie. - Staram się, aby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

- Witam na pokładzie.

Odwracamy się oboje jak na komendę. No tak, mogłam się domyślić, że ktoś będzie nam towarzyszył. Przystojny facet, na oko czterdziestolatek,

uśmiecha się, mrużąc oczy. Twarz kapitana Richmonda (właśnie zauważyłam napis wyhaftowany na kieszonce białej koszuli) jest ogorzała od słońca, a jego ręce pokrywa niezliczona ilość ciemnych włosów. To chyba Latynos, bo wyglądamy przy nim jak Jess - półalbinoska. Od razu można się zorientować, że jest wesołym i bardzo bezpośrednim człowiekiem. Zwraca się do nas po imieniu, a sam każe na siebie mówić Rich.

Dziesięć minut później mijamy Statuę Wolności. Sternik gdzieś porwał mojego mężczyznę, więc najpierw przechadza się po pokładzie, a gdy zaczyna mnie to nudzić, stoję oparta o niewysoką barierkę. Wiatr delikatnie rozwiewa włosy, ni szczęście dzisiaj jest znacznie mniej upalnie niż wczoraj.

- Mel, idź się przebrać - słyszę głos za plecami.

Adam stoi nieco dalej i trzyma w wyciągniętej dłoni jakiś czarny ciuszek. Widzę, że zdjął sweter, ma na sobie białą bokserkę (wygląda w niej po prostu obłędnie) i dżinsy, spod których wystają bosa stopy. „Co za kicha! - sarkam w duchu. - Nawet przez chwilę nie będziemy się czuć swobodnie”. Jestem zła, bo nie wyobrażam sobie igraszek w obecności kapitana Richa.

- Będziemy pływać? - Unoszę brwi.

- Nie. - Organizator niezbyt fortunnie zaplanowanej wycieczki uśmiecha się, jakby nic nie zauważał. - Chyba że bardzo chcesz?

- Hm... - Rozglądam się wokół. Lubię pływać i jestem w tym naprawdę niezła, ale niekoniecznie mam ochotę na kontakt z niezbyt czystą wodą zatoki Upper.

- Złapiesz trochę słońca. Chodź, zaprowadzę cię do łazienki.

Wnętrze jest niezbyt duże, ale komuś tak drobnemu jak ja wystarczyłoby o połowę mniejsze. Zakładam eleganckie bikini z najnowszej kolekcji Victoria's Secret. Przez chwilę przyglądam się swojemu odbiciu w wielkim lustrze, zajmującym prawie pół ścianki. Mogłabym przysiąc, że na moment zwolniliśmy, a do odgłosu pracujących silników (a może silnika?) dołączyło coś jeszcze, jakiś stłumiony warkot. Nie mam pojęcia co to, na jachcie byłam zaledwie pięć razy w życiu (przy okazji dzikich imprezek urządzanych przez jednego z moich wcześniejszych chłopaków), a na takim niewielkim jak ten - jeszcze nigdy.

Nieśmiało wychodzę z łazienki. Czuję się trochę głupio, paradując w mocno wykrojonych stringach i staniczku, który ledwie przykrywa moje walory. Wracam po biały szlafrok, wolę się przegrzać, niż pokazywać goły tyłek kapitanowi Richmondowi (choć całkiem niezłe i z pewnością

heteroseksualne niego ciacho). Przechodzę wąskim korytarzykiem i zaglądam do każdego z mijanych pomieszczeń, żeby zlokalizować Adama, ale nigdzie go nie widzę. W końcu idę na górę i docieram do niewielkiej otwartej sterówki. Rzadko mi się zdarza popadać w kompletne osłupienie, ale teraz właśnie tak się dzieje. Mój facet siedzi na miejscu zajmowanym dotychczas przez naszego latynoskiego znajomego i... kieruje jachtem? Muszę mieć idiotyczną minę, bo gdy Adam mnie spostrzeża, parska śmiechem.

- E... gdzie kapitan?

- Tu. - Wskazuje na siebie.

- To jakiś żart, Harding? - Staram się odzyskać rezon, więc podchodzę i od niechcienia opieram się o postument z kołem sterowym.

- Nie.

- Rich, wyłaź! - krzyczę w bliżej nieokreślonym kierunku.

- Obawiam się, że cię nie usłyszy. - Adam odrywa dłoń od sporego metalowego koła i pokazuje mi przez okienko skuter rodny, który właśnie mija nas po lewej stronie.

Próbuję dostrzec, czy faktycznie siedzi na nim Richmond, i skuter oddala się zbyt szybko. Zdążyłam jedynie zauważyć, że z pewnością podróżują nim dwie osoby.

- Nie chwaliłeś się, że potrafisz to robić - mówię i przebyłam głowę. Zostaliśmy sami, więc od razu poprawia mi się humor.

- Gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki.

- Masz na to papier? Pokaż.

- Mam. - Znów parska śmiechem, po czym wyciąga dokument z tylnej kieszeni dżinsów.

- Żartowałam. Nie znam się na tym. - Oddaję mu blankiet.

- Wiesz, że przez rok mieszkałem w Londynie?

- Tak. Wspominałeś.

- W czasie tego pobytu pięć tygodni spędziłem w Hull, to portowa osada na wschodzie Anglii. Jakies czterysta osiemdziesiąt mil od stolicy, może mniej? Nieistotne. Hull słynie z tego, że jest tam świetny ośrodek szkoleniowy dla żeglarzy. Wziąłem udział w kursie i teraz mogę zastąpić kapitana Richmonda - oświadcza Adam z emfazą godną aktora, a ja wybucham śmiechem. - Jesteś zadowolona? - Pozornie jest to pytanie, ale ton wskazuje raczej na tryb oznajmujący.

- Uhm.

- Nie polubiłaś kapitana Richa?
- Nie przepadam za trójkątami, nie mam podzielnej uwagi - ripostuję. - Dokąd płyniemy?
- Przed siebie. Idź, skorzystaj ze słońca. W lodówce znajdziesz całkiem niezły wybór alkoholi. Zrób sobie drinka, jeśli chcesz.
- Nie mogę zbyt długo się opalać, ale małą wódką nie pogardzę.
- Nie zapomnij zdjąć szlafroka, a najlepiej zrób to teraz. - Adam znacząco unosi brwi.
- Nie, bo spowoduje pan katastrofę w ruchu wodnym, kapitanie Harding.
- Przecenia pani swoje możliwości, panno Duvall. Jestem znakomitym skiperem. Zdałem egzaminy Yachtmaster, to trzy razy trudniejsze od tego pani CPA. - Mój facet mówi to bardzo prowokującym tonem.
- Naprawdę? - Zrzucam białe wdzianko. Zbyt płytkie miseczki stanika ledwie przykrywają sterczące z podniecenia brodawki. Żeby jeszcze podkręcić atmosferę, obracam się i kręcąc pupą, powoli opuszczam sterownię.
- Mel... - Adam zatrzymuje mnie, gdy już jestem przy wyjściu.
- Tak?
- Poczekaj, niech tylko się zatrzymamy... - Błyska zębami.
- Dlaczego teraz tego nie zrobisz?
- Musimy dopłynąć do kotwiczowiska.
- Bo?
- Tu nie mogę wyrzucić kotwicy. A szkoda, bo aż się rwie... - Mój ukochany dotyka suwaka swoich spodni.
- Ups... - Zauważam, że nie tylko ja się podkręciłam tą niby niewinną rozmową. - Ma pan szansę zweryfikować swoją zdolność koncentracji. - Wpatruję się w zgrabny dżinsowy namiocik. - Chyba że miał pan poprawkę z tej części materiału...
- Cholera, muszę zawrócić Richa. - Adam udaje, że sięga po aparat telefoniczny.
- Ani mi się waż. - Kiwam palcem, a potem opuszczam napalonego Adonisa.

Nie wiem, ile czasu spędzam, leżąc na wygodnym... szezlongu? Chyba tak mogę nazwać ten tapicerowany mebelek. Popijam drinka (nie pożałowałam sobie - setka wódki plus druga soku), słucham muzyki (Adam puścił radio, to jakaś stacja z muzyką klasyczną) i produkuję witaminę D. Na szczęście słońce co parę chwil skrywa się za niewielkimi obłoczkami, więc nie boję

się) swoją skórę. Myśli płyną równie leniwie jak fale wody ślizgające się po burtach. Przypominam sobie wszystko, co wydarzyło się od wczorajszego wieczoru, i robię się coraz bardziej podniecona, a lekkie wibracje silnika dostarczają mi dodatkowych wrażeń. Popadam w dziwaczne odrętwienie. Ni to sen, ni jawa, ale chyba najbliższej temu do popołudniowej drzemki.

Nagle silnik cichnie - i dopiero teraz upewniam się, że są co najmniej dwa takie urządzenia. Nie otwieram oczu. Słyszę Adama krzątającego się gdzieś blisko, potem znów spokój, włączenie silnika, jakieś dziwaczne hałasy, lekkie szarpnięcie, zgrzyt czegoś metalowego i kolejne, nieco silniejsze szarpnięcie. Nie mam pojęcia, co się odbywa na drugim końcu jachtu, ale choć jestem ciekawa, nie bardzo chce mi się wstać, żeby to sprawdzić.

- Co to było i dlaczego tak długo trwało? - pytam, gdy Adam (po dobrych dziesięciu minutach manewrowania i szamotaniny na pokładzie) siada wreszcie na sąsiednim leżaku.

- Kotwiczenie. A długo, bo kiepsko znam te okolice. - Czuję jego oddech na szyi.

- Hm... mogłeś poprosić, z przyjemnością bym cię poratowała. Przypominam, że mieszkam tu prawie osiem lat.

- Obawiam się, że w tej materii na niewiele zdałaby mi się twoja pomoc. Chciałem założyć żagiel kotwiczny na achtersztagu, żeby jacht mniej myszkował, ale niestety nie ma tu takiego, więc musiałem się zadowolić owiewką. Na szczęście wiatr jest umiarkowany, ale i tak wpiąłem wąsy, zawsze to dodatkowe zabezpieczenie. To zajęło mi najwięcej czasu. Przepraszam... - szepcze mi wprost do ucha.

- Myszkował? Wąsy? Achterszlag? - powtarzam dziwaczne określenia. - Wnioskuje, że to nie takie łatwe, kapitanie Harding?

- Achtersztag, jeśli już, panno Duvall, i zgadza się: to było dosyć skomplikowane, ale nie najtrudniejsze... - Lekko przygryza małżowinę swojego ucha.

- A co było najtrudniejsze?

- Przekonać kapitana Richa, żeby oddał jacht w moje ręce.

- Hm, widzę, że to też pan potrafi. - Otwieram oczy i unoszę się na przedramionach. - Gdzie jesteśmy? - Rozglądam się, próbując dostrzec coś znajomego na brzegu.

- Niedaleko Long Beach.

- Jestem głodna. Czy można coś zjeść na tej łajbie? - Zerkam na Adama.

- Można. Ja przygotuję lunch, a ty pozmywasz. Może być?
- Może, choć to zmywanie... Nie mam licencji.
- Jesteś leniwa, droga Melanio.
- To bezpodstawny zarzut. Naprawdę nie mam uprawnień na zmywanie naczyń na jachtach. Boję się, że wszystko potłukę.
- Mel... - Adam groźnie marszczy czoło.
- Żartowałam.

Para kochanków odpoczywa w saloniku. Zaciągnęli rolety, Adam włączył odtwarzacz i do delikatnego plusku fal dołączyła równie subtelna muzyka. Lunch okazał się całkiem smaczny, zwłaszcza jak na skromne warunki panujące w niewielkiej kuchni. Dwuosobowa załoga nie musiała szczególnie się wysilać, bo wszystko było gotowe i wymagało jedynie podgrzania, a brudne naczynia trafiły do małej zmywarki.

Panna Duvall pije kolejnego drinka przygotowanego przez Hardinga. On sam skusił się jedynie na lampkę słabego wina. Kobieta nie wie, dlaczego tak się wzbraniał przed alkoholem - przecież zamierzają nocować na jachcie, więc sternik nie musi być trzeźwy. Kiedy o to spytała, stwierdził, że jedyny skiper na statku nie może pić i basta.

Jest trochę rozczarowana. Dzień powoli się kończy, już osiemnasta, a oni nawet porządnie się nie pocałowali. Melania ma wrażenie, że Adam trzyma ją na dystans, i nie ma pojęcia dlaczego. Słowem nie wspomniał o jej spotkaniu z Niną (ve/ Angeliką), a Mel nie ma śmiałości za nie podziękować.

- Coś ci pokażę, poczekaj. - Adam podnosi się z sofy i gdzieś wychodzi. Po niecałej minucie wraca, niosąc sportową torbę. - Usiądź tutaj. - Wskazuje miejsce przed okrągłym stolikiem.

Melania posłusznie siada na krześle i opiera dłonie na przyjemnym w dotyku drewnianym blacie. Harding podchodzi do odtwarzacza i zmienia płytę. Po kilku sekundach słychać tę samą muzykę, która towarzyszyła Mel w drodze do Angeliki. Kobiecie od razu robi się gorąco. „To z pewnością coś znaczy. Może to jakiś symbol, zamiast pierścionka?” - przelatuje jej przez głowę.

- Co to za utwór? - zagaduje.
- Bach, suita BWV tysiąc siedem - odpowiada Adam, siadając przed nią.
- Bardzo ją lubię.
- Piękna, zwłaszcza początek.

- Zgadza się. Preludium jest zdecydowanie najlepsze.
- Czego tam szukasz? - Melania zerka na swojego kapitana, który schylił się i szpera w torbie. - Co będziemy robić?
- Zabawimy się. - Harding układa na stole dwie pętle sznurków: czarne, z gładkiego sztucznego tworzywa, identycznej grubości. - Zwiąż mi ręce.
- Co? - Kobieta parska śmiechem.
- Zwiąż mi ręce. - Adam kładzie dłonie na blacie.
- Ale po co?
- Mówiłem. To taka zabawa.
- Jak mam to zrobić?
- Jak chcesz, bylebym nie mógł się wyswobodzić.
- Będzie jakaś nagroda?
- Co będziesz chciała. - Mężczyzna lekko się uśmiecha.
- Dobrze. - Melania podejmuje wyzwanie. - Już wiem: wypijesz trzy setki czystej wódki albo whisky.
- Ha! Znalazłaś niezły sposób!
- Wiem! - chichocze jak szalona. - Mogę to zrobić na stojąco?
- Zgoda.

Panna Duvall jest już troszkę wstawiona, więc dość powoli podnosi się z krzesła. Chwyta sznurek i próbuje jakoś obwiązać nim szerokie nadgarstki Hardinga. Oplata je kilka razy, potem przewija jeden z końców przez wąską szczelinę między przedramionami i związuje go z drugim w podwójny węzeł. Podoba jej się ta zabawa, może bezkarnie dotykać swojego faceta i napawać się jego zapachem. Nowa, nieco dziwaczna forma gry wstępnej bardzo ją podnieca.

- Już? - pyta Adam.
- Tak.

Mężczyzna przez chwilę próbuje rozchylić dłonie i oderwać od siebie nadgarstki, ale bez powodzenia. Sznurek wpija się w skórę. Mel bezwiednie zaciska kciuki. „Czyżby...?” - myśli i lekko się uśmiecha.

- I co teraz?
- Wygrałam? - Kobieta aż piszczy z zachwytu. - Nonie wiem...
- Wygrałam! Przecież nie możesz się wyswobodzić.
- Spróbuję jeszcze raz. - Adam zmienia strategię, zaczyna obracać dłońmi. Po chwili jego ręce są wolne, a sznurek ląduje na blacie.
- Och! - Panna Duvall jest trochę nadąsana. - Udało ci się przez przypadek.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? Możesz użyć obu sznurków.
- OK.
- Mel... prosilem?
- Przepraszam. Znow się zapomniałam. To przez te drinki - tłumaczy się, marszcząc nos.
- Dobrze. To jak? Drugie podejście?
- Jasne! Tak łatwo się nie poddam.

Teraz Melania próbuje zastosować inną technikę. Widziała, jak udało mu się wyplątać, i mniej więcej wie, na czym polega strategia. Znow oplata nadgarstki, ale przy każdym owinięciu przeciska koniec sznurka między rękami. Robi tak również z drugą linką. Supły zawiązuje wysoko, prawie przy łokciach, uniemożliwiając manipulację palcami.

- Gotowe. - Odsuwa się z założonymi na piersiach rękami. Jest pewna, że tym razem jej konkurent będzie zmuszony skorzystać z pomocy.
- Hm... Myślę, że pierwsze podejście lepiej ci wyszło. - Adam unosi brwi i znow się uśmiecha.

- Tak? Niby dlaczego?

- W miejscu, gdzie zawiązałaś supły, ręce są znacznie szersze niż w nadgarstkach. Wystarczy kilka razy nimi poruszyć i sznurki się poluzują. Zobacz...

- Nie bawię się tak! - Melania tupie nogą. - Te sznurki są do bani, śliskie jak dżdżownice. Nie da się nimi porządnie związać! - wykrzykuje i zaczyna się śmiać z własnych słów.

- Da się. Wystarczy trochę pomyśleć. Siadaj, pokażę ci prosty węzeł.

- Jesteś żeglarzem, to dla ciebie żadna sztuka. - Panna Duvall nagle uświadamia sobie tę oczywistość.

- Masz rację, wobec tego pokażę ci coś niezwiązanego ze sportami wodnymi. Podwójna ósemka, banalny węzeł stosowany głównie w alpinistyce, o której mam naprawdę mgliste pojęcie.

Adam chwyta sznurek, tylko raz oplata nim skrzyżowane nadgarstki kobiety, a potem wykonuje jakieś magiczne ruchy. Mel bacznie się przygląda, ale i tak nie wie, jak to się stało, że tkwi z całkowicie unieruchomionymi rękami i wiszącym węzłem, który do złudzenia przypomina warkocz. Oczywiście nie ma najmniejszej szansy wyswobodzić się samodzielnie. Harding dosyć szybko rozplata sznurek (i dobrze, że to robi, bo dłonie Melanii błyskawicznie sinieją).

- Chcesz spróbować? Ostatnia szansa? - pyta.

- Do trzech razy,... - Panna Duvall wzdycha i znów podnosi się z krzesła. - Zawsze byłam kiepska w robótkach ręcznych.

Stara się, jak może, ale w którymś momencie popełnia błąd. Węzeł okazuje się totalną klapą: Adam po prostu odciąga od siebie dłonie i tyle. Pętla rozsuwa się bez najmniejszego oporu, sznurek spada na podłogę.

- I nie upijesz mnie dzisiaj wieczoru - kwituje mężczyzna po chwili.

- Niestety, też żałuję. - Jego towarzyszka rozciera dłonie nadal lekko mrowiącymi opuszkami palców.

- Mel... - Harding nagle przyciągają do siebie. - Dlaczego jesteś taka delikatna?

- Nie jestem. - Kobieta nachyla się i przykładła policzek do jego włosów. Znajomy zapach uderza w nos i dodaje jej odwagi. - Muszę ci coś powiedzieć. Chciałam ci podziękować za wczorajszą niespodziankę. To było wspaniałe, ja...

- Tak?

- Gdy weszłam do mieszkania Angeliki, od razu zauważyłam twoją marynarkę. Wiem, że wisiała tam od poniedziałku i że to kompletnie irracjonalne, ale gdy się zbliżyłam, poczułam wyraźnie bijące od niej ciepło. Marzyłam tylko o jednym: żebyś tam był. W pewnym momencie Angelika przyniosła marynarkę i znów pozwoliła mi jej dotknąć. Wtedy zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jesteśmy tam razem i... naprawdę nie mogłam wytrzymać... Wybacz mi, ale to było silniejsze ode mnie i...

- Ciii.... Valentine. - Mężczyzna przykładą palec do jej ust.

Melania natychmiast milknie i z wrażenia przetyka ślinę, bo właśnie przypomniała sobie wypowiedź dominy: „Symbolem może być cokolwiek: element stroju, jakieś słowo, imię...”. Nie wie, czy to zbieg okoliczności (kolejny - po muzyce), czy też Adam rozmawiał z Angeliką.

- Zamknij oczy.

Teraz już jest pewna: gra właśnie się zaczyna. Panna Duvall bierze głęboki wdech...

Harding wyciąga z torby czarną satynową maseczkę i zawiązuje ją na oczach kochanki. Gdy za nią stoi, widzi wyraźnie, że jej ciałem wstrząsają lekkie dreszcze. Domyśla się, że to raczej z emocji niż z zimna, ale i tak sięga po pilota od klimatyzacji.

- Zdejmij wszystko, szlafrok i bikini - pada kolejne polecenie.

Melania stara się w miarę szybko je wypełnić, ale drżącym dłoniom dopiero po dłuższej chwili udaje się rozwiązać supeł paska. Czarny strój

ląduje na szlafroku, leżącym wokół stóp kobiety. Adam z głośnym westchnieniem nabiera powietrza, mimo że tyle razy widział ją nagą.

- Wyciągnij przed siebie ręce.

Wyjmuje kolejną rzecz: znów czarny sznurek, ale znacznie dłuższy i cieńszy od poprzednich. Chwyta go w połowie i wprawnymi ruchami kilkukrotnie oplata przedramiona Melanii, a później przeciąga oba końce między każdym palcem i zawija na przeciwległym nadgarstku. W ten sposób powstaje przepiękna plecionka, wyraźnie kontrastująca z jasną skórą.

- Pamiętaj, że nie możesz się szarpać, bo sznur wpije się w ciało. - Harding delikatnie przeciąga wierzchem dłoni po policzku uległej. - Rozumiesz?

Kobieta zagryza wargi i kiwa głową. Adam nie może się oprzeć i delikatnie dotyka brodawki prawej piersi, ściska ją coraz mocniej, aż z ust Melanii wyrывa się cichutkie jęknięcie.

- Podoba ci się? Możesz odpowiedzieć. - Męski głos brzmi uspokajająco.

- Tak...

- Chodź.

Harding chwytą Melanię za ramię i powoli prowadzi ją przez salonik. Docierają do narożnej sofy, stojącej pośrodku. To bardzo piękny mebel, w fantazyjnym, łukowatym kształcie, tapicerowany prawdziwą cielecą skórą w kolorze gorzkiej czekolady. Adam ustawia swoją dziewczynę za tylnym oparciem i lekko popycha do przodu, jej kolana stykają się z miękkim obiciem.

- Valentine, czy jesteś gotowa przyjąć karę? - pyta zachrypniętym głosem.

Moje serce wali jak oszałałe. Mam wrażenie, że bije wszędzie, w każdej najmniejszej żyłce i kosteczce. Jestem ogromnym, tętniącym sercem. Czy czuję się gotowa, by przyjąć karę? Nie, choć czekałam na to z utęsknieniem od tyłu dni. Chyba jeszcze bardziej się boję i mocniej tego pragnę niż poprzednio. Znów ta niesamowita ambiwalencja.

Najchętniej rozerwałabym się na trzy: Melania salwowałaby się ucieczką wplaw, Valentine została, aby otrzymać lanie z rąk Pana, a panna Duvall wskoczyła do łóżka z Hardingiem.

- Valentine? - ponagla mój Pan.

- Daj mi jeszcze chwilkę. Proszę. - Przykładam do ust skrępowane dłonie.

- Źle się czujesz?

- Nie - odpowiadam natychmiast. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyśmy teraz przerwali. Cała się trzęsę, staram się oddychać z nosem zakrytym złożonymi palcami. To zapobiega hiperwentylacji, do której niewiele mi brakuje.

- Nie denerwuj się.

Czuję na ramieniu uspokajające dotknięcie.

- Czy mógłbyś wyłączyć muzykę? Rozprasza mnie.

- Dobrze.

Po chwili zapada cisza, a po kilku następnych sekundach Adam znów staje za mną.

- Dziękuję.

- Na pewno wszystko w porządku? - słyszę wyraźnie, że jego głos drży, więc od razu opuszczam ręce.

- Tak - odpowiadam, szcękając zębami i modląc się o to, żeby uwierzył.

Adam nic nie mówi, delikatnie chwyta mnie za ramiona i przechyla przez tylne oparcie kanapy. Po chwili moje ręce, zgięte w łokciach, spoczywają na siedzisku. Opieram czoło na związanych nadgarstkach. To całkiem komfortowa pozycja, bo sofa jest miękka i na tyle niska, że stoję dosyć stabilnie, wspierając się biodrami o brzeg oparcia. Lekko rozstawiam nogi. Niestety: mimo moich starań ciągle lekko się trzęsą.

- Valentine, nie zwiążę ci nóg, to byłoby za duże ułatwienie. Sama musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, i nie ruszać się w trakcie wykonywania kary. Nie wolno ci także osiągnąć spełnienia. Rozumiesz?

- Tak.

Kiwam głową, choć dobrze wiem, że będzie ciężko. Wolałabym, żeby zabronił mi krzyczeć, mówić, płakać... ale jak opanować orgazm?

Biorę głęboki wdech, czując dłoń Pana, która zaczyna gładzić skórę na moim tyłku. Palec zjeżdża między pośladki, mija pierwszą dziurkę i dociera do drugiej: wilgotnej i delikatnie pulsującej. Opuszka na chwilę wsuwa się do środka i zabiera trochę soków, wraca, natrafia na łechtaczkę i zaczyna zataczać kółeczka na jej szczycie. Słyszę, że mój kochanek też ciężko oddycha, a to - jak zawsze - jeszcze bardziej mnie podkręca.

Zaciskam zęby, nie ośmielę się poprosić, żeby przestał, ale jeśli pieszczota potrwa kolejne dwadzieścia sekund, na pewno odleczę. Na szczęście (albo nieszczęście?) Adam przerywa i gdzieś odchodzi, a ja znów mogę wziąć głęboki wdech. Zastanawiam się, czy tak właśnie ma wyglądać

moja kara. Pan zamierza pieścić moją cipkę i przestawać, gdy będę bliska spełnienia? To naprawdę bardzo wyrafinowana i dotkliwa tortura...

Wsluchuję się w odgłosy dobiegające z jachtu. Z pewnością mój Pan coś wyjął z torby (szelest ortalionu był bardzo wyraźny) i dokąś poszedł, chyba jest w sąsiadującej z salonem łazience, bo słyszę delikatny szum wody. Nieco się uspokajam, nieobecność Pana trwa co najmniej dwie minuty, więc mam trochę czasu. Niestety: gdy tylko dociera do mnie odgłos zbliżających się kroków, moje ciało znów ogarnia pożar.

- Wiem, że tego pragniesz. - Głos brzmi niewiarygodnie seksownie, jest niski i cichy.

Zanim zdążę odgadnąć, o co chodzi, coś znów wślizguje się w wąską szczelinę między nabrzmiałymi wargami. Nie odzywam się, przyspieszony oddech mówi sam za siebie. Dostyc

szybko zauważam, że tajemniczy przedmiot, który mnie dotyka, jest chłodny i zaskakująco gładki. Metal? A może jakiś kamień? Gubię się w domysłach, nigdy nie miałam czegoś podobnego w waginie. Postanawiam skupić całą uwagę na czymś innym, bo dziwaczna rzecz przesuwającą się w szparce znów podkreśla atmosferę. To zaczyna być udręką... Wcześniej starałam się tkwić w bezruchu, ale teraz nie wytrzymuję - lekko unoszę biodra i ocieram się rozpaloną łechtaczką o zimną powierzchnię zagadkowego gadżetu. Odkrywam, że ma on wyraźny, choć gładki rant, i gdy dociskam cipkę do tego miejsca, doznania są nieprawdopodobnie przyjemne.

- Co robisz? - Mój Pan natychmiast zauważa, do czego zmierzam, i wyjmuję przedmiot.

Zastygam, w oczach pojawiają się łzy.

- Nie mogę się opanować... - przyznaję po chwili. – To zbyt trudne...

Znów słyszę oddalające się kroki. Tym razem Adam poszedł chyba do kuchni. Wraca po niecałej minucie.

- Wstań.

- Przepraszam. Już mi przeszło.

Nie chcę tak zakończyć dzisiejszego wieczoru, dlatego leżę uparcie w oczekiwaniu na karę.

- Prosiłem, żebyś wstała. Czy mnie nie zrozumiałaś?

- Zrozumiałam.

Dźwigam się posłusznie, ale bardzo mi przykro. Przełykam łzy goryczy, stojąc i czekając na następny ruch mojego Pana, ale czuję, że to koniec sesji. Po prostu byłam zbyt słaba i nie potrafiłam opanować chuci.

- Napij się, to woda - padają dość zaskakujące słowa.

Czuję lodowatą powierzchnię przywierającą do ust. Nieśmiało biorę kilka łyčzków. Nie mogę sama trzymać szklanki, ale jakoś udaje mi się ją opróżnić.

- Dziękuję. Byłam spragniona.

- Dlaczego płaczesz? - Ciepły oddech muska wilgotną skórę policzków.

- Nie odtrącaj mnie. Już nie będę tak się zachowywać. - Chciałabym się przytulić, ale nie mam jak, bo moje ręce są związane, a oczy zasłonięte.

- Mel... nie odtrącam cię. Nigdy tego nie zrobię, przecież obiecałem.

- Mel? - powtarzam. - To koniec kary?

- Nie. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy. Chciałem cię tylko uspokoić. - Adam obejmuje mnie i mocno przyciska do siebie. - Lepiej? - pyta po minucie kołysania.

- Tak.

- Świetnie. Valentine, przyjmij postawę. - Obraca mnie ponownie w stronę sofę.

Posłusznie się kładę, nie mogąc wyjść z podziwu, jak szybko mój Pan zmienił tembr głosu. Zamieram w oczekiwaniu na... No właśnie, nie wiem na co, bo jest zupełnie inaczej niż przed chwilą.

- Co...

- Nie odzywaj się, póki ci na to nie pozwolę.

Znów słyszę szelest otwieranej torby, a później odgłos czegoś kładzonego na stoliku, który stoi po lewej stronie kanapy.

- Rozluźnij się. - Ciepła dłoń chwyta za mój lewy pośladek.

Jak mam to zrobić, skoro każde dotknięcie wywołuje natychmiastową reakcję w postaci napięcia wszystkich mięśni? Mimo to staram się zadowolić Pana i nieco wyluzować. Niestety: gdy coś próbuje wślizgnąć się do mojej drugiej dziurki, zamieram i odruchowo ściągam pośladki.

- Val, prosiłem, żebyś tak nie robiła.

Mocny klaps zdecydowanie wzmacnia przekaz werbalny. Natychmiast zagryzam wargi, żeby powstrzymać jęk bólu. „Kurwa! Z ręki też konkretnie boli...” Jestem bardzo zaskoczona, choć powinnam przewidzieć, że konfrontacja z dłonią mojego Pana (masywną i silną) może być opłakana w skutkach. Skóra szczypie niemiłosiernie, nie mam ochoty na powtórkę, więc potrząsam tyłkiem, żeby jak najszybciej spełnić życzenie mężczyzny.

Postępuję cichutko, gdy coś (ciągle nie wiem co) forsuje mój zwieracz. Na szczęście jest posmarowany jakąś substancją, która zdecydowanie ułatwia całą operację.

- Już. I po co ten stres? - Pogodny głos plus lekkie klepięcie w drugi pódłupek.

Oddycham ciężko, czując w sobie tajemniczą rzecz. Zaciskam mięśnie wokół odbytu, próbując wypchnąć ją z siebie, ale ku mojemu zdumieniu ona chyba jeszcze głębiej we mnie wchodzi. A co w tym jest najdziwniejsze? Że to naprawdę niesamowicie przyjemne uczucie. Już wiem! Nagle przypominam sobie zawartość drewnianej kasetki, którą widziałam u Angeliki. „Jestem zakorkowana!” - śmieję się w duchu. Nie mam pojęcia, dlaczego tak mi wesoło, skoro za chwilę pewnie przeżyję to co Liu. Nie mogę tylko odgadnąć, kiedy Adam zdążył porozmawiać z Niną o przebiegu naszego spotkania.

- Przygotuj się. - Pan ponownie klepie mnie w lewy pośladek, wracam do rzeczywistości.

Od razu oblewa mnie fala zimnego potu...

Mężczyzna jest zachwycony, napawa się widokiem i magiczną chwilą, która może trwać tak długo, jak tylko będzie chciał. Stoi przed nagą kobietą, która całkowicie mu się oddała. Jest bezwolna, posłuszna i - tak samo jak on - spragniona tego, co zaraz nastąpi.

Harding sięga po palcat. To prawdziwe cacko, robione na zamówienie: uchwyt jest owinięty safianem najwyższej jakości i ozdobiony wygrawerowanymi inicjałami właściciela, a wąska klapka na końcu dwunastocalowego trzonka została wykrojona ze skóry cordovan (takiej jak ta z paska sprezentowanego przez Melanię). Wcześniej krótki bat leżał w specjalnej skrzynce z drewna cedrowego. Adam kupił go niecały rok temu w jednym z najlepszych sklepów jeździeckich w Stanach - z myślą, że użyje go dopiero wtedy, gdy uda mu się zdobyć na aukcji odpowiednią klacz, najlepiej rasy hanowerskiej.

Panna Duvall z pewnością klaczą nie jest, ale w ocenie swojego Pana zasłużyła na ten palcat bardziej niż którykolwiek koń z pierwszej dziesiątki czempionów według rankingu WBFSh*.

- Valentine... - Mężczyzna nie może się oprzeć i delikatnie przejeżdża klapką między pośladkami uległej. - Otrzymasz pięćdziesiąt batów palcatem, w seriach po dziesięć. Liczę ja. Między seriami robimy przerwę. Gdy jesteś

gotowa na pierwszą i każdą kolejną, mówisz: „Już”. Możesz płakać, krzyżeć. Bez obaw: nikt oprócz mnie tego nie usłyszy. Nalegam jednak, żebyś się nie wierciła. To dla twojego bezpieczeństwa, nie chciałbym cię skaleczyć i przeciąć twojej delikatnej skóry. Jeśli nie posłuchasz, przywiążę ci nogi i dołożę dziesięć uderzeń za moją fatygę. Wszystko zrozumiałaś? Możesz odpowiedzieć lub pokiwać głową – wyjaśnia spokojnym tonem.

- Tak.

- Jeszcze ostatnia kwestia: gdybyś nie mogła wytrzymać, natychmiast daj mi znać. Przypominam, że masz taką możliwość.

- Czy mogę o coś spytać? - odzywam się z trudem. Jestem oszołomiona, nie myślałam, że kara będzie aż tak bardzo się różnić od poprzedniej. Szczerze mówiąc, obawiam się, że naprawdę nie wytrzymam, zwłaszcza jeśli mój Pan nie będzie się oszczędzał. Od dziecka jeżdżę konno i wiem, jak to jest dostać batem skokowym. Kiedyś Ashley walnął mnie nim przypadkowo. Bolało jak diabli, choć byłam ubrana.

- Oczywiście. Proszę, pytaj.

- Jak mam to zrobić? Powiedzieć hasło?

- Tak.

- Mam powiedzieć „tramwaj”? - upewniam się.

- Tak. - Głos Adama brzmi bardzo spokojnie.

„Chwileczkę... czyja dobrze usłyszałam?” Próbuję wszystko usystematyzować, ale to nic nie daje. Pod powiekami czuję nieznośne szczypanie. Płacz nie pozwala mi wypowiedzieć tego co właśnie kłębi się w mojej głowie i w moim sercu. „Nie chcę cię stracić... Adam, kocham cię i nie chcę stracić... Czy to tak trudno pojąć, czy jeszcze tego nie zauważyłeś? - pytam bezgłośnie i przełykam ślinę. - Aż tak bardzo chcesz mnie sprawdzić, postawić pod ścianą? Muszę wytrzymać, choćby nie wiem co się działo...” - postanawiam w duchu. Kilka razy biorę głęboki wdech, nie chcę, żeby się zorientował, że płaczę.

- Teraz wszystko jasne - mamroczę, wtulając twarz w siedzisko sofy, i nagle spływa na mnie olśnienie.

* World Breeding Federation for Sport Horses - międzynarodowa organizacja związana ze sportami konnymi, publikująca prestiżowe rankingi koni i ich hodowli.

palcatem, więc nie bardzo się orientuję. No cóż, nie ma nad czym dywagować, zaraz dowiem się wszystkiego z autopsji.

Wiem już, o co chodzi Adamowi! Zasady przewijają się przed oczami: „Bezpieczeństwo, dyscyplina, rozkosz, zaufanie, szacunek, oddanie, posłuszeństwo...”. Po prostu muszę całkowicie oddać się Panu, ufając, że on zadba o moje bezpieczeństwo i potraktuje mnie z szacunkiem. To takie proste i jednocześnie tak bardzo trudne.

- Cieszę się, Valentine. Powiedz, kiedy będziesz gotowa.

Zaciskam pięści, choć to niełatwe, bo sznureczki od razu wpijają się w skórę między palcami. Po kilku sekundach otwieram dłonie i składam je jak do modlitwy. W tej pozycji jest najwygodniej, o ile mogę teraz mówić o jakimkolwiek komforcie. Ciekawe, czy będzie słyhać świst... Próbuję sobie przypomnieć, jak to wygląda w praktyce. Nigdy nie uderzyłam konia

- Już.

Znowu to nieznośne oczekiwanie...

- Jeden.

Zagryzam wargi.

A jednak jest: moje ucho przez ułamek sekundy rejestruje niezbyt głośny świst poprzedzający uderzenie.

Dziwne uczucie. Zupełnie jakby ktoś przeciągnął po moim ciele cienkim strumieniem lodowatego ognia. I dlaczego tak nisko? Bat dotknął ud jakies cztery cale pod pośladkami.

- Dwa... trzy... cztery... pięć...

Zaczyna szczypać, kolejne razy przesuwają się coraz wyżej.

Nagle łapię się na tym, że wstrzymuję oddech. Żeby nie zasłabnąć, natychmiast nabieram powietrza. Dziesiąte uderzenie łąduje na samym szczycie pośladków i jest na tyle bolesne, i z moich ust pierwszy raz wrywa się cichy jęk. Na szczęście wiem, że teraz mogę troszkę odsapnąć. Przeżyłam... Obracam głowę na bok i po prostu odpoczywam jak po najcięższych ćwiczeniach. Rozluźniam mięśnie i staram się spokojnie oddychać. Fala gorącej krwi powoli zaczyna rozplýwać się po całym ciele, to bardzo przyjemne uczucie. Zapominam o wszystkim, zwłaszcza o strachu. W zasadzie jestem gotowa na drugą serię.

- Już.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć...

Czuję je wszędzie, mocne smagnięcia docierają do każdego miejsca. Tym razem dostaję kilka w zaniedbane do tej pory boki pośladków i ud. Gdy seria się kończy, mam wrażenie, że cała płonę.

- Już! - mówię sekundę po tym, jak ostatnie uderzenie spada na

najwyżej wysunięte miejsce. Nie chcę czekać, to zbyt przyjemne. ' 1

- Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem...

Razy są coraz mocniejsze i szybsze, a może tak mi się wydaje. Dziesiąty znów dosięga szczytów pośladków i jest tak silny, że uginają się pode mną nogi, a z ust wyrywa się głośny jęk. Niewiele brakuje, żebym upadła. Chcę powiedzieć „Już”, ale nie mam siły.

Pan podnosi mnie z sofy i układa wzdłuż jej oparcia jak szmacianą laleczkę. Lewa noga wspiera się kolanem o siedzisko, a prawa wisi nad podłogą. Pod cipką ląduje jakaś tkanina. To chyba szlafrok, bo frotte drażni wrażliwe miejsce. Nie wiem, co się dzieje, jestem zbyt oszołomiona.

- Rozetnę sznur. Nie wystrasz się - słyszę spokojny głos.

Czuję dotyk czegoś zimnego (noża?), po chwili ręce są wyswobodzone. Adam układa je na górze oparcia. Moja nowa pozycja przypomina leżenie na oklep, brakuje jedynie charakterystycznego zapachu sierści i długiej końskiej grzywy pod policzkiem.

- Gdy będziesz gotowa, daj mi znać.

- Już - odpowiadam natychmiast. - Jeden...

I zaczyna się! Coś absolutnie kosmicznego, jak odlot po narkotykach (przynajmniej tak to sobie wyobrażam). Otacza mnie symfonia doznań, westchnień i jęków, przyspieszonego oddechu mojego Pana, świstu bata, cichych uderzeń o skórę, rozlewającego się bólu i tego, co w tym wszystkim jest najbardziej zaskakujące... Każde zetknięcie palców z moim ciałem lekko nim wstrząsa. Nabrzmiąta z podniecenia łechtaczka pulsuje coraz szybciej, rytmicznie styka się z czymś wystającym (może to krawędź rękawa albo szwu grubej tkaniny?) i to coś działa jak wibrator.

- Dziesięć!

- Już!

Nasze dwa głosy wybrzmiewają równocześnie.

- Jeden... dwa... trzy... - Mocniej!

Żądza wygrywa z respektem. Nie baczę na to, że powinnam go zachować, i popędzam mojego Pana.

- Cztery... pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć...

- Już!!! - Tym razem ja jestem pierwsza.

- Dziesięć.

- Już! - powtarzam, bo nic się nie dzieje.

- Mel, to koniec kary... - Męski głos dociera do mnie jak przez mgłę.

- Jestem Valentine! Bij mnie!!! - jęczę ostatkiem sił. - Błagam cię!!! Bij mnie

tak mocno, jak tylko możesz i chcesz, aż do krwi!

Kilka sekund wlecze się nieznośnie. Zdesperowana, zaczynam ruszać biodrami, podnoszę je i opuszczam, przesuwając nabrzmiałą z podniecenia cipką po szorstkim materiale.

- Wiercę się, widzisz?! Nie słucham cię! Jestem niegrzeczna! - Już mam wykrzyczeć, że masturbowałam się wczoraj u Angeliki, a ona widziała moją nagą waginę, ale wtedy słyszę, jak mój Pan bierze głęboki wdech...

- Jeden... Smagnięcie spada na pośladki.

- Dwa... trzy... cztery... pięć... Uderzenia są coraz mocniejsze.

- Sześć... siedem... osiem... Palcat rytmicznie ląduje na plecach.

- Dziewięć... Powrót w dół.

Odgłosy gdzieś znikają, przed oczami robi się jasno, a sekundę później widzę tylko czerwień. Brakuje mi tchu, piszczy w uszach. I nagle się pojawia...

Fala spazmów wstrząsa całym ciałem. Najmocniejszy orgazm, jaki kiedykolwiek przeżyłam, przyplęwa i odpływa jak ocean w czasie sztormu. Serce wyskakuje z piersi, mam wrażenie, że zaraz umrę z rozkoszy, chce mi się krzyczeć, ale mam ściśnięte gardło i nie mogę otworzyć ust, więc wrzeszczę w środku tak głośno, że rozsadza mi płuca, łzy płyną strumieniami, co za obłęd...

- Dziesięć!

Ostatnie smagnięcie przecina środek pośladków.

- Dziękuję - szepczę po chwili. To niesamowite, ale moja vagina wciąż drży, szarpana niekończącymi się skurczami, choć minęła już pewnie minuta. - Kocham cię, Panie...

Adam rzuca palcat. Ciągle nie może uwierzyć w to, co rozegrało się przed kilkoma sekundami. Właśnie przeżył najbardziej emocjonujące chwile w swoim życiu. To było jak tornado, które porwało go i uniosło gdzieś daleko, poza granice rozumu i samokontroli. Przekroczyli kolejną barierę, zrobili to razem - ona i on - pędząc na oślep, gnani szalonym, wręcz zwierzęcym pragnieniem, i tracąc po drodze resztki opanowania. Mężczyzna wlepia oczy w pokryte bordowymi pręgami ciało kochanki. Kilka z nich podbiegło tu i ówdzie maleńkimi kropelkami krwi. Wygląda to niesamowicie, i strasznie, i pięknie.

W uszach Hardinga ciągle wybrzmiewają te słowa: „Bij mnie!!! Błagam

cię!!! Bij mnie tak mocno, jak tylko możesz i chcesz, aż do krwi!". To on jest twórcą, a raczej sprawcą, ale tylko człowiek z kamienia byłby w stanie się powstrzymać i nie wysłuchać próśb wyartykułowanych tak kusząco. Mimo to Adam jest zdruzgotany. Znów go poniosło! I jeszcze to wyznanie na koniec...

Bierze kompletnie bezwładną Melanię na ręce i niesie do sypialni, sąsiadującej z salonikiem. Układa kobietę na wielkim łóżku, starając się zrobić to jak najdelikatniej, po czym włącza niewielką lampkę nocną i błyskawicznie zdejmuje z siebie ubranie. Kiedy kładzie się obok ukochanej, boi się nawet jej dotknąć, ale pożądanie jest zbyt silne.

- Mel... pragnę cię. - Nachyla się nad nią i obsypuje pocałunkami rozpalone policzki.

- Kochaj się ze mną. Proszę... - Melania nagle przytomnieje. Obejmuje go drżącymi z emocji ramionami. - Kochaj się ze mną.

- Wyjmę to. - Adam wsuwa prawą dłoń między uda kochanki.

- Nie. Zostaw. Kochaj się ze mną, ale najpierw, proszę, powiedz mi coś...

- Cichy głos brzmi błagalnie.

- Co mam powiedzieć?

- Coś miłego. Potrzebuję tego teraz.

- Jesteś cudowna, najpiękniejsza, najmiłsza... Pragnę cię, chcę cię całą, jesteś tylko moja i zawsze tak będzie... - Wargi Adama muskają oblane potem i łzami ciało Melanii. - Maleńka, byłaś taka dzielna, taka wspaniała. Nawet nie wiesz, co dzięki tobie przeżyłem, dziękuję... - Słowa sączą się do uszu kobiety jak najśłodszy nektar.

Mel zaciska ciągle ściernięte palce na włosach kochanki i przyciąga jego głowę do swoich piersi.

- Kochaj się ze mną...

Harding, którego rozsadza pragnienie, rozsuwa nogi Melanii, wspiera się na ramionach, wreszcie wbija fallusa w mokrą i rozgrzaną do czerwoności cipkę. Obawia się, że to nie potrwa

długo, bo jest zbyt podniecony. No i jeszcze ten pozostawiony gadżet - dodatkowe źródło bodźców...

- Aaa!... - Mel wygina się w łuk, wbija palce w twarde, umięśnione pośladki partnera i próbuje je docisnąć. Znów jest rozpalona, choć poprzednie spełnienie było tak silne, że prawie odebrało jej przytomność. - Kochaj się ze mną! Mocno!

Adam bierze głęboki wdech. Jego obawy się spełniły: przy każdym ruchu

wyczuwa przez cienką ściankę waginy brzeg zatyczki analnej. Już po kilku posunięciach mężczyzna jest na krawędzi, ale stara się wytrzymać jak najdłużej. Chciałby ponownie dać rozkosz Melanii, dlatego zwalnia co kilka sekund i zmniejsza głębokość pchnięć, żeby odsunąć w czasie moment wytrysku.

- Mel, nie mogę już dłużej... - W końcu się poddaje. Jego ciałem wstrząsa potężny orgazm...

Przeżyć dwa orgazmy w ciągu niecałych pięciu minut? Zawsze wydawało mi się to nieprawdopodobieństwem, ale jednak się stało. Ten pierwszy był jak tsunami, wpadł z impetem, rozwalając wszystko po drodze. A drugi? Zupełnie inny: delikatny jak uderzenia fal o piaszczystą plażę w bezwietrzny i słoneczny dzień.

„Jak się pani czuje, panno Duvall?” - gdyby ktoś teraz zadał mi takie pytanie, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Chyba się nie czuję... Wydaje mi się, że nie mam ciała. Jestem tylko myślą, płataniną wspomnień i doznań, kompozycją czegoś bezcielesnego i ulotnego. Zmysły nie funkcjonują, przedawkowałam bodźce, pewnie dlatego się wyłączyły. Zadziałał mój wewnętrzny, osobisty bezpiecznik.

Leżę (a może: unoszę się?) swobodnie, gdzieś w bliżej nieokreślonej czasoprzestrzeni, i próbuję rozmyślać, jak to jest mieć ciało i być sobą. Zaczynam od uświadomienia sobie tego, że oddycham. Wizualizuję unoszącą się powoli klatkę piersiową, do obrazu dołącza cichy szmer oddechu, a potem zapach i temperatura powietrza, kołysanie jachtem...

Bez wątpienia jestem człowiekiem. Unoszę powieki, rzęsy niemrawo przesuwają się po satynowej tkaninie. Nie mam siły zdjąć opaski, więc zamykam oczy.

Znów bezwładnie zapadam się w ciemność.

Mel?

Czuję dotyk na ramieniu. Palce są ciepłe i bardzo delikatne. No tak, przecież nie jestem sama. Obok mnie jest on, mój najdroższy. Pierwszy mężczyzna, któremu wyznałam miłość, akurat to pamiętam bardzo wyraźnie.

- Mel?! - W jego głosie słyszę niepokój, więc od razu odpowiadam: „Tak?”.

Nie wiem dlaczego, ale nie słyszę siebie. To bardzo dziwne... Adam

chyba też mnie nie słyszy. Brzeg materaca lekko się ugina pod jego ciężarem. Dłoń unosi moją głowę, a druga zdejmuje opaskę.

- Mel, popatrz na mnie!

Tak bardzo chcę to zrobić, ale ciało wciąż odmawia posłuszeństwa.

- Mel! Kochanie! Dobrze się czujesz? Powiedz coś!

Biorę głęboki wdech, otwieram oczy i z wysiłkiem spełniam prośbę:

- Tak.

- Boże! - Adam chwyta się za czoło. - Myślałem, że coś ci się stało.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Wystraszyłaś mnie...

- Przepraszam. Po prostu odpoczywałam - wyjaśniam.

Adam raczej mi nie wierzy, bo w jego oczach ciągle widzę niepokój i troskę.

- Poczekaj, usiądę - uspokajam go.

- Pomogę ci. - Chwyta mnie za ramiona i powoli podnosi do pionu.

- Kręci mi się w głowie - stwierdzam niefrasobliwie.

Zerkam na mojego mężczyznę, ale on nie patrzy na mnie, skupia się na czymś za moimi plecami. Obracam się, żeby zobaczyć, co go tak zainteresowało.

- Ups, zbrudziłam pościel... - kwituję z lekkim uśmiechem. Całe prześcieradło pokryte jest maleńkimi ciemnymi plamkami zasychającej krwi.

- Mel, ja... - Adam na moment zaciska powieki i zakrywa usta zwiniętą w pięść dłonią. Kręci głową z niedowierzaniem, ciężko wzdychając.

Od razu się domyślam, co się stało. Mój kochanek czuje się winny, że tak mocno mnie wychłostał, ale przecież sama tego chciałam. Dobrze pamiętam, co wykrzykiwałam i jak bardzo błagałam o ostatnie dziesięć uderzeń. Nie mam zamiaru pocieszać swojego Pana, wiem, że to by mu się nie spodobało, więc postanawiam po prostu zignorować sprawę.

- Czy mógłbyś pomóc mi wstać? Chciałabym skorzystać z toalety.

- Zaniosę cię.

Adam podnosi się z łóżka, jest w samej bieliźnie i jak zwykle wygląda pięknie. Gdy bierze mnie na ręce, obejmuję go ramionami i całą drogę całuję po twarzy, pokrytej jeszcze niewidocznym, ale już wyczuwalnym zarostem.

Razem wchodzimy do sporej łazienki. Jest zupełnie inna niż ta, w której się przebierałam, wyłożona marmurowymi płytami w różnych odcieniach

beżu.

- Możesz na chwilę zostawić mnie samą? - Zagryzam wargi, bo zdaję sobie sprawę, że tajemnicza zabawka, która we mnie tkwiła, gdzieś zniknęła. Mimo to wolę się upewnić.

- Oczywiście.

- Zawołam cię. To potrwa chwilę.

Błyskawicznie korzystam z toalety, choć to dość trudne - podczas siadania wszystko mnie boli. Przy okazji sprawdzam, czy na pewno nic we mnie nie zostało. „Hm... jesteś bardzo delikatny i dyskretny, Panie...” Uśmiecham się do odbicia w lustrze, a potem, obrócona tyłem, spoglądam przez ramię.

- Już - mówię na tyle głośno, żeby mój mężczyzna usłyszał, nie spuszczając z oka tego, co widzę i co tak mnie zachwyca.

- Mel... - Adam dołącza do mnie po krótkiej chwili. Dopiero teraz odrywam wzrok od jego dzieła.

- Dziękuję... - Unoszę się na palcach i całuję w usta.

- Chcesz się odświeżyć?

- Chętnie.

- Pomogę ci. - Wprowadza mnie do kabiny.

Na szczęście jest tak duża, że mieścimy się w niej bez problemu.

- Odwróć się i oprzyj o ścianę.

Przykładam dłonie do chłodnej powierzchni kamienia.

- Może trochę szczypać...

Zaciskam zęby, żeby jakoś wytrzymać. Adam stara się jak najdelikatniej nakładać żel, ale i tak czuję każde, nawet najlżejsze dotknięcie. Dobrze, że woda tryskająca z prysznicza zagłusza moje westchnienia, jęki i syknięcia.

- Mógłbyś zmniejszyć temperaturę? - proszę cicho, próbując nie dać po sobie znać, że wszystko boli i piecze coraz bardziej.

- Skończyłem, możesz się odwrócić.

Staję pod orzeźwiającym strumieniem i podziwiam mojego mężczyznę. Patrzę na mokre kosmyki włosów, kropelki wody kapiące prosto na umięśniony nagi tors, silne przedramiona pokryte ciemnymi włoskami. „Czy mówiłam ci kiedykolwiek, że jesteś piękny? Chyba nie, mój drogi, ale nie powiem ci tego, bo wpadłbyś w samouwielbienie...”

- Jesteś głodna?

- Nie.

- Wystarczy. - Adam zakręca wodę i sięga po wielki, kąpielowy ręcznik,

którym delikatnie osusza moje ciało. - Zanieść cię?

- Nie. Sama dojdę. - Ostrożnie opuszczam kabinę, podtrzymywana pod ramię.

- Poczekaj, przyniosę ci szlafrok.

- Dziękuję ci, ale to niepotrzebne. - Nie wyobrażam sobie, że mogłabym teraz coś na siebie założyć. Nawet bielizna odpada, mój tyłek oberwał najmocniej, więc ucisk gumek na poturbowanej skórze to ostatnia rzecz, o której marzę.

Przechodzimy do sypialni.

- Poczekaj.

Ze spokojem patrzę na Adama, który zrywa poplamione prześcieradło, otwiera wąską szafę skrytą w narożnej wnęce i wyciąga z niej kolejne, czyste. Rozkłada je wprawnym ruchem i pieczołowicie wygładza każdą fałdkę materiału.

- Dziękuję. Jesteś naprawdę kochany.

- Pomogę ci... - Staje przede mną i bierze mnie za rękę.

- Wolę sama. Chyba powinnam zażyć coś przeciwbólowego. Dwie tabletki vicodinu zdecydowanie poprawiłyby mi samopoczucie.

- Nie ma mowy. Piłaś alkohol - przypomina mi Adam. - Jeśli chcesz, zrobię ci słabego drinka.

- Chętnie. Daj dużo lodu.

- Krioterapia?

- Coś takiego - chichoczę.

- W porządku. Zaraz wracam.

Podchodzę do zaśnieżonego łóżka i powoli kładę się na brzuchu. Dobrze, że jestem sama, bo odbywa się to w akompaniamencie dość głośnych jęków i syknięć. Wszystko boli i piecze zdecydowanie mocniej niż poprzednim razem. W końcu jakoś udaje mi się ułożyć.

- Proszę. - Adam przysiada na krawędzi łóżka.

Unoszę się na drżących przedramionach, sięgam po szklaneczkę i powoli wypijam całą jej zawartość.

- Dziękuję. - Od razu opadam z powrotem.

- Mel...

- Tak?

- Żałujesz?

Nie wiem, czego miałabym żałować. Tego, że dałam się tak dotkliwie zbić i błagałam o więcej? A może chodzi o moje wyznanie?

- Niczego nie żałuję, jestem szczęśliwa i bardzo śpiąca. - Obracam głowę na bok i zamykam oczy.

- Czy mógłbym zrobić ci parę zdjęć? Zabrałem lustrzanąkę.

- Jeśli chcesz, proszę bardzo.

Jestem ciekawa, po co mu taka dokumentacja, ale nie wnikam. Milczę, a on uwiecznia swoje dzieło, pstrykając fotki. Za każdym razem, gdy migawka strzela, lekko się wzdrygam.

- Dziękuję, że mi pozwoliłaś. Przykryję cię prześcieradłem.

Już mam zaoponować, bo boję się bólu, lecz Adam robi to bardzo delikatnie.

- Śpij. - Całuje mnie w policzek i gasi małą lampkę, po czym kładzie się tuż obok.

- Valentine, powinienem cię ukarać. - Niski głos Pana wlewa się wprost do ucha. - Byłaś bardzo niegrzeczna.

Ciepłe opuszki palców wędrują po moich plecach, pośladkach, udach. Każde dotknięcie wywołuje kolejną falę dreszczy. Delikatne włoski pokrywające ciało podnoszą się i zaczynają łaskotać, ocierając się o prześcieradło. To bardzo przyjemne, od razu robię się mokra. Lekko unoszę biodra, marząc o tym, żeby w mojej waginie znalazł się ogromny i twardy penis ukochanego.

- Zrobiłaś coś bardzo złego... - mruczy Pan. - Muszę cię skarcić.

„Co za niesamowity sen... Chcę więcej. Śnij mi się, Panie, ukarż mnie, a potem zerznij bez litości...”

- Rozłożyłaś nogi, widziałem twoją śliczną różową cipkę, była wilgotna i spragniona mojego dotyku, ale ty nie poczekałaś, wzięłaś wibrator i masturbowałaś się aż do spełnienia. Czy tak było?

- Tak - wzdycham na to wspomnienie.

Nie chcę się obudzić z tego fascynującego snu. Są tylko nasze głosy i dotyk...

- Byłaś bezwstydną i nieposłuszną, złamałaś zakaz. Nie możesz sama się zadowalać. Zabroniłem ci tego. Pamiętasz? - Dłoń mężczyzny delikatnie masuje mój kark.

- Tak.

- Pokazałaś komuś innemu swoją słodką muszelkę, choć wiedziałaś, że ona należy wyłącznie do mnie i tylko ja mam prawo ją widzieć i jej dotykać?

- Tak... - szepczę coraz ciszej.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Chciałam, żebyś mnie karmił, często i mocno...

Palec przesuwa się wzdłuż kręgosłupa, aż dociera do szczeliny między pośladkami. Na chwilę zatrzymuje się przy drugiej dziurce, a potem wślizguje do ciasnego wnętrza waginy i trafia na tajemniczy punkt, którego dotknięcie wywołuje kolejny silny dreszcz. „Boże! Co za sen! Gdybym teraz się obudziła, popłakałabym się z żalu”. Moje serce znów galopuje, może Adam dosypał coś do drinka?

- Zasłużyłaś na surową karę? - Kolejne pytanie przerywa moje rozmyślenia.

- Tak.
- Jaką?
- Ukarz mnie tak, jak Angelika ukarała Liu.
- Wychłostać cię różgą? - Tak.
- Dlaczego ci się to podoba? - Bo bardzo boli...
- Chcesz tego? - Chcę.
- Ile uderzeń?
- Sto? - proponuję wciąż nieprzekroczoną przez nas liczbę.
- A jeśli cię zabiję?
- Nie zrobisz tego, ufam ci, Panie...

Na moment zapada cisza, przerywana jedynie naszymi oddechami: szybszym moim oraz głębszym i mocniejszym mojego Pana.

- Unieś pupę... - Kochanek wpycha pod mój brzuch małą poduszkę.

- Auu... - miauczę bez większego przekonania. Czuję, że coś wsunęło się do zaciśniętej dziureczki między pośladkami. To chyba palec zwilżony moimi sokami.

- Boli?
- Tak. Bardzo... - kłamię, choć nie wiem po co. Może chcę się podroczyć, sprowokować mężczyznę?

- Rozchyl nogi i rozluźnij się. Oddychaj spokojnie. - Głos znów jest gdzieś blisko ucha.

Przypominam sobie moment, gdy Pan pierwszy raz dotykał mnie w tym miejscu. To było w łazience, malowałam się, a on pieścił mnie, nie bacząc na mój opór. Jak bardzo się wtedy wstydziłam i bałam... Przetykam ślinę, podniecona wspomnieniem.

- Przeszło?

- Nie.

- Nadal cię boli?

- Nie bolało mnie... Żartowałam. - Zagryzam wargi i cicho chichoczę, zanurzając nos w poduszkę.

- Valentine, okłamałaś mnie? - Głos brzmi surowo.

- Tak...

W odpowiedzi słyszę jedynie głośnie westchnienie.

- Valentine, teraz będę cię pieprzył...

Już mam spytać, dlaczego najpierw mnie nie zbije, ale nie mam siły.

Pan klęka między moimi nogami, jego dłonie wsuwają się pod miednicę i unoszą mój tyłek. Tkwią z wypiętą pupą, nagle czuję przeszywający ból: palce na moment zacisnęły się na poślądkach. Dlaczego tak bardzo cierpię? Nie mogę tego zrozumieć. Przecież jeszcze mnie nie ukarał. A może tego nie zauważyłam? W końcu to tylko sen. Jestem mokra i pragnę, żeby wziął mnie jak najszybciej.

- Valentine, moja nieposłuszna Valentine...

Adam wyciąga dłoń i po omacku zabiera z szafki nocnej nowoczesne dildo, które kupił specjalnie dla ukochanej. Gadżet przypomina spore jajko, ma jakieś trzy cale długości, jest wykonany z bezbarwnego silikonu medycznego i zawiera baterie słoneczne. Steruje się nim za pomocą pilota, który - zaczepiony na tasiemce - wisi na lewym nadgarstku mężczyzny. Tym razem zabawka trafia wprost do rozgrzanej i wilgotnej z podniecenia waginy.

- Och... - Melania stęka z zachwytu, ale gdy tylko orientuje się, że to nie jej Pan wszedł w spragnioną szparkę, zastyga w oczekiwaniu na kolejną penetrację.

Mężczyzna znów po coś sięga, tym razem jest to mała buteleczka z bezzapachowym żelem nawilżającym. Adam odkręca korek i wylewa zawartość bezpośrednio na ciało kochanki, celując między poślądkami.

- Mmm... - mruczy Melania, czując chłodny płyn spływający wzdłuż pleców.

- Teraz naprawdę będzie bolało, ale nie wolno ci się skarżyć.

Jego dłonie zaczynają rozcierać żel na rozognionej od chłosty skórze i coraz bardziej zbliżają się do wolnej dziurki, aż w końcu oba kciuki wsuwają się w nią równocześnie.

- Boli... - Z ust Melanii wyrywa się niekontrolowany jęk.

- Valentine... - Głos brzmi stanowczo.

- Wybacz, Panie, już nie będę...

Gdy Adam słyszy, jak pięknie go nazwała, nie może już dłużej się powstrzymać. Wyciąga palce, chwyta lewe biodro swej niewolnicy i pomagając sobie prawą dłonią, wsuwa fallusa w ciasny otwór.

Mel odruchowo zagryza zęby na niewielkiej poduszce. Czuje się ekstremalnie wypełniona, jeszcze nigdy nie kochała się analnie w takiej pozycji.

- Nie wolno ci dojść. Rozumiesz? Dopiero gdy ci na to pozwolę.

- Tak. - Stłumiony kobiecy głos ledwie dociera do uszu mężczyzny.

Hardingowi się to nie podoba, chce słyszeć wyraźnie każdy jęk i każde westchnienie, więc wysuwa rękę, błyskawicznie odnajduje rozsypane na poduszce włosy ukochanej, owija je wokół dłoni i lekko pociąga. Melania wygina się w łuk, jej pośladki wysuwają się wyżej, a ciasna dziurka zostaje wypełniona po brzegi.

- Aaa...

Adam wsuwa wolną dłoń w pachwinę kobiety i jeszcze mocniej przyciska ją do siebie. Melania jest całkowicie unieruchomiona, nabita jak na dzidę i przygotowana na wszystko, co tylko Pan zechce z nią zrobić.

„To najlepszy sen, jaki miałam w życiu - stwierdzam, czekając na ostre rżnięcie. Nie wątpię, że takie będzie. - Nie budź się, nie budź się...” - powtarzam w myślach swoją mantrę.

Zaczyna się. Pan się nie oszczędza: pieprzy mnie tak mocno, że czuję, jak jego jądra uderzają o wejście do cipki. Robi się naprawdę gorąco... To jakiś obłąd. Nie wiem, dlaczego tak bardzo palą mnie pośladki i plecy. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz dostałam lanie, ale nie jestem w stanie logicznie myśleć. Pamiętam, że nie wolno mi dojść, ale to już praktycznie się dzieje...

- Stop, błagam... - jęczę ostatkiem sił, choć wcale nie chcę, żeby Pan mnie wysłuchał.

Niestety prawie natychmiast się zatrzymujemy, ruchy słabną niemalże do zera. Oddycham głęboko, czekając, aż nadchodząca fala rozkoszy wycofa się i pozwoli mi przetrwać kolejne minuty.

Mój Pan znów przyspiesza, ruchy są głębsze i mocniejsze. Kolejna zapowiedź ekstazy trwa nieco dłużej, choć może tylko tak mi się wydaje...

- Zwolnij, proszę. - Wolę wcześniej zareagować.

- Wytrzymaj!

Jego dłoń jeszcze mocniej pociąga mnie za włosy, a ruchy wcale nie słabną.

Nie wytrzymam, naprawdę nie dam rady! Czuję nieznośne mrowienie po prawej stronie cipki, już wiem, że jeszcze chwila i odleczę.

- Ja już nie mogę... - ostrzegam lojalnie i po prostu się poddaję.

Skurcze szarpią całym ciałem. Jest mi wszystko jedno, czuję się cudownie. Mój Pan tarmosi mnie jak lalkę i ciągle pieprzy bez litości, choć ja już odpłynęłam. Kolejne fale są tak mocne, że tajemnicza rzecz, którą mam w cipce, co chwilę się wysuwa, ale Pan za każdym ruchem mocnych ud wbija ją z powrotem. Trwa to pewnie z minutę, wreszcie orgazm się kończy. „Ja pierdolę, ale odjazd!” - w myślach pozwalam sobie złamać leksykalne tabu, a mój Pan i władca dalej mnie posuwa.

- Valentine... jesteś niesubordynowana - warczy mi wprost o ucha.

Nie wiem, jak to możliwe, ale znów się nakręcam. Wystarczyło jedno zdanie i moja rozszalała wyobraźnia? „Nie poznaję cię, panno Duvall...” - myślę ze zdziwieniem.

- Zasłużyłaś na naprawdę ostre lanie. - Głos Pana brzmi tak przejmująco męsko i groźnie...

Błyskawicznie się rozgrzewam i nagle czuję, że coś zaczyna się dziać w mojej ciągle rozpalonej i nienasyconej szparce. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale ustrojstwo, które ją wypełnia, chyba się uruchomiło - wyraźnie wibruje. Czyżby zareagowało na orgazm? Nie, to bez sensu... Jednak drgania są coraz mocniejsze, mam wrażenie, że przedmiot z sekundy na sekundę robi się cięższy i większy. Gdy wibracje osiągają apogeum mocy, mój kochanek przyspiesza jeszcze bardziej, nagle chwyta mnie w pasie i podnosi, przyciskając mocno do siebie. Opieram się na wyprostowanych rękach, a Pan pieści moje piersi, zgniata je i miażdży, jednocześnie lekko gryząc mój obolały od wygięcia kark.

- Valentine, jesteś moją własnością, pamiętaj o tym. Jesteś moją niewolnicą, najśłodszą suką. Masz najgorętsze ciało na tej planecie. Jest stworzone do tego, żeby je pieprzyć we wszystkie dziurki, i tylko ja będę to robił. Będę cię rznął w tyłek, posuwał w cipkę, ruchał twoje spragnione usta. Będę to robił na tysiąc różnych sposobów, tysiące razy i nigdy się nie zmęczę. .. - wyznaje w krótkich przerwach między kolejnymi, coraz śmielszymi ukąszeniami. - Będziesz się modlić, żebym czasem wyjechał, żebyś mogła odpocząć, ale twoje ciało ci na to nie pozwoli, ciągle będzie

tęsknić... Tak samo jak ja tęskniłem, kiedy cię widziałem i nie mogłem dotknąć. Twoja różowa szparka zawsze będzie spragniona mojego wielkiego kutasa, a ta słodka ciasna dziurka, którą teraz posuwam, już nigdy się bez niego nie obędzie. Liź! - Pan wpycha do moich ust swój środkowy palec.

Posłusznie oblizuję go i pieścę, próbując nie zakrztusić się śliną, bo oddycham coraz ciężiej. Czy mówiłam, że już miałam najlepszy orgazm mojego życia? Kłamałam! Ten moment jeszcze przede mną... Tonę w oceanie doznań, nie wiem, co najbardziej mnie rozpala: te sprośne i wulgarne słowa czy fallus Pana i wibrator, które rozpychają moje ciało od środka? To jest tak szalone i namiętne, że gdy w końcu odlatuję, mam wrażenie, że rozpadam się na dziesiątki kawałeczków, a każdy z nich tętni w swoim rytmie nieopanowaną, niemożliwą do przeżycia przyjemnością...

Nagle sen się kończy, a ja znikam, wciągnięta gdzieś w środek otchłani rozkoszy.

Pomyślałabyś, że tak się zgadają? - Jessica parska śmiechem.

- Szczerze? W życiu!

Przez chwilę przysłuchujemy się wrzaskom dobiegającym z salonu. Adam z Erikiem świetnie się bawią. Kto by przypuszczał, że połączy ich miłość do New York Yankees?

- Co robiliście w weekend?

- Co robiliśmy? Adam był w Londynie u siostry, ja w sobotę odwiedziłam Gideona, a w niedzielę marnowałam czas. - Wzruszam ramionami. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio się nudziłam, pewnie dlatego sprawiło mi to taką frajdę. Spałam, czytałam i ogólnie snułam się bez celu. Było fajnie.

- Fajnie?

- Fajnie. Naprawdę. - Kiwam głową. - Spróbuj, chyba dobra? - Podaję Jessice troszkę sałatki ziemniaczanej.

- Bardzo. - Zlizuje wszystko z łyżeczki.

- Dać więcej soli?

- Nie. Moim zdaniem rewelacja.

- Skoro tak twierdzisz... - wzdycham. - Tyle razy próbowałam i jeszcze nigdy nie udało mi się zrobić tej pieprzonej sałatki równie dobrze jak mama.

- Marudzisz. - Jess klepie mnie w plecy.

Odruchowo się odsuwam. Choć minęło już prawie dziesięć dni, ciągle

boli i bardzo mi się to podoba. Aż za bardzo... Każdy dotyk w tych rejonach powoduje przyjemne mrowienie w okolicach miejsca strategicznego, a na razie nie mam warunków, żeby sobie ulżyć.

- To co? Idziemy? - Zabieram miskę z sałatką. - Weź pieczywo i kurczaka.

Dwa razy wracamy do kuchni, donosimy sztucce, talerze, napoje, przekąski i Bóg wie co jeszcze. Panowie nawet nas nie zauważają. Oczy wlepione w ekran telewizora, dłonie dzierzące puszki z piwem, twarze rozgrzane do czerwoności...

- Ja pierdołę. - Jess siada tuż obok mnie. - Patrz na nich! Kompletnie świry. Wiesz co? Nawet gdybyśmy zdjęły ciuchy, żaden by tego nie zarejestrował.

- Może to i dobrze, nikt nie zwróci uwagi na żarcie - mówię, chichrając się jak wariatka. - Pudding chlebowy też mi nie wyszedł.

- Czy ktoś coś mówił o jedzeniu? - Adam nagle odwraca się w naszą stronę.

- Żarcie! - Erie też ocknął się z amoku.

Szybko nakładają na talerze co popadnie i znów wbijają wzrok w telewizor. Jedyna korzyść jest taka, że Adam wypił już cztery puszki piwa, które skwapliwie mu podsuwam, i dzisiaj z pewnością spędzi u mnie całą noc. Jess szepcze mi do ucha, że nie będę miała z niego żadnego pożytku. Równie dyskretnie odpowiadam, że jeszcze nigdy nie widziałam Adama pijanego i że to będzie bardzo ciekawe doświadczenie.

- Naprawdę? - Moja przyjaciółka wybałusza oczy. - Kurwa, ależ porządny facet ci się trafił. Nie klnie, nie pije...

- Erie chyba też nie pije zbyt dużo? - mruczę cichutko, choć i tak nie ma szans, aby mnie usłyszał.

- W sumie... masz rację. Ależ porządni faceci nam się trafili... - Jess próbuje coś mi przekazać, ale to niewykonalne, bo w salonie właśnie rozpętuje się piekło.

Na boisku coś się dzieje, chyba nie uznali naszemu zawodnikowi czwartej bazy. Panowie zachowują się tak, jakby śledzili mecz z trybun: wrzeszczą, tupią, Erie czochra się gwałtownie, prawie wydzierając włosy z głowy, Adam zgniata puszkę i rzuca nią w kąt pokoju.

Stateczny prezes Harding po raz pierwszy piekli się w mojej obecności jak wulkan w trakcie erupcji. W końcu sytuacja się wyjaśnia, napięcie opada, ale ja i Jess śmiejemy się jeszcze przez pięć minut...

Jestem zadowolona. Bardzo. Niby nic wielkiego, ale dla mnie to spektakularny sukces: Adam nareszcie zostaje na noc. Uśmiecham się pod nosem. Cóż za paradoks - większość moich chłopaków o tym marzyła, a ja się nie zgadzałam...

Zaplatam włosy w luźny warkocz i zakładam koszulkę nocną. Przyjemna: bawełniany dżersej, kolor popielaty, nadruk w białe myszki.

- Białe myszki? - chichoczę cicho.

Wchodzę do sypialni. Mój gość już czeka. Wsparty o stos poduszek, leży na środku łóżka i wygląda bardzo ponętnie. Stwierdził, że nie planował noclegu poza domem, więc nie zabrał piżamy ani szczoteczki do zębów. Tę ostatnią na szczęście miałam, z piżamą gorzej.

- Mel, wyglądasz słodko. - Adam wyciąga ręce. - Chodź tu. Posłusznie ładuję się obok niego.

- Po co ci ta koszula?

Kilka sekund później jestem nagusieńka, tak samo jak on.

- I z czego się tak cieszysz? Co? - Popycha mnie na poduszkę, a potem zawisa nad moją twarzą.

Zagryzam wargi, żeby się nie roześmiać. Mój chłopak zachowuje się inaczej niż zwykle i bardzo mnie to bawi.

- Cieszę się, że wreszcie tu nocujesz. - Obejmuję go i przyciągam do siebie.

- Dlaczego tak bardzo ci na tym zależało?

- Dlaczego tak bardzo się przed tym wzbraniałeś? - odpowiadam pytaniem.

- Nie wzbraniałem się.

- Wzbraniałeś. - Muskam dłonią szorstki policzek.

- Niech ci będzie. Robiłem to dla twojego dobra.

- Bo?

- Bo teraz cię zamęczę. Za godzinę zadzwonisz po taksówkę, żeby się mnie pozbyć. Zobaczysz... - Nachyla się i gryzie moją szyję.

- Jakoś to zniosę.

- Nonie wiem...

Nagle Adam wyplątuje się z moich objęć i układa jak poprzednio.

- Mel, wskakuj! - rzuca komendę.

- Co za maniery? - pryham. - Nie jestem gotowa.

- Jesteś. - Na moment wsuwa palec do mokrej cipki. - Wsiadaj tyłem. Chcę widzieć twoje plecy.

Gramolę się bez przekonania. Pozycja najeżdźca nigdy nie należała do moich ulubionych, kochaliśmy się tak za pierwszym razem i tylko wtedy nasz seks nie skończył się dla mnie orgazmem. Klękam nad penisem i powoli opuszczam miednicę, aż do całkowitego wypełnienia.

- Ależ jesteś ładnusia - słyszę zachrypnięty głos.

Adam kładzie dłonie na mojej talii i dociska biodra jeszcze niżej. Czuję wędrujące po skórze opuszki palców. Przeciąga nimi wzdłuż dwóch najwydatniejszych blizn po palcacie.

- Auć... - Wyginam plecy, jakbym chciała uciec od dotyku, ale kochanek łapie mnie za warkocz i siada tuż za mną.

- Gdzie się wybierasz? - mruczy wprost do ucha.

- Przepraszam - szepczę.

- Połóż się. - Popycha mnie lekko.

Wtulam brodę między jego kolana i obejmuję je z całych sił. Dłonie Adama ściskają nie do końca zagojone poślądki.

- Boli... - skarżę się żałośnie.

- To dobrze, że boli.

Plask! Mocny klaps spada na prawy półdupek.

- Auu... Za co? - piszczę. - Nie zrobiłam nic złego...

- Nie? A kto mnie upił?

Jego głos brzmi tak męsko i stanowczo, że od razu zaczynam kołysać biodrami. Może ta pozycja nie jest taka najgorsza?

- Sam piłeś, do gardła ci nie wlewałam - stękam, prowokując go do następnych klapsów. To takie przyjemne, gdy krew napływa do miejsca po uderzeniu.

- Ależ jesteś krnąbrna.

- Och! - kolejny jęk po uderzeniu w lewy pośladek. - Ja krnąbrna? Jestem najgrzeczniejszą dziewczynką w całych Stanach.

- Nie schlebiaj sobie. - Dłoń Adama znów ląduje po prawej stronie.

Skóra na tyłku piecze coraz bardziej, a im mocniej czuję to szczypanie, tym szybciej się poruszam. Mój facet chyba też zbliża się do szczytu, bo nagle przerywa okładanie biednej pupy, zaciska palce na pachwinach i zaczyna dosyć intensywnie poruszać moim ciałem. Nawet nie próbuję mu pomagać, poddaję się jego rytmowi i szybkości. Zdecydowanie jest lepszy w tej materii.

- Uwielbiam cię pieprzyć - dyszy. - Jesteś taka mała i wąska...

Nie odpowiadam. Tak jak on oddycham coraz głośniejsze, moje serce

tłucze się jak oszalałe, szoruję cyckami po umięśnionych udach, w cipce przelewa się i bulgocze. Tylko sekundy dzielą mnie od zrewidowania opinii o pozycji „ja na górze, on na dole”.

- Mocniej - jęczę ostatkiem sił, a potem odpływam...

Harding zrywa się z łóżka i nerwowo zerka na zegarek. Oddycha z ulgą, gdy zauważa, że nie ma jeszcze dziewiątej. Owija się prześcieradłem, idzie do łazienki. Po kwadransie, odświeżony i ubrany, wchodzi do kuchni.

Witaj, Śpiochu...

W lodówce zostawiłam Ci śniadanie.

Mam nadzieję, że dzisiaj docenisz niespotykany i uwodzicielski smak sałatki ziemniaczanej według mojej receptury.

Jeśli dopadła Cię choroba „głowa boli, pić się chce” - polecam napój izotoniczny (w miejscu jw.) oraz jedną błękitną kapsułkę (znajdziesz na blacie).

Całuję.

Mel

PS Wiesz, że chrapiesz?

PS2 Żartowałam...

PS3 Jesteś cyborgiem? Ileż można?

Mężczyzna czyta liścik przyczepiony do lodówki. Przy trzecim dopisku parska śmiechem.

- Uprzedzałem... - mruczy pod nosem, a potem chowa kartkę do kieszeni.

Melanio,

mam nadzieję, że Ci się spodoba.

Nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę Cię w tym wszystkim...

A.

Odkładam karteczkę.

Powoli rozwijam szeleszczącą bibułkę.

Jest.

Mój prezent.

Hm... Jestem trochę rozczarowana. Spodziewałam się jakiejś niespodzianki dla Valentine, ale liścik rozwiał moje nadzieje. Biedaczka

została całkowicie zignorowana, choć też powinna mieć swoje święto. Dzisiaj urodziny obchodzi wyłącznie Melania. Jej chłopak Adam zabiera ją do teatru (w sumie nieźle, bo dawno nie była na żadnej sztuce), a dodatkowo ofiarował jej jakiś specjalny „drobiazg”, który przyleciał zza oceanu.

Jess dzwoniła parę dni wcześniej i zdradziła mi, że to coś wyjątkowego, bo Adam poprosił Erica o pomoc w zakupach. Oczywiście mam trzymać buzię na kłódkę i udawać, że o niczym nie wiem.

Wzdycham, sięgając do pudełka.

Sukienka jest śliczna. Uszyta z ciemnomalinowego szantungu, który miękko układa się w dłoniach i lekko połyskuje, gdy się nim rusza. Fason ponadczasowy? Chyba tak to mogę nazwać: mocno rozkloszowana, brzeg w formie bombki, niezbyt długa (ciut za kolano), szerokie ramiączka wychodzą z prosto zakończonego stanika. No i jeszcze ozdoby: sześć materiałowych róż, biegnących w dwóch pasach wzdłuż przodu.

- Całkiem nieźle, panie Harding... - mruczę z zadowoleniem.

Próbuję odnaleźć jakąkolwiek metkę, ale nie ma ani pół skrawka, nie licząc dyskretnej wszywki z numerkiem „42”. „Sukienka z szantungu, rok produkcji nieznany, projektant i wykonawca też..” Zerkam do pudełka, czy coś się nie zapodziało, i dobrze, że to robię: na dnie leżą satynowe rękawiczki i komplet bielizny. Wszystko czarne jak papier, którym ktoś wyłożył wnętrze. Rzut oka na zegarek, do dwudziestej brakuje zaledwie pół godziny. Szybko zbieram prezenty i biegnę do łazienki,

- Fiu, fiu, co za szyk... - Podziwiam dziwaczny komplet. Wygląda jak ukradziony z planu filmowego z lat czterdziestych ubiegłego wieku. - Majtki z golfem? - kwiczę, patrząc na wysokie figi, bardzo zabudowane i jakieś takie... cnotliwe? To chyba najlepsze określenie.

„Erie ci to doradził? Nie wierzę!!!” Cudowne majtasy, tak zwane dwa w jednym, pełnią również funkcję pasa do pończoch. Szczerze mówiąc, gdyby nie to, pewnie w ogóle bym ich nie założyła. - Pończochy nylonowe! No nieźle, gdzie on coś takiego zdobył? - Z niedowierzaniem kręcę głową na widok archaicznych rozwiązań z zakresu bieliznianej myśli technicznej.

Przykładam do nosa cieniutką tkaninę. Bez wątpienia wszystko jest nowiutkie i pachnie bardzo przyjemnie.

„Niech ci będzie, panie Harding, choć uprzedzam: w razie zastrzeżeń, że wyglądam jak ciotka Klotylda, pretensje proszę zachować dla siebie” - sarkam w myślach, stojąc i podziwiając na sobie pancerny komplecik. - Chwała Bogu, że nie ma biustonosza... Miseczki pewnie sięgałyby pod

brodę".

- Ćwiczenia rozciągające to jest to! - sapię, zapinając suwak na plecach. Gotowe. Kiecka i bielizna założone. Wszystko leży idealnie...

„Dobrze, że nie pomalowałam ust” - stwierdzam, patrząc na swoje odbicie w wielkich lustrach w holu. W ostrym świetle kolor materiału jest jeszcze intensywniejszy. To chyba bardzo ciemny róż, choć złamany nieco cieplejszym odcieniem, ale krwista czerwień pomadki gryzłaby się z nim bez wątplenia. Za to fryzura pasuje genialnie: wysoko upięty kok dość sporych rozmiarów (troszkę lakieru poszło na utapirowanie włosów).

Wracam do łazienki i przez dłuższą chwilę próbuję dobrać szminkę, ale to niewykonalne. W końcu decyduję się na wodoodporną bordową konturówkę, którą zamalowuję całe wargi. Jeszcze bezbarwny błyszczak i jest dobrze. Wciążam rękawiczki. Po nałożeniu sięgają mi prawie do pach. No tak: długość rąk jest wprost proporcjonalna do długości całej Melanii Duvall.

Jeszcze jedna inspekcja między lustrzanymi ścianami.

- Hm, Audrey Hepburn? Coś w ten deseń... - mamroczę, podziwiając ostateczny efekt.

„Buty...?” Wyciągam parę czarnych szpilek w stylu *vintage*. Mają szpiczaste, zawadiacko uniesione noski i ciekawą linię obcasów. Okręcam się, haleczki szeleszczą pod szantungiem...

„Biżuteria? Niekoniecznie, sukienka jest bardzo strojna. Może maleńkie złote kolczyki w kształcie kuleczek, te ozdobione diamencikami?” Przez chwilę grzebię w kasetce.

Ostateczny rzut oka: wyglądam stylowo, to trzeba przyznać. Na gołe ramiona narzuciłam pelerynkę z czarnego puszkudającego strusie pióra, a w dłoni dzierżę kuferek od Armaniego (też prezent, choć bez pierwotnej zawartości).

Bzz.... Bzz...

- Halo, panno Melanio...

- Słucham cię, Robercie.

- Przyjechał kierowca. - Mój portier ma bardzo wesóły głos.

Pewnie wciąż raczy się czekoladkami ze sporej bombonierki, którą wręczyłam mu przed trzema godzinami. To taki mój zwyczaj: w dniu urodzin obdarowuję kilka osób pudełkiem pralinek z alkoholowym nadzieniem.

- Już schodzę.

Gdy tylko stoję przed kontuarem recepcji, radosny sześćdziesięciolatek z wrażenia otwiera gębę.

- Cholera! Panno Duvall... - Kręci głową z podziwem.

- Dziękuję. - Uśmiecham się promiennie. - Prawdopodobnie nie wrócę na noc, miej baczenie na moje mieszkanko.

- Jak zawsze, jak zawsze.., - zapewnia Robert i odprowadza mnie wzrokiem.

„O, w mordę, batmobil!" - parskam w duchu, widząc czarną limuzynę stojącą przy krawężniku. Marcus wita się ze mną i otwiera drzwi. Chwytam furę koronkowych haleczek i próbuję z wdziękiem wsiąść do samochodu. Jakoś się udaje. Wzdycham ciężko, bo trochę się zasapałam...

- Witaj, Mel.

- Boże! - Łapię się za serce. - Ależ mnie wystraszyłeś!

Adam siedzi w przeciwległym kącie kanapy i uśmiecha się jak mały chłopiec, który właśnie podłożył komuś na krzesło pierdzącą zabawkę.

- Nie miałem takich intencji, bardzo przepraszam. - Eleganckie skinienie głową.

Mój chłopak wygląda po prostu obłądnie. To chyba smoking, czarne kłapy lśnią jak u Jamesa Bonda. No i ta muszka... „Jest szal! - Przetykam ślinę. - Czemu ta kanapa taka szeroka?" - narzekam w duchu, zapinając pasy drżącymi ze zdenerwowania rękami.

- Co tu robisz? - pytam, bo umówiliśmy się na miejscu.

- Wybieram się do teatru. - Adam stuka w szybkę oddzielającą nas od Marcusa.

- O, to zaskakujące, bo ja też. - Parskam śmiechem, rozbawiona oficjalnym zachowaniem pana Hardinga.

- Chciałem powiedzieć, że wyglądasz urzekająco.

- Interesujące, że to dostrzegasz, zważywszy na to, że troszkę tu ciemno - chichoczę. Mimo względnie wczesnej pory prawie czarne szyby nie przepuszczają światła z zewnątrz. Owszem, maleńkie lampki pozwoliły mi bezpiecznie wejść do środka, ale zgasły, gdy tylko ruszyliśmy.

- Zdażyłem cię zobaczyć, poza tym mam naprawdę dobry wzrok.

- Nie wątpię. Czy mimo to mogłabym prosić o włączenie światła? Chciałabym podziękować ci za prezent.

- Nie, to może poczekać. Pozwolisz, że życzenia również złożę ci później?

- Ależ oczywiście - odpowiadam, starając się zachować powagę, bo niezmiernie bawi mnie ta elegancka konwersacja, prowadzona w warunkach

mocno ograniczonej widoczności. - Gdzie się wybieramy? W jakiej dzielnicy jest ten teatr?

- Staten Island.
- Co? - Otwieram ze zdumienia oczy. - Tam jest jakiś teatr? - Zgadza się.
- Jak się nazywa? - Nijak. - Adam!- fukam.
- Słucham.
- Powiedz mi prawdę.
- Powiedziałem. Ten teatr nie ma żadnej nazwy.

Adam jest wybitnie rozbawiony, słyszę to w głosie. Chyba cieszy go moja ciekawość i skrępowanie. Sama nie wiem, co myśleć. Bezskutecznie próbuję sobie przypomnieć, czy słyszałam o jakimś teatrze na Staten Island, ale to dzielnica mieszkaniowa, a nie rozrywkowa. Przyklejam nos do szyby i zerkam na zewnątrz. Chyba rzeczywiście jedziemy tam, gdzie mówił, bo podświetlona tabliczka informuje, że kierujemy się na drogę nr 278. „Cholera! Harding i jego szalone pomysły...” Marszczę czoło i odwracam się w kierunku mojego towarzysza.

- A mogę chociaż poznać tytuł sztuki? - Próbuję wziąć go pod włos.
 - Tak. *Dekameron*.
 - *Dekameron*? - Adam znów mnie zaskoczył.
 - Tak.
 - Całość? Sto opowiadań? - Nie wyobrażam sobie, ile musiałaby trwać taka sztuka, a raczej monologu dziesięciu aktorów.
 - Nie. Tylko niektóre i ponoć kilka nowych, nigdy nieopublikowanych.
 - Nieopublikowanych? A są takie?
 - Chyba tak. Dzisiaj będzie premiera.
 - Jeszcze powiedz, że w oryginale - chichoczę.
 - Oczywiście, że tak.
 - Super. Na pewno wszystko zrozumieć,
 - Nie znasz włoskiego? - W głosie Adama brzmi zaskoczenie.
- Wiem, że żartuje, bo moje oczy zdążyły się przyzwyczaić do ciemności i dostrzegam uśmiech.
- Nie. Tylko niemiecki, zapomniałeś?
 - No tak. *Kinder, Kuche, Kirche*. To nic, będę tłumaczył.
 - Adam, przestań! Powiedz, że to nieprawda z tym językiem.
 - Nie. Sztuka będzie w oryginalnym języku.
 - Super. Zapowiada się upojny wieczór...
 - Niepotrzebnie zdradziłem ci szczegóły, teraz jesteś uprzedzona.

- Nie jestem.
- To dobrze.
- Kto gra? Znam nazwiska?

- Na gwiazdy światowego formatu bym nie liczył, ale bez wątplenia to świetni aktorzy, ponoć niektórzy grają lepiej niż zawodowcy z górnej półki.

- Pff... - parskam, udając, że się obraziłam.

Kolejne dwadzieścia minut spędzamy w milczeniu. Gorączkowo się zastanawiam, co wymyślił ten szatan w ludzkiej skórze. Może czeka mnie idiotyczna niespodzianka z gatunku „otwieram drzwi, a zza nich wyskakuje rodzinka i stadko znajomych z kolorowymi balonikami”? Raczej nie sądzę, to zbyt banalne.

- Za chwilę będziemy na miejscu - słyszę.

Odpinam klamerkę pasów. Delikatne żaróweczki coraz mocniej rozświetlają wnętrze kabiny.

- Denerwujesz się? - Adam przesuwając się lekko w moim kierunku i delikatnie chwytając dłoń osłoniętą czarną satyną.

- Nie. A mam powód? - Spoglądam w oczy mojego mężczyzny.
- Nie.
- To skąd takie pytanie?
- Drży ci ręka.
- To złudzenie, przez rękawiczkę.
- Rozumiem.

Samochód zatrzymuje się... gdzieś. Nic nie widzę i nie mam pojęcia, po co taka konspiracja.

Marcus otwiera drzwi i pomaga mi wysiąść. Zostajemy sami na sporym parkingu, zastawionym wyłącznie limuzynami. Jest ich kilkanaście, może dwadzieścia parę? Robi się coraz ciemniej, więc czarne błyszczące karoserie zlewają się w jedną całość.

- I jak? Byłaś tu kiedyś? - Adam delikatnie podaje mi ramię.
- Nie.

Rozglądam się z ciekawością. Parking jest oświetlony zabytkowymi latarniami i otoczony wysokim ogrodzeniem z ciemnej cegły. Przed nami znajduje się dwupiętrowy budynek z czterospadowym dachem. Wygląda jak stary pałacyk, szerokie schody prowadzą do wejścia, czyli dwuskrzydłowych wrót. Już z daleka widać stalowe okucia. W kilku oknach można dostrzec delikatne światło, przytłumione czymś bliżej nieokreślonym.

- Idziemy? Za niecałą godzinę zaczyna się spektakl.

- Uhm... - Kiwam głową, choć intuicja podpowiada, że jeśli to zwykły teatr, to ja jestem chińską księżniczką.

Ledwie docieramy do końca szerokiego podestu wieńczącego schody, a ogromne drzwi otwierają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Dobry wieczór - mówi szczupła jak trzcina kobieta i wprowadza nas do okrągłego holu.

Nie wiem sama, na co patrzeć: czy na tajemniczą elegantkę w białym kostiumie, czy na wnętrze, które wprost powala przepychem. Marmurowa posadzka lśni jak lustro, ściany ozdobiono prostokątnymi kasetonami. Przed każdym z nich stoi niewielki postument z wazą wypełnioną świeżymi kwiatami (wszystkie są kremowe lub blad różowe). Tu i ówdzie ktoś rozwiesił niewielkie obrazy. Przeważają martwe natury z koszami owoców i bukietami kwiatów, typowe dla malarstwa flamandzkiego. Stawiam dolary przeciw orzechom, że nie ma wśród nich ani jednej kopii. Unoszę głowę: z sufitu zwisa ogromny kryształowy żyrandol, rzucający wokół siebie dziesiątki tęczyowych błysków. W tle wyraźnie słyszę delikatną muzykę. To chyba jakiś kwartet smyczkowy, dałabym sobie uciąć rękę, że gra na żywo.

- Podoba ci się? - Adam sprowadza mnie na ziemię.

- Tak. Piękne miejsce.

- Zostawiają państwo coś w szatni? - Skandynawska blondynka spogląda na nas bez cienia uśmiechu.

Teraz mam okazję szybko ocenić ją wzrokiem. Naprawdę rasowa laska... Wysoka, prawie białe włosy spięte w kucyk, makijaż bez zarzutu, uroda też. Zaczynam się czuć nieco dziwnie, gdy tak patrzy na mnie z góry (jest wzrostu Adama).

- Melanio? - Mój luby zerka na mnie z czułością.

- Może pelerynkę... - jękam się, bo jakoś głupio nic nie powiedzieć.

- Pozwól. - Adam rozwiązuje szeroką wstążkę i zdejmuje ze mnie czarne wdzianko, które trafia w ręce chłodnej piękności, wyglądającej jak spełnienie fantazji erotomana z tropików.

- Kod drugi?

- Dwanaście.

Wymieniają ze sobą kilka słów, brzmiących co najmniej jak tajny szyfr.

- Zapraszam do restauracji. - Paniienka wskazuje nam drogę.

Tutaj też jest przepięknie, wnętrze utrzymane w stylu podobnym do poprzedniego. Wyjaśnia się, skąd dobiegała muzyka: na podeście kwartet mężczyzn w białych (!!!) frakach uprzyjemnia czas nielicznym gościom. To

jakiś klasyczny utwór, znam i słyszałam, ale co do tytułu i kompozytora - nie mam bladego pojęcia.

Siadamy przy niewielkim okrągłym stoliku. Kelner, również ubrany na biało, przynosi karty. Sięgam po swoją tylko po to, aby zobaczyć, jaką nazwę nosi ten wspaniały przybytek, niestety menu nie zawiera żadnej pomocnej informacji. Staram się zachowywać naturalnie, ale jestem coraz bardziej spanikowana. Jakoś mnie onieśmiela cała ta sytuacja.

- Wybrałaś? - Adam unosi wzrok znad karty.

- Hm... Szczerze mówiąc, nie jestem głodna. - Wzruszam ramionami.

Tak naprawdę burczy mi w brzuchu, ale za bardzo się denerwuję, żeby cokolwiek w siebie wtłoczyć.

- Zjedz coś, to naprawdę będzie długa noc. - Adam lekko unosi brwi. - Może jakąś przystawkę?

„Cholera, usłyszał moje burczenie!” Na sekundę zagryzam wargi.

- Chętnie napiłabym się wina. A ty?

- Też, ale tylko jedną lampkę za twoje zdrowie i pod warunkiem, że coś zjesz. Zgoda?

- Uhm... - ustępuję. - Sam wybierz.

- Mel, skarbie, to twoje urodziny - Adam odkłada menu, oprawione w białą skórę. - Możesz prosić o wszystko, czego pragniesz. - Zaczyna gładzić czarną satynę na mojej dłoni.

- Proszę o coś smacznego, tylko nie owoce morza, błagam...

- Pamiętam, że ich nie lubisz.

Przyglądam się Adamowi, który składa u miłego (uśmiech!) kelnera zamówienie na coś o bardzo eleganckiej i z francuska brzmiącej nazwie.

Kiedy zostajemy sami, rozglądam się wokół. W restauracji jest może piętnaście osób, nie widzę dokładnie, bo niektóre stoły są ukryte za szyfonowymi zasłonami. Na dodatek część gości nawet ze sobą nie rozmawia. Jedyne odgłosy, jakie do nas docierają, to delikatne brzęczenie sztućców o talerze. Trzy stoliki dalej siedzi dziwna para: młodzianka rudowłosa dziewczyna i przystojny facet, na oko trzydziestopięcioletek. Brunet z fantazyjnie przyszyżonym zarostem coś szepcze jej do ucha, a ona (śliczna i pięknie ubrana) kiwa głową i z minuty na minutę coraz bardziej się rumieni. Łatwo dostrzec, że są bardzo zakochani: mężczyzna czule obejmuje swoją żonę (na ich palcach błyskają obrączki), a ona głaszcze go po dłoni.

- Dlaczego tu tak pusto? - pytam, żeby przerwać ciszę, która coraz

mocniej nas osacza.

- Część osób pewnie już zajęła miejsca. Poza tym bilety są dosyć drogie, nie każdego stać na taką przyjemność.

- Bilety?

- Co cię tak dziwi? - Adam zerka na mnie z rozbawieniem.

- Kiedy będą sprawdzać? - Jestem ciekawa, bo wszystko, co się tu odbywa, wydaje mi się jakieś nietypowe.

- Już sprawdzili.

- Co? - Znów otwieram oczy ze zdumienia.

- Przy wejściu.

- Mam chyba poważne problemy z koncentracją lub z pamięcią krótkotrwałą. Mogłabym przysiąc, że nikt nie sprawdzał biletów - chichoczę i nie przestaję nawet wtedy, gdy kelner przynosi zamówione dania.

- Smaczne? - Adam zerka na mój talerz.

- Tak.

Zajadamy się piersią kaczki w paryskim cieście z wyraźnie wyczuwalnym dodatkiem ostrego sera. Do tego świeżutkie szparagi i tajemnicze fioletowe (?) kluseczki polane miętowym sosem. Byłam bardzo głodna, duża porcja zniknęła z talerza w tempie ekspresowym.

- Twoje zdrowie. - Adam podnosi kieliszek.

- Dziękuję.

Wypijam lampkę białego wina, którego cena z pewnością przewyższa wartość półrocznej pensji minimalnej. Widziałam, z jaką czcią kelner niósł i postawił butelkę, opatrzoną etykietą z rokiem produkcji dalekim od dzisiejszych czasów.

- Może jeszcze kieliszek?

- Chętnie.

Kiedy popijam trzeci, nagle sobie uświadamiam, że przedstawienie chyba już się zaczęło. Część osób nie wiadomo kiedy zniknęła z sali. Gdy chcę powiedzieć o tym Adamowi, w kufierku zaczyna brzęczeć telefon. Wyjmuję go szybko.

- Erie? - Jestem zaskoczona.

Mam jego numer wpisany do książki, ale nie pamiętam, czy kiedykolwiek z niego korzystałam.

- Odbierz. - Adam ze stoickim spokojem przygląda się mojej skonsternowanej minie.

- Może życzenia? - Wzruszam ramionami.

- Pewnie tak. - Halo...
- Witaj, Mel, tu Erie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?
- Hej. Nie przeszkadzasz.
- Chciałem tylko złożyć życzenia. Sto lat i wszystkiego naj... Żeby ci się darzyło... - plecie trzy po trzy.

Wywracam oczami. „Boże, co ten świr znów wymyślił...?” Od kiedy pamiętam, Erie składał mi życzenia razem z Jess, zawsze przy okazji pierwszego spotkania po moich urodzinach. Sięgam po kieliszek, bo zapowiada się dłuższe przemówienie, na szczęście wszystko trwa może dwadzieścia sekund.

- Możesz spokojnie pogadać? Mam jeszcze jedną sprawę, tylko wiesz, ściśle tajne. Adam prosił o dyskrecję... - Erie zniża głos.

- Uhm... - Zerkam na bok i mocniej przyciskam telefon do ucha. Uwielbiam odkrywać mroczne sekrety pana Hardinga, który teraz siedzi i bawi się nóżką pustego kieliszka.

- Jak Valentine?

„Kurwa mać!” Krztuszę się winem.

- Mel? Wszystko w porządku? - Adam troskliwie się nachyla.

- Tak... - sapię po kilku sekundach. - Powiedziałaś mu o TYM?! - Zakrywam słuchawkę, w której słyszę drącego się Erica.

- O czym?

- O naszych zabawach?

- Nie! - Mój chłopak wygląda jak człowiek, któremu ktoś postawił setkę fałszywych zarzutów. - To jakieś nieporozumienie.

Czuję, że coś kombinuje, bo minę ma dziwaczną.

- To skąd wie?! - syczę jak żmija. - Wie o Valentine!

- Nie mam pojęcia... - Lekko unosi brwi i wstaje z krzesła. - Zaraz wracam.

- Uhm... - Domyślam się, że to kolejny fortel.

- Halo, Erie? - Gdy tylko zostaję sama przy stoliku, przykładam ucho do telefonu. - Sorki, zakrztusiłam się. E... jaka Valentine? - Zamierzam sprawdzić, o co chodzi. Nie znoszę, jak ktoś robi ze mnie wariatkę.

- No... sukienka.

- Jaka sukienka? - Mam ochotę palnąć go w łeb.

- Nie dostałaś sukienki? Malinowa z szantungu. Podoba ci się?

- Dostałam, nawet mam ją na sobie. I tak, bardzo mi się podoba.

- O, to świetnie! Kamień z serca. Pasuje?

- Tak. Idealnie.

- To dobrze.

- I co z tą kiecką? - Czuję, że zaraz mnie rozsadzi.

- No nic. Jak ci się podoba, to świetnie. To wierna replika, a w zasadzie można by uznać, że oryginał, czterdziestego drugiego modelu z jednej z pierwszych kolekcji Yves'a Saint Laurenta. Uszyli ją w swojej szwalni, jedynie tkanina pochodzi ze współczesnych czasów, ale reszta jak pierwowzór. Powiem ci, że ten twój koleś ma fantazję w wydawaniu pieniędzy.

- Ile?

- Nie powiem, bo mnie zabije.

- Ile?! Jak już zacząłeś, to skończ! - warczę do słuchawki.

- Pół stówki, tylko mu nie mów, że ci powiedziałem. Ale to bardzo dobra inwestycja, za parę lat możesz ją odsprzedać z zyskiem...

- Aha. - Zatyka mnie z wrażenia. Domyślam się, że nie chodzi o pięćdziesiąt dolarów. Nie widzę Erica, ale jestem pewna, że drapie się po głowie, zawsze tak robi, gdy coś zawali. No cóż, Adam mógł nie wiedzieć, że trzymanie języka za zębami nie jest domeną tego pana.

- Erie! A Valentine? - Przypominam sobie, o czym mówił na początku.

- Adam nie dał ci certyfikatu? Valentine to córka artystki Zizi Jeanmaire, przyjaciółki Saint Laurenta. Tym się zainspirował i tak nazwał ten model.

- Valentine to ta kiecka?! - piszczę jak nastolatka, która zobaczyła Justina Biebera.

- No tak.

- Aha. - Tym razem zatyka mnie jeszcze bardziej. Czuję, jak od samego szczytu głowy aż do czubków szpilek przepływa fala wrzącej krwi.

- Mel, to ja będę kończył, Jess mnie woła. Pa! - Chyba nawet Erie poczuł woń gotujących się zwojów mózgowych, bo nie czeka na moją odpowiedź.

Klik odkładanej słuchawki.

Popadam w stupor.

Siedzę, trzymając w dłoni telefon. Mam na sobie kieckę projektu YSL o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów (ale to dobra inwestycja!) i - co jest wprost niewiarygodnym zbiegiem okoliczności - ten model sukienki nazywa się Valentine...

- Spóźnimy się. - Adam lekko się uśmiecha, widząc Melanię, która zastygła na krześle jak woskowa figura w muzeum Madame Tussaud.

Harding już wie, że Erie zepsuł mu niespodziankę, ale nie przejmuje się tym zbytnio, bo w zanadrzu ma kolejną.

- Co? - Panna Duvall patrzy na niego rozszerzonymi z podniecenia źrenicami. Jej oczy wydają się prawie czarne.

- Zaczęło się.

- Wiem.

Brzmi to dwuznacznie. Nie wiadomo, czy chodzi jej o spektakl, czy też o ich miłosną grę, lecz Adam nie zamierza teraz tego analizować. Lekko chwyta ramię swojej dziewczyny i pomaga jej wstać.

- Chodź... - Pociąga Melanię za rękę.

- A rachunek?

- Nikogo tu nie ma. Chodź.

Panna Duvall rozgląda się błędnym wzrokiem. Rzeczywiście: sala opustoszała, nawet czterech grajków gdzieś się zdematerializowało.

Adam kieruje się do drzwi oznaczonych czarną strzałką. Prowadzi Melanię dosyć wąskim korytarzem, na końcu jest wejście na schody. Kobieta nie mówi ani słowa, gdy wspinają się po marmurowych stopniach. W całym budynku panuje sterylna cisza, zupełnie jakby byli sami. Nagle z daleka słychać słabe trzaśnięcie, chyba ktoś nieostrożnie zamknął drzwi. Przez moment dobiega ich męski śmiech.

- Słyszałeś? - Mel zerka na swojego towarzysza.

- Nie... - Kąciki jego ust lekko się unoszą.

- Adam!

Wchodzą do kolejnego korytarza, znacznie szerszego, dyskretniej oświetlonego i wyłożonego grubym kremowo- bordowym dywanem. Szpileczki Melanii zapadają się w miękkie włosie. Co jakiś czas oczom kochanków ukazują się drzwi z okrągłymi klamkami. Na niektórych wiszą czerwone zawieszki.

Wydaje się, że korytarz nie ma końca.

- Daleko jeszcze? - Panna Duvall zaczyna się podśmiechiwać pod nosem. Czuje, że cały wieczór to jakaś ekscentryczna inscenizacja przygotowana przez Adama, a ten rzekomy teatr jest dziwacznym hotelem.

- Nie. Kilkanaście kroków.

- Powiedz prawdę. - Mel nagle się zatrzymuje. - Nie ma żadnego przedstawienia...

- Jest. - Adam ujmuje w dłonie twarz Melanii i zaczynają namiętnie

całować. - Nie wierzysz mi? - szepcze między kolejnymi pocałunkami.

- Nie...

- Nie ufasz?

- Nie...

- To bardzo nieładnie.

- Wiem.

Kochankowie coraz mocniej splatają ze sobą ciała, ręce Adama coraz śmielej błędzą po delikatnej szyi... Nagle jakieś drzwi otwierają się z cichym świstem i wypada z nich młoda kobieta. Przebiega tuż obok całującej się pary, lekko trącając Mel.

- Widziałeś? - Panna Duvall natychmiast odrywa twarz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma halucynacji.

- Co? - Harding marszczy czoło.

- Błagam cię, nie żartuj! Jakaś na wpół rozebrana panienka szturchnęła mnie w łokieć. - Melania ciężko dyszy, jeszcze pobudzona namiętnymi pieściami.

- Nie zauważyłem...

- Susan! Wracaj! Wiem, że tam jesteś!

Ciągle przytulona parka jak na komendę obraca głowy w stronę, z której dobiega męski głos.

- O kurwa! - Melanii, która właśnie rozpoznała faceta z restauracji, wrywa się przekleństwo. Tym razem strój męczyzny jest nieco mniej oficjalny, choć nadal prawie kompletny. Brakuje jedynie marynarki, krawatu i paska. Ten ostatni tkwi w dłoni przystojniaka.

- Nie! - dobiega z przeciwnej strony korytarza.

Głowy Hardinga i jego towarzyszek znów wykonują obrót, tym razem o sto osiemdziesiąt stopni. Z za zakrętu korytarza wychyla się dziewczyna z rozpuszczonymi jasnomiedzianymi włosami, które zwisają z jednej strony.

- Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł. - Brzmi to na tyle groźnie, że nawet Melania zamiera na sekundę. - Proszę grzecznie. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

- Nie! Proszę cię, ja naprawdę się boję... Wracajmy do domu, nie chcę tu być!

- Susan... chodź tu, skarbie. Wiesz, że to nieuniknione. - Głos łagodnieje, brzmi słodko i uwodzicielsko. - Nie wyjdziemy stąd, dopóki cię nie ukarzę.

- Proszę, nie...

- Zobaczysz, nie będzie bolało.

- Będzie. - Dziewczyna zaczyna pochlipywać.

Adam i Mel odruchowo obracają głowy w takt wymiany zdań między stronami konfliktu. Mężczyzna w białej koszuli wydaje się nie zauważać pary stojącej na środku korytarza, panna Duvall nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Dochodzi do wniosku, że to aktorzy odgrywają całą scenę, i parska śmiechem.

- Susan, proszę, zachowuj się właściwie.

- Nie!

- Bo poproszę tych państwa, żeby cię przyprowadzili, i to naprawdę źle się skończy. - Brunet dopiero teraz zerka na świadków zajścia.

- Nigdzie nie idę, ani z tobą, ani z nimi. - Dziewczyna chowa się za filarem.

- Czekam tu na ciebie.

- I co teraz? - Melania podnosi wzrok na Adama.

- Nie wiem, co zamierzają ci państwo.

- Ale ja wiem. - Mel uśmiecha się tryumfalnie, odrywa dłonie od męskiej piersi i zaczyna klaskać, spoglądając na faceta, który właśnie chowa się w pokoju.

- Co robisz? - Harding marszczy brwi, a potem łapie ją za dłonie.

- Biłam brawo. Puść! - Panna Duvall próbuje wyswobodzić ręce, w końcu jej się to udaje.

- Przestań, nie widzisz, że tu nie wolno hałasować? - Adam wskazuje niewielką tabliczkę na ścianie.

- To przecież są aktorzy, nie dałam się nabrać - chichocze Mel, której spodobała się ta scenka. - Może pani wyjść! - krzyczy w stronę marmurowej kolumny. - Halo!

- Przestań - syczy Harding. - Nie hałasuj. To nie są żadni aktorzy.

- Oj, nie udało ci się nabić mnie w butelkę. Bardzo przepraszam.

- Mel... proszę, zachowuj się grzecznie. To nie insce...

- Proszę pani! - Zza filaru wychyla się głowa.

- Ja? - Melania wskazuje na siebie.

- Może pani tu podejść?

- Jasne.

- Ja też mogę? - pyta Adam.

- Nie. Tylko pani.

- Poczekaj tu na mnie - prosi Melania, wciąż chichocząc. Szybko dociera do końca korytarza i przyklęka przed zapłakaną dziewczyną.

- Słucham. - Patrzy na nią i nie może się nadziwić, jak dobrze aktorka wczuła się w rolę.

Dziewczyna poprawia długie włosy i ociera twarz, upstrzoną bladymi piegami. Nie ma żadnego makijażu, ale jest naprawdę śliczna... i kompletnie zapłakana. Pod zaczerwienionymi oczami pojawiły się różowe placki, sięgające aż dołu policzków.

- Jestem Susan, a ty?

Melania przez moment zastanawia się, czy powinna zdradzać swoje imię, w końcu decyduje się na inne rozwiązanie.

- Valentine.

- Miło mi.

- Mi też. Valentine, masz może chusteczkę?

- Uhm, wyjątkowo mam... - Panna Duvall otwiera torebkę i przy okazji dyskretnie zerka na ekran komórki. - Proszę.

Susan przez dłuższą chwilę próbuje jakoś się ogarnąć: wyciera łzy i czyści nos, po czym niefrasobliwie rzuca zwiniętą kulkę za okrągłą kolumnę.

- Dzięki. Powiedz, on tam jest? - Nerwowo zerka za ramię.

- Kto?

- Patrick. Mój mąż.

- Poczekaj, sprawdzę. - Mel wczuwa się w rolę i ostrożnie wychyla głowę.

- Nie. Chyba został w pokoju.

- Chwała Bogu - wzdycha ciężko Susan. - Możesz tu na chwilę usiąść? - Klepie dywan obok siebie.

- Mogę, ale wiesz... mój chłopak na mnie czeka. Mamy iść na przedstawienie, choć pewnie już minęła połowa pierwszego aktu. - Melania musi bardzo uważać, żeby się nie zaśmiać.

- Uhm... To poproś go, żeby tu przyszedł. Błagam.

- OK. Adam, mógłbyś tu podejść?

- Cicho... - syczy Harding, ale szybko zmierza w stronę kobiet. - Co się stało? - Staje nad ich głowami.

- Chciałabym trochę pogadać z pańską dziewczyną.

- Proszę się nie krępować. - Mężczyzna uśmiecha się pod nosem. - Adam. - Wyciąga rękę.

- Susan. Miło mi.

Panna Duvall parska, obserwując tę prezentację, ale chyba nikt tego nie zauważa.

- Wolalabym, żebyśmy zostały same. Może pójdziesz obejrzeć spektakl? - Susan unosi załzawione oczy.

- Mam was zostawić? - Harding nie jest przekonany do tego pomysłu.

- Oczywiście. - Melania szczyrzy zęby. - Idź, pooglądaj sobie. To z pewnością fantastyczne przedstawienie. - Nie może wytrzymać i wybucha głośnym śmiechem.

Adam od razu karci ją wzrokiem, wskazując jeszcze jedną tabliczkę z napisem „Proszę zachować ciszę”.

Susan ze zdumieniem przygląda się swojej nowej znajomej.

- O co ci chodzi?

- Ale jaja! - Mel uderza dłońmi o uda. - O przedstawienie! Zajebiste!

- E... naprawdę fajne, ale Patrickowi się nie spodobało. Trzeba szybko czytać, a on nie lubi. Chyba że znacie włoski?

- Archaicznego nie znam zbyt dobrze, ale czytać potrafię. - Harding wzrusza ramionami.

- Mówisz, że fajne? To mam świetny pomysł. Odprowadzimy mojego chłopaka, zerknę, jak to wygląda, a potem tu wrócimy. Co wy na to? - Panna Duvall próbuje zdemaskować aktorkę i przy okazji swojego faceta.

- Może być... - Adam zagadkowo się uśmiecha.

- Dobra. - Susan wstaje, naciąga kusą spódniczkę na cieliste majtki i wkłada do niej poły bluzeczki z bufiastymi rękawkami. Zupełnie nie zwraca uwagi na przyglądającego się

mężczyznę. - Nie mam butów. Patrick kazał mi zdjąć - wzdycha.

- To nic. Idziemy? Prowadź... - Mel oddaje jej stery.

W trójkę docierają do końca lewej odnogi korytarza i zatrzymują się przed szerokimi, podwójnymi drzwiami z napisem „Wejście główne”. W zaułku jest dosyć ciemno, jedyne źródła światła to zielona lampka ze strzałką (wskazująca drogę ewakuacji) i dwie żaróweczki przy tabliczce na drzwiach.

- Cicho... - Susan przykładła palec do ust i powoli naciska klamkę.

Gdyby ktoś mnie spytał o najlepszą amerykańską aktorkę młodego pokolenia, bez wahania wskazałabym tę śliczną dziewczynę. Gra obłądnie, trzeba jej przyznać. Owszem, widziałam dziesiątki filmów, w których kobiety płakały, trzęsły się ze strachu i tak dalej, ale taka długa sekwencja? Imponujące! Swoją drogą, mój facet też jest niezły, ani przez moment nie wypadł z roli. Idziemy korytarzem, a ja zastanawiam się gorączkowo, ileż ta

przednia zabawa musiała kosztować prezesa Hardinga. Prawdopodobnie wszystko jest ustawione - od Susan i jej niby- - męża, przez gości w restauracji, po obsługę tego przybytku. Trzeba przyznać: ma koleś fantazję!

Kiedy stajemy przez drzwiami obitymi białą skórą, moje serce aż podskakuje. Nie mam bladego pojęcia, co się za nimi kryje. Jedno wiem na pewno: teatru tam nie ma. Stawiam na drugą restaurację, tym bardziej że znów słyszę muzykę smyczkową.

Gdy Susan nakazuje nam być cicho, oczywiście natychmiast wczuwam się w rolę i zagryzam wargi, żeby powstrzymać nerwowy chichot. Drżę z emocji, napięcie jest tak silne, że całe rękawiczki mi zwilgotniały. Dobrze, że tak tutaj ciemno, przynajmniej nie widać rumieńców.

Susan delikatnie uchyla drzwi i zagląda do środka. My z Adamem stanęliśmy tak niefortunnie, że nic nie widzimy przez dość wąską szparę, ale wyraźnie słychać muzykę i chyba jakąś recytację. „To naprawdę teatr...?” Kręcę głową z niedowierzaniem.

- Możesz tu podejść? - szepcze Susan, przywołując Adama ręką. - Jaki masz drugi kod?

- Dwanaście - odpowiadam za niego i też się zbliżam, żeby cokolwiek dostrzec.

- Tu jest wasze miejsce. - Susan wskazuje niewielki stolik z bardzo dyskretnie świecącą się lampką i tabliczką z numerkiem „12”. Obok stoją dwa tapicerowane fotele.

Takich stanowisk jest kilkanaście, mniej więcej co trzecie zajęte przez gości. Prawie wszyscy to pary mieszane, tylko przy jednym stoliku siedzi dwóch mężczyzn.

- Mogę zerknąć? - Próbuję zobaczyć scenę.

Ktoś z nielicznej widowni cicho syczy w naszym kierunku.

- O, ja pier... - wyrywa mi się, na szczęście bardzo cicho, ale i tak czuję na ramieniu karcący uścisk palców. Wiem, że Adam usłyszał i nie jest zadowolony, zresztą to mój kolejny taki wybryk... Dwa poprzednie z pewnością również nie umknęły jego uwadze.

Jest tak, jak przedstawili to moi towarzysze. Widzę bardzo kameralny, ale bez wątpliwości prawdziwy teatr: niewielką scenę, a na niej - świetną, dopracowaną w każdym detalu scenografię, która przedstawia wnętrze florenckiej willi. Grupa aktorów wdzięcznie leży na szezlongach i porozkładanych kobiercach. Jeden z mężczyzn właśnie coś opowiada (po

włosku), a na niewielkim ekranie z boku sceny przesuwa się tekst noweli w naszym ojczystym języku.

Wysuwam głowę i stoję jak najdalej od drzwi. Nie wiem, co myśleć. Zerkam na Adama, który też już zaspokoił ciekawość.

- Zostajesz? - pytam.

- Tak, a ty, Melanio? - Spogląda na mnie z dziwnym napięciem. W jego oczach odbija się zielone światelko z ewakuacyjnego sygnalizatora, - Wolałbym, żebyś obejrzała przedstawienie razem ze mną.

- Wracam z Susan. - Postanawiam doprowadzić swoje śledztwo do końca.

- Wiesz, chyba lepiej, żebyś z nim została. - Susan cicho domyka drzwi i chwyta mnie za rękę. - Jakoś sobie poradzę. - Widzę, że znów gra: jej oczy są rozbiegane ze strachu.

- Nie.

- Dobrze. - Adam kiwa głową. - Skoro tak zdecydowałaś, spotkamy się po spektaklu. Czekać na mnie w pokoju numer dwanaście. - Wyciąga z kieszeni coś, co wygląda jak karta kredytowa, ale jest znacznie mniejsze. - Nie zgub. - Gładzi mnie po ramieniu.

- Nie zgubię.

- Idźcie już.

Posłusznie się oddalamy. Mam zamiar się odwrócić i zobaczyć, czy Adam wchodzi do sali ze sceną, ale Susan chwyta mnie za rękę i dosyć szybko wyprowadza z korytarza.

Znów jesteśmy w miejscu, gdzie zaczęła się cała zabawa.

- To wasz pokój. - Dziewczyna zatrzymuje się przy drzwiach.

- Wiesz, jak tego użyć? - Pokazuję jej kartę. Przy zamku nie ma żadnego czytnika, do którego można by włożyć ten niewielki, metalicznie lśniący przedmiot.

- Tak. Daj.

Susan przykładła kostkę do okrągłej klamki z wygrawerowanym numerem pokoju. Słychać ciche brzęczenie, po czym drzwi lekko odskakują.

- Chodź. - Nowa koleżanka oddaje mi kartę, którą pieczołowicie chowam w kieszonce torebki.

Obie nieśmiało wsuwamy się do kompletnie ciemnego pomieszczenia. Gdy drzwi zamykają się za naszymi plecami, od razu robi się jaśniej. Małe lampki ścienne odsłaniają tajemnicze wnętrza.

- Ups! Nieźle... - Przytykam dłoń do ust.

- Nie da się ukryć - wzdycha Susan, opierając się plecami o drzwi.

Widok jest ciekawy: spory kwadratowy pokój, oczywiście bardzo luksusowo wykończony, czyli lśniący parkiet z jakiegoś prawie czarnego drewna, ściany obite ciemnozieloną tapetą i ozdobione kasetonami przypominającymi te w holu (ale gzymsiki są zdecydowanie bogatsze - połączane i pokryte płaskorzeźbami), kotary z aksamitu... Wszystko jest eleganckie i gustowne, ale to nie wysmakowany styl tak mnie poruszył, lecz wyposażenie: wielgaśne łóżko z wezglowiem obitym bladeżółtą skórą, dwa fotele, stoliczek do herbaty, dwudrzwiowa szafa i coś...

Coś, co stoi na środku i niewątpliwie służy tylko jednemu celowi: unieruchomieniu jakiejś osoby. Podobny stoliczek, tyle że mniej luksusowy, widziałam u Niny. Oglądam materacyk wybity miękkim pluszem i obszyty wokół ozdobną taśmą. Powoli podchodzę i przeciągam dłońią po bordowym aksamicie, lekko szeleszczącym pod satyną rękawiczki.

- Dobrze. - Parskam śmiechem, zerkając na moją towarzyszkę. - Koniec zabawy.

Staram się, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale troszkę przeszkadza mi wyobraźnia. Już widzę się na tym legowisku i czuję, że pod pancernymi majtasami zaczyna się dziać coś przyjemnie niepokojącego.

- Jak się nazywasz?

- Susan. - Głos brzmi naturalnie. - Nie pamiętasz?

- W porządku. Gdzie on jest? - Kto?

- Adam.

- Twój chłopak? Chyba w teatrze...

- Naprawdę jesteś dobra. - Znów się śmieję.

- W czym?

- Nie żartuj. W udawaniu.

- Valentine, ja niczego nie udaję. O co ci chodzi... - Susan nerwowo zaciska dłoń. - Chciałam tylko porozmawiać.

- Wiem, że jesteś aktorką, a Adam wynajął ciebie i tego faceta... Jak mu tam było? Patrick? Tak ma na imię twój mąż? - Puszczam jej oczko.

- Tak... - Dziewczyna przetyka ślinę. - To chyba głupi pomysł, ta nasza rozmowa. Możesz mnie wypuścić? - Zerka na dłoń, w której trzymam kuferek.

Coś mi nie pasuje w tej historii. Nie wiem, jak można grać tak dobrze, żeby na zawołanie spocić się na czole i wywołać dygot dłoni. Napięcie

rośnie jak u Hitchcocka. „Cholera, ale co jest grane...” - myślę tak intensywnie, że słyszę pracę zwojów mózgowych.

- Ej. Poczekaj. - Marszczę czoło. - Naprawdę masz na imię Susan?

- Tak.

- Susan jak?

- Po mężu Pratchett.

- Pratchett? Jak ten pisarz?

- Tak, ale to przypadkowa zbieżność nazwisk. A ty? Twój chłopak mówił do ciebie „Melanio”.

- Bo tak mam na imię.

- Dlaczego przedstawiłaś się inaczej?

- To długa historia, nieważne. Nie jesteś aktorką?

- Nie.

- Chwileczkę. - Parskam śmiechem. - Nie jesteś aktorką? To kim, prostytutką? - Wybałuszam oczy. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Co?! - Teraz Susan wytrzeszcza gałki. - Jesteś chora?! Wypuść mnie, dobrze? - Głos nieco łagodnieje, dziewczyna zwraca się do mnie jak do wariatki.

- Czekaj. Ja pierdolę, co za jaja... Dobrze zrozumiałam? Nazywasz się Susan Pratchett, jesteś żoną Patricka Pratchetta... Patrick Pratchett... - Zastygam na moment, bo właśnie coś mi się przypomina. - Czy twój mąż ma własny biznes?

- Uhm.

- Handluje stalą?

- Skąd wiesz? - Jej oczy są już tak wielkie, że obawiam się, czy nie wypadną z oczodołów.

- O kurwa! - Na moment przykładam dłoń do ust. - Znam go.

- Tak?! Skąd?

- Nie poznaliśmy się osobiście, ale robiłam ekspertyzę dla jego firmy. Jestem doradcą podatkowym. Nie pamiętam nazwy, bo to było jakieś pół roku temu... Czekaj! Mam. PPF Company?

- Dokładnie tak. - Susan natychmiast się rozpogadza. - Świat jest mały.

- O matko! Ale jaja... - Wybucham śmiechem. - Co tu robicie? I co z tą waszą kłótnią na korytarzu?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego tu jesteście i o co mu chodziło?

- Nie wiesz?! Naprawdę nie wiesz, po co tu przyjechałaś? -

Dziewczyna znów jest zszokowana.

- Nie bardzo. To znaczy, wiesz... domyślam się. - Zerkam na stoliczek, o który ciągle się wspieram. - Niezły mebelek, widziałaś coś takiego?

- No pewnie. U nas w pokoju jest identyczny.

- Co?! Mówisz, że macie taki sam?

- Uhm. - Kiwa głową, wyraźnie rozbawiona. - W każdym pokoju jest podobnie, Blanca tak mówiła.

- A Blanca to kto?

- Bratowa Patricka.

- Aha - potakuję, jakbym co tydzień jadła kolację z całą rodziną Pratchettów. - Czeka. - Rozglądam się wokół. - Co tak będziemy stać, chodź, usiądziemy.

- Jasne! - Susan chyba też ma ochotę dłużej pogadać. - Ponoć w szafie jest barek...

- O! Jak miło... - Zsuwam rękawiczki i wkładam je do kuferka.

Obie podchodzimy do wysokiego mebla i otwieramy drzwiczki. W małej lodówce znajdujemy wódkę Stolicznaja i sok pomarańczowy. Szybko przyrządzamy sobie drinki, które razem z prawie pełnymi butelkami zabieramy ze sobą.

- Co z twoim mężem? - Zrzucam buty i siadam na foteliku, podwijając pod siebie nogi. - Wkurzy się, że go zostawiłaś.

- I tak już mam przewalone. - Susan wzrusza ramionami. - Pewnie uciał sobie drzemkę. O piątej rano wrócił z Indianapolis, miał tam jakieś interesy do załatwienia.

- No to mów. O co w tym wszystkim chodzi, co to za miejsce?

- To tak zwany Dom Kary.

- Aha. Możesz jaśniej?

- Miejsce, do którego przywozi się kobiety, żeby je ukarać.

- Serio? Myślałam, że to teatr. - Śmieję się ze swojej naiwności.

- Bo tu jest teatr, zresztą sama widziałaś. Czasami odbywają się tam koncerty albo wieczorki taneczne. W podziemiu jest nawet kino.

- A o co chodzi z tymi kółeczkami na klamkach? Wiesz?

- Uhm. Czerwone kółeczko oznacza, że właśnie odbywa się wymierzanie kary. Widziałaś drugie drzwiczki tej szafy? - Dziewczyna obraca się na moment. - Tam są ponoć różne narzędzia. Za każdym razem nowy zestaw, ale można mieć własne.

- Zobaczymy? - Podrywam się ochoczo.

- Nie da się. Twój facet zna trzeci kod, który trzeba podać.
- Skąd tyle wiesz o tym miejscu? Byłaś tu kiedyś? - Jestem nieprawdopodobnie ciekawa.
- Nie. Dzisiaj pierwszy raz, ale wiem wszystko, bo Blanca mi opowiedziała. Ona i Frank, jej mąż, często tu przyjeżdżają. Raz na dwa, trzy tygodnie.
- Dlaczego tak systematycznie?
- Bo mają takie zasady.
- Zasady?
- Uhm. My też. Niestety. - Susan łąpczywie siorbie drinka. - Pieprzona domowa dyscyplina.
- Czeka, o czym ty mówisz? Macie jakieś zasady, które obejmują obie wasze rodziny?
- No. Mówię o DD, domowej dyscyplinie.
- Na czym to polega?
- Na tym, że mój mąż w każdej chwili może spuścić mi łomot. Mamy to ustalone w umowie przedmałżeńskiej. Mogę dostać za wszystko: za palenie papierosów, używanie wulgaryzmów, pyskowanie, nieposłuszeństwo i tak dalej. Każde przewinienie ma przypisaną określoną karę.
- Blanca też podpisała taką umowę? - Uhm.
- Dlaczego to zrobiliście?
- Bo taki był warunek naszych mężów. Należ mi jeszcze. - Susan podsuwa pustą szklankę. - Patrick nie pozwala mi pić, ale się wkurzy, już to widzę. - Śmieje się jak chochlik.
- Przez chwilę raczymy się drinkami.
- Macie chociaż jakieś prawa albo specjalne przywileje w zamian za zgodę na te reguły?
- O, tak. - Susan z przekonaniem kiwa głową. - A wy? Macie układ?
- Tak, ale ciut inny.
- Uhm. Dlaczego jesteś taka spokojna? Nie boisz się? - wzdycha. Chyba do niej dotarło, że sytuacja jest niewesoła.
- Lania? Tak, ale troszkę. - Próbuję bagatelizować, bo widzę, że moja nowa znajoma jest rozgorączkowana. - A ty?
- Bardzo. Patrick jeszcze nigdy tego nie zrobił. Za co dostaniesz?
- Za nic konkretnego... A ty?
- Rozbiłam jego samochód. Aston martin, nówka.

- Ups.

- Wiem, ale Patrickowi nie chodzi o auto, było ubezpieczone. Wściekł się, bo jechałam z synkiem. Dobrze, że oboje przeżyliśmy... Wiesz, miesiąc temu zrobiłam prawko, kiepsko jeździę, ale się uparłam. Zabrałam kluczyki, a w zasadzie ukradłam, dzieciaka do fotelika i jazda do centrum. Zjechałam z ulicy, bo zagapiłam się w lusterko, no i bęc! Przywaliłam prosto w mur, wszystkie poduszki się otwały. - Susan chichocze jak mała dziewczynka.

- Macie dziecko? Już? Jesteś bardzo młoda. Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden, a Mike, mój synek, prawie pięć. To nie jest dziecko Patricka, ale on bardzo je kocha. W zasadzie gdyby nie Patrick, Mike pewnie by się nie urodził.

- Opowiadaj. - Poprawiam się na miękkim fotelu.

- Poznaliśmy się niecałe sześć lat temu, zaraz po tym, jak zaszłam w ciążę. Wpadłam z takim dupkiem ze szkoły i gdy się o tym dowiedział, rzucił mnie. Postanowiłam, że usunę ciążę. Nie wiem, skąd pochodzisz i kim są twoi starzy, ale ja nie miałam lekko. Dorastałam, jak to się teraz mówi, w patologii, moja matka była alkoholiczką, a ojciec odszedł od niej, gdy skończyłam trzy lata. Nawet najedzenie nie miałam kasy, a co dopiero na aborcję. Postanowiłam coś zarobić w galerii handlowej. - Susan wzrusza ramionami. - Szukałam jakiegoś dobrze ubranego faceta, i żeby nie był obleśny. Trafiło na Patricka. Zaczepiłam go, ale bardzo się oburzył. Chciał wezwać ochronę, prosiłam, żeby tego nie robił, nie chciał się zgodzić... W końcu powiedziałam mu prawdę. I wiesz, co się wtedy stało? - Dziewczyna pociąga nosem. - Zabrał mnie i pojechaliśmy do lekarza. Pierwszy raz w życiu byłam w takim miejscu... Jak tam było czyściutko i ładnie!

- I co dalej? - Zagryzam wargi, bo widzę, że Susan, choć bardzo się stara, nie potrafi utrzymać emocji na wodzy, ja też chyba zbyt mocno się wczułam.

- Zaopiekował się mną. Załatwił mi miejsce w ośrodku dla samotnych matek. Opłacał wszystkie wizyty u lekarza, moją terapię u psychologa i tak dalej, nawet mamie zorganizował odwyk. Potem, gdy mały się urodził, przeniosłam się do innej placówki. Razem ze mną przybywało tam kilkanaście innych lasek, ale tylko ja miałam swoje mieszkanie, wiesz: kuchenkę, salonik, sypialnię... Małe, ale całkiem wygodne. Mieszkałam tam prawie trzy lata, w międzyczasie skończyłam szkołę, a Patrick ciągle mi pomagał. Odwiedzał nas i opiekował się Mikiem.

- Czego żądał w zamian? - Domyślam się, że ta historia brzmi zbyt pięknie.

- Miałam się uczyć i zajmować dzieckiem.

- Nie uprawialiście seksu? - Jestem zaskoczona.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo on nie chciał. - Co?

- Wiem, to bardzo dziwne, ale on taki jest.

- Nie bzykacie się? - Mój głos brzmi tak piskliwie, że sama go nie poznaję.

- Teraz tak. Niedawno się pobraliśmy. - Susan poprawia obrączkę.

- A przed ślubem?

- Nigdy. Tylko jakieś niewinne pieszczoty.

- Naprawdę?

- No. Mówiłam ci, Patrick jest okropnie religijny, jego cała rodzina jest taka. To Irlandczycy, ponoć wszyscy są tacy mocno wierzący.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści osiem.

- Kochasz go?

- Bardzo. Zakochałam się już w tej galerii, gdy z nim rozmawiałam... - Susan znów wzrusza ramionami i zaczyna chichotać. - Wiesz, ile razy próbowałam go uwieść? Kiedyś była taka sytuacja: Mikę miał wtedy może trzy miesiące, już spał, a ja jak zwykle miałam straszną chciwę. Zadzwoiłam do Patricka i powiedziałam, że mały jest chory. Oczywiście natychmiast do nas przyjechał. Otworzyłam mu nagusieńka, jak mnie Pan Bóg stworzył.

- No i?

- Patrick strasznie się wściekł. Kazał mi natychmiast się ubrać i zapowiedział, że jeszcze jedna taka akcja i przestanie nas odwiedzać. Poszłam do łazienki i rozplakałam się strasznie, bo dziewczyny, te moje kumpele z ośrodka, zawsze mi go zazdrościły i kiedyś jedna stwierdziła, że on jest kryptogejem albo impotentem.

- I co?

- Wyszłam z łazienki i wykrzyczałam mu to w twarz. Wtedy Patrick pierwszy raz mnie pocałował. Do dzisiaj to pamiętam. - Susan ukradkiem ociera łzę. - Usiedliśmy i on wszystko mi wytłumaczył, poprosił mnie o rękę i zapowiedział, że gdy skończę szkołę, zatrudni mnie i się ze mną ożeni. No i

dotrzymał słowa.

- O matko, ale historia... - podsumowuję i wzdycham tak samo głośno jak ona.

- No. Jak z filmu. Pewnie myślisz, że popełnił megalomanię. Ja też tak myślę. W sumie to trochę bez sensu. Nie wiem, co go we mnie pociąga.

- Jesteś śliczna, Susan... - Nachyliam się nad małym stolikiem i lekko głaszczę piegowaty policzek.

- Przestań. Ładnych lasek jest na pęczki, wiesz przecież.

I bez dzieciaka, i z lepszych rodzin.

„Oj, kochana, chyba wiem, co to jest. To ta sama chemia, którą wyczuł we mnie Adam...”

- A jego rodzice? Jak się do ciebie odnoszą?

- Dobrze. Jego stary mnie uwielbia.

- On wie?

- O czym?

- O tej domowej dyscyplinie.

- Tak. Ponoć teściowie też żyją w takim układzie, ale tutaj nigdy nie przyjeżdżają.

- O, w mordę - stękam.

- No. Jak włoska mafia. Tradycja z ojca na syna.

- Jaki on jest?

- Patrick? Trochę sztywniak, ale to tylko pierwsze wrażenie. - Pieguska znów parska śmiechem. - Dla mnie jest bardzo kochany i czuły.

- I co teraz zrobisz?

- Muszę jakoś wytrzymać. Powiedz, dostałaś paskiem?

- Tak.

- I jak było?

- Cudownie - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Ej, Mel... nie wkręcaj mnie. - Susan znów się denerwuje. - Powiedz prawdę. Boli?

- Tak.

- Bardzo?

- Dostyc mocno.

- Wiedziała! Wiesz co? - Nagle zmienia się na twarzy. - Mam ogromne wyrzuty sumienia, wiem, że bardzo go zawiodłam. Jak przyjechał do szpitala i dowiedział się, że nic nam nie grozi, to się rozplakał. Pierwszy raz widziałam, jak on płacze, do tej pory mam ten obraz przed oczami.

- Rozumiem. To jak? Idziesz?
- Uhm. - Susan podnosi się z fotela. - Mel...
- Tak?
- Mam pomysł. Może poszłabyś ze mną?
- Po co?
- Nie wiem. Potrzytać za rękę? Wiesz, jak przy porodzie. .. -
chichocze nerwowo.
- Chyba zwariowałaś? - Pomysł wydaje mi się kompletnie niedorzeczny. -
Poza tym twój mąż z pewnością się nie zgodzi.
- Zapytamy. Proszę, chodź ze mną, będzie mi raźniej. Proszę...- Składa
ręce.
- Poczekaj, a jak Adam wróci?
- Jeszcze nie wróci. Spektakl kończy się o jedenastej. Która jest?
Szybko wyciągam telefon.
- Zostało pół godziny.
- Wyślij mu SMS- a, gdzie jesteś.
- Przestań, to niezbyt mądry pomysł. Nie będę mu przeszkadzać. Dobra,
chodź. Może zdążymy.
Wsuwam szpilki, zabieram kartę i szybko opuszczamy pokój.

Kobiety stają przed drzwiami.
- Zapukać? - Susan spogląda na Melanię.
- A masz inny pomysł?
- Nie bardzo.
Rudowłosa dziewczyna kilka razy stuka, ale chyba zbyt delikatnie, bo nic
się nie dzieje. Panna Duvall zbiera się na odwagę i zdecydowanie mocniej
uderza w lakierowane drzwi.
- Susan? - Mężczyzna wreszcie usłyszał stukanie i stoi przed
spłoszonymi kobietami, leciutko ziewając.
- Jestem, Patricku. To Melania. - Jego żona szybko przedstawia swoją
nową koleżankę.
- Witam. Patrick Pratchett.
- Melania Duvall.
- Czemu zawdzięczamy pani wizytę? - Mężczyzna staje tuż obok
tapicerowanego stolika.
- Jestem panną - wyjaśnia Melania. - Przepraszam za najście, ale Susan
bardzo nalegała, żebym z nią tu przyszła.

- Kochanie, dlaczego zaprosiłaś pannę Duvall do naszego pokoju? - Pratchett jest nieco zdziwiony całą sytuacją.

- Bo... ja się boję. - Susan chwyta Mel za rękę i mocno ją ściska.

- Mam ukarać twoją przyjaciółkę zamiast ciebie?

Patrick wreszcie się uśmiecha, ale atmosfera bynajmniej nie ulega zmianie. Jego żona ciągle jest zestresowana i stara się chować za Melanią.

- Nie, ale chciałabym, żeby ona tu była w trakcie wykonywania kary. - Głos Susan drży jak szybka oszklonej witryny pod wpływem zbyt głośnego dźwięku.

- A co na to narzeczony panny Duvall? - Pratchett jest rozbawiony, znów lekko unosi kąciki ust.

- Adam to mój chłopak - ponownie prostuje Melania. - Jest teraz w teatrze.

- Aha... Wobec tego, Susan, obawiam się, że panna Duvall nie będzie mogła spełnić twojej prośby. Nie mam zamiaru narazić się na ewentualne pretensje pana...

Mel przez chwilę się waha, czy może zdradzić nazwisko Adama. Bystre oko Pratchetta natychmiast to rejestruje.

- Proszę się nie obawiać. Jesteśmy dorośli i poważni. Ręczę, że każdemu, kto przebywa w tym budynku, zależy na dyskrecji, ale jeśli ma pani jakieś obiekcje, proszę zachować nazwisko przyjaciela dla siebie.

- Oczywiście. - Melania dyga jak uczennica.

- Więc, jak mówiłem wcześniej, bez zgody pana Adama nie ma możliwości, aby panna Duvall tu została. Przykro mi, Susan. A swoją drogą, trochę nieładnie, że tak się boisz własnego męża.

- Patrick! Nie boję się ciebie! Boję się lania! - Susan jest poirytowana i wystraszona jednocześnie. Co kilka sekund zerka na leżący na łóżku pasek.

- Myślę, że jakoś sobie poradzimy z tym problemem. Panno Duvall, nie chcę być niegrzeczny, ale czy pani podała mojej żonie alkohol? - Kąciki ust Pratchetta raz jeszcze lekko się unoszą.

- Susan jest pełnoletnia, a tak zwany szlachetny eksperyment* na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zakończył się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku! - Melania nie może już znieść tej nieznośnie uprzejmej wymiany zdań.

- Ha! Jest pani świetnie zorientowana! - Teraz Pratchett uśmiecha się

pełną gębą.

- O matko, Patrick, daj już spokój. Idź, Mel., - Susan przytula koleżankę.

- Trzymaj się, mała. - Melania obejmuje dziewczynę, a potem zerka na jej męża i delikatnie skłania głowę. - Miło było poznać. Dobranoc.

- Proszę poczekać.

- Tak?

- Widzę, że Susan bardzo się denerwuje. Może pójdziemy na ugodę: ja się oddalę na chwilę, a pani pomoże mojej żonie się przygotować? Susan, odpowiada ci taka propozycja?

- Uhm. Mel, pomożesz?

- Jasne. - Panna Duvall głaszcze piegowaty policzek.

- Wobec tego zostawiam panie. Trzy minuty wystarczą?

- Tak. - Melania kiwa głową i czeka, aż za Patrickiem zamkną się wąskie drzwi w narożniku pokoju. - Ja pierdolę... „Trochę sztywniak”? Chryste, twój facet to najsztynniejszy koleś, jakiego widziałam. Zasadniczy jak konstytucja... - rzuca szeptem. - Zawsze taki jest?

- Nie aż tak! Nie wiem, co mu dzisiaj odbiło.

- Nie usłyszysz nas?

- Tam jest taki korytarzyk. - Susan lepiej zna rozkład pomieszczeń. - Dopiero za nim jest toaleta.

- Aha.

* Inna nazwa amerykańskiej prohibicji, czyli całkowitego zakazu produkcji, sprzedaży i transportu alkoholu w latach 1919- 1933.

- Boże,... jak ja się boję. Co mam robić? - Na ramionach Melanii zaciskają się spocone dłonie.

- Posłuchaj. Kochasz go?

- Tak.

- On też cię kocha, prawda?

- Bardzo. Milion razy to udowodnił. - Wyraz twarzy Susan od razu łagodnieje. - Nigdy mnie nie skrzywdził.

- I teraz też tak będzie. On też jest zdenerwowany, uwierz mi. I to znacznie bardziej niż ty!

- Serio?

- Serio. Myślisz, że po co polazł do łazienki? Pewnie dostał rozwolnienia ze strachu. Chodź, mamy mało czasu.

- Boże, ja zaraz oszaleję. Co mam robić?

- Jaką masz karę?
- Dziesięć razy paskiem.
- Dziesięć? - Panna Duvall piszczy ze zdumienia. - I o to tyle dymu?
- Mało?
- Prawie nic, zwłaszcza za taki numer.
- Normalnie byłoby więcej, ale mi odpuścił, bo to pierwszy raz. -
Dziewczyna blado się uśmiecha.
- Dobra, podnieś spódniczkę i połóż się. - Mel szybko popychają w
stronę stolika.
- Dobrze? - Susan leży z wypiętą pupą i rękami podłożonymi pod głowę.
- A majtki? - Melania dotyka jedwabiu opinającego blade, lekko trzęsące
się pośladki. Podobnie jak całe ciało Susan, są pokryte delikatnymi
piegami.
- Nie kazał mi zdejmować.
- Nie zaciskaj mięśni, bo dostaniesz zakwasów. Rozluźnij się.
Zapamiętasz?
- Uhm...
Panna Duvall kuca przed twarzą nowej znajomej.
- Posłuchaj mnie teraz. Wiesz, dlaczego on to robi?
- No... przez te głupie zasady. - Susan unosi głowę, żeby lepiej widzieć.
- Nie. On to robi, bo cię kocha.
- Ech, sorry, ale jakoś ciężko mi to zrozumieć.
- Czujesz się głupio, masz wyrzuty sumienia, ale po wszystkim będzie
tak świetnie, lekko. Zobaczysz! Pozwól mu, żeby cię rozgrzeszył - mówi
Mel ze śmiechem.
- Serio?
- Tak. I jeszcze jedno: jak już skończycie, podziękuj mu.
- E... cieszy mnie twój zapał, ale bez przesady. - Teraz Susan zaczyna
chichotać.
- Przynajmniej to rozważ.
- No dobrze, jak przeżyję. Weź mnie przytul.
- Jasne. - Mel obejmuje rudą głowę i przez moment czochra miękkie
włosy.
- Jesteś super.
Gdy słyszą szcęk klamki, Melania od razu się podnosi. - Już uciekam,
panie Patricku. - Na pożegnanie ukradkiem głaszcząc rozgrzany policzek
Susan. Przy drzwiach dobiegają męski głos:

- Proszę poczekać, panno Duvall.

Wychodzą razem na korytarz. Dopiero teraz widać, że ciemne włosy Pratchetta są zupełnie mokre.

- Dziękuję. - Patrick wyciąga rękę.

„Nie ma sprawy, sztywniaku” - przez głowę Mel przebiega szybka myśl. Kobiętę kusi, aby powiedzieć to głośno, ale w końcu rezygnuje.

- Proszę o nią dbać, to wspaniała dziewczyna - odpowiada i mocno ściska dłoń mężczyzny.

- Bez obaw, panno Duvall. - Pratchett zawiesza na klamce czerwoną plakietkę.

Ale akcja! Opieram się o ścianę tuż obok drzwi pokoju Pratchettów. Zerkam na dyndającą zawieszkę i próbuję cokolwiek podsłuchać. Nie wiem, z czego wykonane są wrota do jaskini kar, w każdym razie nie przepuszczają ani pół dźwięku. Może Patrick rozmawia z Susan, zanim przystąpi do dzieła?

Jestem niesamowicie zaintrygowana nową koleżanką, a jej mężem i całą rodziną - jeszcze bardziej. Co to za ludzie? I jak wyglądają te umowy z żonami? Chciałabym zobaczyć taki dokument. Jeśli Susan mówiła prawdę, to pan Patrick Pratchett jest najbardziej ekscentrycznym altruistą i filantropem, jakie-

go miałam okazję poznać. „Ciekawe, czy ten samiec alfa też przez tyle lat zachowywał czystość przedślubną...” - chichoczę w duchu, bo jakoś ciężko mi w to uwierzyć. Nie wygląda mi na takiego, szczerze mówiąc.

W końcu odklejam się od ściany i powoli podchodzę do drzwi naszego pokoju. Sięgam po kartę, którą skryłam między biustem a stanikiem sukienki, i zastygam z przerażenia. Nie ma! Nerwowo grzebię palcami pod satynową podszewką. Wsunęłam już prawie całą dłoń, ale natychmiast ją wyjmuję, bo na końcu korytarza pojawia się kilka osób. To też interesująca grupka. Trzech mężczyzn idzie dość wolno i rozmawia stłumionym głosem, a ich partnerki (przynajmniej tak to wygląda) drepczą z tyłu w kompletnym milczeniu. Gdy cała szóstka mnie mija, odsuwam się pod ścianę. Jestem pewna, że spektakl się skończył, bo trzej tenorzy (wszyscy mają całkiem pokaźne brzuszki) komentują sztukę. Jedna z kobiet dyskretnie na mnie zerka. Jest wyraźnie zdziwiona, pewnie zastanawia się, co robię sama na korytarzu.

Wznawiam poszukiwania dopiero wtedy, gdy napotkani ludzie

rozchodzą się do pokojów.

- Gdzie się podziała ta pieprzona karta? - mamrocze cicho, macając się po spoconych cyckach.

Niewiele brakuje, żebym się rozebrała na środku korytarza. Sprawdzam, czy nie ma tu jakiegoś pomieszczenia, gdzie mogłabym zdjąć sukienkę, ale nie: wyłącznie ciąg jednakowych drzwi z okrągłymi gałkami. Postanawiam kilka razy podskoczyć, może zguba przesunęła się głębiej. Zadzieram sukienkę (czyli masę szeleszczących halek) i odbijam się od miękkiego dywanu.

- Mam cię! - Widzę, jak karta ląduje jakieś dziewięć stóp ode ranie.

Podchodzę i z przerażeniem dostrzegam, że wpadła w szczelinę między drzwiami a brzegiem dywanu. Klękam i ostrożnie ją wyciągam.

- Co pani robi?

Natychmiast się odwracam - przede mną stoi kolejny obcy mężczyzna, kompletnie łysy i dosyć dobrze zbudowany. Ma na sobie dziwaczne ubranie: ni to garnitur, ni to uniform w bliżej nieokreślonym, szarym kolorze.

- Zgubiłam coś. - Szybko się prostuję.

- Co?

- Kartę.

- Zgubiła pani kartę? - Nieznajomy unosi gęste brwi.

- Tak. - Pokazuję, co mam w dłoni.

Mężczyzna szybko się zbliża i niespodziewanie zabiera mi kartę.

- Co pan robi? Proszę oddać! - Jestem oburzona, widząc, jak wkładają do kieszeni.

- Gdzie pani mąż? - pyta, nadal w pełni opanowany.

- Nie mam męża. Proszę mi to oddać!

- Niech się pani uspokoi.

- Proszę oddać!

- Ta pani jest ze mną! - dobiega nas głos Adama.

Obracamy się natychmiast w jego kierunku.

- Jak dobrze, że jesteś. - Oddycham z ulgą, gdy mój chłopak podchodzi i chwyta mnie za rękę. - Ten pan zabrał naszą kartę. - Oskarżycielsko wskazuje palcem pierś mężczyzny.

- Jaki kod drugi? - Łysol zwraca się do Adama, a mnie kompletnie ignoruje.

- Dwanaście.

- W porządku. Proponuję na przyszłość lepiej pilnować żony. -

Nieznajomy oddaje połyskującą kartę i lekko się uśmiecha.

- Przepraszam za kłopot. - Adam nawet na mnie nie patrzy, kiedy to mówi.

- Dobranoc państwu. - Tajemniczy koleś saltuje i oddala się dosyć szybko.

- O matko, dlaczego mu nic nie powiedziałaś?! - Gdy tylko zostajemy sami na korytarzu, uderzam swojego towarzysza w klapę smokingu. - Co za palant! Gdybyś nie przyszedł, pewnie by mi jej nie oddał.

- Chodź. - Adam popycha mnie w kierunku pokoju. - I przestań się awanturować!

Wchodzimy do środka. Mój ukochany spokojnie się rozgląda, podczas gdy ja wprost kipię ze złości.

- Hej! Czemu go nie ochrzaniłeś? I co to za bezczelny dupek?! - Zrzucam buty i tupię bosą stopą. - „Proponuję lepiej pilnować żony!” - Wykrzywiam się, próbując naśladować ton głosu łysego faceta. - A ty jeszcze go przepraszasz!?

- Uspokój się. To był ochroniarz. - Adam siada na brzegu łóżka i wspiera łokcie o kolana. - A tak na marginesie, co robiłaś na korytarzu?

- Szukałam tej pieprzonej karty!

- Szukałaś karty? - Uhm.

- Podejź tu. - Wyciąga ręce.

- Słucham.

Już mi trochę przeszło, więc lekko przytulam twarz do tak znajomo pachnących włosów. Czuję, jak silne dłonie obejmują moją talię.

- Dlaczego nie czekałaś tutaj, jak prosiłem? - Nagle Adam odciąga mnie na długość ramion.

- Czekałam, rozmawialiśmy z Susan. Przecież widziałeś, na stoliku są nasze szklanki. Wyszłam tylko na chwilkę do ich pokoju.

- Po co?

- Susan prosiła o przysługę.

- Jaką? - Oczy Hardinga błyszczą jak dwa szlachetne kamienie.

- Miałam jej towarzyszyć przy... - Milknę i zagryzam wargę, bo właśnie mi się przypomniało, gdzie jesteśmy.

- I jak było?

- Jej mąż mnie wyprosił.

- Wyrzucił cię? - Adam z politowaniem kiwa głową. - Nie. Zrobił to bardzo grzecznie. - Staram się, żeby

zabrzmiało to przekonująco.

- Dlaczego nie mogłaś tam zostać?

- Bo nie miałam twojej zgody. Straszny z niego formalista... - Parskam śmiechem na wspomnienie dyskusji z Patrickiem.

- Dlaczego cię to śmieszy? - Ukochany przysuwa mnie bliżej i lekko zaciska palce na nagich ramionach. - Gdzie masz rękawiczki i dlaczego piłaś alkohol? Wiesz, że ci to nie służy, zwłaszcza w dużych ilościach.

- Dużo tych pytań, panie Harding - odpowiadam, siląc się na kpiarski ton, ale już zaczynam leciutko dygotać. - Śmieszy mnie, bo mąż Susan pod przykrywką pryncypialności ukrywa własne lęki. Rękawiczki zdjęłam i schowałam do kufierka, a co do wódki, chciałyśmy się trochę rozluźnić.

- Byłyście spięte?

- Tak, zwłaszcza ona.

- Dlaczego? - Adam nagle wstaje.

Gdy stoję boso, góruje nade mną tak bardzo, że przed nosem mam jego pierś, która podnosi się i opada. Listwy smokingu, czarne jak skrzydła jaskółki, lekko połyskują przy każdym ruchu.

- Wiesz dlaczego. - Dotykam opuszką błyszczącej satyny.

- Już nie twierdzisz, że to aktorka?

- Nie.

- Dlaczego mi nie zaufałaś? Zawsze musisz sama wszystko sprawdzić? - Adam trzyma palec pod moim podbródkiem.

- Przestań. - Odsuwam głowę, bo pytanie zabrzmiało bardzo poważnie i deprymująco. Zaczynam się czuć jak idiotka.

- Nie przestanę. Mel, cierpisz na chroniczny brak zaufania wobec mojej skromnej osoby. - Ukochany znów trąca mnie palcem, żebym zadarła głowę do góry.

- Pocieszę cię: nie jesteś w tym osamotniony - mówię, wydymając usta. - Wszystkich tak traktuję.

- Ja nie jestem wszyscy. Zapamiętaj to.

„O matko, zaczyna się...” Moje mięśnie natychmiast się napinają. Krew buzuje, a ja nadal jestem zła na Adama: za to, że przed chwilą nie stanął w mojej obronie, za protekcyjne traktowanie w trakcie rozmowy i wreszcie za to, że tak skutecznie wywiódł mnie w pole. To ostatnie boli najbardziej. Choć gdyby od razu mi wytłumaczył, co to za miejsce, nie byłoby niespodzianki i nie zakolegowałabym się z Susan.

Mimo to chcę pierwszy raz postawić się kochankowi w trakcie naszej gry.

Niech nie myśli, że tak łatwo mu pójdzie. „Koniec z uległą Valentine, mój Panie...” - chichoczę w duchu. Jeszcze nie wiem, jak zademonstruję bunt, stawiam na spontaniczność.

- Valentine, załóż buty. - Adam lekko mnie popycha.

Szybko zakładam szpileczki i poprawiam sukienkę spoconymi dłońmi.

- Podejź tu. - Mój chłopak staje obok ławeczki wybitej aksamitem.

Posłusznie się zbliżam, a on obraca mnie tyłem i rozsuwa zamek.

- Zdejmij sukienkę - pada polecenie, wygłoszone tonem nie- znoszącym sprzeciwu.

- Nie - odpowiadam i mocno zagryzam wargi, czekając na reakcję.

- Nie?

- Nie. - Uśmiecham się promiennie, bo zdziwienie mojego mężczyzny zabrzmiało zaskakująco prawdziwie.

- Valentine, jesteś dzisiaj wyjątkowo krnąbrna. „O, już wrócił mu rezon, ale i tak jeden punkt zdobyłam!” Cieszę się jak dziecko.

- Dlaczego nie chcesz zdjąć sukienki?

- Bo mam brzydkie majtki - rzucam bez większego zastanowienia. Chęć zdobycia drugiej bazy rośnie w tempie ekspresowym.

- Brzydkie?

- Uhm. Dostałam je w prezencie, ale mi się nie podobają. - Kto ci je ofiarował? - Mój chłopak, Adam. - Mówiłaś mu o tym?

- Nie.

- Dlaczego je założyłaś, skoro ci się nie podobają? - Czuję na ciele dłonie lekko zsuwające ramiączka sukienki i natychmiast przyciskam ją do siebie.

- Bo nie chciałam zrobić mu przykrości.

- Sądzisz, że to by go wzruszyło?

- Nie wiem - mówię i parskam śmiechem. - Pewnie tak. Jest bardzo romantyczny.

- To źle? - Zaskoczona pytaniem, przez chwilę zastanawiam się, co odpowiedzieć, ale mój Pan nie daje mi szansy na zebranie myśli. - Pokaż mi te majtki. Sam ocenię - szepcze wprost do ucha.

Oblatują mnie dreszcze, odruchowo puszczam sukienkę. Opada na ziemię jak czasza balonu.

- I jak? - Robię krok do przodu, żeby mógł objąć mnie wzrokiem.

- Są idealne dla takiej suczki jak ty. Wysokie i zabudowane. Ochronią pupę i Adam nie będzie narzekał, że ktoś pociął ci skórę w czasie chłosty. To bardzo zapobiegliwy mężczyzna.

- Tak sądzisz, Panie? - Czuję jego palce na ramionach.

- Tak. Połóż się. - Lekko popycha mnie w stronę aksamitnego materacyka.

Układam się tak samo jak Susan i zamykam oczy. Próbuję sobie wyobrazić, ile kobiet leżało już w tym miejscu i kim była ostatnia przede mną. Czy się bały? Pewnie tak. Może Blanca spoczywała tu w oczekiwaniu na chłostę z ręki męża? Ciekawe, ile dziewczyn lubi czuć ból zadawany przez ukochanego mężczyznę. Pewnie niewiele, trzy laski z korytarza raczej nie wyglądały na takie. Podnieca mnie myśl o ich strachu. Też chciałabym się bać, adrenalina to najlepsza część tej zabawy. Leciutko drzę, gdy słyszę otwierającą się szafę i cichy dźwięk wprowadzanego kodu.

Kiedy Pan zbliża się do ławeczki, coś delikatnie dzwoni. Zagadka dosyć szybko się rozwiązuje: tak samo jak Liu mam unieruchomione kostki. Widzę skórzane paski zapięte na klamerki.

- Wyciągnij ręce spod głowy.

Tego się nie spodziewałam: jeszcze nie byłam aż tak zniewolona, żeby nie móc ruszyć ani jedną kończyną. Układam twarz na miękkim pluszu, który bardzo pięknie pachnie ziołami - wyczuwam wyraźną nutę lawendy. Znowu zaczynam lekko dygotać, bo za plecami słyszę jakieś szmery.

- Uch... - wzdycham, gdy czuję, że Pan położył coś na moich plecach, napiętych do granic możliwości.

- Boisz się? - Dłoń delikatnie błądzi po skórze.

- Nie. - Staram się opanować.

- To różga. Cienka i bardzo giętka. Uderzenia są bolesne i pozostawiają malownicze, wypukłe pręgi. Czasami skóra nie wytrzyma i delikatnie pęka, a z rany sączy się krew. Nie boisz się?

- Nie. Wiem, że będziesz uważał, mój Panie.

- A może nie tylko ja to będę robił...

Zastygam w bezruchu. Na moment przestaję oddychać, ale potem przypominam sobie, co mówiła Angelika.

- Nie pozwolisz, aby ktoś inny mnie dotknął.

- Masz rację. Nikomu nie pozwolę dotknąć twojej miękkiej i delikatnej skóry. Przy chłości różgą po zasłoniętych pośladkach nie ma jednak kontaktu fizycznego. Właśnie dlatego masz na sobie taką bieliznę. - Dłoń Pana poprawia gumeczkę, naciągają nieco wyżej.

- Nie... proszę! - Ogarnia mnie przerażenie, bo tego nie przewidziałam. - Jestem naga. Wstydzę się. Proszę...

- Zasłonię twoją nagość.

Czuję na plecach dotyk tkaniny, która opływa je delikatnie jak woda.

- Proszę, nie pozwól, żeby ktoś inny mnie karał.

- Dlaczego? Może zawołam męża twojej przyjaciółki. Jak nazywa się ten człowiek?

- Patrick Pratchett.

- Jaką karę otrzymała jego żona? Na pewno ci wyznała.

- Dziesięć pasów.

- To mało, sądzę zatem, że pan Pratchett z przyjemnością pomoże mi cię skarcić.

- Nie! Proszę, nie wołaj go! - Obracam głowę, próbując dostrzec Adama.

- Dlaczego? Zachowałaś się niewłaściwie wobec tego człowieka? - Mój Pan staje z przodu i zaczyna delikatnie głaskać kark, który wystaje spod tkaniny.

Oczy mam wycelowane wprost w rozporek, więc bez najmniejszych problemów zauważam, że nic tam się nie dzieje. Mój Pan chyba nie żartuje. Jest opanowany i chłodny, nie mogę liczyć na jego podniecenie. Kładę twarz z powrotem na materacu.

- Powiedz prawdę. Wolę, żebyś sama się przyznała.

- Nie zrobiłam nic złego. Wypiliśmy parę drinków i poszłam z Susan do jej pokoju. Pomogłam jej się przygotować, Patrick mi pozwolił. Potem wyszłam, jak kazał. To wszystko - pospiesznie się tłumaczę.

- Jak zareagował, kiedy się dowiedział, że opróżniłyście całą butelkę wódki?

Milczę, bo wiem, że to akurat najślabszy punkt całej opowieści.

- Powiedz!

- Nie był zadowolony. - Bo?

- Susan nie powinna pić alkoholu.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że ze względu na jej matkę alkoholikę.

- Prawidłowa odpowiedź. Jesteś bardzo domyślna.

- Skąd o tym wiesz? - Czuję, że Adam coś ukrywa.

- Znam Franka, brata Patricka Pratchetta. To on wskazał mi ten przybytek jako idealny dla karcenia takich nieposłusznych kobiet jak ty. Właśnie dzięki Frankowi mogliśmy tu dzisiaj przybyć, bo to bardzo elitarne miejsce, wstęp wyłącznie z polecenia. A ty przyniosłaś mi wstyd: wulgaryzmy, awantury na korytarzu, picie alkoholu, najście państwa Pratchettów i jeszcze kłótnia z pracownikiem ochrony. Wiedziałem, że

jesteś krnąbrna, ale dzisiaj przeszłaś samą siebie.

- Po co mnie tutaj przywiozłeś, skoro mogłeś to przewidzieć? - Próbuję zachować twarz.

- Przyjechaliśmy do teatru, ale nie skorzystałaś z okazji i wybrałaś pogaduszki z Susan, zamiast mi towarzyszyć.

- Proszę... Adam, ja... - Chcę powiedzieć, że bardzo się boję i żeby przestał, ale on kuca i na sekundę zatyka mi usta.

- Słucham? - Jego oczy są zimne i bardzo spokojne. – Jak się do mnie zwróciłaś?

- Przepraszam, Panie - mówię, gdy tylko palce odrywają się od moich warg. - Błagam, nie wołaj tego człowieka.

- Za późno na skruchę. Czekał tu. Aha, nie radzę ci odzywać się bez pozwolenia. Rozumiesz?

- Tak.

Umieram ze strachu. Chciałam adrenaliny? *Voilà!* Hurtowa jej ilość bulgocze w moim ciele. Choć w pokoju jest bardzo ciepło, trzęsę się jak osika. Próbuję wyswobodzić ręce, ale są przypięte w dwóch miejscach, i to tak sprytnie, że nie mam szansy nimi ruszyć. Jeśli Adam chciał mnie wystraszyć - udało mu się perfekcyjnie.

Tracę poczucie czasu. Nie wiem, jak długo tkwię, oczekując powrotu mojego Pana. Może pięć minut, a może dziesięć? Kiedy słyszę otwierające się drzwi i podwójny stukot butów o parkiet, przestaję się łudzić, że pomysł z Pratchettem był żartem.

- Zapraszam, panie Patricku. - Adam staje tuż za moim wypiętym tyłkiem. - Moja dziewczyna ma panu coś do powiedzenia.

Mąż Susan podchodzi i zatrzymuje się z drugiej strony pluszowego materaca, bardzo blisko mojej głowy.

- Słucham, panno Duvall.

Zagryzam wargi, a potem biorę głęboki wdech. - Przepraszam, że pozwoliłam Susan pić wódkę, choć mówiła, że to pana bardzo denerwuje. - Coś jeszcze?

- Nie. Mam nadzieję, że się pan na mnie nie gniewa.

- A ta impertynencka uwaga na koniec? Znam zakres swoich obowiązków wobec żony, nie musiała mi pani o nich przypominać.

„Ja pierdolę! Ależ masz czułe ego...” - sarkam w duchu.

- Przepraszam raz jeszcze, nie miałam złych intencji.

Słyszę oddechy dwóch mężczyzn i robi mi się coraz cieplej. W zasadzie to

oblewa mnie pot - ze strachu, napięcia i upokorzenia. Niewiele brakuje, żebym wybuchła płaczem i zaczęła błagać Adama o uwolnienie.

- Żałuje pani?

- Tak. Bardzo. - Głos mi się załamuje.

- Przyjmuję przeprosiny.

Zgromadziłam w płucach takie ilości powietrza, że aż wzdycham, kiedy z ulgą je wypuszczam.

- Mam nadzieję, że spotkamy się przy śniadaniu. Panie Harding, panno Duvall... - Wyobrażam sobie, jak Patrick się kłania.

- Z przyjemnością, panie Pratchett, myślę, że nasze panie będą zachwycone.

Ciche skrzypienie skórzanych butów, dźwięk zamykanych drzwi - i zostajemy sami. Czuję się jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze. Napięte do bólu mięśnie natychmiast się rozluźniają, a z oczu zaczynają płynąć łzy. Pociągam nosem.

- Dziękuję.

- Nie pozwoliłem ci się odzywać.

Adam zabiera różgę i rozpina klamry przy paskach utrzymujących nieruchomo moje ręce i nogi. Gdy są już wolne, lekko unosi mnie do pionu.

- Proszę. - Dostaję od mojego Pana chusteczkę (taką samą, jaką kiedyś pożyczył mi w biurze), ocieram twarz i wydmuchuję nos. Gdy tak stoję wsparta brzuchem o krawędź materaca i z nagimi piersiami, czuję się jak idiotka. - Lepiej? - pyta Adam po chwili. - Możesz odpowiedzieć.

- Nie!

- Chodź tu, Mel. - Obraca mnie i mocno przytula.

Wsuwam dłonie pod poły marynarki i obejmuję ukochanego drżącymi dłońmi. Pod powiekami znów nieznośnie szczypie.

- Dlaczego płaczesz?

Adam gładzi mój kark. Palce delikatnie błędzą po skórze.

- Bo... mnie upokorzyłeś.

- Zapracowałeś sobie na to solidnie.

- Wiem.

Spogląda tak łagodnie, że z moich oczu wylewa się ciurkiem kolejna porcja łez.

- A teraz dlaczego płaczesz?

- Bo nie wymierzyłeś mi kary.

- Chcesz tego?

- Tak. Bardzo. Wiem, że cię zawiodłam.
- Zrobię to, ale nie tutaj i nie teraz. Dzisiaj i tak miałaś wystarczająco dużo wrażeń. Prawda?
- Tak - pochlipuję. - Ale nie gniewasz się na mnie?
- Nie.
- Kochaj się ze mną. - Opuszczam głowę.
- Moja słodka, niepokorna Mel... - Palce dotykają ramion, ześlizgują się po nich i docierają do zgięcia w łokciu. – Rozbierz mnie, jeśli tego pragniesz.

Staję na palcach, zdejmuję z Adama górę smokingu i rzucam ją na pluszowy materac. Obchodzę kochankę i drżącymi palcami rozpinam muszkę. Kończę okrążenie, znów jestem z przodu. Malutkie guziczki cicho pstrykają, jeszcze tylko spinki i mogę zdjąć białą koszulę. Kiedy to robię, w nos uderza najbardziej podniecająca kompozycja zapachów, jaką kiedykolwiek czułam. Aromat rozgrzanego ciała, wody kolońskiej i męskiego potu obezwładnia jak najsilniejszy feromon. Przykładam policzek do wgłębienia nad brzuchem. Przez skórę czuć bijące gdzieś blisko serce.

- Kontynuuj...

- Nie mam siły, pomóż mi.

Ledwie stoję, nogi dygoczą, a piersi gniecie nieznośny ciężar zmęczenia. Chyba zbyt dużo się dzisiaj wydarzyło. Pragnę Adama, ale chciałabym, żeby to on mnie rozebrał, a potem kochał długo i namiętnie.

- Moje maleństwo... - Kochanek bierze mnie na ręce i kładzie na środku wielkiego łóżka, a potem gasi światło. Zostawia jedynie maleńką lampkę na stoliku, w jej świetle widzę, jak zdejmuje z siebie resztę rzeczy.

- Nie przypadły ci do gustu? - Kładzie się tuż obok i wsuwa palce pod krawędź majteczek.

Już mam potwierdzić, lecz gdy widzę pożądanie w oczach Adama, nagle sobie uświadamiam, że zaczynają mi się podobać te zabudowane figi. Są jak połówki muszli perłopława, chroniące delikatne i cenne wnętrze.

- A tobie? - szepczę, kiedy palec mojego ukochanego prześlizguje się po perełce łechtaczki.

- Pięknie w nich wyglądasz, skromnie i kobieco... - Adam masuje wnętrze mojej szparki palcem mocno dociśniętym przez przylegającą tkaninę. - Tak pięknie, że nie wiem, czy mam ochotę je z ciebie zdjąć.

- Jeśli chcesz, sprawię ci rozkosz ustami. Wtedy nie będziesz musiał rezygnować z tego widoku. - Przysuwam się i całuję go delikatnie w

spierzchnięte z podniecenia wargi.

- A co z twoją przyjemnością?

- Ty bardziej zasłużyłeś... - Zamykam oczy i coraz zachłanniej go całuję. - To jak?

- Nie mógłbym ci tego zrobić. Nie dzisiaj. - Okręża językiem jedną brodawkę, a potem szybko dopieszcza jej koleżankę po prawej stronie, odrywa usta, prostuje się i zsuwa moje czarne figi razem z przypiętymi pończochami. - Mel...

- Pragnę cię. - Podnoszę lekko rozchylone uda.

Adam kładzie się i przytula tak mocno, że tracę oddech. Wzdycham, czując wielkiego penisa wchodzącego do rozpalonej cipki i wypełniającego ją po same brzegi. Kochanek jeszcze silniej dociska mnie do siebie: jedną dłoń trzyma pośladki, a drugą podłożył pod mój kark. Obracam głowę, by zaczerpnąć odrobinę powietrza, choć mój najdroższy powinien mi wystarczyć, jest dla mnie jak tlen, nie mogę bez niego żyć. Oplatam nogami napięte mięśnie ud.

- Kochaj mnie - proszę cicho, łapiąc kolejny oddech.

- Słodka Mel... - dyszy Adam. - Jesteś taka piękna, uwielbiam każdy cal twojej gładkiej skóry. Najmilsza Mel, taka drobna i krucha, pachnąca i delikatna jak płatki kwiatu... - Twardy fallus coraz szybciej się porusza, pchnięcia są głębsze i mocniejsze. Z pewnością je słysząc, ale ja jestem otoczona symfonią wyznań i oddechów. - Jak mogłaś pomyśleć, że pozwoliłbym komukolwiek cię tknąć. Gdyby ten człowiek sięgnął po różgę, przegryzłbym mu gardło. Jesteś moja na zawsze, jesteś częścią mnie, a ja jestem teraz w tobie...

- Jeszcze, mocniej. Proszę. - Wbijam paznokcie w napięte mięśnie pleców Adama.

- Maleńka, dojdź dla mnie... Teraz!

Docieramy razem w to piękne miejsce, które pokazał mi już tyle razy...

- Tak mi dobrze - wzdycham, leżąc pod cieniutką kołdrą z pikowanej satyny.

- Śpiąca? - Wierzch dłoni muska jeszcze lekko spocony policzek.

Mój mężczyzna jest taki piękny. Leży obok z ręką podłożoną pod głowę. Włosy opadają na czoło i przysłaniają gęste, niezbyt ciemne brwi. Na twarzy widzę pierwszy cień nieśmiało przebijającego się zarostu.

- Tak... - ziewam, chowając się nieco pod krawędź kapy.

- Wytrzymasz jeszcze chwilę?

Adam siada i sięga dłonią do szafki nocnej.

- Proszę. - Kładzie na poduszce niewielkie czarne pudełko.

- Co to? - Nie spodziewałam się jeszcze jednego prezentu. Dla Melanii był teatr (choć niewiele z niego wyniosłam), a Valentine dostała sukienkę i komplet bielizny.

- Zobacz.

Podnoszę się, naciągam na siebie pościel i delikatnie otwieram kartonik. Nie ma na nim żadnych oznaczeń: ot, zwykłe pudełeczko z grubszej tekturki powleczonej połyskującym laminatem.

- Uważaj. - Adam lekko się uśmiecha, gdy próbuję wyjąć zawartość. - Ostrożnie...

Rozwijam szeleszczącą bibułkę, czuję pod palcami coś twardego i powoli domyślam się, co to za przedmiot.

- Filiżanka? - Z pewnością mam głupią minę. Nie, żebym nigdy w życiu nie dostała czegoś takiego, jednak z reguły otrzymywałam albo komplet z talerzykiem (jeśli miał to być kolejny eksponat), albo cały serwis. A tu jedna, malutka filiżanka na szerokiej nóżce i z bardzo zgrabnym uszkiem. Jest śliczna, widać, że ręcznie malowana, bo każdy kwiat chryzantemy różni się nieco od pozostałych. Brzegi płatków obwiedzione są złotymi liniami, cienkimi jak kilka ludzkich włosów, podobnie listeczki. Kompozycja roślinnych motywów pięknie odcina się od czarnego tła owalnych medalionów, które zdobią przeciwległe boki naczynia.

- Owszem, z tego, co mi wiadomo, to tak zwana filiżanka. - Mój chłopak parska śmiechem.

Obracam ją do góry dnem i robię wielkie oczy.

- Zapal światło! - piszczę z wrażenia.

- Już. - Adam naciska włącznik na wezgielciu łóżka. Widzę dokładnie, ale i tak nie mogę uwierzyć. - Czy to...

- Dokładnie to.

- Rosyjska kostna porcelana? Z petersburskiej fabryki Łomonosowa? - Na sekundę podnoszę wzrok.

- Tak.

- Ręcznie malowana, a te połyskujące niteczki to prawdziwe... - Nie mam śmiałości dokończyć.

- Tak. Pamiętaj, nie wolno myć w zmywarce.

- Serio? - Kręcę głową, wyobrażając sobie to pozłacane cacko szorowane solą w towarzystwie zwykłych naczyń. - Jest śliczna!

- Kamień z serca. - Mój ukochany lekko uderza pięścią w okolice mostka. - Ojciec miał rację, mówiąc, że najlepszy prezent dla kobiety to coś praktycznego.

- Przestań! - chichoczę. - To coś pięknego. Będzie stała na honorowym miejscu w mojej gablotce.

- Nie zamierzasz jej używać? - Adam unosi brwi. - A jak się rozbije? Nie przeżyłabym takiej straty.

- Trudno, weźmiesz następną.

- Następną? Czyli? Proszę, nie trzymaj mnie w niepewności... - Zaciskam kciuki, już wiem, że to część serwisu. - Co jeszcze jest w komplecie?

- Pozwolisz, że nie wymienię, bo trwałoby to zbyt długo, a ja chcę jeszcze złożyć ci życzenia.

- Znam cię. Na pewno pamiętasz, ile jest części!

- Dwie, cztery? - Adam udaje, że się zastanawia. - Czekaj, dołączyli coś do tych twoich garnków. - Ponownie sięga do szuflady i wyjmuje dokument. - Instrukcja obsługi?

To certyfikat oryginalności, spisany ręcznie na czerpanym papierze i opatrzony kilkoma pieczęciami. Przez chwilę próbuję rozszyfrować tekst, ale nie znam języka. Jedyne, co wygląda znajomo, to cyfry.

- Mówiłeś, że znasz rosyjski. - Zerkam znad kartki.

- Przeceniasz moje zdolności, aż takim poliglotą nie jestem. Parę słów kojarzę, ale czytać w cyrylicy? Niekoniecznie.

- Osiemdziesiąt cztery? - Wskazuję jedną z liczb.

- Nie mam pojęcia, co to oznacza.

- Ale ja mam. To pewnie liczba naczyń - wzdycham. Jestem przejęta, aż drżą mi ręce. - Gdzie to wszystko jest?

- U ciebie w mieszkaniu, chyba że Marcus z Robertem zawiedli.

- Uhm... - Oddaję Adamowi dokument, ponownie biorę filiżankę i nagle przytykam dłoń do ust. Właśnie zauważyłam specjalny symbol na wewnętrznej krawędzi uszka... Tak, wzór powstał na zamówienie i jest zastrzeżony wyłącznie dla tego kompletu! Serce łomocze jak szalone, w gardle rośnie klucha. Przełykam ją, ale nie znika, choć próbuję kilka razy. - Jak nazywa się ten motyw?

- Jak najśłodsza i najukochańsza dziewczyna, którą znam.

- Tak myślałam - szepczę przez zaciśniętą krtań. - Zapamiętałeś. Wszystko zapamiętałeś. Jeszcze nigdy nie dostałam czegoś tak... - Głos

drży mi za mocno, żebym mogła dokończyć.

- Daj. - Adam wyjmuję mi z rąk filiżankę i pieczołowicie zawijają w bibułkę.

- Dziękuję. - Rzucam mu się na szyję, gdy tylko niepozorne pudełeczko trafia na szafkę. Nie wiadomo który raz dzisiejszego wieczoru jestem wzruszona, ale to chyba najbardziej przejmujący moment w moim życiu. - Adam... Kocham cię.

- Mel, Kochanie, wszystkiego najlepszego... - słyszę zwykle, wydawałoby się, życzenia, lecz dla mnie brzmią jak strofy najpiękniejszego wiersza o miłości.

Wracamy na Manhattan w kompletnym milczeniu. Wiem, że przegięłam. Zrobiłam z siebie idiotkę, próbując zdyskredytować Patricka Pratchetta. Adam chyba jest zły, choć do końca nie wiem, co kłębi się w jego głowie. Mam wrażenie, że zamiast powietrza otacza nas coś gęstego i drażniącego nos.

- Gdzie jedziemy? - pytam w końcu.

- Do twojego apartamentu.

- Zostaniesz? - Nie.

- Dlaczego?

- Jesteś zmęczona. Powinnaś odpocząć, przespałaś może cztery godziny.

Zagryzam kącik ust.

- Przyjedziesz później?

- Nie. Ty przyjedziesz do mnie. Marcus cię odbierze za kwadrans jedenasta.

- Dobrze.

Kiedy samochód się zatrzymuje, Adam rozpina się z pasów i lekko całuje mój policzek.

- Marcusie, odprowadź pannę Duvall.

Rozpakowanie porcelanowego serwisu zajmuje mi trzy godziny. Zatrzymuję się przy każdej z osiemdziesięciu czterech sztuk i podziwiam kunszt artysty, który je ozdobił. Nie mam wolnej gabloty, więc tymczasowo układam większość naczyń pod oknem. Stoją w kilku stosach i cieszą moje oko za każdym razem, gdy na nie spojrzę.

Biorę kąpiel i próbuję się trochę zdrzemnąć, jednak sen nie nadchodzi. Urywki zdarzeń, strzępki rozmów ze śniadania i fragmenty obrazów, które

przelatują mi przez głowę, powoli układają się w całość:

- *To nieludzkie, żeby tak kogoś traktować.*
- *Nie uważam za celowe, aby Susan przysłuchiwała się naszej rozmowie. Tylko dlatego poprosiłem, aby nas opuściła. Zrobiłem to grzecznie i z szacunkiem, tego chyba pani nie zakwestionuje.*
- *Uważa się pan za inteligentniejszego od swojej żony?*
- *Nie, Susan to bardzo bystra dziewczyna, ale to ja z pewnością jestem bardziej odpowiedzialny...*

- *Czy pozwoli jej pan czasami się ze mną spotkać? Bardzo się polubiłyśmy.*
- *Nie jestem jej ojcem i, jak pani słusznie wczoraj zauważyła, Susan jest pełnoletnia. Prosiłbym jedynie, żeby to były spotkania bez alkoholu i innych używek.*
- *Oczywiście, może pan na mnie polegać w tej kwestii.*
- *Wobec tego nie bardzo rozumiem, skąd takie pytanie, panno Duvall.*
- *Nie boi się pan, że będę mieć na nią zły wpływ?*
- *Przecenia pani swoje możliwości, poza tym zawsze może się stać odwrotnie...*

- *Nie przeszkadza panu fakt, że żona panicznie boi się kary?*
- *Bynajmniej. Cieszy mnie to.*
- *Jest pan sadystą?*
- *Nie. Żona powinna się bać kary, żeby jej unikać...*

- *Gdy tak pana słucham, aż burzy się we mnie krew, to nie do zniesienia!*
- *Panie Adamie, powinien pan ulżyć swojej kobiecie. Chłosta z pewnością nieco zmniejszy to nieznośne ciśnienie...*

- *Jest pani pierwszą feministką, która je śniadanie w tym przybytku.*
- *Czyja wyglądam na feministkę?*
- *Jeśli chodzi o pani wygląd, na pewno nie, natomiast charakter... Panie Adamie, zazdrość wyzwania, okiełznać taką kobietę to sukces nie do pogardzenia...*
- *Domowa dyscyplina bazuje na naturalnych skłonnościach, którymi cechują się mężczyźni i kobiety, na różnicach między nami i biologicznie uwarunkowanych predyspozycjach. Proszę pomyśleć, panno Duvall, gdybyśmy mieli zachowywać się tak samo, czy różnilibyśmy się tak*

istotnie?

- To idiotyczny argument.

- Ale przyzna pani, że nie do podważenia. Zwłaszcza gdy patrzę na panią i pana Adama...

- Czy wobec siebie był pan równie wymagający? Mam na myśli przestrzeganie czystości przedślubnej.

- Ja nie zaglądam pani do majtek i byłbym zobowiązany, gdyby pani raczyła nie interesować się moimi.

- „Hipokryzja”. Mówi panu coś ten termin?

- Tak. A pani zna słowo „powściągliwość”?

- Panie Pratchett, czy dysponuje pan jakimiś materiałami na temat domowej dyscypliny?

- Owszem, panie Harding, ale znacznie lepszy jest udział w sympozjach, które się tu odbywają. Spotykamy się raz w miesiącu i dyskutujemy. Są prelekcje i odczyty, również dla początkujących. Zapraszam serdecznie.

- Kiedy najbliższe spotkanie?

- W następną środę, o szesnastej. Dla klubowiczów, a pan wczoraj dołączył do tego grona, wstęp wolny.

- Adam! Chyba nie skorzystasz z zaproszenia?

- Dlaczego nie?

- Przestań!

- Dlaczego ma pani coś przeciwko temu, panno Duvall? Domowa dyscyplina dotyczy wyłącznie małżeństw, a państwo nawet nie są zaręczeni, więc skąd obiekcje?

- To głupie! Manipulujecie ludźmi.

- Nawet gdyby tak było, Melanio, czy podajesz w wątpliwość moją zdolność radzenia sobie z manipulacją?

- Wiesz, żenię...

Jakoś udaje mi się zasnąć. Gdy budzę się kilka godzin później, nadal mam przed oczami Patricka Pratchetta, jadalnię Domu Kary i rozpromienione kobiety w białych sukienkach. Co za kretyński pomysł z tymi kieckami! Dobrze, że „nie miałam prawa” założyć tego gówna (choć w sumie nazwanie tak jedwabnych tunik szytych na specjalne zamówienie jest nieco krzywdzące).

Na szczęście Adam nie miał nic przeciwko temu, żebym pożyczyła sobie

ten ciuszek na wieczne nieoddanie. Przynajmniej mam pamiątkę...

Telefon cicho brzęczy: SMS.

Drugi SMS, jaki otrzymałam od Adama.

Jeśli to możliwe, ubierz się tak samo jak na pierwszą wizytę w moim mieszkaniu. A.

Nerwowo szukam kremowej kiecki. Na szczęście plama dała się usunąć i sukienka wygląda idealnie. Bieliznę też odnajduję. Oddycham z ulgą, dzierżąc w dłoniach cały zestaw.

Podróż spędzam w „batmobilu”. Znów sobie przypominam, jak to było, kiedy pierwszy raz jechałam do mojego chłopaka taksówką z tym śmiesznym kolesiem w jeszcze zabawniejszej czapce. Teraz jest trochę inaczej, sporo czasu upłynęło od pierwszego lania i wiele się wydarzyło, ale przez strój, porę dnia i okoliczności mam dziwaczne *deja vu*.

Marcus eskortuje mnie do drzwi i odchodzi dopiero wtedy, gdy Adam je otwiera.

- Rozgość się. - Wprowadza mnie do biblioteki. - Napijesz się czegoś?

- Nie. Dziękuję. - Natychmiast po wejściu biorę głęboki wdech, bo na pamiętnym biurku widzę pled złożony w kostkę i różgę w kształcie laski. Od razu zaczynają mnie mrowić pośladki, a w dole brzucha coś lekko się kręci.

- Usiądź. - Gospodarz wskazuje mi jeden z foteli obok kominka.

Posłusznie zajmuję miejsce.

- Co to za utwór? - Zerkam w stronę wieży.

- Aria z opery *Lakme*. Duet kwiatowy.

- Piękny. - Przetykam ślinę.

- Piękny. Nie za głośno?

- Nie.

Siedzimy i przyglądamy się sobie w milczeniu. Czuję się dziwnie, bo Adam też założył dokładnie to co wtedy: białą koszulę, grafitowy krawat, ciemne spodnie i oczywiście pasek, który mu podarowałam. Wygląda nieprawdopodobnie męsko i pociągająco. Mrowienie się nasila, brakuje jedynie torebki od LV i byłoby jak w dniu mojego debiutu.

- Posłuchaj, Melanio... - Chwila ciszy. - Chciałbym ci coś powiedzieć. To ważne, więc proszę, żebyś wysłuchała mnie do końca.

- Dobrze. - Nerwowo poprawiam krawędź kiecki. Chyba udzielił mi się

ten mroczny nastrój, w którym się zanurzyłam, wchodząc tu przed kilkoma minutami.

- Ta sukienka, którą wczoraj ci dałem, była prezentem pożegnalnym.

„Pożegnalnym... Boże, dopomóż...”

Na moment zamykam oczy. Serce przestaje bić, a oddech więźnie w piersiach. Umieram z żalu, cała drżę, ale jakoś udaje mi się opanować. Podnoszę powieki i przyglądam się mężczyźnie - pierwszemu, któremu wyznałam miłość, i zarazem pierwszemu, który mnie rzuca. Jedyne, co mi nie pasuje do kontekstu, to koc i różga. Może Adam chciał sprawić, żebym jeszcze mocniej żałowała? To niepotrzebne, i tak z trudem powstrzymuję łzy. Wbijam paznokcie w miękkie wnętrze dłoni i zagryzam zęby. Mam przemożną chęć wstać i uciec z tego miejsca, ale nogi są jak z waty. I jeszcze ta muzyka... Kobięce głosy łkają tkliwie, jakby chciały mi osłodzić ten straszny moment.

- Rozumiem. Daj mi chwilę - wzdycham ciężko. – Zaraz sobie pójdę.

- Prosiłem, żebyś wysłuchała mnie do końca.

- Ale po co? Już wszystko wiem... - Spuszczam wzrok na drżące z emocji kolana. - Adamie, wygrałeś zakład. Gratuluję.

- Kocham cię, Melanio.

Biorę głęboki wdech, a serce dla odmiany zaczyna walić jak oszałałe. Nie spodziewałam się takiej deklaracji. Nie wiem, jak wyglądają teraz moje usta, lecz mogę z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że są białe, bo na moment bardzo mocno zacisnęłam wargi.

- Co powiedziałaś?

- Kocham cię, Melanio.

- A sukienka, prezent pożegnalny? - mówię cicho, ledwie się słysząc.

- To był prezent dla Valentine.

„Dla Valentine... No tak, przecież to logiczne”.

- Mel, muszę coś wyjaśnić. Popatrz na mnie.

Przykładam dłoń do piersi i z wysiłkiem podnoszę głowę.

Adam wygląda tak spokojnie, podczas gdy w moim sercu właśnie szaleje tornado.

- Wróć do początku. Rzeczywiście, założyłem się z Ronem o to, że uda mi się rozkochać cię w sobie i zostawić, ale to był głupi żart i żałuję, że się zgodziłem. Zrozumiałem to bardzo szybko.

- Kiedy? - Powoli odzyskuję zdolność mówienia.

- Tego wieczoru, gdy na drzwiach twojej szafy wisiała niebieska sukienka.

Wzdycham ciężko, coś drapie mnie w gardle, a ucisk przemieszcza się z dołu brzucha w górę.

- Pamiętaj, że podczas naszego pierwszego spotkania wymieniałem jeszcze jedną opcję. Tylko ona wchodzi w grę. Myślę o nas bardzo poważnie i chciałem, żebyś o tym wiedziała.

- Rozumiem.

- Wierzysz mi?

Nie odpowiadam, dopiero teraz docierają do mnie słowa Adama. Przełykam ślinę, ale klucha w gardle nadal jest zbyt wielka.

- Może jednak zaproponuję coś do picia?

- Proszę...

Mój ukochany wstaje i po chwili przynosi lekko oszronioną szklanekę.

Próbuję się opanować i nie zachłapać, jakoś się udaje.

- Czy mogę kontynuować?

- Tak.

- Parę godzin temu miałem gościa, Patrick Pratchett poprosił mnie o spotkanie.

Kiedy słyszę nazwisko tego faceta, od razu podnosi mi się ciśnienie. Klucha maleje, a ja odzyskuję głos. W dupie mam tego mizogina. Po kiego licha Adam teraz o nim wspomniał?

- Próbował cię przekabacić? - rzucam, starając się, by moje słowa zabrzmiały jak najbardziej lekko.

- Nie. Było raczej odwrotnie.

- To znaczy?

- Rozmawialiśmy o tym, co powiedziałaś mu przy śniadaniu. Wziął sobie do serca twoje uwagi, zasiał w nim ziarno wątpliwości i chciał to z tobą przedyskutować.

- Naprawdę? - Nie mogę uwierzyć, że udało mi się jakkolwiek trafić do człowieka tak zabetonowanego w swoich przekonaniach.

- Tak.

- I na czym stało?

- Zaraz ci powiem, ale najpierw powinnaś coś wiedzieć. Emily, czyli teściowa Patricka, niedawno zmarła. Przedawkowała narkotyki. Susan podzieliła się z tobą zaledwie częścią prawdy, jej matka była ćpunką i alkoholiczką, prostytutowała się, żeby zarobić na używki. Nie skończyła terapii, którą załatwił dla niej Patrick. Uciekła z ośrodka i słuch po niej zaginął. Niedawno odnaleziono ją martwą gdzieś na północy Oregonu.

Miała zaledwie trzydzieści sześć lat. Susan nie ma rodzeństwa, bo Emily zaraz po jej urodzeniu ponownie zaszła w ciążę i sama próbowała dokonać aborcji. Coś sobie przy tym uszkodziła. Jak myślisz, gdzie teraz byłaby Susan, gdyby nie Patrick?

Słuchając tej wypowiedzi, trzymam się za serce i doświadczam całego spektrum uczuć i emocji: od przerażenia po współczucie.

- Aleja to wszystko rozumiem, Adam... Susan z pewnością wylądowałaby na ulicy, jak jej matka.

- Dokładnie tak.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Wkurza mnie ten facet, bo uważa się za boga, za kogoś lepszego od swojej żony, traktuje ją jak małe dziecko. On decyduje, co jest dla niej dobre, a co złe. Wymagał od niej czystości przed ślubem, podczas gdy sam pewnie jej nie zachowywał. To hipokryta i sadysta. Wykorzystuje swoją przewagę ekonomiczną, tresuje Susan jak psa!

- Mel, to nie tak. Rzeczywiście, przed zaręczynami Patrick prowadził swobodne życie erotyczne, ale od dnia oświadczyn aż do ślubu zachował wstrzeźliwość. Traktuje Susan protekcyjnie, ale ona tego potrzebuje, bo mentalnie jest dzieckiem. Patrick nie jest sadystą, prędkiej to mnie mogłabyś o to oskarżyć, przypomnij sobie, co ci robiłem. A co do przewagi finansowej... Susan w dniu ślubu została właścicielką sporej sumki, która pozwoliłaby jej na samodzielne utrzymanie przez co najmniej pięć lat. Widziałem ich kontrakt przedślubny i intercyzę. Susan w każdej chwili mogłaby się rozwieść, a na wypadek gdyby tak się stało, Patrick zobowiązał się do uposażenia jej w jedną trzecią swojego majątku i płacenia alimentów na nią i na Mike'a, i to przez dwadzieścia lat po rozwodzie. Uznał dziecko za własne, chłopak nosi jego nazwisko. Co według ciebie Patrick mógłby jeszcze zrobić, żeby lepiej zabezpieczyć finansowo swoją żonę? I co trzyma Susan przy nim?

- Chcesz powiedzieć, że zgoda na taki styl życia to jej autonomiczna decyzja? Jej i Blanki?

- Dokładnie tak. Nie wspomniałaś o matce Patricka, a ona też ma zagwarantowane w umowie podobne warunki. To świadomy wybór tych kobiet.

- Nie wyobrażam sobie funkcjonowania w takim układzie.

- Bo?

- Czułabym się jak przedmiot. Głupsza od swojego męża, mniej

wartościowa.

- Mel, czułaś się głupsza albo mniej wartościowa, kiedy zgodziłaś się na pierwsze lanie? Przecież przyszedł tu dobrowolnie i sama kupiłaś ten pasek, którym wymierzyłem karę.

Uważasz, że potraktowałem cię przedmiotowo? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

- Nie, ale nie porównuj tych dwóch sytuacji: mojej i Susan.

- Dlaczego? Przecież obie jesteście niezależne finansowo. Żeby żyć, nie potrzebujecie męża.

- Adam, nie rozumiesz. Nie chodzi wyłącznie o pieniądze. Nie potrafię spokojnie patrzeć na układ panujący w związkach Pratchettów. Wydaje mi się to bardzo niesprawiedliwe i krzywdzące dla kobiet. - Jestem wkurzona, bo znów zdaje mi się, że rozmawiam ze ścianą.

- Ale dlaczego? Przecież w każdej chwili mogą to zakończyć. Gdyby było im źle, zrobiłyby to. Czy nie rozumiesz, że one kochają swoich mężów, a oni otaczają je miłością? Bez uczucia, bez wzajemnego zaufania i oddania, szacunku i troski taki układ nie miałby sensu. Susan kocha Patricka, ale śmiem twierdzić, że on kochają znacznie mocniej. Dlatego dzisiaj tu przyszedł. Chciał poprosić mnie o zgodę na rozmowę z tobą, ale uznałem, że to niewłaściwe. To ja rozwiązałem jego wątpliwości co do domowej dyscypliny.

- Mam rozumieć, że odpowiadają ci takie zasady?

- Owszem.

- Chciałbyś, żebyśmy też tak funkcjonowali? Po to nawiązałaś do rozmowy z Pratchettem?

- Taki związek to spełnienie moich marzeń.

- A to... - mówię i wskazuję palcem biurko - jest przygotowane dla Melanii?

- Tak.

- Koniec z Valentine? - Właśnie opadają mi klapki z oczu.

- Tak. Koniec z Panem i Valentine. Od tej chwili są Adam i Melania. Już nigdy nie zwrócę się do ciebie twoim drugim imieniem.

- Co zamierzasz?

- Spuścić ci lanie, Melanio. To chyba jasne.

- Mam się zgodzić? To warunek naszego dalszego związku, Adamie?

- Nie, za mocno cię kocham, żeby tak ryzykować. Taki warunek to emocjonalny szantaż, gdybym ci go postawił, zachowałbym się żałośnie.

Chciałbym, żebyś pozwoliła mi wymierzyć karę, ale jeśli tego nie zrobisz, nie będę naciskać. To musi być twoja autonomiczna decyzja. Jeśli ją podejmiesz i poddasz się karze, uznam to za zgodę na zaproponowane zasady. Jeśli nie odpowiada ci takie rozwiązanie, obiecuję, że nadal będę cię kochał i dbał o nasz związek jak dotychczas, ale już bez Valentine i Pana. Punkt drugi i siódmy również przestaną obowiązywać.

- Rozumiem.

- Chcesz poznać treść umowy, którą zawarli Pratchettowie? Mam ją tutaj, Patrick przyniósł kopię.

- Nie.

- Skoro tak, zostawię cię teraz na pięć minut. Przemyśl wszystko, co powiedziałem, i pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Adam podnosi się z fotela, po chwili słyszę kroki zmierzające ku wyjściu.

- Poczekaj. - Wstaję, żeby go zobaczyć.

- Tak? - Mój ukochany odwraca się w progu.

- A co z hasłem?

- Kiedy mi zaufasz, już nigdy nie będzie ci potrzebne.

Zostaję sama. Zerkam na zegarek: jest za pięć dwunasta. Biję się z myślami...

Pięć minut ciągnie się Adamowi jak wieczność. Mężczyzna stoi przy oknie i próbuje dostrzec coś w szybie, czarnej jak dno jeziora, ale widzi jedynie lampę, która odbija się w szklanej tafli. Gdy obie wskazówki zatrzymują się w tym samym miejscu, Harding opuszcza gabinet i kieruje się do salonu. Kilkanaście stóp dzielących oba pomieszczenia pokonuje z drżącym sercem.

- Jaka decyzja? - pyta Melanię.

Panna Duvall siedzi z kurczowo ściśniętymi nogami i nie odpowiada. Adam podchodzi do fotela, kuca przed nim i kładzie dłonie na bordowych podłokietnikach.

- Mel, kochanie? Jaką podjęłaś decyzję?

- Przytul mnie - cicho prosi kobieta.

Adam chwyta ją za ręce, podnosi z fotela i obejmuje, a po chwili delikatnie całuje w policzek.

- Kocham cię bez względu na to, co wybrałaś. Chcę z tobą być i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim, pamiętaj.

- Ja też cię kocham. - Mel kładzie dłonie na piersi partnera.

Przez chwilę tkwią w uścisku, czują uderzenia swoich głośno bijących serc.

- Chcesz mi coś powiedzieć, Melanio? - Harding lekko się schyla i szepcze jej wprost do ucha.

- Nie.

Kobieta jeszcze przez kilka sekund mocno przytula ukochanego, a potem delikatnie wyswobadza się z objęć. Chwyta go za rękę i powoli prowadzi za sobą. Gdy zatrzymują się przy biurku, staje przodem do blatu, rozkłada koc i unosi krawędź sukienki, odsłaniając pośladki.

- Czy mam zdjąć bieliznę? - pyta, wpatrując się w delikatny wzorek zdobiący szenilowy pled.

- Nie. Połóż się. - Męski głos brzmi bardzo spokojnie, można by rzec, że beznamiętnie.

Panna Duvall powoli układa się na miękkim kocu: najpierw brzuch, a później ręce, podparte na przedramionach.

Adam obchodzi biurko.

- Trzymaj się krawędzi. - Wskazuje brzeg blatu po drugiej stronie.

Melania posłusznie wyciąga ręce i oplata palcami rant mebla. Biurko jest na tyle szerokie, że jej łokcie, między którymi ułożyła głowę, są prawie wyprostowane.

- Czy tak dobrze?

- Tak.

Mężczyzna wraca na poprzednie miejsce. Delikatnie poprawia sukienkę swojej dziewczyny, a potem zabiera różgę.

- Gdy będziesz gotowa, daj mi znać. Pamiętaj, że jeszcze możesz się wycofać.

Chce mi się płakać. Marne pięć minut to stanowczo za krótko. Zbyt mało czasu, aby wszystko przetrwać. Leżę w oczekiwaniu na karę i zastanawiam się, czy podjęłam słuszną decyzję. Jeszcze raz rozważam drugą opcję.

Jestem pewna, że Adam bardzo mnie kocha i wierzy w moją miłość. Skąd ta pewność? Bo pozwolił mi zdecydować za nas oboje. Był gotów zrezygnować dla mnie z mrocznej sfery naszego związku, z chęci sprawiania mi bólu. Mogłam wybrać: własne przekonania albo jego.

Czy potrafiłabym żyć w partnerskim układzie, w którym każde z nas ma jednakowe prawa i obowiązki? W którym nie ma kar cielesnych, a karcącą

rękę zastępuje rozmowa? Nie wiem, czy obyłabym się bez tego. Już nigdy nie leżałabym przed Adamem, drżąc ze strachu i podniecenia, czekając na pierwsze uderzenie. Już nigdy nie czułabym tej niespotykanej radości, fali szczęścia po odbyciu pokuty. Czy nie brakowałoby mi zastrzyku endorfin po usłyszeniu słów: „Wybaczam ci...”? Czy mogłabym tak żyć?

A on? Wiem, jak uwielbia sprawiać mi ból, widziałam to w jego oczach. Pragnie sprawować kontrolę i wydawać polecenia, być odpowiedzialny za siebie i za mnie. Czy mogłabym mu odmówić i odebrać możliwość przeżywania tych emocji tylko w imię politycznej poprawności, w którą coraz mniej wierzę?

Znów mam przed oczami twarze kobiet z Domu Kary. One naprawdę były niewiarygodnie szczęśliwe, widziałam to, ale po prostu nie chciałam uwierzyć.

Zagryzam wargi, a potem biorę głęboki wdech.

- Adam...

- Tak?

- Proszę, przytul mnie.

Podchodzi, unosi mnie i znów delikatnie bierze w ramiona.

- Już dobrze? - pyta, gładząc wierzchem dłoni rozpalony policzek.

- Tak. Już tak. - Odsuwam się delikatnie.

- Zmieniłaś zdanie? - Spogląda tak łagodnie. W jego oczach nie widzę nawet cienia rozczarowania czy złości.

- Nie. Po prostu chciałam, żebyś mnie przytulił. Boję się.

- Czego? Że podjęłaś złą decyzję?

- Nie. - Spuszczam głowę.

- Nie bój się. Zaufaj mi.

- Ile różg otrzymam?

- A na ile zasłużyłaś? - Sto?

- Nie, Mel, to zbyt surowa kara, aż tak nie nabroiłaś. Wystarczy pięćdziesiąt. Będziesz liczyć.

- Dobrze - potakuję.

Układam się ponownie i zaciskam palce na brzegu blatu. Biorę głęboki wdech.

- Adamie, jestem gotowa.

Różga z cichym świstem przeszywa powietrze. Kiedy spada na pośladki, czuję ostry, przeszywający ból. Odruchowo zaciskam palce na krawędzi biurka, już wiem, dlaczego powinnam się jej trzymać. Oddycham

głęboko w oczekiwaniu na następne uderzenie, ale ono nie nadchodzi. Nagle uświadamiam sobie, że Adam czeka na mnie.

- Jeden - szepczę.

Kolejne smagnięcie dotyka skóry nieco niżej, jest równie mocne i tak samo bolesne. - Dwa. Trzeci świst... czwarty, piąty, szósty...

- Dziewięć... - Ledwie mówię, łzy napływają do oczu, a dłonie zaciskam tak mocno, że aż pieką.

- Melanio, chcesz odpocząć? - pyta Adam po dziesiątym razie, który przed sekundą spadł na uda tuż pod pośladkami.

- Nie, ale prosiłabym, żebyś to ty liczył.

Chłosta różgą jest zdecydowanie najboleśniejszym z moich doświadczeń, pasek i palcat mogą się schować. W duchu dziękuję Adamowi, że zmniejszył liczbę o połowę. Nie wiem, dlaczego dzisiaj jest inaczej niż dotychczas. Naprawdę boli, a ja myślę jedynie o tym, żeby przetrwać.

- Dlaczego, Melanio? - zza pleców dobiega mnie spokojny głos ukochanego.

- Nie mam siły - odpowiadam szczerze, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Tak bardzo boli?

- Tak.

- Rozumiem. Jeśli będziesz potrzebowała przerwy, podnieś prawą rękę.

- Dobrze.

- Możemy zaczynać?

- Chwileczkę. - Unoszę głowę, poprawiam ułożenie nóg, lekko potrząsam pośladkami, przez moment prostuję i zginam palce. - Czy mogłabym prosić o coś, na czym zacisnę dłonie? - pytam, bo nie wyglądają zbyt dobrze, drewniany rant tak mocno wgniótł się w środek, że powstały maleńkie krwiaki.

- Coś nie tak? Skaleczyłaś się?

- Nie. Po prostu blat jest zbyt twardy i ostry.

- W porządku, zaraz coś przyniosę.

Słyszę stukot butów, Adam gdzieś wychodzi. Wraca po minucie.

- Wybierz, co ci odpowiada. - Kładzie przede mną maleńką poduszkę i mokry ręcznik zwinięty w rulon.

Sięgam po ręcznik, ale wydaje się zbyt wiotki. Zabieram poduszkę, wkładam ją pod głowę i obejmuję dłońmi. Od razu znacznie wygodniej mi się leży.

- Teraz dobrze?
- Tak. Przepraszam.
- Nic się nie stało. Powiedz, gdy będziesz gotowa.

Biorę głęboki oddech, jeszcze raz napinam i rozluźniam wszystkie mięśnie.

- Adamie, jestem gotowa.
- Jedenaście.

Świst i trach! Jedenaste uderzenie jest okropne. Może dlatego, że przez te kilka minut skóra na tyłku zdążyła wypełnić się krwią.

- Dwanaście... trzynaście... czternaście...

Przestaję słuchać Adama. Całą uwagę koncentruję na tym, co się dzieje z moim ciałem. Boli niewiarygodnie, mam wrażenie, że każde smgnięcie rozcina skórę. Choć staram się kontrolować, cicho pojękuję. Łzy płyną strumieniami, przypominam sobie, jak cierpiała Liu, i zagryzam krawędź poduszki, żeby stłumić jęki. Ta retrospekcja paradoksalnie przynosi mi nieco ukojenia - a może adrenalina zaczęła już działać? Jest nieco lepiej, jednak gdy za plecami wybrzmiewa „czterdzieści jeden”, i tak wzdycham z ulgą. Już ostatnia dziesiątka...

- Czterdzieści dwa.

Uderzenia słabną czy się nasilają? Nie mam pojęcia. Niewątpliwie są coraz głośniejsze, ale odczuwam je jako znacznie lżejsze niż na początku.

- Czterdzieści siedem.... Czterdzieści osiem... Czterdzieści dziewięć... Pięćdziesiąt.

„Koniec. Boże, to już koniec. Przetrwalam. Jak dobrze, że nie musiałam liczyć...” Nadal nie podnoszę głowy, moim ciałem szarpia łkania. To tak bardzo bolało. Dlaczego?

- Mel?

Adam delikatnie opuszcza moją sukienkę, czuję jego ciepłe dłonie. Podnosi mnie i obraca twarzą do siebie.

- Nie płacz, skarbie, już po wszystkim. - Bierze mnie na rękę, niesie do sypialni i układa na łóżku, po czym mości się tuż obok. - Już dobrze. - Głaszcząc po policzku wierzchem dłoni. - Już dobrze...

Przytulam się mocno. Rzeczywiście, trochę mi lepiej, choć ciągle nie mogę dojść do siebie. Chusteczka mojego ukochanego znów idzie w ruch. Wycierając nos, próbuję odgadnąć, ile jeszcze Adam ich ma. Każda wygląda jak nowa, jest czysta i wykrochmalona.

- Jak się czujesz, kochanie? - słyszę, gdy oddaję mu zmiętą moką kulkę.

- Dobrze.

- Bolało?

- Tak. Bardzo. I ciągle boli. Dlaczego? - Nie potrafię zrozumieć, co się stało.

- To była prawdziwa kara. Dlatego bolało.

Choć Adam odpowiada natychmiast, a jego głos brzmi bardzo spokojnie i pewnie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że też jest zaskoczony.

- Och, przytul mnie mocno. - Zamykam oczy i wciskam nos w zgięcie między silnym ramieniem a piersią. - I powiedz coś miłego...

- Kocham cię. Kocham cię, moja najdroższa kruszynko, mój skarbie najpiękniejszy... - Palce delikatnie błędzą po szyi.

- Teraz zawsze tak będzie? Czy to przez różgę? - drażę temat, bo czuję, że coś jest nie tak.

- Nie wiem i mam nadzieję, że nieprędko otrzymasz odpowiedź na to pytanie.

Próbuję sama dojść do prawdy. Analizuję, co spowodowało taką różnicę. Czyżby użyte narzędzie? Raczej niemożliwe, żeby to miało tak duże znaczenie. Więc czego brakowało? Jakiego elementu?

Nagle uświadamiam sobie, że nie podnieciłam się podczas lania. Może w tym rzecz? Pierwszy raz nie byłam mokra, a moja cipka dopiero teraz zaczyna delikatnie mrowić pod wpływem zapachu, który wypełnia nos. Na brzuchu czuję coraz mocniejszy dotyk budzącego się penisa. Adam zaczyna ciężko oddychać, jego pierś faluje, do mnie też przyplływają kolejne fale pożądania.

- Czy mi wybaczyłeś? - mamroczę cicho, próbując przywołać emocje z dnia, kiedy po raz pierwszy otrzymałam karę.

- Oczywiście, skarbie.

- Pragnę cię.

- Ja też cię pragnę, Mel. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Kochaj się ze mną.

Czuję jego dłonie, które lekko mnie unoszą, rozpinają suwak na plecach i zdejmują sukienkę z ramion. Potem rozpinają stanik, by uwolnić moje gorące i nabrzmiałe piersi. Jeszcze tylko majteczki, zdjęte z największą atencją i ostrożnością.

- Och, Mel... Jesteś taka śliczna, ciągle nie mogę uwierzyć, że jesteś moja i że się zgodziłaś... - Całuje skórę na dekolcie, pieści koniuszkiem języka stojące brodawki.

- Kochaj się ze mną. - Nie mogę się doczekać. - Proszę, kochaj mnie.

Adam wstaje. Nie otwieram oczu, jedynie na podstawie cichych odgłosów domyślam się, co robi. Szczęk klamerki paska, szelest zdejmowanej koszuli i spodni... Drzę w oczekiwaniu na dotyk.

- Obróć się na brzuch. - Znad głowy słyszę zdławiony podnieceniem głos.

Posłusznie przyjmuję wskazaną pozycję.

Materac ugina się pod ciężarem mojego kochanka.

- Mel, jesteś tak niewiarygodnie piękna. Kocham cię. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałem ci to powiedzieć i jak długo zwlekałem, byłem głupcem... - Muska ustami moje plecy i pośladki, całuje pręgi po uderzeniu i przeciąga po nich językiem. Ciepły oddech łaskocze, ból jest coraz mniejszy.

- Weź mnie... Proszę, weź mnie... - Zaciskam dłonie na brzegu poduszki.

- Już... - Adam sadowi się między moimi udami, delikatnie wsuwa dłonie pod brzuch i podnosi go do góry. - Klęknij, Mel, rozsuń nogi i oprzyj się głową o poduszkę. - Wiem, że nie chce dotykać mojego ciała w miejscach, które oberwały podczas chłosty. - Może boleć... - Wchodzi we mnie jednym, zdecydowanym pchnięciem.

- Och... - głośno jęczę, zwijając się w kłębek. Czoło dojeżdża do kolan, a ręce obejmują pochyloną głowę.

Gorąca skóra mojego kochanka parzy. Kiedy Adam dźwiga mnie w pachwinach i jeszcze mocniej dociska do swojego podbrzusza, mam wrażenie, że ktoś polewa nas wrzątkiem. Wrażenie jest tak realistyczne, że na moment otwieram oczy, by sprawdzić, czy gdzieś na pościeli nie widać plam z wody. Sięgam rękami do tyłu - i wtedy Adam chwyta moje nadgarstki. Jestem unieruchomiona, a on robi, co chce... Penis coraz szybciej i mocniej uderza o sklepienie pochwy, silne palce odcinają dopływ krwi do dłoni.

- Mocniej... - łkam i błagam. Nie mogę już znieść cierpienia, ale chęć przeżycia rozkoszy okazuje się silniejsza. - Mocniej! Jestem twoja, Adamie...

Fala gorącej krwi uderza z impetem. Drzę, wstrząsana niezliczonymi skurczami, nie czując już bólu, który tak wiernie towarzyszył mi aż do końca.

- Mel! Kocham cię...

CZĘŚĆ DRUGA

Wchodzę do mieszkania, po drodze zrzucam buty, torebka ląduje gdzieś na podłodze. List od taty? Jestem w szoku. Od kiedy się wyprowadziłam, dostałam raptem dwa listy od rodziny. Pierwszy - od mamy, która wysłała mi moje świadectwa szkolne, drugi - od Ashleya, z zaproszeniem na ślub. A tu taka niespodzianka! Oczywiście zamierzam zaraz zadzwonić do rodziców, ale na razie siadam na kanapie i niecierpliwie rozrywam grubą kopertę.

Kochana córciu, mam nadzieję, że się ucieszysz.

Zadzwoń do nas, gdy już pooglądasz.

Pozdrawiam.

Tata

PS Nigdy nie zgadniesz, skąd je mam.

- Tato? Mój tato wysłał mi list? Niewiarygodne... - mamroczę, wyjmując paczuszkę zawiniętą w papier i pieczołowicie oklejoną taśmą. Odcinam luźny brzeg i nagle... Nagle cały świat staje w miejscu. Oddech grzęźnie w płucach, a drżące palce pospiesznie zbierają dziesiątki fotografii, które rozpięchły się po podłodze i meblach jak stado obrzydliwych robali. - O matko, o matko...

Próbuję jakoś poukładać zdjęcia, ale zbyt mocno drżą mi ręce i wszystko znów zlatuje na ziemię. Klękam przy kanapie i ze wstrętem wkładam przesyłkę z powrotem do koperty. Nie chcę patrzeć, więc odwracam każdą fotografię i nagle na białej stronie jednej z nich widzę napis; *Melania i Nicolas*. To jego pismo! Poznają natychmiast. Kolejna fala mdłości szarpie tak, że nie wytrzymuję. Wymiociny rozbryzgują się po dywanie i zdjęciach, po moich drżących rękach i uśmiechniętej twarzy piętnastoletniej dziewczyny, po moich kolanach i jego lewej dłoni z krótkim serdecznym palcem, urwanym tuż nad pierwszym stawem... Zrywam się i wybiegam do łazienki.

Stoję pod strumieniem lodowatej wody, rzygając dławiącymi wspomnieniami, płacząc krwią, która w tych dniach przetaczała się przez moje serce...

Kiedy wyłażę z kabiny, trzęsę się jak osika. Szybko zrzucam mokre ciuchy i zakładam najgrubszy szlafrok, jaki mam. Trzy głębokie wdechy, wychodzę. Od razu idę do kuchni i wyciągam pudełko z lekarstwami.

- Gdzieś tu muszą być...

Palce nerwowo przeczesują skromną zawartość. Oddycham z ulgą, gdy znajduję buteleczkę. Sprawdzam termin ważności, na szczęście jeszcze nie upłynął. Odkręcam biały korek, ze środka wysypują się dwie małe tabletki. Łykam je, przepijając wodą. Siadam przy wysokim blacie i czekam, aż środek przedwiekowy zacznie działać. Lekarz przepisał mi go kilka lat temu, gdy uczestniczyłam w terapii mającej złagodzić klaustrofobię. Udało się, choć efekty nie są powalające: mogę jeździć windą i nie boję się korzystać z solarium. Jestem też w stanie wejść do małego pomieszczenia bez okien, ale po kwadransie muszę wyjść, bo zaczynam się dusić.

Zerkam na zegarek: minęło dziesięć minut. Zakładam gumowe rękawiczki, zabieram plastikowe worki i wychodzę z kuchni. Zanim wkroczę do salonu, biorę głęboki wdech. Sprzątając zdjęcia, staram się jak najrzadziej na nie spoglądać. Ładuję wszystkie do worka, zawiązuję supeł.

Z grubsza zmywam wymiociny. Papierowe ręczniki też ładują w śmietniku.

Ubieram się i wynoszę wszystko do kontenera na tyłach kamienicy. Wracając, spotykam Roberta, a on wybałusza oczy. No tak, nigdy nie widział mnie wyrzucającej śmieci, zawsze zajmuje się tym Helen. Dzwonię po nią, jak tylko wracam do mieszkania. Niestety może przyjechać dopiero jutro rano.

Nawet nie wchodzę do salonu. Biorę kolejny prysznic, zakładam flanelową piżamę i skrywam się w sypialni. Przez chwilę kusi mnie, żeby zadzwonić do Adama, ale odkładam słuchawkę. Mamy się spotkać jutro. Wybieramy się na zakupy, bo jego siostra wkrótce ma urodziny i będę doradzać w wyborze prezentu. Przy okazji zamierzam kupić coś Jess, która też będzie świętować za kilka dni.

Zasypiam, starając się mieć przed oczami twarz ukochanego i przyjaciółki...

- Muszę siku w trybie pilnym! - Melania wpada do mieszkania jak wicher.
- Rozgość się. W lodówce jest coś do picia.

Adam powoli wchodzi do salonu. Układa na fotelu trzy spore torby z zakupami i rozgląda się wokół. Coś mu nie pasuje.., Przed kanapą nie ma

dywanu, a w powietrzu unosi się dziwny zapach.

- Lawenda? - mruczy Harding i wykrzywia nos. Wyczuwa woń płynu do czyszczenia tapicerki, którego użyła gosposia Melanii.

Mężczyzna wychodzi do kuchni i staje przed lodówką. Jego wzrok pada na karteczkę przyklejoną do drzwi magnesem w kształcie serduszka.

Znalazłam to pod kanapą.

Helen

Spod żółtego papieru wystaje fragment zdjęcia.

Gdy Adam delikatnie odchyła kartkę, na jego twarzy rozkwita uśmiech. To nieco wyblakła już fotka Melanii i jakiegoś chłopaka. Dziewczyna ma co najwyżej kilkanaście lat, jej rysy są jeszcze bardzo dziecięce. Brunet, który siedzi tuż obok, też jest młody. Ma zęby przysłonięte aparatem korygującym zgryz i ciemną czuprynę. Nagle wzrok Hardinga skupia się na lewej dłoni młodzieńca, przerzuconej przez ramię Mel.

Powietrze z głośnym świstem wpada do płuc, a dłoń zakrywa usta...

Gdy drzwi od łazienki lekko skrzypią, Harding poprawia się w fotelu i sięga po gazetę.

Ileż razy można sikać? Ostatnio robię to bardzo często. Jess zdiagnozowałaby pewnie, że przestawiła mi się przemiana materii. Ale po czym?

Myjąc ręce, próbuję sobie przypomnieć, czy zmieniłam ostatnio nawyki żywieniowe. Wychodzi na to, że tak. Już od miesiąca mam jazdę na mięso, najlepiej surowe. Zażeram się włoską szynką, krojoną w cienkie, prawie przezroczyste plastry. Kupuję dwie, a czasami trzy paczki i zjadam w trakcie przerwy na lunch. „Powinnam zbadać poziom żelaza, pewnie anemia znów daje o sobie znać” - konstatuje w myślach, wychodząc z łazienki.

- Nie wzięłaś sobie niczego? - Staję w progu salonu.

- Nie chce mi się pić... - Adam od niechcenia macha ręką. - Poza tym zaczytałem się. - Podnosi wzrok znad „NYT”. - Znalazłem przeciekawy artykuł.

- A, wiem! O indyjskich środkach owadobójczych. Też czytałam. Miazga, co oni tam wyprawiają z ludźmi - mówię i parskam śmiechem, choć sytuacja rolników w Indiach daleka jest od zabawnej. - Napiałabym się piwa...

- Nagle odkrywam, na co mam ochotę.

Idę do kuchni i od razu kieruję się w stronę lodówki.

Fala mdłości znów podjeżdża do gardła...

Jest na lodówce. Nawet nie muszę dokładnie sprawdzać, żeby wiedzieć, które to...

Zamykam oczy. Pod palcami czuję plastikowy magnes, otrzymany kiedyś w prezencie od Jess. Wysuwam kartkę od Heleny i to...

Składam zdjęcie na pół i ściskam w ręce. Dopiero teraz unoszę powieki. W ostatnim momencie dobiegam do łazienki, wpadam do środka i zamykam się na klucz. Moje łzy mieszają się z drobnymi kawałeczkami fotografii wirującymi w muszli. Spuszczam wodę jeszcze trzy razy. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Od doby mam przed oczami...

„Tatusiu, wiem, że to nie twoja wina, ale musiałeś mi to wysłać...?” Zaciskam pięści. Czuję się bezradna wobec nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, które czasami rozwalają mi życie.

- Mel? Wszystko w porządku?

- Tak! - Odwracam głowę w stronę drzwi. - To chyba jakieś zatrucie...

- Wymiotujesz?

- Nie. Problem z drugiej strony - chichoczę, żeby zabrzmieć wiarygodnie. - Zaraz wyjdę.

- Dobrze.

Chlapię twarz zimną wodą. „Opanuj się... Opanuj się... To tylko zdjęcie, już go nie ma, tak samo jak tamtych...” Naprędce przywołuję obraz płonących albumów z dziesiątkami fotografii - to zawsze przynosiło mi ukojenie.

Spoglądam w lustro, Na pewno mam anemię. Jestem blada jak Jessica albo nawet bardziej. Szczypię skórę na policzkach. Boli. Dobrze, że boli. Znajome uczucie od razu pomaga mi się uspokoić. Wycieram się dokładnie szorstką myjką. Błyskawicznie nakładam trochę fluidu, ale to nic nie daje. Nadal wyglądam jak upiór.

„Posłuchaj, idiotko. W salonie czeka na ciebie kochający facet... On nigdy nie pozwoli, aby ktoś zrobił ci krzywdę. Idź tam i przestań się wreszcie bać!”

Wychodzę z łazienki i na trzęsących nogach docieram do kanapy.

- Mel, co ci jest? - Adam natychmiast kuca u moich stóp.

- Nic. Brzuch mnie boli. - Obejmuję się, bo nie mogę opanować drżenia.

- Zawiozę cię do lekarza. Wyglądasz strasznie...

- Zaraz mi przejdzie. To naprawdę nic groźnego.

- Zrobię ci herbaty.

- Dobrze. - Kiwam głową.

Sadowię się wygodnie i przykrywam kocem. Słyszę krzątanie w kuchni. Dzwonek mikrofalówki oznajmia, że woda już się zagotowała. Chwilę później

Adam siada obok mnie z naczyniem pełnym parującego napoju. Stawia je na stoliku, miesza herbatę łyżeczką. Jak zahipnotyzowany wpatruje się w żółty kubek z wizerunkiem Sponge Boba.

- Adam? - odzywam się po minucie.

- Tak? - Mój ukochany odwraca głowę.

Jego oczy są takie dziwne... Zimne, puste? To chyba najtrafniejsze określenia. Nagle budzi się we mnie paraliżujący strach. Czuję, że coś jest nie tak. Kiedyś czytałam, że przed śmiercią ludzie widzą albo czują lodowaty oddech, tchnienie kogoś, kto po nich przyszedł. Ja teraz też to czuję: zimno i wszechogarniający niepokój.

- Mogę? - Skupiam wzrok na kubeczku. Chcę oddalić od siebie przerażającą wizję.

- Proszę.

Upijam łyk i odruchowo wykrzywiam usta.

- Gorzka.

- Nie posłodziłem? Przepraszam. - Adam potrząsa głową, jakby chciał wybudzić się ze snu, i przez moment patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Dobrze się czujesz? - Teraz ja martwię się o niego.

- Tak - mówi i odwraca głowę. - Przyniosę cukier.

Zanim zdążę zaprotestować, powiedzieć, że nie trzeba, on już wybiega z pokoju.

Wrzucam trzy kostki i mieszam nieco wystygłą herbatę. „Dlaczego nic nie mówisz? Co się stało?...” - gubię się w domysłach, patrząc na ukochanego. Usiadł w fotelu naprzeciwko, a jego oczy, choć wpatrzone w moje, zdają się przenikać je na wylot. Zupełnie jakbym była przezroczysta albo nieobecna.

- Lepiej? - pyta Adam, gdy odkładam pusty kubek na blat.

- Tak, znacznie.

- To świetnie. Mel... będę leciał. Mam jeszcze coś do zrobienia. Zadzwoń jutro.

Podnosi się i już go nie ma. Szybko mrugam oczami. Co to było...? Nie pożegnał się ze mną?

Zrywam się z kanapy i dobiegam do okna. Otwieram drzwi balkonowe...

Harding zbiega ze schodów. Wypada na zewnątrz i dopiero pod budynkiem bierze głęboki wdech. Ciągle nie może uwierzyć w to, co

zobaczył. Przysiada na niskim murku tuż obok doniczki z dziwacznie przyciętym drzewkiem.

- Było tam, widziałem je... - mamrocze do siebie. - Widziałem zdjęcie i list od gosposi. Czyja wariuję? Widziałem zdjęcie, to był Nicolas Vetri...

Nagle wieczorną ciszę przeszywa ostry dźwięk policyjnej syreny. Radiowóz zatrzymuje się tuż przy chodniku, ze środka wyskakuje dwóch policjantów.

- Adam Harding? - Jeden z nich, gruby i niski, podchodzi i pokazuje odznakę.

- Tak. - Adam natychmiast zrywa się na równe nogi.

- Jest pan aresztowany.

- Słucham?! Macie nakaz?

- Tak. Proszę. - Grubasek wręcza aresztowanemu złożony dokument.

Drugi policjant, znacznie potężniejszy, sprawnym ruchem zakłada kajdanki, podczas gdy pierwszy urzędowym tonem klepie formułki:

- Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie w sądzie...

- Zostawcie go!!! - krzyczę tak, że brakuje mi tchu. - Błagam! Zostawcie go. - Nie mogę się ruszyć, patrzę bezradnie, jak policjant zakłada kajdanki na splecione z tyłu ręce mojego Adama, mojego najukochańszego mężczyzny. - Błagam! Proszę... nie zabierajcie go!

- Proszę pani! - Ktoś szarpie mnie za ramię.

- Przestań! - Nawet nie odwracam głowy. - Zostaw... - Zalewam się łzami, widząc odjeżdżający radiowóz.

- Proszę się obudzić!

Coś zimnego dotyka mojej twarzy.

- Proszę otworzyć oczy!

Siadam gwałtownie. Czuję się, jakby ktoś wyrwał mnie z ciała.

- Gdzie jestem?! - Rozglądam się, przerażona. Serce prawie wyskakuje mi z piersi. - Gdzie jest Adam?! Gdzie go zabraliście!!! - Ogłusza mnie własny ryk, odbijający się od idealnie białych ścian.

- Spokojnie... - Jakaś ręka gładzi moje ramię. Od razu ją strącam.

- Nie dotykaj mnie. Gdzie on jest?

- Niech się pani uspokoi! - Rudy facet w białym kitlu przykuca z boku i przygląda mi się bladozielonymi oczami. Wyglądają jak żelki Jelly Belly, są galaretowate i dają głowę, że pachną jak zielone jabłuszko.

- Kim pan jest? - pytam, przełykając ślinę. - Gdzie ja jestem?

- Paul Knight. Jestem lekarzem, a pani znajduje się na oddziale ratunkowym szpitala Bellevue.

Szybko się rozglądam. Rzeczywiście, to chyba szpital. Po prawej stronie przycupnęła niska ciemnoskóra pielęgniarka, za lekarzem stoi parawan z zielonkawą kotarą, a za plecami słyszę dźwięk aparatury.

- Gdzie jest Adam? - chrypię.

- Proszę posłuchać... - Doktor Knight przysiada na niewielkim stołeczku tuż obok. - Pani przyjaciel został aresztowany.

- Nie! - Natychmiast zamykam oczy i przykładam dłonie do ust. - Nie! Proszę powiedzieć, że to nieprawda. - Zaczynam się dławić napływającymi łzami. - To był tylko sen. Zaraz się obudzę! - Odrywam ręce i z całej siły szczypię się po ramionach. Niestety, ciągle widzę ten sam obraz. Chwytam za włosy i szarpię, boli! Opuszczam dłonie na prześcieradło i dostrzegam, że spomiędzy zaciśniętych palców wystaje kilka jasnych włosów.

- Panno Duvall, proszę się uspokoić. - Lekarz łapie mnie za nadgarstek, a potem zerka na siostrę w zielonym fartuchu i lekko kiwa głową.

Widzę, że kobieta coś wstrzykuje do pojemnika z kroplówką. Ze zdumieniem rejestruję, że w mojej ręce tkwi wenflon.

- Co ona mi dała?

- Delikatny lek tonizujący.

- Nie mogę teraz spać! - panikuję. Chcę zrozumieć, co się stało, wyjść stąd i jak najszybciej znaleźć Adama. - Usnę?!

- Nie. Spała pani prawie szesnaście godzin. To tylko łagodne lekarstwo, które pozwoli pani się uspokoić, na pewno pani nie zaśnie.

- Dobrze - stękam po chwili namysłu.

Chyba ufam temu mężczyźnie, tak ciepło na mnie spogląda.

- Niech mi pan powie: dlaczego oni go aresztowali?

- Nie wiem. Jestem lekarzem.

- To skąd wiesz, że go aresztowali? - Nagle przechodzę na ty, bo wydaje mi się, że doktorek coś kręci.

- Straciła pani przytomność, a jeden z policjantów, który uczestniczył w aresztowaniu pani przyjaciela, wezwał pomoc. Jak przekazał sanitariuszom, była pani świadkiem tej sytuacji i na skutek silnego wzburzenia nastąpiło omdlenie.

- Dobra. Niech ci będzie. Mogę już iść? - Pocieram swoje policzki. - Czuję się świetnie.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Siostró Mary, proszę podać wyniki.
- Jak to?! Przecież mogę wyjść na własne żądanie! Znam swoje prawa! Jestem w wariatkowie? - Wybałuszam oczy.
- Nie. Oczywiście, że może pani w każdej chwili opuścić oddział, ale to niezbyt rozsądne.
- Oddycham z ulgą. Doktor Knight chyba wreszcie zaczyna traktować mnie serio.
- Dlaczego nierozsądne? Czuję się naprawdę dobrze. Proszę to zdjąć. - Wskazuję wenflon, przyklejony do dłoni trzema szerokimi plastrami.
- Za chwilę. - Rudzielec odbiera od pielęgniarki plik kartek. - Panno Duvall, zanim podejmie pani decyzję o opuszczeniu szpitala, muszę poinformować, że prawdopodobnie pod wpływem silnego stresu zaczęło się krwawienie z dróg rodnych. Podaliśmy pani środki rozkurczowe i magnez, żeby powstrzymać poronienie. Otrzymała też pani...
- Co pan powiedział? - Łapię go za rękę. - Co powiedziałeś?!
Lekarz podnosi na mnie wzrok.
- Proszę się nie obawiać, już wszystko opanowaliśmy.
- Co powiedziałeś?! - powtarzam. - Jakie poronienie!?
- Przecież spodziewa się pani dziecka, to mniej więcej dziewięć tygodni. - Knight wybałusza na mnie te swoje zielone galaretki.
- Nie! - wykrzykuję i wybucham śmiechem. - To jakieś totalne nieporozumienie. Wkręcasz mnie? Jesteś lekarzem? A może to jakiś żart? Co mi podałeś? - Wlepiam oczy w pielęgniarkę.
- Proszę się uspokoić. Jest pani w ciąży. Trzykrotnie wykonaliśmy test beta hCG i za każdym razem wyszedł pozytywny. Badanie USG też wykazało ciążę.
- Bzdura! Przed kilkoma dniami miałam miesiączkę i pięć tygodni temu też, a mój facet jest po wazektomii. Ha! - rzucam i znów się uśmiecham.
- Krwawienie, które wzięła pani za miesiączkę, mogło być krwawieniem implantacyjnym. Niektóre kobiety krwawią w miesięcznych odstępach nawet do piątego lub szóstego miesiąca ciąży. A przy wazektomii wskaźnik Pearla* wynosi przeciętnie od zero koma dwa do zero koma pięć. Teoretycznie więc jest to możliwe.
- Ale pan pieprzy! - Kręcę głową.
- Panno Duvall, zostawię wyniki badań i poproszę tu doktora Andersa. To nasz ginekolog, może on wszystko pani wytłumaczy. Co pani na to?
- Może pan przysłać, choć i tak nie wierzę w te bzdury. Ale nie teraz, bo

szczerze mówiąc, mam ważniejsze sprawy do załatwienia. - Macham ręką. - Gdzie mój telefon?

- Nie miała pani przy sobie telefonu komórkowego.

- A dokumenty?

- Też nie.

- To skąd wiesz, spryciarzu jak się nazywam? - Zaglądałam w elfie oczy doktora Paula.

- Pewien człowiek przywiózł je dzisiaj rano.

- Kto?

- Niejaki Morris, zostawił wizytówkę. Przez minutę obracam w rękach kartonik z zamiarami na prawnika Adama.

- Mogę skorzystać z pana telefonu?

- Proszę. - Doktor podaje mi komórkę.

* Wskaźnik Pearl'a określa skuteczność metod antykoncepcyjnych. Im jest niższy, tym mniejsze prawdopodobieństwo ciąży.

Widzę, że daję znak pielęgniarce, razem wychodzą z sali. Drżącymi palcami wybieram numer i przykładam słuchawkę do ucha...

Schodzę z fotela ginekologicznego, zakładam bieliznę i naciągam sukienkę. Doktor Bergen, doświadczona i ciesząca się świetną opinią, wskazuje mi miejsce na krześle.

- Panno Duvall, połowa dziesiątego tygodnia. W mojej ocenie wszystko w porządku. Zapoznałam się z wypisem i wynikami badań ze szpitala. Jak wywnioskowałam, nie wiedziała pani, że spodziewa się dziecka? - Siwiejąca brunetka wlepia we mnie oczy. Są szare i duże, schowane za grubymi szklami okularów. Oczy sowy... Kogoś mądrego i godnego zaufania.

- Nie wiedziałam - potakuję, nerwowo poprawiając brzeg beżowej sukienki.

- Czy w międzyczasie zażywała pani jakieś leki, alkohol, narkotyki?

- Tak! - Łapię się za usta.- Boże! Myśli pani, że... - Przed oczami wyświetla mi się film dokumentalny o pokoleniu talidomidu*, który kiedyś widziałam. Nigdy nie zapomnę tych setek dzieci ze zdeformowanymi kończynami!

- Spokojnie. Narkotyki?

- Nie. Alkoholu troszkę... Jakieś wino? Szampan? - Próbuję sobie przypomnieć, co piłam w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- Czyli też nie ma problemu. Jakie leki? Proszę podać nazwy i częstotliwość zażywania.

- Dwie tabletki klonopinu i może trzy, cztery vicodinu - rzucam po namyśle.

- Dziennie? - Doktor Bergen odchyła okulary i patrzy na mnie jak na Kubę Rozpruwacza.

- Nie! W sumie tyle zażyłam! Przez te dwa miesiące. - Przetykam ślinę w oczekiwaniu na wyrok.

- Żarty się pani trzymają! - Zażywna kobiecina opada na oparcie fotela.
- Wystraszyłaś mnie, dziecko. - Kręci głową, a potem parska śmiechem.

- Czyli to nic złego? - Jeszcze nie mogę opanować drżenia rąk. - Nic się nie stanie?

- Nic! Absolutnie. - Uff...

- Zdjęcia rentgenowskie w tym czasie?

- Nie.

- Dobrze. Masz mdłości? - Lekarka płynnie przechodzi na ty i bardzo mi się to podoba. Od razu czuję się bezpieczniej.

- Tak, ale nie jakoś często.

- W porządku. - Moja mądra sowa coś wklepuje do komputera. - Jakieś problemy gastryczne? Zaparcia, biegunki?

- Nie.

- Masz lekką anemię, skarbie. Coś ci zapiszę. Poza tym wszystko idealnie. Dziecko pięknie się zaimplantowało. Cięża wzorcowa. A gdzie tatuś? - Pani doktor zerka na mnie zza monitora.

Już mam powiedzieć: w Braddock, ale natychmiast się reflektuję, przecież jej chodzi o Adama.

- Chwilowo nieobecny. - Przetykam ślinę.

- Rozumiem... ale chcesz urodzić?

* Talidomid - wycofany z obiegu niemiecki lek uspokajający i nasenny, pod koniec lat 50 XX w. zalecany kobietom w ciąży ze względu na rzekomy brak negatywnego wpływu na matkę i płód. Zażywały go tysiące Europejki. W wielu przypadkach doprowadziło to do deformacji i kalectwa dzieci.

- Tak. - Kiwam głową.

- W każdym razie jeśli chciałabyś się zdecydować na aborcję, to radzę się streszczać, najlepiej do dwunastego tygodnia, później też jest możliwa, ale bardziej ryzykowna.

- Zapamiętam. - Zagryzam wargi.
- Jakież pytania?
- Nie... albo tak. Jedno.
- Słucham. - Lekarka wspiera się o skrzyżowane dłonie.
- Czy ciąża może spowodować zmianę tolerancji na ból? - wyrzucam z siebie i od razu czuję, że moje policzki napełniają się krwią.
- Może.
- Uhm. Rozumiem.

Brak mi odwagi, żeby to doprecyzować. Może zwiększa, może zmniejsza? U mnie chyba zmniejszyła. Jeszcze bardziej się rumienię, bo właśnie sobie wyobraziłam, jak mogłaby wyglądać reakcja doktor Bergen, gdybym wyjaśniła, skąd takie pytanie.

- Jeszcze coś chcesz wiedzieć?
- Nie. To wszystko.

Zabieram recepty, całą papierologię ze szpitala i pisemne orzeczenie od pani doktor, płacę za wizytę i wychodzę z kliniki. Łapię taryfę i jadę do Central Parku. Znajduję małą ławeczkę, na której nieraz przesiadywałam z Jess, i w kółko czytam, co napisała lekarka. To takie niesamowite... i chyba jeszcze do mnie nie dotarło.

Zerkam na zegarek. Za godzinę mam spotkać się z Morrisem. Wzdycham i drepczę na postój taksówek.

Pojutrze Adam ma wyjść z aresztu, załatwili zwolnienie za kaucją. Wiem tylko tyle, szczegóły mam poznać za kilka minut. Dlaczego czas tak się wlecze... Morris nie mógł wczoraj się spotkać, zadzwonił i rzucił zaledwie parę informacji: gdzie jest Adam, jak się czuje i kiedy odbyło się wstępne spotkanie w sądzie.

Nerwowo kręcę się po mieszkaniu. Gdy rozbrzmiewa dzwonek domofonu, podskakuję jak oparzona. Chwilę później Roy Morris wchodzi do apartamentu. Niski, łysiejący i niezbyt przystojny, sprawia wrażenie człowieka bardzo skromnego i przeciętnego, ale to jedynie pozory. Już po minucie zauważam jego pewność siebie i ponadprzeciętną inteligencję.

Prawnik wypytuje o samopoczucie, odpowiadam dosyć lakonicznie, bo nie zamierzam zdradzać swojego sekretu. Dowiaduję się, że Adam bardzo się o mnie martwi. Żeby całkiem się nie rozkleić, proponuję coś do picia. Zasiadamy przy filiżankach z parującą zieloną herbatą. Okazuje się, że mój gość jest miłośnikiem tego napoju.

- Do rzeczy. Widzę, że umierasz z niepokoju. - Roy rozsiada się wygodnie w fotelu, który tak lubi Adam.

- Nie da się ukryć. - Zaciskam wargi.

- Przepraszam, że tyle czekałaś, ale wolałem załatwić to osobiście. Zresztą Adam też na to nalegał. Od początku: to, że skradziony laptop się odnalazł, wiesz?

- Tak, Adam mówił mi parę dni przed aresztowaniem.

- Świetnie. W skrócie: zbadali komputer i postawili Adamowi zarzut posiadania na dysku twardym i rozpowszechniania w sieci filmów o treści pedofilskiej oraz kontaktowania się przez internet z osobami zajmującymi się stręczeniem dzieci, a konkretnie dziewcząt.

Nic nie mówię, jedynie zakrywam usta. Przez kilka sekund próbuję złapać oddech, ale to zbyt trudne. Skupiam się na opanowaniu fali mdłości, która nieubłaganie podjeżdża do gardła. Sięgam po filiżankę, ale ta wypada z drżących rąk i rozbija się o blat. Herbata ochlapuje mi kolana.

- Spokojnie, Melanio! - Morris natychmiast zrywa się z fotela i siada tuż obok. - To fałszywe oskarżenia. Spokojnie!

- Obejmuje mnie i klepie po ręce. - To nieprawda! Rozumiesz?

- Nadal nie odzyskałam głosu, więc leciutko kiwam głową. - Ktoś go wrobił. Jestem pewny.

- Skąd wiesz? - szepczę.

- Znam go. Jesteśmy przyjaciółmi od kilkunastu lat.

Poznaliśmy się jeszcze na studiach.

- Uhm - mruczę bez przekonania. Wolałabym usłyszeć coś konkretniejszego.

- Dziewczyno... - Roy chyba zauważył, że nie tryskam entuzjazmem. - Popatrz na mnie. - Podnoszę wzrok. Owszem, Morris wygląda bardzo kompetentnie, ale znam prawników, wiem, że są świetnymi aktorami. - Ktoś go wrobił. To pewne. Adam ma wrogów, jak każdy człowiek, który odnosi sukcesy. Konkurencja nie śpi, a w grę wchodzi ogromne pieniądze. Przypuszczam, że ktoś chciał go zdyskredytować. Za trzy tygodnie mamy podpisywać kolejny duży kontrakt, a ta sytuacja bardzo pokrzyżowała nam plany, o ile nie uniemożliwiła ich realizacji. Jest jeszcze coś. W laptopie znalazły się rzeczy, które nigdy nie były tam wgrane. Adam jest tego pewny, czyli wniosek jest prosty: sprawca za pośrednictwem sieci włamał się również na jego prywatny komputer.

- Rozumiem.

- Melanio, posłuchaj... Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale te wgrane rzeczy, o których mówiłem przed chwilą, czyli zdjęcia i film... - Dotychczas spokojny głos Roya wyraźnie się zmienił.

- Tak?

- Jeden z policjantów pracujących nad tą sprawą rozpoznał cię na nich i z tego, co mi wiadomo, wkrótce otrzymasz wezwanie. Pewnie będą chcieli spytać, czy wystąpisz z powództwem przeciwko Adamowi o to, że bez twojej zgody i wiedzy rozpowszechnił również te materiały. Dlatego już dzisiaj o tym rozmawiamy, wolałbym, żebyśmy uprzedzili ich ruch.

- Widziałeś te pliki?

Wiem, co odpowie, ale chcę sobie dać trochę czasu. Zdjęcia? Adam tylko raz mnie sfotografował, na szczęście wiem, że nie widać twarzy. Ale film? Umrę ze wstydu i upokorzenia, jeśli również pochodzi z jachtu.

- Tak.

- Daj mi chwilkę. - Próbuję wstać, ale zbyt mocno kręci mi się w głowie.
- Mógłbyś przynieść trochę wody?

- Oczywiście.

Kilka minut później jest mi ciut lepiej, choć nadal określiłabym swój stan jako ciężki. To chyba najmniej fortunny początek ciąży, jaki można sobie wyobrazić.

- W porządku. Możesz mówić. - Chwytam Morrisa za rękę. Mimo że znamy się od kilkunastu minut, jakoś lepiej się czuję, gdy jest blisko.

- Film pochodzi z biura Adama. Mówił, że tylko raz go tam odwiedziłaś.

- Powiedz... widać moją twarz?

- Tak, ale raczej kiepsko.

- Przepraszam, czy możesz mi pomóc? Chciałabym skorzystać z toalety. Albo nie... - Schylam głowę. „Gdybym mogła zapaść się pod ziemię... gdybym tylko mogła zniknąć...” Czuję napływające łzy. „Dlaczego mi to zrobiłeś? Jak mogłeś to nagrywać?”

- Mel, nie denerwuj się. Zdjęcia rzeczywiście można znaleźć w sieci, ale film jeszcze nie został opublikowany. – Roy znów krzepiąco klepie mnie po plecach.

W głowie mam mętlik, sama nie wiem, co myśleć.

- Mówiłeś o tych policjantach. - Podnoszę wzrok.

- Tak. Mam spisane ich nazwiska, zaraz ci pokażę. - Mój gość wyciąga z wewnętrznej kieszeni kartkę, na której zapisano trzy imiona i nazwiska. -

Kojarzysz któregoś z nich?

- Nie. - Kręcę głową. - Pewnie któryś to mój klient, wielu policjantów przetacza się przez kancelarię.

- A ten? Przypomnij sobie. - Roy pokazuje palcem ostatnią linijkę.

- Sierżant Nicolas Vetri? Wiem tylko, że Adam spotkał się z nim kiedyś.

- Może wejdziemy na stronę posterunku, tam są ich zdjęcia. Będzie ci łatwiej.

- Nie. Wybacz, źle się czuję.

- Oczywiście.

- Roy... przepraszam, wolałabym zostać sama.

- Jasne. A co z ewentualną zgodą na publikację tych materiałów?

- Przygotuj, co chcesz, a ja podpiszę - wzdycham ostatkiem sił.

- W zasadzie mam już gotowe takie oświadczenie.

Posłusznie składam podpis na każdym podsuniełym dokumencie. Dopiero gdy kończę, zdaję sobie sprawę, że nie poznaję własnego autografu, tak drży mi ręka.

- Chciałabyś mu coś przekazać?

- Komu? - pytam nieprzytomnie i wlepiam wzrok w pozostałości po herbacie. Zgniłozielone fusy poprzyklejały się do nogawek. Kiedy pstrykam palcami, odskakują zupełnie jak żywe.

- Adamowi.

- Nie.

- Nie? - Roy chyba jest zaskoczony, bo nerwowo pociera brodę.

- Nie. Nic nie chcę przekazać. - Przełykam ślinę.

- OK. - Morris pakuje dokumenty do skórzanej teczki i podnosi się z kanapy. - Będę się zbierał. Melanio...

- Tak?

- Wszystko będzie dobrze. - Kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie wiem, czy to moje spojrzenie, czy też coś innego sprawia, że niemal natychmiast ją zabiera.

- Poczekaj. Napiszę coś do Adama... albo nie... - wzdycham ciężko. - Idź już, Roy.

Ledwie mój gość wychodzi, wyciągam spod blatu komputer. Muszę zobaczyć twarze mężczyzn, którzy widzieli mnie klęczącą przed Adamem. Biorę w dłonie karteczkę. Papier namókł od rozlanego naparu.

- Mark Matlin... - szepczę, patrząc na piegowatego blondyna z sympatycznym uśmiechem i krzywą górną jedyką.

- Hej, zapamiętałbym cię. Kim jesteś? Masz żonę? Pewnie tak...

Wpisuję kolejne nazwisko. Tym razem wyświetla się zdjęcie jakiegoś starszego faceta, tęgawego i łysiejącego. Trochę przypomina Collinsa. Lekka fala mdłości podjeżdża do gardła, gdy zaczynam sobie wyobrazać, jak podkręciłby się mój klient, oglądając ten filmik. Szybko zamykam okienko informacyjne.

- Nicolas Vetri... - Klikam na ostatnią zakładkę.

Znów jest jak kiedyś. Leżę na lodowatej posadzce mojej łazienki. Nogi wsparte o krawędź wanny, unosząca się wszędzie woń świeżych wymiocin, łzy spływające po skroniach i wsiąkające we włosy rozrzucone wokół głowy. Zamykam oczy. Chciałabym umrzeć, tak jak wtedy, na strychu w domu rodzinnym Nicolasa.

- Adamie, dlaczego mi to zrobiłeś? - łkam, dociskając pięści do oczu.

Chciałabym przestać widzieć i słyszeć to wszystko, lecz obrazy wirują w głowie, a uparte głosy wybrzmiewają w uszach:

Maleńka...

Maleństwo...

Jesteś taka maleńka...

Jesteś taka słodka, moja dziewczynka...

Miałaś zmaleć...

Księżniczko, jesteś tam taka maleńka i wąska...

Kruszynko...

„Dlaczego mieszkał z Ruth, a później, gdy już była starsza, wywiózł ją gdzieś daleko? Może bał się, że coś wyjdzie na jaw? Dlaczego nigdy jej nie poznałam? Dlaczego Nadia też jest niska i drobna? Czy to przypadek?” - mój umysł gorączkowo analizuje wszystkie informacje.

- A jeśli to prawda? - rżęzę przez zaciśnięte z bólu zęby.

Odwracam głowę, kolejna fala torsji szarpie ciałem, a potem wszystko znika...

Gdzie się podziały dwa dni? Czyżbym umarła? A może przespałam? Chyba nie. Nie da się spać i chodzić do pracy. Bez wątpienia byłam dzisiaj w biurze, a wczoraj - u doktor Bergen. Znowu ją odwiedziłam. Gdy weszłam do gabinetu, popatrzyła na mnie jak na wariatkę. I słusznie, bo wariuję. Efekt różowego słonia. Im bardziej staram się nie myśleć o tych

podejrzeniach, tym częściej...

Trzeci raz dzwoni. Trzeci raz z przerażeniem patrzę na kręcący się telefon. Odebrać? Nie odebrać? Doktor Bergen mówiła, że mam unikać stresów. Mówiła, że dzieci nie dziedziczą pedofilskich skłonności. Mówiła, że wedle prawa powinna to zgłosić, a potem, kiedy jej powiedziałam, że on już zaliczył areszt... Na szczęście mi uwierzyła.

Łykam małą tabletkę. Wiem, że mogę. Lekarka stwierdziła, że to bezpieczny lek, że dziecku nic się nie stanie. Ufam jej. Chyba. Komu mam zaufać? Tylko ona mi pozostała. Popadam w paranoję. Pół nocy spędziłam, czytając opinie o swojej ginekolożce. Drugie pół sprawdzałam, czy pedofilskie zapędy rzeczywiście nie przenoszą się w genach. Dlaczego nie przestaję się bać? Telefon znów dzwoni. A może faktycznie ktoś go wrobił? Tyle o tym myślę, że zupełnie się zapętliliłam. Piąty raz... Brzęczy jak upierdliwa mucha. Podnoszę słuchawkę. - Halo.

- Nareszcie. Dlaczego nie odbierasz? - Brzmi to jak wyrzut. - Jesteś w domu?

Z trudem połykam słowo „przepraszam”, które od razu pojawia się na końcu języka. Nie będę przepraszać. Będę krzyczeć.

- Dlaczego to zrobiłeś? Po co?! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że tam jest kamera?! I dlaczego, do cholery, nie skasowałeś tego nagrania?!

- Przepraszam.

- Przepraszam?! To żałosne! Mam gdzieś twoje przeprosiny! Roy to widział! I policjanci!

- To detektywi, profesjonaliści. Nie takie rzeczy widzieli w pracy.

- W dupie mam, co widzieli, a czego nie! Nie rozumiesz?!

Wiesz, jak się czuję, gdy pomyślę, że Roy i ten policjant... Zamykam oczy, ale od razu je otwieram. Jedyna twarz, jaką mam przed oczami, to twarz Nicolasa...

- Przecież mówiłaś, że nie znasz tych ludzi. Czyżby było inaczej?

- Boże! Czy to takie ważne?! Po co drażysz temat?! Znam jednego z nich. Z widzenia. Wypełniałam mu zeznanie parę lat temu. Nie pamiętam dokładnie - podaję wymyślone naprędce wytłumaczenie. - Jak mogłeś to zrobić? Wiesz, jak ja się czuję? Obiecywałeś, że zadbasz o moje bezpieczeństwo, ufałam ci.

- Jeszcze raz przepraszam. Nie wiem, co mi odbiło. Zamierzałem skasować ten film, ale zbyt mocno mnie kręcił, wybac.

Połykam łzy. Tak bardzo chcę, żeby mnie przytulił.

- Adam...

- Tak?

- Ale to nieprawda z tymi...? - Nic więcej nie mogę z siebie wydusić.

- Wiesz, że nie.

Nie wiem, a może wiem? Czy mógłby być takim potworem?

Lewą ręką sięgam po koc. Owijam się nim. Strasznie mi zimno, cała się trzęsę.

- Mel? Jak się czujesz? Jeszcze mi nie powiedziałaś, co się stało. Martwiłem się.

Dlaczego słyszę jakiś zgrzyt w jego głosie? A może tylko mi się wydaje? On coś mówi, a ja staram się usłyszeć to, co niewypowiedziane. Muszę przestać tak robić, bo oszaleję. Znow opuszczam powieki.

- Adam... ja... jestem w ciąży.

NIC.

NIC.

NIC.

Adam nawet nie oddycha. Ja chyba też. Cisza tętni odgłosem coraz wolniej bijącego serca. Biorę głęboki wdech.

- Halo? - szepczę. - Jesteś tam?

NIC.

NIC.

NIC.

- Mel, jestem bezpłodny.

- Bepłodny? Co to znaczy? Nie rozumiem. Po... po co... mi to mówisz?

- jąkam się z wrażenia.

- Nie mogę mieć dzieci.

- Aleja naprawdę jestem w ciąży. Mam wyniki ze szpitala, byłam u lekarza...

Nagle milknę. Czy on... On mi nie wierzy, że jestem w ciąży? Zagryzam wargi i przez kilka sekund próbuję się skupić. Co Adam chce mi powiedzieć? Co to znaczy, że jest bezpłodny? Dlaczego nie potrafię zrozumieć?

- Myślisz, że cię zdradziłam? Tak? - w końcu wypowiadam to pytanie. W słuchawce cisza. Jak to jest, że milczenie potrafi tak dobijać? Coraz głośniej dzwoni w moich uszach.

- Adam... Powiedz mi coś miłego. Proszę... - Mokra ciepła łza delikatnie spływa po policzkach. Łaskocze, więc ścieram ją dłonią. - Powiedz coś...

- Mel, musimy się zobaczyć. To nie jest rozmowa na telefon.

„Dlaczego tak urzędowo? Dlaczego mówisz do mnie takim tonem? Przecież jestem w ciąży... Nie cieszysz się? Nie cieszysz”.

Kolejny głęboki haust powietrza.

- Nie.

- Nie chcesz się spotkać?

- Nie. - Rozłączam się, ostrożnie kładę aparat na stoliku, wstaję i wychodzę z salonu.

- Jak się czujesz? - Roy Morris wkracza do salonu, głośno stukając obcasami butów o wypolerowany parkiet.

- A jak mam się czuć? - Harding wybucha gorzkim śmiechem. - Tragicznie.

Mężczyźni rozsiadają się w fotelach. Roy przez chwilę przygląda się z troską swojemu przyjacielowi. Jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Adam nie golił się od momentu, gdy opuścił areszt. Na jego twarzy oprócz tygodniowego zarostu widać ślady ostatnich przeżyć: sińce pod oczami, spierzchnięte wargi, drgający nierównym spazmem mięsień lewego policzka. Ubiór też jest daleki od normalnego; niezbyt świeża koszula i wymięte spodnie od garnituru.

- Dzwoniłeś?

- Tak.

- I co? - Roy opiera się wygodnie.

- Nie chce się spotkać i w zasadzie wcale się nie dziwię.

Nie ma po co.

- Bo?

- Dostałem dzisiaj wyniki. - Adam wyciąga z kieszeni spodni złożoną kartkę i rzuca na blat zabytkowej ławy. - Absolutne zero szans na to, że jestem ojcem jej dziecka.

- Rozumiem. - Morris kiwa głową.

- A ja nie rozumiem. Nic nie rozumiem. - Harding zsuwa się niżej, wyciąga przed siebie wyprostowane nogi i wlepia wzrok w piękne mahoniowe kasetony na suficie. - Nie rozumiem, jak mogła mi to zrobić. I jeszcze te pretensje...

- O film?

- Tak. Pieprzona hipokrytka! - Nagle Adam zrywa się z fotela i zaczyna

krażyć po pokoju. - A jak idzie w zaparte: zna go tylko z widzenia i tyle! To klient kancelarii. Uwierzysz? Mam ochotę zajeść tego gościa! Wiem, że to on!

- Przestań, nawet nie próbuj! Wiesz, jak to by się skończyło? On jest policjantem! Poza tym pamiętaj, ona zawsze może zmienić zdanie. Jeśli oskarży cię o nakręcenie tego filmu...

- Wiem!

- Co zamierzasz?

- Muszę z nią pogadać! Muszę ją zobaczyć! Może mi przejdzie.

- Co za niesamowity zbieg okoliczności! - Roy kręci głową. - Gdyby nie ta cała sprawa z włamaniem, nigdy byś nie poznał jej gacha. I jeszcze ta pielęgniarka, która wtedy wzięła mnie za jej faceta i wszystko mi wyklepała... A powiedz: Mel sama się przyznała?

- Tak.

- Nie zorientowała się, że wiedziałeś wcześniej?

- Nie sędzę.

- Może daj spokój. Po co chcesz się z nią zobaczyć?

- Muszę. - Adam podchodzi do biurka i delikatnie gładzi lśniący blat. - Ostatni raz.

Nie wiem, dlaczego się zgodziłam na tę wizytę. Żałuję, ale teraz już za późno. Na stoliku leży klucz do mojego mieszkania (Adam niepotrzebnie mi go zwracał, zdążyłam zmienić zamek) i wydruk z bostońskiego laboratorium przy klinice, która wykonała mojemu eksfacetowi zabieg wazektomii. Z dokumentu wynika jednoznacznie (a przynajmniej tak napisano), że Adam Harding, urodzony, zamieszkały.... bla, bla, bla... jest niezdolny do poczęcia dziecka w sposób naturalny. Jego nasienie zawiera tak niską liczbę żywych plemników, że nie ma możliwości, aby jakakolwiek kobieta zaszła z nim w ciążę. Pod wynikiem badania podpisał się i przystawił pieczętkę tajemniczy dr M. Dietz. Oczywiście zostałam ustnie pouczona przez Adama, że w każdej chwili mogę sprawdzić w sieci, kim jest ów lekarz.

Świetnie, tylko dlaczego wedle opinii innego lekarza, równie prawdziwego jak doktor Dietz, wkrótce skończę pierwszy trymestr? Czyżby niepokalane poczęcie?

- Mam rozumieć, że się nie poczuwasz? - mamroczę znad dokumentów.

Czuję się nieco przymulona, bo przed spotkaniem znów pozwoliłam sobie zażyć maleńką pigułkę, która rzekomo ma uspokajać. Niestety, odbieram jej działanie wyłącznie jako odmóżdżające.

- Chyba żartujesz. Czy to, co ci przedstawiłem, jest zbyt skomplikowane?
- W głosie Adama pobrzmiwają niezbyt sympatyczne nuty.
- Nie. Świetnie rozumiem słowo pisane.
- Doskonale.

Daję sobie chwilę do namysłu. No cóż, sprawa wydaje się prosta: jestem przy nadziei, a ojciec dziecka stracił do mnie zaufanie i uważa, że na pewno nim nie jest. Kocham tego mężczyznę i zaraz umrę z rozpaczy, bo zanim dał mi do ręki dokumenty, łudziłam się, że jego wizyta będzie wyglądać zupełnie inaczej.

- Czyli mogę śmiało zdecydować się na aborcję? - Rzucam na zielone sukno ostatnią kartę rozpaczy. Mam strasznie ściśnięte gardło, aż nie wierzę, że coś się z niego wydobywa. - Jeszcze mam trochę czasu...

Zapada cisza. Kiedy po dobrej minucie podnoszę wzrok, Adam wygląda jak manekin. Jest śmiertelnie blady i od początku spotkania nie zmienił nic w ułożeniu ciała. Stoi wsparty o ścianę i sprawia wrażenie nieobecnego duchem.

- Hej! Mówiłam coś! - Nie wytrzymuję.
- Powinnaś spytać ojca dziecka. Sama go sobie nie zrobiłaś - rzuca w końcu Harding.
- Ależ spytałam! Przed chwilą. I, wyobraź sobie, wyparł się ojcostwa. Pokazał mi wyniki badań. Ponoć jest bezpłodny, ale jakimś cudem zaszłam z nim w ciążę.

- Przestań kłamać. To obrzydliwe.
- I kto to mówi? Ty jesteś obrzydliwy! Wyjdź stąd. Wyjdź!!! - ryczę tak głośno, że aż drżą szybki w witrynce z moimi ukochanymi filiżankami.
- Zaraz! Powiedz: z kim mnie zdradziłaś? Przyznaj się, wtedy wszystko jeszcze raz rozważę. Mel, kocham cię. Przyznaj się, kto... - Adam spogląda na mnie i teraz dla kontrastu widzę człowieka, który jest jedną wielką emocją. Drży mu głos, a dłonie odruchowo zaciskają się w pięści. - Jeśli powiesz mi prawdę...

- To co?
- Zostanę z tobą - wyrzuca z trudem.
- Boisz się, że cię pozwę o ten filmik? - pytam i parskam śmiechem, bo właśnie się domyśliłam, skąd taka zmiana decyzji. - Bez obaw. Nie mam ochoty włączyć się po sądach i babrać w smrodku twoich dewiacji. Możesz spać spokojnie. Zresztą podpisałam Morrisowi te papiery. Swoją drogą, imponujące, jak bardzo jest lojalny wobec ciebie.

- Mel, ja naprawdę cię kocham. Powiedz mi prawdę: z kim zaszłaś w ciążę? Przemyśle to i może... zostanę z tobą. Razem wychowamy to dziecko... - Ostatnie zdanie Adam dodaje łamiącym się głosem, ale mam to gdzieś.

- Naprawdę?! Tak bardzo ci na mnie zależy? Może ze mną zostaniesz? - Kręcę głową. - Mam wymyślić?! No dobrze, niech będzie! Ojcem dziecka Melanii Duvall zostaje... Robert! Mój portier. Albo nie: nasz wspólny kolega Ron. Cholera, zapomniałam, że on też bezpłodny z powodu braku jaj. To musiał być jakiś inny facet. Nie mam pojęcia, jak się nazywa, bo to kurier Fedexu, przeleciał mnie w kiblu kancelarii, jak chcesz, spróbuję go odnaleźć. A może to Jerry? Tak, to na pewno Jerry. Nasz nowy kolega, zastępuje Rosę, bo ona też zapyłona. Posuwał mnie w windzie, pech chciał, że nie zdążył wyjąć, a tak prosiłam, żeby uważał. Nie mogę też wykluczyć Tytusa, bo jak ostatnio byłam u Jess... Ale to się wyjaśni, wiesz, kolor skóry... - nawijam jak nakręcona.

- Zamknij się! - Adam nagle przerywa mi tę „świąteczną” zabawę.

- Sam się zamknij. I wynocha z mojego domu. – Opuszczam głowę.

To zadziwiające, jakie rzeczy stres może wyprawiać z ludzkim ciałem. Drga mi lewa powieka, żołądek ścisnął się tak bardzo, że przygniata serce, a na domiar złego coś rozsadza uszy od środka.

- To Nicolas Vetri?

Gdy pada imię tego człowieka... Tego człowieka... Żołądek wariuje. Naprawdę nie lubię owoców morza...

„Mówiłam ci, Adamie, dlaczego zapomniałeś...?”

- Nicolas? Myślisz, że to... że ja z nim... że on,...

Całe moje „ja” kuli się do rozmiarów główki od szpilki. Gdybym mogła teraz umrzeć, byłabym najszczęśliwszą istotą w kosmosie. Chcę zniknąć, chcę przestać istnieć, ale nie...

Właśnie zaczyna się najgorszy koszmar, ktoś wkłada bezlitosną dłoń i wrywa moje serce, wyciąga je, a ono - ciągle tętniące - dławi mnie i dusi bez litości. Krztuszę się cierpieniem.

Widzę...

Znów to widzę...

Melanię Duvall, śliczną młodzieńką dziewczynę, blondynkę z końskim ogonem, i pięknego chłopca z lokami połyskującymi jak skrzydło kruka. Leżą na starym, rozwalającym się łóżku, na strychu domu jego rodziców. Ona z twarzą opuchniętą od płaczu, on - nachylony nad nią... Białe jak

alabaster czoło pokrywają krople potu, zęby się zaciskają... W powietrzu przeciętym strugą światła unoszą się mikroskopijne drobinki zamierzchłych czasów... Zapach stęchlizny i kurzu przeplata się z ostrą wonią krewetek.

Głos Adama:

- Długo nad tym myślałem i jestem prawie pewny, że to on.

- Jesteś wstrętną, śmierdzącą szmatą! Noś je tam, cuchną tak samo jak ty... To przez ten smród mi nie staje!

- Przepraszam, Niki...

- Przepraszam?! Nie przepraszaj! Nigdy nie znajdziesz faceta, żaden mężczyzna cię nie poślubi, bo jesteś zbyt łatwa, kurwo, a nawet jeśli taki się znajdzie, nie dopuszczę do tego, żebyś była szczęśliwa! Jesteś zwykłą szmatą, śmierdzącą ścierką...

Głos Adama:

- Mówiłaś, że znasz go jedynie z widzenia. Kłamałaś. Kiedyś widziałem u ciebie zdjęcie, było przypięte do lodówki. To on na nim był, poznałem po obciętym palcu, zresztą było podpisane: „Melania i Nicolas”.

- Kocham cię, Nicolas, proszę... Nie zostawiaj mnie... Aaa... to boli! Wyjmij je ze mnie...

Głos Adama:

- Mel, powiedz mi prawdę. Przyznaj się, to jego dziecko, tak? On wie, że jesteś w ciąży?

„To jego dziecko....” - słowa jak najcieńsze ostrze rozcinają moją duszę. Szatkują ją na przezroczyste plasterki, które rozwiewają się w powietrzu albo upadają na ziemię. Są tak delikatne i słabo widoczne, że już nigdy ich nie odzyskam. Wiem to.

Wstaję. Nie wiem, jak udaje mi się to zrobić. Moje ciało porusza się w dziwnym trybie: najpierw coś robi, a dopiero sekundę później oczy i mózg rejestrują zmianę. Kieruję kroki w stronę szklanej gabloty z ceramiką. Przyglądam się, jak prawa dłoń otwiera drzwiczki i podnosi z półki maleńką filiżankę z zestawu „Melania Duvall”, która jako pierwsza trafiła w moje ręce. Później ja - czyli ciało plus dusza skupiona w jednym, małym, czarnym punkcie - obracam się i spoglądam na Adama. Ręka bierze zamach i rzuca. Porcelana rozpryskuje się na kilka kawałków, ułamki sekund później uszy rejestrują trzask uderzenia, a następnie cicho

wypowiedziane słowa:

- Wyjdź stąd i już nigdy nie wracaj.

- Mel...

- Nie mów do mnie Mel! Dla ciebie jestem panna Melania Valentine Duval!!!

- Melanio, przemyśl to...

Dłoń drugi raz otwiera drzwiczki, ale tym razem inne, dolne. Sięga po talerz, chyba obiadowy... Latający spodek dociera do futryny, a potem następuje podobna sekwencja: rozpryskująca się porcelana, trzask i rozpaczliwy krzyk zrozpaczonej kobiety:

- Zejdź mi z oczu!

- Melanio, proszę, uspokój się...

- Wyjdź stąd. - Głos ledwie wydobywa się spomiędzy zaciśniętych zębów.

- Nie. Poczekaj, uspokój się, jeśli mu nie powiedziałaś, może...

Widzę, że ten mężczyzna podchodzi, jest coraz bliżej. Dłoń wyciąga telefon z kieszeni i wystukuje numer 911. Od razu ktoś się zgłasza.

- Dzień dobry, tu Melania Duvall, proszę o interwencję, jakiś człowiek mnie napastuje! Proszę o pomoc!!!

- Co się dzieje?

- Proszę o pomoc! Proszę tu przyjechać!!!

- Ja pierdolę, co za akcja... - Jessica Swift siedzi w salonie i kończy drinka. Wprawdzie trudno określić tym mianem setkę wódki z kroplą wody mineralnej, ale kobieta nie dba teraz o składniki. To już trzecia kolejka, więc zawartość szklanki powoli przestaje mieć znaczenie.

- Ale co się stało? - Erie jest kompletnie skołowany. Wie jedynie, że żona ściągnęła go w trybie pilnym z nowojorskiego studia i że na piętrze ich domu, w gościnnej sypialni, śpi Melania, najlepsza i jedyna przyjaciółka Jess.

- Już ci mówię! Kurwa, Tytus, nalej mi jeszcze jednego. - Jessica stawia pustą szklankę na owalnym blacie w kolorze pestek granatu. - Zadzwoiła do mnie Mel, a w zasadzie to dzwonił jej portier, Robert czy jakoś tak. Tam była konkretna akcja, bo Hardinga ponoć wyprowadziła policja, a Mel poprosiła, żeby ten Rob mnie wezwał! - Jessica jest rozemocjonowana i referuje wszystko z wypiekami na (zazwyczaj trupiobladej) twarzy.

- No i? - Jej mąż też zaczyna się denerwować.

- No i pojechaliśmy tam z Tytusem. Ja pierdolę, w dwadzieścia pięć minut byliśmy na miejscu. Adama już wywiało, a Mel... - Jessica zagryza wargi. - A Mel...

- Chryste, uspokój się. Jess, kochanie. - Erie pierwszy raz w życiu widzi swoją żonę trzęsącą się ze wzruszenia. Siada obok i przytula kościstą blondynkę, aż brakuje jej tchu.

- Zabraliśmy małą tutaj - wyjaśnia Francuz, dotąd w milczeniu przysłuchujący się rozmowie. - Jest w kiepskiej formie.

- Ale o co, kurwa, chodzi? - Mąż Jessiki, w odróżnieniu od niej, rzadko używa wulgaryzmów, ale tym razem co nieco mu się wyrzywa.

- Ponoć jest w ciąży... - kontynuuje Tytus.

- Co ty pierdolisz?! Jakie „ponoć”?! To końcówka trzeciego miesiąca!!!

- Jessica wyrzywa się z objęć męża i wrzeszczy tak głośno, że słyhać ją chyba w całym New Haven.

- Ale w czym problem? - Erie nadal nie może pojąć, o co chodzi. Głaszce Jess uspokajająco po perłowobiałych włosach.

- Harding się wyparł!

- No i chuj z nim. Nie pierwszy i nie ostatni, który zadupczył i olał,,. - Francuz wtrąca swoje trzy eurocenty. - Będzie płacił alimenty, jak już dzieciak się urodzi.

- Ależ z ciebie idiota... - Jessica kręci głową. - Po pierwsze, tak jak ona kocha tego gnoja, to świat nie widział. Rozumiecie?! Ona nie może bez niego żyć! Po drugie, on stwierdził, że to dziecko Nicolasa!

- Co?! - Erie aż podskakuje na sofie. - Jak? Co?

- Też nie wiem! Tylko tyle mi powiedziała. - Jessica wybucha płaczem.

- Jaki Nicolas? - Tytus nie może zrozumieć, o czym rozmawiają jego pracodawcy.

- Chryste... ale to nie jego dziecko? - Erie ze zgrozą wpatruje się w małżonkę.

- Przestań! Zamknij się, jak masz tak pierdolić! Nie znasz tej historii? Przecież ten człowiek... - Jess zaczyna huśtać się na kanapie jak dziecko z chorobą sierocą. - Boże, mój ukochany Melson... - łka, zagryzając palce. - Mój biedny Melson... Zabiję tego śmiecia, jak mógł jej to zrobić...

Już siódmy dzień pomieszkuję, a raczej wegetuję, w domu Jess i Erica. Budzę się i od razu marzę, aby ponownie zasnąć.

W snach widzę Adama, który tuli mnie i pociesza. Siedzę mu na

kolanach i obejmuję go z całych sił, a on tak pięknie mówi... Szeptem do ucha, że obroni mnie przed... - i właśnie wtedy sen się kończy.

No właśnie: przed kim mnie obroni? Przed samym sobą? Jak mam teraz żyć, skoro jedyny człowiek, któremu zaufałam, oddałam się cała i bez reszty, ciałem i duszą, sercem i rozumem, właśnie mnie porzucił? Dałam się zniewolić, uległam cielesnie i mentalnie, zgodziłam się na związek oparty na jego wymarzonych zasadach. Tyle razy doginał mnie do ziemi, a ja zawsze wiedziałam, że pomoże mi się podnieść i podziękuje za to, że się przed nim ukorzyłam. Nikomu nie pozwolił mnie skrzywdzić... a teraz, gdy najbardziej potrzebowałam jego silnej dłoni, zmroził moje serce, rozłamał je i podeptał.

Spuszczam nogi z łóżka i znów widzę scenkę z hotelu; Adam siedzi obok i ze śmiechem komentuje mój wzrost.

Staję na dywanie, wzrok pada na szafkę nocną. iPhone leży nieruchomo, choć przed kwadransiem powinien był delikatnie zawibrować. Już nigdy nie zadzwoni w południe, zwiastując rozmowę, już nigdy nie usłyszę stanowczego „Harding, słucham”, gdy Adam odbierze przy mnie swój telefon.

Czy tak będzie zawsze? Każda rzecz, każde miejsce, wszystko, co mnie otacza, będzie mi o nim przypominać? Każdy dzień będzie wypełniony żalem? Ponoć czas leczy rany, ale ja już wiem, że nie wszystkie. Zbyt głębokie rany pozostawiają po sobie blizny, identyczne jak te trzy, które noszę na plecach... Stygmaty kobiety, która pokochała za bardzo. A nawet gdyby zagoiły się bez śladu, cóż z tego? Pod sercem noszę dziecko Adama i jeśli Bóg tak zechce, ono nigdy nie pozwoli mi zapomnieć o swoim ojcu.

Zagryzam wargi w bezsilnej obronie przed falą smutku i bólu, która już od tyłu dni tłoczy kolejne strugi łez. Wlokę się do łazienki. Nie spoglądam w lustro, za bardzo jest mi siebie żal, abym była w stanie znieść ten przygnębiający widok, który ujrzałam na drugi dzień po przybyciu tutaj.

Byłam jego skarbem, maleństwem, kochaniem, księżniczką, najpiękniejszą kobietą świata... a dzisiaj jestem matką jego dziecka, dlatego mnie opuścił. Przez chwilę myślałam, żeby pozbyć się tej maleńkiej cząstki i próbować zapomnieć o jedynym mężczyźnie, którego kochałam i Kocham - ale nie mogę. Będę kochać to dzieciątko jeszcze mocniej, ono nigdy mnie nie odrzuci.

Kładę dłoń na płaskim brzuchu i wzdycham ciężko.

- Zostań tam, maluszk. Chociaż ty mnie nie opuszczaj. Przepraszam, że byłam taka smutna i jeszcze nie zdążyłam się ucieszyć, podziękować ci za to, że się pojawiłeś.

Wychodzę z łazienki i siadam na brzegu łóżka, zastanawiając się, co ze sobą począć.

- Mel... - Jessica wsuwa głowę do pokoju. - Wstałaś?

- Tak. Przed chwilą. Coś się stało? - Widzę, że jest jakaś dziwna, chyba jeszcze bledsza niż zwykle.

- Posłuchaj... - Siada obok mnie. - Tylko się nie denerwuj. Kurwa, jak się pieprzy, to na całej linii.

- Co jest? - Chwytam ją za rękę.

- Ja pierdołę, jak ja ci to mam powiedzieć w tej sytuacji?

- Mów, - Przetykam ślinę, przed oczami mam tylko jednego człowieka....

- Dzwonili na twoją służbową komórkę.

Od razu oddycham z ulgą, wiem, że to nic, co mogłoby mieć związek z Adamem. Boże, jaka jestem żalosna...

- Co się stało?

- Twój szef... - Jessica przytula mnie do swojego kościstego ciała.

„Jak dobrze, że zadzwoniłam...” Dziękuję Bogu, że przedwczoraj znalazłam siłę, żeby porozmawiać z Gideonem.

- Kiedy? - pytam, gdy moje serce trochę się uspokaja.

- Dzisiaj w nocy. Ponoć nie cierpiał. Zasnął i rano znalazła go pielęgniarka.

- Z kim gadałaś?

- Z Lizą.

- Uhm. Umarł tak, jak chciał - wzdygam. - Zawieziesz mnie do domu? - Spoglądam na Jessicę.

- Na pewno chcesz tam wrócić?

- Tak.

Spytacie mnie, czego dokonał Gideon Knepper. Czy namalował w życiu choć jeden piękny obraz? A może napisał wzruszający do głębi wiersz albo wygłosił przemówienie, które do dzisiaj wybrzmiewa w uszach i sercach słuchaczy? Odpowiem: nie. Nie pisał wierszy, był człowiekiem oschłym i powściągliwym w okazywaniu uczuć. Nic nie namalował, bo zbyt rzadko dostrzegał piękno, które go otaczało... Nie był dobrym mówcą, jąkał się czasami i miał kiepską dykcję. - Melania Duvall na chwilę zawiesza głos. - Czy wobec tego jedynym dokonaniem Gideona Kneppera było

stworzenie miejsc pracy dla około trzystu osób, bo tyle przewinęło się przez kancelarię podatkową, w której do dzisiaj pracuję, podobnie jak część z was? Czy tylko to sprawiło, że stoimy tu dzisiaj? Gdzie okiem sięgnąć, widzę znajome twarze, ale tych nieznanych jest znacznie więcej. Pytam zatem: po co tu przyszliście? Przecież to żadna wybitna osobistość. Ot, bez mała dziewięćdziesięcioletni starzec, któremu nie udało się nawet założyć rodziny.

Tłum ludzi zebrany na jednym z nowojorskich cmentarzy przypatruje się z uwagą młodej kobiecie, która stoi przed wąską mównicą i zgodnie z życzeniem zmarłego wygłasza pożegnalną mowę w imieniu własnym i współpracowników.

- Jeśli ktoś z was tego nie wie, odpowiem za niego. Przyszłam tu, bo noszę w sercu piękny obraz wspaniałego człowieka, którego życie powinno być tematem wierszy. Przyszłam tu dzisiaj opłakiwać kogoś, kto nigdy mnie nie zawiódł, kto nauczył mnie ufać ludziom, kto nie musiał otwierać ust, aby coś powiedzieć, bo jego czyny mówiły same za siebie... Kto raz w roku odwiedzał każdego z pracowników, tak jak czuły i dobry ojciec, doglądający swoich dzieci... Kto każdemu z nas dawał drugą szansę, a czasami, choć na to nie zasłużyliśmy, trzecią i czwartą... - Głos Melanii zaczyna lekko drżeć. Kobieta wyciąga chusteczkę z kieszeni czarnego kostiumu i szybko ociera kilka gorących łez. - Odwiedziłam go niedawno. Nie mówił zbyt dobrze, dlatego przez kilka dni pieczołowicie pisał do mnie list. Pozwól, Gideonie, że się nim podzielę. - Zerka w niebo, a potem rozkłada przed sobą niewielką kartkę pokrytą koślawymi literami. - „Droga Melanio, wkrótce się pożegnamy. Dziękuję Bogu, że do końca życia cieszyłem się dobrym wzrokiem. Pewnie spytasz, dlaczego to dla mnie takie ważne. Otóż, moja droga, codziennie rano mogłem spojrzeć w lustro i stwierdzić, że człowiek po drugiej stronie nie uczynił nic, czego musiałbym się wstydzić. Życzę ci, żebyś nigdy nie straciła wzroku. Miej baczne spojrzenie, zauważaj potrzebujących, choć ich najtrudniej dostrzec, a gdy twoje oczy się zmęczą, pozwól im odpocząć, przymykając je na błędy i potknięcia ludzi, którzy są dla ciebie ważni. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Gideon Knepper”. - Panna Duvall składa list i ściskając go w dłoniach jak talizman, kończy swoją mowę, - Taki właśnie był... Zwyczajny niezwykły człowiek. Nigdy cię nie zapomnimy... - Ostatnie słowa wygłasza z trudem, przełykając łzy.

Jakiś mężczyzna podchodzi do mównicy, pomaga Melanii zejść z dwóch wysokich schodków, prowadzi ją do krzesła i sadza. Ktoś podaje zapłakanej

kobiecie kubeczek z wodą.

Adam Harding stoi w cieniu jednego z nielicznych drzew. Choć wyciąga głowę, jest zbyt daleko, by wyraźnie widzieć. To, co usłyszał z rozwieszonych wszędzie głośników, wyraźnie go poruszyło. Nerwowo drepcze w miejscu - jak człowiek, który chciałby coś zrobić, ale się waha. W końcu nie wytrzymuje i opuszcza cmentarz, nie czekając na koniec uroczystości.

Boże, jaki piękny... - wzdycha moja przyjaciółka. Słyszę zazdrość w jej głosie, ale jak Jess zawsze podkreśla, są różne rodzaje zazdrości. Ta, którą właśnie okazała, to z pewnością odmiana tak zwanej zazdrości pozytywnej.

- Tak myślisz? - Zerkam na dom.

Piętrowy budynek, pokryty łuszczącą się tu i ówdzie białą farbą, ozdobiony niebieskimi okiennicami i pnącym się bluszczem, przycupnął nieopodal brzegu morza. Otoczony zarośniętym, nieco zaniedbanym ogrodem, wygląda jak czysta poezja. Wyraźnie słyszę unoszące się w powietrzu nuty francuskich melodii granych na akordeonie i piosenek śpiewanych z gardłowym „r”.

- Nie sprzedawaj go. - Jessica chwyta moje dłonie i układa je jak do modlitwy.

- Jess... ale co ja mam z nim zrobić? - Rozglądam się bezradnie. - Mam pomysł: wy go kupcie - parskam pod nosem.

- Przestań. Taki dom zasługuje na duszę, wystarczająco długo stał martwy... - Alabastrowa dłoń delikatnie dotyka chropowatej powierzchni tynku, wiedzie po okiennicy w kolorze nieba i kończy wycieczkę na pokrytej kilkunastoletnim kurzem szybcie. - Ja i Erie moglibyśmy spędzać tu jedynie kilka miesięcy w roku.

Moja przyjaciółka, zwykle nieszczędząca słów powszechnie uważanych za wulgarne, nie wiedzieć czemu zamieniła się dzisiaj w romantyczkę.

- Och, Mel, ty tu zamieszkać! Będziemy do ciebie przyjeżdżać! - Podskakuje jak mała dziewczynka, srebrzystobiałe włosy mieszają się z powietrzem i otaczają głowę jak świetlista aureola.

- Ja? - Z niedowierzaniem kręcę głową. - Co miałabym tu robić?

- Żyć! Po prostu żyć! - Jess spogląda wokół. - Popatrz, jak tu pięknie... - Bierze głęboki wdech. - A wiesz, co będzie na wiosnę? Istny raj...

Zagryzam wargi. Wiem, co będzie na wiosnę. Zostanę samotną matką, a moje dziecko - jak uświadomiła mi mama - będzie bękartem. Pierwszym bękartem noszącym nazwisko Duvall.

Podchodzę do obdrapanego z farby metalowego krzeselka, które stoi na patio. Przysiadam, opieram ramię o zakurzony i obsypany wyschłymi liśćmi blat stoliczka.

- Jess, tak mi źle... - mówię raczej do siebie, bo nie chcę ciągle marudzić.

Nagle zza chmur wychodzi słońce, robi się jakoś magicznie... Promyki odbijają się nieśmiało od wody zatoki Saint- Tropez, dając mi odrobinę ożywczej energii.

- Chodź, idziemy pooglądać moje włości. Mam klucze. - Podnoszę głowę.

Pięć minut później (po ostrej szarpaninie z drzwiami wejściowymi i zardzewiałym do cna zamkiem) wchodzimy do środka.

- Ja pierdolę... - Przykładam dłoń do ust.

- No co chcesz? Ma swój urok... - chichocze Jess.

- Co z tobą? Masz wadę wzroku? - chichram się razem z nią.

Przemierzamy podłogę pokrytą czymś, co nazywam brudem upływającego czasu: pajęczynami, pyłem i tym ciemnym osadem, charakterystycznym tylko dla opuszczonych miejsc. Otwieramy kilka okien, brudząc się niemiłosiernie.

- Super! - Jessica podchodzi do kompletu stojącego w jadalni.

- Piękny... - Kiwam głową. - 1 niewiarygodnie upaprany.

- Poczekaj. - Moja przyjaciółka wyciąga z torebki paczkę chusteczek do demakijażu.

Razem przecieramy fragment blatu. Obie jak na komendę cofamy się o krok i ze zdumieniem podziwiamy intarsję z kwiatowym motywem.

- Kwas hialuronowy potrafi czynić cuda - sapie Jess, masując policzki wypełnione restylanem. - Zawsze to wiedziałam.

- Tia... teraz tylko kupić wagon chustek nasączonych tym specyfikiem i będzie jak osiemdziesiąt lat temu.

- Taki stary jest ten dom?

- Uhm.

- On go kupił wtedy?

- Nie, no skąd, znacznie później. Jakoś w końcówce lat siedemdziesiątych.

- Dlaczego go nie sprzedał, skoro w ogóle tu nie przyjeżdżał? - Jess przeciera dwa obrzydliwie brudne krzeselka. - Siadaj.

- To jakaś romantyczna i bardzo smutna historia - wzdycham, zajmując

miejsce. - Koleś z tutejszego biura nieruchomości, który mi pomaga, opowiadał. Jego nieżyjąca już matka знаła kobietę, dla której Gideon kupił ten dom. To była Francuzka, dziewczyna stąd. Zakochali się w sobie, mieszkali tutaj jakieś dwa lata, a potem ona zmarła. - Zagryzam wargi. - Przy porodzie.

- A dziecko?

- Też zmarło. Dziewczynka.

- O kurwa! - Jessica jest przerażona. - Chyba nie tutaj... - Rozgląda się wytrzeszczonymi oczami.

- W szpitalu.

- Tyle dobrego. - Moja przyjaciółka oddycha z ulgą. - W życiu bym nie zasnęła w domu, w którym ktoś wykitował.

- No, a teraz powiem ci coś jeszcze. Ponoć to było dokładnie w dniu moich urodzin.

- Serio?! - Jess odchyła się tak mocno, że oparcie aż trzeszczy. - Wkręcasz mnie?

- Nie.

- Ja pierdolę, jak u Stephena Kinga!

- Jesteś przesądna? - pytam i parskam śmiechem.

- Przestań! Wiesz, że nie... ale, kurwa, ta historia miażdży system. I co teraz?

- Jess... Myślałam nad tym i sądzę, że może dlatego Knepper zawsze traktował mnie jakoś inaczej. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie i jego wzrok, poczułam się wtedy, jakbym rozmawiała z kimś, kto bardzo mnie kocha. - Przelykam ślinę. - Nigdy ci nie mówiłam, ale swoje mieszkanie też zawdzięczam jemu. To był apartament Gideona, który mi go wynajął, a czynsz potrącał z pensji. Oczywiście od momentu, kiedy się wprowadziłam, podniósł ją dokładnie o taką kwotę. - Uśmiecham się na to wspomnienie. - Nie chciałam się zgodzić, ale wtedy pogłaskał mnie po twarzy tą swoją pomarszczoną, pokrytą plamkami dłonią i powiedział, że złamię mu serce, jeśli odmówię.

- Masz. - Jessica podaje mi chusteczkę higieniczną. - Kurwa, nigdy nie masz chustek! - Sięga po drugą i tak jak ja ociera łzy, a potem głośno wydmuchuje nos.

Siedzimy jeszcze chwilę, a później idziemy zwiedzić piętro. Tu jest nieco lepiej, cztery spore sypialnie prezentują się całkiem nieźle, choć ząb czasu poważnie nadgryzł to i owo, a niektóre elementy przeżył

całkowicie. Zwłaszcza podłogi i futryny okien wyglądają żałośnie. Jessica fachowym okiem ocenia, ile może kosztować remont i jak bardzo się na niego zrujnuję, a ja zdradzam jej kolejny sekret: mój nieżyjący szef, czyli jedyny mężczyzna poza ojcem i Ashleyem, na którym nigdy się nie zawiodłam, zostawił mi oprócz kancelarii, apartamentu na Manhattanie i tego domiszcza sporą sumkę pieniędzy. Nieco z niej uszczknęłam (niecałe pięć procent) na załatwienie pewnej bardzo przykrej sprawy, ale reszta została.

Zaglądamy jeszcze do łazienek - z jednej z nich błyskawicznie zmykamy po odkryciu stadka martwych karaluchów (pewnie zdechły z głodu). Później, trzymając się chwiejnych barierek, zlazimy do sutereny i Jess z miną znawcy od razu projektuje mały klub fitness, saunę i gabinet SPA. Prawie płaczę, patrząc, jak próbuje odkręcić zabytkowy kurek nad równie antyczną umywalką. Gdy w końcu się jej to udaje i z kranu nie wycieka ani kropla wody (co było do przewidzenia), moja przyjaciółka też zaczyna kwiczeć. Jeszcze chwilę łazimy bez celu, co chwilę odkrywając jakieś mniej lub bardziej cenne starocie. Robimy się głodne, wyglądamy jak dwójka kloszardów (umazała na czarno dłonie, pajęczyny i paprochy we włosach, spodnie na tyłku tłuste od emulsji, którą nasączone były dwie ostatnie chustki użyte przez Jess do przemywania krzesła) i strasznie nas to bawi. Postanawiamy nie wracać do hotelu i pójść w takim stanie do najlepszej restauracji w Sainte- Maxime. Zarykując się ze śmiechu, opuszczamy dom. Czuję się lekko, wreszcie mam jakiś plan.

- Jess, dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś. - Cmokam blady policzek pokryty ciemnymi smugami, a potem zamykam za sobą skrzypiącą furtkę.

Święta minęły. Śniegu brak. Był wcześniej, owszem. Spadł dwudziestego pierwszego grudnia, równy miesiąc po mojej wyprowadzce z Nowego Jorku. Utrzymał się przez kwadrans? Wyszłam do ogrodu i cyknęłam fotkę: figowe drzewo oproszone cukrem pudrem. Monsieur Pinon - do zeszłego tygodnia moja jedyna opoka na obczyźnie - stwierdził, że w każdym tutejszym ogrodzie powinno być takie drzewko. Tradycja. Moje jest stare i nieco wyrodzone. Słabo owocuje, ale za to jest piękne i rozłożyste. Coś za coś.

Są jeszcze palmy, też nie pierwszej młodości. Dwa gigantyczne badyle z wyleniałymi pióropuszcami. Zbyt wysokie, żeby je sfotografować. Robotnicy, którzy remontują dom i odnawiają ogród, pytali, czy mają ściąć te drzewa, ale nie pozwoliłam. Może to Gideon je posadził? Kto to wie. Na wszelki

wypadek kazałam zostawić wszystko, no, może oprócz najbardziej przerośniętych krzaczorów i bluszczu porastającego dwie ściany. Ten ostatni poległ, bo nie było innego wyjścia, ale ponoć szybko odrasta, Liczę na to.

Uciekłam, inaczej tego nie można nazwać. Pięć dni przed Świętem Dziękczynienia spakowałam walizki i poleciałam do Francji. Pierwszy raz w życiu posłuchałam psychoanalityka: ograniczyłam kontakty z rodziną do niezbędnego minimum. Rozmawiam z Ashleyem i czasami z tatą, resztę towarzystwa sobie darowałam. Po liście mamuśki trzy dni chodziłam do tyłu, a gdy Scarlett zadzwoniła tydzień po swoim porodzie i bardzo delikatnie dała mi do zrozumienia, że tak samo jak nasza rodzicielka uważa mnie za „biedną Mel, której się w życiu nie układa i której trzeba pomóc, pastwiąc się przy tym bez umiaru” - zmieniłam numer telefonu i podałam go jedynie braciszce.

Nie spodziewałam się, że „w- dupie- manie” piekielnej rodziny i jej członków, czyli toksycznych istot wypijających krew przez słomkę, będzie takie świetne. Jak mi lekko, cudownie. Jak dobrze być ekskomunikowaną... Za każdym razem, gdy pomyślę, ile zaoszczędzam sobie nerwów, aż mi serce rośnie. Jest dobrze.

Czasu nie miałam i nie mam, Na nic. Kompletnie. Pierwszy miesiąc mieszkałam w pensjonacie ciotki Xaviera Pinona, madame Marie Pinon. Dzień w dzień wizyta w mojej hacjendzie dla survivalowców, „krótki meeting”, czyli parogodzinna mordęga w kółku poliglotów (kilkunastoosobowa ekipa: Rosjanie, Polacy, Francuzi, wszyscy znający angielski w stopniu ułomnym), i niekończące się wybory: kolorów, wzorów, farb, glazury, mebli...

Ale było warto. Jest pięknie. Kiedy święta nieświęta trójca - Jess, Erie i Tytus - weszła do mojego domu (jak to brzmi: mój dom!), widziałam te wytrzeszczone z zachwytu oczy. Stałam w progu dumna i blada, z wypiętą piersią (i brzuchem też). Ogarniam rzeczywistość i to najbardziej cieszy. Jakoś się podniosłam, choć było ciężko. Straszliwie. Dziesiątki razy zerkałam na butelkę z wódką. Wypić choć jednego drinka... Wyluzować. Zapomnieć. Nie wolno! Nie wolno, bo dziecko. Bo nie jesteś już sama, panno Duvall, bo masz kogoś, za kogo odpowiadasz. Mały chłopczyk, synuś. Potomek Adama.

- Co robisz? - Jess obejmuje moją „antytalie”.
- Trudno powiedzieć - śmieję się. - Chyba mam coś z głową. Wiecznie

je oglądam i wącham. Są takie słodkiesie. Zobacz. - Podsuwam jej pod nos błękitne śpioszki z weluru.

- Uhm... Masz rację. Kochane. Erie ostatnio też coś przebąkuje o dziecku. Sama nie wiem.

- Ja ci nie pomogę. Z własnym życiem sobie nie radzę. - Wzruszam ramionami.

- Przestań. Zazdrozczę ci. Nigdy nie byłam taka twarda.

- Nie ma czego zazdrościć. To wymuszona twardość. - Przysiadam na brzegu łóżka. - Chodź tu.

- Chcesz o nim pogadać? - Przytula się jak zawsze.

Kościstą dłonią gładzi mnie po ramieniu. Od razu mięknę, łyzy kapią leniwie jak woda z zepsutego kranu.

- Nie wiem. Chyba tak, choć nie ma o czym. Adam istnieje jedynie we wspomnieniach, no i tu... - Spuszczam wzrok na brzuch.

- Nie wysłał ci życzeń.

- Nie. Chyba nie. Jeszcze przed Świętem Dziękczynienia zlikwidowałam wszystkie skrzynki, a nowych nie zna. Tak mi łatwiej. Mogę się łudzić, że wysłał, ale nie dotarło - wzdycham. - Sama nie wiem, czego chcę. Z jednej strony bardzo mi go brakuje, ale z drugiej, gdy przypomnę sobie, co zrobił... Szkoda, że nie ma tabletek wywołujących czasową amnezję.

- O czym byś zapomniała?

- O Nicolasie. I o Adamie, ale tylko z ostatnich dni. - Przetykam ślinę. - Bo reszta była...

Nie wytrzymuję. Opieram czoło o ramię przyjaciółki.

- Nie płacz.

- Wiesz, myślę, że to najgłupsze, co można powiedzieć komuś, kto płacze - śmieję się, a jednocześnie szlocham. - Dlaczego każdy tak mówi? To idiotyczne! Przecież to nie działa.

- No wiem. - Jess też pociąga nosem. - Albo działa, ale na odwrót.

- Nie płacz! - bulgoczę.

Jessica wybucha zasmarkanym śmiechem.

- Mogę do tego? - Podnosi śpioszki i przykłada je do nosa.

- Ani mi się waź! Prałam je ręcznie. - Zabieram ubranko.

- Wiesz co?

- No?

- Zauważyłaś, że przez tego palanta prawie nie klnę w twojej obecności? Co to ma być?

- Nie mam pojęcia.
 - To przez niego! - Jessica szturcha palcem mój brzuch. - Jaki ojciec, taki syn.
 - Uhm. - Kiwam głową. - Cholernie tęsknię. Wiesz, nieraz myślę, że polubiłam to uczucie. Przyzwyczyłam się do tęsknoty. Czy to normalne? I boję się. Co będzie, gdy mały się urodzi?
 - To znaczy?
 - Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby zrozumiała.
 - Boję się, że będę go kochać za bardzo. Że stanę się obłąkaną matką, osaczę to biedne dziecko i nie zauważę w porę, że już dorosło, że powinno iść w świat. Nie wiem... - Bezradnie wzruszam ramionami. - Albo inaczej: nie będzie do niego podobny i się rozczaruję. Och! Czasami mam takie idiotyczne pomysły. Daj mi w łeb.
 - Przestań. Jesteś normalna. To hormony. - Jess krzepiąco klepie mnie po ręce.
 - A gdzie chłopaki? - zmieniam temat, mam dosyć własnych smętów.
 - Siedzą i oglądają filharmoników wiedeńskich,
 - Uhm... - Zerkam na zegarek- Chciałabym kiedyś pojechać na noworoczny koncert. Co ty na to? Może w przyszłym roku?
 - Może być. Choć nie przepadam za walcami.
 - Ja też.
 - To po co pojedziemy? - Tak dla jaj.
 - OK. - Jessica jest dziś wyjątkowo zgodna.
- Myślę, że ma to związek z lekkim kacem. Wczoraj moi goście dość potężnie się opili, choć zachowali resztki przyzwoitości i nikomu nie urwał się film. A może jednak się urwał? Poszłam spać o drugiej, do rana mieli sporo czasu na utratę przytomności.
- Hm... zrobimy pizzę? - rzucam propozycję.
 - Melson! To jest myśl! - Jess zrywa się z łóżka. - Masz składniki?
 - Co za pytanie? - burczę, gramoląc się za nią. - Zawsze.

- Zaniedbywałeś mnie ostatnio. - Kate, młoda i atrakcyjna brunetka w dość niedbałym stroju, przysiada obok swojego gościa.
- Przepraszam. - Adam uśmiecha się blado. Podnosi dłoń dziewczyny i delikatnie całuje każdą z czterech wystających kosteczek. - Tak jakoś wyszło.
- Wiem, nie tłumacz się. Wszystko w porządku? Powiem ci, że gdy

Morris zadzwonił i powiedział, co się stało i o co cię oskarżyli, przez godzinę stałam jak słup soli z komórką w ręku. Nie wiem, ile czasu bym tak spędziła, dopiero kolejny telefon przywrócił mnie do rzeczywistości. - Z ust kobiety wydobywa się głośnie westchnienie. - Bałeś się?

- Jak cholera. Jeszcze nigdy tak się nie bałam. Na szczęście byłem na tyle oszołomiony, że dotarło to do mnie dopiero wtedy, gdy sędzia klepnął zgodę na wyjście za poręczeniem. Później było już łatwiej. Pieniądze, znajomości... Wiesz, mam kilku dobrych przyjaciół, gdyby nie oni... - Harding kręci głową. - Nie wiem, jak bym to wszystko przetrwał. Największe wsparcie dostałem z ośrodka, który sprawował kuratelę nad rodzinami zastępczymi w pierwszych latach mojej opieki nad Ruth. Pani Morgan walczyła jak lwica, myślałem, że zagryzie prokuratora, kiedy odważył się zakwestionować jedno z moich zeznań. Mnóstwo ludzi za mną stanęło, nigdy bym się nie spodziewał tylu oznak solidarności... ale i tak nie życzę podobnych doświadczeń nawet najgorszemu wrogowi.

- Może nie wracajmy już do tego. Co u Ruth?

- W porządku. Kazała cię pozdrowić.

- Na długo przyjechałeś?

- Trzy dni i wracam. - Mężczyzna kładzie głowę na oparciu wygodnej kanapy, stojącej na środku sporego pokoju. To salon i zarazem sypialnia londyńskiego mieszkania jego przyjaciółki.

- Mało czasu, ale jakoś sobie poradzimy... - Gospodyni podnosi się i siada okrakiem na kolanach Adama. - Może uda mi się poprawić ci nastrój.

Długie czarne włosy opadają jak kurtyna wokół dwóch twarzy złączonych pocałunkiem. Męskie ramiona opasają wąską talię, dłonie wsuwają się pod trykotową bluzeczkę i pieszczą jedwabście gładką skórę, wprawne palce rozpinają klamerkę stanika.

- Chodźmy do łóżka... - Rozgrzany podnieceniem kobiecy głos wybrzmiewa tuż przy uchu Hardinga.

Oboje podnoszą się z sofy i przechodzą do skrytego za parawanem gigantycznego materaca, który pełni funkcję miejsca do spania i miłosnych igraszek. Upadają na stos poduszek, nie przestając się tarmosić.

- Och... naprawdę się stęskniłam. - Kate siada i błyskawicznym ruchem zdejmuje bluzeczkę razem z biustonoszem. Nachyla się nad twarzą mężczyzny, brodawka piersi trafia wprost do jego ust. - Prawie rok nie gościłeś w moich nieskromnych progach...

Harding przez chwilę liże ciemnobrązową otoczkę, ale gdy kobieca ręka

zbliża się do rozporka jego spodni i zaczyna rozpinać suwak, niespodziewanie padają słowa cichego protestu:

- Kate... nie.

- Adam? - Dłoń zastyga gdzieś pomiędzy klamerką paska a guzikiem.

Dziewczyna natychmiast się podnosi. Przykłęka tuż obok leżącego na wznak przyjaciela i sięga po jedną z poduszek, by zakryć nią sterczące brodawki niewielkich, ale kształtnych piersi.

- Co jest? - W głosie słychać zaniepokojenie podszyte lekką nutką irytacji.

Kate zerka kontrolnie na podbrzusze mężczyzny. Wszystko wydaje się w porządku, jak zawsze w trakcie ich sporadycznych, lecz bardzo gorących spotkań.

- Wybacz. - Adam zakrywa twarz. - Nie mogę.

- OK.

Dziewczyna wstaje z łóżka, zakłada pasiastą bluzkę i wychodzi do kuchni. Wyciąga z szafki butelkę z jakąś podłg whisky i dwie niskie szklanki kupione na pchlim targu. Napełnia każdą do połowy, a potem wrzuca do środka parę kostek lodu. Wie, że powinna zrobić to w odwrotnej kolejności, ale nigdy nie przywiązywała wagi do drobiazgów.

- No dobra. Mów. - Stawia niefachowo przyrządzone drinki na stoliku tuż obok materaca. - Co jest grane? Jakaś kobieta?

- Tak. - Harding siada i przez chwilę pociera policzki.

- Mogłeś od razu powiedzieć. Niepotrzebnie się napaliłam! - Kate parska śmiechem. - Chciałeś zagrać na dwóch gitarach jednocześnie? To nie w twoim stylu, więc...?

- Zerwaliśmy.

- Kiedy?

- Parę miesięcy temu.

- Bo?

- Puściła się z kimś.

- Skąd ta pewność?

- Zaszła w ciążę.

- Uhm... - Kate dopija resztkę alkoholu. - To ta laska, o której mi kiedyś wspominałeś? Melania?

- Tak - smętnie potakuje Adam.

- Dalej cię trzyma?

- Niestety.

- Jeszcze jedna kolejka? - Gospodyni zerka na pustą szklanę Hardinga.

- Chętnie. Przyniosę... - Mężczyzna podnosi się z materaca.

- W zamrażarce są woreczki z lodem.

- Wiem.

Adam czuje się w tej niewielkiej kawalerce równie swobodnie jak u siebie w domu, a może nawet bardziej. Kate mieszka tu od lat. wyjechała do Londynu zaraz po ukończeniu studiów. Nic się nie zmieniło, mieszkancko nadal jest zavalone książkami, ciuchami i milionem mniej lub bardziej zbędnych rzeczy.

Wszechobecny chaos był jednym z wielu punktów zapalnych w krótkim związku Adama i Kate, ale to nie bałaganiarstwo dziewczyny go rozsadziło. Główną przeszkodą okazał się zbyt dominujący charakter obu stron. Czasami ścierali się tak, że ściany dudniły, a sąsiedzi przychodzili z interwencją.

Po trzech miesiącach Kate i Adam zgodnie stwierdzili, że kochają się i uwielbiają, są wspaniałymi przyjaciółmi, zawsze mogą na siebie liczyć, nadają na tych samych falach, są równie inteligentni i ambitni, mają świetny seks i tak dalej, lecz z tej mąki chleba nie będzie. Została przyjaźń (szorstka, ale zawsze szczerą), okraszona sporadycznymi spotkaniami o charakterze bardzo erotycznym.

- I co teraz? - pyta gospodyni.

- Nie wiem. - Harding przysiadł na dywanie i opiera się o materac. - Nie potrafię o niej zapomnieć.

- Ależ cię trafiło... Wiesz, z jednej strony zazdroścę, bo chyba nie jestem zdolna aż tak się zaangażować, ale z drugiej, gdy widzę, co może się stać... Trzymasz się jakoś?

- Pracuję, nie piję, nie ćpam, niby się ogarnąłem, ale psychicznie jestem wrakiem. Ciągle o niej myślę.

- Widujecie się czasami?

- Nie, nawet nie wiem, co się z nią dzieje.

- Chcesz opowiedzieć?

- Mogę. - Adam nalewa sobie kolejną szklanę i przez chwilę pije ciepłą whisky. Lód się skończył, mokry woreczek leży na podłodze. Mężczyzna podnosi go i wsuwa do pustej butelki. - Wiesz, jak to jest, kiedy budzisz się rano i żałujesz, że żyjesz? Ja tak mam... - Zwiesza głowę.

Gdy kończy niewesołą opowieść (niepełną, bo okrojona z wielu zbyt

intymnych elementów), obok łóżka leży kilka kulek z chusteczek higienicznych. Kate siedzi i pociąga nosem.

- O Chryste, Harding, ale cię wzięło... Chciałeś wychowywać nie swoje dziecko...

- Chciałem. Nie mogę bez niej żyć. - Adam znów kryje twarz w dłoniach.

- Jak myślisz? Usunęła ciążę?

- Nie mam pojęcia, mam nadzieję, że nie.

- Na stówę jesteś bezpłodny? Sprawdziłeś?

- Tak. Znasz mnie. Zrobiłem badania natychmiast, jak tylko się dowiedziałem.

- Uhm... Nie ma żadnej możliwości? Może się walnęli? Wiesz, jak to jest w tych laboratoriach... Pamiętasz, jak kiedyś stwierdzili u mnie białaczkę, a potem się okazało, że to błąd pracownika? - Kate przypomina Adamowi incydent, który kosztował ją godzinę paraliżującego stresu.

- Nie sądzę.

- Czekaj! - Dziewczyna się ożywia. - Mam nowych sąsiadów, taka fajna parka w naszym wieku. Od trzech lat starali się o dzieciaka i dopiero niedawno wyszło, że koleś jest bezpłodny. Leczy się u takiej babeczki, ponoć pełna magia. Babka potrafi czynić cuda. Może byś się u niej zbadał?

- Kate, dzięki za troskę. - Harding chwyta dłoń swojej przyjaciółki. - Ale po co? Sprawa jest jasna.

- Ale o co ci chodzi?! Nie zależy ci na niej? - Kate wrywa rękę. - Jeśli zależy, walcz! Ja zrobiłabym wszystko, gdybym kogoś tak kochała...

- Wiesz, żeby stanąć do walki, trzeba mieć jakieś szanse. Jakikolwiek. W przeciwnym razie to samobójstwo. Gdybym miał chociaż jeden procent, nie musiałabyś mnie zachęcać, już dawno bym to zrobił. - Zwiesza głowę. - Ale nie mam.

- Poczekaj!

Kate zrywa się i biegnie po komórkę. Rozmawia w kuchni z kimś o imieniu Jacob, coś skrzątnie notuje na pokrytej tłustymi plamami gazecie i się rozłącza.

- Harding, zadzwoń do tej kobiety i umów się. - Podaje Adamowi urwany strzęp papieru. - Proszę cię. W imię naszej długoletniej przyjaźni! Spróbuj.

Mężczyzna ciężko wzdycha, ale chowa karteczkę do portfela.

- Dobrze.

Siedzą jeszcze kilka godzin, wspominając dawne i mniej odległe czasy. Śmieją się do łez, gdy Kate opowiada historię swojego ostatniego związku z

czterdziestoletnim wykładowcą matematyki, który w trakcie seksu tłumaczył, na czym polega zjawisko określane jako czasoprzestrzeń Minkowskiego, i próbował przybliżyć, o co chodzi w tak zwanym lemacie Jordana.

Żegnają się dobrze po północy.

- W czym mogę panu pomóc? - Doktor Mia Plummer z zachwytem przygląda się pacjentowi. To chyba najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego ostatnio miała okazję widzieć.

- Potrzebuję konsultacji. Jakiś czas temu zrobiłem badanie nasienia, mam wątpliwości co do wyniku. - Harding wyciąga dokumenty ze skórzanej teczki i kładzie je na biurku najlepszej brytyjskiej specjalistki od wazektomii.

Doktor Plummer ma niecałe czterdzieści lat, ukończyła Uniwersytet Queen Mary w Londynie - jedną z najbardziej

prestżowych uczelni w kraju, sporo publikuje i jest wykładowcą na kilku akademiach medycznych. Specjalizuje się głównie w urologii, ale słynie również ze sporych sukcesów w leczeniu bezpłodności u mężczyzn. Nigdy nie wyszła za męża, może ze względu na swoją specjalizację, a może dlatego, że poświęciła się karierze.

- Już sprawdzamy. Gdzie wykonano zabieg? - Szybko przebiega wzrokiem treść nasieniogramu.

- W Bostonie.

- Widzę. Rzeczywiście. - Lekarka zapoznaje się z wypisem z prywatnej kliniki. - Cóż, panie... - jeszcze raz zerka na dokument - Harding. Wychodzi na to, że jest pan bezpłodny. Wprawdzie dla wazektomii wskaźnik Pearl'a wynosi od zero koma dwa do zero koma dwadzieścia pięć, ale w pana przypadku z pewnością jest niższy. W pana ejakulacie znaleziono tylko pojedyncze plemniki, więc nie bardzo wiem, w czym problem.

- Moja była partnerka zaszła w ciążę i utrzymuje, że to moje dziecko.

- Przykro mi, ale obawiam się, że ta kobieta pana okłamuje. - Mia Plummer wzrusza ramionami. - Może poczeka pan do rozwiązania, badanie genetyczne powinno ostatecznie rozwiązać wątpliwości.

- Proszę powiedzieć, czy istnieje jakakolwiek możliwość, abym to ja był ojcem?

- Panie Adamie! - Lekarka parska śmiechem. - Oczywiście, że tak, ale jest nieprawdopodobnie znikome.

- Proszę mnie zbadać. Nalegam.

- Skoro tak, proszę przejść do sąsiedniego pomieszczenia.

Harding podnosi się z wygodnego fotela. Przez moment rozważa, czy to, co właśnie robi, ma jakikolwiek sens, ale postanawia ostatecznie załatwić temat.

- Cóż my tu mamy? - Doktor Mia przegląda kolejne wyniki. Tym razem analizuje zdjęcie rentgenowskie nasieniowodów zrobione po podaniu kontrastu. - Ciekawe... - Lekko unosi brwi.

- Tak? - Adam nerwowo poprawia się na fotelu.

- Panie Harding, czy moglibyśmy przeprowadzić jeszcze jedno badanie?

- Oczywiście.

- Przejdźmy więc do gabinetu z ultrasonografem.

- Dobrze.

- Czy zauważyła pani coś niepokojącego? - Mężczyzna spoczywa na kozetce, a doktor Plummer bada aparatem USG jego mosznę. - Jestem chory?

- Nie. - Lekarka przez kilka sekund patrzy na pacjenta. - Bez obaw. Panie Harding... - Odkłada głowicę ultrasonografu.

- Tak?

- Czy mogę zadać panu niedyskretne pytanie?

- Hm... - Adam parska śmiechem. - Zależy, jak niedyskretne, pani doktor już i tak widziała prawie wszystko, czym mnie Bóg obdarzył.

- Proszę się nie obawiać. Pytanie ma związek wyłącznie z pana problemem.

- Proszę więc pytać. Czy mogę się już ubrać?

- Na razie proszę się zasłonić, tu ma pan ligninę.

- Słucham. - Harding siada na kozetce.

- W pana przypadku w bardzo konkretnej sytuacji istnieje szansa na spłodzenie potomka.

- Tak?! - Mężczyzna łapie się z wrażenia za usta.

- Tak. Został pan poddany klasycznej wazektomii, z podwiązaniem nasieniowodów i dodatkowym zabezpieczeniem ich klamerkami, ale jedna z nich nie do końca pełni swoją funkcję. Moim zdaniem w pewnych okolicznościach mogła zawieść.

- Jakie to okoliczności?

- Intensywne współżycie z jednoczesnym silnym i punktowym uciskiem na mosznę.

- Nie bardzo rozumiem. - Adam jest coraz bardziej zażenowany.

- Załóżmy, że w trakcie kontaktu seksualnego partnerka nacisnęła czymś pana worek mosznowy.

- Czy to mógłby być przedmiot używany do pieszczot analnych? - Harding przetyka ślinę, jeszcze nigdy nie czuł takiego skrępowania.

- Tak. Zwłaszcza jeśli ma dużą zewnętrzną otoczkę.

- Rozumiem.

- Czy taka sytuacja mogła mieć miejsce? - Tak. - Mężczyzna wlepia wzrok w płataninę kabli wiszących z urządzenia. - Czy pani podejrzenie można jakoś uprawdopodobnić?

- Musiałabym coś sprawdzić, ale to nieco wychodzi poza standardy zwykłego badania.

- Czyli?

- Musiałby pan osiągnąć wzwód.

- Rozumiem.

- Panie Adamie, może opuszczę pana na chwilę i zajrzę tu ponownie za trzy minuty. Jeśli będzie pan w stanie się przygotować, proszę dać mi znać. W przeciwnym razie po prostu zakończymy wizytę.

- Czy mam przy pani osiągnąć...

- Spełnienie? - Doktor Mia parska śmiechem. - Nie, To nie będzie potrzebne,

Gdy tylko lekarka opuszcza gabinet, jej pacjent opada na kozetkę i głośno wypuszcza powietrze. Przez moment wyklina w duchu własną dociekliwość i Kate, która dała mu namiary na doktor Plummer, ale w końcu zaczyna się masturbować. To chyba najgorsze miejsce, okoliczności i czas... Adam opuszcza powieki i próbuje sobie przypomnieć jakiegokolwiek sytuacji związane z seksem, niestety kiepsko mu idzie. Wie dobrze, że tylko wyobrażenie jednej kobiety obudzi w nim żądzę. Kobiety, przez którą się tu znalazł.

- Mel... Chryste, dlaczego tak się popieprzyło... Na sekundę zamyka oczy. Starał się za wszelką cenę o niej zapomnieć, a teraz przywołuje wspomnienia i wystarczy kilka sekund, by fallus stanął na baczność. Harding zakrywa się ligniną i zagryza ze wstydu wargi, gdy słyszy ciche kroki doktor Plummer.

- Można?

- Tak.

Adam próbuje kompletnie się wyalienować, najchętniej zatkałby sobie uszy, ale to wyglądałoby cokolwiek dziwnie. Poprzestaje więc na

zamkniętych oczach.

- Może ciut zaboлеć. - Twarda krawędź jakiegoś przedmiotu lekko uciska mosznę. - Już.

- Już? - Mężczyzna otwiera oczy i wzdycha z ulgą.

- Może się pan ubrać. Wrócę za trzy minuty.

- Słucham. - Harding jest nieprawdopodobnie zdenerwowany. Jego czoło pokrywają krople potu, mięsień na jednym z policzków drga jak oszalały. W końcu mężczyzna wyciąga chusteczkę i powoli ociera twarz.

- Już mówię. - Doktor Mia widzi, że tajemniczy pacjent bardzo się przejął całą sytuacją, więc wyciąga z szafki wodę mineralną i stawiają na biurku.

- Proszę.

Harding odkręca butelkę trzęsącymi się rękami i wypija połowę kilkoma haustami.

- Proszę mi powiedzieć: jest jakaś szansa, że to ja jestem ojcem tego dziecka?

- Tak. Po badaniu radiologicznym i USG mogę to potwierdzić. Oczywiście większą pewność zyskalibyśmy dzięki badaniu ejakulatu otrzymanego w warunkach jak najbardziej zbliżonych do tych, które...

- Rozumiem, a bez tego badania jak szacuje pani szansę?

- Uważam, że śmiało możemy założyć pół procenta. Przy ujściu jednego z nasieniowodów znajduje się niewielka przetoka i to ona pozwala na przenikanie plemników do ejakulatu. Oczywiście tylko gdy są spełnione warunki mechaniczne, jeśli możemy to tak nazwać.

- Czyli w takiej sytuacji wskaźnik Pearl'a wynosi zero koma pięć?

- Dokładnie tak. Jedna na dwieście kobiet stosujących zabezpieczenie ze wskaźnikiem Pearl'a wynoszącym pięć dziesiątych zajdzie w ciążę w ciągu roku.

- Rozumiem.

- Czy życzy pan sobie, abym sporządziła stosowną opinię na piśmie?

- Tak. Bardzo pani dziękuję za zaangażowanie.

- Raczej sam sobie powinien pan podziękować. Gdyby nie pana upór, z pewnością nie odkrylibyśmy tego sekretu.

- No tak.

- Mogę spytać o coś jeszcze?

- Proszę.

- Czy to dobra wiadomość?

- Nie wiem. - Mężczyzna opuszcza głowę.

- Hm... Będzie dobrze, panie Adamie. Proszę się nie martwić na zapas.

Po kwadransie Harding zabiera dokumenty, żegna się z doktor Plummer i wychodzi z gabinetu. Dopiero na ulicy uświadamia sobie, że wyszedł z kliniki bez płaszcza. Wraca po jasnopopielaty prochowiec, ale nie zakłada go na siebie, gdy ponownie opuszcza biały budynek Fertility Center.

Przysiada na betonowym słupku ogradzającym parking i wspiera czoło o dłonie. Deszcz z szumem opada na głowę, spływa po kosmykach włosów i kapie na marynarkę.

- Boże... Mel... co ja zrobiłem? Dlaczego ci nie uwierzyłem...

Sięga po telefon i wybiera numer swojej przyjaciółki.

- Cześć, to ja - chrypi. - Kate... dzięki, że mnie namówiłaś... Niewiele, pół procenta szansy, ale to więcej niż zero...

Ja pierdolę, no co za pojeb... - Jessica ukradkiem wygląda na zewnątrz zza firanki w sypialni. - Wezwijmy policję. - Erie też jest podenerwowany. Żona obudziła go przed chwilą i powiedziała, że Adam Harding, były facet ich wspólnej przyjaciółki, już od dwóch godzin stoi na chodniku naprzeciwko posesji, - Dzwoniłam...

- I co mówili?

- Powiedzieli, że dopóki nic nie robi, nie mogą interweniować. Podjechał patrol, jakieś pół godziny temu, wylegitymowali go i tyle. - Jessica mówi szeptem, choć to absolutnie nierealne, aby Harding ją usłyszał.

- Co chce?

- Pewnie pogadać. Dzwonił na bramę, ale go nie wpuściłam.

- I co teraz? Może wyjdę i go okrzyczę... - Erie drapie się po włosach, artystycznie zabarwionych na czerwono.

- Przestań. On już zapomniał, że razem piliście piwo. Urwie ci łeb i przemontuje pod pachę. - Jessica zdecydowanie nie wierzy w możliwości małżonka. - Przecież wiesz, jaki to mięśniak.

- Mam! Dzwon po Tytusa!

- To jest myśl, kurwa! Czemu na to nie wpadłam!

Razem zbiegają do salonu. Jessica szybko łączy się ze swoim pracownikiem, który posturą dorównuje Hardingowi, i referuje mu, na czym polega problem.

Wielki ciemnoskóry Francuz przybywa w ciągu pięciu minut. Dwa samochody stoją po przeciwnych stronach ulicy: czarny jak skóra Tytusa SUV Hardinga i niebieski jak oczy Adama nissan oklejony reklamą salonu JESSaBELL.

- Dobra, idę tam... - Jessica szybko zakłada wysokie białe kozaki i narzuca lekki kożuszek. Od rana w New Haven wieje i jest dosyć chłodno.

- Idę z tobą! - Erie też chce uczestniczyć w konfrontacji, ale żona każe mu czuwać przy oknie z telefonem w garści.

- Dobra, czego chcesz? - Pani Swift nie jest w szczególnie gościnnym nastroju.

- Dzień dobry, Jessico. Chciałbym porozmawiać. Proszę. - Harding stara się zachować zimną krew, ale jest mu ciężko ze względu na osobę towarzyszącą.

Tytus wysiadł z samochodu i stoi tuż obok pracodawczynie, gotowy na włączenie do pogawędki swoich mięśni. Żeby dodać sobie powagi, zabrał łamany gryf z klubowej siłowni i wspiera się o długi pręt.

- O czym? Chcesz się zapisać na masaż?

- Nie. Muszę porozmawiać z Me...

- Spierdalaj. - Jessica nie pozwala Adamowi dokończyć i odwraca się na pięcie.

- Jess, proszę... - Harding wyciąga rękę, aby zatrzymać kobietę, ale Tytus jest szybszy.

- Nie rozumiesz, co pani powiedziała? - Chwyta intruza za nadgarstek. - A, już wiem, nie znasz tego słowa. Otóż „spierdalaj” oznacza dokładnie to samo, co „proszę stąd odejść”. Teraz kapujesz?

Jessica z rozbawieniem przygląda się tej krótkiej lekcji angielskiego w wydaniu francuskiego wykładowcy. Adam wrywa dłoń silnym szarpnięciem i cofa się nieco w stronę auta. Wie, że w konfrontacji z gryfem grubości cała żadna z jego kości nie ma szans.

- Jess, bardzo cię proszę... - W oczach mężczyzny coś dziwnie błyszczy.

- Ja pierdolę... Harding, ale o co ci biega? Chłopie, jeszcze ci mało? Narobiłeś tyle syfu w życiu Mel, że powinnam cię zajeść na tym asfalcie. Kurwa! - Jessica tupie ze złością. - Naprawdę lepiej stąd sieprzaj, bo mam na to coraz większą ochotę, a Tytus z pewnością nie odmówi mi pomocy!

- Muszę z nią pogadać. Powiedz... czy ona usunęła ciążę?

- Co?! Chyba cię pojebało? Ty naprawdę masz coś z głową! Kurwa! Jesteś ostatnim człowiekiem, któremu bym to powiedziała. Rozumiesz, palancie?

Adam zaciska pięść i przykładają na chwilę do ust. Gdyby to w czymś pomogło, odgryzłby sobie kciuk, tak bardzo jest zdesperowany.

- Jess, proszę. Wiem, że ona gdzieś wyjechała, byłem w kancelarii. Ja

muszę z nią porozmawiać. Nie pójdę stąd, dopóki nie dasz mi jej adresu i numeru telefonu.

- Możesz tu stać nawet rok. Mam to w dupie. - Pani Swift nie zamierza ustąpić. - Tytus, wracaj do siebie. Poradzę sobie z tym kretynem.

Francuz przez moment zerka to na swoją szefową, to na Hardinga, ale w końcu zabiera gryf i wsiada do samochodu.

- Uwierz, że gdy to będzie konieczne, jestem gotów czekać nawet rok - rzuca Adam, gdy pozycyjne światła nissana nikną na końcu uliczki.

- Co ci odjebało?! Człowieku, prawie pół roku temu kopnąłeś ją w tyłek i teraz nagle spłynęły na ciebie wyrzuty sumienia? Trochę za późno na refleksję! Mel za kilka tygodni rodzi, a ja nie zamierzam pozwolić ci znów wkroczyć w jej życie i rozje- bać tego wszystkiego, co z takim trudem sobie poukładała.

Adam z głośnym westchnieniem ulgi wypuszcza powietrze i na sekundę zamyka oczy, bo już wie, że Melania nie usunęła ciąży. Jessica od razu sobie uświadamia, że się wygadała. Po raz kolejny odwraca się na pięcie i kieruje w stronę bramy wjazdowej. Gdy już tam dociera, dobiegają głos Adama.

- Jess, poczekaj. Wiem, że ona jest we Francji, to tylko kwestia czasu... Znajdę ją!

- Francja jest spora, zejdzcie ci trochę. - Kobieta odwraca się i wybucha szyderczym śmiechem.

- Kocham Mel i będę szukać aż do skutku.

- Przecież cię zdradziła!

- Nie wiem, czy mnie zdradziła.

- Co?! - Patykowata blondynka wybałusza szarobłękitne oczy. - Nie wiesz?! Byłeś tego taki pewien!!! - Jej głos odbija się głośnym echem od murowanych ogrodzeń.

- Ale nie jestem. Powtórnie zrobiłem badania. - Adam stara się mówić na tyle cicho, aby nikt oprócz zainteresowanej go nie słyszał. - Możliwe, że to ja jestem ojcem dziecka Mel.

- Masz na to papier?! Na ile cię znam, pewnie tak?

- Tak, mam dokument i zamierzam po rozwiązaniu wystąpić o ustalenie ojcostwa. Jeśli to moje dziecko, będę chciał uczestniczyć w jego wychowaniu. I dobrze wiesz, że mam do tego niezaprzeczalne prawo.

- Niezaprzeczalnie jesteś gnojem, tyle ci powiem. - Jessica kręci głową. - A teraz spierdalaj.

- Nie. Nie pójdę, dopóki nie dasz mi jej numeru.

Dziewczyna przez sekundę się namyśla, w końcu prychna pod nosem i wchodzi na swoją posesję. Szerokie wrota zasuwają się za nią z cichym szumem silników.

Kolejny marcowy dzień w New Haven bardzo różni się od poprzedniego. Jest ciepło, wiatr ustąpił, a nieśmiałe promienie porannego słońca zachęcają do wyjścia. Jessica sięga po cienki sweterek, opuszcza dom, pokonuje wąską uliczkę i stuka w okno czarnego rangę rovera.

- Cześć, frajerze - rzuca, gdy zaciemniona szybka znika w drzwiach. - Od dzisiaj będę mówić; uparty jak Harding. Twoje nazwisko zostało synonimem osła. Zgłoszę to do Wikipedii. Cieszysz się?

- Dzień dobry, Jess. - Mężczyzna poprawia się na fotelu.

- Chodź. Dostaniesz coś do jedzenia, a potem pogadamy.

- Dziękuję, wystarczy, że pozwolisz mi skorzystać z toalety.

Pół godziny później Adam czuje się znacznie lepiej.

Odświeżył się nieco, zagrzał, zjadł skromne śniadanie i wypił filiżankę mocnej kawy. Siedząc przy kiczowatym stoliku, z konsternacją przygląda się wytworowi bardzo ekscentrycznego artysty. Rzeźba kobiety, którą widzi przez intensywnie czerwoną szybę, jest nieprawdopodobnie wulgarna: rozchylone nogi ukazują idealnie odwzorowaną waginę, ze środka sterczy świecący na biało wibrator.

- Podoba ci się? - Jessica zauważa, gdzie błędzi spojrzenie jej gościa, i parska śmiechem.

- Ciekawe. - Harding podnosi na nią wzrok.

- Też tak myślę. No dobra, pokaż te papierzyska. Mężczyzna wyciąga ekspertyzę doktor Plum mer i wręcza Jessice razem z wynikami poprzednich badań.

- Jess, spróbuj mnie zrozumieć - prosi kilka minut później, gdy już wszystko zostało przez nią przeczytane, i to dwukrotnie. - Nawet ta lekarka na początku stwierdziła, że to praktycznie niemożliwe. Widzisz, zaufanie piękna rzecz i zawsze ufałem Mel, ale w obliczu tak jednoznacznych dowodów polegåm. - Zwiesza głowę, ale gdy jego oczy znów spoczywają na obsceniczej lampce, natychmiast je podnosi i spogląda na przyjaciółkę swojej byłej dziewczyny. - Tym bardziej że miałem powody, Mel mnie okłamała.

- Niby kiedy?

- Wiem, że ona i Vetri znali się wcześniej.

- Jaki, kurwa, Vetri? - Jessica wybałusza oczy. - O kim ty mówisz?

- O tym policjancie... Mel nic ci nie powiedziała? - W głosie słycać niedowierzanie, jednak gdy mężczyzna spostrzega minę rozmówczyni, wie, że jest szczerą. - Vetri to jeden z policjantów, którzy zajmowali się moją sprawą, włamaniem do biura, kradzieżą laptopa i tak dalej. Kojarzysz?

- Tak. Mel kiedyś wspominała, ale co ma pizda do glizdy?

- Mówiła, że znają się jedynie z widzenia, że on kilka razy wypełniał zeznanie podatkowe w jej kancelarii, ale to nieprawda. Widziałem zdjęcie jej i Vetriego, bez wątpienia ta znajomość nie miała wyłącznie służbowego charakteru. Obejmowali się, a fotka była podpisana ich imionami. Kiedyś z pewnością byli parą.

- Czekał! Nic nie rozumiem! Zaraz ocipię. - Jessica chwyta się za czoło. - Jakie, kurwa, zdjęcie? Gdzie je widziałeś? Ona ci pokazała?

- Nie. Zobaczyłem je przez przypadek w dniu aresztowania. Gospodyni Melanii, Helen, znalazła to zdjęcie pod kanapą i przyczepiła do lodówki. Zauważyłem je wtedy, ale nie powiedziałem o tym Mel, a ona też nic nie wyjaśniła. Postanowiłem ją o to spytać, miałem się wrócić, ale chwilę później mnie aresztowali. Resztę już znasz...

- Wiesz co, Harding? Gównu mi wyjaśnię. Przecież powiedziałeś Mel, że to Nicolas zrobił jej dzieciaka, a nie jakiś Betri czy jak mu tam. Ściemniasz, a ja nie mam czasu pierdolić o jakichś zdjęciach. - Dziewczyna podnosi się z sofy. - Nie przekonałeś mnie, czas minął. - Staje z założonymi rękami.

- Przecież Nicolas to imię Vetriego! Nie rozumiesz? Melania naprawdę nic ci nie powiedziała? - Adam też się zrywa. - To on był na tym zdjęciu, poznałem go: brakuje mu połowy palca w lewej dłoni! Teraz już mu przeszczepili, pewnie ze stopy, bo ma dziwny kształt, ale widać to dokładnie.

Jessica opada z powrotem na kanapę.

- To jakieś pierdolone nieporozumienie. Ten Nicolas, o którym ja mówię, ma na nazwisko Muldowney. Muldowneyowie, czyli jego starzy, mieszkali po sąsiedzku z rodziną Mel. Poczekał! Jak wygląda ten twój Betri?

Adam nieśmiało zajmuje swoje miejsce.

- Vetri. Brunet, bardzo ciemne włosy, praktycznie czarne, lekko falują. Niższy ode mnie. Jakieś trzydzieści parę lat, nie wiem dokładnie, ale jak

chcesz, pokażę ci go, bo jakoś trzy lub cztery dni później jego też aresztowali, jeszcze przed pogrzebem szefa Melanii. Na pewno znajdziemy to w necie, bo w „NYT” była krótka wzmianka.

- A zdjęcie? Jak to możliwe, że nie miał palca? Musi być stare!

- To była stara fotka. Moim zdaniem Mel miała może piętnaście lat, na pewno nie więcej.

- O kurwa... teraz rozumiem. - Jessica łapie się za usta. - Ten gnój musiał zmienić nazwisko! Poczekaj. - Podnosi laptopa z wściekle pomarańczowego dywanu. - Vetri Nicolas, policja... - Szybko wklepuje zapytanie do wyszukiwarki. - Ja pierdolę! To rzeczywiście on! To Muldowney!!! - Z przerażeniem wpatruje się w ekran. - Przyskrzynili go za posiadanie narkotyków? Ktoś go podjebał! Dwa funty koki, łał... niezłą imprezę by na tym uszył...

- Uhm... - Adam kiwa głową. Wyraźnie mu ulżyło, bo oddycha spokojniej i nawet sięga do stojącej przed nim miseczki po pralinę.

Jessica kilka razy czyta treść notatki, dokładnie przygląda się fotografii, w końcu zamyka klapę i odkłada komputer na blat. Przez chwilę nad czymś intensywnie myśli i kręci głową, wpatrując się w obrazek przedstawiający ugryzione jabłko.

- Ósma rano, a ja muszę się napić! Ja pierdolę, ale akcja... - Wstaje i wychodzi do kuchni.

Wraca, sącząc przez słomkę wódkę z pomarańczowym sokiem.

- Powiesz mi, o co chodzi z tym gościem? - Harding wpatruje się z napięciem w lekko zarumienioną twarz Jessiki. - Co on jej zrobił?

- Nie ma mowy - pada natychmiastowa odpowiedź. - Nie mogę i nie chcę, i radzę ci: NIGDY nie poruszaj tego tematu z Melanią, jeśli oczywiście ona kiedykolwiek będzie jeszcze z tobą rozmawiać. Posłuchaj, Harding, są takie rzeczy w naszym życiu, w moim, w twoim i każdego człowieka, o których nie chcemy pamiętać, a Mel... - Jessica znów kręci głową. - Nigdy nie wspominaj o tym koleśku! Zapomnij o nim, dobrze ci radzę. Nie wiem, czy ją odzyskasz, Mel jest pamiętliwa... Nie wiem, czy ci wybaczy. Powiedz mi jedno, tylko szczerze: jesteś absolutnie pewny, że to twoje dziecko?

Adam przez chwilę rozważa, co powiedzieć. Wyciąga chusteczkę, przeciera czoło, a potem wkładają do kieszeni. Drżące palce lekko drapią zarośnięty policzek.

- Jess... niczego tak nie pragnę, jak być tego pewnym. - Opuszcza

głowę. - Nie dasz mi tego numeru... - stwierdza z rezygnacją.

- Po co ci on, skoro nie wierzysz, że to twoje dziecko? - Jessica wzrusza ramionami.

- Kocham Mel. Nie mogę o niej zapomnieć. Jestem gotów zrobić wszystko, byleby z nią być, nawet gdyby się okazało, że nie ja jestem ojcem.

Dziewczyna nerwowo huśta nogą, w końcu nie wytrzymuje i sięga po komórkę.

- Dam ci ten numer, ale pod jednym warunkiem.

- Słucham. - Harding nabiera powietrza.

- Ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Przysięgnij, o ile twoje słowo jest coś warte... - Jessica wywraca oczami. - Ja nie powiem nawet Ericowi.

- Przysięgam, że nikt się nie dowie.

- OK. Wpisuj... - dyktuje numer. - Mel jest we Francji, ale to już wiesz. Mieszka w Sainte- Maxime, to niewielkie miasteczko niedaleko Saint-Tropez. Ma tam dom, odziedziczyła po Knepperze. Gdy się spyta, skąd masz numer, musisz

coś ściemnić, zwał na kogoś z jej kancelarii. Ona ciągle z nimi współpracuje.

Adam szybko chowa telefon, jakby się bał, że Jessica mu go zabierze.

- Naprawdę? - Unosi brwi.

- A co cię tak dziwi? Przecież to jej kancelaria.

- No tak. - Mężczyzna parska śmiechem. - Nie pomyślałem.

- Mel ma teraz sporo hajsu. Knepper zapisał jej cały majątek, facet z kasą nie jest już jej potrzebny, ma swoją... - Jessica wykrzywia twarz w ironicznym grymasie.

- I tak nigdy nie chciała mojej. - Adam uśmiecha się blade, gdy przypomina sobie, jak na początku znajomości Melania zwróciła mu honorarium za ekspertyzę.

Potem któregoś straszego dnia po rozstaniu otrzymał na konto ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Poczł się wtedy, jakby dostał w twarz. Na adres biura firmy HAC Melania wysłała skrupulatne wyliczenie: sukienka YSL, zestaw porcelany, noclegi w hotelach, bilety na koncert, rachunki w restauracjach i tak dalej. Jakimś cudem dotarła do tego, ile kosztował ich pobyt w Domu Kar, nie zapomniała nawet o paliwie, które zatankował, gdy jechali do jej rodziców.

- To bardzo dumna dziewczyna - mówi Jessica i cicho wzdycha. -

Dumna, zawzięta i bardzo silna.

- Wiem. - Mężczyzna kiwa głową.

- Dobra, spadaj, Harding, Erie zaraz się obudzi.

Adam podnosi się z kanapy, obszytej tkaniną z wściekle kolorowymi wzorami.

- Dzięki. - Wyciąga rękę.

- Domyślasz się, dlaczego to zrobiłam? - Jessica przez chwilę wpatruje się w oczy swojego gościa, ale w końcu ściska jego dłoń. - I, kurwa, jak znowu dasz dupy...

- Nie dam. Obiecuję.

- Zobaczymy, czy w ogóle będziesz miał okazję. Jak znam Mel... - Lekko unosi brwi. - Będzie ciężko.

- Przeżyję.

- Oby, a teraz wynocha.

Adam opuszcza dom Swiftów. Gdy właścicielka już prawie zamyka drzwi, mężczyzna nagle się odwraca.

- Jess, szczerze... nigdy za tobą nie przepadałem i do dzisiaj się to nie zmieniło, ale chciałem powiedzieć, że jestem ci wdzięczny za to, że byłaś przy niej.

- Harding... - Dziewczyna kręci głową. - Nieprawdopodobny z ciebie palant...

Środek marca. Jest ciepło. Wreszcie. Myślałam, że już się nie doczekam. Od razu chce się żyć, gdy pierwsze, co widzę rano, to promienie słońca nieśmiało prześlizgujące się między półotwartymi okiennicami.

Wstaję po dziewiątej, śniadanie, kawa i zabieram się do pracy. Otwieram przesyłki i przeglądam dokumenty. Później piszę ekspertyzy, odpowiadam na maile z kancelarii, czasami dzwonię, choć to zostawiam na późne popołudnie. W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że tak łatwo mi będzie prowadzić kancelarię na odległość, choć bez pomocy kilku najlepszych współpracowników z pewnością by się nie udało.

Koło trzeciej Tonią podaje obiad, schodzę do jadalni i razem go zjadamy. Niekiedy przyłącza się do nas Lena - miła Słowaczka, która sprząta u mnie trzy razy w tygodniu.

Zaprzyjaźniłam się z Tonią. Lubię ją. Z wyglądu nieodparcie przypomina mi Jennifer Lopez. Portorykanka, niezbyt wysoka, trzydzieści sześć lat, ale wygląda znacznie młodziej, może przez tuszę. Najszczuplejsza nie jest,

gruba też nie. Jak to mówi Jess, „zdrowa emka”; kształtna pupa (spora), biust też niczego sobie, wcięcie w talii, zgrabne nogi. No i twarz: puciołowata, ale śliczna.

Sporo mi o sobie opowiada. Wiem, że od ośmiu lat mieszka we Francji, najpierw w Paryżu, a teraz tutaj. Panna, ma przyjaciela, choć śmieje się, że ma i nie ma jednocześnie. Jej chłopak pracuje jako mechanik na statkach i czasami wybywa nawet na pół roku lub dłużej. Niedawno znów wypłynął, a Tonia musi czekać aż do września. Razem wynajmują kawalerkę w centrum Sainte- Maxime. Teraz stoi pusta, bo moja pomocnica, czyli przyszła niania, pomieszkuje u mnie. Lubię jej towarzystwo, nie jest wścibska, chętnie słucha, ale nigdy o nic nie wypytuje. Tytus się spisał, polecając mija. To prawdziwy skarb: uczciwa, kompetentna, sympatyczna, no i, co ważne, dosyć dobrze zna francuski.

Wraz z Lenką ustawiły dzisiaj na patio niewielki zestaw ogrodowych mebli, który kupiłam w zeszłym tygodniu, i rozkazały wypróbować. Siedzę na jednym z wygodnych foteli, opatulona pledem, i odpoczywam. Już szósta, ale słońce nadal przyjemnie ogrzewa. Nadrabiam braki w lekturze. Bycie w ciąży ma jeden plus: nawet sama sobie nie mogę zarzucić, że się lenię i zamiast pracować albo ćwiczyć - czytam. Jeszcze przez kilka dni będę męczyć *Zapach cedru*. Niełatwa książka, odrywam się co jakiś czas, kładę ją na kolanach i próbuję zrozumieć, jak bardzo można być samotnym, chociaż mieszka się z mężem i dziećmi. Los Materii bardzo mnie porusza. Nawet gdy nie byłam w związku i z nikim się nie spotykałam, nie miałam tak strasznie pustego, wręcz martwego życia. Może teraz takie mam? Przez moment zawisam myślami nad własną egzystencją.

Nagle zaczyna wibrować mój iPhone. Spoglądam na niego leniwie: na ekranie wyświetla się nieznany numer. Odebrać? Wzdycham ciężko, nie chcę przerywać czytania. Natręt odpuszcza, ale po kilku minutach znów nagabuje. Sięgam po aparat.

- Halo? - rzucam standardowe pytanie. Od kiedy tu mieszkam, nie przedstawiam się, gdy odbieram telefony od nieznajomych. - Halo? - Bez odpowiedzi. Cisza, ale chyba ktoś jest po drugiej stronie, bo przez moment słyszę szmer oddechu. - Halo?! Jest tam kto? - mówię nieco głośniej, choć w zasadzie mam zamiar się rozłączyć.

- Halo... Tu Adam - w słuchawce wybrzmiewa niski głos. - Witaj, Mel...

To jakiś kompletnie głupi, bezwarunkowy odruch: natychmiast przyciskam telefon do serca. Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że on z

pewnością je słyszy... Głośnie i tętniące głęboko jak serce dzwonu.

Rozłączam rozmowę, kładę komórkę na blacie i salwuję się ucieczką. Wpadam do domu, biegnę na piętro, zapominając o tym, że powinnam na siebie uważać, jeszcze tylko drzwi do sypialni i już mogę się schronić. Siadam na łóżku i zwijam się w kłębek.

- Boże! Boże... - Zagryzam palce aż do bólu. – Dlaczego mi to robisz?

Pierwsze łzy przecierają szlaki na mojej twarzy, turlają się po rozpalonej skórze i spadają gdzieś na piersi, unoszone gwałtownym oddechem. Nie wiem, ile czasu tkwię tak skulona. Na pewno dosyć długo, bo gdy Tonia delikatnie puka do drzwi sypialni, leżę przykryta kołdrą i już nie płaczę.

Wchodzi do pokoju, trzymając w dłoni mój telefon.

- Mel, wszystko w porządku?

- Uhm... - Kiwam głową. - Leżałam. Kręgosłup mi troszkę dokucza.

Przesadziłam z siedzeniem przed kompem.

- Boli? - Tonia podchodzi bliżej.

- Nie. Przeszło.

- Zapomniałaś zabrać komórkę. Usłyszałam dzwonek. - Kładzie aparat obok mnie.

- OK. Dzięki.

- Zjesz kolację?

- Tonia, może później. Za godzinę? - Zerkam na nią, starając się uśmiechnąć. - Nie jestem głodna.

- Dobrze. Jakbyś mnie potrzebowała, jestem na dole. Zadzwoń - chichocze i wychodzi.

Z przerażeniem patrzę na odbezpieczony granat, w końcu sięgam po niego drżącą dłonią. Dwie próby połączenia i SMS. Otwieram wiadomość...

Melson? Chryste, która jest u ciebie? - Czwarta.

- Nie powinnaś spać o tej porze?

- Powinnam - rzucam przez zaciśnięte zęby.

- To co się stało?

- Wyobraź sobie, że Harding się ze mną skontaktował - mówię i znów z niedowierzaniem zerkam na kilkanaście wydrukowanych dokumentów rozsypanych wokół. Niestety, to nie sen. One istnieją naprawdę, tak samo jak ja, moje łóżko, na którym teraz siedzę, laptop leżący tuż obok czy iPhone trzymany w dłoni.

- Co chciał?

Nie wiem dlaczego, ale w głosie przyjaciółki nie słyszę jakiegoś

szczególnego zaskoczenia. Przez ułamek sekundy myślę, co jest grane, jednak nie mam teraz czasu na dywagacje.

- Jess, chyba mnie rozpiardoli!
- Spokojnie, co jest? Dzwonił?
- Dzwonił. Swoją drogą, ciekawe, skąd ma numer.
- Pewnie ktoś z kancelarii chlapnął.
- Może.
- No dobra, mów, co chciał.
- Nie gadałam z nim. Jak tylko się odezwał, rozłączyłam rozmowę.
- I co dalej?
- Kurwa. - Lekko uderzam pięścią w plik kartek. - Wysłał mi wiadomość z załącznikami. Jakieś pierdolone badania, że nie jest do końca bezpłodny, zajebiste pisemko od adwokata z informacjami, jakie ma prawa jako potencjalny ojciec i tak dalej, plus propozycja ugody.
- Ups. Sprawdziłaś to? Te prawa?
- Noż kurwa! Chyba mnie znasz?! Sprawdziłam! Dzwoniłam nawet do kumpla, siedzi w kodeksie rodzinnym lepiej niż ja w podatkowym! Wszystko obgadaliśmy, włącznie z opcją, że wrócę do Stanów, ale to jeszcze większy kanał niż tu.
- I co teraz?
- Nie wiem. - Masuję skórę na czole, zdrętwiałą od kilkugodzinnego marszczenia. - Wiesz, jak wygląda opieka naprzemienna. Zabierze mi dziecko... - Zagryzam kącik ust, bo znów mam ochotę się rozplakać.
- A co z tą jego sprawą? Wiesz, z podejrzeniami o pedofilię?
- Już dawno oczyścili go z zarzutów, choć do dzisiaj trwa wyjaśnianie, kto za tym stał.
- Skąd wiesz?
- Wysłał mi skany orzeczenia sądu. Wszystkie tropy były sfalszowane, a materiały dotyczące dzieci zostały umieszczone na dysku twardym kilka dni po kradzieży.
- Uhm, czyli Harding jest czysty jak łąza?
- Tak. - Odruchowo kiwam głową. - Jakiś miesiąc temu uprawomocnił się ostateczny wyrok, dopiero wtedy Adam mógł opuścić Amerykę. Pewnie od razu poleciał do siostry, bo te dodatkowe badania robił w Londynie.
- To chyba dobrze?
- Kurwa! Co w tym dobrego? - Nie mogę zrozumieć.
- Że z tą pedofilią się wyjaśniło.

- A, tak!

Rzeczywiście: fala ulgi, która spłynęła po przeczytaniu sądowych dokumentów, prawie mnie zatopiła. Rozmyślałam o tych zarzutach przez długie tygodnie i choć im dłużej je analizowałam, tym słabiej w nie wierzyłam, gdzieś w głębi serca cichy głosik nie pozwalał zapomnieć. Próbowałam śledzić przebieg sprawy, szukałam informacji w sieci, ale nie znalazłam ani jednej wzmianki. Widocznie Morris bardzo skutecznie zadbał o swojego klienta i nie pozwolił na jakiegokolwiek przecieki.

- Jaka propozycja? - Jessica sprowadza mnie na ziemię.

- Po urodzeniu dziecka chce zrobić test na ojcostwo i jeśli się okaże, że to jego potomek, a na sto procent się okaże, zamierza tu gdzieś blisko zamieszkać i... - Zaciskam pięści. - Ja pierdolę, ale mnie załatwił - wzdycham bezradnie. - Chce się spotkać. Ja nie wiem, czy to wytrzymam...

- Wytrzymasz.

- Nie wiem. Och, Jess, jak sobie pomyślę, że znów go zobaczę...

- Nie płacz, Melson, proszę, bo ja też zacznę beczeć! Kurwa!

Zakrywam usta. W gardle rośnie klucha, przełykam ją, ale nie znika, robi się coraz większa i większa.

- Może najpierw zadzwonię? - pytam po dłuższej chwili. - Jak myślisz?

- To chyba dobry pomysł. Później będzie ci łatwiej.

- OK. Tak zrobię, i to zaraz!

- Jak uważasz.

- Tak uważam. Dość tego rozmemłania. - I tak trzymaj.

- Dzięki, Jess.

- Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie - Adam nerwowo bawi się łyżeczką, ściska w zbiegających opuszkach palców walcowaty trzonek, jakby chciał go przełamać.

Zauważam jego starania. Tak jak ja, robi wszystko, żeby zachować zimną krew, ale oboje mamy z tym problem. Choć zażyłam coś na uspokojenie, nie mogę opanować drżenia rąk, gdy widzę krople potu na czole mojego gościa. „Zgodziłam się? A miałam inne wyjście, panie Harding? Obrzydliwie pewny siebie dupku, którego ciągle i beznadziejnie kocham?” Przełykam ślinę i skupiam wzrok na białej nitce wystającej spod brzegu rękawa sukienki. Wkurza mnie, chcę ją urwać, ale tkwi bardzo mocno.

- Nie ma problemu. Gdzie się zatrzymałeś? - rzucam po chwili

bezowocnych prób.

- W Nicei.

Odważam się na niego popatrzeć. „Boże... Dlaczego jest taki piękny?” Dotykam spojrzeniem wszystkiego, co tak bardzo mnie pociągało: kształtnych dłoni, umięśnionych rąk, nasyconych krwią warg. „Pocałuj mnie...” - znów słyszę słowa, które padły, gdy pierwszy raz znalazłam się w jego ramionach. Ukradkiem szczypię się w udo. „Opanuj się, kobieto!”

- Uhm.

- Mel... anio, jestem wdzięczny, że możemy dzisiaj...

- Już to mówiłeś - nie pozwalam mu skończyć.

- No tak. - Adam wrzuca łyżeczkę do pustej filiżanki. Trochę mi lepiej, gdy widzę, że dla niego to wszystko jest równie trudne. Nie mam pojęcia, co do mnie czuje, ale z pewnością nie jestem mu obojętna. Powietrze między nami aż brzęczy z napięcia. - Chciałem podziękować za to, że pozwoliłaś mi na udział w wychowaniu dziecka. Trochę się u mnie pozmieniało, zatrudniłem starą znajomą ze studiów. Właśnie jestem w trakcie przekazywania jej moich obowiązków w nowojorskiej filii. Tu, w Europie też obsadziłem biuro nowym pracownikiem, to bardzo kompetentny facet, zna się na rzeczy, bo...

- Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to obchodzi - znów mu przerywam.

Dla wzmocnienia przekazu wruszam ramionami, ale aż skręcam się z wewnętrznego bólu. Biuro Adama kojarzy mi się jedynie z pamiętną rozmową telefoniczną, z tym, co zrobiłam dla niego, i z nagraniem, które... Gdy o tym myślę, kolejny raz oblewa mnie fala wstydu i upokorzenia.

- Masz rację. Przepraszam, że zawracam ci głowę moimi sprawami. Do rzeczy: nie obiecuję złotych gór, lecz postaram się znacznie ograniczyć wyjazdy. Zwłaszcza w ciągu pierwszych sześciu miesięcy. Zamierzam wynająć jakiś niewielki apartament blisko twojego domu i jeśli się zgodzisz, mógłbym codziennie was odwiedzać, pomóc ci w opiece nad synkiem.

- Zbytek łaski. - Odwracam wzrok i przez dłuższą chwilę przyglądam się grupce robotników, którzy właśnie zbierają swoje manatki z trawnika. To nowa ekipa, odnawiają ogrodenie i bramę wjazdową. „Ciekawe, czy nas słyszą...” - zastanawiam się przez moment, ale szybko do mnie dociera, że najprawdopodobniej żaden z nich nie zna angielskiego.

- Chcę, żeby miał moje nazwisko.

- Co? - Natychmiast skupiam wzrok na Adamie.

- Będzie się nazywał Harding. Imię nie ma dla mnie znaczenia.

- Nie! - Kręcę głową. - W szpitalu podam: „ojciec nieznany”, tak się umówiliśmy. Zapomniałeś? - Zrywam się z ratanowego krzeselka. - Rozmawialiśmy o tym, to przecież twoja propozycja!

„Zaczyna się! Wiedziałam! Czułam, że będziesz chciał je zawłaszczyć! To moje dziecko!!! Nie chciałeś nas, nie chciałeś...” Odwracam się, żeby go nie widzieć, i zaciskam powieki w bezsilnej próbie powstrzymania emocji.

- Nalegam. - Kiedy za moimi plecami wybrzmiewa lodowaty głos, natychmiast stygnę.

- Nie ma mowy. - Znów mam siłę, aby spojrzeć mu w twarz. - Przecież nie jesteś pewny, że to twoje dziecko, więc skąd taka zmiana? Zamierzałeś zrobić badania genetyczne, z tego też się wycofujesz?!

- Tak. Wycofuję. - Adam bierze głęboki oddech.

- Dlaczego?

- To moja decyzja i nic ci do tego.

- Nic mi do tego? Jesteś... - Zagryzam wargi, żeby się nie rozplakać. - Skoro zaocznie uznajesz mojego syna za swojego, powinieneś iść za ciosem i się ze mną ożenić – stwierdzam z goryczą. - W końcu jestem jego matką.

Widzę, jak Adam zastyga w bezruchu. Pewnie inaczej wyobrażał sobie tę rozmowę. Znów drga mu lewy policzek. Pociera go, nie spuszczając ze mnie błękitnych oczu. Z satysfakcją się temu przyglądam.

- To twój warunek? - mówi po dłuższej chwili.

- A jeśli tak? - pytam i parskam śmiechem. - Widzę, że zależy ci na wolności bardziej, niż myślałam.

Mój gość zaciska zęby, żyłka na czole pulsuje coraz mocniej. - Ożenię się z tobą. Jestem odpowiedzialnym człowiekiem. Znasz mnie.

- Odpowiedzialnym... - Kiwam głową. Znów ogarnia mnie przygnębienie, nie tak wyobrażałam sobie oświadczyzny, jeśli deklarację Adama można nazwać w ten sposób. - W dupie mam twoją pieprzoną odpowiedzialność! Poradzę sobie bez niej tak samo dobrze jak bez ciebie, ale zgoda! Niech będzie: ślub i twoje nazwisko, oczywiście wyłącznie dla dziecka, ja zostaję przy swoim.

Dlaczego się zgodziłam? Natychmiast mam ochotę to odwołać, już otwieram usta, ale wtedy w moich uszach jak podszept diabła wybrzmiewa głos mamy: „Pierwszy bękart w rodzinie Duvallów!”. Zaciskam wargi. Nie. Nic nie odwołam.

Mimo wszystko to kuszące: mieć Hardinga za męża. Wiem, że ślub nas

zwiąże, choć to tylko zwykły papierek, a przy okazji utrę nosa paru osobom.

- Usiądź. - Adam zerka na mój wydatny brzuch, okryty jedynie cieniutką bawełną. - Nie powinnaś za długo stać.

Tak czule to mówi, że znów ogarnia mnie wzruszenie. Nie mogę znieść nadmiaru emocji, biorę głęboki oddech.

- Nie mów mi, co powinnam, a czego nie. Nigdy mi tego nie mów - syczę przez zaciśnięte z bólu zęby. - Rozumiesz? Już nigdy... - Przyciskam dłonie do oczu. Chce mi się płakać, wyć z rozpacz, że nasz związek już przestał istnieć. Nie pozostało nic oprócz naszego dziecka, jedynej masy spadkowej po wielkiej miłości.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Wszystko w porządku?

Słyszę, że wstaje i podchodzi blisko. Zbyt blisko. Czuję znajomy zapach, ciepło oddechu muska skórę czoła. Przez ułamek sekundy mój wywinięty pępek styka się lekko z podbrzuszem Adama. „Błagam, niech ktoś go stąd zabierze...” - modlę się o ratunek. Otwieram oczy. Trudno. Przegrałam. Ułamki sekund dzielą mnie od wtulenia się w opiekuńcze ramiona, tak bardzo za nimi tęsknię...

- Mel!

Natychmiast się obracam. „Bogu dzięki, że nam przeszkodziłaś” - wzdycham w duchu. To Antonia. Sprawdza, czy wszystko w porządku. Wisi z okna i spogląda z niepokojem.

- Już idę! - Macham do niej.

- Mel, poczekaj... - Adam łapie mnie za rękę.

- Nie mów do mnie tak. Prosiłam. - Spuszczam wzrok na jego dłoń. - Puść.

- Przepraszam, Melanio.

- Czego jeszcze chcesz? Jestem zmęczona. - Zagryzam wargi.

- Gdzie i kiedy to załatwimy? - Co?

- Ślub. - Wzrusza ramionami.

- Mówisz o kontrakcie cywilnym? - Od razu się uśmiecham. - Byle gdzie. Dla mojej przyjemności możemy podpisać go nawet tam. - Wskazuję brodą domek, w którym znajdują się narzędzia ogrodnicze.

- W porządku. Zaraz zadzwonię do Morrisa, niech się wszystkim zajmie.

- OK! - rzucam z przekąsem. - Na ile osób planuje pan przyjęcie, panie Harding? Sto? A może dwieście?

- Dlaczego tak się zachowujesz? - Widzę, jak odruchowo zaciska pięści.

- Wiesz dlaczego. - Odwracam się na pięcie i wolno odchodzę w kierunku domu.

- Słucham. - Melania odbiera telefon, siedząc w swoim ulubionym fotelu.

Jest słonecznie. Rozgrzane powietrze odbija się od płytek na niewielkim patio przy południowej ścianie domu. Antonia przed chwilą przetarła je mopem i teraz z ciemnobrązowej terakoty delikatnie unosi się para.

- Dzień dobry, Melanio. - Głos w słuchawce brzmi oficjalnie jak u urzędnika.

- Dzień dobry, Adamie.

- Czy zapoznałaś się z moją propozycją?

- Tak.

- Masz jakieś wnioski?

- Formalnie w porządku. Mój prawnik nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, aleja mam kilka uwag.

- Tak? Coś budzi twoje wątpliwości?

- Pierwsza kwestia: punkt trzydziesty ósmy, mówiący o alimentach dla mnie w przypadku rozwodu. - Panna Duvall trzyma na kolanach kopię umowy, pokreślona tu i ówdzie jaskrawożółtym flamastrem.

- Co dokładnie masz na myśli? Kwota cię nie zadowala?

- Tak.

- Co proponujesz?

- Zero. Nie chcę twojej kasy.

- Mel...

- ...anio - dopowiada kobieta, wyraźnie akcentując końcówkę imienia. - Nie ma dyskusji. Nie zamierzam kiedykolwiek zostać twoją utrzymanką.

- Dobrze.

- Punkty czterdziesty drugi: nie zgadzam się na żadne rekompensaty po rozwodzie. Punkt czterdziesty trzeci: nie zgadzam się na bycie uposażoną z twojej polisy na życie. Możesz to scedować na siostrę... - Melania wymienia po kolei wszystkie zapisy, za sprawą których miałyby kiedykolwiek skorzystać z majątku przyszłego męża.

- To już wszystko? - pyta Harding po wysłuchaniu w miarę krótkiej litanii.

- Tak. Reszta jak najbardziej mi odpowiada.

- A fundusz powierniczy dla dziecka?

- Akceptuję, ja też założę odrębny.

- Dobrze. Dzisiaj Morris wyśle ci poprawioną umowę.

- OK. - Kobieta z dziką satysfakcją posługuje się swoim ulubionym zwrotem, który niecały rok temu znajdował się na liście słów zakazanych. - To już załatwiłmy. Mam jeszcze prywatną uwagę, a raczej prośbę.

- Słucham cię. - Głos mężczyzny brzmi głucho i beznamiętnie.

- Jak się na pewno domyślasz, nie będę z tobą sypiać. Jesteś młodym mężczyzną... - Melania nerwowo zagina i rozgina róg kartki. - Masz swoje potrzeby i nie zamierzam w żaden sposób cię ograniczać, proszę jedynie, abys zachowywał się dyskretnie. Ja ze swojej strony obiecuję ci to samo.

- Otwarte małżeństwo?

- Tak.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

- Adam? Słyszysz mnie? - Panna Duvall podnosi się na moment z fotela.

- Tak. Powiedz mi jedno: po co ci ten ślub? - Harding jest zdruzgotany postawą swojej narzeczonej.

- Nie chcę, żeby mój syn był bękartem z cudzym nazwiskiem.

- Tylko tyle?

- Tak.

- Dobrze. Zgadzam się na ten warunek. Czy coś jeszcze cię niepokoi?

- Nie.

- Mogę spytać, jak samopoczucie?

- Świetnie. Byłam dzisiaj u doktora Desplechina, zbadał mnie i wszystko jest w porządku.

- A co u Toni?

- Rewelacyjnie, choć nie mogę z niej wyplenić nawyku wiecznego sprzątanania wszystkiego, co tylko możliwe. Mam nadzieję, że jak pojawi się dziecko, wreszcie da sobie spokój i pozwoli innym się wykazać. - Melania parska śmiechem.

- To świetnie. Nie będę ci już dłużej przeszkadzał. Co do szczegółów, porozmawiamy w czwartek. Gdyby się coś działo, daj mi znać, proszę.

- Oczywiście.

- Do usłyszenia, Melanio.

- Do usłyszenia, Adamie.

Panna Duvall odkłada aparat na blat ogrodowego stoliczka. „Otwarte małżeństwo...” - słowa Hardinga dudnią jej w uszach. Gdy nagle wyobraża sobie przyszłego męża w objęciach innej kobiety, czuje, że popełniła błąd.

- Ale co mogłam powiedzieć? - szepcze do siebie. – Co mogłam powiedzieć...

Dwadzieścia minut, tyle ma trwać mój ślub. Obecni: Michel Vial - mer miasta Sainte- Maxime, Vincent le Bihan - drugi urzędnik merostwa i jednocześnie tłumacz przysięgły, Jessica Swift - świadek panny młodej, Roy Morris - reprezentujący pana młodego i my, czyli obecnie dwójka całkiem obcych sobie ludzi zawierających cywilny kontrakt.

Siadamy w sporej salce, zajmujemy jedynie kilka krzeseł w pierwszym rzędzie. Przez całą uroczystość staram się myśleć o wszystkim, o czym tylko się da: wpatruję się w trójkolorowe szarfy obu Francuzów (gdyby nie byli tacy starzy, wyglądaliby w nich jak kandydaci na mistera Francji), podziwiam dwie kompozycje z żywych kwiatów, które ktoś ustawił po bokach kontuaru, planuję rozkład mebli w pokoju Maksymiliana, przypominam sobie, co jeszcze powinnam kupić, aby jego garderoba była kompletna, zastanawiam się nad tym, czy jutro będzie równie ciepło jak dzisiaj... Dziesiątki myśli leniwie snują się po głowie.

Mer czyta coś po francusku, rozumiem może co dziesiąte słowo. .. To i tak niezły wynik jak na półroczny pobyt w tym miejscu i mój antytalent do języków. Później to samo po angielsku przedstawia Vincent le Bihan. Jeszcze tylko treść umowy przedślubnej (przydługa i dosyć szczegółowa intercyza), króciutka (na szczęście) przysięga z cynicznym zakończeniem, że zrobimy wszystko, żeby nasz związek był szczęśliwy i trwały - i koniec.

Jess i Roy właśnie podpisują dokumenty. Opuszczam wzrok na brzuch, pod cienką, dżersejową tkaniną odznacza się wywinięty na zewnątrz pępek. To takie niesamowite, mieć kogoś we własnym wnętrzu. Mój synek chyba postanowił poćwiczyć, jego maleńka stopka (bo to chyba stopka?) przesuwana się właśnie pod napiętą do granic możliwości skórą. Jeszcze dwa tygodnie i zobaczę go na własne oczy.

- Uch... - z ust wrywa mi się ciche stęknienie. Dziecko trafiło w żołądek. Od razu pojawia się lekka fala mdłości.

- Wszystko w porządku? - Adam nachyla się i z troską chwyta mnie za rękę.

- Tak. - Wyrwam ją natychmiast.

Nawet na niego nie patrzę, wiem, co bym zobaczyła; spojrzenie zbitego psa i zaciśnięte do białości wargi. Kiedyś zrobiłoby to na mnie wrażenie, ale nie teraz. Za późno. Na *status quo ante bellum** mój (już!!!) mąż nie ma co

liczyć.

- Gratuluję! - Monsieur le Bihan podchodzi i ściska nasze dłonie. - Od teraz jesteście państwem małżeństwem. A to drobny upominek od urzędników merostwa. - Wręcza nam niewielkie pudełeczko owinięte ozdobnym papierem. - Proszę uważać, w środku są filiżanki.

- Dziękujemy. - Adam podaje kartonik Morrisowi.

Zdejmuję obrączkę, ledwie opuszczamy budynek. Chowam ją do torebki, bardzo ostentacyjnie, z nadzieją, że mój szanowny mąż zauważy ten manewr. To moja zapłata za jego czuły gest, na który pozwolił sobie w trakcie ceremonii.

- Uśmiech proszę...

Wykrzywiam usta w nieokreślonym grymasie, gdy Roy cyka nam kilka fotek małą lustrzanką.

Adam żegna się ze swoim prawnikiem, a potem wsiadamy do taksówki, która wiezie nas prosto do mojego domu. Po drodze nie pada ani jedno słowo, jedynie Jessica ściska moją rękę i podaje mi chusteczkę, gdy zauważy, że się rozplakałam.

- Możesz ze mną побыć? - proszę ją cicho, gdy tylko wysiadamy z samochodu.

- Jasne.

Wchodzimy razem do domu i skrywamy się w mojej sypialni. Siadamy na miękkich poduszkach w wykuszu okna. Opieram czoło o rozgrzaną szybę i nagle zauważam Adama. Spaceruje przy brzegu

* (łac.) Przedwojenny stan rzeczy - zasada prawa międzynarodowego, zgodnie z którą strony kończące konflikt zbrojny zgadzają się na powrót do stanu posiadania sprzed jego rozpoczęcia.

basenu, rozmawiając przez telefon. Wygląda zachwycająco w eleganckim, dopasowanym garniturze z jakiejś ciemnogrnatowej tkaniny z lekkim połyskiem. Do tego założył koszulę w ciepłym odcieniu bieli oraz identyczny krawat. Mój mąż naprawdę jest niewiarygodnie przystojny i ciągle robi na mnie wrażenie. Nie mogę tego znieść, odwracam głowę.

- Jess, tak mi źle. - Przytulam się do ramienia przyjaciółki. - Żałuję, że to zrobiłam. To była najgorsza chwila w moim życiu. - Dławię się ciągle płynącymi łzami. - Na początku było nieźle, ale później, z minuty na minutę... I jeszcze te filiżanki...

- Mel, spokojnie. - Jessica głaszcze mnie po ręce, ale to nie pomaga. - Nie płacz, bo coś ci się stanie. Pomyśl o tym.

- Czy ja jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa?
- Nie wiem. Pewnie tak. Każdy prędzej czy później jest szczęśliwy, choć niektórzy czekają na ten moment dosyć długo. - Jess chyba nie zamierza się nade mną użalać. Podoba mi się takie zachowanie, lepsze to niż fałszywa litość.
- Powiedz mi prawdę, uważasz, że głupio postąpiłam, biorąc udział w tej farsie? - Spoglądam z nadzieją, że nie zaprzeczy.
- Mel, będę szczerą. Najwyżej wypierdolisz mnie z domu i swojego życia, ale i tak zaryzykuję. - Wzrusza ramionami. - Wiem, co on ci zrobił, ale tylko głupiec by nie zauważył, że ten facet kocha cię nad życie. Ja dałabym mu szansę. Rozważ to, dobrze?
- Nie potrafię, - Zagryzam wargi. - Nie potrafię zapomnieć.
- Nie chcesz. Czasami nie warto rozpamiętywać krzywd. Lepiej o nich zapomnieć i iść dalej, w przeciwnym razie zatrują cię jak arsenik dodawany po kropelce do każdego posiłku. Dlaczego tak się katujesz? Wytłumacz mi? Melson, nie chcę cię stracić, jesteś moją jedyną przyjaciółką.
- Jestem masochistką. - Parskam śmiechem, wyznając jej tak skrzętnie ukrywaną prawdę.
- Najwidoczniej. Kiedy on wyjeżdża?
- Nie wiem, chyba dzisiaj wieczorem. Z tego, co mówił, w poniedziałek znów ma być w Kansas. Kupił tam jakieś pola. - Bawię się zwiniętą w kulkę chusteczką higieniczną. - Ma załatwić interesy i wrócić pod koniec przyszłego tygodnia.
- Nie chcesz się położyć? Jakoś marnie się prezentujesz, mamusiu.
- Nie. I tak bym nie zasnęła. Muszę tylko zdjąć tę idiotyczną sukienkę. - Przeciągam dłonią po ażurowej dzianinie opinającej mój brzuch. - Boże, ależ jestem ogromna.
- Co ty pieprzysz? Przytyłaś tylko piętnaście funtów i masz mikroskopijny brzuszek. Nawet rozstępy ci się nie zrobiły!
- Poczekaj, jeszcze czternaście dni, mogę postrzelać.
- Nie powiem Ericowi. Załamałby się, ale ja też uważam, że ta kiecka jest kretyńska. - Jess zaczyna chichotać. - Wyglądasz jak dziecko z wodobrzuszem.
- Dzięki, naprawdę jesteś miła. - Podnoszę się ociężale i nagle... - Jess! - Czuję paraliżujący ból w dole brzucha, od razu zginam się w pół. Próbuję zaczerpnąć powietrza, ale skurcz jest tak silny, że nie mogę.

Zaciskam powieki i koncentruję się na tym, żeby go przetrwać.

- Mel?! Ja pierdolę, co się dzieje! Mel? Co jest? - Jessica wpada w panikę. Słyszę to w jej głosie. - Ty chyba rodzisz! Kurwa, kurwa, kurwa!

Na chwilę przechodzi, biorę głęboki wdech i otwieram oczy. Pierwsze, co widzę, to kałuża między nogami.

- Adam!!! - wrzeszczy Jess za moimi plecami. Pewnie uchyliła okno, bo na karku wyczuwam lekki powiew wiatru. - Chodź tu natychmiast!!!

- Nie wołaj go - skamle cicho, ale ona chyba nie słyszy.

Nie chcę, żeby zobaczył mnie w takim stanie, bezbronną i zdaną na łaskę innych. Nie tak miało być, termin wypadł za dwa tygodnie. Miałam rodzić z Tonią, bo ona zna francuski.

Gdy drzwi do sypialni gwałtownie się otwierają, natychmiast zamykam oczy...

Co się dzieje?! - Harding dopada do swojej świeżo poślubionej małżonki, by ją podtrzymać.

- Kurwa! Zaczęło się! Nie widzisz? - Jessica pokazuje mu wielką plamę na kremowym dywanie.

- Dzwon po pomoc! Telefon mam w tylnej kieszeni spodni - rzuca Adam przez zaciśnięte z nerwów zęby. - Sto dwanaście!

- Jak mam z nimi gadać, nie znam tego pierdolonego języka! - Jess trzyma w dłoniach jego komórkę i próbuje wybrać numer alarmowy.

- Wykręć, ja będę gadał!

- OK, OK, już... Kurwa mać, pieprzone żabojady z ich pojebanym językiem... - Jessica chyba zapomniała, że uwielbia Francję i jej rdzennych mieszkańców.

- Daj! - Adam wyrywa jej telefon, lewym ramieniem cały czas podtrzymując Melanię.

Przez kilka sekund nic się nie dzieje, na szczęście dość szybko ktoś się zgłasza. Harding referuje wszystko piękną, podręcznikową francuszczyzną, odpowiada na pytania o wiek rodzącej i adres.

- Zaraz będą. - Wsuwa aparat do kieszeni. - Spokojnie, Mel, nie denerwuj się... Tylko spokojnie. Zniosę cię na dół.

Ostrożnie bierze żonę na rękę i wychodzi z sypialni.

- Zadzwoń po Tonie, musi ze mną jechać... - prosi Melania załamującym się głosem, kiedy już docierają do saloniku.

Mąż układają na sofie i sięga po komórkę, ale zanim zdąży wybrać numer, pod bramę posesji zajeżdża ambulans. Głośny sygnał odbija się

od wysokiego ogrodzenia.

- Leć im otwórz! - rzuca szybko Adam.

Jessica wybiega z domu z prędkością światła.

- Zadzwoń po Tonie! - Melania ponawia prośbę, gdy tylko zostaje sama z mężem.

Harding natychmiast sięga po aparat.

- Wyłączyła telefon - stwierdza po krótkiej chwili. - I co teraz? - Mel jest przerażona.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

- Mogę jechać z wami? - Adam bezradnie przygląda się ratownikom układającym jego żonę na noszach.

- Kim pan jest dla pacjentki? - pyta jeden z dwóch młodych mężczyzn, ubranych w idealnie białe koszule i spodnie, nie podnosząc wzroku. Jest skupiony na Melanii, którą właśnie okrywa folią termoizolacyjną.

- Mężem. Dzisiaj wzięliśmy ślub.

- Jak się pani czuje? - Ratownik spogląda na pokrytą kroplami potu twarz rodzącej.

Melania nie odpowiada, zamknęła oczy i nawet nie wie, że ktoś zadał jej pytanie.

- Żona nie zna francuskiego. Jest Amerykanką.

- Kto prowadzi ciężę?

- Doktor Desplechin z tutejszego szpitala.

- Zadzwoń po Tonie... - znów prosi Mel.

- Ma wyłączony telefon, mówiłem ci, skarbie. Jess pojechała do jej mieszkania. Pewnie zaraz tu będą - tłumaczy Adam, starając się brzmieć jak najłagodniej.

- Obawiam się, że będziemy musieli pana zabrać ze sobą, żeby mieć kontakt z rodzącą. Jakoś się ściśniemy. Proszę przekazać żonie, że zabieramy ją na oddział. - Ratownik poprawia folię, która zsunęła się z drżących nóg pacjentki.

- Mel, słyszysz mnie? - Adam chwytają za rękę. - Jedziemy do szpitala.

- Uhm... - Melania ciężko wzdycha. - Zadzwoń po... Głowa bezwładnie opada na bok.

- Co jest grane?!

- Proszę się odsunąć.

Ratownik nachyla się nad kobietą. Przez chwilę świeci jej w oczy latareczką zawieszoną na długiej tasiemce.

- Straciła przytomność - stwierdza.
- Chryste! - Harding przykładła dłonie do ust.
- Proszę się nie denerwować. Już jedziemy. Nosze z terkotem pokonują drogę do ambulansu.

Ktoś mnie podnosi, przez moment zawisam w powietrzu, a potem czuję pod plecami miękki materac.

- Co się dzieje? - rzucam w eter.
- Nic. Wszystko będzie dobrze - słyszę znajomy głos. Ciepła dłoń dotyka czoła i głaszczę po policzku. To takie przyjemne.

„Adam? Co on tu robi? Och, to pewnie sen, dlatego tu jest...”

Jakaś kobieta rozmawia z nim po francusku, a potem ktoś obraca mnie na bok, podnosi moją sukienkę i odsłania plecy. Wzdrygam się, czując na spoconej skórze chłodne powietrze.

- Nie bój się, leż spokojnie.
- Co mi zrobisz?
- Ja nic. Lekarz poda ci znieczulenie.
- Jakie znieczulenie? - Nie potrafię zrozumieć, co się dzieje-
- Rodzisz. Odeszły ci wody. Zrobią cesarkę i muszą podać ci znieczulenie.

- Co?! - Natychmiast przytomnieję i otwieram oczy. Widzę twarz Adama i od razu wszystko sobie przypominam. - Co tu robisz? Gdzie jest Tonia? Co się ze mną dzieje?! - Próbuje się podnieść, ale nie mam siły.

Tajemnicza kobieta, którą słyszę za plecami, znów coś mówi. To kilka słów, ale wypowiedzianych dobitnym tonem. Rozumiem jedynie: „Proszę powiedzieć żonie...”.

- Posłuchaj, nie możesz się teraz wiercić. Wkłąją się ze znieczuleniem.
- Po co mi to robią? Będzie bolało? - Jestem przerażona.
- Dziecko się obróciło i muszą zrobić cesarskie cięcie. Nie będzie bolało, nie bój się. Jestem przy tobie. - Adam przysuwa twarz tak blisko, że czuję zapach jego skóry i oddechu.
- Boję się. - Zagryzam wargi. - Gdzie jest Tonia? - Przecież to z nią miałam rodzić!
- Wyjechała z miasta.
- Chcę, żeby tu była... - Zaciskam powieki. Wolalabym, żeby Adam nie asystował przy porodzie, nie widział mnie w takim stanie.
- Wróci dopiero jutro.

- Zostaw mnie samą. - Ciągle nie otwieram oczu. - Poradzę sobie. Idź stąd.

- Nie. Nikt z tych ludzi nie mówi dobrze po angielsku, a Desplechin ma dzisiaj wolne. Muszę tu być, przynajmniej na początku.

- Wyjdź stąd. Bardzo cię proszę...

- Nie mogę cię zostawić. Bądź rozsądna.

Za sobą znów słyszę szmer cichej rozmowy.

- Co to?! Co robią? - Czuję na plecach dotknięcie czegoś lodowato zimnego i zaczynam dygotać. Nie mogę opanować tego drżenia.

- Dezynfekcja.

- Powiedz im, żeby mi coś dali! Jakieś lekarstwo! Boję się, nie wytrzymam tego na żywca! Tonia mi mówiła, że można przed porodem łyknąć coś, co rozluźni. Głupi jaś?!

- Dobrze.

Adam szybko zagaduje do jakiegoś mężczyzny, który kręci się obok nas.

- Weź to pod język. Nie połykaj. - Podaje mi małą tabletkę. - To midazolam, słabiutka dawka. Nie mogą podać większej, bo zaraz dostaniesz anestetyk.

Pigułka jest mikroskopijna, ale i tak czuję w całych ustach gorzki smak.

- **Już** - zgłaszam, że się rozpuściła.

- W porządku.

- Adam... - Na sekundę zagryzam wargi. - Przytul mnie.

- Oczywiście.

Jego ramiona obejmują górę pleców, głowa dotyka mojej.

- Auu... - skarżę się cicho, gdy igła wsuwa się w skórę. Jakoś wytrzymuję całą operację, choć nie jest to przyjemne.

- Już po wszystkim. - Spokojny głos brzmi tak kojąco. Oddycham z ulgą. Po moim ciele zaczyna się rozlewać miłe ciepło. Unoszę powieki.

- Co teraz? - Spoglądam na Adama, który od razu się odsuwa i siada tuż obok na niewielkim obrotowym krzeselku.

- Nie wiem. Musimy słuchać lekarzy. Pewnie czekamy, aż to coś, co ci podali, zacznie działać.

- Dobrze - mamroczę pod nosem.

Pielęgniarka? A może lekarka? Nie mam pojęcia, kim jest ciemnoskóra kobieta, która podchodzi do nas i coś mówi do Adama, po czym obraca mnie na plecy i stawia przed moją głową niski parawanik z białej tkaniny. „Hm... czyżby jakieś przedstawienie?” Uśmiecham się do niewielkiej

kurtyny. Prawa ręka trafia na wysuniętą rynienkę, do wenflonu podpinają mi kroplówkę. Wokół ciągle ktoś się krząta, ale próbuję nie zwracać uwagi na otoczenie.

Obracam głowę i żeby zająć czymś myśli, zaczynam się przyglądać mojemu świeżo poślubionemu mężowi. Elegancką marynarkę zastąpił zielony fartuch, z za rozchylonego kołnierza wystaje brzeg kremowego krawatu. Wygląda to nieco śmiesznie: jedwabna tkanina w towarzystwie bawełnianego płótna.

Do sali ktoś wchodzi, ale nie widzę nic z za zasłonki. Coś łaskocze mnie w lewą piętę, chcę ją przesunąć...

- Chyba mnie sparaliżowało! - Przerazona, zerkam na Adama. - Nie mogę ruszyć nogą!

- To normalne. Nic nie czujesz od pasa w dół - mówi tak rzeczowo, jakby codziennie asystował przy takim zabiegu.

- To przejdzie?

- Tak.

- OK. - Nie wiem dlaczego, ale wierzę w każde jego słowo. - Nie brzydzisz się widoku krwi? - pytam po chwili, zaskoczona stoickim wręcz spokojem Adama.

- Jestem farmerem. Pewnie z pięćdziesiąt żrebaków i drugie tyle cieląt przyszło na świat z moją pomocą. - Mój mąż parska śmiechem.

- Zajebicie. Nie jestem krową - mamroczę pod nosem.

- Zauważyłem. Nie masz sierści, no i gabaryty inne.

- Idź sobie - burczę w odpowiedzi.

- Nie.

Odwracam głowę, nie zamierzam patrzeć na tego impertynenta. „Rodzę ci dziecko, kretynie, a ty mi mówisz, że nie mam sierści? Co z ciebie za dupek!”

- Zaczynają - stwierdza Adam po niecałej minucie.

- OK. - Zagryzam wargi i wlepiam wzrok w sufit. Boję się jak jasna cholera. Cała dygoczę z nerwów, serce wali jak oszalałe, zęby uderzają o siebie jak kastaniety. „To gówniane lekarstwo nie działa! Zamiast leku na rozluźnienie dali mi witaminki albo placebo!”

- Mam chwycić cię za rękę?

Przez chwilę się zastanawiam, czy skorzystać z propozycji, ale gdy czuję na podbrzuszu dotknięcie czegoś zimnego, od razu unoszę lewe przedramię. Moja dłoń znika, zaciśnięta w objęciach mocnych palców.

- Patrz na mnie - pada polecenie.
Postulaznie obracam glowe.
- Boje sie...
- Wiem. - Adam lekko nachyla sie nad moja twarza. - Coz ci opowiem, chcesz?
- Tak. - Przelykam slinę, próbując za wszelką cenę nie zwracać uwagi na to, co dzieje się za zaslonką.
- Pamietasz, jak rozmawialismy o naszych hobby?
- Uhm... - Nie moge z siebie wydobyć nic wiecej, bo czuje, jak cos zimnego splywa wzdluz mojej lewej pachwiny,
Adam chyba zauwaza, ze sie zdenerwowalam, przysuwa sie jeszcze blizej, prawie dotyka mnie nosem. To calkiem fajne, bo pozwala na symboliczną separację od dolnej czesci mojego ciala.
- Mowilem ci wtedy, ze przez lata spiewalem w przykoscielnym chorze. Kim bylem?
- Drugim tenorem - odpowiadam, szczekajac zebami.
- Wlasnie. - Adam kiwa glowa. - Nie powiedzialem ci wtedy, ze oprócz koscielnych pieśni i klasyki wykonywalismy tez inne utwory. Kiedyś zebralismy sie w niewielkim pubie niedaleko centrum. Nazywal sie tak jak miasteczko, w którym byl chor, czyli...?
- Marietta? - Nie jestem pewna, bo tylko raz mi o tym mowil.
- Brawo. Bylo nas moze z dwudziestu. Chlopaki sie nawalily, ja tez za kolnierz nie wylewalem. - Mój maz parska smiechem. - Odbywal sie tam wlasnie wieczor karaoke i puszczeni przeboje z lat dziewięćdziesiatych. Ktos wlaczył plyte Backstreet Boys... i sie zaczelo. Wszyscy wleziłmi na estrade. Oczywiście byly klótnie, kto bedzie spiewal poszczególne partie, ale jakoś osiagnelismy konsensus i gdy zaczeliłmi, bylo calkiem niezle. Nasz bas, czyli Mike, kruszynka, dwieście czterdzieści funtów zywej wagi, uparl sie na partie Nicka. Naprawde chcialabyś to slyszeć, buczal jak trzmiel w puszcze po coli. I te kocie ruchy...
- *Everybody!** - Adam cicho parodiuje swojego kumpla, modulujac glós, zeby brzial jak najgrubiej, i zabawnie wygina sie na taborecie.
Parskam smiechem i nie zwracam uwagi na to, co dzieje sie za parawanikiem, choc ciagle czuje ciagniecie i szarpanie. To jakis obled; rodzić we francuskim szpitalu przy dzwiekach piosenki jednego z najpopularniejszych amerykanskich boys - bandów.
- Co jeszcze spiewaliscie? - Chce, zeby caly czas do mnie mowil,

przynajmniej zagłusza te wszystkie dziwaczne dźwięki dochodzące zza nieżelaznej kurtyny. - Kogo ty naśladowałeś?

- Briana.

- Który to?

- Blondyn.

- Ten z trójkątną twarzą?

- Nie, z owalną. I z grzywką rozdzieloną przedziałkiem na środku.

- A, kojarzę. Nie za wysoko jak dla ciebie? - Przypominam sobie jak przez mgłę głos tego chłopaka.

- Spoko, dałem radę.

- Zaśpiewaj coś - proszę, bo czuję, że personel coraz bardziej żywiotowo poczyna sobie z moim ciałem.

- Przestań. - Adam parska śmiechem. - Na trzeźwo nie wydolę, poza tym, szczerze mówiąc, nie pamiętam zbyt wiele. To nie jest muzyka dla prawdziwych facetów. Byliśmy pijani.

- Proszę. - Lekko ściskam go za rękę.

- Dobrze. I tak już pewnie myślą - mówi mój asystent porodowy, zerkając na lekarzy - że mamy nieźle narąbane pod kopułą. Zwłaszcza ja. - Chrząka i zaczyna cicho nucić: - *Show me the meaning of being lonely*...*

- Wystarczy - przerywam, gdy tylko zaczyna, ale on uparcie kontynuuje. Pod koniec refrenu mam oczy pełne łez.

- Przepraszam. Nie powinienem - kaja się Adam, bo je zauważył.

- Nie powinieneś - potwierdzam.

- To było kretyńskie...

Już mam ponownie się z nim zgodzić, gdy nagle czuję coś dziwnego: czyżby ktoś odrywał mój brzuch od kręgosłupa? Nie boli, ale nie jest to miłe, a potem następuje coś absolutnie kosmicznego: wszyscy milkną, słyszę tylko jakiś tajemniczy odgłos, jakby delikatne skrzeczenie, i nagle ciszę przeszywa ostry krzyk dziecka.

- Urodził się? - pytam, choć to chyba jedno z najgłupszych pytań, jakie można zadać w takiej sytuacji.

- Tak! - Adam zrywa się z krzesła, ale na szczęście ciągle trzyma mnie za rękę. Zresztą z wrażenia ściskam jego dłoń tak kurczowo, że prędzej bym ją wytargała, niż puściła.

- *Monsieur Harding, vous avez une fillette toute mignonne et en bonne sante. Toutes mes felicitations!* - słyszę i odpływam...*

* Tytuł przeboju zespołu Backstreet Boys. W 1998 roku utwór ten ukazał się jako singiel w Stanach Zjednoczonych.

* Tytuł innego, nieco późniejszego hitu Backstreet Boys.

* (fr.) Panie Harding, ma pan śliczną i zdrową córeczkę... Moje gratulacje!

- Proszę usiąść. - Gospodarz wskazuje nam dwa krzesła z wygodnymi podłokietnikami.

Małżonek, rzecz jasna, natychmiast usłużnie podaje mi ramię, ale ja konsekwentnie to ignoruję. Siadam ostrożnie, bo choć od porodu upłynęło już sześć dni, ciągle nie czuję się pewnie: rana ciągnie, a mięśnie brzucha bolą przy każdym ruchu. Jakoś udaje mi się bezpiecznie opaść na białą ekoskórę. Od razu wlepiam wzrok w mężczyznę siedzącego naprzeciwko nas.

Lubię doktora Desplechina. To bardzo sympatyczny człowiek, miły i ciepły - zresztą jak wszyscy homoseksualni panowie, których miałam okazję poznać. Mój lekarz prowadzący ma niecałe czterdzieści lat, ale już bardzo posiwiałe skronie, może ze stresu. Tylko jaki stres może towarzyszyć komuś, kto od lat mieszka w tym rajskim zakątku...?

- Pani Duvall, panie Harding, myślę, że wszystko już załatwiliśmy. Dobrze zapamiętałem, że ma pani możliwość korzystania z fachowej opieki?

- Tak - odpowiadam szybko. - Zatrudniłam pielęgniarkę, Antonia jest ze mną już od paru miesięcy. Zajmie się wyjęciem szwów i tak dalej, mogę na nią liczyć.

- Świetnie. - Doktor Desplechin zaciera ręce. - Będę za panią tęsknić. Od naszego pierwszego spotkania znacznie podszlifowałem swój angielski. - Wybucha szczerym śmiechem.

- Szkoda, że ja przy okazji nie nauczyłam się nawet podstaw francuskiego - odpowiadam mu równie szczerze.

- Panie Adamie, jeszcze raz przepraszam. Pewnie trochę się pan rozczarował, że pierworodny syn okazał się córką? - Lekarz kieruje wesołe spojrzenie wprost na mojego męża.

Parskam pod nosem i wydymam wargi. „Ciekawe, jak sobie poradzisz z tym pytaniem, Harding...”

- Panie doktorze, nie jestem rozczarowany. Najważniejsze, że dziecko jest zdrowe i że moja żona dobrze się czuje. A co do pomyłki... Tylko ten, kto nic nie robi, nie popełnia błędów.

„Udało ci się wykpić stekiem truizmów...” - stwierdzam, zawiedziona.

- Szczerze mówiąc, rzadko zdarza się nam aż tak spektakularna wpadka, ale państwa córeczka wykazała się niebywałym sprytem. Jeszcze nie widziałem takiego ułożenia pępowiny.

- To bardzo oryginalne dziecko, trzeba przyznać. Od momentu poczęcia... - Adam znów posiłkuje się gładkim zwrotem. - Jestem wdzięczny za rewelacyjną opiekę nad moimi dziewczynami. - Schyla głowę.

Mam przemożną chęć w nią palnąć. „Żebyś czasami nie popłakał się ze wzruszenia...” - warczę w duchu.

- Bardzo mnie cieszy, że tak dobrze ocenia pan naszą pracę. Mam jeszcze jedno pytanie, ale jeśli pan pozwoli, chciałbym zostać sam na sam z pana żoną.

- Oczywiście. - Adam natychmiast podnosi się z fotela. - To ja się już pożegnaj. Do widzenia. - Kłania się grzecznie i wychodzi z gabinetu.

„Jakież to symptomatyczne... - komentuję w duchu tę szybką ewakuację. - Czyżby Adam 'Alfa' Harding bał się podać rękę gejowi?"

- Pani Melanio, bardzo przepraszam, ale muszę z panią coś wyjaśnić. - Doktor Desplechin nerwowo poprawia się na obrotowym fotelu.

- Słucham. - Jestem bardzo ciekawa, z jakich powodów mój mąż musiał opuścić gabinet ordynatora niewielkiego oddziału położniczego szpitala w Sainte - Maxime.

- Otóż każdy francuski szpital od ubiegłego roku obowiązkowo uczestniczy w specjalnym programie mającym na celu... - lekarz na chwilę zawiesza głos - ochronę kobiet i dzieci przed przemocą domową. Nazywamy ten program „zet zet”, od słów „Zauważyłeś? Zgłoś”.

- E... nie bardzo rozumiem? - Szeroko otwieram oczy. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Wyprosiłem pani męża, bo to powinna być rozmowa tylko z pacjentką. Jeszcze raz bardzo panią przepraszam, po prostu muszę o to spytać i wypełnić ankietę. - Doktor Desplechin wyjmuje jakieś dokumenty i kładzie je na biurku.

- Ale o co musi pan spytać?

- Czy jest pani ofiarą przemocy domowej?

- Słucham?! - Mam wrażenie, że zaraz zapalą mi się policzki.

Na szczęście nie tylko ja jestem skonsternowana, lekarz chyba jeszcze gorzej znosi tę interesującą wymianę słów. Drżą mu ręce i co sekundę

chrząka, przełykając ślinę.

- Doktor Bunel złożyła na moje ręce raport i niestety muszę to sprawdzić. Takie mamy procedury, pani wybaczy.

- Bunel? Kto to?

- Anestezjolożka, która wykonała pani znieczulenie pod-pajęczynówkowe do cięcia cesarskiego.

- Aha. - Próbuję sobie przypomnieć, czy faktycznie to kobieta wkłuwała się w mój kręgosłup. - Ups! - Nagle chwytam się za usta, bo już wiem, o co chodzi.

- Bardzo proszę o wypełnienie tej ankiety. - Doktor Desplechin podsuwa mi kartkę.

Nachylam się, ale połowy tekstu nie rozumiem.

- Obawiam się, że to bez sensu, nie znam aż tak dobrze francuskiego... - Jestem nieprawdopodobnie zażenowana całą sytuacją.

- No tak.

- Panie doktorze, proszę za mnie wypełnić ten druczek, a ja podpiszę i po sprawie. Może tak być? - Nerwowo zagryzam kącik ust.

- Niestety nie. Powinna pani też oświadczyć, że zapoznała się z treścią raportu doktor Bunel.

- Domyślam się. Panie Desplechin... Oczywiście nie ma mowy o żadnej przemocy, ja... - Płonę ze wstydu. - Ja i mąż... to tylko...

- Rozumiem. - Lekarz przychodzi mi z pomocą. - Pani Melanio, może zrobimy tak: dam pani dokumenty i wypełni je pani razem z mężem, a jutro pan Harding podrzuci mi wszystko do sekretariatu szpitala, oczywiście w zaklejonej kopercie, żeby broń Boże nie trafiły w niepowołane ręce. Co pani na to?

- Nie możemy tego po prostu zignorować? Mówię o raporcie. - Wskazuję brodą dokument podpisany przez doktor Bunel i podbity jej pieczętą.

- Obawiam się, że nie ma takiej możliwości. Wszystkie raporty są numerowane i opatrzone specjalną sygnaturą, musimy się z nich rozliczyć. Bardzo mi przykro, że niejako padła pani ofiarą naszych nadgorliwych parlamentarzystów.

Wzdycham ciężko, ale w końcu potakuję. Wychodzę z gabinetu ordynatora, dzierżąc w spoczonej dłoni kopertę z dokumentami.

- Co się stało?! - Adam od razu zauważa, że jestem zdenerwowana.

- Nic. - Zagryzam wargi.

- Nic? Powiedział ci coś? - Mój mąż zerka to na mnie, to na drzwi

gabinetu. - Coś z małą?

- Nie.

- Wiem, że nie mam prawa pytać, ale coś nie tak z tobą? Mel...anio, wszystko w porządku? - Nachyliła się z troską.

- Tak. - Wlepiam wzrok w seledynowe linoleum.

- Co to za papiery? - Adam nie ma zamiaru tak łatwo odpuścić, słyszę to w jego głosie.

- W domu zobaczysz, a teraz już chodź.

- Mel, powiedz. Przecież widzę, że coś się dzieje... - Chwyta mnie za ramię.

- Daj spokój. - Nie mogę znieść jego dotyku. Ciepło palców przenika przez cieniutki rękaw bawełnianej bluzki i przywołuje coraz więcej wspomnień. - Możesz zabrać rękę?

- Przepraszam. - Natychmiast spełnia moją prośbę.

- OK. - Pakuję dokumenty do torebki i razem zmierzamy na oddział noworodków po naszą córeczkę.

- Śpi? - Harding z niepokojem spogląda na żonę.

Melania jest zmęczona i przejęta; właśnie pierwszy raz w życiu ułożyła swoje dziecko do snu i mimo nieocenionej pomocy Antonii nie może opanować emocji.

- Uhm... - Stawia odbiornik elektronicznej niani na małym stoliku tuż obok sofy.

- Gdzie Tonią?

- Porządkuje łazienkę po kąpieli.

- Jak poszło karmienie?

- Dobrze. - Melania wzrusza ramionami. - Akurat to mam wyćwiczone.

- Muszę uwierzyć ci na słowo. - Adam kwituje wypowiedź żony lekkim uśmiechem.

Jeszcze nigdy nie uczestniczył w karmieniu. W szpitalu Melania za każdym razem prosiła, aby na ten czas opuścił salkę, w której leżała razem z córeczką. Stał pod drzwiami i czuł się jak idiota, znosząc ciekawskie spojrzenia personelu, zwłaszcza gdy jego żona korzystała z pomocy Toni lub pielęgniarek. Wypraszała go też podczas każdej wizyty lekarskiej.

- A na co liczyłeś?

- Na nic. Mam wrócić do hotelu? - Harding jest zrezygnowany, nie zamierza wdawać się w polemikę.

Melania przez chwilę przygląda mu się spod na wpół opuszczonych powiek, w końcu kręci głową.

- Zostań. Muszę to wypełnić. - Kładzie na stoliku kopertę, którą wręczył jej doktor Desplechin. - Przeczytaj. Idę do kuchni, zrobić ci herbatę?

- Proszę. - Adam od razu się ożywia. Wykorzystuje każdą, nawet najmniejszą okazję, żeby być miłym dla swojej żony.

- OK. Zaraz wrócę.

Melania szybko opuszcza tonący w półmroku salon.

Jej mąż wyciąga dokumenty. Gdy kończy czytać raport spisany przez doktor Bunel, ręce trzęsą mu się ze zdenerwowania.

Tonią polazła na górę, jest w swoim pokoju. Ciągłe widzę jej rozdziawioną ze zdumienia buzię, gdy poprosiłam, żeby zostawiła nas na godzinę. Do tej pory było wręcz odwrotnie: nawet w szpitalu krępowano mnie przebywanie sam na sam z Adamem.

Rozglądam się bezradnie po kuchni, jakbym miała szanse znaleźć tu coś, co pomogłoby mi przetrwać najbliższe trzydzieści minut. Niestety na alkohol nie mogę liczyć (karmię), na czyjekolwiek towarzystwo - też nie (z wiadomych powodów). Wyklinam w duchu własne lenistwo. Gdybym lepiej przykładała się do nauki języka, nie miałabym teraz takich problemów. „Od jutra szukam nauczyciela!” - postanawiam.

Zalewam wrzątkiem saszetkę z czarną herbatą dla Adama, a dla siebie przygotowuję owocową. Z pewnością minął co najmniej kwadrans. Biorę głęboki wdech i wychodzę z kuchni, dzierżąc w dłoniach małą tackę z napojami.

- Przeczytałeś? - Kładę ją na stoliku.

- Tak. - Adam dopiero teraz odrywa czoło od dłoni.

- Muszę na to odpowiedzieć. Mam nadzieję, że pomożesz mi wszystko wypełnić, a najlepiej, żebyś sam to zrobił, a ja tylko podpiszę. - Siadam na fotelu i przykrywam nogi kocem.

- To jakiś idiotyzm.

- Też tak sądzę. Może się odwołać? Przecież jestem Amerykanką.

- Obawiam się, że nic z tego, za długo tu mieszkasz. Dotyczy również rezydentów.

- Sprawdziłeś?

- Tak. - Mój mąż podnosi jeden z dokumentów i wskazuje jakiś ustęp tekstu. - Tu to określili.

- Uhm... Co napisała ta... - Bunel?

- Tak.

- Nic szczególnego. Takie tam...

Widzę, że Adam przetyka ślinę, a potem szybko sięga po kubek.

- Słodziłaś?

- Tak. Łyzeczkę. - Dopiero teraz sobie uświadamiam, że zawsze tak robiłam, gdy szykowałam mu herbatę.

- Dziękuję.

- To co robimy?

- Robimy... - powtarza mój mąż.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów użyłam słowa wskazującego na to, że stanowimy zespół. Wystrzegałam się tego jak ognia, a tu gigantyczna wtopa. Nie chcę dawać Hardingowi żadnych nadziei, więc udaję, że nie słyszałam jego odpowiedzi.

- Hm... Może jednak ja wypełnię, wrzucę do tłumacza i jakoś dam sobie radę.

- Nie chcesz, żebym ci pomógł? - Adam podnosi na mnie wzrok.

Dopiero teraz zauważam, jak źle wygląda. Ma podkrążone oczy, drżą mu opuszki palców i mięsień na lewym policzku. Nie mogę na to patrzeć, sięgam po kubeczek z herbatą.

- Przepraszam... Hormony. Sama nie wiem, czego chcę - parskam pod nosem, próbując nieco poprawić atmosferę.

- No tak. Hormony, baby blues?

- Uhm... - odpowiadam skwapliwie.

- Jest tu jakiś długopis? - Zagląda pod blat ławy.

- Coś na pewno się znajdzie. - Wstaję i zapalam lampę wiszącą tuż nad naszymi głowami.

- Będę ci pokazywał, a ty pisz.

- OK. - Siadam na fotelu tuż obok Adama i przysuwam do siebie ankietę.

- Tu imię i nazwisko... data urodzenia... adres... - Mój mąż wskazuje palcem, choć akurat te rubryki umiałabym wypełnić bez pomocy.

- Co teraz? - pytam, gdy został nam jedynie komentarz do raportu nadgorliwej pani anestezjolog.

- Myślę, że najlepsza będzie jakaś lakoniczna uwaga.

- To znaczy?

- Wymyśliłem coś takiego: „Oświadczam, że wszystkie blizny na moim ciele powstały wyłącznie wskutek działań, które odbyły się za moją zgodą i

aprobata".

- Może być. - Oddycham z ulgą. - Całkiem zgrabnie ujęte.

- Dzięki, zaraz ci to napiszę na brudno. - Adam znów sięga pod ławę, wyjmując notesik, wrywa kartkę i swoim pięknym charakterem pisma kreśli kilkanaście słów.

Jakąś minutę zajmuje mi wierne przepisanie treści oświadczenia. Jeszcze tylko kilka podpisów, wycieczka po paszport (trzeba było podać numer seryjny dokumentu tożsamości) i gotowe. Wkładam wypełnione papierzyska do koperty, adresuję ją i zaklejam.

- Zawiesz to jutro Desplechinowi? Prosił, żeby zostawić kopertę w sekretariacie.

- Tak.

- Świetnie. Dziękuję za pomoc. - Podnoszę się z fotela. - Pozwolisz, że pójde się położyć, ledwie żyję.

Mówię prawdę: choć wypełnianie dokumentów trwało jakieś kilkanaście minut, czuję się okropnie zmęczona.

- Boli? - Adam wskazuje brodą miejsce po cięciu.

- Nie. Po prostu jestem śpiąca. Poza tym mała za jakieś dwie godziny obudzi się na karmienie. Chcę złapać trochę snu.

- Ile razy do niej wstajesz w nocy?

- Nie wiem, jak będzie dzisiaj, ale wczoraj karmiłam ją o północy i trzeciej nad ranem, i o szóstej. Tak co trzy godziny mam czterdziestominutową przerwę... - Uśmiecham się blado.

- To męczące.

- Nie da się ukryć. Tonią poradziła mi, żebym ściągnęła troszkę pokarmu i wtedy ona poda małej w butelce na przykład o trzeciej. Mogłabym przespać sześć godzin w jednym ciągu, ale chyba nie jestem przekonana do tego pomysłu. - Wzruszam ramionami.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Jakies to wygodnickie. - Opieram się o wezglowie fotela.

- Powinnaś się wysypiać. Uważam, że to dobra rada. Jak będziesz zmęczona, możesz stracić pokarm.

- Mówisz jak Tonią. - Parskam śmiechem. - Bazujesz na swoich doświadczeniach ze zwierzętami hodowlanymi?- pytam, starając się, żeby zabrzmiało żartobliwie, a nie ironicznie.

- Nie. Akurat w tej materii krowy są nie do pobicia.

- No tak. To dobranoc... - Ziewam malowniczo w rękaw szlafroka i

zwijam żagle w kierunku wyjścia.

- Melanio... - Po kilku sekundach dobiega mnie głos Adama.

- Tak? - Odwracam się od drzwi.

- Chciałbym cię o coś prosić.

- Słucham.

- Teraz, gdy dziecko już jest z na... jest tutaj, czy mógłbym z wami zamieszkać? Chciałbym cię odciążyć. Ten pomysł z butelką jest całkiem niezły. - Mój mąż patrzy z taką nadzieją w oczach... No cóż, nieźle mnie zaskoczył.

Mam ochotę... Nie wiem, na co mam ochotę. Zgodzić się? Nie? Przez głowę przelatują sprzeczne myśli.

- Mogę jutro dać ci odpowiedź? - wyrzucam w końcu z siebie.

- Jasne.

- W porządku. To do jutra.

- Do jutra. - Kiwa głową na pożegnanie...

Ósma rano. Trzecia dekada kwietnia rozpoczęła się pięknym wschodem słońca. Harding w samotności kończy śniadanie. Tonia już jadła, ale właśnie postanowiła wypić drugą kawę i wchodzi do kuchni.

- Dzień dobry, Adamie.

- Dzień dobry, Tonia. Jak minęła noc?

- Nieźle.

- Melania śpi?

- Tak, obie śpią. - Na puciołowatej twarzy Antonii pokazują się dwa maleńkie dołeczki.

- Ile razy pobudka?

- Ja tylko raz, koło trzeciej. A biedna Mel dodatkowo o północy i po piątej, no i jakieś pół godziny temu. - Tonia wzdycha i lekko kiwa głową.

- Jak myślisz, długo tak będzie?

- Wasza córeczka miała niską wagę przy urodzeniu. Tragedii nie było, ale i tak musi troszkę nadrobić. - Kobieta napełnia filiżankę i siada naprzeciwko męża swojej pracodawczyni.

- Masz spore doświadczenie.

- Trzy lata na oddziale położniczym, poza tym młodsze rodzeństwo. Jest nas ośmioro. Może dlatego jeszcze się nie pokusiłam o potomstwo. - Znacząco unosi brwi.

- To wyjaśnia sprawę. - Adam kiwa głową. - Wiem, że proponowałaś Melanii zastąpienie jej przy jednym karmieniu.

- Uhm... - Tonia dmucha, a potem ostrożnie upija łyk parującego napoju.
- Mel nie chce się zgodzić. Wiesz... pierwsze dziecko, to raczej typowe. - Parska cichym śmiechem. - Nie bój się, szybko jej przejdzie. Jeszcze z tydzień i się podda.

- Tak sądzisz? Jest bardzo uparta.

- Upór uporem, ale spać trzeba. Poszarpana noc potrafi przynieść więcej zmęczenia niż odpoczynku. Szkoda, że ty nie możesz... - Tonia nagle odwraca wzrok. - Przepraszam, nie powinnam się wtrącać.

- Mel nie pozwala ci ze mną rozmawiać?

- Nie, to nie tak. Pozwala, ale po twojej wizycie w zeszłym miesiącu jakoś zeszło nam na ciebie i bardzo mnie wtedy zaskoczyła. Stwierdziła, że nie życzy sobie komentarzy na wasz temat. - Pielęgniarka wrusza ramionami, jakby chciała to zbagatelizować, jednak do dzisiaj jest jej przykro.

- Rozumiem. Mam prośbę: gdybym potrzebował, pokażesz mi, jak nakarmić małą?

- Jasne! - Młoda Portorykanka od razu się ożywia. - Kiedy tylko będziesz chciał.

- Wobec tego trzymam cię za słowo. - Mężczyzna zrywa się z krzesła.

- Wybierasz się gdzieś? - Tonia z niekłamana przyjemnością przygląda się Adamowi. - Jesteś taki elegancki.

- Żartujesz? - Harding nerwowo poprawia rozczochrane włosy. - Do szpitala, mam coś do załatwienia z doktorem Desplechinem,

- Aha. Wobec tego nie zatrzymuję. - Rumiane policzki Toni znów okrasza pogodny uśmiech.

Adam idzie na piętro, przed wyjazdem zamierza się ogolić. Po kwadransie opuszcza łazienkę. Stąpając na palcach, wchodzi do błękitnego pokoiku swojej córki, ale maleńkie łóżeczko jest puste.

- Gdzie się podziałaś, królewno? - szepcze mężczyzna, kierując kroki do sypialni Melanii.

Zatrzymuje się przed drzwiami, w końcu jednak naciska klamkę drżącą dłonią. Choć zrobił to bardzo cicho, jego żona lekko podnosi głowę.

- Co się stało? - Jest zdumiona, bo Adam nigdy nie zagląda do tego pokoju.

- Nic. Przepraszam, chciałem tylko sprawdzić, czy... - Szept więźnie mu w krtani.

Obrazek, który ma przed sobą, bardzo go porusza: poranne słońce delikatnie omiata promieniami cały pokój, maleństwo zawinięte w błękitny

rozek i Melania w koszuli nocnej w podobnym odcieniu leżą obok siebie. I jeszcze ten niepowtarzalny zapach: mleka, dziecięcych kosmetyków i ciepłego powietrza po nocy.

- Adam... poczekaj. - Kobieta sięga po szlafrok i szybko go zakłada.

Razem opuszczają sypialnię.

- Byłeś w szpitalu?

- Zaraz tam pojadę.

- Uhm...

- Kiepsko spałaś?

- Trochę. - Mel energicznie pociera policzki, lecz nic to nie daje. Poblądłą twarz co chwilę wykrzywia potężne ziewnięcie.

- Tonia mówiła.

- Chyba skorzystam z jej propozycji. Wiesz, chodzi mi o to karmienie z butelki.

- Bardzo dobrze.

- Nie wiem czy dobrze... Odgrzewany pokarm nie jest tak dobry jak świeży. Nie ma przeciwciał.

- To tylko jedno karmienie na dobę. Będę w szpitalu, mogę spytać, czy to takie złe rozwiązanie.

- Nie. Toni byłoby przykro, gdyby się dowiedziała, że podważam jej kompetencje. Nie wiem tylko, co w weekendy. Trzy noce sam na sam z tym głodomorem...

- Dobrze. Nie będę pytał. A co z... moją prośbą? - Adam wyczuwa dobry moment.

- Możemy porozmawiać, jak wrócisz?

- Oczywiście.

- Dobrze. Przepraszam cię, ale chyba wrócę się zdrzemnąć. Powinna pospać jeszcze co najmniej godzinkę.

- Jasne. Już mnie nie ma. - Harding lekko się uśmiecha.

- O matko... - z ust Melanii wyrywa się cichy jęk. - Słyszysz?

Przez wąską szparę między drzwiami a futryną dobiega ich skrzeczenie, a sekundę później dziecko zaczyna przeraźliwie płakać.

- Głodna? - Jego ojciec unosi brwi.

- Uhm... Ja się wykończę. Zawołaj tu Tonie... - Melania macha ręką i, zrezygnowana, wchodzi do sypialni.

- Dzięki, córeczko... - Adam zbiega ze schodów z gigantycznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Jestem nieprzytomna ze zmęczenia. Trzy razy postłodziłam herbatę (oczywiście owocową, bo po zwykłej dziecko by nie spało), zaliczyłam upadek z sedesu (zasnęłam w trakcie sikania!?) i prawie sturlałam się ze schodów. Jakiś niebywały koszmar...

- Powiedz mi, jak kobiety to znoszą? - Siedzę na brzegu łóżka i przyglądam się Toni przewijającej „kochane maleństwo”.

- To znaczy?

- No, takie, które nie mają opiekunki do dziecka. Ja mam, ale to i tak za mało - mówię z trudem.

- Oj, to tak szybko mija, że za rok nie będziesz nic pamiętać. - Tonią właśnie skończyła prace porządkowe. Nawet nie liczę, który to już raz tej doby „maleństwo” się uzewnętrzyło.

- Za rok? - Jestem lekko załamana. - Rok tak będzie?

- Nie... może jakieś pół, dzieci karmione piersią często robią kupkę.

- Ona robi kupkę za każdym razem, gdy ją nakarmię.

- To naturalne. - Tonią parska śmiechem. - Co wlało, musi wyjść...

- Rozumiem, tylko pytam: dlaczego tak często je i dlaczego w nocy? - Chichram się razem z nią, chyba mam głupawkę ze zmęczenia.

- Wymyśliliście już imię? - Moja nieoceniona niania przysiada tuż obok. - Chcesz ją wziąć na ręce?

Zabieram tobolek z ukochaną córeczką, która prawie mnie zamordowała, pozbawiając możliwości odpoczynku.

- Tak. Na pierwsze Wrzaskun, a na drugie Srajdą. – Całuję pachnący blond meszek na główce nocnego terrorysty.

Antonia kręci głową z niedowierzaniem.

- Naprawdę nie wiedziałaś, że to tak wygląda?

- Nie. W życiu bym nie pomyślała. - Mój głos brzmi mało entuzjastycznie. - Byłam najmłodsza z rodzeństwa.

- Ale nie żałujesz, że ją masz?

- Przestań, nie myślisz chyba, że jest inaczej? Uwielbiam ją, jest taka śliczna, tylko ciut... uciążliwa.

- Śliczna jest, to fakt. Jeszcze nie widziałam noworodka z takimi długimi włoskami. I te błękitne oczka, wygląda jak laleczka. - Tonią nachyla się i całuje mikroskopijną łapkę. – No to jak z tym imieniem?

Nie mam pomysłu. Od dnia narodzin panny Harding i dnia „ślubu” jej rodziców minął równy tydzień, a w mojej głowie - pustka. Miał być chłopak.

Maksymilian. Mały Maksio, zanim się urodził jako dziewczynka, został posiadaczem wypasionej błękitnej sypialni i hałdy niebieskich ubranek: od tych dla noworodka po takie na roczek. Niektóre są kompletnie odpałowe, dostałam nawet maleńki garniturek w czarnym kolorze, białą koszulę (też mikroskopijną, w formie body zapinanego w kroku) i krawat, a raczej krawacik. Gdy zadzwoniłam do Ashleya (ofiarodawcy) z informacją, że Maksio okazał się dziewczynką, mój brat przez pięć minut rżał jak narowisty ogier, a potem stwierdził, że mogę ubierać małą w stylu Marleny Dietrich.

- Ty coś wymyśl - rzucam po tej krótkiej retrospekcji. - Nie mam głowy do niczego. Sama nie wiem, jak się nazywam...

- A może Adam ma jakiś pomysł? Pytałaś?

- On dał nazwisko, wystarczy tego dobrego - pryham cichutko, bo bezimienne dziecko właśnie zasnęło w moich ramionach.

- Daj, zaniosę ją do łóżeczka.

- Gdzie jest ojciec Wrzaskuna? - pytam bez większego zainteresowania w głosie.

- Wrócił ze szpitala, ale spałaś, więc stwierdził, że jedzie do hotelu.

- Aha. Na długo?

- Nie wiem. Coś pilnego miał do załatwienia.

- Praca?

- Chyba tak. Zabrał laptopa. - Tonia stoi w drzwiach sypialni. - Mówił, że potrzebuje trochę spokoju - rzuca na odchodne.

- Dobre sobie - sarkam, gdy tylko zostaję sama. - Ja też potrzebuję trochę pierdolonego spokoju, panie Harding. Już ja cię wezmę do galopu, tatusiu...

Podnoszę się z wyrka, staję przed szafą i próbuję znaleźć kolejną koszulę nocną. W ciągu ostatniej doby skasowałam już cztery, wszystkie zaklejone mlekiem. Sięgam po coś, co wygląda jak piżama, i wtedy cała zawartość półki spada na dywan. Kiedy schylam się po ciuchy, od razu zaczyna mi wirować w głowie.

„Kurwa!!! Dlaczego jestem taka zmęczona?!” - krzyczę w duchu i obdarzam lekkim kopniakiem zwiniętego w kulkę pampersa.

- Mel? - Tonia już wróciła. - Wszystko dobrze?

- Niekoniecznie. Mogłabyś zadzwonić do mojego męża? - Ostatnie słowo wymawiam z największą możliwą dawką sarkazmu, szyderstwa, ironii i Bóg wie czego jeszcze. - Niech bierze dupę w troki i tu wraca.

- Jasne. Teraz mam zadzwonić?

- Tak. Natychmiast. Opadam na łóżko. Umieram...

Adam Harding nie przestaje się uśmiechać. Uśmiecha się, gdy kończy rozmowę z Tonią. Radośnie parska, pakując walizkę i opuszczając apartament. Szczyrzy zęby do recepcjonisty.., i nawet przypadkowych turystów, którzy właśnie wchodzą do hotelu Amarante, obdarza wesołym grymasem.

Zapobiegawczo zostawia walizki i laptopa w bagażniku białego land rovera. Nie ma stuprocentowej gwarancji, że Melania pozwoli mu się wprowadzić, ale w ciągu ostatniej doby szanse na to bardzo wzrosły. Adam staje pod bramą posesji i na kilka sekund zaciska kciuki. Po chwili jednak przybiera stonowany wyraz twarzy, aby nie sponżyć małżonki zbyt jawnie okazywanym entuzjazmem.

- Co się stało? - pyta Tonie, która właśnie otwiera furtkę.

- Mel chyba się poddała. Wyjechałeś do szpitala, a mała przez następne trzy godziny płakała za jedzeniem.

- Ale wszystko w porządku?

- No tak, to normalne. - Tonią macha ręką. - Ustabilizuje się. Chodź, akurat trafiłeś na obiad.

- Jadłem w hotelu.

- To zjesz jeszcze raz. Obawiam się, że będziesz potrzebował sporo energii, - Latynoska ślicznotka parska śmiechem.

- Toni, wytłumacz mi: jak mam to zrobić? - Melania pojękuje nad prawie pełnym talerzem. Jest głodna, ale z braku snu jej apetyt gdzieś powędrował. - To karmienie butelką.

- Najpierw zjedz, a później ci wytłumaczę.

- OK. - Świeżo upieczona mamusia gmera widelcem w łagodnej potrawce z kurczaka.

Obiady przygotowuje firma cateringowa specjalizująca się w różnych rodzajach diet. Kilka minut przed przybyciem Hardinga kierowca przywiózł trzy okazałe zestawy: dla Antonii i Adama normalne posiłki, a dla Melanii - odpowiednio zbilansowane i lekkostrawne danie.

- Czemu to takie obrzydliwe? Zupełnie nie ma smaku ten kurczak.

- Przypraw sobie. - Tonią podsuwa tackę z solniczką.

- Mogę? - Pewnie.

- Jak ja sobie bez ciebie poradzę? - Melania ciężko wzdycha. - Bardzo cię przepraszam, ale tego wyjazdu nie da się przełożyć.

- No wiem.

Melania jest załamana, bo Tonia za kilka godzin musi wyjść. Wybiera się do Marsylii na końcowy egzamin z dodatkowego fakultetu pielęgniarstwa. Termin porodu wypadł tydzień później i gdyby wszystko odbyło się planowo, problemu by nie było.

- Pojutrze wieczorem będę w domu, ogarnę się i przyjadę tutaj.

- Że też Erie musiał zwichnąć tę pieprzoną nogę, jakby nie mógł tego zrobić kiedy indziej. Gdyby Jess została jeszcze dwa tygodnie, na pewno by mi pomogła.

- Nie wiem, czy nie byłoby z nią więcej kłopotu niż pożytku. - Tonia wzrusza ramionami, bo zdążyła już nieco poznać eksmodelkę.

Była na przykład świadkiem sytuacji, gdy w szpitalu dziecko zwymiotowało malowniczo na rękach pani Swift. Niewiele brakowało, a francuscy lekarze zostawiliby omdlałą albinoskę na intensywnej terapii z powodu słabych parametrów życiowych.

- Myślę, że spokojnie sobie poradzimy... - Adam nieśmiało włącza się do rozmowy.

- Poradzimy? - Jego żona natychmiast się ożywia. - Skąd ta pewność, że dzisiaj również pozwolę ci tu nocować?

Przy stole zapada głucha cisza. Gdyby wzrok mógł zabijać, na posadzce jadalni z pewnością leżałby już martwy Harding.

- Pójdę zerknąć, co z małą. - Tonia nie wytrzymuje napięcia i wstaje z krzesła.

- Melanio, proszę, bądź rozsądna. Nie zostawię cię samej, zwłaszcza gdy jesteś taka wyczerpana. - Adam mówi tak łagodnie, że policyjni negocjatorzy mogliby się od niego wiele nauczyć. - Pozwól mi, proszę.

Pani Duvall sprawia wrażenie kogoś, kto właśnie odkrył, że ma coś pilnego do zrobienia. Zaczyna szybko pochłaniać wystygłą potrawkę, niestety po minucie na talerzu nie ma już ani jednego kawałeczka duszonej marchewki i Melania musi stawić czoła mężowi.

- OK. Zostań.

- Bezterminowo?

- Chyba kpisz?!

- Pytałem cię wczoraj, czy mogę się wprowadzić, ale widzę, że to raczej nie był dobry pomysł.

- Nie. To był bardzo głupi pomysł.

- Masz rację, ale gdybym został, załóżmy, na miesiąc? - negocjuje Adam.

- Hej, Harding! Co to ma być? Metoda stopy w drzwiach?! - Mel niespodziewanie wybucha.

- Nie manipuluję tobą. Chcę ci pomóc w opiece nad naszym dzieckiem i tylko tyle. - Mężczyzna zaciska zęby. - Ledwie żyjesz, za chwilę stracisz pokarm. Sama mówiłaś, że karmienie piersią jest najważniejsze. Nie obawiaj się, nie będę przy tym asystował.

- Zależy ci tylko na dziecku? Chyba rzeczywiście wierzysz, że jest twoją córką. Czy to nie ironia losu? - Melania opiera się wygodnie. - A tak się wypierałaś...

Adam na moment przestaje oddychać. Jest zły na siebie, że nie potrafi obojętnie znosić oskarżycielskich słów, które padają z ust jego bezlitosnej małżonki. Przełyka ślinę, bierze kilka oddechów i spokojnie podnosi się z krzesła.

- Jeśli pozwolisz, pójdę na chwilę na górę. Chciałbym zamienić słówko z Tonia.

- O czym ty chcesz z nią gadać? - W głosie Melanii pobrzmiwają szydercze nuty.

- Mel...anio, czy nawet tego mi zabronisz?

- Ależ skąd. Chcesz, to idź. Pewnie spytasz, jak sobie radzić z taką wariatką jak ja. Powiedz: tak o mnie myślisz, prawda? Obrobicie mi tyłek, Tonia wytłumaczy ci, dlaczego świruję, że hormony, zmęczenie i tak dalej, bla, bla, bla...

- Mel! Do cholery! - Mężczyzna nie wytrzymuje tego słowotoku. - Przestań!

- Nie przestanę! Widzę, że wykorzystujesz sytuację, to wstrętne! Jestem zmęczona, słaba, a ty to po prostu wykorzystujesz! Powiedz mi szczerze: wymeldowałaś się z hotelu? Tak czy nie?

- Tak - odpowiada Adam po dłuższej chwili.

- Wiedziałam! - Jego żona uśmiecha się tryumfalnie. - Jesteś żaloszny z tą swoją pieprzoną pewnością siebie. Jeszcze trochę nadmuchaj ego i będziesz mógł latać nad zatoką! A może to nie jest twoje dziecko?! Przecież ona jest podobna do mnie! Niebieskie oczy są ponoć powszechne u noworodków, więc... - zawiesza głos. - A może chcesz poprosić Tonie o pomoc w wykonaniu testu na ojcostwo?! To naprawdę banalne. Trochę poczytałam, wystarczy potrzeć specjalnym patyczkiem we wnętrzu jamy ustnej i gotowe. Przyznaj się, może już to...

- Posłuchaj! - Harding z impetem siada na krześle tuż obok żony. -

Żadnych testów nie będzie! Nie interesuje mnie, czy jestem jej ojcem, czy też nie! I tak zdążyłem już pokochać tego dzieciaka! Kocham go bez względu na to, kto jest biologicznym ojcem. Jeśli ja, świetnie! Jeśli ktoś inny, też może być, byleby nie wchodził mi w drogę! Wiesz, dlaczego chcę być przy tej małej dziewczynce?! Bo ciągle kocham jej matkę!!! I zrobię wszystko, żeby mi w końcu wybaczyła...

Zgodziłam się.

Trzy tygodnie to niewiele. Pocieszam się myślą, że szybko miną. Adam wprowadził się do wielkiej gościnnej sypialni na końcu korytarza. Znalazł na strychu jakieś stare biurko i zamierza je tam wstawić. Na razie odrapany mebelek stoi pod schodami i straszy wyglądem jak z taniego horroru.

Antonia już pojechała. Wzdycham, przypominając sobie nasz (mój i Adama) przyspieszony kurs karmienia butelką. Na szczęście dzidzia (co za idiotyczne słowo?!) bez problemów przestawiła się na „silikonowy cycek”.

Jakieś dziwne wzruszenie mnie ogarnęło, gdy siedziałam i patrzyłam, jak Adam karmi naszą córeczkę. Wyglądało to tak... że nie mogłam wytrzymać i pod naprędce wymyślonym pretekstem uciekłam z pokoju. I jeszcze to wyznanie w jadalni! Wisienka na torcie o smaku ambiwalencji....

Podnoszę się z łóżka. Jest siódma. Przez chwilę podziwiam widok za oknem: słońce odbija się w wodzie zatoki. Pomyśleć, że pięć godzin nieprzerwanego snu może aż tak poprawić samopoczucie? Nigdy bym nie uwierzyła. Parskam śmiechem, bawi mnie ta refleksja.

Delikatne stukanie przerywa mi kontemplację.

- Proszę.

- Zrobiłem ci śniadanie. - Adam stoi w drzwiach i wygląda jak Ken właśnie wyjęty z pudełka: nienaganna fryzura i ubiór (wygodne, miękkie džinsy plus bawełniana koszulka z długim rękawem), takiż sam uśmiech i nastrój. Widać, że jest zadowolony.

- Chętnie coś zjem. - Sięgam po szlafrok. - Śpi?

- Tak.

- Nie jesteś zmęczony? - Nie wiem dlaczego, ale moje pytanie brzmi jak zdanie oznajmujące.

- Nie. Od zawsze wystarcza mi pięć, sześć godzin snu.

- Szczęściarz - wzdycham, opuszczając sypialnię.

Śniadanie dla matki karmiącej: pszenne pieczywo, jajecznica na maśle, kilka plasterków gotowanej szynki, rogalik z konfiturą. Zjadam wszystko, a potem delektuję się zwykłą kawą (nareszcie kofeina...).

- Jak było? - Jestem ciekawa, jak Adam sobie poradził.

- W porządku. Obudziła się za piętnaście trzecia. Podgrzałem mleko, sprawdziłem, czy ma dobrą temperaturę, i nakarmiłem głodomora. Zjadła prawie setkę. - Mój mąż obdarza mnie filmowym uśmiechem.

- Nie wrzeszczała, zanim ją nakarmiłeś? - Unoszę brwi ze zdumienia.

- Wrzeszczała. I to jak!

- Chryste, ależ byłam wykończona. Nic nie słyszałam. Trochę mi głupio. Wczoraj wieczorem postanowiłam sobie, że jednak wstanę o trzeciej. Wzięłam do sypialni nadajnik elektronicznej niani, ale chyba spałam zbyt mocno, skoro przegapiłam nocną akcję.

- Zabrałem małą na dół. Dlatego.

- Aha. - „Kurwa, dlaczego jesteś taki zajebiście dobry? Wszystko potrafisz zrobić?” Kolejny raz zaskoczył mnie swoim zachowaniem. - A jak z przewijaniem?

- Bez problemu.

- Szybko się uczysz.

Piję do tego, że Tonią tylko raz poinstruowała go w tej materii.

- Przeceniasz mnie. Czasami pomagałem mamie przy Ruth. - Adam znów lekko się uśmiecha. - Nie znośłem tego, ale później przydała mi się ta umiejętność. Po śmierci rodziców Ruth zaczęła się moczyć. Trwało to jakieś trzy lata - rzuca beznamiętnie. - Lekarz powiedział, że to moczenie wtórne i że kiedyś przejdzie samoistnie. Ale zanim tak się stało, doprowadziłem sztukę przewijania do perfekcji.

- Bo?

- Ruth bardzo się wstydziła tego, że sika do łóżka. Za każdym razem płakała. Nie mogłem znieść jej łez. Nie chciała spać w pampersie. Miała dopiero cztery latka, ale charakterek twardy jak u dorosłej kobiety. Dlatego zakładałem jej pieluchę dopiero, gdy zasnęła, i zdejmowałem nad ranem, zanim się obudziła. Do dzisiaj nie wie, że moczyła się tak długo.

Przełykam wzruszenie razem z ostatnimi kroplami kawy.

- Adam...

- Tak?

Patrzę w jego ciepłe oczy i myślę, jakim dobrym jest człowiekiem.

- Chciałabym, żebyś to ty wymyślił imię.

- Ja? - chrząka, lecz jego głos nadal brzmi ochryple. - Naprawdę? - Widzę, że jest zaskoczony i, tak samo jak ja przed chwilą, ma problem z opanowaniem emocji.

- Tak. Ja nie mam pomysłu. Nie przeszkadza ci, że jeszcze tego nie zrobiliśmy?

- Nie - odpowiada szybko i parska stłumionym śmiechem. - Miałem kiedyś psa i przez lata nikt nie wymyślił dla niego imienia. Nazywał się po prostu Pies. Tak go wołaliśmy: „Pies, do nogi!”. A do małej na razie zwracam się „Królewno”.

- A ja mówię „Wrzaskun” albo „Srajda”. Zależnie od okoliczności.

- Hm... też przyjemnie. Zwłaszcza druga ksywka...

- To jak? - Spoglądam na niego.

- Może Emma?

- Emma? - powtarzam.

- Nie podoba ci się?

- Podoba. A dlaczego Emma?

- Nie wiem. Tak mi jakoś przyszło do głowy.

- Dobrze. Niech będzie Emma. Emma Harding... - Uśmiecham się, słysząc w nadajniku pierwsze posapywania naszej kruszynki. - Jej chyba też się podoba...

Adam wprowadza Ruth do domu. Przedstawia Tonie, a potem pokazuje siostrze, gdzie będzie spała. Kładzie wielką walizkę na środku swojej sypialni i przez chwilę się rozgląda. Lubi ten skromnie urządzony pokój: spore łóżko, dwie małe szafki nocne, stare biurko, nowoczesny fotel obrotowy i bielizniarkę, nietypowo wypełnioną segregatorami.

- Tu możesz dać rzeczy. - Otwiera drzwi wnękowej szafy. - Opróżniłem dwie półki. Wystarczy?

- Tak. - Ruth odwraca się i przez chwilę mocno przytula do brata. - Cieszę się, że spędzimy razem tydzień.

- Ja też. - Adam czule całuje ją w czoło.

- Gdzie ona jest?

- Pewnie w sypialni. - Harding zerka na zegarek. - Już po dziewiątej.

- Uhm.

- Pójdę sprawdzić. Wiesz, gdzie jest łazienka?

- Domyślam się. - Ruth spogląda przez prawe ramię brata.

- W porządku. Widzimy się rano, chyba że jesteś głodna?

- O nie! Najadłam się na dwa dni do przodu. - Dziewczyna głaszcze się

po płaskim brzuchu.

- To dobranoc.

- Dobranoc.

Adam opuszcza swój pokój i cicho przechodzi do sypialni żony. Przez moment waha się, czy zapukać, w końcu delikatnie przekręca klamkę...

- Mogę wejść? - pyta szeptem, choć od razu zauważył, że Melania nie śpi, leży opatulona kocem i czyta.

- Proszę. - Jego żona od razu się podnosi, zamyka książkę i nerwowym ruchem poprawia koc.

- Tonia powiedziała mi, że byłeś u lekarza. Coś się stało? - Harding przysiada na przeciwległym brzegu łóżka.

- Nic. - Mel odwraca głowę. - Byłam u doktora Desplechina. Badanie kontrolne, wczoraj minęło sześć tygodni od porodu. - Wzrusza ramionami.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że się do niego wybierasz? Zawiózłbym cię.

- Są taksówki.

- Musimy kupić jeszcze jeden samochód. - Adam kręci głową. - To bez sensu, żebyśmy jeździli jednym.

- Zwłaszcza że to mój samochód? - Melania parska śmiechem. - Bez obaw, nie mam do ciebie pretensji. Dobrze, że spędziłeś trochę czasu z siostrą. Jak minęła jej podróż? Wszystko OK?

- Tak. Dziękuję.

- Jeszcze coś? - Otwiera książkę na stronie, na której zakończyła lekturę.

- Tak. Rozmawialiśmy ostatnio o...

- Wiem! - Pani Duvall natychmiast podnosi prawą dłoń i kilka razy macha nią w uspokajającym geście. - Wiem, jak mam się zachowywać, nie bój się, będę grzeczna.

- Skoro tak mówisz... - Harding wstaje i przez chwilę opiera wzrok na swojej żonie. - Nie powiesz mi, jak wypadło badanie? Wszystko w porządku?

- Tak. Zagoiło się idealnie. Desplechin powiedział, że nie widzi żadnych przeciwwskazań. Mam zielone światło: mogę zacząć współżycie płciowe - stwierdza kobieta z przekąsem. - Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

- Nie, to już wszystko, Mel...anio. - Adam nerwowo przełyka ślinę. - Dziękuję.

- Proszę.

Jego żona opiera głowę o poduszkę i ponownie pogrąża się w lekturze.

Dopiero gdy za mężczyzną zamykają się drzwi, pozwala sobie na bezsilne zaciśnięcie pięści...

Siostra Adama jest dziwnym, ładnym i bardzo bystrym stworzeniem. Mogłabym powiedzieć „stworzonkiem” - wszak ma dopiero piętnaście lat - ale nie powiem, bo jest ode mnie wyższa o głowę. Podobna do niego, zarówno z urody, jak i z charakteru. Mało się odzywa i jest zaprzeczeniem standardowej nastolatki: poważna, czasami nawet posępna (a może tak mi się wydaje?), ożywia się tylko na widok swojego brata, no i oczywiście Emmy.

Zostaję z małą w domu, a oni godzinami zwiedzają wybrzeże. Byli już w Cannes, a w planach mają Monako, Wyspę Świętego Honorata, Grass i Bóg wie co jeszcze. Czasem Adam jest zajęty i pracuje w swojej sypialni, a ona siedzi na patio z książką lub tabletem i czyta. Nieraz pływa albo spaceruje po ogrodzie. Ruth rzadko ze mną rozmawia, za to bardzo chętnie milczy w moim towarzystwie. Dobrze i to. Siadamy na łóżku, ja karmię małą, a ona się przygląda. Czasami wtrąci słówko, pogłaszcze dziecko po główce. Nie trzeba jej nic mówić, wystarczy, że raz coś zrobię albo o coś poproszę i już... Podaje pieluchę, pudełko z chusteczkami do mycia, kocyk.

Wie i przewiduje wszystko. Mistrzynie antycypacji.

Staram się. Jeszcze przed jej przyjazdem na kominku wylądowała nasza fotka ze ślubu. Ja i mój mąż - uśmiechnięci i radośni. Pozwalam całować się przy śniadaniu, czasami cmokam Adama w policzek. On wtedy czule obejmuje mnie ramieniem, ja z kolei zaciskam wszystkie mięśnie, żeby nie...

Żeby nie...

Nie wybuchnąć płaczem, który dusi w gardle i odbiera oddech? Nie rzucić mu się w ramiona? Nie uderzyć go w twarz za to, że kazał mi brać udział w tej mistyfikacji? Wszystko naraz i nic jednocześnie.

Zaglądam do pudełka lekarstwami. Znajduję xanax i zoloft: cudowny duet, który pokonałby lęki i trochę uciszył zwierzęce wycie mojego serca. Nie... Nie mogę. Karmię. Wrzucam dwie plastikowe buteleczki z powrotem. Muszą poczekać na lepsz- - gorsze czasy.

Czytałam kiedyś o oszukiwaniu mózgu. Ciekawe zjawisko: jestem przygnębiona, ale na siłę się uśmiecham. Usta wykrzywają się jak wtedy, gdy coś mnie bawi, ale oczy pozostają smutne, poważne... I co? Mózg (ponoć) wariuje. Myśli, że naprawdę mam się dobrze, wydziela porcję serotoniny i... Ta dam, jestem wesoła jak szczygiełek!

Niestety ta metoda na mnie nie działa. Staję przed lustrem i szczerzę zęby, lecz w środku wszystko płacze. Dlaczego nie potrafię mu wybaczyć?

Dlaczego nie chcę?! Bo raczej w tym problem... Nie wiem.

Może lubię hodować w sobie urazę, a może chcę sprawdzić, ile jeszcze zniesie mój mąż?

Gideon (świeć, Panie, nad jego duszą) opowiadał mi kiedyś o jednej z pracownic naszej kancelarii. Maria (przemiała, ciepła, z takiej rodziny, o jakiej marzy każde dziecko) zwierzyła mu się przy jakiejś okazji. Adoptowali z mężem małą dziewczynkę. Trzy latka, może cztery? Przez pierwsze kilka miesięcy było cudownie, a później zaczął się horror... Dziecko zrobiło się koszmarnie niegrzeczne, agresywne, gryzło ich i biło. Krzyczało nocami i nie dało odpocząć. Trwało to z pół roku.

Resztę historii poznałam już osobiście. Gdy pewnego dnia Maria przyszła do pracy z wielkim siniakiem na policzku, nawet nie musiałam pytać - kolejny wyczyn córeczki. Zbliżyłyśmy się do siebie, spędzałyśmy długie kwadransy przy ekspresie z kawą. Moja koleżanka była już na krawędzi, rozważała rezygnację z przysposobienia, próbowałam ją wspierać.

I nagle koniec. Wszystko się uspokoiło, malutka Luiza z powrotem zamieniła się w cudowną przylepę.

Spytałam Marię, dlaczego tak się stało, a ona wyjaśniła, że dziewczynka już raz przeżyła odrzucenie (przez biologicznych rodziców), więc żeby normalnie żyć, żeby czuć się bezpiecznie, poddała nową rodzinę próbie. Ponoć to normalne u adoptowanych dzieci, Maria żałowała, że nie wiedziała o tym wcześniej.

Adam mnie odrzucił. Na długo. Nie na całe życie, bo znów jest blisko, ale kiedy mnie zostawił, byłam pewna, że na całe. Ile jeszcze wytrzyma? Ile czasu ja potrzebuję, żeby uwierzyć, że on naprawdę chce ze mną być?

Nie wiem.

Dobrze, że Tonią pojechała odwiedzić rodzinę. Już widzę jej reakcję na całe to przedstawienie. Znając ją, prędzej czy później coś by palnęła i nasza gra pod tytułem *Szczęśliwe małżeństwo* zakończyłaby się totalnym fiaskiem.

Na czas pobytu Ruth Adam przeniósł się do mojej sypialni. To jakiś koszmar, dzisiaj nie zmrużyłam oka. Całą noc wpatrywałam się w okno i nasłuchiwałam. On na jednym skraju łóżka, ja - na drugim. Dwa razy szłam do Emmy. Wracając, stawałam w progu i patrzyłam, słuchałam

oddechu... Gdyby ktoś leciutko mnie popchnął, tak leciuteńko, o jeden mały kroczek... Nie oderwałabym się od Adama już nigdy. Umieram z pragnienia. Chcę, żeby się ze mną kochał. Wstrzymuję oddech, gdy przy śniadaniu cmoka mój policzek. Oddałabym rok życia, żeby choć przez chwilę być z nim blisko. Żeby poczuć go w sobie.

Fantazjuję o tym, że leżę i czekam, aż mnie zniewoli i ukarze...

Nie. Nie mogę o tym myśleć.

Gdy wstaję rano, boli mnie głowa. Dentysta stwierdził kiedyś, że mam tendencję do zaciskania zębów w czasie snu. „Bruksizm” - rzucił fachowy termin i zalecił spanie w specjalnej szynie. Oczywiście nie dałam rady zasnąć z tym gumowym czymś w ustach. Jakoś przeszło, ale czasami, gdy stres jest zbyt wielki...

- Co robisz? - Adam wchodzi do sypialni.

Biały podkoszulek i krótkie miękkie spodenki, wilgotne włosy, krople wody na skórze. Pachnie tak...

„Pytasz, co robię? Pragnę cię. Chcę się z tobą kochać. Marzę o tobie. Chcę, żebyś mnie przeleciał, pieprzył, rznął, posuwał...”

- Nic. Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Nie będziesz się niepotrzebnie budzić, to głupie urządzenie jest bardziej hałaśliwe niż ona. - Układam gruby rożek ze śpiącą Emmą dokładnie na środku wielkiego łóżka.

Może będzie lepiej, może łatwiej. Może głowa nie będzie tak boleć.

Emma mamrocze i posapuje, kołysze do snu jak najlepsza melodia. Trzymam malutką łapkę owiniętą wokół palca i jest mi tak dobrze...

- Mel, kocham cię... - Adam nachyla się nad moją twarzą.

Jego włosy muskają czoło, leciuteńki zarost ociera się o skórę, ciepłe powietrze oddechu łaskocze po policzkach obsypywanych delikatnymi pocałunkami.

Obejmuję go i mocno przytulam.

- Kochaj się ze mną, proszę. Tak bardzo cię pragnę.

Jestem naga, chcę, żeby zdjął z siebie wszystko, chcę go poczuć całym ciałem. Prostuję ręce i odsuwam go od mojego bijącego serca, rozpinam guziki koszuli. Przysiada i ją zdejmuję, a potem znów zawisa nade mną. Zamykam oczy, palce zaczynają wędrówkę po umięśnionych plecach, ale nie czuję gorącej skóry Adama. Opuszki z cichym szelestem przesuwają się po materiale... Przecież ją zdjął... Unoszę powieki, znów go widzę: ma na sobie

białą koszulę i TEN krawat, który kiedyś przy mnie poprawiał.

Zaczynam płakać, drżącymi palcami próbuję poluzować jedwabny węzeł. Jakoś się udaje. Znów guziczki pstrykają leciutko, wydostając się z dziurek, i znów koszula upada gdzieś blisko nas.

- Dlaczego nie chcesz się ze mną kochać? Jestem twoja... - szlocham kolejny raz, wiodąc dłońmi po gładkiej tkaninie. - Proszę, Kochaj się ze mną...
- kwilę jak dziecko. - Proszę, Kochaj się ze mną...

Adam leży i ze wszystkich sił stara się jednostajnie oddychać. Obudził się kilka minut przed Emmą. Nie otwiera oczu, udaje, że śpi. Dobiegają go odgłosy karmienia. Wsłuchuje się w nie całym sercem. Jeszcze nigdy nie był obecny w tym intymnym momencie.

W końcu nie wytrzymuje i ostrożnie podnosi powieki. Kobiece plecy wygięte w łuk, schylona z czułością głowa, delikatnie pomlaskujące maleństwo...

Kiedy Melania zaczyna lekko kołysać dzieckiem i cicho mrużyć jakąś bliżej nieokreśloną kołysankę bez słów, Harding przestaje oddychać. Zagryza wargi i szybko mruga, żeby powstrzymać napływającą falę. Nagle odwraca się gwałtownie na drugi bok, cicho stękając - jak człowiek, któremu śni się koszmar.

- Co się stało? - Staję w progu łazienki.

- Nic poważnego. Chyba jestem chory.

Widzę, że Adam ze skupieniem przegląda się w lustrze. Szeroko otwiera usta i badawczo wlepia wzrok w odbicie. - Co ci jest?

- Mam gorączkę. No i gardło... Boli jak diabli. - Chrząka kilka razy, a potem zanosi się kaszlem.

- Wczoraj nic ci nie było. - Wzruszam ramionami.

Próbuję sobie przypomnieć, czy w trakcie naszego burzliwego związku kiedykolwiek chorował, ale nic mi się nie kojarzy.

- Idź do lekarza. Może to angina.

- Nie... pewnie kilka dni i mi przejdzie. Zażyję aspirynę. Wystarczy.

- Uhm... - mrużę pod nosem.

- Dzwoniłem do Toni...

- I?

- Pytałem, co mogę wziąć. Powiedziała, że nie powinienem zbliżać się do Emmy.

Nagle coś mi świta. Patrzę w jego oczy, wyglądają jak zawsze, twarz też.

- Przeszkadzała ci dzisiaj w nocy, co? - Chcę dotknąć jego czoła, ale odsuwa moją dłoń. - Nie masz gorączki. Sprytnie to sobie wykoncypowałeś, panie Harding: Emma wróci do siebie, a ty... - Kręcę głową. - Jeszcze parę nocy i może by się udało?!

Gwałtownie nabiera powietrza.

- Mówisz przez sen! A ja... nie jestem z kamienia - kończy znacznie spokojniej.

Przełykam ślinę, bo już wiem, dlaczego to wszystko wymyślił.

- Adam... - Zagryzam wargi, gdy dociera do mnie, że był mimowolnym świadkiem nie tylko karmienia Emmy, ale i moich sennych majaków. - Przepraszam, że cię obudziłam - rzucam przez ściśnięte ze wstydu gardło.

- Nic się nie stało. Pytałem Tonie, czy mogę spać w jej sypialni. Zgodziła się, ale skoro uważasz, że jestem zdrowy, to niepotrzebne. Jeszcze tylko trzy dni i Ruth wraca do domu. Jakoś sobie poradzę, a teraz, jeśli pozwolisz... - Chwyta za klamkę.

Mój mąż ostentacyjnie przenosi się do salonu. Śpi na kanapie. Gdy wstaję rano i idę do kuchni zrobić kawę, czasami słyszę, jak postępuje. Pewnie jest mu ciasno. Za każdym razem, gdy wychodzi stamtąd, przeciągając się albo wynosząc pościel, czuję się jak ostatnia suka.

Ruth wieczorem wylatuje do Londynu, brat zawiezie ją na lotnisko. Od kiedy Adam i ja nie śpimy razem, dziewczyna chyba jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Wymieniamy tylko zdawkowe uprzejmości: „dzień dobry”, „Jak się masz?”, „dziękuję”, „proszę”, „mogłabyś zajrzeć do Emmy?”, „zjesz coś?”, „tak”, „nie”, „oczywiście”, „dobranoc”...

- Ruth, mogłabyś tu przyjść na chwilę? - wołam ją na patio.

Siedzę tu sama od dobrego kwadransa. Adam poszedł ćwiczyć, a Emma śpi.

- Słucham. - Staje w drzwiach.

„Ależ ty jesteś do niego podobna...” Zagryzam kącik ust, widząc, jak zachmurzyła czoło.

- Usiądź, proszę. - Wskazuję jej miejsce na sąsiednim fotelu. - Nie lubisz mnie - stwierdzam po chwili.

- Nie lubię.

- Wiem. - Wbijam wzrok w pustą filiżankę po kawie. Spodziewałam się

takiej odpowiedzi, ale i tak dotknęła mnie jak mocny policzek. - Ja cię lubię...

- Dziękuję, choć nie zależy mi na twojej sympatii.

- A na czym? - pytam, otrząsając się po drugim kubku zimnej wody.

- Mam nadzieję, że mój brat kiedyś będzie szczęśliwy. Z tobą lub bez ciebie.

- Przepraszam, że musisz na to patrzeć.

- Nie przepraszaj mnie. Przepraszaj jego. Nie zasłużył na takie traktowanie. Adam jest dobry... - Młodzieńczy głos odbija się od ścian domu bezkompromisowym brzmieniem.

- A ja zła. Ktoś musi być zły i padło na mnie. - Smętnie kiwam głową.

- Ty chcesz być zła. Lubisz być zła.

Nabieram powietrza przez zaciśniętą krtań, choć to niełatwe zadanie.

- Nie lubię... - wyrzucam w końcu gdzieś z samego dna rozżalonego serca. - Ale muszę, widzisz, czasami tak jest w życiu doros...

- Przestań! - Wzdragam się, gdy gwałtownie mi przerywa. - Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Przepraszam cię, ale jeśli to nic pilnego, chciałabym iść na górę. Muszę dokończyć pakowanie. - Ruth podnosi się i przez chwilę patrzy na mnie z góry lodowato błękitnym spojrzeniem.

Nie zatrzymuję jej. Zostaję sama, zrzucam klapki, podkulam stopy i opieram je o brzeg fotela. Schylam głowę, dotykam czołem kolan i kryję się przed całym światem. Gdy po godzinie słyszę w nadajniku radosne gaworzenie i unoszę twarz, przed oczami mam jedynie dwie owalne plamy na swoich lnianych spodniach.

Piękny czerwcowy poranek. Adam Harding wychodzi z domu przed siódmą, wsiada do auta i jedzie do centrum Sainte- Maxime. Na targu kupuje świeże owoce, kilkanaście maślanych croissantów, butelkę wina z okolicznej winnicy i ogromny pęk róż Gallica Officinalis. Choć wizualnie ta odmiana nie jest zbyt efektowna, zapach kwiatów rekompensuje to z nawiązką. Kiedy mężczyzna dociera do domu, cały samochód wypełnia słodki aromat niezliczonych purpuroworóżowych płatków.

Tonią i Ashley przyglądają się Adamowi z nieskrywanym rozbawieniem, gdy ten próbuje upchać kłujący bukiet do największego wazonu, jaki znalazł. Wkrótce pęk bezpiecznie tkwi w kryształowej wazie i roztacza upojny zapach po całej jadalni.

Kwadrans później Melania schodzi na śniadanie i od razu zauważa

kwiaty, półmisek z rogalikami oraz białe wino. Jej policzki natychmiast pokrywają się rumieńcem, bo właśnie sobie przypomina, co wydarzyło się równy rok temu.

- Dzień dobry! - Ashley uśmiecha się promiennie. - Dobrze, że wstałaś. Może ty nam zdradzisz, z jakiej to okazji? - Wskazuje zastawiony stół.

- Cześć. - Jego siostra nerwowo poprawia poły szlafroka. - Musisz spytać osobę, która to przygotowała - wzdycha, podchodząc nieco zbyt energicznie do szafki z ekspresem.

- Pytaliśmy - chichocze Tonią.

- I co wam ten ktoś odpowiedział?

- Że to z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka Afrykańskiego. Tak to chyba było? - Ashley lekko unosi brwi i porozumiewawczo zerka na siedzącego tuż obok Adama.

- Dokładnie tak. Święto to obchodzone jest od dziewięćdziesiątego pierwszego roku. - Szwagier Ashleya kiwa głową.

- Świetnie. - Mel stawia kubeczek z kawą tuż obok półmiska z owocami i podchodzi do brata. Przez krótką chwilę przytula policzek do jego twarzy.

- Też tak sędzę. - Na ustach Adama błąka się delikatny cień uśmiechu.

Melania siada przy stole, wrzuca do kawy kostkę cukru i zaczyna mieszać zawartość kubeczka lekko drżącą dłonią.

- Naprawdę miło z twojej strony, że o tym pamiętasz. - Rzuca mężowi obojętne spojrzenie.

- Miałem nadzieję, że to docenisz. - Adam lekko skłania głowę.

- E... wiecie co? Chyba pójde zobaczyć, co u Emmy. - Tonią wychodzi z jadalni, mamrocząc pod nosem coś o dziwacznych obyczajach niektórych Amerykanów.

I mieszkamy razem. Wiedziałam, że tak będzie! Najpierw trzy tygodnie, później kolejna umowa na czas określony: „Wyniosę się po wyjeździe Ruth”. OK, zgodziłam się, bo Emma ciągle dawała czadu, a ja, jak Christina Ricci w filmie *Życie po życiu*, nie wiedziałam, czy żyję, czy też jestem jedynym na świecie przypadkiem karmiącego piersią zombie.

Siostra Adama wyjechała, ale... tydzień później z zapowiedzianą wizytą wpadł Ashley. Został na dziesięć dni, żeby wylizać rany, które zadała mu Anitka podczas sprawy rozwodowej. Na szczęście mój braciszek nie zamierzał wnikać, co i jak się dzieje w państwie duńskim. Połowę czasu spędził ze mną, zwiedzając okoliczne miasteczka, a drugą - z moim małżonkiem, prowadząc przy winie niekończące się dyskusje o rynku pasz,

rolnictwie, krowach i innych cielętach.

Czerwiec się kończy i Adam ciągle tu jest. Został przez zasiedzenie, i to w złej wierze! Dobrze wie, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo...

Sama się okłamuję. Nie pozwoliłabym mu odejść, ale on nie musi o tym wiedzieć, bo i po co? Owszem, jestem podła, ale nie mogę inaczej. Im dłużej mieszkamy razem, tym mocniej się do niego przywiązuję (nie wspominając o Emmie). Już nie wyobrażam sobie życia w innym układzie, ale... No właśnie, zawsze musi być jakieś „ale”.

Cieszy mnie, gdy widzę, jak czasem wodzi za mną oczami, aleja również się skręcam, patrząc na niego...

Gdy wychodzi z basenu i wyciera ręcznikiem tors...

Gdy wraca z plaży z udami pokrytymi migoczącym jak brokat piaskiem...

Gdy nosi Emmę na rękach i ją całuje...

Gdy wchodzę do łazienki w suterenach i niechcący widzę go w wersji *saute*, bez najmniejszego śladu odzieży...

Kto mieczem wojuje, może dostać w dupę klingą, pani Duvall.

Oboje pracujemy: ja - do południa, a on - wieczorami. Czasami wyjeżdża na parę dni. Snuję się wtedy po pokojach, brakuje mi jego głosu, zapachu, śmiechu.

Zdaniem Toni „w domu powinien być chłop” i basta. Ja odpowiadam, że jest członkinią „kościółka byle jakich portek”, a ona kwituje, że „choćby pił, choćby bił (hm, to akurat mi nie wadzi), byle był”, i wybucha śmiechem. Takie gadki odchodzą oczywiście tylko wtedy, gdy jesteśmy same, ewentualnie w towarzystwie butelki wina. Co jak co, ale mój mąż nie potrzebuje kolejnych argumentów, żeby wierzyć w wyższość męczyzn nad kobiecym rodem.

Trzy dni temu wrócił z kolejnych wojaży po Ameryce. Coś tam kupił, jakieś setne pola pod tysięczną uprawę milionowego egzemplarza kukurydzy, coś sprzedał, chyba ziemniaki. Albo podpisał umowę na dostawę pasz dla kolejnych holenderskich krówek? Nie wpytyuję.

I tak wiem, że cały ten gigantyczny majątek, który - jak by powiedziała Jess - rośnie w tempie gastronomicznym, trafi kiedyś do rąk mojej córki. Ta świadomość w zupełności mi wystarcza. No i nie mam ochoty ciągle słyszeć: „Kate to, Kate tamto”, „Kate załatwiła”, „Kate zorganizowała”... Tia... Jeszcze niech powie, że zesrała się na różowo! Nienawidzę tej baby. Sprawdziłam w Google. Młodsza! Inteligentna! Wykształcona! Ładna! Nawet rzekłabym, że bardzo. Wysoka i szczupła czarnula, piękna mimo

kompletnej abnegacji. Na wszystkich fotkach ubrana w jakieś rozmemłane ciuchy, dobrane bez ładu i składu. Gdyby ją tak podpicować, pobiłaby każdą miss Wenezueli. Na dodatek jest wyluzowana, dzwoni do Adama o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Czasami gadają przez kamerkę! Mój nagi mąż (przecież bokserki się nie liczą) siedzi na łóżku (widziałam przez szparę w drzwiach) i dyskutuje ze swoją eks. I nie uspokaja mnie fakt, że byli razem tylko parę miesięcy! Po ostatniej wizycie w Nowym Jorku dwa razy się pomylił i powiedział do mnie „Kate”. O ile na pierwsze przejęzyczenie (bo to na pewno było zwykłe przejęzyczenie, a nie freudowska pomyłka!) nie zareagowałam, o tyle drugi raz nie przeszedł bez echa. Do dzisiaj mam przed oczami minę Toni, gdy przysłuchiwała się, co myślę o „kejtowaniu” pod moim dachem. Zasugerowałam Adamowi (ogłędnie mówiąc) szybki powrót na łono Wuja Sama, skoro tak tęskni za swoją przyjaciółką - lub raczej „przeleciółką”. Ślicznie mnie przeprosił, a w ramach pokuty otrzymał zakaz: imię tej pani miało już nigdy nie paść w mojej obecności. I tak się dzieje. Kiedy oglądałyśmy z Tonią którąś z rzędu powtórkę filmu *Kate i Leopold* (uwielbiam go, zwłaszcza teraz, na obczyźnie), Adam ostentacyjnie wszedł do salonu i wyłączył telewizor. Boże! Tonią prawie się posikała, widząc moją minę, zresztą ja też się śmiałam, ale dopiero pod prysznicem, żeby nikt nie słyszał...

Gorąco jak w piekle albo w piecu do pizzy. Emma marudna. Moja nieoceniona niania stawia na ząbkowanie lub upał, lub na nie wiadomo co. Na szczęście (albo nieszczęście - bo szkoda mi tej intymności) już nie karmię i Tonią może mnie zmieniać w nocy. Adam wrócił trzy dni temu i natychmiast znów mi się naraził.

Przedwczoraj po drugiej stronie ogrodzenia wydarzyła się grecka tragedia. Nasza sąsiadka - czyli dwudziestoparoletnia Rosjanka, Barbara Władimirowna coś tam... coś tam... (nazwisko niewymawialne), stanowiąca własność pana jakiegoś tam... (nieprawdopodobnego parweniusza i buraka), właścicielka psa rasy york o wdzięcznym imieniu Rubel - przybiegła z tym ostatnim na naszą posesję i zakłóciła nam sjęstę.

Jej krzyk słychać było z pewnością nawet w pałacu książęcym w Monako. Darła się jak opętana, używając tak skomplikowanych struktur lingwistycznych, że prawie nikt nie nadążał.

Miała farta, że Adam cierpi na poliglotyzm stosowany i od razu załapał.

Cóż się stało? Otóż Rubel połknął piłeczkę do golfa!

Mój mąż, rzecz jasna, zachował się niczym David Hasselhoff w *Słonecznym patrolu*. Wyskoczył zza stolika, podbiegł do zrozpaczonej kobiety, wyrwał z jej objęć udrećzone zwierzę i palnął je tak skutecznie, że piłka wyskoczyła jak z procy. Rubel uratowany!

Ta durna baba (choć to nieco krzywdzące określenie, bo wygląda jak z okładki i ponoć jest po studiach) prawie zrobiła Adamowi laskę. Wisiała na jego szyi dobre pięć minut i dziękowała jak zbawcy świata. Oczywiście po rosyjsku i oczywiście nikt oprócz pana Hardinga nic nie rozumiał. Boże! Myślałam, że znajdę tę nieszczęsną piłkę i wsadzę jej do gardła, żeby wreszcie się zamknęła. W końcu poszła, ale co z tego, skoro dzisiaj po południu znów nas odwiedziła! Z gigantycznym, piętrowym tortem wniesionym przez dwóch chłopaków, wykonanym na zamówienie w największej marsylskiej cukierni.

Fantazyjny wypiek w barwach naszej flagi, ozdobiony marcepanową figurką przedstawiającą Statuę Wolności, zajmuje pół stołu w jadalni. Noż kurwa! Piękna niespodzianka na Dzień Niepodległości!

Zjadam kawałek, żeby nie wyjść na prostaczkę, choć nasza sąsiadka to ostatnia osoba, której opinią bym się przejmowała. Chwilę siedzimy w piątkę, a później Tonią jedzie do siebie, a ja zwijam żagle z Emmą.

Jakoś udaje mi się ją uspić, jednak zajmuje to ponad godzinę. W tym czasie mój małżonek bawi się w najlepsze przy basenie, pijąc drinki i dyskutując po rosyjsku ze śliczną Barbarą. Widzę ich przez okno sypialni. Śpiewają?! Tak! Choć nie mogę w to uwierzyć, śpiewają coś po rosyjsku!

Po cichu uchylam okno. Nie wiem, co to za melodia, ale jest piękna i na pewno kiedyś ją słyszałam. Dopiero gdy Adam głośniejszym wykrzykuje słowa refrenu, poznaję *Podmoskiewskie wieczory*. Znam tę pieśń (bo raczej nie piosenkę) z jakiegoś filmu... Zagryzam wargi, głos mojego męża brzmi tak, że od razu czuję łzy pod powiekami. Nawet ta pusta lalka dotrzymująca mu towarzystwa jest wzruszona. Widzę, że kołysze się do smętnej melodii jak fani na koncertach Metalliki. Niespodziewanie robi mi się żal tej dziewczyny. Pewnie czuje się tu bardzo samotna. Jej mąż rzadko przyjeżdża, a ona siedzi sama jak ptaszek w złotej klatce, pilnowana na każdym kroku przez trzech byczków. Dobrze, że chociaż do nas nie musi ich zabierać.

Już mam do nich zejść, ale wtedy Adam kończy śpiewać, obejmuje Barbarę ramieniem i coś jej mówi do ucha. Śmieją się, a potem ona cmoka go w policzek...

Harding budzi się o północy. Obraca się na łóżku, ale sen nie wraca. W końcu mężczyzna wstaje, idzie do kuchni, otwiera lodówkę i wyciąga puszkę piwa. Podchodzi do okna, powoli pijąc lodowaty napój. W domu jest cicho jak makiem zasiał. Cicho i nieprawdopodobnie duszno. Adam uchyla jedną z kwater i próbuje zaczerpnąć świeżego powietrza znad morza, jednak słońce zbyt mocno grzało w ciągu dnia i na zewnątrz jest cieplej niż w środku.

Nagle ciszę przerywa delikatny dźwięk, coś jak skwierczenie jedzenia smażącego się na patelni. Mężczyzna na moment zastyga w bezruchu, po czym stawia puszkę na stole i wyrusza na poszukiwania źródła niepokojącego odgłosu.

- Co tu robisz? - Wchodzi na patio i zatrzymuje się przy stoliku. - Melanio, co robisz?

Wlepia wzrok w swoją żonę, która siedzi na jednym z foteli i trzyma w dłoni metalowy drucik. To zimne ognie. Jasne iskry rozsypują się wokół ręki.

- Hej, co robisz? - Adam ponawia pytanie.

- Nic. Możesz mnie zostawić? - szepcze Melania.

Dopiero teraz mężczyzna zauważa kilka drobiazgów: kieliszek, opróżnioną do połowy butelkę z szampanem i nadajnik elektronicznej niani. Z uszu kobiety zwisa cieniutki kabel od słuchawek, a na kolanach leżą iPhone, paczka sztucznych ogni i zapalniczka. Ale nie to porusza Adama. W świetle maleńkiego fajerwerku widać, że oczy jego żony wypełnione są łzami.

Gdy ostatnia iskierka gaśnie, Harding przysiada na sąsiednim fotelu.

- Czego słuchasz?

- Prosiłam cię o coś. - Mel podnosi stopy, opiera je o brzeg fotela i skrywa twarz między kolanami. - Zostaw mnie.

Mężczyzna przez chwilę tkwi nieruchomo, w końcu wyciąga dłoń w stronę żony. Ostrożnie chwyta jedną z słuchawek, kobieta nie oponuje, ale jej ciałem zaczynają wstrząsać nieudolnie tłumione łkania. Adam nachyla się i wkłada maleńką słuchaweczkę do ucha. Gdy rozpoznaje cicho wybrzmiewające takty utworu *Absolute beginners*, przełyka ślinę. Piosenka się kończy i zaczyna na nowo...

Harding wyjmuje słuchawkę, sięga po butelkę i próbuje odczytać etykietę. Wprowadzie to nie Krug Rosę, lecz wino jest różowe.

Butelka wraca na poprzednie miejsce. Adam na krótko zakrywa usta.

- Mel... przepraszam... - mówi cicho. - Przepraszam.
- Proszę, zostaw mnie...
- Nie chciałem sprawić ci przykrości. - Mężczyzna bezradnie zaciska dłoń na poręczy fotela.

Melania milczy, po omacku znajduje drugą słuchawkę i wkładają z powrotem do ucha, po czym jeszcze mocniej obejmuje ramionami swoje nogi...

Już od prawie dwóch miesięcy monsieur Jambon przyjeżdża pod dom Melanii peugeotem 307. Kupił go rok temu, po narodzinach kolejnego dziecka. Na tylnej kanapie umieścił trzy foteliki, a madame Jambon ozdobiła szybę specjalną naklejką, która informuje, że samochodem podróżuje spora grupka maluchów.

W każdy wtorek i czwartek, między czwartą a szóstą po południu, platynowe kombi stoi pod bramą posesji, a jego właściciel, przystojny trzydziestoletni Francuz, próbuje wtłoczyć w głowę swojej uczennicy podstawy francuskiego.

Dwie pierwsze lekcje odbyły się w ogrodzie, jednak z powodu nieznośnych upałów Melania zdecydowała o przenosinach do niewielkiego klimatyzowanego gabinetu na parterze. To jej biuro: przytulne i wygodne, ze sporym biurkiem, biblioteczką, dwoma fotelami i niskim stolikiem, przy którym najczęściej odbywają się zajęcia.

Adam podchodzi do lekko uchylonych drzwi i słucha żony recytującej wiersz służący do ćwiczeń wymowy.

*Il etait une fois,
Une marchande de foie
Qui vendait du foie
Dam le ville de Foix...*

Gdy Melania zaczyna drugi wierszyk, nauczyciel nagle przerywa, nachyla się i mówi jej coś do ucha. Kobieta parska zduszonym śmiechem, po czym równie cicho odpowiada. Delikatna dłoń łąduje na plecach wysokiego blondyna i przez chwilę, która wydaje się Adamowi zdecydowanie zbyt długa, delikatnie głaszcze białą tkaninę opiętej koszuli.

Marcel Jambon zdejmuje rękę Melanii i wkłada jej wskazujący palec do ust. Uczennica lekko zagryza na nim zęby i ponownie czyta wiersz.

*La chanson d'un dadaïste
qui avait dada au coeur
fatigue trop son moteur
qui avait dada au coeur...*

Francuz z zadowoleniem kiwa głową i prosi Melanię, żeby powtórzyła całość. Ta na moment wyciąga palec i ostentacyjnie oblizuje wargi. Kiedy druga tura recytacji się kończy, nauczyciel rzuca komplement, a później znów coś szepcze swojej podopiecznej.

Adam od dobrych dziesięciu minut stoi ukryty za drzwiami i obserwuje sytuację. Nagle zaczyna dzwonić jego komórka, a Marcel i Mel jak na komendę odwracają głowy. Harding zerka na żonę: wyraźnie się zarumieniła, a w jej oczach maluje się coś na kształt tryumfu.

- Przepraszam - mówi Adam, wyjmując telefon i błyskawicznie odrzucając połączenie. - Czy znajdzie pan dla mnie parę minut? Chciałbym z panem porozmawiać. - Nerwowo chrząka. - Oczywiście gdy już skończycie.

- A w jakiej sprawie? - Pani Duvall uśmiecha się ironicznie.

- Nie muszę ci się tłumaczyć, ale powiem. Mam parę wątpliwości w kwestii stosowania form rodzajnika ściągniętego. - Harding przymruża oczy. - *J'espere que ca ne vous posera pas de gros soucis?** - znów zwraca się do Francuza.

- Jasne. W zasadzie już skończyliśmy - odpowiada Jambon płynną angielszczyzną, spoglądając na zegarek.

Melania przez moment zastanawia się, co zrobić, w końcu podnosi się z fotela i opuszcza gabinet. Adam natychmiast zajmuje miejsce za biurkiem.

- *Comment puis-je vous aider?** - Korepetytor poprawia się na fotelu.

- *Avant de discuter, puis-je voir votre contrat, s'il vous plait? Je ne cache pas, je serais interesse pour une eventuelle collaboration*.*

Jambon na chwilę zastyga w bezruchu, zaskoczony obrotem sprawy, a potem otwiera skórzaną teczkę, wstaje i z uśmiechem podaje dokument.

Harding przez minutę uważnie studiuje umowę, zwracając szczególną uwagę na ustalenia co do stawki za godzinę lekcyjną i daty.

- *Je comprends. Encore quatre mois?** - Podnosi wzrok na blondyna stojącego przed biurkiem. - *Ce contrat se termine avant les fetes de Noel** -

Kiwa głową, potakując sam sobie.

- *Que faites-vous?!** - Zszokowany Francuz patrzy na Adama, który zaczyna targać dokument na strzępy, po czym wyrzuca je do kosza na papiery.

- Proszę się uspokoić. - Głos Hardinga brzmi jak u wojskowego wydającego rozkaz. - Zaraz wyjaśnię. – Mąż Melanii wyjmuje portfel z kieszeni spodni. - Mam tu jeden blankiet - rzuca pod nosem i błyskawicznie wypełnia czek.

- *Qu'est- ce que ce est?** - Blondyn wytrzeszcza oczy.

*(fr.) Czy znajdzie pan dla mnie parę minut? Chciałbym z panem porozmawiać

* (fr.) W czym mogę pomóc?

* (fr.) Zanim porozmawiamy, mam prośbę: czy mógłbym zobaczyć pana

umowę? Nie ukrywam, że jestem zainteresowany ewentualną współpracą.

* (fr.) Rozumiem. Jeszcze cztery miesiące?

* (fr.) Umowa kończy się przed świętami Bożego Narodzenia?

* (fr.) Co robisz?!

* (fr.) Co to jest?

- To pana honorarium za pozostałe cztery miesiące plus odszkodowanie, które musi pan zwrócić mojej żonie za zerwanie umowy, oraz drugie tyle jako dodatek motywacyjny ode mnie - wyjaśnia Adam, warcząc gardłowo. - Koniec lekcji, panie Jambon. Napisze pan rezygnację, włoży do koperty razem z kasą i wyśle pocztą. Zrozumiał mnie pan czy mam powtórzyć w pana rodzimym języku?

- Nie zamierzam tego przyjąć. - Francuz zerka na blankiet. - Zawarłem umowę z panią Duvall, nie z panem, więc tylko pani Melania i ja będziemy decydować o tym, kiedy nasza współpraca się skończy. A teraz pozwoli pan, że się oddalę. - Mężczyzna odwraca się na pięcie.

- Poczekaj! - Harding wyskakuje zza biurka i chwyta blondyna za ramię. - Nie życzę sobie, żebyś nadal uczył moją żonę. Rozumiesz? Weźmiesz ten czek i się pożegnamy.

- Z tego, co mi wiadomo, to dom Melanii, a ty nie masz tu nic do gadania. - Marcel lekkim szarpnięciem wyswobadza się z uścisku.

Mężczyźni mierzą się wzrokiem, w końcu Adam nie wytrzymuje.

- Nie wiem, co ci naopowiadała, lecz jeśli wierzysz w jej bajeczki o

otwartym małżeństwie i tak dalej, jesteś w błędzie. Moja żona jest chora, ma problemy z psychiką.

- Robisz z niej wariatkę? Żalotne. - Francuz z politowaniem kiwa głową.

- To ty jesteś żalotny, bo dajesz się wmanewrować w jej gierki.

- Żadne gierki. Kochamy się.

- Co? - Mąż Melanii łapie się za czoło i wybucha głośnym śmiechem. - Powiedziała ci to? Nie wierzę!

- Nie musiała. Wystraczy jej posłuchać. Nie jest z tobą szczęśliwa, Harding.

- 1 zamierzasz ją pocieszyć?

- A co, jeśli tak?

- Powodzenia, ale nie pod tym dachem.

- Bo? - Francuz impertynencko wykrzywia usta.

- Widzę, że masz w dupie zasady i swoją rodzinę, ale nie każdy tak ma. Jeszcze raz cię tu zobaczę i dostaniesz po mordzie. A teraz wypad. Bierzesz czek? - Adam lekko przechyla głowę. - Pamiętaj o rodzinie - dodaje cynicznym tonem.

Marcel Jambon chwilę się zastanawia, w końcu zabiera blankiet i wkłada go do kieszeni spodni.

Jestem wkurwiona. Nie mogę znieść powłóczyстых spojrzeń, którymi Tonią obrzucała Adama przy obiedzie. Żeby chociaż on nie reagował.., Ale nie! Nie może być zbyt pięknie. Mój mąż (wprawdzie tylko na papierze, lecz jednak mąż!) gapił się na nią i uśmiechał, żartując z sąsiadów. Razem komentowali ich ostatni nabytek, czyli jakieś głupie włoskie auto w idiotycznie różowym kolorze: „Barbara Cartland? Czy tu mieszka Barbara Cartland...? Nie! Tu mieszka Barbara Władimirówna...”. Swoją drogą, z nią też mam na pieńku, głupia pinda z jeszcze głupszym psem, śliniąca się do Adama za każdym razem, gdy go widzi!

Przy stole zawsze zajmujemy te same miejsca: mąż u szczytu, ja po prawej, Tonią z Emmą (jeśli mała akurat nie śpi) po lewej. Jakoś tak się utarło, nawet nie wiem, kiedy zaczęliśmy traktować ten układ jak coś niezmiennego. Nie przeszkadzał mi, jednak dzisiaj ci dwoje przegięli. W trakcie posiłku Adam zerknął na mnie może pięć razy. Odzywał się tylko wtedy, gdy poprosiłam o podanie przypraw i nalanie lampki wina. Resztę czasu spędził na pogawędce z opiekunką, oczywiście nie zaniehbując dziecka. Na szczęście Antonia opuszcza nas tradycyjnie po dziewiętnastej, wróci dopiero w poniedziałek rano. „Dobrze, że mamy choć tyle

prywatności!" - sarkam w duchu, gdy zamykają się za nią drzwi.

Wiem, że jestem niesprawiedliwa. Tonia jest po prostu miła, jej spojrzenia są normalne, a Harding zasadniczo mógłby ją nawet przelecieć, bo dałam mu takie prawo.

- Pierdolone otwarte, platoniczne gówno! - mamroczę pod nosem. - Sama takiego małżeństwa chciałaś, więc teraz się raduj, idiotko!

Przechodzę przez dom i zerkam do ogrodu: Adam zajmuje się Emmą. Leżą pod wielkim parasolem, na błękitnym kocu z miękkiego polaru, a ojciec mojej córeczki próbuje zjeść jej dłoń. Słyszę, że bardzo ich to bawi. Jest już dosyć późno, ale wrześnieowe słońce ciągle nie daje za wygraną, choć temperatura zdecydowanie zelżała.

Mój towarzyski małżonek ostatnio przestawił się na sportowy tryb życia. Dużo ćwiczy, pływa i całymi dniami chodzi w opiętych koszulkach, wygodnych spodniach od dresu i adidasach. Zapuścił włosy i najczęściej spina je w małą kitkę nad karkiem, goli się raz lub dwa w tygodniu i wiecznie paraduje z seksownym trzydniowym zarostem. Gdy go poznałam, uważałam, że jest wprost stworzony do garniturów, lecz teraz zmieniłam zdanie. Adam wygląda luzacko i ponętnie (pod miękką tkaniną spodni często widzę zarys klejnotów), a przy tym bardzo młodo.

Czuję się przy nim stara i nieatrakcyjna - może dlatego postanawiam się przebrać. Kilka minut stoję przed otwartą szafą, w końcu znajduję śliczną turkusową sukienkę. Po chwili namysłu sięgam do szuflady i wyjmuję parę stringów. Są w podobnym odcieniu, wysoko wycięte i uszyte z połyskującej satyny. Nie pamiętam, kiedy miałam na sobie podobne majteczki, Od ponad roku noszę wyłącznie zwykłe, bawełniane figi.

Szybko zrzucam białą bluzkę o nijakim fasonie i dżinsowe szorty. Kiedy staję nago przed lustrem, znów nie mogę się oprzeć i biorę w dłoń niewielkie lusterko, żeby zobaczyć swoje odbicie z tyłu.

Obracam się plecami w stronę wielkiej tafli. Ciągle wyraźnie je widać: trzy wąskie blizny po uderzeniach zadanych palcatem. Pierwsza, najbardziej wypukła, biegnie od lewej łopatki do okolic lędźwi. Druga - równoległa, jakieś trzy cale niżej. Trzecia, najgrubsza i najciemniejsza, przecina oba pośladki.

Odkładam lusterko i rozpuszczam włosy. Dobrze, że chociaż z nich jestem naprawdę zadowolona. Nie muszę rozjaśniać odrostów, słońce robi to znacznie lepiej niż mój nowojorski fryzjer - systematycznie i delikatnie. Przez moment rozważam wzięcie szybkiego prysznic, ale odpuszczam. Delikatny zapach potu plus naturalne feromony to najlepszy afrodyzjak. Do

tego kropelka perfum i spryskanie ciała olejkiem w sprayu. Po wszystkim szybko zakładam majtki i sukienkę.

Kiecka prezentuje się świetnie: marszczony karczek opina piersi (które po karmieniu zrobiły się znacznie pełniejsze), lekko falująca wiskoza opływa biodra i kończy się tuż za tyłkiem. Żeby efekt był jeszcze bardziej spektakularny, projektant pozbawił sukienkę pleców i zastąpił materiał dwiema krzyżującymi się szeleczkami.

To bardzo seksowny ciuszek, chyba każda kobieta ubrana w coś takiego czuje się jak słodki kociak, który zwiął z sesji zdjęciowej do magazynu Hugh Hefnera. Kupiłam ją ze trzy lata temu w jednym z nowojorskich butików. Oczywiście pod wpływem impulsu (nazywał się Jessica), bo sama raczej bym się nie zdecydowała na odzież roboczą dla dam do towarzystwa.

- No to teraz zobaczymy, panie Harding... - chichoczę do siebie, wychodząc z łazienki.

- Najwyższy czas na kąpiel. - Melania staje nad kocem, na którym leży jej ukochana córeczka.

- Dzisiaj moja kolej. - Adam podnosi dziecko i dopiero gdy się prostuje, zauważa, że jego żona się przebrała. - Ładnie wyglądasz - komplementuje niby od niechcenia, ale to tylko pozory. Przelatuje oczami po odsłoniętym ciele i z wrażenia nerwowo przełyka ślinę.

- Dziękuję. Zawsze mi było dobrze w takim kolorze.

Melania odwraca się i powoli idzie w stronę tarasowych drzwi. Nie widzi Adama, ale jest pewna, że zauważył wszystko: bliznę, majtki prześwitujące przez cienką tkaninę i kołyszące się zmysłowo biodra.

W czasie kąpieli pani Duvall znów pozwala sobie na małą prowokację: przytula otuloną ręcznikiem córkę do piersi. Delikatne włoski Emmy moczą materiał opinający wydatny biust.

- Jesteś taka słodka, moja misiu. - Mel całuje ją w czoło, a potem oddaje dziecko ojcu.

Męskie spojrzenie łąduje na sterczących brodawkach, bardzo wyraźnie widocznych przez tkaninę.

- Nakarmię ją i ułożę. - Harding odwraca wzrok.

Usypianie Emmy trwa około kwadransa. Adam przez chwilę patrzy, jak jego córka spokojnie śpi w maleńkim łóżeczku.

- Co mam zrobić? Powiedz mi, córeczko. Jak mam przebłagać twoją mamę... Tak bardzo was kocham. - Mężczyzna zagryza dłoń zwinętą w

pięść.

Melania zrywa się z fotela, gdy tylko słyszy odgłos ostrożnie zamykanych drzwi sypialni Emmy. Klęka przed sofą i czeka na męża. „Czas na akt drugi przedstawienia...” - myśli i uśmiecha się z przekąsem.

Harding staje przy wejściu do salonu.

- Co robisz? - Głos mężczyzny drży, a oddech przyspiesza: jego śliczna i ciągle nieosiągalna żona tkwi schylona z lekko wypiętą pupą. Spod krawędzi sukienki wystaje fragment pośladka z wyraźnie odznaczającą się blizną po dawnych igraszkach.

- Och, nic! - Melania prostuje się gwałtownie. Ma zarumienioną twarz, przez pół minuty schylała się między niską ławą a kanapą. - Ulubiona zabawka Emmy wpadła pod sofę i chciałam ją wyciągnąć.

- Wstań. Ja znajdę.

Adam czuje, że uprawianie sportu, którym próbuje od dłuższego czasu tłumić narastające pożądanie, to zbyt mało. Wystarczyła minuta i cały misterny plan zachowania samokontroli legł w gruzach. Harding koniecznie chce zrobić coś, co pozwoli mu chociaż trochę się opanować, więc szybko podchodzi do ciężkiej kanapy i odsuwa ją jednym pociągnięciem. Czerwona piłka turla się po parkiecie.

- Proszę.

Gdy Adam podaje zabawkę Melanii, ich palce na ułamek sekundy się stykają. Przez ciało mężczyzny przebiega dreszcz.

- Pójdę ją umyć. - Kobieta zabiera piłeczkę i idzie do kuchni.

Tam spontanicznie wymyśla akt trzeci. Zdejmuje klapki, stawia krzesło tuż przy kuchennych meblach, wspina się i otwiera drzwiczki narożnej szafki. Grzebie w niej bez większego przekonania, po czym specjalnie strąca jeden z przedmiotów. Szklana butelka uderza o płytki i rozpryskuje się na kilkadziesiąt kawałków.

- Co się stało?! - Harding natychmiast staje w drzwiach.

- Nie wchodź! Pełno szkła! - Pani Duvall wychyla się zza drzwiczek i ostrzegawczo wskazuje na podłogę.

- Mel, nic ci nie jest? Czego szukasz tym razem?! - Mężczyzna znów się zdenerwował. Jak może się uspokoić, skoro przed oczami ma kolejny interesujący widok: nagie uda w całej okazałości i bieliznę lekko widoczną spod sukienki.

- Melanio... - Kobieta tradycyjnie poprawia męża, który użył poufalej formy jej imienia. - Nic. Szukałam środka do dezynfekcji i zrzuciłam

niechcący butelkę ze spirytusem. - Wzrusza ramionami.

W powietrzu unosi się ostra woń czystego alkoholu. Odłamki ciemnobrązowego szkła pokrywają całą posadzkę.

- Trzeba to posprzątać. - Adam rozgląda się po kuchni.

- Podaj mi klapki. Zaraz to zrobię.

- Mają zbyt cienkie podeszwy, no i w środku jest pełno okruchów. - Odsuwa stopą gumowe japonki. - Przeniosę cię. - Podchodzi do Melanii, pod jego butami chrzęszczą fragmenty szkła.

- Nie. Przynieś mi z holu inne.

- Nie mogę cię dotknąć? - Mężczyzna staje przed żoną. Oczy ma wlepione w górną krawędź sukienki.

- Wiesz, że nie. Mieliśmy umowę.

- To po co to robisz? - Adam podnosi wzrok. Patrząc na sterczące brodawki, które przebijają przez ciągle wilgotną tkaninę, oddycha coraz szybciej.

- Co?

- Prowokujesz mnie.

- Ja ciebie? Chyba żartujesz, Harding. - Głos Melanii brzmi bardzo nieprzyjemnie.

- Dlaczego się przebrałaś? - Jej mąż stara się mówić łagodnie, ale aż go skręca z usilnie tłumionej wściekłości i pożądania.

- Bo oblałam sokiem bluzkę, którą nosiłam od rana?

- Nie masz innych ciuchów?

- Przecież sam stwierdziłeś, że ładnie wyglądam. O co ci chodzi? - Pani Duvall spogląda na małżonka spod lekko przymrużonych powiek i kpiarsko się uśmiecha, ale jej też udzieliło się napięcie. Między nogami cieknie delikatna strużka potu, a piersi unoszą się coraz szybciej.

- Bieliznę też pochlapałaś?

- Tak. - To już brzmi jak impertynencja.

- I gdybym teraz poszedł do twojej łazienki, znalazłbym w koszu te ubrania?

- Chyba nie zamierzasz mnie sprawdzać?!

- Mel... - Adam zamyka oczy, bierze głęboki wdech i nieśmiało dotyka ud kobiety.

- Melanio! Nie mów do mnie Mel! Zabierz ręce!

- Nie. Jesteś moją żoną. Mogę cię dotykać. - Wtula twarz w płaski brzuch.

- Przestań! - Ona odpycha jego głowę. - Proszę, puść mnie!
- Nie przestanę!
- Puść mnie!
- Nie!!!

Szarpią się przez moment, w końcu Adam obejmuje Melanię, przerzuca ją przez ramię i niesie przez wąski korytarz, nie zważając na to, że jego zakładniczka krzyczy, wierzga i bije go pięściami po plecach.

Harding wspina się po schodach i wraca do swojej sypialni. Tam zdejmuje buty i układa prawowitą małżonkę na środku wielkiego łóżka.

- Co robisz? Zostaw! - warczę, bo tylko na to mogę sobie pozwolić. Adam prawie na mnie leży, jedną dłoń unieruchomił moje ręce, a drugą wspiera się o materac. – Obudzimy Emmę! - Próbuję coś wykombinować, lecz dobrze wiem, że jej pokój jest za daleko, aby nas usłyszała,

- Uspokój się. - Mój mąż nachyla się tak nisko, że czuję jego oddech na twarzy.

- Nie. - Próbuję się wydostać, ale to niemożliwe. Natychmiast zmieniam taktykę: - Proszę, puść mnie. Jeśli odebrałeś moje zachowanie jako prowokację, bardzo przepraszam. Nie miałam takich intencji - kłamię w żywe oczy, ale staram się robić to na tyle przekonująco, by mi uwierzył.

- Mel... Kocham cię. Wybacz mi. - Adam powoli spuszcza głowę i na sekundę wspiera czoło o moją pierś.

Przełykam ślinę. „Ja pierdolę! Po co to zrobiłaś?!” On z pewnością słyszy moje serce, które tłucze się jak oszalałe.

- Wybaczyłam ci przecież. Mieszkamy razem, opiekujesz się małą. - Chcę go trochę uspokoić, więc nawet nie komentuję tego, że znów zwrócił się do mnie niepełnym imieniem.

- Mel, chcę się z tobą kochać. Pragnę cię, nawet nie wiesz, jak bardzo.

- To niemożliwe - wykrztuszam z trudem.

- Dlaczego? Nie kochasz mnie?

- Nie - znów kłamię, patrząc mu prosto w oczy.

- Twoje ciało mówi co innego. Widzę, jak reagujesz, gdy cię dotykam. Mel, tak bardzo cię pragnę. Jesteś taka piękna...

- Mylisz pożądanie z miłością! I przestań mówić do mnie Mel! Puść! - Próbuję ignorować wyznania, jednak coraz mi trudniej. Zapach mojego męża działa tak obezwładniająco, że powoli tracę rozum.

Adam nachyla się i próbuje mnie pocałować. Jakoś udaje mi się

wyswobodzić prawą dłoń. Natychmiast uderzam go w twarz. Pociera szorstki policzek, ale nie przestaje się zbliżać. Drugie plaśnięcie spada z jeszcze większą siłą. Tym razem Adam łapie mój obolały od ciosu nadgarstek.

- Jeśli jeszcze raz tak zrobisz, oddam ci. - W głosie słychać desperację.

Obie ręce, ściśnięte w żelaznym uścisku, znów lądują za głową.

Prawa dłoń powoli przesuwana się w okolice moich piersi. Odsuwa elastyczną tkaninę i odsłania biust. Gorące wargi docierają do jednej ze stojących na baczność brodawek, ściskają ją i lekko ciągną. Kiedy czubek języka okrąża wrażliwą skórę otoczki, biorę głęboki wdech. Gdyby Adam wsadził teraz palec w moją szparkę, bez problemu domyśliłby się, że nie tylko on ma ochotę na ostre rżnięcie.

- Chyba mnie nie zgwałcisz? - pytam zdławionym z podniecenia głosem.

- Jeśli będę musiał... - Wpycha nogę między moje uda.

- Doniosę na ciebie. Ostrzegam! - Próbuję zachować resztki stanowczości, choć to niebywale trudne. Ta gra zdecydowanie za mocno mnie kręci. - Posadzą cię, Harding! Wiesz, jakiego mają świra na punkcie przemocy!

- Trudno.

Adam siada na moich udach, całkowicie unieruchamiając nogi. Wyciąga prawą rękę i sięga do małej szafki, która stoi tuż obok łóżka. Nie mam pojęcia, co w niej trzyma, bo nigdy nie zaglądam do tej sypialni.

- Powinno się nadać. - Wyjmuje z szuflady kartonik i rozrywa go, pomagając sobie zębami. Ze środka wypadają sznurowadła.

- Proszę, nie związuj mnie. - Od razu się domyślam, co zamierza. - Będę krzyczeć.

Mój mąż nad czymś się zastanawia. Widziałam kiedyś ten wyraz twarzy... jakby rozważał za i przeciw.

- Wtedy cię zaknebluję.

- Nie... - Aż mnie zatyka z przerażenia. Prawdziwego przerażenia. Żołądek natychmiast ściska się w kulkę. - Błagam cię, nie zatykaj mi ust! Będę grzeczna. Przysięgam...

- Na pewno? - Spojrzenie Adama jest lodowate, boję się jeszcze bardziej.

Już dawno nie widziałam swojego męża w takim stanie. Wiem, że nie

żartuje. Twarz jest spięta, krople potu zrosiły czoło, a policzek drga tak mocno, że mimo kiepskiego światła doskonale to widać.

- Na pewno. - Przelykam ślinę.

- Będziesz cicho? - Tak. Łapie moje ręce, szybko owija je sznurówkami i układa za głową. Nachyla się nisko, znów widzę oczy, które spoglądają na mnie z napięciem. Od razu opuszczam powieki, nie mogę na to patrzeć. Adam przywiązuje mi dłonie do jednej z drewnianych tralek wezgłowia. Trochę boli, bo cienki sznurek wrzyna się w skórę nadgarstków, lecz jest mi wszystko jedno. Czuję się jak szmaciana lalka.

Ciężar z ud znika, znów mogę się ruszyć, ale nawet nie drgnę, gdy wprawne dłonie zdzierają ze mnie bieliznę i podsuwają brzeg sukienki. Teraz osłonięty mam jedynie brzuch.

- Mel... pragnę cię.

Milczę. Oddycham ciężko i - tak samo jak Adam - jestem niewyobrażalnie podniecona, choć staram się za wszelką cenę to ukryć. Nie wiem, dlaczego on ciągle jest w ubraniu. Domyślam się dopiero wtedy, gdy rozchyła moje nogi, ugięte w kolanach.

- Uwielbiam twoją małą cipkę. Tak bardzo się za nią stęskniłem. ..

- Nie... proszę, nie... - Uświadamiam sobie, że chce mnie tam pieścić ustami, a ostatni prysznic wzięłam dwanaście godzin temu. Jestem brudna i spocona.

- Dlaczego nie? Chcę cię dotykać, chcę poczuć twój smak... - Wargi błędzą po wewnętrznej stronie ud.

- Przecież wiesz, że jestem uczulona - przypominam.

- Zrobię to delikatnie, tylko końcem języka... Moja słodka...

Obsypuje mnie pocałunkami, które nieuchronnie zbliżają się do kompletnie mokrej szparki. Wyginam ciało jak ryba wyrzucona na brzeg, ale to nie wystarcza.

- Pocałuj mnie! - krzyczę. - Proszę, pocałuj mnie. Tak bardzo tego pragnę... - Chcę dać sobie choć odrobinę czasu.

Adam chyba wierzy w szczerść tej prośby, bo od razu ją spełnia. Nachyla się nad moją twarzą. Na cipce czuję ucisk twardego jak skała fallusa. Miażdży moją skórę, przygniatają do kości spojenia łonowego. Rozpalone i wilgotne wargi stykają się z moimi, język wsuwa się głęboko - i nagle z całej siły zaciskam na nim zęby. Niestety nie udało się...

- Aaa! - krzyczy Adam i natychmiast się podnosi. - Ty pieprzona dziwko!

Mocne uderzenie spada na mój policzek, głowa odskakuje na bok jak piłeczka. Piecze okrutnie, łzy płyną, ale to nadal lepsze od tego, co działo się przed chwilą.

Otwieram oczy. Widzę, że Adam jest niewyobrażalnie wściekły. Pociera usta, rozmazując krew z rozciętej wargi. Przód białej koszulki upstrzyły niewielkie plamki. Od razu przypominam sobie posadzkę w holu mojego apartamentu, a sekundę później - prześcieradło...

- Zerznij mnie! - prowokuję. - Zobacz, jaka jestem mokra. - Podnoszę biodra i próbuję dotknąć cipką sterczącego pod spodniami kutasa.

- Nie! Zbyt mocno tego chcesz...

Adam szeroko rozkłada moje nogi, dociska kolana do materaca. Wiem już, że nie ma ratunku. Żołądek podjeżdża do gardła, czuję mdłości, cała się trzęsę. Zęby uderzają o siebie.

- Teraz cię wyliżę...

- Niedobrze mi. - Resztkami sił unoszę głowę.

- Rzygaj. Nie przeszkadza mi to.

Gdy widzę schylającą się twarz, zamykam oczy.

Harding wysuwa język i przejeżdża nim przez środek mokrej szparki. Odurzony zapachem, wciska koniuszek jeszcze głębiej. Melania próbuje ścisnąć nogi, ale te nie mają żadnych szans w konfrontacji z silnymi ramionami. Obraca głowę i zamyka oczy, jej ciałem zaczyna wstrząsać zduszony szloch. Płacze coraz żałośniej, jednak ani to, ani stawiany przez nią opór nie powstrzymują mężczyzny.

Adam chyba nie zauważa, co się dzieje z jego żoną. Tak się zapamiętał w pieśczołach, że stracił kontakt z rzeczywistością.

- Tramwaj, tramwaj, tramwaj... - bezgłośnie szepcze Mel.

Niestety mężczyzna nie słyszy trzykrotnie powtórnego hasła. Wsuwa język głębiej i głębiej. Ssie delikatne różowe płatki i małą grudkę między nimi. Łapczywie połyka soki wypływające z ukrytych zakamarków waginy. Nawet to, że Melania cicho pojękuje, gdy on penetruje jej ciało, nie robi na nim wrażenia. Harding rozkoszuje się smakiem cipki, coraz mocniej trąc podbrzuszem o twardy materac. Zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy jego bieliznę wypełnia ciepła sperma.

Adam unosi głowę i nagle dostrzega, co się stało: Melania leży bez ruchu, włosy zasłoniły całą twarz i przykleiły się do zwilżonych łzami policzków. Skrępowane dłonie wiszą przy wezgiowiu jak zwiędłe liście.

Dotychczas napięte mięśnie ud osłabły, a łkania ustąpiły.

- Mel? - Harding natychmiast nachyla się nad żoną. - Mel?! Proszę, odezwiąj się. - Odsuwa kilka pasemek włosów, by odkryć jej oczy. - Kochanie... spójrz na mnie!

Melania z trudem obraca głowę i posłusznie unosi powieki.

- Już po wszystkim? - Jej głos łamie się i drży.

- Boże! Co ja zrobiłem...

Harding próbuje wyswobodzić ręce ukochanej, ale sznurek tak mocno się zacisnął, że to niemożliwe.

- Zaraz wracam! - Przynosi z łazienki brzytwę i rozcina sznurowadła. - Boże, co ja zrobiłem? Wybacz mi. - Chwyta bezwładne ciało kobiety, sadza ją na swoich kolanach i mocno przytula. - Wybacz mi...

Nie wiem, ile trwa ta magiczna chwila. Jest mi dobrze: czuję silne, ciepłe ramiona i to miłe, delikatne huśtanie. Nie mam siły, by cokolwiek powiedzieć. Lewy policzek trochę boli, pewnie od opuchlizny. Ścierpnięte dłonie wypełniają się krwią i opuszki palców nieznośnie mrowią. Powieki zamykają się i niewiele brakuje, żebym usnęła w ramionach męża równie szybko i łatwo jak nasze dziecko. Kropelki łez ciekną po twarzy, jest ich tak dużo, że w końcu pociągam nosem.

- Przepraszam. - Adam nagle nieruchomieje, nachyla się i szepcze mi do ucha; - Wybacz.

„Nie przestawaj. Kołysz mnie...” - proszę w myślach.

Niestety mój małżonek lekko się odsuwa i prosi, żebym na niego spojrzała. Nie śmiem odmówić, choć bardzo mi żal, że to już koniec tak wytęsknionej bliskości.

- Słucham. - Próbuję patrzeć mu prosto w oczy, ale wzrok co chwilę gdzieś ucieka. Opuszczam więc głowę, uparcie wpatruję się we własne dłonie i ślady po cieniutkim sznurku, ciągle widoczne na nadgarstkach.

- Dobrze się czujesz? - W głosie Adama słychać wyłącznie troskę.

- Tak - mamroczę pod nosem, bo jeszcze nie doszłam do siebie.

- Przepraszam. To nie powinno się wydarzyć. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Nic się nie stało.

- Co ty mówisz?! Zgwałciłem cię!

- Nie! - odpowiadam natychmiast.

- Chyba nie myślisz, że gwałt polega wyłącznie na wsadzeniu kutasa!

Uderzyłem cię w twarz! To jest nic?

- Nic mi nie jest. - Staram się mówić stanowczo. - To nawet nie bolało.

- Przestań! - Mąż podnosi mnie i stawia przed sobą. Wprawne dłonie szybko poprawiają sukienkę: znów mam przysłonięte piersi. - Chodź, coś ci pokażę! - Wstaje i popycha mnie w stronę łazienki, która przylega do tej sypialni. Po chwili razem stajemy przed niewielką umywalką. - Popatrz na siebie! - Rozchyła moje włosy.

- Po co... - Uparcie wwiercam spojrzenie w srebrny korek odpływu.

- Po to! - Adam unosi moją głowę.

Zerkam w lustro. Nie jest tragicznie, ale idealnie też nie: lewy policzek przybrał różowoczerwony kolor, a dolna powieka leciutko spuchła. To ostatnie w zasadzie nie ma większego znaczenia, bo oczy i tak prezentują się kiepsko. Na ile się znam, pojutrze powinnam wyglądać bez zarzutu.

- To nic. Naprawdę. Wiele razy bardziej mnie złałeś.

- Melanio, nie porównuj tych sytuacji! Wtedy oboje tego chcieliśmy. Ty też! Miałem twoją zgodę. Nie dostrzegasz różnicy?! Nie wiem, co powiedzieć, więc przenoszę wzrok na twarz Adama. Moim zdaniem jest znacznie gorzej poturbowany, z wargi ciągle sączy się krew. Rozmazał ją na brodzie, koszulce też się dostało.

- Co to? - Wskazuję jakąś dziwną plamę na spodniach.

- Sperma - rzuca zwięźle. - Jestem gnojem. Nie potrafię się kontrolować. Pobiłem własną żonę, wyzwalałem ją od dziwek, zgwałciłem oralnie i na koniec spuściłem się w spodnie.

- Adam... Ja cię sprowokowałam. - Próbuję go bronić przed nim samym.

- To żadne usprawiedliwienie. Choćbyś paradowała nago, nie miałem prawa cię tknąć bez twojej zgody.

- Spoliczkowałam cię i ugryzłam - rzucam kolejny argument.

- Broniłaś się.

- Nie! To nie tak, Adam...

- Nie? To jak? Po co to zrobiłaś? Już wtedy powinienem się opamiętać. - Kręci głową, a ja nie mogę mu wytłumaczyć, co mną kierowało. Za bardzo się wstydzę.

- Adam, ja naprawdę chciałam się z tobą kochać. - Podejmuję ostatnią próbę, licząc na to, że wyczyta prawdę spomiędzy słów.

- Mel...anio... To koniec. Nie mogę z tobą być.

- Dlaczego? - Zagryzam kącik ust, czuję znajomy słodko- - metaliczny

smak.

- Bo zrobiłem ci krzywdę. - Mój mąż zwiesza głowę. - W poniedziałek zadzwonię do Morrisa, niech przygotuje dokumenty rozwodowe. Zgadzam się na wszystko, winę za rozpad małżeństwa wezmę na siebie.

Kolejny raz chcę zaprzeczyć, ale słowa więzną mi w gardle. Patrzę na Adama i widzę, że nic do niego nie dociera. Że sam musi się uporać z własnymi demonami i że moje wyjaśnienia mogą jedynie pogorszyć sytuację.

Kończę brać prysznic. Wszystko boli, ciało skowyci czy z tęsknoty za dotykiem Adama. Zakładam piżamę i szlafrok - zimno mi, cała drżę. Wychodzę z łazienki i wlokę się do sypialni. Padam na łóżko w pełnym rynsztunku i okrywam się kołdrą, a potem jeszcze ciepłym pledem, ale to na nic. Zęby szcękają, a skórę atakują kolejne fale dreszczy.

- Adam, kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć... – szeptem wyznaję miłość maleńkiej poduszce, którą ściskam w ramionach.

Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jaki błąd popełniłam i jak bardzo musiał cierpieć mój mąż, gdy tyle miesięcy go odtrącałam. Ja mam za sobą może dwa kwadransy i już czuję, że to trwa niewyobrażalnie długo. Świadomość, że to naprawdę koniec, jest nie do wytrzymania.

Podnoszę się z materaca i zrzucam kołdrę. Na paluszkach wychodzę z sypialni i przebiegam korytarz. Staram się bezszelestnie otworzyć błękitne drzwi z tabliczką ozdobioną małymi misiami Teddy.

- Co się stało? Płakała? - pytam szeptem mojego (jeszcze) męża, który siedzi na dywaniku obok łóżeczka i trzyma Emmę za rączkę.

- Nie - odpowiada równie cicho.

- To dlaczego tu jesteś? - Przyklękam tuż obok niego.

- A ty? - Lekko się uśmiecha.

- Chciałam ją zabrać do siebie. - Delikatnie muskam wierzchem dłoni ciepłutki policzek. Nasza córeczka śpi tak spokojnie, maleńkie płucka poruszają się w szybkim rytmie bijącego serduszka. Nagle Emma leciutko sapie, przez jej buzię przemyka słaby uśmiech, a później znów widzę jednostajny ruch maciupieńkich nozdrzy.

- Nie będę wam przeszkadzał. - Adam wyjmuję dłoń spomiędzy szczebelków.

- Poczekaj - rzucam, gdy jest już przy drzwiach. Wstaję i podchodzę do wyjścia. Razem opuszczamy tonącą w mroku sypialnię - Musimy porozmawiać. Proszę. - Chwytam go za rękę. Mam nadzieję, że chociaż

trochę ochłonał i że coś, cokolwiek, do niego dotrze.

- O czym?

- O nas. Proszę... - Głos mi drży. Umieram ze strachu, że usłyszę „nie”.

Mój mąż opuszcza głowę i schodzimy na dół. Światelka nad stopniami zapalają się z każdym naszym krokiem i towarzyszą nam aż do salonu. Zatrzymujemy się przed kominkiem, Adam podnosi ślubną fotografię, którą ustawiłam na gzymsie miesiąc po ceremonii. Zrobiłam to na jego prośbę: chciał grać przed siostrą szczęśliwego małżonka. Gdy Ruth wyjechała, uparłam się (żeby mu dokuczyć), że zdjęcie musi zostać.

- Po co chcesz to ciągnąć? Ja naprawdę nie mam siły. Przeprosiłem. - Mój ukochany odstawia białą ramkę. - Co jeszcze mam zrobić? Pojechać na posterunek i zgłosić, że cię zgwałciłem? - W jego głosie jest tyle gorzkości, że nawet mnie ścisną w gardle.

- Nie! Błagam. Wyprę się wszystkiego - ostrzegam. - Po prostu mnie nie opuszczaj. Tylko tyle. - Obejmuję go i opieram czoło o pierś.

- Rozwiedziemy się, a ja nadal mam tu mieszkać? Jak to sobie wyobrażasz?

- Nie dam ci rozwodu, zeznam w sądzie, że ze sobą sypiamy. - Jestem gotowa chwycić się jakiegokolwiek deski ratunku.

- Chcesz ze mną być? Naprawdę? Po tym wszystkim, co ci zrobiłem kiedyś i dzisiaj?

- Chcę. Właśnie to zrozumiałam.

- Ale my nie potrafimy być razem, zbyt mocno się ranimy. Kiedyś się pozabijamy. Tak nie da się żyć.

- Przytul mnie.

- Nie. Melanio, ja już podjąłem decyzję. - Adam próbuje delikatnie mnie odepchnąć. Rozgina palce, ale nie pozwalam mu ich wyprostować. Zaczynam płakać, kurczowo trzymam się podkoszulki męża.

- Puść mnie. Proszę, to naprawdę nie ma sensu. Mel... uważam, że powinnaś skorzystać z profesjonalnej pomocy, poszukam kogoś dobrego, jeśli się zgodzisz.

- Nie chcę nikogo oprócz ciebie! Nie odtrącaj mnie. Ja tego nie przeżyję...

- szlocham coraz głośniej. - Obiecałeś, że nigdy mnie nie odrzucisz... - Dławię się łzami.

- Przecież ty nawet mnie nie kochasz. - Głos Adama brzmi bardzo smutno.

W moim sercu natychmiast rodzi się bunt przeciwko tej nieprawdzie.

- Wiesz, że to kłamstwo! Kocham cię! Właśnie o to chodzi! Kocham cię!!! Nie mogę bez ciebie żyć! - krzyczę.

Odrywam ręce i zaczynam uderzać go pięściami w pierś, w końcu opadam z sił. Nogi się uginają, ląduję na podłodze. Leżę zwinięta w kłębek u stóp Adama i słucham niekończącej się listy wyrzutów:

- Melanio, ale to ty mnie odtrącałaś, nie pozwalałaś się dotknąć, tysiąc razy kazałaś mi się wynosić, chciałaś, żebym spotykał się z innymi kobietami. I jeszcze to dzisiaj. Nie radzę sobie z tym, byłem pewny, że naprawdę chcesz się ze mną kochać.

- Chciałam!!! Chciałam bardzo i ciągle chcę! - ryczę jak zranione zwierzę. Adam ciągle stoi nade mną i chyba nie wzrusza go moja rozpacz, bo nawet nie drgnie. - Sprowokowałam cię, bo mnie ignorowałeś! Poczulałam się odrzucona! Rozmawiałeś tylko z Tonią, a ja byłam jak trędowata! Mam cię błagać, żebyś mnie przeleciał? Jeśli tak, proszę...

- Proszę, nie zostawiaj mnie. Zrobię wszystko, zostań ze mną, jestem twoja, zawsze tak mówiłeś, zrób ze mną, co chcesz. - Melania obejmuje nogi swojego męża.

- Przestań! - Harding błyskawicznie kuca i bierze ją w ramiona. - Co ty wyprawiasz!?

- To przez niego! Musisz mi uwierzyć! To wszystko przez niego! - Melania znów łapie Adama za koszulkę i kurczowo zaciska palce. - Dlatego cię odtrącałam; bo powiedziałeś, że z nim byłam, że on jest ojcem Emmy! Przez niego nie mogę znieść, gdy ktoś mnie tam pieści! A zwłaszcza ty!!! Dlatego wtedy, w hotelu potarłam się zmywaczem do paznokci i skłamałam, że mam uczulenie! Oszukałam cię, bo... - Głos kobiety się załamuje. - A dzisiaj cię ugryzłam, bo chciałam, żebyś przestał! Rozumiesz?! Ale wytrzymałam dla ciebie! Zrobiłam to, bo bardzo cię kocham!!! Co jeszcze mogę zrobić, żebyś mi uwierzył?! - Melania szlocha tak gwałtownie, że aż się zanosi. - Nie zostawiaj mnie! Jesteś jedynym mężczyzną, którego kocham, umrę bez ciebie. Jeśli chcesz odejść, zrób to, ale najpierw mnie zabij! Nie przeżyję tego drugi raz...

Harding jest wstrząśnięty, serce wali mu jak oszalałe.

- Mel, kochanie... - Jeszcze mocniej przytula żonę. - Spokojnie.

- Nie! Nie będę spokojna! Nie będę patrzeć na to, jak mnie opuszczasz. I za co? Za to, że ktoś inny mnie skrzywdził? To nie moja wina... - Kobieta łka coraz ciszej. - To przecież nie moja wina, miałam tylko piętnaście lat.

Leczyłam się, trzy lata chodziłam na terapię, chciałam zapomnieć i dopiero przy tobie mi się udało, a ty chcesz... - Głos słabnie z każdym słowem. - Chcesz znowu mnie zostawić...

„Nie wiem, co jej zrobiłeś, Vetri, ale przysięgam na dusze moich rodziców, że się dowiem i jeszcze w tym roku będziesz gryzł trawę na cmentarzu! - Harding zagryza zęby. - Zabiję cię, śmieciu, choćbym miał do końca życia gnić w tym samym więzieniu, w którym teraz jesteś”.

- Mel, moja ukochana, moje małeństwo... - Adam bierze Melanię na ręce, przez moment rozgląda się bezradnie, w końcu wychodzi z salonu, znów zanoszą ją do swojej sypialni i układa na łóżku.

- Nie odchodź. - Melania czepia się kurczowo ramion męża.

- Nigdzie nie idę... - Ten kładzie się tuż obok. - Nigdzie nie idę...

Czy to poranne słońce tak lekko ślizga się po powiekach? Dobrze znam to zjawisko: ciepłe promienie delikatnie rozgrzewają skórę, a w zamkniętych oczach coraz mocniej maluje się czerwień. Jednak dzisiaj jest trochę inaczej: zupełnie ciemno. „Może ośleplam?” - zastanawiam się, czy to możliwe. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ktoś dotyka mojej twarzy.

- Mel, kochanie... Obudź się... Unoszę powieki.

- Adam? - Jestem zdziwiona, ale tylko przez sekundę.

- Dobrze się czujesz?

W jego oczach widzę jedynie miłość. Wzruszenie ścisną mi gardło. Wszystko, co wydarzyło się ostatniej nocy, już zdążyłam sobie przypomnieć. Trochę się wstydzę, ale próbuję o tym nie myśleć.

- Tak.

Ukochany lekko muska wargami skórę na moim lewym policzku.

- Boli?

- Troszkę. Prawie nic.

- Przepraszam.

- Wiesz, że się nie gniewam. A ciebie? - Delikatnie dotykam spuchniętej wargi.

- Prawie nic... - powtarza po mnie Adam. - Kiedy cię całuję, zupełnie przechodzi.

- Która godzina?

- Ósma.

- Emma?

- Śpi. Byłem u niej przed chwilą.

- Uhm... - Kiwam głową. - Jeszcze z godzinę?

- Nie sędę, wierciła się. Ale i tak mamy szczęście: nasza córka pozwala rodzicom wypocząć.

- Tak. Mamy szczęście - teraz ja cytuję słowa męża.

- Mel...

- Tak? - Przetykam ślinę, widząc, jak zmieniają się oczy Adama: błękit powoli ustępuje rozszerzającym się źrenicom.

- Mel... - Czuję na policzku jego drżące wargi. Ciepły oddech muska głodną skórę. - Mel...

- Dlaczego ciągle to powtarzasz? Mel... Mel... - pytam, nadstawiając do pocałunków kolejne fragmenty twarzy.

- Bo mogę? - Adam cicho się śmieje. - Mogę tak mówić: Mel... Mel... Moja ukochana Mel. Już nigdy nie zwrócę się do ciebie „Melanio”. A, przepraszam - na sekundę zawiesza głos - raz na pewno tak powiem, chyba że się nie zgodzisz... – Dmucha leciutko po czole.

- Chyba się zgodzę. - Od razu się domyślam, o czym mowa.

- Bardzo się cieszę.

- Adam? - Tak?

- Kocham cię.

- Wiem.

- Przytul mnie.

Obejmujemy się najmocniej, jak to możliwe.

- Słyszysz? - Mój mąż parska śmiechem.

- Uhm... - mruczę.

W głośniku elektronicznej niani coś cicho szeleści, chwilę później rozlega się ciche gaworzenie. Emma...

Cała sobota mija Melanii jak sen. Adam jest miły i wesoły, a Emma - grzeczna. Nawet aura dopisuje, choć to akurat żadna rewelacja; w okolicy Sainte - Maxime prawie zawsze jest pogodnie, Statystyki z ostatnich dziesięciu lat podają, że przez trzysta dwadzieścia dni w roku świeci tu słońce.

Małżonkowie zamawiają obiad z restauracji i jedzą go razem na patio. Ogrodowy stół ugina się pod ciężarem dań: przystawki z francuskiego ciasta faszerowanego grzybami i gęstym sosem, zupy kremu z brokułów, filetu z indyka zapieczonego pod cienką warstwą sera i pomidorów. Jest nawet pyszny deser: ciepły sernik polany gorzką czekoladą.

Melania nie pamięta, kiedy ostatnio tak się najadła. Adam dzielnie

dotrzymywał jej kroku, choć musiał uważać na rozciętą wargę. Starał się jednak, by jego żona nie zwróciła na to uwagi.

Razem sprzątaję naczynia i porządkuję kuchnię. Malutka Emma ucięła sobie popołudniową drzemkę, jej tata zszedł do siłowni i ćwiczy, a mama postanawia spędzić wolny czas na zabiegach pielęgnacyjnych. Nie pamięta, kiedy ostatnio tak zadbała o swoje ciało: długa kąpiel, peeling, wcieranie olejku, maseczka na włosy i na koniec delikatny manicure króciutko obciętych paznokci. Pozwala sobie nawet na subtelny makijaż; tusz do rzęs i odrobinę różu.

Gdy zapada zmrok, małżonkowie wspólnie przygotowują dziecko do snu, kąpią je i ubierają w jedną z niezliczonych błękitnych piżamek. Melania usypia córeczkę, a potem idzie wybrać strój na wieczór.

- Śpi? - Uhm...

- Podejź tu... - Adam wyciąga rękę.

Powoli docieram do krawędzi łóżka i staję między rozchyłonymi kolanami męża. Jego dłonie wsuwają się delikatnie pod cienki szlafrok i obejmują mnie w pasie.

- Nie wiesz, jak bardzo za tym tęskniłem - szepcze mój ukochany.

„Nie wiesz, jak bardzo za tym tęskniłam...” - myślę w tym samym momencie.

- Mel, zmarnowaliśmy tyle czasu.

- To moja wina. Przepraszam.

- Nie. Oboje mamy w tym udział.

- Nie mówmy już o tym, dobrze? - Całuję go w wilgotne włosy.

Palce ślizgają się po gładkiej koszuli nocnej, zataczając niewielkie kółeczka. Może kiedyś tak subtelna pieśczoła nie zrobiłaby na mnie dużego wrażenia, ale dzisiaj jest zupełnie inaczej. Zbyt długo czekałam, więc każdy, nawet przypadkowy dotyk sprawia, że między naszymi ciałami przeskakują niewidzialne iskry.

Sięgam do paska i rozwiązuję go, starając się nie przeszkodzić Adamowi w masowaniu moich pleców. Słyszę, że jego oddech przyspiesza. Od razu zaczynam odczuwać to samo, brodawki piersi kurczą się i unoszą pod czarnym jedwabiem, gdzieś w dole brzucha, tuż pod różową kreseczką po cięciu, coś lekko drży i łaskocze, jak skrzydełka motyla trzymanego zbyt małą dłonią.

- Chcę cię zobaczyć... - Adam prostuje rękę.

Cofam się o krok, a potem o jeszcze jeden.

Przez chwilę stoję bez ruchu i przyglądam się ukochanemu. Jest prawie nagi, jedynym elementem garderoby są śnieżnobiałe bokserki, pod którymi wyraźnie widać obrzmiałą z podniecenia męskość. Powietrze z cichym świstem przelatuje przez mój nos i z impetem dociera do samych koniuszków płuc. Wydycham je zdecydowanie wolniej. Przelykam ślinę, oblizuję wargi i dopiero tak przygotowana zabieram się za pierwszy striptiz dedykowany mężowi.

Dbam o to, aby moje ruchy były powolne i zmysłowe. Nie powiem, muzyka ułatwiłaby mi zadanie, ale nie śmiem o to poprosić. Wsuwam skrzyżowane dłonie między skórę ramion a cienką tkaninę i zsuwam ją z siebie. Szlafroczek ześlizguje się z łatwością, ląduje wokół bosych stóp. Teraz koszulka: cieniutkie ramiączka opadają coraz niżej, a wraz z nimi koronkowy karczek. Kiedy już tylko brzuch pozostaje osłonięty, zamykam oczy i przez chwilę trzymam jedwabny ciuszek w drżących z emocji dłoniach. W końcu lekko się schylam i puszczam brzeg materiału.

Po omacku wyciągam nogi z miękkiego gniazdka uwitego z bielizny. Prostuję plecy i staję bez ruchu, jedynie klatka piersiowa unosi się i opada pod wpływem coraz głębszych oddechów.

- Mel... podejść do mnie.

Nie otwieram oczu, gdy moje kolana znów wspierają się o brzeg materaca, a zewnętrzne strony ud dotykają gorącej skóry Adama. Chyba się wstydzę, a może boję jego reakcji. Wprawdzie widział mnie wczoraj, ale miałam na sobie sukienkę, która osłaniała co nieco. Teraz jestem kompletnie naga, nawet włosy upięłam wysoko, żeby nie zakrywały ramion i piersi.

Nagle opuszka palca dotyka cieniutkiej blizny na podbrzuszu i wędruje przez całą jej długość. Trwa to kilka sekund i jest bardzo przyjemne, choć jeszcze czuję dziwne odrętwienie skóry w tym miejscu. Adam przesuwając palce coraz wyżej.

- Są tak niewiarygodnie piękne i pełne... - szepcze, kiedy moje piersi zagłębiają się w drżących nieckach jego dłoni.

- Obróć się. - Lekko chwyta za biodra. Coraz trudniej mi stać spokojnie, zwłaszcza teraz, gdy wiem, że patrzy na moje plecy.

- Ja zrobiłem je wszystkie... - Gładzi skórę posiekaną palcatem. - Ta jest najpiękniejsza. - Przejeżdża po poślądkach.

- Też najbardziej ją lubię - odzywam się wreszcie.

- Dlaczego?
- Bo to najbardziej bolało.
- Tak bardzo kochasz ból?
- Ale tylko ten fizyczny i zadawany twoimi rękami.
- Md...

Adam układa mnie na łóżku, nachyla się i delikatnie całuje moje policzki. Czuję, że lewą ręką próbuje zdjąć bieliznę.

- Poczekaj. - Otwieram oczy. Widzę, że przez twarz przemknął cień strachu. Wiem, czego obawia się mój mąż, od razu unoszę głowę i przytykam wargi do jego ust. - Chciałabym, żebyś...

- Tak?
- Żebyś tam...

Nie wiem, jak zdobyć się na odwagę, żeby to powiedzieć. Niewiarygodnie trudne zadanie.

- Mel, nie będę cię tam pieścił. Już nigdy nie zrobię nic wbrew twojej woli, przepraszam, że mnie poniosło.

- Adam, to nie tak... - Nie rozumiem.
- Porozmawiaj ze mną. - Nerwowo zagryzam kącik ust.
- Dobrze.
- Ty, wczoraj... Dlaczego tak się stało?
- Pytasz o orgazm?

- Uhm. - Jestem okropnie zażenowana, chociaż raczej nie powinnam, przecież to mój mąż.

- Bo byłem bardzo podniecony.
- Ale czym? - Nie potrafię zrozumieć.
- Gdy pieściłaś mnie ustami, czy to cię podniecało?
- Tak. Bardzo.
- Dlaczego?

- Bo tobie było dobrze - odpowiadam bez namysłu. - To oczywiste.

- No właśnie: oczywiste. Pamiętasz jakiś szczególny moment? Powiedz... - Adam lekko się odsuwa i wspiera głowę o rękę zgiętą w łokciu.

- Tak. Po naszej kłótni o Angelikę. Pamiętasz?
- Nigdy nie zapomniałem.
- Wtedy najbardziej.
- Dlaczego właśnie wtedy?
- Nie wiem. - Lekko wzruszam ramionami.

- Spróbuj pomyśleć.
- Może dlatego, że tak naprawdę to ty robiłeś, co chciałeś. Ja się poddałam. Lubię czuć twoją przewagę, dominację.
- Wczoraj też tak było. Związałem cię i zrobiłem, co chciałem, ale nie było ci przyjemnie.
- Wiem. - Czuję w gardle nieznośny ucisk.
- Mel, posłuchaj. Nie wspomnimy już ani słowem o tym, co wywołało twoje lęki. Nie musimy do tego wracać. Przeżyję bez takich pieśczoł.
- Ale ja chciałabym... Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Chciałabym, żebyś pomógł mi to pokonać.
- Jesteś pewna?
- Tak.

Adam bierze głęboki wdech.

- Dlaczego nie chciałaś, żebym to robił? Musisz być szczerą.
- Bo to poniżające dla mężczyzny... - z trudem wyrzucam z siebie odpowiedź. - A ja nie chcę widzieć cię poniżonego.
- Dlaczego tak myślisz?
- Bo ja, bo kobieta w tym miejscu jest...
- Zamknij oczy. Coś ci pokażę.

Posłusznie wykonuję rozkaz.

- Boję się tego. - Drżę, gdy czuję palec wsuwający się w moją zaciśniętą ze strachu szparkę, jednak po chwili pieśczoły zaczynam się rozluźniać. Opuszka delikatnie drażni grudkę na szczycie łechtaczki, to nieprawdopodobnie przyjemne.

- Chcę się kochać...
- Musisz chwilę wytrzymać.
- Proszę.
- Teraz trwa lekcja. Chciałaś to przepracować, prawda? - Adam chyba nie wie, jak bardzo działa na mnie jego ciężki oddech i oszałamiający zapach lekko spoconego ciała. - Otwórz usta.
- Adam, ja nie wiem, czy wytrzymam. - Domyślam się, co zamierza.
- Zrobimy inaczej. - Łapie moją rękę i, tak jak kiedyś Angelika, zaciska wszystkie palce oprócz wskazującego. - Dotknij się tam.
- Skoro nalegasz. - Nieśmiało przesuwam opuszką między wargami sromowymi. Czuję, że bardzo mokro się tam zrobiło, ale to akurat nic zaskakującego.
- Nigdy nie masturbowałaś się ręką?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to jak gra w szachy z samym sobą - odpowiadam, ciągle się masując.

- Nie ma elementu zaskoczenia? - Adam parska śmiechem. - Uhm...

- Wystarczy. - Chwyta moją dłoń.

Czuję na mokrej skórze jego ciepły oddech.

- Co robisz?

- Wącham. Tak pięknie pachniesz... Jesteś taka słodka. - Wkłada mój palec do ust i delikatnie go ssie,

Staram się opanować, ale to niezwykle trudne. Język dociska króciutki paznokieć do podniebienia, jeździ szorstką powierzchnią po opuszce, jednak ja myślę wyłącznie o tym, że jeszcze przed chwilą ten paluszek był zanurzony w moim wnętrzu.

- Popatrz na mnie - pada polecenie, gdy Adam (nareszcie!) wyjmuje palec z ust.

- Patrzę. - Otwieram oczy i spoglądam na twarz mojego męża.

- Jesteś taka słodka, masz delikatny smak.

- Nie mów tak. Robisz to, żebym poczuła się lepiej. - Znow zagryzam kącik między wargami.

- Mel, masz najpiękniejszą cipkę, jaką widziałem, i najśłodsza. Pachniesz tak, że nie tylko mógłbym ją wylizać, ale i... - Pod cienką skórą gardła widzę lekko przesuwającą się grdykę. Adam przełyka ślinę i bierze głęboki oddech. - Wczoraj, kiedy poczułem zapach i smak twojego wnętrza, po prostu oszalałem. Nie rozumiesz? Dlatego tak się stało.

Znow czuję mrowienie w miejscu, które tak bardzo zachwyca mojego męża. Pragnę, żeby mnie tam dotknął, natychmiast...

- Kochaj się ze mną. Proszę. - Wyciągam ramiona.

- Koniec lekcji?

- Tak.

Zaczynamy się całować. Przejeżdżam językiem po skaleczonej wardze Adama. Kubki smakowe rejestrują metaliczną nutkę krwi ze zranionej tkanki, to też jest słodkie, a przy tym dzikie i pierwotne. „Może drzemią we mnie zwierzęce instynkty?” - zastanawiam się, lekko ssąc to miejsce.

- Boli... - Ciche mruknięcie studzi moje wampirze zapędy.

- Przepraszam.

Rozsuwam nogi i unoszę biodra. Chcę, żeby jak najszybciej mnie

wypełnił, pragnę go...

Nagle uświadamiam sobie, że choć to mało prawdopodobne, możemy ponownie zostać rodzicami. Ta myśl wcale mnie nie przeraża. Mogłabym mieć jeszcze jedno dziecko. Emma jest taka słodka, a mój mąż okazał się najlepszym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić. Jednak, nie wiadomo dlaczego, intuicja każe mi zadać TO pytanie.

- Ja się nie zabezpieczam. A co, jeśli znów... - Milknę, bo właśnie dociera do mnie, że popełniłam błąd.

- Poczekaj. - Adam unosi się na przedramieniu, sięga do szufladki i wyjmuje stamtąd portfel. Klęka, żeby go otworzyć. Zamykam oczy, gdy tylko zauważam, co wyciągnął. Rozrywana folia cicho szeleści, potem słyszę specyficzny dźwięk świadczący o tym, że mój ukochany zakłada prezerwatywę.

Pod moimi powiekami pojawiają się łzy i obraz: jakaś kobieta w jego objęciach. Bo z jakiego innego powodu nosiłby w portfelu gumki? „Po co to powiedziałaś?!”

Zaciskam zęby, gdy Adam wchodzi we mnie i zaczyna się poruszać w tak znajomym rytmie. Czuję się poniżona, ciągle widzę anonimową dziewczynę, która jest na moim miejscu. Nie chcę dojść, ale to trudne... Czekałam tyle tygodni, nie mogę się oprzeć.

- Moja najśłodsza, najukochańsza... - Adam szepcze między kolejnymi delikatnymi pocałunkami. - Jesteś moją żoną. Mel, tak bardzo cię kocham... - Przyciska mnie do siebie, jego fallus zaczyna pulsować, a serce bije tak mocno, że wyczuwam je wyraźniej niż własne.

Już nie mogę dłużej. Choć mam zamknięte oczy, teraz robi się przed nimi jeszcze ciemniej. Gdy przez ciało przepływają pierwsze skurcze, szlocham. Łkam z żalu nad sobą: swoją obojętnością wepchnęłam Adama w ramiona innej...

- Mel... Dlaczego płaczesz?

- Bo było mi tak dobrze... - kłamię. - Muszę iść do toalety, a potem pójdę się położyć. - Zagryzam wargi.

- Wszystko w porządku? - Adam patrzy badawczo, chyba wyczuwa, że coś się dzieje.

- Oczywiście. - Na potwierdzenie kiwam głową. - Już mi przeszło. - Przetykam łzy, które ciągle tkwią w gardle. Podnoszę się z łóżka, biorę szlafrok z podłogi i szybko narzucam go na siebie.

- Mel... - Głos Adama dobiega mnie już przy drzwiach.

- Nic mi nie jest. - Macham ręką i wybiegam z sypialni. - Dobranoc.

Staram się jak najciszej pokonać schody. Moim celem jest niewielka łazienka na najniższym poziomie domu, tylko tam będę mogła się schronić. Kiedy już docieram do kryjówki, od razu wchodzę do kabiny. Puszczam wodę, liczę na to, że zagłuszy szloch i moje myśli. Osuwam się na dno brodzika i płaczę. Wszystko boli, a łzy zdają się nie mieć końca...

Adam leży ze wzrokiem wlepionym w sufit. Dopiero po kilku minutach uświadamia sobie, że coś jest nie tak. Może to kompletna cisza panująca na piętrze wzbudziła jego podejrzenia, a może jakiś podszept intuicji. W rogu łóżka odnajduje porzucone bokserki, zakłada je błyskawicznie i wychodzi z sypialni.

Zagląda do pokoju Melanii, ale nawet nie musi zapalać światła, żeby stwierdzić, że nikogo w nim nie ma. Następny jest pokój Emmy - tu też Harding nie znajduje swojej żony. Domyśla się, że gdzieś się schowała. Zbiega na parter, zatrzymuje się w holu i przez moment nasłuchuje. Już wie, gdzie ją znajdzie. Mieszkają w starym domu, więc każdy ruch wody w rurach skutkuje tym, że dźwięk niesie się w całym pionie.

Kilkanaście wąskich stopni, później niewielki korytarz i już: przez wąską szparę pod drzwiami widać światło. Mężczyzna delikatnie kładzie dłoń na klamce. Nie wchodzi od razu. Przez wąską szczelinę próbuje dostrzec, co dzieje się w środku, ale pomieszczenie jest zbyt zaparowane. Melania niewątpliwie bierze prysznic, tylko dlaczego akurat tutaj?

- Mel, mogę wejść? - Adam stara się mówić na tyle głośno, by go usłyszała.

Kobieta nie reaguje. Siedzi na dnie plastikowego brodzika, objęta ramionami podkulone nogi i wtuliła twarz między kolana. Woda z impetem leci wprost na nią, zagłuszając wszystko.

- Mel? - Harding nie daje za wygraną.

W końcu odchyła drzwi i dopiero wtedy zauważa Melanię. Nie chce jej przestraszyć, otwierając kabinę, więc jeszcze raz wymawia głośno jej imię. Widzi, że uniosła głowę, więc podchodzi i rozsuwa szklane drzwiczki. Szybko dociska kran, woda natychmiast przestaje płynąć.

Adam kuca tuż obok i spogląda na swoją żonę. Jej ciałem ciągle wstrząsają łkania.

- Dlaczego płaczesz? Czemu mnie okłamałaś, że wszystko w porządku? Przecież widzę, że coś ci jest, powiedz... Czy zrobiłem coś nie tak?

Zrobiłem coś złego?

- Nie. To nie twoja wina.

- Jaka znowu wina?! Chryste! Dziewczyno, popatrz na mnie! - Mężczyzna traci cierpliwość. Ma dość tego emocjonalnego rollercoastera, który od wczoraj funduje mu żona.

- Przepraszam. - Melania natychmiast unosi głowę.

- Za co przepraszasz, do cholery?! Nie przepraszaj, tylko powiedz, o co ci chodzi!

- O nic, wszystko w porządku, nie zrobiłeś nic złego. Naprawdę wszystko w porządku. - Mel próbuje uspokoić męża, choć sama trzęsie się ze zdenerwowania.

- Dość! Wstawaj!

- Szlafrok jest mokry, nakapię...

- Kurwa, to go zdejmij! - Harding jest wściekły.

- Już.

Drżące palce bezskutecznie próbują rozwiązać węzeł z jedwabnego paska. To niełatwe zadanie, bo pod wpływem wody materiał kompletnie się zakleszczył.

- Zostaw! - Adam odpycha dłonie Melanii, chwytając za górę szlafroka i po prostu rozdziera go na pół, a potem ściąga i rzuca na dno brodzika. Szybko zdejmując z wieszaka gruby, kąpielowy płaszcz z frotte i nakłada go na swoją żonę. - Gotowe - stwierdza, poprawiając szalowy kołnierz. Te wszystkie czynności na szczęście pozwoliły mu nieco ochłoniąć, ale i tak ciągle jest wzburzony całą sytuacją. - Teraz w porządku. Wyłaż, idziemy do salonu.

- Dobrze... - Melania szybko opuszcza kabinę.

Mężczyzna wyciąga przed siebie palec i celuje nim prosto w nos swojej żony.

- I jeszcze jedno! Nie nazywam się Harding, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi!

Marzę o czymkolwiek z alkoholem. Wypiłabym nawet whisky, choć jej nie znoszę. Ależ sobie nagrabiłam. Adam jest rozjuszony i wcale mu się nie dziwię. Po takich piruetach, które wykręciłam, nawet Dalajlama straciłby cierpliwość.

- Siadaj! - Popycha mnie na kanapę, sam zajmuje fotel tuż obok. - Dobra, a teraz gadaj. I ostrzegam: jak będziesz kłamać, wyjdę stąd, wezwę taksówkę i pojadę do hotelu. Żeby była jasność!

- Ale co mam ci powiedzieć?

- Kurwa! - Mój mąż uderza ręką w podłokietnik. - Prawdę?!

- Nie mam ci nic do powie...

- Gdy skończyłem szesnaście lat, przyrzekłem sobie, że nie będę rzucać mięsem w obecności kobiet. Kiedy tu zamieszkałem, postanowiłem jeszcze bardziej tego przestrzegać, a przed chwilą drugi raz złamałem przyrzeczenie. I życzę ci serdecznie, żebyś pomogła mi go dotrzymać, bo trzeciego razu nie planuję! Rozumiesz?!

- Tak. - Broda trzęsie mi się jak u dziecka.

Szybko opatulam się szlafrokiem i podkurczam nogi. „Boże, czemu on jest taki wściekły?”

- Dlaczego płakałaś? Dlaczego ciągle płaczesz?

Biorę głęboki oddech, w nosie bulgocze jak w saganku.

- Sekundkę, muszę iść po chusteczkę... - Próbuję wstać, jednak Adam chwyta mnie za rękę.

- Jak musisz, wysmarkaj się do rękawa!

- Przestań! To obrzydliwe. - Wykrzywiam się.

- Trudno.

Na pewno nie zrobię, jak mi polecił. Zaskakujące: mój nos chyba też się wystraszył, bo właśnie się odtyka.

- Ostatni raz pytam. Dlaczego beczałaś?! Chodzi o lekcję?

Posunąłem się za daleko?

- Nie. - Dla wzmocnienia przekazu kręcę głową. - Nie?

- Nie. Naprawdę było w porządku.

- To o co?

Milczę, łzy znów napływają do oczu. Zakrywam twarz dłońmi, mój mąż natychmiast je odciąga.

- Chodzi o gumkę? Tak? - Świdruje mnie wzrokiem.

- Uhm. - Dziękuję Bogu, że Adam sam się domyślił.

- Chcesz mieć drugie dziecko? - Z niedowierzaniem unosi brwi. - Już? Przecież Emma jest taka mała. - Jego oczy od razu łagodnieją. Zawsze tak się dzieje, gdy o niej mówi. – Mogłaś powiedzieć, że znów chcesz zostać mamusią. Polecę do Bostonu i załatwię temat wazektomii. Chcesz?

Przez chwilę rozważam, czy nie odpowiedzieć twierdząco, ale wiem, że to bardzo głupi pomysł. Dostyc kłamstw.

- Na razie nie.

- Ja pierdołę! - Błękitne tęczę natychmiast lodowacieją. - To z czym

masz problem, kobieto?!

Jestem tak niewiarygodnie zdenerwowana, że aż piszczy mi w uszach. Ręce dygoczą jak u narkomana na głodzie, a żołądek ścisnął się w kuleczkę wielkości orzeszka.

- Po co nosisz kondomy w portfelu?! Z tym mam problem! - Nie wytrzymuję. - Z tym, że posuwałaś jakieś panny w czasie mojej ciąży i naszego małżeństwa! Z tym, że sama ci na to pozwoliłam! I z tym, że własnym zachowaniem niejako zmusiłam cię do tego! Mój problem to ja sama!

Za wszelką cenę próbuję się nie rozplakać.

Adam przełyka ślinę. Wiem, że zaraz coś powie i że będzie to coś okropnego, bo zbiera się w sobie jak sportowiec przed biciem życiowego rekordu w pchnięciu kulą.

- Masz wybitne skłonności do nadinterpretacji. Jak słusznie zauważyłaś...
- zaczyna cedzić słowa - to ty byłaś inicjatorką dziwnego układu pod nazwą „otwarte małżeństwo”. To, że się na takie rozwiązanie zgodziłem, nie oznacza, że z niego korzystałem. Znasz moje zdanie o podobnych dziwolągach. Od dnia, w którym się rozstaliśmy, nie spałem z żadną inną kobietą, choć miałem niejedną okazję, uwierz. Prezerwatywa, której użyłem, tkwiła w moim portfelu pewnie ze dwa lata. Jeśli chcesz, mogę to udowodnić. Na górze zostało opakowanie. Widnieje na nim numer seryjny i data ważności, bardzo zbliżona do obecnej. Wiem, bo sprawdziłem przed otwarciem. To co? Mam przynieść folię?

- Nie. - Z ulgą wypuszczam powietrze. Chyba nie oddychałam przez całą tę krótką przemowę. Czuję się jak idiotka, zwłaszcza w kontekście mojego zachowania wobec nauczyciela francuskiego. „Boże, dopomóż! Niech Adam o tym nie wspomina...” - modlę się bezgłośnie.

- Hipokryzja. Znasz ten termin?

„Kurwa! Nie udało się” - myślę, ubolewając nad własną naiwnością.

- Tak.

- Po co to robiłaś?

- Do niczego nie doszło - mamroczę pod nosem.

- Bo się zwolnił i nie zdążyłaś?

- Przestań! - Czuję nadpływającą falę mdłości.

- A gdyby nie zrezygnował, dałabyś mu? Powiedz prawdę!

- Nie! - odpowiadam natychmiast.

Niewielu rzeczy jestem tak pewna jak tego. Kiedy poznałam Adama,

reszta mężczyzn przestała dla mnie istnieć.

- Nie podobał ci się?

- Nie. Chciałam cię sprowokować.

- Chciałaś mi dokuczyć?

- Też - potwierdzam, choć nie do końca tak myślę.

- Dlatego posłużyłaś się tym człowiekiem? - Tak.

- Wiesz, że on wziął twoje zaloty na serio?

- Nie sądzę. Tylko żartowałam. Flirtowaliśmy, ale nic więcej.

- Nie kłam! - Adam nie dał się nabrać. - To jak było? Dawiałaś mu nadzieję? - Tak.

- Wiedząc dobrze, że nic z tego nie będzie?

- Tak.

- Zmanipulowałaś Bogu ducha winnego faceta tylko po to, żeby mi dogryźć?

- Nie tylko - precyzuję.

- Nie żal ci go?

- Nie, przecież nic mu się nie stało. Sam odszedł, więc raczej nie zrobiłam na nim większego wrażenia.

- Nie odszedł! Wypierdoliłem go! Zaproponowałem, że zapłacę mu na rok do przodu, żeby tylko się wyniósł! Myślisz, że chciał się zgodzić?

- Pewnie tak, skoro... - mamroczę cicho, bo jestem tak zaskoczona obrotem sprawy, że ciężko mi cokolwiek z siebie wykrztusić.

- Nie chciał! Mówił, że się w tobie zakochał, i wiem, że ten biedny facet nie kłamał! Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo działasz na mężczyzn. On jest żonaty i ma trójkę małych dzieci! Nie przeszkadzało ci to?!

- To jego problem, nie mój... - Wzruszam ramionami. - Ja byłam w... - Głos nagle się załamuje.

- Otwartym związku.

- Tak. - Spuszczam wzrok.

Zapada cisza. Dopiero teraz, gdy wybrzmiały te wszystkie słowa, dociera do mnie, jak bardzo namieszałam. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy na miejscu Adama miałabym ochotę na kontynuację naszego małżeństwa. Definitywnie stwierdzam, że jestem stuknięta.

- Dlaczego tak się zachowywałaś? - Pytanie pada po dobrej minucie. - Chciałaś, żebym zwrócił na ciebie uwagę?

- Tak. - Sięgam do paska szlafroka i nie wiadomo dlaczego próbuję go rozwiązać. Twardy supeł nie chce się poddać, w końcu rezygnuję.

- Powiedz: co do mnie czujesz?

- Wiesz co.

- Spójrz na mnie i to powiedz.

Serce głośno wali w piersiach, spościłam się jak mysz. Gdy opieram wzrok na twarzy męża, cała dygoczę.

- Kocham cię.

Adam wstaje z fotela, energicznym szarpnięciem odsuwa ławę i siada tuż obok mnie. - Kładź się!

- Co? - Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Nie odpowiada, chwyta mnie i przerzuca przez twarde jak skała uda. Kolano wsuwa się między moje nogi i je rozsuwa. Od razu robi mi się niedobrze ze strachu. Wtulam twarz w miękkie siedzisko sofy. Męska dłoń unosi szlafrok i odsłania wypiętą pupę.

- Spuszczę ci lanie. Tego ci trzeba, Mel.

Nic nie mówię. Gdy palce muskają szczyty pośladków, zaczynam jeszcze mocniej się telepać. Jestem niewiarygodnie podniecona. W cipce wrze jak w woku. Marzyłam o tej chwili od dawna.

- Ale zanim to zrobię, coś ci powiem - cedzi Adam przez zaciśnięte zęby. - Wkurzyłaś mnie i właśnie za to oberwiesz. W ciągu ostatniego kwadransa bluzgałem w twojej obecności jak stary marynarz, choć wyraźnie prosiłem, żebyś pomogła mi zachowywać się kulturalnie. I na koniec: jeśli znów zdecydujesz się pogrywać na emocjach obojętnie jakiego faceta, żeby mnie sprowokować, obiecuję, że przez trzy miesiące nie ruszę cię nawet kijem. Nie musisz tego robić, żeby zasłużyć na lanie. Zabawa cudzymi uczuciami, nawet uczuciami tak żałosnego dupka jak Jambon, nie jest ci do tego potrzebna. Rozumiemy się?!

- Uhm... - mamroczę z nosem wbitym w pluszowe siedzisko.

- Świetnie. - Brzmi to tak ostro, że znów nadciąga fala dreszczy.

Uderzenie jest gwałtowne, z wrażenia prawie popuszczam w majtki (których zasadniczo nie mam na sobie). Skóra piecze niewyobrażalnie. No tak, mój małżonek pierwszy raz dał mi klapsa, będąc w stanie silnego wzburzenia. Odruchowo próbuję wyciągnąć dłoń i zasłonić obolały tyłek, lecz Adam wciska ją między mój brzuch a swoje udo.

- Nie ruszaj się. - Obejmuje mnie ręką jak szmaciany tobołek.

Zaczynam szybko oddychać, próbując powstrzymać łzy.

Jakoś mi się udaje, choć ciągle bardzo boli. Kolejny klaps, tym razem w lewy pośladek.

- Auu... - cichutko jęczę w poduszkę, gdy dłoń mojego męża coraz szybciej i mocniej odbija się od napiętych mięśni pupy.

Trzask... trzask... trzask... Razy spadają naprzemiennie. Lewy, prawy, czasami oba pośladki. Adam ma sporą dłoń i bardzo ciężką. Zagryzam zęby, żeby wytrzymać.

- Płacz, Melanio.., Poczujesz się lepiej... - słyszę zza pleców zdławiony głos. - Pozwól sobie na to.

Ukochany wyciąga moją dłoń spod brzucha i delikatnie układa obok drugiej, spoczywającej tuż przy głowie. To jest jak sygnał, zielone światło dla moich kłębiących się negatywnych emocji: żalu, złości, wstydu...

Coś się zmienia. Z każdym uderzeniem coraz bardziej się oczyszczam. Łzy płyną niczym nieskrępowane, mięśnie powoli się rozluźniają, przestają odczuwać pieczenie na skórze pośladków, mam wrażenie, że ktoś mnie znieczulił. Jedyne, co zostało, to ciepło i miłe mrowienie. Nieznośna kluska, która od wielu tygodni tkwiła w gardle, wreszcie gdzieś znika, a wraz z nią całe napięcie. Powoli staję się lżejsza...

Nie wiem, ile to trwa, ale wystarczająco długo, żebym mogła sobie wybaczyć.

Ręka opuszcza krawędź szlafroka.

- Wystarczy. Chodź tu.

Adam podnosi mnie z poduszki i sadza na kolanach.

- Kocham cię... - Przełykam ostatnie kropelki łez.

- Lepiej?

- Uhm.

- Boli?

- Bardzo.

- Prawidłowo.

Głos brzmi tak stanowczo, że mimo całkowitego rozluźnienia sprzed dwóch minut znów ogarnia mnie jakieś dziwne podniecenie. „Opanuj się, ty nadpobudliwa istoto...”

- Adam... - Obejmuję męża ramionami i wtulam mokrą od łez twarz w zagłębienie między głową a obojczykiem.

- Co? - Ręka łagodnie głaszcze mnie po plecach.

- Wiesz co...

- Mel, nie mam już gumek.

- To nieważne, bo ja i tak chciałabym w... - nie kończę.

- Chcesz w... - Adam też zawiesza głos. - Uhm.
- Twoja pupa miała chyba dosyć wrażeń jak na jeden wieczór?
- Raczej nie...
- „Nimfomelania”? - żartuje ze mnie.
- Musisz zrozumieć, tyle miesięcy się powstrzymywałam...
- Nie robiłaś sobie dobrze w międzyczasie? Nie wierzę. Przyznaj się, co trzymasz pod poduszką? - Mój mąż parska śmiechem, oddech uderza prosto w skórę koło ucha. To bardzo przyjemne, na dodatek pod tyłkiem czuję, że nie tylko ja ucierpiałam z powodu długotrwałego postu. Ktoś też zmagazynował sporo zapasów...
- Mogłeś zamieszkać osobno, a nie wodzić mnie na pokuszenie. Zresztą: ty tego nie robiłeś?
- Parę razy się zdarzyło. - Adam chyba jest nieco skrępowany, gdy to mówi.
- To jak będzie?
- Skoro nalegasz, nie śmiem ci odmówić... - Gryzie mnie w płatek ucha.

Harding wysiada z wypożyczonego na lotnisku fiata. Rozgląda się przez moment i konstataje, że okolica jest bardzo ładna. Trzygwiazdkowy hotel Simony Lanzetty i jej męża przykleił się do wysokiego klifu. Wybudowany z kamienia, z maleńkimi oknami o łukowatych sklepieniach, skąpo porośnięty bluszczem, wygląda jak fragment warownego zamku - za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniesionego nad brzeg morza.

Mężczyzna wchodzi do środka. W niewielkiej recepcji nikogo nie ma, więc naciska dzwonek.

- *Buongiorno. Signora Simona Lanzetta?** - Kłania się niskiej blondynce, która po minucie pojawia się na schodach prowadzących ze środka budynku. - Mówi pani po angielsku? - pyta, wlepiając oczy w twarz o rysach łądząco podobnych do rysów Melanii.

- Dzień dobry. Słucham pana. - Simona odpowiada płynnie, choć z łatwo słyszalnym włoskim akcentem.

- Nazywam się Adam Harding. - Na kontuarze łąduje prawo jazdy.

- Chce pan pokój? - Kobieta przez moment zerka na dokument. - Jest po sezonie, prawie wszystkie są wolne. Na ile osób? - pyta, zauważywszy obrączkę na lewej dłoni przybysza.

- Nie. Chciałbym z panią porozmawiać. - Adam przełyka ślinę. - O Nicolasio Muldowneyu.

- Nie znam nikogo takiego. - Włoszka natychmiast blednie. - To jakaś pomyłka,

- Wiem, że pani go zna. Nicolas Vetri. Był pani mężem. - Harding patrzy prosto w oczy rozmówcy.

- Proszę wyjść. - Kobieta nerwowo zagryza kącik ust.

* (wł.) Dzień dobry. Pani Simona Lanzetta?

- On jest w więzieniu. Proszę się nie obawiać, nic pani nie grozi.

Na dłuższą chwilę zapada krępująca cisza.

- Kim pan jest? - Simona znów rzuca okiem na plastikowy dokument, ciągle leżący na mahoniowym blacie. - Czego pan chce?

- Moja żona, Melania Duvall, kiedyś...

- Melania? - Włoszka nie pozwala gościowi dokończyć. - Opowiadał mi o niej. - Nagle zakrywa usta dłonią, a w jej oczach pojawiają się łzy.

- Proszę się nie denerwować - Adam obchodzi wąską ladę recepcji i obejmuje drżące plecy Simony. - Porozmawiajmy. Proszę mi pomóc.

- Chciałabym ją zobaczyć. On... mówił, że jestem bardzo podobna.

- Proszę. - Harding wyjmuje fotografię i podaje ją nowej znajomej. - To Mel, ja i nasza córeczka Emma. - Uśmiecha się na wspomnienie okoliczności, w jakich zostało zrobione to zdjęcie.

Simona znów jest wzruszona, szybko ociera kolejne łzy. Po niecałej minucie oddaje Adamowi zdjęcie.

- Masz piękną żonę i córeczkę. Gratuluję.

- A ty masz dzieci?

- Tak. Dwójkę chłopców. Mają cztery lata. Bliźniaki. - Błady uśmiech rozjaśnia twarz kobiety.

- Gdzie teraz są? - Harding rozgląda się wokół; w elegancko urządzonej salonie nie widać ani śladu bytności dzieci, jest sterylnie czysto, każda rzecz leży na swoim miejscu.

- Od piątku są u teściów, dzisiaj wracają. Paolo, mój mąż, pojechał rano do Potenzy.

- Daleko?

- Nie. Za jakieś trzy, może cztery godziny będą z powrotem.

Znów zapada cisza. Simona wstaje, przynosi z kuchni

butelkę wina i w milczeniu napełnia dwa pokaźne kieliszki.

- Urodziłam się w Stanach. Tam mieszkaliśmy. Mama pochodzi z Manchesteru, a ojciec był Amerykaninem, zmarł przed moimi narodzinami.

Kilka lat później mama ponownie wyszła za męża. Za Włocha. Mój ojczym, Luigi, jest neapolitańczykiem. Przystosował mnie i dał mi swoje nazwisko. Nicolasa poznałam... - głos Simony lekko się załamuje - na studiach. Miałam dwadzieścia lat. Zakochałam się w nim. Szybko się zaręczyliśmy, on nalegał, a ja... byłam dumna, że chce się ze mną ożenić. Mówił, że mnie pragnie, ale nie spaliśmy ze sobą przed ślubem. On nie chciał.

- Byłaś dziewicą, kiedy za niego wychodziłaś? - Adam przełyka ostatnie krople greco bianco, po czym rozlewa resztę do kieliszków.

- Tak.

- I co było dalej?

- Nicolas przyjął moje nazwisko, wyjechaliśmy do Włoch. Zamieszkaliśmy tutaj. Luigi odziedziczył ten hotel, a my mieliśmy nim zarządzać. Miało być jak w raju. Niestety: zamiast tego przeżyłam horror. - Simona obejmuje się ramionami.

- Bił cię? - Adam zagryza wargi.

- Nie. Nigdy mnie nie uderzył. On... miał problemy ze wzwozem. Gdy pierwszy raz... - Kobieta wzdycha. - On nie mógł. Zrobił to palcami. Wtedy się zaczęło. Obwinił mnie. W końcu, po kilku miesiącach...

- Przepraszam, to chyba nie był dobry pomysł. - Harding nerwowo pociera uda spoconymi dłońmi.

- Adam, poczekaj! I ty, i ja dobrze wiemy, dlaczego tu jesteś. Coś ci pokażę. - Simona wstaje i ponownie wychodzi z salonu.

Wraca z kolejną butelką białego wina i cienką papierową teczką.

- Przeczytaj. - Rozwiązuje tasiemki i podaje swojemu gościowi plik dokumentów. - To dzieło Nicolasa.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzuca Adam zdławionym głosem, gdy po kilku minutach odkłada ostatnią kartkę. - Dlaczego to zrobił? Powiedział ci?

- Tak. Mówił, że jestem brzydka. Że brzydka tam wyglądam, że go oszukałam, nie mówiąc przed ślubem o swoim defekcie. - Gospodyni wzrusza ramionami. - Tłumaczył, że jego problemy są spowodowane właśnie tym.

- Odciał ci wargę sromową, bo brzydka wyglądała?! - Harding wytrzeszcza oczy.

- Mówił, że jest ohydna, bo wystawała i była niesymetryczna. Bardzo skrupulatnie się przygotował, trzeba przyznać. Zdobył lidokainę i mnie znieczulił. Użył sterylnego skalpela. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego się

zgodziłam. Kochałam go, wierzyłam, że gdy to zrobi, wszystko się ułoży. Wmówił mi, że będzie lepiej, jeśli on się tym zajmie, a nie jakiś lekarz. Zresztą nigdy mi nie pozwolił na wizytę u ginekologa. Byłam młoda i kompletnie głupia, a on potrafił to wykorzystać. Zszył ranę, ale po kilku dniach dostałam wysokiej gorączki. Zaczęłam krwawić, wdała się straszna infekcja... On zdjął szwy, wymyślił historyjkę o gwałcie, a ja znów zrobiłam tak, jak chciał, i opowiedziałam to w szpitalu.

- Uwierzyli w taką bajeczkę? Przecież to kompletnie niedorzeczne! - Adam ponownie zagląda do dokumentów. - Gwałt pod domem, nie widziałaś sprawcy, który tak naprawdę wcale cię nie zgwałcił. Na dodatek to przecież było kilka dni po fakcie. Nikt nie wnikał, dlaczego zwlekałaś ze zgłoszeniem? Lekarz się nie domyślił? Nie zauważył śladów po szwach? - Mężczyzna kręci głową. - To jakaś totalna bzdura.

- W Stanach by to nie przeszło, masz rację, ale tutaj... - Simona zniża głos. - Tutaj różne rzeczy się zdarzają. Nikt nie chce mieć kłopotów. Policja bardzo często umarza sprawy, które nawet dla pięciolatka są oczywiste. To idiotyczny przykład, ale niech będzie: nie oglądałaś *Ojca chrzestnego*? - Kobieta parska śmiechem. - Przyjechałam do szpitala z mężem. Przesłuchali mnie, przesłuchali jego i tyle. Nie zgłosiłam zastrzeżeń do protokołu, sprawcy nigdy nie złapano.

- Niewiarygodne. Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek. - Adam wypija kolejny kieliszek wina.

- Owszem, w Ameryce, lecz nie tutaj. - Gospodyni kręci głową. - Pewnie jesteś ciekawy, co było dalej. Minęło kilka miesięcy, w naszych relacjach niewiele się zmieniło. Nicolas był impotentem, nic nie pomagało. Leki, narkotyki... Robiło się coraz gorzej. W końcu postanowił wrócić do Stanów. Przed wyjazdem powiedział, że nigdy mnie nie kochał. Wtedy dowiedziałam się o Melanii...

Adam układa Emmę do snu. w domu od razu robi się cicho. Choć to końcówka października i w dzień jest wyjątkowo ciepło, wieczory są chłodne. Już od kilku dni palimy w dwóch kominkach. Biorę gorący prysznic. Szczękając zębami, wychodzę z zaparowanej kabiny. Wrzucam na siebie spodnie od dresu, bawełnianą bluzkę i ciepłe skarpetki. Ledwie ląduję na kanapie z pilotem w dłoniach i patchworkowym pledem na kolanach, mój mąż wchodzi do salonu. Nie mogę zrozumieć, jak mogłam tyle miesięcy żyć bez niego, skoro przez trzy tygodnie tak bardzo się stęskniłam.

Wrócił przedwczoraj. Dziwny. Zmęczony. Wycofany. Widzę, że coś go gryzie, ale nie próbuję pytać, bo poznałam Adama na tyle, by wiedzieć, że to nie ma sensu. Muszę poczekać, aż sam powie. Zanim to zrobi, tulę się do niego przy każdej okazji. Jeszcze się nie kochaliśmy. On nie inicjuje zbliżeń, ja nie mam śmiałości. Drugą noc śpimy ułożeni jak dwie łyżeczki w szufladce kuchennych mebli. Dociskam brzuch do jego szerokich pleców. Jesteśmy wtedy tak blisko siebie, że bardziej nie można, ale i tak wyczuwam jakąś barierę.

- Chodź tu. - Klepię miejsce obok siebie.

- Zaraz.

Widzę, jak podchodzi do barku, szykuje dla siebie whisky z lodem, a potem wyjmuje drugą szklankę. Stolicznaja spływa do środka, delikatnie bulgocząc, jeszcze pomarańczowy sok i mój drink jest gotowy. Gdy wręcza mi go lekko drżącą dłonią i każe wypić, nie pytam dlaczego i z jakiej okazji. Mój żołądek zaczyna się kurczyć, a w gardle coś dziwnie łaskocze. Chrząkam i szybko przepijam rosnącą kluchę.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - pytam, gdy Adam siada tuż obok mnie.

- Tak.

- Ale to nic złego? - Zbieram się na odwagę i spoglądam w jego oczy.

Nie odpowiada. Wychyla szklankę i pochłania wszystko kilkoma głośnymi łykami.

- Poczekaj - rzuca i wstaje, żeby nalać sobie kolejną porcję. Gdy widzę, że wypija ją niemal natychmiast, a butelka z wizerunkiem rachitycznego indyka trzeci raz pochyla się nad szklanką, zaczynam się bać.

- Adam... czy ty... - Opuszczam wzrok na trzęsące się kolana. Bezwiednie skubię nitkę wystającą ze śmiesznej różowej łątki z postrzępionymi brzegami, którą ktoś przyszył do pledu dla ozdoby. - Czy ty chcesz odejść? - Zamykam oczy. Na sekundę świat przestaje istnieć, a ja jestem wyłącznie oczekiwaniem...

- Mel! Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?! - Mój mąż podbiega i porywa mnie w ramiona, ściska tak mocno, że brakuje mi tchu. - Mel, kocham cię! Kocham Emmę! Póki żyję, nigdy was nie opuszczę! - Jego dłonie i usta są wszędzie, w moich włosach, na czole, szyi, plecach. Zaczynam płakać ze szczęścia. - Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? Jak mogłaś? Jesteś sensem mojego życia, ty i Emma jesteście najważniejsze, i jeszcze Ruth, ale to was kocham najmocniej... Jesteście moje... - Adam tuli mnie, aż

trzeszczą kości, a płuca nie mają miejsca, żeby nabrać powietrza przez skurczoną wzruszeniem krtani.

„To co się stało...? Dlaczego jesteś taki? Gdzie byłeś i po co?” - nie potrafię wyartykułować pytań tłukących się w głowie. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak wzburzonego, no i ten alkohol? Powietrze przesycone zapachem whisky dławi i wywołuje mdłości.

- Wierzysz mi? - Nagle ukochany puszcza mnie i odsuwa na odległość wyciągniętych ramion. - Czy ty mi wierzysz?

- Przecież wiesz, że tak.

- Ale przed chwilą myślałaś, że chcę od was odejść! - Potrząsa mną. - Jak mogłaś tak pomyśleć?

Jego twarz ściągnięta bólem i rozpaczą wygląda niesamowicie, że aż nie mogę wykrztusić ani słowa. Cierpienie rzeczywiście uszlachetnia: Adam jeszcze nigdy nie wydawał mi się taki piękny.

- Nie wiem, co mam myśleć. Zgubiłam się, bo od kiedy wróciłeś, jesteś inny... - Zagryzam wargi. - Wytłumacz mi.

- Mel, muszę ci coś powiedzieć... - Głos brzmi ochryple. - W pewnym sensie to ja... Niech to szlag! - Mój mąż uderza się pięścią w udo.

- Adam, po prostu powiedz, co się stało. - Patrzę w jego oczy.

- Nicolas nie żyje.

Powietrze z cichym świstem wpada do moich płuc. Wszystko gdzieś znika, widzę tylko dwa czarne punkty: zwężone do granic możliwości źrenice, tkwiące w błękitno lodowatych tęczęwkach.

- Skąd wiesz?

- Od Morrisa.

- Kiedy to się stało?

- Dzień przed moim powrotem ze Stanów.

- Jak? - Serce zaczyna mi walić tak głośno, że nie słyszę prawie nic innego.

- Powiesił się w celi.

- Sam w niej siedział?

- Sam - rzuca Adam pozornie spokojnym tonem, ale zauważam, że mięsień na dole jego policzka zaczyna niepokojąco drgać.

- Byłeś tam? Rozmawiałeś z nim, zanim to się stało?

Kiwa głową. Jego oczy wyglądają jak oczy lalki. Zimne, martwe, bez wyrazu...

- Chcę wiedzieć, o czym rozmawialiście.

- Dobrze. Muszę ci coś pokazać.

Adam wstaje i wychodzi, a ja od razu podrywam się z kanapy. Trzęsącymi się rękami napełniam szklankę wódką i szybko wypijam, żeby nie zdążył mnie nakryć. Stawiam puste naczynie na stoliku, dokładnie w tym samym miejscu, w którym było, i znów przykrywam się kocem.

Mija minuta, mój mąż pojawia się w progu salonu. Włosy lśnią wilgocią, a brzeg koszulki jest pokryty plamkami z wody.

Adam siada obok mnie i kładzie przed sobą papierową teczkę. Rozsznurowuje ją i wyciąga zdjęcie naszej trójki. To kiepskiej jakości fotografia zrobiona przez Tonie tuż przed jego wyjazdem. Nawet nie wiedziałam, że ją zabrał. Biorę fotkę do ręki i znów mam ochotę parsknąć śmiechem.

Jakiś miesiąc temu nasza niania znalazła na strychu stary, ale sprawny aparat Polaroid i zaczęła biegać z nim po domu. Zaskoczyła nas w łazience: ja z różowym turbanem na głowie i ręką wyciągniętą w geście sprzeciwu, półnagi Adam obejmujący mnie w pasie i trzymający na ramieniu Emmę w błękitnym pajacyku, usmarowanym pod brodą czymś bliżej nieokreślonym. Śmialiśmy się, bo Tonią, zanim nacisnęła spust migawki, robiła głupie miny i spektakularnie zezowała.

- Daj. - Adam zabiera mi fotografię i wyciąga inną.

- Boże! - Kręcę głową, nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Ze zdjęcia spogląda na mnie para: wysoki brunet, na oko

czterdziestolatek, obejmuje uśmiechniętą ciężarną kobietę, niewiarygodnie podobną do mnie. Przez moment myślę, że to ja... Dopiero po chwili dostrzegam różnice: ma okrągłęjszą buzię i nieco ciemniejszą oprawę oczu. Jednak kształt ust, wzrost, kolor włosów są identyczne.

- Kto to? - pytam, gdy już odzyskuję głos.

- Była żona Nicolasa, Simone Vetri, i jej obecny mąż, Paolo Lanzetti.

- Skąd to masz?

- Byłem u nich.

- Rozumiem. - Zagryzam wargi. - Gdzie mieszkają?

- W niewielkim miasteczku niedaleko Neapolu. Prowadzą ośrodek wczasowy, hotel... - Adam zawiesza głos. - Zaprosili nas, może kiedyś się wybierzemy? To bardzo mili ludzie.

- Dobrze. - Kładę dłoń na jego rękę. - Jak ich znalazłeś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Rozumiem. Co jeszcze masz w tej teczce? - Wysuwam rękę.

- Mel... ja nie wiem, czy... czy powinnaś to zobaczyć. - Mąż łapie mnie za nadgarstek.

- Chcę zobaczyć. Pozwól mi.

- To naprawdę... Nie pokażę ci, to był głupi pomysł. - Zabiera teczkę i kładzie ją na kolanach.

- Adam, jeśli będziesz blisko mnie, zniosę wszystko. Rozumiesz? Ten człowiek kiedyś pochłoniął jakąś cząstkę mnie, przeżuł ją i wypluł. Bałam się go, ale teraz, gdy powiedziałeś, że nie żyje, poczułam wielką ulgę. Domyślam się, że czujesz się częściowo odpowiedzialny za jego śmierć. Jeśli zawartość tej teczki pozwoli mi zdjąć z ciebie ciężar winy, pozwól mi ją poznać. Chcę ci pomóc. Proszę...

Widzę, że mój ukochany się waha. Wyciągam dłonie i delikatnie rozginam jego palce. Kładę teczkę na blacie stolika, otwieram. Żeby dodać sobie otuchy, zerkam na dwie fotografie, które oglądałam przed chwilą.

Pierwszy dokument jest spisany po włosku i podbity lekarską pieczęcią. Podnoszę wzrok na Adama.

- To raport z obdukcji.

- Przetłumacz.

- Tu jest po angielsku. - Podnosi kartkę leżącą pod dokumentem.

Drżą mi ręce, ale zauważam to dopiero, kiedy kończę czytać.

- Dlaczego ona tego nie zgłosiła na policję? - pytam.

- Zgłosiła, a w zasadzie to lekarze, którzy ją ratowali. Zeznała, że ktoś ją napadł blisko domu. Nicolas wymyślił całą historię, a ona ją opowiedziała.

- Bała się?

- Tak.

- Umorzyli śledztwo?

- Tak. Wkrótce opuścił Simone, ale zagroził, że jeśli ona ujawni prawdę, on wróci i ją zabije.

- Jej mąż wie?

- Tak, dowiedział się niedawno. Zadzwoiłem do niej z lotniska i poinformowałem o samobójstwie. O tym, że Vetri był sprawcą, powiedziała mężowi dopiero po moim telefonie.

- Ja też się bałam. - Przełykam ślinę. - Ona wie, co mnie spotkało?

- Tak.

- Powiedziała ci? - Zastygam w oczekiwaniu.

- Nie. Nie pozwoliłem jej dokończyć, nie chciałem tego słuchać bez twojej zgody. Jeśli jednak uważasz, że powinienem znać prawdę, zadzwonię do

Si mony.

Przełykam ślinę, mimo to do gardła podjeżdża fala mdłości.

- Nie dzwoń, proszę, ale wiedz, że to, co spotkało Simone, jest znacznie gorsze. Powiedz, że tylko my dwie, że nie było innych kobiet... -
Opuszczam wzrok na nasze zdjęcie.

- Z kobiet tylko ty i ona.

- Z kobiet... - powtarzam jak echo. - Chyba nie mówisz o... - Mam nieodpartą ochotę pobiec na górę i uściskać córeczkę. Podnoszę fotografię i mocno przytulam ją do serca.

- Nie. Żadnych dzieci.

- Dzięki Bogu... Dzięki Bogu...

Odkładam zdjęcie dopiero wtedy, gdy moje serce się uspokaja. Świadomość, że jestem bezpieczna, że mam obok siebie człowieka, który mnie kocha, a gdzieś blisko śpi nasze dziecko, dodaje mi odwagi. Sięgam po kolejny dokument, a potem po następny i następny...

- Jak on się czuje? - Spoglądam na zdjęcie Jonathana Bradleya, którego jedyną winą było pewnie to, że się we mnie zadurzył i nie chciał odpuścić, bo nie pozwalała mu urażona młodzieńcza duma.

- Teraz już dobrze... od kiedy się dowiedział, kto stał za tym wszystkim. Jego ojciec przebąkiwał, że na święta mają go zabrać do domu.

- Wie o tym, że Nicolas...?

- Chyba tak. Zadzwoiłem do niego od razu po telefonie od Morrisa. Miał powiedzieć Jonathanowi.

- I Damian? To nieprawdopodobne. - Kręcę głową. - Co mówią lekarze?

- Powinien z tego wyjść. Matka oddała mu nerkę i chyba wszystko jest w porządku.

- W porządku? - Mój głos brzmi piskliwie. - Co ty mówisz? Adam, on prawie umarł, nie czytałeś raportu? - Trzęsę się jak galareta. - A co z tymi kolesiami, którzy go skopali? Jak to możliwe, że w więzieniu, gdzie są kamery, strażnicy, wydarza się coś takiego?

- Nie wiem, wszystko dopiero zaczyna się wyjaśniać. Zresztą nie zamierzam wnikać, na bieżąco jestem tylko ze swoją sprawą...

- Jaką swoją?! Co on ci zrobił?!

- Człowiek, który włamał się do mojego biura, zrobił to na zlecenie Vetriego. Ktoś, kto wgrał zdjęcia i film, tak samo. Wszystko było jego dziełem...

- Boże! Jak do tego doszedłeś? - Jestem wstrząśnięta.

- Nie mogę ci powiedzieć - Zwiesza głowę. - Obiecałem dyskrecję.

- Jasne. Nie ma tematu.

- Mel... to jeszcze nie koniec.

- Nie?

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że ktoś nęka Ruth głuchymi telefonami?

Kiwam głową. To wszystko, co mi powiedział i co zobaczyłam...

Zerkam na męża. Siedzi zgarbiony, bezradny, aż skręcam się z żalu. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak przytłoczonego.

- Chodź! Musisz ją zobaczyć! - Biorę Adama za rękę i szybko wychodzimy z salonu.

Nie wiem, ile czasu stoimy przy łóżeczku, spoglądając na Emmę. Za każdym razem, gdy widzę, jak spokojnie śpi, moje serce wypełnia miłość. Przelewa się przez nie i wyciska spod powiek gorące łzy.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwa, że ją mam, i jak bardzo cię kocham za to, że mi ją dałeś... – Podnoszę dłoń męża i ją całuję.
- I za to, że ze mną jesteś. A teraz chodź.

Wracamy na dół.

- Jak to się odbyło? Chcę wiedzieć.

Adam wbija wzrok w jakiś punkt przed sobą i przez trzy minuty beznamiętnym głosem referuje przebieg wizyty w więzieniu (choć w rzeczywistości musiało to trwać co najmniej trzy razy tyle...). Gdy mówi o reakcji Nicolasa na zdjęcia, lekko załamuje mu się głos. Wreszcie rozumiem, co tak zdruzgotało mojego męża.

- Wiem, dlaczego się obwiniasz! - Chcę natychmiast go pocieszyć. - Ja też jestem poruszona. Tak samo jak ty wierzę, że nawet w najgorszym człowieku tli się, choćby nikły, płomyk dobra. Każdy łotr ma w sobie ślad człowieczeństwa, wystarczy tylko do niego dotrzeć. Ale za jaką cenę?! Czy jesteś Bogiem, żebyś musiał aż tak otworzyć serce i dostrzec tę wątłą iskierkę? Nie. Ja też nie! Jestem zwykłą kobietą, którą ktoś skrzywdził, i nie muszę być równie miłosierna. Mam córkę i gdy pomyślę, że mogłoby ją spotkać coś takiego...

- Mel... - Adam chwyta moją dłoń i mocno ją ściska. - Ja się nie obwiniam. Nic go nie usprawiedliwia. Nic - mówi tak dobitnie, że z wrażenia zagryzam zęby. - Gdyby zechciał, mógłby się leczyć, zrobić cokolwiek, żeby to przerwać. Ale nie. On wolał pastwić się nad tobą, nad tą dziewczyną, nad twoimi byłymi chłopakami. Straciliśmy tyle miesięcy! Niewiele brakowało, a stracilibyśmy Emmę! Przecież prawie poroniłaś, gdy mnie aresztowali!

Zbierałem kwity na niego, chciałem, żeby zgnił w więzieniu, żeby już nigdy nikt przez niego nie cierpiał, chciałem was pomścić. Wiem, że gdyby nie moja wizyta... I gdybym nie pokazał mu tych zdjęć... Ale on sam podjął decyzję i sam to zrobił, a ja nie zamierzam się zastanawiać, co spowodowało, że był taki wynaturzony. Wiesz, o czym marzę? Żebyś o nim zapomniała. A na sercu leży mi jedynie obawa, że uznasz mnie za współwinnego tego samobójstwa i będziesz o mnie myśleć ze wstrętem. - Mój mąż schyla głowę jak w oczekiwaniu na wyrok.

- Ze wstrętem? Adam, spójrz na mnie. - Delikatnie dotykam jego policzka. - Jesteś dobrym człowiekiem i za to cię kocham. Dziękuję ci, że to zrobiłeś. Dziękuję, że pokazałeś mi, jak bardzo ja i ta okaleczona kobieta jesteśmy szczęśliwe. Mam nadzieję, że gdy wędrował do piekła, cały czas miał przed oczami nasze twarze. Kocham cię i nigdy nie zapomnę, że miałeś odwagę to dla nas zrobić! Myślę, że Simona sobie poradziła, jakoś poukładała swoje życie, posklejała emocje, tak jak ja. Mamy parę drobnych rys, ale ciągle możemy żyć i...

Ukochany nie pozwala mi dokończyć, obejmuje mnie bardzo mocno, aż tracę dech. Tkwimy przytuleni, a ja czuję się tak bezpieczna, że pod powiekami od razu zbierają się łzy.

- Kochanie... - rzucam po chwili, która pozwoliła nam nieco uspokoić rozdygotane ciała.

- Tak? - Adam głaszcze mnie uspokajająco po plecach.

- Dlaczego akurat wy trzej? Ja... tych chłopaków było... - Przełykam ślinę, bo trochę nie wypada chwalić się swoimi pseudopodbojami, zwłaszcza w takich okolicznościach.

- Wiem, że było ich, a raczej nas, więcej. - Mój mąż parska cichym śmiechem. - Chodziło o pierścionki.

- Jakie pierścionki? - Odrywam się od jego piersi. - Zaręczynowe?

- Tak. - Adam spogląda na mnie wzrokiem czystym jak niebo. - Vetri śledził każdego faceta, który się z tobą spotykał. Oprócz możliwości wynikających z tego, że był policjantem, miał pomocników, najczęściej o dosyć nieciekawym życiorysie. To byli przestępcy, hakerzy, handlarze narkotykami, zresztą jeden z nich zadenuncjował go na policję, poszło o jakieś pieniądze. A wracając do pierścionków: Jonathan ci się oświadczył, prawda?

- Tak. Odmówiłam mu, a kilka dni później go rzuciłam. Dzwonił, nie mógł się z tym pogodzić, ale w końcu ustąpił. Kontakt się urwał. Nie

wiedziała, że to wszystko miało ze mną związek. Wierzysz mi? - Choć Adam milczy, wiem, że tak jest, bo ściska moją dłoń i przykłada ją na moment do swoich ust. - A Damian? Ty?

- Damian też miał pecha, kupił pierścionek chyba tydzień przed tym, jak pierwszy raz cię zobaczyłem. Nie zdążył się oświadczyć, jednak to nie pomogło. Pamiętasz dzień, w którym pojechaliśmy na przystań? Rano odwiedziłem komisariat.

- Tak. To było po mojej wizycie u Angeliki.

- Widziałem go wtedy.

- Damiana?

- Tak. - Mój mąż smętnie kiwa głową. - Aresztowali go za posiadanie narkotyków. Prowadzili skutego... Jak ten chłopak wyglądał! Gdybym wtedy przewidział, jak to się skończy... - Macha ręką.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Wybałuszam oczy.

- Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej spotkałem. Wiesz, wtedy sporo się działo... Dopiero kiedy otrzymałem te wszystkie papiery, nagle mnie olśniło. - W głosie Adama słychać tyle rezygnacji, że od razu chwytam jego dłoń i splatam nasze palce.

- Nie oskarżaj się. Co mógłbyś zrobić? Nic... - Wpatruję się w pustą szklankę. - A ty? - Przetykam ślinę, bo już wiem, że on również zamierzał poprosić mnie o rękę.

- Zamówiłem go w salonie TraxNYC, kilka dni po naszym powrocie z Braddock.

- Słucham? - Mój głos brzmi piskliwie, nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałam. - Tak wcześniej? Dlaczego?

- Mel... Nie pamiętasz naszej rozmowy? Gdy powiedziałem ci, że cię kocham i że chcę być z tobą na zawsze?

- Pamiętam. Nigdy jej nie zapomnę. - Schylam głowę, przed oczami pełnymi łez znów mam ten wieczór i wszystko, co się wtedy wydarzyło. Przypominam sobie słowa Adama o niebieskiej sukience i już wiem, że mówił prawdę, że poczuliśmy w tym momencie to samo, że zakochaliśmy się w sobie tego pamiętnego dnia w moim mieszkaniu.

- Długo czekałem na ten pierścionek. - Mój ukochany podnosi się z kanapy i podchodzi do szafki z alkoholami. - Uprzedzili, że to kwestia kilku miesięcy. Kamień sprowadzali z RPA, z kopalni diamentów niedaleko Pretorii. Miał być błękitny i był. Jak na ironię, odebrałem go dzień po otrzymaniu wyników z Bostonu. Tego nasieniogramu.

- Rozumiem. - Zagryzam wargi. - 1 co zrobiłeś z pierścionkiem?

- Nie wiem, czy uwierzysz... - Adam siada z powrotem i wręcza mi szklankę z kolejnym drinkiem. - Miałem go wtedy ze sobą.

- Gdy przyszedłeś do mnie porozmawiać? - Wsuwam lewą rękę pod jego ramię.

- Tak. Zabrałem wyniki i ten pierścionek. - W głosie ukochanego wyraźnie słyszę dziwnie brzmiące nuty.

- Po co? - pytam.

- Chciałem rzucić ci go w twarz... Ale kiedy cię zobaczyłem, kiedy rozmawialiśmy... nagle uświadomiłem sobie, że... - Mój mąż ciężko wzdycha, a ja dla odmiany na moment przestaję oddychać.

Słyszę tylko swoje szalejące ze wzruszenia serce. Szybko odstawiam szklankę, póki drżąca dłoń jest jeszcze w stanie to zrobić. Próbuję uspokoić Adama, głaszcząc wierzchem dłoni rozpalony policzek, jednak to zbyt mało, aby powstrzymać falę tych wszystkich emocji.

- Mel, tamtego dnia zrozumiałem, że nie mogę bez ciebie żyć, że zrobię wszystko, że nawet to, o co wówczas cię oskarżałem, mi nie przeszkodzi. Naprawdę chciałem wtedy z tobą zostać. Choć to szalone, irracjonalne, wybaczyłem ci od razu. Byłem na pogrzebie Kneppera, chciałem do ciebie podejść, błagać o rozmowę, o szansę, ale to było takie trudne, uciekłem z cmentarza, a później ty zwróciłaś mi pieniądze, to było jak kolejny policzek. Mimo wszystko napisałem do ciebie przed świętami, niestety... - Głos mojego męża z każdym słowem załamuje się coraz bardziej, aż w końcu Adam milknie, a jego ciałem zaczynają wstrząsać bezgłośnie łkania. - Gdy wiadomość wróciła z adnotacją, że nie ma takiego adresu, spasowałem. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że tak się stało - mówi z trudem po dłuższej chwili. - Nigdy sobie nie wybaczę, że zostawiłem cię samą, że nie byłem obecny w twoim życiu, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś.

- Adam, kocham cię. Kocham cię nad życie, tyle dla mnie zrobiłeś... - jękam się i krztuszę płynącymi łzami. - Proszę, nie oskarżaj się, to też moja wina, mogłam ci powiedzieć o zdjęciach znalezionych przypadkowo w domu po Muldowneyach, o spalonych albumach, o tym, co zrobił mi ten człowiek. Powinnam była ci zaufać... - Delikatnie wyjmuję szklankę z jego dłoni i siadam na drżących kolanach. - Przytul się, tak bardzo tego potrzebujemy.

„Boże, daj nam siłę i pomóż to pokonać - modłę się bezgłośnie. -

Spraw, żebyśmy sobie wybaczyli i żeby nic już nie stanęło na naszej drodze".

- Co się stało z pierścieniem? - pytam, gdy nasze serca odnajdują wspólny rytm, a ciepłe i spokojne oddechy delikatnie się mieszają.

- Podarowałem go Ruth.

Próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam na jej dłoni taki drobiazg, ale szybko sobie uświadamiam, że z pewnością jest zbyt cenny, by piętnastolatka nosiła go na co dzień.

- Wiesz, że mam wszystko, co mi dałeś? Sukienkę, serwis... Talerza niestety nie dało się uratować, choć zachowałam skorupy. - Staram się zachować lekki ton, lecz coś zbyt mocno ściska mnie w gardle. - Ale filiżankę sklepałam.

- Gdzie go trzymasz? - Wyraźnie słyszę wzruszenie w głosie Adama.

- W sypialni, w szafie. Jeszcze nie rozpakowałam. - Przypominam sobie, ile łez wylałam, owijając każdą filiżankę i talerzyk w papier pakowy, i jak bardzo rozpaczałam nad fragmentami roztrzaskanego talerza. - Nie mogłam go zostawić w Nowym Jorku.

- Mel... Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham.

Choć to trudne do uwierzenia, jeszcze mocniej się ściskamy. I właśnie wtedy, jak na zawołanie, nasza ukochana córeczka za pośrednictwem elektronicznej niani głośno obwieszcza, że koniec tych wspominek.

- Czy mi się wydaje, czy ona gaworzy? - parskam przez łyżę.

- Chyba tak...

- I śmieje się?

- Też to słyszę.

- O dwunastej w nocy?

- A czemu nie? - Adam szybko cmoka mój policzek, a potem się podnosi. - Idziemy na górę?

Ileż się zmieniło od momentu, gdy ostatni raz siedziałam za biurkiem w kancelarii podatkowej Gideona Kneppera... Wyciągam z portfela fotografię Emmy i całuję pyzată buźkę. - Jeszcze parę dni, no, może ciut więcej, i znów cię zobaczę. - Uśmiecham się do mojego słodziaka. - Ciebie i twojego tatusia. Dlaczego się rozchorowałaś? W trójkę byłoby nam raźniej. Mamusi byłoby raźniej. - Unoszę brwi i ciężko wzdycham, bo znów sobie przypominam, że jeszcze dzisiaj czeka mnie kolejna przykra rozmowa z inspektorem Davidem Kutcherem.

Chowam fotkę i podnoszę się z fotela. Może kawa ułatwi mi przetrwanie tej konfrontacji?

Liza... Moja droga Liza już nie jest asystentką. Awansowała. W zasadzie to ja ją awansowałam. Jest zastępcą kierowniczką jednego z działów. „Kto by pomyślał? Ileż ona ma lat? Dwadzieścia? Chyba tak”.

Nie pozostaje mi nic innego, jak wybrać się na wycieczkę do bufetu. Trzymanie asystentki dla kogoś, kto przebywa w biurze dziesięć dni w roku, jest niezbyt rozsądne, nawet gdy ten ktoś to właściciel firmy. W naszej „kawiarni” nie ma nikogo. Wszyscy pracują. Na początku roku w kancelarii jest najwięcej pracy, a jeśli dodać do tego trwającą już tydzień kontrolę z urzędu podatkowego? Żartów nie ma. „Że też nie mogli sobie znaleźć innego momentu!” - sarkam w duchu, szybko napełniając małą filiżankę.

Nalałam zbyt dużo wody, więc idę powolutku, wpatrując się w połyskujące lustro napoju i rozważając, czy istnieje jakaś pora, kiedy urzędnicy skarbowi są witani z otwartymi ramionami. Dochodzę do wniosku, że taka chwila chyba jeszcze nie nastąpiła.

- Melania?

Natychmiast podnoszę wzrok. Głos wydał mi się znajomy.

- Angel... Nina? - Otwieram ze zdumienia oczy. - Co ty tu robisz? - odruchowo zadaję niezbyt grzeczne pytanie.

- Hej! Kopę lat. - Uśmiecha się radośnie. - A ty?

- Pracuję tu... - dukam, bo ciągle nie mogę ochłonąć.

- Wiem. Żartowałam. Przyszłam wypełnić zeznanie.

- No tak! Ależ jestem głupia - próbuję wybrnąć. - Pięknie wyglądasz.

Tylko raz miałam przyjemność spędzić trochę czasu w towarzystwie tej uroczej kobiety (choć nie mogę narzekać, to były jedne z najbardziej fascynujących godzin w moim życiu), ale dobrze zapamiętałam jej wygląd. Chyba jeszcze bardziej wypiękniała: cudowne, lśniące włosy spięte w wysoki koński ogon, nienaganny makijaż, takiż strój (znów z nutką Orientu) i to, co najważniejsze - śliczna cera i figura jak u modelki.

- Ty też. Słodka jak zawsze. - Nina nachyla się i cmoka mnie w policzek.

- Chodź do biura. Zapraszam! - Spontanicznie łapię ją za ramię.

- Masz czas? - Unosi idealnie wymodelowane brwi.

- Pewnie! W końcu to mój interes. Kawy?

- Nie, ale chętnie napiję się wody.

Prowadzę Ninę do biura mojego nieżyjącego szefa. Od dwóch lat stoi puste. Odkąd przyjechałam, staram się jak najwięcej tutaj przebywać.

Czuję wibrującą pozytywną energię Gideona i jest mi jakoś lżej.

- Co u ciebie? - Mój gość rozsiada się w jednym z wielkich klubowych foteli.

- Nic szczególnego. Wysłałam za męża, mam córeczkę, wyprowadziłam się do Francji.

- To nic szczególnego? - Nina parska śmiechem. - To kompletna rewolucja.

- A u ciebie? U Liu?

- Nie wiem. Rozstałyśmy się. - Dziewczyna lekko wzdycha. Ewidentnie jeszcze to przeżywa, w jej oczach coś niepokojąco błyszczący.

- Przepraszam. Nie wiedziałam. - Zagryzam kącik ust.

- Nieważne. - Macha dłonią. Długie czerwone paznokcie błyskają jak ostrze sztyletu zanurzonego w krwi. - Dlaczego przyjechałaś?

- To znaczy? - Przechyliłam głowę, bo nie mogę zrozumieć, o co jej chodzi.

- Tu. Dlaczego wróciłaś? W zeszłym roku też byłam wypełnić zeznanie, chciałam się z tobą zobaczyć i jakaś dziewczyna powiedziała, że rzadko bywasz w kancelarii.

- Aha. - Robię głupią minę. - Skąd wiesz, że to moja firma? - Już mam spytać, czy to Adam był informatorem, ale Nina nerwowo poprawia się w fotelu.

- Z gazety. Przypadkowo przeczytałam notatkę o pogrzebie twojego szefa i rozpoznałam cię na zdjęciu. Nie ukrywam, że troszkę poszperałam w sieci. I stąd ta wiedza.

- Uhm. - Kiwam głową. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobiła, i chyba nie chcę dopytywać. Wiem, że się jej spodobałam, może dlatego? - E... przyjechałam, bo mam kontrolę z urzędu podatkowego. Takie tam... Ogólnie kłopoty. Czasami ktoś nadgorliwy się doczepi i maści. Nie mam szczęścia, bo koleś, który tam siedzi - mówię, wskazując na boazerię pokrywającą ścianę po prawej stronie - jest najgorszy w całym hrabstwie, bardziej papieski niż sam papież.

- Rozumiem. Może go... Wiesz, pieniądze potrafią czynić cuda. - Nina uśmiecha się łobuzersko.

- Nawet o tym nie myśl. - Zniżam głos i wywracam oczami. - Czekał, coś ci pokażę. Coś naprawdę super!

- Co? - Mój gość od razu się ożywia.

- Pamiętasz? U ciebie, lustro weneckie?

- Wiedziałaś? - chichocze cicho. - Spryciara.

- Tak. Nie od razu, ale się domyśliłam. Chcesz zobaczyć, jak to wygląda u mnie?

- Masz takie lustro?

- Uhm... - mruczę wymownie, zrzucając buty.

Bezszelestnie podchodzę do ściany. Zdejmuję obraz (rama jest podbita od spodu grubym filcem) i odwracam się w stronę Niny, kiwając palcem. Wie, że też powinna zachować ciszę, więc ostrożnie zdejmuje niebotycznie wysokie szpile i po kilku sekundach staje obok mnie.

- Oni nas nie usłyszą? - szepcze, przyglądając się dwóm mężczyznom siedzącym w salce konferencyjnej nad gigantycznym stosem papierów.

- Nie, choć gdybyśmy czymś stuknęły albo bardzo głośno mówiły, pewnie tak.

- Mel... To ci urzędnicy? - Głos Niny brzmi dziwnie.

- Tak. Ten wysoki z ciemnymi włosami to kontroler, a ten mniejszy, łysy jest asystentem. A co? Znasz ich?

Dziewczyna przez moment się waha, w końcu kiwa głową.

- Znam. Bruneta.

- Serio? - Wybałuszam oczy. - Skąd? To twój klient?

- Boże! Nigdy tego nie robiłam, ale przy tobie kompletnie tracę rozum - wzdycha Nina, dając mi lekkiego kuksańca w brzuch. - Tak, to klient.

- David Kutcher jest twoim klientem? - piszczę, starając się zachowywać w miarę cicho, jednak wyobraźnia maluje takie obrazy, że zachowanie spokoju graniczy z cudem.

- Przestań! - syczy mój gość, zakrywając mi usta. - Nie mów nazwiska. Błagam, żadnych nazwisk.

- Nie znasz nazwisk klientów?

- Nie. I nie chcę znać. To drugi taki przypadek w mojej karierze, jeśli mogę to tak nazwać, - Nina parska zdławionym śmiechem. - Zakryj lustro, nie mogę na niego patrzeć. To straszny kutas.

Szybko wieszam obraz i wracamy na fotele.

- Po co ci lustro weneckie? - pytam o coś, co kiedyś bardzo mnie nurtowało.

- Ze względów bezpieczeństwa. Na początku bardzo się bałam. Czasami, gdy miałam jakiegoś nowego klienta, w pomieszczeniu obok siedział wynajęty ochroniarz. Później zastąpiła go Liu z telefonem w garści na tak zwany wszelki wypadek. Na szczęście nigdy nic złego się nie

wydarzyło, więc zarzuciłam te praktyki. Tak na marginesie: co on ma do ciebie?

- W sumie nic. Wszystko mam w porządku, siedzi, żeby zatruwać życie. Grzebie w papierach z nadzieją, że coś znajdzie. Wiesz, to kłopot - wzdycham. - Już tydzień tu jestem, a pewnie jeszcze ze dwa będzie mnie męczył. Tęsknię za małą. Nie mogłam jej zabrać ze sobą, bo jest chora. Złapała anginę.

- Kto się nią opiekuje?

- Jej tatuś i niania.

- Aha. Wiesz co? Mam pomysł. - Nina zagryza wargi, uśmiechając się diabolicznie. - Zrobię to dla ciebie, jesteś taka słodka... - Oblizuje się jak na widok pucharka z lodami i bitą śmietaną. - Powiedz, czy ktoś tam wchodzi?

- Do nich? Nie. Nie wolno im przeszkadzać - pryham.

- OK. Świetnie. - Dziewczyna robi kolejną minkę z gatunku „jestem baaardzo niegrzeczna”. - Zaraz wracam. Jak chcesz, możesz popatrzeć. - Puszczą mi oczko.

Nina opuszcza biuro, a ja błyskawicznie dopadam do ściany i zdejmuję obraz...

Zjawiskowa czarnula wyciąga z torebki cienką skórzaną teczkę, z którą przyszła do kancelarii, i wychodzi na korytarz. Krótki odcinek dzielący pomieszczenia pokonuje energicznym, acz bardzo seksownym krokiem. Delikatnie puka do drzwi salki konferencyjnej i wchodzi bez zaproszenia.

- Dzień dobry. - Staje w progu i uśmiecha się, lekko przekrzywiając głowę. - Mam dokumenty dla pana. - Wbija wzrok w wysokiego bruneta siedzącego za stołem.

Obaj mężczyźni jak na komendę podnoszą czoła znad stery dokumentów.

- Dzień dobry. - Młodszy inspektor skarbowy Lucas Sheen rozdziawia pyszatą buzię. Przetyka ślinę, spoglądając na piękną czarnowłosą Szeherezadę, która niespodziewanie pojawiła się w skromnych progach salki.

- E... Dzień dobry. - David Kutcher dopiero teraz jest w stanie wyrzucić z siebie kilka słów. Ma wrażenie, że wszyscy obecni słyszą, jak wali mu serce. - Dzień dobry... - powtarza po chwili i zrywa się z krzesła. - Dziękuję pani, An...

- Panno. Jestem panną. - Nina nie pozwala mu skończyć i znów się uśmiecha. - Panna Anastazja Dream.

- A, tak... - Inspektor Kutcher nerwowo drapie się po głowie. - Lucas, napiłbym się kawy. Możesz mi przynieść? - zwraca się do swojego asystenta. - Dużą, z podwójnym mlekiem i cukrem.

- Może poprosimy pannę Dream? - Łysy grubasek próbuje obarczyć tym obowiązkiem nowo przybyłą.

- Nie! Bardzo cię proszę, idź po kawę! - Jego przełożony podnosi głos. - Aha, i jeszcze jedna prośba: wcześniej zejdź do samochodu. W schowku w lewych drzwiach jest moja saszetka z lekami. Źle się czuję. - Mężczyzna luzuje krawat, a potem wyciąga z kieszeni chusteczkę i ociera czoło. - Chyba mam skok ciśnienia,

- OK. - Lucas natychmiast wstaje i odruchowo kieruje się w stronę drzwi. Jeszcze nie widział swojego starszego kolegi w takim stanie. - To chwilę potrwa, wiesz... Zaparkowaliśmy przy Osiemdziesiątej... - Odwraca się nagle.

- Idź już! - Brunet, zachowując resztki przytomności, rzuca mu kluczyki od służbowego forda. - Co tu robisz? - pyta, gdy tylko zamykają się drzwi.

- Co powiedziałaś, psie?! - Nina odkłada teczkę i podchodzi do trzęsącego się jak w febrze mężczyzny.

- Przepraszam. - Ten natychmiast opuszcza głowę.

- Posłuchaj... - Kobieta wyciąga rękę, przez spodnie chwyta inspektora Kutchera za worek mosznowy i lekko go ściska. - Grzecznie się spakujecie i opuście to biuro. Daję ci dwie godziny. Przyrzeknij, że nie będziesz już nękać miłej pani Duvall. - Mocniej zaciska palce.

- Muszę napisać raport... - jęczy Kutcher.

- Mówiłam: masz dwie godziny. Rozumiesz? - Paznokcie wbijają się coraz głębiej.

- Tak. - Brunet odchyła głowę w ekstazie. - Mogę dziś do ciebie przyjść, pani? - charczy, podniecony.

- Nie, ale jutro o ósmej wieczorem widzę cię na wycieraczce. I nie zapomnij: tylko pod warunkiem, że teraz będziesz grzecznym pieskiem. Ukarzę cię tak, że przez miesiąc nie będziesz mógł się pokazać na siłowni ani w saunie. - Głos Niny brzmi nisko i gardłowo. - Będziesz płakał i prosił o łaskę, lecz nie tym razem, piesku... Wychłostam cię bez litości, byłeś bardzo niegreczny...

Kobieta nagle puszcza klejnoty rodowe swojego klienta i podnosi

dłonie do jego twarzy. Zręczne paluszki chwytają za baczki i mocno pociągają.

- A teraz do roboty, psie!

David Kutcher opada na krzesło zaraz po tym, jak Nina zabiera teczkę i opuszcza salę. Mężczyzna ciężko sapie, masując obolałe jądra i stojącego na baczność penisa, w końcu nie wytrzymuje i wybiega do toalety.

Zimno jak diabli. Styczeń się kończy, śnieg po kolana i jeszcze ten paskudny wiatr. Od godziny tkwię zatopiona w wielkim fotelu, kocu i gorącym powietrzu buchającym z kominka. Dopiero teraz odtajałam po przechadzce z biura do hotelu. Nie wiem, co mnie tak natchnęło do spaceru. Może nadmiar wrażeń?

David Kutcher odpuścił! Kiedy zadzwoniłam do Adama i powiedziałam, że jutro wracam, nie mógł uwierzyć, zwłaszcza że jeszcze rano, gdy rozmawialiśmy, płakałam jak bóbr, słysząc w tle gaworzącą Emmę.

No cóż, jestem dłużniczką Niny. Zaprosiłam ją na lato do Francji, mam nadzieję, że skorzysta. Zanim to nastąpi, spodziewam się jej za niecały kwadrans. Jeszcze raz rozglądam się po pokoju. Za chwilę kelner ma przynieść gorącą kolację. Zjemy, może coś wypijemy, muszę tylko uważać, żeby Nina mnie nie uwiodła. Pochwaliłam się Adamowi, komu zawdzięczam wcześniejszy powrót. Najpierw go zatkało, ale gdy odzyskał rezon, ostrzegł mnie - i to kilkakrotnie. Mój kochany zazdrosny mąż...

- Pyszne - rzuca mój gość, wycierając usta serwetką.

- Uwielbiam makaron, choć chyba nie powinnam... - wzdygam, chwytając się za boczki.

- Przestań, wyglądasz rewelacyjnie. Nie widać po tobie śladów macierzyństwa, no, może poza biustem... Chyba jest jeszcze pełniejszy? - Nina wlepia wzrok w mój dekolt. - Mąż zadowolony, co? Przyznaj się.

- O, tak. - Kiwam głową. - Też zauważył zmianę. Jeszcze po lampce? - Podnoszę butelkę wyborowego chablis.

- Chętnie. - Nina kolejny raz podsuwa swój kieliszek. - Jaki on jest? Opowiedz. - Sadowi się wygodnie w tapicerowanym foteliku.

- O kim? O Adamie? Przecież go znasz. - Parskam śmiechem. - Nie wiem nawet, czy nie aż nadto.

- Co?! Adam jest twoim mężem?!

- A kto? - Teraz ja jestem w szoku. Czyżby jakieś małe *deja vu*? Już to

dzisiaj przerabiałymy, tylko na odwrót.

- Przecież się rozstaliście! - Moja znajoma potrząsa głową tak mocno, że kruczoczarne loki rozsypują się wokół śnieżnobiałej szyi.

- Skąd wiesz?

- Wpadliśmy na siebie przypadkowo, to było ponad rok temu, poszliśmy na kawę i wtedy mi powiedział.

- Jeśli możesz, zdradź, o czym rozmawialiście. - Jestem nieprawdopodobnie ciekawa, bo Adam nigdy nie mówił mi o tym spotkaniu.

- W sumie to o niczym konkretnym.

- Rozumiem.

- Hm... Widzę, że jesteś szczęśliwa, więc... - Nina lekko wzdycha. - W zasadzie to Adam mnie wtedy poznał i zaczął. Gdyby nie to, na pewno nawet bym się nie zatrzymała, bo szczerze mówiąc, wyglądał nieciekawie. Ciężki człowiek. To było w SAKS-ie, kupował prezent dla siostry i chyba jakiejś ciotki, która przyjechała na święta.

- Uhm. - Kiwam głową. Od razu się domyślam, że Nina mówi o siostrze mojej nieżyjącej teściowej. Pewnie ona i Ruth przyjechały do Stanów, ponieważ Adam nie mógł opuścić kraju ze względu na ciężące na nim zarzuty.

- To było naprawdę okropne. Nie wiem, co dokładnie między wami zaszło, bo nie chciał powiedzieć, ale... Mel, jak on wyglądał, jak mówił... - Nina zawiesza głos, a ja znów czuję pod powiekami nieznośne pieczenie. - Był jak zombie. Bez życia, przygnębiony tak, że samo patrzenie na niego wystarczało, żeby to poczuć.

- Rozumiem. - Zagryzam wargi. Dobrze pamiętam te święta, ten ciężki okres, jeden z najgorszych w ciągu naszych bez mała sześciu miesięcy rozłąki.

- Między wami na pewno wszystko OK? - Nina spogląda na mnie wnikliwie.

- Tak. Teraz tak.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

- Dlaczego pytasz?

Dziewczyna przechyla głowę, a potem parska śmiechem.

- Jestem głupia, a raczej byłam. Ponad rok temu w listopadzie odeszła ode mnie Liu. Mówiłam ci. - Sięga po butelkę i rozlewa ostatnie krople wina. - Łudziłam się, że może ty i ja... Bardzo mi się podobałaś, zresztą do

dzisiaj mi się podobasz. Gdy Adam powiedział mi o waszym rozstaniu...

- Nie jestem taka jak Liu. - Mimo lekkiego szumu w głowie czuję się wyjątkowo zażenowana.

- Wiem, ale ponoć każdy człowiek ma w sobie coś z homoseksualisty.

- Nina podaje mi kieliszek. - Nieważne. Nawet gdybyś była biseksualna, z Adamem i tak nie mam szans. Teraz to widzę. Promieniejesz. Byłam naiwna, kiedy poprosiłam go o twój numer telefonu. Stwierdził, że zmieniłaś i że nie ma z tobą żadnego kontaktu, że wyjechałaś. To prawda?

- Uhm - potakuję. - Adres mailowy, który znał, też zmieniłam.

- Mówił mi.

- Aha.

- Nie powiedział ci, że się spotkaliście? - W głosie swojego gościa słyszę zdziwienie.

- Nie. - Przełykam ślinę, bo coś drapie mnie w gardle. Zamykam oczy.

- Proszę, nie mówmy o tym - wyrzucam z siebie z trudem. Nagle znów uświadamiam sobie, że między mną a Adamem mogło być całkiem inaczej i że w dużej mierze jestem za to odpowiedzialna.

- Przepraszam. Nie chciałam cię zdenerwować. - Na ramieniu czuję dotyk ciepłej dłoni.

- To nic - wzdycham.

- Mel... popatrz na mnie. Podnoszę powieki.

- A jak z...? - Nina znacząco unosi brwi.

- Nijak. Jeśli pytasz o to, o czym myślę. - Wzruszam ramionami. - Jest cudownie, Adam jest kochany, ale tego już nie ma.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna, ale to chyba ma związek z powodem naszego rozstania - wyjaśnię po dłuższej chwili.

- Może zmienimy temat? - Dziewczyna ze zrozumieniem kiwa głową. - Czy chcesz o tym pogadać?

Przez moment rozważam propozycję. - Opowiem ci coś - wzdycham ciężko. - To historia z mojego dzieciństwa. Całą zna tylko moja przyjaciółka Jessica.

- Na pewno chcesz mi powiedzieć?

- Tak.

- Dziękuję za zaufanie. - Nina jest chyba jeszcze bardziej wzruszona niż ja.

- Jak miałam czternaście lat, zaczęłam się spotykać z Nicolasem. - Poprawiam się w fotelu, podwijam nogi i sięgam po koc przewieszony przez poręcz. - Mieszkał w sąsiednim domu, rok starszy, przystojny, taki wychuchany jedynak. Zakochałam się, a potem wiadomo: pierwsze pieszczoty, najpierw niewinne, później... Niki miał problemy, teraz wiem, że był na coś chory, ale wtedy... Cóż mogłam wiedzieć? - Wzruszam ramionami. - Spotykaliśmy się na strychu jego domu. Przy drugim razie nie mogłam utrzymać wzrodu. Próbowałam mu pomóc, nie udało się. Potem było jeszcze gorzej, wcale mu nie stawał. Pokłóciliśmy się, stwierdził, że to przez gumki, kazał mi iść do lekarza i załatwić tabletki. Byłam niepełnoletnia, więc wizyta bez mamy nie wchodziła w grę. Dlatego ukradłam jej opakowanie pigułek. - Uśmiecham się na to wspomnienie. - Umierałam ze strachu, że się wyda, ale na szczęście miała kilka w zapasie i nie zauważyła.

- Byłaś nieprawdopodobnie zdeprawowana jak na nastolatkę - parska Nina.

- Też tak sądzę. - Kiwam głową, bo z łatwością wyczuwam, że żartuje, aby pomóc mi przebrnąć przez niewesołe wspomnienia.

- Poczekaj. - Mój gość wstaje i otwiera małą lodówkę. - Będzie łatwiej. - Puszczą oko.

Wyciąga butelkę whisky i zerka na mnie, ale gdy widzi skrzywioną minę, szybko odkładają z powrotem.

- Wódka i sok - podsuwam rozwiązanie.

- Sprawimy się - stwierdza Nina, gdy przygotowuję dla nas drinki w proporcjach jeden do jednego.

- Miało być łatwiej.

- Aha! W razie draki będzie na mnie.

- Jak na pewno się domyślasz, to, że brałam tabletki, w niczym nie poprawiło sytuacji - kontynuuję. - Już nigdy nie udało mu się osiągnąć wzrodu. Pomyślałam, że powinien się wyluzować. Jego rodzice urządzali małe przyjęcie, moi też tam wtedy byli. Nicolas na moją prośbę przemycił z dołu butelkę whisky, wypiliśmy po szklaneczce, a później jeszcze i jeszcze... Do dzisiaj pamiętam ten smak. Była ciepła, obrzydliwa. - Krzywię się ze wstrętem. - Przyniósł też półmisek z sałatką z owoców morza.

- Pewnie myślał, że ostrygi poprawią mu potencję. - Nina znów się uśmiecha.

- To były głównie krewetki. Wielkie, różowe, polane kwaśnym sosem. - Nerwowo przełykam ślinę. - Gdy mimo alkoholu znów się nie udało, Niki wpadł w szal. - Milknę, bo znów tam jestem.

- Pobił cię?

- Na szczęście nie. Kazał mi leżeć. Bałam się go. - Zagryzam wargi. - Wepchał je we mnie. Wszystkie.

- Co? - Nina wybałusza oczy. - Krewetki? Ja pierdolę. - Chwyta się za usta i z niedowierzaniem kręci głową.

- Tak - rzucam cicho. - Wyzywał od kurew, śmierdzących szmat, nie pozwolił ich wyjąć. Dopiero gdy zasnął, sama to zrobiłam. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile czasu spędziłam pod prysznicem, kiedy już udało mi się wymknąć do domu. Kilka dni później zaczęło mnie boleć w dole brzucha. Dostałam gorączki, mama była w delegacji, więc tato zabrał mnie do lekarza. Oczywiście nie powiedziałam, co się stało, lekarz przepisał mi zapobiegawczo antybiotyk, ale to nie pomogło. Bolało coraz mocniej, i jeszcze ten zapach... Uwierz mi, za każdym razem, gdy korzystałam z toalety, brało mnie na wymioty, - Znów przełykam ślinę. - Jakies dziesięć dni po tym wydarzeniu zemdlałam w łazience. Ocknęłam się w pittsburskim szpitalu. To była sepsa, na szczęście słaba.

- Lekarze się nie zorientowali? - Nina wpatruje się we mnie jak w ducha. - Nie zauważyli, skąd się wzięło zakażenie?

- Zauważyli i dopytywali. W końcu porozmawiałam z taką młodą lekarką, była ginekologiem na oddziale ratunkowym. Poprosiłam o dyskrecję i powiedziałam jej prawdę, a raczej część prawdy: że sama je sobie tam wsadziłam. Resztki utkwily tak głęboko, że przedostały się przez szyjkę macicy. To spowodowało infekcję. Na szczęście nic się nie uszkodziło - wzdycham. - Gdyby nie antybiotyki, pewnie dzisiaj nie rozmawiałybyśmy ze sobą.

- Chryste. Dziewczyno... - Nina zrywa się z fotela i mocno mnie przytula.

Staram się nie rozkleić, ale to zbyt trudne. Przez kilka minut tkwimy objęte, a ona płacze razem ze mną.

- Dziękuję - szepczę, kiedy w końcu się uspokajamy, i zerkam na twarz Niny. Zaczerwienione oczy i rozpalone policzki są wystarczającym świadectwem tego, że poruszyło ją to, co usłyszała.

- To dlatego nie chciałaś, żeby Adam cię tam pieścił? - pyta mój gość, zajmując z powrotem swoje miejsce. - Uczulenie to blef?

- Tak. - Jestem zaskoczona, jednak szybko się domyślam, że musieli o tym rozmawiać. - Czułam wstręt do siebie. Nigdy się tam nie dotykałam. Ciągnęło się to latami. W końcu za namową Jess zdecydowałam się na terapię u seksuologa. Trwała prawie trzy lata, udało mi się opanować problem na tyle, że czasami pozwalałam facetom tak się pieścić, ale nigdy nie osiągnęłam...

- Domyślam się. Dlaczego Adamowi nie pozwoliłaś?

- To był pierwszy mężczyzna, którego pokochałam. Nie mogłam znieść świadomości, że może poczuć mój zapach. Zanim poznałam Adama, starałam się o tym nie myśleć. Robiłam wszystko, aby zapomnieć o Nicolasie. Spaliłam nasze zdjęcia, wyjechałam z Braddock, uparłam się na inną szkołę i rodzice w końcu ustąpili, namówiłam Jessicę, żeby pojechała ze mną. Udało się. Uciekłam, jednak on i tak mnie dopadł. Znow wkroczył w moje życie, zrujnował je prawie do szczętu. Gdy zaszłam w ciążę, Adam posądził mnie o zdradę. Z Nicolasem. To była przyczyna naszego rozstania.

- Nie rozumiem. - Moja czarnowłosa znajoma spogląda z niedowierzaniem. - Byłaś z Nicolasem? Po tym, co ci zrobił?

- Nie. - Wstaję i przyrządzam kolejne drinki. - To druga część tej historii...

Gdy kończę opowiadać, butelka stolicznej jest pusta, a zegar wskazuje piątą rano. Co dziwne, nie jesteśmy zmęczone. Nina tłumaczy to jetlagiem (w moim przypadku) i pracą na nocki (w swoim). Zdradza mi kilka tajemnic alkowy, nastrój od razu się poprawia. Chichoczę jak nastolatka, słuchając anegdot związanych z profesją dominy.

- Mel, już dosyć - buntuje się Nina, gdy coraz mocniej ciągnę ją za język. - Błagam, nie mówmy o pracy! Opowiedz mi lepiej o swojej córeczce. - Na ustach Niny błąka się delikatny uśmiech. - Jak ma na imię?

- Emma.

- Jak ślicznie! Jeśli będę mieć córkę, też ją tak nazwę. Masz zdjęcie? - Lekko przechyla głowę.

- A jak myślisz? - Wstaję i na lekko chwiejących się nogach podchodzę do komody, w której schowałam torebkę. - Zaraz ci pokażę moją ślicznotkę...

Adam ciągnie mnie do łazienki.

- Co robisz, wariacie? - Śmieję się, bo godzinę temu wzięłam prysznic.

- Chodź...
- O! - Robię wielkie oczy. - Jak ładnie...

Wszędzie porozstawiał świece. Kilka z nich wypełnia pomieszczenie różnym zapachem. Na wysokim postumencie, tuż obok brzegu naszej wielgaśnej wanny, stoją dwa kieliszki i butelka z szampanem.

- Znów alkohol? Szalejesz, mój drogi... - Kręcę głową. - Wypiliśmy już butelkę wina, a teraz szampan?

- Czas na kąpiel.

Adam zdejmuje ze mnie domowy strój, czyli koszulkę i spodnie od dresu, ściąga bieliznę. Pomaga mi wejść do wanny, wypełnionej czystą wodą (jeśli nie liczyć kilkunastu płatków róż unoszących się na powierzchni). Patrzę, jak mój mąż się rozbiera, i myślę, skąd wziął te śliczne bladoróżowe płateczki. - 1 jak? - Siada powoli na przeciwległym końcu.

- Przyjemnie, choć trochę mało wody.

- Wystarczy. Zimno ci?

- Nie. - Parskam śmiechem. - Raczej zbyt ciepło.

- Wino? - Adam domyśla się, co mnie tak rozpałiło. - 1 ty... - Spoglądam na niego. - Co to?

Widzę, że sięga po foliowy worek z czymś kolorowym w środku.

- Mały prezent dla ciebie.

- Uhm... Przyspieszone walentynki? To dopiero za trzy dni.

Przez minutę przyglądam się, jak nadmuchuje specjalną poduszczkę, którą można za pomocą przyssawek przyczepić do ścianki wanny.

- Proszę. - Podaje mi śmieszny gadżet.

Siadam i próbuję go zamontować, ale mi nie wychodzi. Adam zbliża się i wprawnie przytwierdza poduszkę za moimi plecami.

- Oprzyj się.

- Super. Dlaczego wcześniej takiej nie miałam? - Uśmiecham się. To naprawdę przyjemne; oprzeć głowę o coś miękkiego. - Dziękuję.

- Mała rzecz, a cieszy. - Mój mąż nachyla się i całuje mnie w policzek.

- Co będziemy robić? - Obejmuję go i odwzajemniam pocałunek, celując w usta.

- Ty nic. Zamknij oczy, Mel... - szepcze, wodząc dłońmi po mojej szyi.

Opuszczam powieki. Słyszę, że odkręcił kurek z wodą. Gorący strumień podpływa gdzieś w okolice łydek.

- Chcesz nas utopić?

- Nie...

Podkładam nogę pod kran. Wąska strużka cieknie od kolana wprost do cipki.

- Co robisz?... - Czuję, że Adam oddalił się w dolne rejony mojego ciała.

- Ciii...

Posłusznie milknę.

Przyklęka i kładzie moje stopy na swoich udach. Jego język chyba chce rywalizować ze strumieniem wody, bo zaczyna zjeżdżać w dokładnie tym samym kierunku. Zastygam, gdy zdaję sobie sprawę, dokąd dociera ten niewielki wodospad.

- Mel, Kocham cię. Jesteś taka piękna...

Słyszę, jak pożądliwie brzmi jego głos, i biorę głęboki wdech. Wyciągam przed siebie dłonie i próbuję odnaleźć jedwabiste włosy Adama, ich dotykanie zawsze mnie uspokaja. Są takie gładkie i miłe...

- Nie bój się.

- Nie boję się, tylko troszkę denerwuję. Mów do mnie, powiedz coś miłego. - Mój głos drży tak samo jak opuszki palców, którymi go głaszczę.

- Kocham cię, moja słodka Mel... - Jak dobrze, że woda nieco mnie rozprasza. Jest gorąca, prawie jak usta Adama, które coraz bardziej zbliżają się do tego miejsca... - Kocham cię, Kocham każdy cal twojej słodkiej skóry. Nie bój się. Jesteś taka piękna...

Woda podpływa między jego usta a moją spragnioną szparkę. Prawie niewyczuwalnymi muśnięciami warg Adam przesuwają się wzdłuż wąskiego paseczka włosów. Jeszcze szerzej, ale bardzo ostrożnie i powoli rozchyła mi nogi. Lekko unosi moją pupę i układają na swoich udach.

Zagryzam kącik ust, ciągle nie mogę opanować drżenia mięśni. Kurczowo chwytam się brzegów wanny.

- Chyba jednak się boję... - szepczę najciszej, jak potrafię, lecz Adam i tak to słyszy. Na sekundę odrywa usta.

- Nie bój się. Kocham cię, Mel. Jesteś moją najpiękniejszą żoną, moją najśłodszą ukochaną, pachniesz tam piękniej niż te płatki róż. Gdybyś teraz otworzyła oczy, zobaczyłabyś, jak im wstyd z tego powodu i jak ci zazdroszczą...

Parskam pod nosem, to takie słodkie i miłe, a jednocześnie zabawne. Troszkę się rozluźniam, nieznośny dygot powoli ustępuje.

- Pamiętaj, że cię Kocham. Pamiętaj o tym w każdej sekundzie moich pieszczot, pamiętaj, że tak bardzo mi się podobasz, że tak bardzo cię

pragnę... - cicho mówi mój mąż w przerwach między pocałunkami.

Odchylam głowę, gdy podnosi mnie jeszcze wyżej. Ręce przestały drżeć, leżą teraz swobodnie. Staram się wyciszyć, chcę słyszeć oddech ukochanego.

- Zakręć wodę, proszę.

Nieruchomieję, kiedy język pierwszy raz prześlizguje się między płatkami cipki. Tłumię w sobie chęć przerwania pieszczot, ale zaraz przypominam sobie słowa, które tak pięknie brzmiały jeszcze przed chwilą. „On cię kocha, pragnie...” - powtarzam w myślach jak mantrę, ale to zbyt mało. Chcę go słyszeć. Bez tego nie wytrzymam.

- Mów do mnie, proszę.

- Kocham cię, jesteś moja... - Słowa przeplatają się z kolejnymi pociągnięciami języka. Szept i głośny oddech, dłonie gładzące napiętą skórę moich ud, to takie przyjemne. - Moja najśłodsza...

Adam otula mnie czułościami, a ja rozchyłam się i coraz bardziej otwieram.

- Jeszcze - wzdycham, unosząc biodra. - Jeszcze troszkę...

Coś mnie popycha i wygina ciało. Zatrzymuję się, przez moment stoję na krawędzi, a potem daję się porwać. Fale rozkoszy przepływają, płacząc się z językiem kochanka, nie wiem, gdzie jestem ja, a gdzie on, może dlatego tak płaczę? Zgubiłam się? Adamie, musisz mnie odnaleźć...

Silne dłonie unoszą moje wstrząsane łkaniem ciało. Zamknięta w ukochanych ramionach, czuję, że wszystko, co złe, powoli przechodzi. Wczepiam się kurczowo, chcę być jak najbliżej tętniącego serca. Już się nie boję, zakłęcie rzucone przed laty prysło jak bańka mydlana. Zniknęło.

- Tak bardzo cię kocham. - Wtulam policzek w ciepłe wgłębienie na torsie.

- Ja też cię kocham, maleństwo najśłodsze pod słońcem.

- Byłam dzielna? - mamroczę.

- Tak, byłaś bardzo dzielna. - Adam głaszcze moją głowę. - Musimy to uczcić. Szampana?

- Za chwilę. Teraz chcę być najbliżej ciebie.

Jakiż on silny. Podnosi się, trzymając mnie za pośladki, i wychodzi z wanny.

- Narzuć coś na siebie - mówi, gdy objęci zbliżamy się do wieszaka. - Nie chcę, żebyś zmarzła.

Sięgam po wielki, plażowy ręcznik i okrywam nas jak peleryną.

Opuszczamy łazienkę. Szybko skrywam się pod kołdrą, ciągle drżąc z emocji. Adam opatula mnie i wraca po butelkę z szampanem i kieliszki. Stawia wszystko na szafce, a sam wsuwa się pod prześcieradło.

- Jesteś mokry... - parskam, gdy kilka kropelek wody spływa z jego włosów wprost na moją twarz.

- Ty też. - Zlizuje je pieczołowicie.

- Pocałuj mnie - proszę po chwili.

Tak bardzo potrzebuję teraz czułości. Zamykam oczy, chcę utonąć w słodyczy jego śliny.

Mój mąż nachyla się i muska wargami usta, delikatnie wiedzie czubkiem języka po ich obrysie, wsuwa go do środka i lekko przejeżdża po dziąsłach. Nasze języki szybko się odnajdują, na nowo poznają swój smak i swoją gładkość. Nos koło nosa, to takie przyjemne: oddychać powietrzem, które jeszcze przed chwilą było we wnętrzu płuc Adama, które zasiliło tlenem jego krew, przepływającą przez bijące gdzieś blisko serce. Włosy łaskoczą po opuszczonych powiekach, czy istnieje coś bardziej czułego? Upajam się chwilą jak najwyborniejszym szampanem. Nie potrzebuję niczego więcej.

- Pragnę cię... - szepcze mój ukochany.

Ja też go pragnę, więc zapraszająco rozchyłam nogi.

- Weź mnie. Jestem cała twoja, na zawsze...

- Dlaczego się tak ubrałeś? - Melania siada na brzegu łóżka, sięga po prześcieradło i się nim owija.

Kilka minut wcześniej mąż przeprosił ją na moment i - odziany w szlafrok - wyszedł z sypialni. Wrócił w ciemnych spodniach, białej koszuli i grafitowym krawacie. Delikatnie stukając obcasami Oksfordów, podchodzi do łóżka i przysiadła na krawędzi, tuż obok żony.

- Adam? - Melania unosi brwi i pociąga nosem, bo czuje zapach eleganckiej wody toaletowej. - Gdzieś się wybierasz? - chichocze nerwowo.

- Nie. Nigdzie się nie wybieram.

- Rozumiem. Jakiś kolejny szalony pomysł?

- Pomysł? To chyba nie najwłaściwsze słowo. - Mężczyzna lekko się uśmiecha, sięgając do kieszeni.

Kiedy Melania widzi, jak Adam otwiera maleńkie pudełeczko i kładzie je przed nią, zaczyna drżeć.

- Jest piękny - szepcze po dłuższej chwili.

- Cieszę się, że trafiliśmy... trafiłem w twój gust. - Harding spogląda na pierścionek z owalnym różowym diamentem osadzonym w białym złocie i ozdobionym wianuszkami mniejszych kamieni. - Czy sprawisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? - Zsuwa się z łóżka i przyklęka na jedno kolano.

Kilka minut później otwiera szampana i napełnia dwa kieliszki...

- Tak dawno tego nie robiliśmy. - Namiętny głos sączy się prosto do ucha. Silne dłonie Adama przywodzą mnie do jego ciała. Czuję lekkie ugryzienia, skóra na karku pokrywa się tysiącem stojących włosków.

- Czego? - pytam zdławionym z podniecenia szeptem. Jestem słaba i bezwolna, pólsiedzę na moim ukochanym, wspierając się plecami o napięte mięśnie jego torsu.

- Wiesz czego.

Adam sięga ręką i rozchyła moje ugięte w kolanach nogi. Palce przez chwilę błędzą w okolicach wilgotnej szparki, wierzch dłoni muska skórę wewnętrznej strony ud. Jest mi tak dobrze, otwieram się szerzej i szerzej. Marzę, by poczuć go w sobie... i nagle dostaję klapsa w to spragnione miejsce.

- Aaa! - z moich ust wyrывa się jęk. Wraz z bólem napływa fala jeszcze silniejszego pożądania. - Tego nigdy nie robiliśmy. Chcę jeszcze.

- Tak? - pyta Adam, a potem znów uderza złożonymi na płasko palcami.

- Mocniej. - Lekko unoszę biodra. - Moja cipka zasłużyła na porządne lanie.

- Tylko cipka?

- Nie.

Kolejne klapsy spadają na piersi i rozpalone do czerwoności policzki. Jakież to przyjemne... Oddycham coraz szybciej, serce dudni, krew huczy w głowie, a w gardle brakuje śliny. Niespodziewanie Adam przerywa delikatną, ale bardzo intensywną chłostę, łapie moje ręce i odgina je do tyłu. Kiedy mocno krępuje nadgarstki czymś śliskim i chłodnym w dotyku, odchylam głowę.

- Bij mnie - rzucam ostatkiem sił.

Mój piękny mężczyzna nie mówi ani słowa. Znów przywodzi do siebie nasze ciała, między którymi płyną strużki potu. Ciężko oddycha, pięści sterczące brodawki moich gwałtownie unoszących się piersi. Naciąga je i

miażdży, dysząc jak zwierzę. Kąsa szyję, a ja topię się w coraz gwałtowniejszych pieszczotach, powoli tracę resztki świadomości.

- Bij mnie, proszę.

Adam znów uderza prosto w rozgrzaną cipkę.

- Jeszcze. Proszę. - Wyginam się, coraz bardziej wypychając biodra. - Bij ją, jest taka spragniona.

- Moja ukochana suczko...

Tylko sekundy... ułamki sekund... i nareszcie jest.

- Kocham cię, Panie...

Kochana Melanio,

nawet nie wiesz, jak się cieszę, że napisałaś.

Oczywiście, że Cię pamiętam. Jak mogłaś w to wątpić?

Gratuluję zaręczyn!

Twoja Emma jest najśłodszą dziewczynką, jaką widziałam.

Może wyswatamy ją z moim synkiem? Co Ty na to?

A co u nas? Spodziewam się drugiego dziecka!

Patrick szaleje ze szczęścia, ja też oczywiście, choć to dopiero początek - szósty tydzień. Mam nadzieję, że teraz już nigdy nie stracimy kontaktu.

Co do Twojej prośby, załączam naszą umowę.

Zrobię tak, jak prosiłaś - ani pary z ust :)

Trzymaj się. Pozdrawiam!

Susan.

Kończę czytać mail, próbując wyobrazić sobie męża Susan - najbardziej powściągliwego mężczyznę, jakiego znam - szalejącego ze szczęścia. Moja fantazja chyba tak daleko nie sięga. Ale może się myłę? Może sam na sam z żoną Patrick zachowuje się inaczej? Z pewnością tak jest, w przeciwnym razie nie wytrzymałoby ze sobą tak długo. Zwłaszcza ona z nim.

Wzdycham, otwierając załącznik.

Dwadzieścia minut później stwierdzam, że to, co planowałam, czyli konsultacja z zaprzyjaźnionym prawnikiem specjalizującym się w prawie cywilnym, było kiepskim pomysłem. To zupełnie zbędne. Nie wiem, kto przygotował umowę dla mojej koleżanki i jej męża, ale z pewnością był to profesjonalista. Do każdego paragrafu przypisał odpowiednie odnośniki, w których zawarł nie tylko podstawy prawne, ale też ich interpretacje w spornych kwestiach.

Jeszcze raz rozważam, czy mój plan nie jest jakąś skrajną desperacją. Może wystarczyłoby szczerze porozmawiać? Ale jak? Co mam powiedzieć Adamowi? Że tęsknię za naszymi sesjami? Że od spotkania z Niną ciągle o tym myślę, choć minął już miesiąc? Że obudziłam się zeszłej nocy drżąca, szarpana skurczami gwałtownego orgazmu, po jednym z najbardziej podniecających snów, jakie kiedykolwiek miałam? A jeśli on już tego nie chce...?

Od kiedy spuścił mi pamiętne lanie, dzień po naszym pogodzeniu się (jeśli mogę tak to nazwać), ani razu nawet nie klepnął mnie w pośladek. Gubię się w domysłach. Dlaczego?

Jest czuły i to jest cudowne, zawsze osiągam spełnienie, gdy się kochamy, ale brakuje mi jego drugiego oblicza. Tęsknię za nim. Czasami mam wrażenie, że Adam się o mnie boi, w trakcie pieszczot tak czujnie na mnie patrzy... Może się martwi?

Co mam zrobić? Powiedzieć, że nie jestem laleczką z chińskiej porcelany, że duchy z przeszłości gdzieś odleciały? Że przy nim czuję się bezpieczna, a dzięki temu - silna?

A jeśli to przez macierzyństwo? Może teraz, gdy jestem matką jego dziecka, nie widzi mnie już w roli swojej uległej kochanki?

Tak bardzo tęsknię za Valentine i jej Panem...

Zapisuję plik i zakładam hasło, chyba niepotrzebnie, bo Adam nigdy nie korzysta z mojego laptopa. Nie wiem, czy wykorzystam ten dokument. Palec na chwilę zawisa nad klawiaturą, może jednak skasować umowę?

- Mel? - Głos, choć cichy, sprawia, że podskakuję na krześle jak oparzona.

- Tak? - Odwracam się w stronę drzwi.

- Jeszcze pracujesz? - Adam podchodzi bliżej, lekko się uśmiechając. - Chodź spać.

- Już skończyłam. - Zatrząskuję klapę.

- Zarumieniłaś się. - Mój mąż przeciąga palcem po rozpalonym policzku.

- Dlaczego?

- To od kominka. - Wzruszam ramionami.

- Od kominka... - powtarza po mnie, a później rzuca okiem na komputer. - Uhm.

- Moja tajemnicza żona - parska pod nosem.

- Mój spostrzegawczy mąż - odpowiadam równie wesoło i podnoszę się z krzesła. - Nic się przed tobą nie ukryje.

- Niespodzianka?
- Tak, ale nie Kinder - Łapię Adama za rękę i wyprowadzam z gabinetu.
- Kiedyś się dowiesz.
- Kiedy? - Bierze mnie na rękę.
- Nie wiem. - Całuję wilgotny policzek, pachnący żelem do kąpieli. - Może nigdy, a może wkrótce. Teraz proszę zanieść mnie do sypialni.
- Już się robi...

Stoję przed lustrem. Chyba nieźle to wygląda: obcisła ciemnomalinowa sukienka z głębokim dekoltem, czarne pończochy samonośne i para louboutinów z czerwonymi podeszwami. Włosy upięłam wysoko, zostawiłam jedynie parę kosmyków, które delikatnie okalają lekko zarumienioną twarz. Od kiedy mieszkam we Francji, bardzo ograniczyłam kosmetyki do makijażu. Wystarczają mi odrobina podkładu, tusz i błyszczczyk.

Wzdycham lekko i wychodzę z łazienki. Jeszcze raz zaglądam do sypialni Emmy. Ponad dwa tygodnie temu skończyła roczek, a wczoraj wreszcie udało się jej przejść samodzielnie przez cały salon. Wprawiała mnie w taki zachwyt, że aż się rozbeczałam - ku uciesze męża i Toni.

Nasz ukochany łązik śpi. Ciekawe, jak znieś swoją pierwszą podróż za ocean. To już za dwanaście godzin, o siódmej rano wylatujemy z Nicei: ja, Adam, Emma i oczywiście nieoceniona niania. Zabieramy tylko podręczne bagaże, cała reszta (sukienka ślubna, smoking i walizki z naszymi rzeczami) została już dawno spakowana i wysłana samolotem.

Wsuwam palec w ściśniętą łapkę, maleńkie paluszki od razu jeszcze mocniej się kurczą. „Jesteś najśłodszym stworzonkiem, jakie widziałam...” - myślę i nachylam się, by pocałować spocone czółko pokryte delikatnym meszkiem. Adam czasem nazywa Emmę włochaczem, zawsze na niego burczę, że sam jest włochaczem i że gdy nasza córeczka będzie starsza, wszystko jej opowiem.

Opuszczam sypialnię i schodzę do salonu. Gdy zauważam swojego męża, z którym za czterdzieści osiem godzin ponownie wezmę ślub (tym razem „prawdziwy”, jak określa to mama), uginają mi się nogi. Wygląda oszałamiająco w sztruksowej marynarce w kolorze ciemnego miodu i czarnych džinsach. Przez moment zastanawiam się, czy mój strój nie jest zbyt elegancki, ale kiedy widzę zachwyt i pożądanie w błękitnych oczach, uśmiecham się i oblizuję wargi. - Gdzie Tonią?

- W kuchni.

- Uhm... - Nerwowo ściskam rączkę torebki.

Nie wiem, skąd taka trema, przecież to ma być zwykły- nie- zwykły wieczorek panieńsko- kawalerski. Nasz osobisty i bardzo intymny...

Wychodzimy z domu. Jestem troszkę zdziwiona, gdy dostrzegam taksówkę stojącą pod bramą, ale od razu się domyślam, że Adam też zamierza uczcić tę okazję toastem. Dosyć szybko i w kompletnym milczeniu docieramy do Saint- Tropez.

Środek tygodnia, maj dopiero się zaczął, fala turystów jeszcze nie zdążyła uderzyć w Lazurowe Wybrzeże, choć w tym roku jest wyjątkowo ciepło. Nie musiałam zabierać płaszcza.

Wchodząc do restauracji tuż przy porcie, potykam się lekko o próg. Adam od razu podpira mnie ramieniem. Przez głowę przelatuje wspomnienie: ja wchodząca do nowojorskiego apartamentu na ostatnim piętrze i mój mąż, który tak jak dzisiaj służy mi swoją silną ręką. Kiedy to było...

Zamawiamy kolację i butelkę wina. Nie wiem, czemu Adam wypija tylko jedną lampkę wybornego bordeaux. Rozglądam się z ciekawością. To jedno z tych niesamowicie klimatycznych miejsc, jakie można spotkać tylko na południu Francji. Gdy ktoś puszcza płytę z piosenkami Juliette Greco, robi się jeszcze bardziej nastrojowo. Najchętniej usiadłabym u boku Adama, przytuliła się mocno i rozplakała ze szczęścia... Ale to może za chwilę, bo na razie jest jakoś dziwnie. Wiem dlaczego: przez plik kartek, który schowałam w czarnym kuferku od Armaniego, czyli mój prezent przedślubny dla męża. Jeszcze mogę się wycofać...

- Dlaczego nic nie mówisz? - Adam stawia łokcie na białym obrusie i opiera brodę o skrzyżowane dłonie.

- A ty? - Zagryzam kącik ust, widząc, jak na mnie patrzy. Jego tęczywki mają kolor miłości, a usta kuszą obietnicą słodczy.

- Mówię. Cały czas mówię do ciebie sercem.

Uśmiecham się w odpowiedzi na to romantyczne wyznanie i biorę głęboki wdech.

- Chciałam ci coś dać.

- Ja też mam dla ciebie prezent... - Mój mężczyzna unosi brwi i przechyla głowę.

- Naprawdę? - Jestem zaskoczona, że wpadł na taki sam pomysł. - Ty pierwszy.

- Panie przodem. - Dotyka mojej ręki, która leży na blacie stolika.

- No dobrze. - Wysuwam palce z uścisku i otwieram kuferek. Kładę na

obruse zwykłą, białą kopertę. - Proszę. To mój prezent dla ciebie...

Sięgam po kieliszek i przesuвам „upominek” w stronę Adama, on zaś nalewa mi kolejną porcję wina o barwie krwi. Każdy łyk rozgrzewa, ale i tak czuję dreszcze. Mój ukochany otwiera kopertę i wyciąga złożony na cztery plik kartek. Każda jest odręcznie podpisana, a na ostatniej podałam serię i numer paszportu.

Adam rozkłada dokument, jego oczy przesuują się coraz szybciej, dłonie coraz mocniej drżą, przekładając kolejne kartki. W którymś momencie przelyka ślinę, chyba gdy jest przy dwóch przedostatnich stronach, które są w zasadzie stronami *in blanco* - to on ma je wypełnić wedle własnego uznania.

W końcu mój mąż składa umowę i chowają do koperty.

- Skąd to masz? - Głos brzmi ochryple.

- Susan Pratchett wysłała mi swoją mailem - odpowiadam z trudem, bo gardło ściska mi się ze strachu, gdy zauważam pierwsze krople potu na zachmurzonym czole. Serce łomocze w piersiach, widzę, że Adam bardzo się przejął. Nie wiem, czy spodobała mu się niespodzianka, i czuję się strasznie zagubiona.

- Kiedy?

- Jakiś czas temu. Miesiąc po moim powrocie ze Stanów.

- Rozumiem. - Spogląda na mnie. Już wiem, że skojarzył fakty.

- Adam, chyba się nie gniewasz? - szepczę. Nieśmiało wysuwam rękę i drżącymi opuszkami dotykam jego dłoni. Niewiele brakuje, żebym się rozpląkała. - Czy zrobiłam coś nie tak?

- Mel, jak mógłbym się gniewać za coś takiego? - Mój mąż unosi brwi. - Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Podnosi się razem z krzesłem i siada tuż obok. Bierze moją dłoń i tak mocno przyciska do niej usta, że przez zmiażdżone wargi czuję twardość zębów.

- Dziękuję. Mel, kocham cię...

Spoglądam na pochyloną głowę, jedwabście połyskujące włosy i kształtny płatek ucha wystający spomiędzy nich.

- Ja też cię kocham... - Obejmuję Adama drugą ręką.

Przez chwilę tak trwamy. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że na dłoni, którą on tak usilnie trzyma, czuję spływającą łzę.

- Teraz moja kolej. - Mój najdroższy powoli podnosi głowę.

Chowa kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki, zostawia na

stoliku kilka banknotów i wyprowadza mnie z restauracji, trzymając za rękę. Choć do północy brakuje zaledwie kwadransa, jest bardzo ciepło i przyjemnie. Lekki wiaterek dmucha w nasze twarze, gdy spacerujemy wzdłuż portu. Z nielicznych jachtów dobiegają nas odgłosy rozmów, czasami słycać muzykę wylewającą się z okien restauracji. Jakaś objęta parka przechodzi tuż obok. Kiedy nas mijają, rozpoznaję język niemiecki. No tak, w Saint- Tropez można usłyszeć wszystkie najpopularniejsze języki świata, i to w ciągu jednego dnia.

Trochę się uspokajam, choć nadal nie mam pojęcia, dlaczego Adam tak dziwnie zareagował, jego prezent oczywiście również pozostaje tajemnicą. Wchodzimy na drewniane molo i mijamy dziesiątki milczących jachtów, otacza nas tylko szept wody uderzającej o ich burty. Nagle się zatrzymujemy.

- Melanio... - Adam chwyta mnie za obie dłonie.

- Tak? - Spoglądam na odbijające się w jego oczach światła portowych latarni.

- Któreś z nas będzie musiało zrezygnować ze swojego prezentu. - Głos znów jest zachrypnięty ze wzruszenia.

- Jeśli chcesz, mogę to zrobić, zanim go otrzymam - szepczę, domyślając się, o co chodzi. - Będę mniej żałować...

- Już za późno. Zamknij oczy.

Waham się, nie wiem, czy posłuchać. W końcu opuszczam powieki, a mój mąż natychmiast bierze mnie na ręce. Obejmuję go i pozwalam się wnieść na jacht - prawie identyczny jak ten, z którego mam pamiątkę w postaci trzech blizn. Pokład delikatnie faluje pod stopami Adama. Mam wrażenie, że płynę w jego silnych ramionach.

Mąż ostrożnie mnie opuszcza i chwyta za prawą dłoń.

- Wyciągnij palec.

Wiodę po czymś zimnym i gładkim, to litery wycięte z metalu. Bezgłośnie odczytuję swoje drugie imię. Gdy opuszka dotyka ostatniego znaku, czuję na ramieniu ciężar opartego czoła.

- Mel, bardzo cię kocham. Zrobiłbym dla ciebie wszystko - szepcze Adam wprost do mojego serca - ale nie mogę przyjąć twojego prezentu, wybacz mi. Nie zasługuję na ten dar.

Nie wytrzymuję, odwracam się, aby jak najmocniej go objąć. Głośno szlocham, myśląc, jak niewiarygodnie jestem szczęśliwa...

- Chodź - słyszę, gdy już się uspokajam.

Wychodzimy na pokład. Docieramy na dziób, wspieramy się o najbardziej wysuniętą barierkę. Adam sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki. Drobne płatki papieru wirują w powietrzu. Wyglądają jak odbicia gwiazd, nierównych, nieregularnych, niedoskonałych jak nasz związek, ale i tak najpiękniejszych. Przez chwilę się kołyszą, a kiedy papier przesiąka wodą, powoli robią się coraz mniej widoczne, aż nikną gdzieś głęboko, a my widzimy tylko setki mikroskopijnych odblasków prawdziwych gwiazd.

- Adam...

- Tak? - Odwraca się w moją stronę.

- Chciałam... - Zwieszam głowę.

- Nie wstydź się, powiedz.

- Ja...

- Boisz się?

- Tak, ale nie tego... - Znów milknę.

Jak mam to powiedzieć? Przecież nie wyznam mu, co zaprzęta moje myśli i o co pytałam doktor Bergen.

- Mel, tego już nie ma. - Adam zerka za barierkę. - Nie ma i nie będzie. Zaufaj mi.

Bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem. Schodzimy po kilku stopniach do wąskiego korytarza. Mąż wskazuje mi drzwi do łazienki i każe się przebrać. W środku znajduję pamiętną turkusową sukienkę i mocno wykrojone majteczki. Staję przed lustrem i przez chwilę przyglądam się sobie. Rozpuszczam włosy. „Chcesz, żeby było jak wtedy? - Chłapię wodą karczek sukienki, przez półprzezroczysty materiał przebijają brodawki pełnych piersi. - Dla ciebie zrobię wszystko, Panie". Opuszczam łazienkę na drżących nogach.

Znajduję go w salonie, siedzi na kanapie z kremowej skóry. Jedna noga przełożona przez drugą, ramiona rozpostarte po bokach.

Staję przed nim bosa, drżąca ze strachu i podniecenia.

- Wiesz, że wszystko w tobie pachnie uległością? Twoje łzy, pot, skóra, oddech... Dopiero dzisiaj to sobie uświadomiłem. Zapach twojej uległości... Wyczułem go, gdy pierwszy raz wziąłem cię w ramiona. Nie wiedziałem wtedy, co tak bardzo mnie oszołomiło. Dlaczego tak długo kazałaś mi czekać? Dlaczego musiałem leżeć obok ciebie, a ty nie pozwoliłaś mi sięgnąć po coś, co było i jest moje? - Adam patrzy na mnie spod na wpół opuszczonych powiek.

- Wybacz mi... - szepczę.

Jest taki piękny. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy czarnej jak noc koszuli, srebrna bransoletka zegarka lekko połyskuje w dyskretnym świetle sącącym się z kinkietów.

- Tęskniłem za tobą, Valentine.

- Ja też tęskniłam, Panie.

Przesuwam stopę, chcę podejść bliżej, lecz on wyciąga rękę i daje mi znać, że nie wolno. Zatrzymuję się. Pokład lekko, prawie niezauważalnie faluje pod stopami. W brzuchu coś zaczyna delikatnie drżeć, czuję narastające pożądanie, Adam jednak ciągle siedzi i patrzy... Jego oczy powoli ślizgają się po moim ciele. Przełykam ślinę, gdy widzę, jak zatrzymują się na sterczących brodawkach.

- Gdy wstanę, chcę, żebyś się opierała, żebyś nie pozwoliła się tknąć. Takie jest twoje dzisiejsze zadanie. Rozumiesz?

- Rozumiem, ale... - Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, jak mam to zrobić. - Nie dam rady. Nie potrafię, zbyt mocno cię kocham i pragnę, Panie...

- Pomogę ci.

Słyszę, że wstaje. Po kilku sekundach nadpływa muzyka... Rozpoznaję płytę z koncertu Angeli Gheorghiu*. Przed oczami mam kobietę siedzącą na fotelu. To ja. Otulona pledem, wpatruję się w połyskujące gwiazdy i płaczę... Jak bardzo byłam wtedy nieszczęśliwa i jak bardzo nienawidziłam swojego Pana za to, że mnie opuścił! Znów widzę Tonie, która staje w progu patio i spogląda na mnie ze współczuciem, widzę siebie wyciągającą płytę i...

- Powiedz to.

Czuję wracające emocje, żal i samotność dławiącą w gardle.

- Nienawidziłam cię...

- Dlaczego?

- Zostawiłeś mnie, odrzuciłeś, choć przysięgałeś, że nigdy tego nie zrobisz.

*Słynna rumuńska śpiewaczka operowa (sopran).

- Zdejmij sukienkę.

- Nie.

- Zdejmij!

- Nie! - Obejmuję się ramionami w obronnym geście.

- Chcę cię zobaczyć. Jesteś moją żoną. Mogę cię widzieć nagą, mogę

zrobić z tobą, co zechcę, jesteś moją własnością. - Głos brzmi tak pewnie, smaga słowami jak batem. Krew się we mnie burzy, gdy to słyszę.

- Nie! Nie jestem, od kiedy mnie zostawiłeś, jestem niczyja...

- Jesteś moja, zawsze byłaś. - Dłonie chwytają za nadgarstki i rozchylają je siłą.

- Nie! - Otwieram oczy. - Zostawiłeś mnie, każdy mógł mnie mieć! Może tak było?! - Mrużę powieki i z satysfakcją przechylam głowę. Widzę, że Pan jest wściekły, szybko oddycha, czoło pokrywają maleńkie kropelki potu. Po kilku sekundach jedna z nich nie wytrzymuje i ścieka wzdłuż skroni prosto na drgający mięsień policzka.

- Powiedz, że nie. - Puszczą ręce, a ja uderzam go w twarz. Nie reaguje. Nawet nie drgnie, kiedy wymierzam kolejny policzek. Dopiero gdy trzeci, najmocniejszy, wybrzmiewa na tle arii *Un bel di vedremo*, męska dłoń mocno ściska moją. - Powiedz, że tak nie było!

- Nie!

Nagle Pan chwyta mnie i przerzuca przez ramię. Nie wiem, co się dzieje, ale jestem niewyobrażalnie wściekła, walę go pięściami i szarpie za koszulę. Zanim dotrzemy do sypialni, jego plecy są podrapane do krwi. Rzucona na łóżko jak szmaciana lalka, próbuję się podnieść, ale on mnie unieruchamia, przygniata uda kolanem. Wprawna dłoń łapie moje obie ręce i zakłada je za głowę. Szamoczę się ze wszystkich sił, próbuję się wyswobodzić, ale to zbyt trudne. Choć Pan jest niesamowicie silny, mój opór go zaskoczył. Gdy sięga po coś do szafki, pod pachą widzę zakole wilgoci.

- Nie! - krzyczę, gdy zapina skórzane paski kajdanek.

Nie zwraca na to uwagi i błyskawicznie przyczepia je krótkim łańcuchem do metalowej tralki u wezłowania łóżka. Siada na mnie okrakiem, nachyla się i przegryza brzeg sukienki mocnym szarpnięciem.

- Nie znoszę tej kiecki. - Targa ją na strzępy i rzuca gdzieś obok łóżka. Ten sam los spotyka moją bieliznę. - A teraz powiedz, że zawsze byłaś moja - rzezi Pan, ciężko dysząc z podniecenia.

- Nie! - Parskam śmiechem. Podoba mi się, że tak bardzo go rozwścieczyłam. - Nigdy tego nie powiem. Musisz to jakoś rozchodzić, skarbie... - Wydymam wargi i cichutko cmokam.

- Powiniennem dać ci po buzi, ale nie dostaniesz, choć zasłużyłaś - syczy mój oprawca, nachylając się. - Masz szczęście, suczko, że jutro wyjeżdżamy i nie możesz pokazać się ludziom poobijana.

Wgniata pięści w materac po obu stronach mojej głowy, przyciskając włosy. Czuję, jak ciągną przy każdym ruchu. Kropla potu spada z czoła i ląduje na mojej wardze. Oblizuję ją, a potem wykrzywiam usta.

- Pfe... Jesteś słony. Spociłeś się, tchórze? Czyżbyś bał się mnie uderzyć? Prawdziwy Pan nie boi się swojej suki.

- Co powiedziałaś?

Jest tak blisko, że oddycham powietrzem, które wypuszcza z płuc. Może to dwutlenek węgla sprawia, że coraz bardziej kręci mi się w głowie, a może to szalone pragnienie, które ogarnia moje ciało jak pożar.

- Powiedziałam, że prawdziwy Pan nie boi się swojej suki, a ty...

Nie kończę, a on w ułamku sekundy się podrywa i obraca mnie plecami do góry. Przejeżdżam nosem po haftowanej poszewce. Dopiero teraz zauważam, że w narożnikach pościeli ktoś wyszył perłowobiałą nicią moje drugie imię.

- Valentine, Valentine... - szepczę, gdy Pan unieruchamia moje rozłożone nogi.

- Powiedz, że zawsze byłaś moja. - Jego głos wybrzmiewa tuż nad uchem.

- Nie.

- Powiesz to, zmuszę cię.

Słyszę, że rozpina pasek. Klamerka cichutko pobrzękuje. Odwracam głowę w stronę, z której dochodzi dźwięk. Mój Pan wyciąga pasek, chwytając metalową klamrę, zaciska ją w prawej dłoni, owija kilka razy i podsuwa mi pod nos.

- Powąchaj. Czujesz? Tak pachnie ból.

Posłusznie wciągam znajomy aromat. Od razu ogarnia mnie jeszcze większe podniecenie. „Zerznij mnie...” - proszę w myślach, zagryzam wargi, a potem powtarzam to na głos.

Pan przysiadł za moimi plecami, lewą ręką wpycha coś pod wypięte pośladki.

- Powiedz, że zawsze byłaś moja, wtedy to zrobię. - Przeciąga między nimi opuszką palca.

- Nie... - jęczę, gdy dotyk dociera do najbardziej rozpalonego miejsca.

- Powiedz, że od kiedy mnie zobaczyłaś, byłaś tylko moja...

Palec zatacza kółeczka, ślizga się po powierzchni jądra przyjemności, zbliża i oddala, krążąc po orbicie rozkoszy.

- Jeszcze, dotykaj mnie... - proszę, gdy znika i zostawia coraz mocniej

pulsującą cipkę.

- Nie. Najpierw to powiedz. - Gdzieś znad głowy słyszę głos, którego męskie brzmienie tak kocham.

- Nie... - powtarzam po raz kolejny.

- Powiedz!

Nagle powietrze przecina głośny świst i pierwsze uderzenie spada na moje pośladki. Na sekundę świat się zatrzymuje, tracę oddech, a gardło ściska się w paroksyzmie rozkoszy i zarazem bólu.

- Nie! - krzyczę, a potem zaciskam mocno zęby.

Dziesiątki razów zalewają ciało: od pleców do delikatnej skóry ud. Znów pochłania mnie ta porażająca symfonia tętniącej w uszach krwi, oddechu Pana, ostrego trzaskania czarnej skóry o tę jedwabistą i jasną, jęku wrywającego się z piersi, łkania i westchnień przy cichym akompaniamencie kwiatowego duetu z opery *Lakme*...

Skupiam się, nie chcę jeszcze odpłynąć, jest zbyt cudownie. Ta chwila powinna trwać do końca mojego życia. Niech czas się zapętli, niech wiecznie powtarza się perwersyjnie bolesna przyjemność...

- Bij mnie - szepczę. - Bij mnie, Panie, zasłużyłam na karę.

- Powiedz to. Proszę...

- Kocham cię. Zawsze byłam twoja i zawsze będę, Adamie, mój Panie. - Płaczę, bo on tak czule prosi, nie przestając mnie chłostać, a ja coraz szybciej zmierzam w to piękne miejsce, które mi pokazał...

Piąta nad ranem. Wracamy do domu. Tonią otwiera nam drzwi, już nie śpi. Lekko unosi brwi, gdy zauważa, jak wyglądam: rozpalone do czerwoności policzki, rozczochrane włosy, błyszczące oczy...

- Jestem szczęśliwa - mówię bezgłośnie. Zagryzam kącik ust, kiedy dostrzegam, że zaciska kciuki i ukradkiem ociera łzę. - Kocham cię - Biorę ją w objęcia. Dam głowę, że zerka na Adama zza mojego ramienia. - Toni, jestem taka szczęśliwa... - Całuję pulchny policzek.

- To dobrze. - Niania głaszcze mnie po plecach, które mocno pieką pod jej palcami. - To dobrze, Mel...

- Adam dał mi jacht w prezencie - szepczę, a potem ze wzruszenia przelykam ślinę. - Przyłynęliśmy nim z Saint- - Tropez, dlatego tak długo nas nie było.

- On zawsze cię kochał.

- Pójdę zajrzeć do Emmy - słyszę za plecami.

Mój mąż szybko przemyka obok. Wiem, że też się wzruszył, bo jego głos

brzmiał inaczej niż zwykle.

Tonią odsuwa się i kręci głową, zauważywszy otarcia na nadgarstkach. Jej oczy mówią tylko jedno: „Dziewczyno, ale zaszalałaś!”.

- Muszę się wykapać - mówię i parskam śmiechem. - Szczerze mówiąc, jedyne, o czym marzę, to sen.

- Wyśpisz się w samolocie.

- Może nie będzie turbulencji.

- Bez obaw. W twoim stanie nawet ich nie zauważysz...

Czy to nie dziwne? Kilka miesięcy przygotowań, setki telefonów, dziesiątki godzin spędzonych na wybieraniu, kupowaniu, ustalaniu... I po co to wszystko? Tyle zaangażowania w coś, co trwało dwanaście godzin?

Przed oczami migają mi obrazy.

Mama dumna jak paw, słuchająca komplementów o wspaniale przygotowanym przyjęciu (jak dobrze, że scedowałam na nią wszystko), cudownym zięciu i „najdroższej wnuczce”, w którą nie wiadomo kiedy zamienił się pierwszy bękart w rodzinie Duvallów.

Tato prowadzący mnie do ołtarza: kroczymy majestatycznie, licząc na to, że nikt nie zauważy naszych trzęsących się nóg. Jeszcze krótki uścisk spoconych dłoni i szept: „Kocham cię, córciu”.

Jessica, moja drużna, która już po pięciu minutach uroczystości otrzymuje zaszczytny tytuł gościa weselnego z najbardziej rozmazanym makijażem. Jej przeprosiny wyartykułowane w łazience i tonące w potoku łez: „Mel, to ja dałam Adamowi numer do ciebie... Domyślałaś się? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Naprawdę się nie gniewasz? Melson, kocham cię, ty małego wredna! Tak się z tym gryzłam!”.

Ashley szalejący z siostrą Adama... Gdzie on się nauczył tak tańczyć?!

Nina (nadal nie mogę uwierzyć, że sama nie wpadłam na to, by ją zaprosić) biorąc mnie za rękę i jej pytanie, okraszone szelmowskim uśmiechem: „Mam nadzieję, że spodobał ci się pierścionek”? Gdy - nieco zdziwiona - potwierdzam, pyta, czy zaproszę ją na jacht.

Opieram głowę o ściankę windy i spoglądam na mojego męża. Już wiem, że nie ma między nami żadnych tajemnic. Dziękuję Bogu, że tak jest. Dziękuję za moje dwie niedyskretne przyjaciółki: gdyby nie one, gdzie byłabym teraz?

- Ósme piętro.

Adam bierze mnie na ręce i razem przekraczamy próg windy.

Rozglądam się przez moment: jest pięknie. Apartament dla nowożeńców w hotelu South Place okazuje się przestronny i taki niewinny. Kremowo, białe - inwazja delikatności. Wielkie łóżko z baldachimem, cztery grube toczony tralki z lakierowanego drewna, satynowa pościel i światła... Sączą się ze ścian, spływają delikatnym strumieniem po tapetach tłoczonych w buduarowe wzory.

- Podoba ci się? - Adam obejmuje mnie ramionami.

Opuszczam wzrok. Gdy widzę na jego dłoni połyskującą dyskretnie obrączkę, moim ciałem nie wiedzieć czemu wstrząsa dreszcz pragnienia.

- Tak. Bardzo. - Zagryzam wargi.

- Boisz się? - Jeszcze mocniej mnie przytula, biorę głęboki wdech.

- Nie.

- Zmęczona?

- Nie.

- Szczęśliwa?

Znów szybko mrugam oczami. Który to już raz dzisiaj ogarnia mnie wzruszenie? Setny? Tysięczny?

- Wiesz, że tak - szepczę.

- Chodź.

Mąż lekko mnie popycha, stajemy przed łóżkiem. Chwyta moje dłonie i kładzie je na jednej z tralek.

- Trzymaj - rzuca cicho. Czuję, że przykłęka z tyłu i powoli unosi brzeg sukienki. Tiulowe hałeczki szeleszczą jak suche liście jesienią w Central Parku. Zamykam oczy i przytulam się mocno do rzeźbionej kolumny. - Jesteś taka piękna.

Adam rozpina cieniutkie paski perłowobiałych bucików i pomaga mi je zdjąć. Spodziewam się, że teraz kolej na pończochy, ale on wstaje i zaczyna zdejmować moją suknię, prezent od Erica. Trzydzieści sześć kuleczek biegnących od karku aż do pasa, pełniących funkcję guzików, po kolei polega pod palcami mojego męża. Pstrykają cicho, wydostając się z niewielkich pętelek.

- Jeszcze tu. - Wygiętą ręką wskazuję nieco skromniejszy szpaler przy nadgarstku.

Silne dłonie są coraz bardziej niecierpliwe. Przypominam sobie, ile czasu biedziła się Jessica, zapinając te wszystkie guziki, i jak wtedy marudziła.

- Nareszcie - ciężko wzdycha Adam, po czym zsuwa mi z ramion brzegi błyszczącej satyny. Usta od razu obdarzają nagą skórę

pocałunkami. Chcę pomóc mężowi i sama próbuję pozbyć się sukni, ale on mi nie pozwala i każe nadal trzymać tralkę. Po kilku minutach wszystko, włącznie z halką, pończochami i bielizną, spoczywa na niskiej tapicerowanej ławeczce tuż obok łoża. - Piękne... - Mój ukochany wiedzie palcami po śladach niezapomnianej sesji na jachcie. - Czy ktoś jeszcze je widział?

- Nie - odpowiadam natychmiast. - Jess pomagała tylko przy guzikach.

- Zachowałeś się bardzo rozważnie - chwali mnie Adam i czule głaszcze moje ramię. - Lubię, gdy jesteś naga.

- Ja też lubię, gdy jesteś nagi - odpowiadam, wlepiając wzrok w palce zaciśnięte na kolumnie. Mam nadzieję, że Adam wyczuł w tych słowach lekką nutkę impertynencji i że go to sprowokuje, bo dotychczas nie zrzucił ani jednej części garderoby. Nawet marynarkę smokingu wciąż ma na sobie.

- Tak ci pilno do nocy poślubnej? - pyta i parska śmiechem, obracając mnie przodem do siebie.

- Tobie chyba też. - Zerkam na wybrzuszenie rysujące się pod spodniami.

- Hm... - Odrywa dłonie i zaczyna rozpinąć pasek.

Oblizuję wargi, gdy to widzę. Wspieram się o kolumnę, serce wali jak oszalałe, czuję strużkę potu spływającą po plecach.

- Zamknij oczy - pada ciche polecenie. Kiedy tylko je spełniam, mąż chwyta mnie za ramię i lekko pociąga za sobą. - Połóż się na brzuchu.

Krawędź materaca lekko wpija się w okolice pępka. Adam unosi moją pupę, przez moment nic się nie dzieje, a potem wchodzi we mnie gwałtownie i głęboko. Wyobrażam sobie, jak musimy wyglądać: ja kompletnie naga, z rozrzuconymi przed głową ramionami i pośladkami pokrytymi siatką szerokich ciemnoczerwonych pręg po pasku, on w pięknym czarnym smokingu i białej koszuli.

- Rznij mnie - rzucam zdławionym głosem.

Byłam chyba bardzo napalona, bo już po kilkunastu pchnięciach moja cipka zaczyna falować. Oddycham ciężko, przeżywając pierwszy orgazm jako pani Harding, ale pan Harding nie pozwala mi ochłonać: wychodzi ze szparki wypełnionej po brzegi moimi sokami i wstrząsanej ostatnimi skurczami spełnienia.

- Twoja kolej. - Łapie mnie za włosy i delikatnie, acz stanowczo podciąga

do góry.

Jestem rozpalona do granic, bardzo szybko zamieniamy się miejscami. Teraz ja klęczę, a Adam siedzi na krawędzi łóżka.

- Weź go do buzi. - Patrzy na mnie spod lekko opuszczonych powiek.

Na moment ogarnia mnie lęk, nie wiem, czy będę w stanie to zrobić. Zamykam oczy i powoli zbliżam usta do sterczącego fallusa. Wysuwam język i otulam wargami jedwabistą skórę.

„Jestem słodka... - nagle uświadamiam sobie, jaki to smak. - Słodka, tak jak mówiłeś, i pachnąca". Upajam się własnym zapachem, dziwnym, dzikim i bardzo podniecającym. Zlizuję swoje soki, rozkoszując się nowo poznanym aromatem, głęboko wdychając powietrze i łapiąc wyostrzonymi zmysłami każdą nutę.

- Ssij go, jeszcze... - Silne palce lekko dociskają moją głowę, wplątują się we włosy, pieszczą skórę za uszami. Po chwili mój mąż osiąga szczyt. Przelykam cierpko- gorzkie krople jego spełnienia, myśląc o tym, jak bardzo go kocham.

- Miałeś rację - mówię, patrząc mu w oczy. - Jestem słodka.

- Jesteś. - Adam delikatnie całuje mnie w policzek. - Kocham twoją słodycz.

Wyciągam dłoń i głaszczę jedwabiste włosy, jeszcze nieco wilgotne po naszej długiej i upojnej kąpieli.

- Chciałabym jeszcze raz usłyszeć twoją przemowę. Była taka... - Przelykam ślinę, przypominając sobie, co czułam, gdy Adam podszedł z mikrofonem i przyklęknął przed moim krzesłem. - To, co powiedziałeś... Nigdy tego nie zapomnę.

- Ja też.

- Dlaczego? - Unoszę głowę i wspieram się na ręce.

- Bo nauczyłem się jej na pamięć. - Adam parska śmiechem.

- Powiedz.

Mój mąż siada i przez chwilę śmiesznie chrząka, jakby chciał dodać sobie powagi.

- Gdyby ktoś dwa lata temu powiedział mi, że ta drobna kobieta powali mnie na ziemię, zatrząsie moim życiem, pokaże, jak bardzo jest silna, i sprawi, że będę gotów zrobić dla niej wszystko, wyśmiałbym go i nazwał idiotą. Gdyby ten sam człowiek tydzień temu przewidział, że własnoręcznie potargam i zniszczę list podpisany jej dłonią, drugi po naszej córce najpiękniejszy prezent, który mi dała ta najśłodsza i najczulsza istota,

najcudowniejsze wyznanie miłości i zaufania, jakie mogłem otrzymać, dostałby w gębę. Gdyby wczoraj ten zuchwalec stwierdził, że nie jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, to jeśli przeżyłby konfrontację z moją pięścią, dzisiaj postawiłbym mu beczkę najprzedniejszej whisky i przeprosił, bo w tym jednym przypadku miałby rację. Dopiero dziś nim jestem, najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Kocham cię, Melanio Valentine Harding...